

IRIS JOHANSEN

Zagadki

Prolog

Vasaro, Francja
12 lipca 1978

Szukam cię od wielu godzin. Co tu robisz w gaju, w środku nocy? - Jacques D'Abler przyklęknął obok dziewczynki. - Twoje miejsce o tej porze jest w łóżku, *ma petite*.

- Straciłam go, Jacques - wyszeptała Caitlin. - Zabrał mój wisiołek.

Ciężka dłoń Jacquesa gładziła ją po włosach z niezwykłą delikatnością.

- Myślę, że któregoś dnia go odzyskasz, maleńka.

- Nie! Biegłam za nim podjazdem, ale nawet się nie odwrócił. Mama mówi, że on już nas nie kocha. - Zrozpaczona, wtuliła twarz w ramię Jacquesa. - Że nigdy już nie wróci do Vasaro.

- Chodźmy do domu. - Jacques wstał i pociągnął ją za rękę.

- To... to prawda?

- Tak, myślę, że to prawda. On już tu nigdy nie wróci.

- Ale dlaczego zabrał mi mojego Pegaza? Tak go lubiłam. To był prezent od niego, Jacques.

- Wiem.

- Zawiesił mi go na szyi i powiedział, że wyglądam w nim tak pięknie jak mama. Wiedziałam, że to nieprawda, ale... - Urwała, wstrząsnął nią gwałtowny szloch. - Przepraszam. Zachowuję się jak dziecko.

- Dwanaście lat to nie tak znowu dużo. Masz do tego prawo.

- Powiedział, że kiedyś pokaże mi prawdziwego Tańczącego go na Wietrze i...

- Cśś... nie płacz. Otrząsniesz się z tego. Rano pójdziemy na pola i będziesz mogła zbierać kwiaty. Chcesz?

- Jutro muszę iść do szkoły - odparła ponuro.

- Załatwię to z twoją mamą.
- Ten wisiołek był taki piękny, Jacques.
- Kwiaty też są piękne, a one zawsze tutaj będą i nikt ci ich nigdy nie zabierze.

- Nigdy?

- Jak długo będziesz ich strzec i pielęgnować, pozostaną ci wierne. - Mocniej uściśnął jej dłoń. - Chodźmy. Czas do domu.
Zrównała z nim krok.

- Myślę, że on nigdy naprawdę nie chciał pokazać mi Tańczącego na Wietrze. To było tylko kolejne kłamstwo.

Jacques nie odezwał się.

Nagle dotarł do jej uszu dźwięk cykad, poczuła oszałamiający zapach ziemi i lawendy rosnącej na północnym polu. Jacques szedł obok niej równym ciężkim krokiem, krzepki i niewzruszony jak otaczające ich drzewa oliwne. Ogarnęło ją poczucie spokoju, kojące gwałtowny ból i żal. Miał rację, pozostało jej przecież Vasaro, które nigdy jej nie zdradzi. Otarła policzki wierzchem dłoni.

- Naprawdę będę mogła jutro zbierać lawendę?

- Jakże poradzilibyśmy sobie bez ciebie? - Zamknął jej dłoń w swojej dużej ręce. - Zapomnij o tym skur... o twoim ojcu. Lepiej dla ciebie i dla Vasaro, że go tu nie będzie.

Będą musieli nauczyć się żyć bez niego, skoro nigdy już tu nie wróci.

Tak samo zresztą jak nie wróci jej śliczny złoty Pegaz.

- Kiedy tata mi go ofiarował, powiedział, że jest wart mnóstwo pieniędzy, ale nigdy mnie to nie obchodziło - wyszeptowała. - Ważne było tylko to, że przypominał Tańczącego na Wietrze, i myślałam... On wiele dla mnie znaczył, Jacques. Kiedy tata mi go dał, miałam nadzieję...

- Nadzieję na co?

Miała nadzieję, że ojciec naprawdę ją kocha i że nigdy już jej nie opuści.

- Nieważne.

- Caitlin, Tańczący na Wietrze nie ma magicznej mocy.

- Nie to miałam na myśli.

A jednak w to wierzyła. Jej nadzieja legła w gruzach, choć to nie była wina Tańczącego na Wietrze.

Gdyby go miała, wszystko byłoby możliwe.

1

*St. Basil, Szwajcaria
14 czerwca 1991*

Połyskliwe, tajemnicze oczy Tańczącego na Wietrze patrzyły z czarno-białej fotografii na Alexa Karazova.

Niesamowite wrażenie, że statuetka żyje, musiało być skutkiem gry światła uchwyconej przez obiektyw. Alex pokręcił głową. To absurd. Lecz nareszcie pojął, skąd brało się owo niesamowite wrażenie, jakie wywoływała statuetka, zrozumiał też, dlaczego narosło wokół niej tak wiele legend. Książkę, którą miał przed sobą, wydano ponad sześćdziesiąt lat temu i zdjęcie najprawdopodobniej nie dawało należytego pojęcia o posążku. Zachłannie przebiegł wzrokiem po podpisie pod fotografią.

Statuetka Tańczącego na Wietrze, uznawana za jedno z najcenniejszych dzieł sztuki na świecie. Słynne „oczy Tańczącego na Wietrze” - to dwa doskonale dopasowane, owalne diamenty o wadze 65, 5 karata każdy. Podstawa skrzydlatej statuetki Pegaza jest inkrustowana czterystu czterdziestoma siedmioma diamentami

W książce *Tańczący na Wietrze - fakty i legendy*, opublikowanej w 1923 roku, Lily Andreas próbowała udowodnić, że Aleksander Wielki był w posiadaniu Tańczącego na Wietrze w czasie swojej wyprawy przeciw Persji w 323 roku p. n. e., statuetka była też własnością Karola Wielkiego. Hipoteza Lily Andreas wywołała wiele kontrowersji. Szczególnie wiele sporów wzbudziło przekonanie autorki, że najpotężniejsi władcy w dziejach ludzkości nie tylko byli właścicielami Tańczącego

na Wietrze, lecz że fakt posiadania statuetki decydował o ich triumfach i porażkach. Zarówno przypuszczenia dotyczące wieku statuetki jak i jej losy opisane przez Lily Andreas zakwestionowały muzea w Londynie i Kairze.

Alex ze zniecierpliwieniem zamknął album, widząc że Pavel zmierza do biurka ze stosem złożonym z kolejnych pięciu tomów. Znal treść książki Lily Andreas. Pamiętał Ledforda cytującego z pietyzmem poszczególne wiersze i całe rozdziały.

Pavel uniósł krzaczaste czarne brwi.

- I nic?

Alex pokręcił głową.

- Na razie nic. Potrzebne mi są fakty, nie legendy. - Sięgnął po leżącą na wierzchu książkę i niecierpliwie przerzucając strony znalazł rozdział: *Tańczący na Wietrze*. - Na litość boską, można by pomyśleć, że ta cholerna statuetka rozpułyła się w powietrzu. - Szybko przebiegi wzrokiem treść rozdziału: - No! Ta książka przynajmniej pozwala nam uciec z tych pogmatwanych lat dwudziestych. Jest tu mowa o przejęciu *Tańczącego na Wietrze* przez Niemców w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku i o odnalezieniu go w górskiej rezydencji Hitlera po drugiej wojnie światowej. - Zamknął książkę. - Ale niepotrzebnie tracę czas. Zadzwoń do kustosa Luwru i...

- Zapytaj, gdzie jest teraz *Tańczący na Wietrze* - dokończył za niego Pavel. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego ogorzałą twarz o mocnej szczęce. - Oczywiście wiesz, że zapewne spróbują wtedy ustalić, skąd był telefon, i powiadomią Interpol. Czuję, że dykcja Luwru może okazać się chorobliwie podejrzliwa po tym, jak wczoraj stracili *Monę Lisę*.

- Możliwe - przytaknął w roztargnieniu Alex. Wstał i podszedł do długiego stołu, na którym, niczym układanka, leżały liczne wycinki z prasy z tytułami artykułów:

DAWID MICHAŁA ANIOŁA ZNIKA Z FLORENCJI

KARDYNAŁ ZAMORDOWANY W DRODZE DO WATYKANU PRZEZ TERRORYSTÓW Z UGRUPOWANIA „CZARNA MEDYNA”

KONSTERNACJA POLICJI PO KRADZIEŻY STRAŻY NOCNEJ REMBRANDTA Z MUZEUM PAŃSTWOWEGO W AMSTERDAMIE

TRZY OSOBY ZGINEŁY OD BOMBY PODŁOŻONEJ
PRZEZ UGRUPOWANIE „CZARNA MEDYNA” NA LOTNI-
SKU IM. CHARLESA DE GAULLE'A

MONA LISA SKRADZIONA Z LUWRO

Pod nefrytowym przyciskiem do papierów leżało kilkanaście innych wycinków z gazet. Alex spojrział na nie, próbując się zdecydować, czy jest zainteresowany sprawą w stopniu wystarczającym, by się zaangażować. Przypuszczał, że taki telefon wywołałby dużo większy popłoch niż spodziewał się Pavel.

Ech tam, do diabła. Czemu nie miałyby spróbować? Nie może przecież w nieskończoność gnuśnieć na tej przeklętej górze.

- Tak czy owak, zadzwoń. Podaj im moje nazwisko i powiedz, że zamierzam napisać powieść i gromadzę materiały. Muszę ustalić, gdzie znajduje się teraz Tańczący na Wietrze. Rodzina Andreasów mieszka obecnie w Stanach, ale przypominam sobie artykuł sprzed paru lat omawiający wyniki badań francuskiej opinii publicznej na temat Tańczącego na Wietrze: przeciętny Francuz uważa go za skarb narodowy. Proszę, zdobądź więcej informacji na ten temat. Aha, kustosz Luwru nazywa się Emile Desloge.

Pavel przytaknął; błyszczącymi czarnymi oczami przyglądał się napiętej twarzy Alexa.

- Dobrze, zadzwonię do Luwru, skoro uparłeś się sprawdzić ten trop. - Westchnął z afekcją. - A jeśli statuetka któregoś pięknego dnia zostanie skradziona, do czyich drzwi zapuka policja? - Delikatnie poklepał masywny tors pokryty szarym swetrem. - Do drzwi Pavla Rubanskiego. Mam z tobą same kłopoty. Nie pojmuję, dlaczego dawno już cię nie zostawiłem i nie znalazłem jakiejś spokojnej posady za mniejsze pieniądze.

- Zanudziłbyś się na śmierć. - Alex uśmiechnął się szeroko, usiadł przy stole i sięgnął po ostatni artykuł. - Jak ja.

Zmierzający powoli w stronę drzwi Pavel zatrzymał się i ze zdumieniem spojrział na Alexa.

- Cieszę się, że wreszcie się do tego przyznałeś. Będę teraz mógł zrobić dla ciebie coś więcej niż tylko znosić ci informacje do tych twoich przeklętych układanek. Co z tego, że jesteś

bogaty, skoro nie umiesz wydawać swoich pieniędzy? Zamiast dzwonić do Luwru, zatelefonuję do biura podróży i zamówię miłe, słoneczne wakacje na Martynice. Przecież zawsze lubiłeś jeździć na Martynikę o tej porze roku - ciągnął tonem łagodnej perswazji. - Albo pošlijmy po Angelę i którąś z jej przyjaciółek, żeby przyjechały tutaj na weekend. Dziewczyny to też sposób na rozproszenie nudy, nie uważasz?

Alex wydał pobłaźliwie wargi, spoglądając na ożywioną twarz Pavla.

- I pewnie wydaje ci się, że któraś z tych atrakcji pozwoli mi się oderwać od myślenia o Tańczącym na Wietrze.

Przyjaciółki przytaknęły.

- Być może ty znajdujesz się pod ochroną KGB i CIA, ale ja nie cieszę się aż takimi względami Interpolu. Jestem spokojnym człowiekiem, któremu do szczęścia potrzeba jedynie trochę słońca, trochę seksu, od czasu do czasu lubię zjeść jakiś wykwintniejszy posiłek...

- Od czasu do czasu? - roześmiał się Alex. - Chyba dawno nie wchodziłeś na wagę.

- To nie tłuszcz, tylko masa mięśniowa. Jestem człowiekiem słusznego wzrostu i potrzebuję odpowiedniej ilości paliwa. A poza tym, czym oprócz jedzenia mogę się pocieszyć w tych cholernych górach? Na Martynice mógłbym leżeć sobie na plaży popijając piña colada, nie przejmując się ani śniegami i lodem, ani Interpolem.

- Interpol jest zbyt zajęty sprawdzaniem każdego śladu, żeby zawracać sobie głowę tobą. - Alex pomyślał o nagłówkach gazet i zmarszczył czoło. - Zastanawiam się, czy to wszystko jest częścią...

- Czego?

Alex nie odpowiedział, zbyt już zajęty gwałtowną próbą połączenia informacji i wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

- Mniejsza o to - mruknął Pavel. - Żyję na tej górze jak pustelnik. Nie mam prawa odezwać się do ciebie, kiedy pracujesz nad rozwiązaniem kolejnej łamigłówki. Nie powiesz mi, że jesteś zmuszony w ten sposób zarabiać na życie. Ty po prostu jesteś cholernym nałogowcem. - Nie dając Alexowi czasu na odpowiedź, zamknął za sobą drzwi.

Czyżby Pavel miał rację? - zastanawiał się Alex. Niewykluczone

zione. Rzeczywiście, za długo już pracował nad podobnymi zadaniami i aż nazbyt dobrze znał to uczucie upajającej radości towarzyszące rozwiązaniu skomplikowanej zagadki. Po Afganistanie myślał, że nigdy już dobrowolnie nie zagrzebie się w podobne przedsięwzięcie, lecz nie wziął pod uwagę siły wieloletniego przyzwyczajenia. Gdy tylko przyjechał do St Basil, natychmiast odżył nawyk gromadzenia informacji i przewidywania, dla własnej przyjemności, rozwoju wypadków w dziedzinach tak odmiennych jak hossa i bessa na giełdzie nowojorskiej czy typowanie miast - gospodarzy przyszłych igrzysk olimpijskich.

Lecz ostatnia łamigłówka była o wiele bardziej intrygująca niż te, z którymi zmagał się do tej pory, i Alexa przeszył luby dreszcz emocji. Poczul się pełen życia, wiedział, że znów jest w najwyższej formie.

Godzinę później do gabinetu wkroczył Pavel i rzucił na biurko zapełnioną notatkami kartkę.

- Masz. Tańczący na Wietrze jest obecnie własnością Jonathana Andreasa.

- Gdzie on mieszka?

- W swej posiadłości w Port Andreas, w Południowej Karolinie. Andreas jest jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce i wokół jego posiadłości aż się roi od ochroniarzy i strażników. Poza tym cały dom posiada doskonały system alarmowy.

- W Luwrze też jest taki system - zauważył sucho Alex. - A jednak nie powstrzymało to złodziei od kradzieży *Mony Lisy*. - Spojrzał na zapełnioną notatkami żółtą kartkę. - Co to za Vasaro?

- Vasaro to majątek niedaleko Grasse we Francji. Zajmują się tam uprawą kwiatów dla potrzeb przemysłu perfumeryjnego. Rodzina Vasaro jest luźno spokrewniona z Andreasami. To właśnie kuzyni z Francji namówili ojca Jonathana Andreasa, żeby wypożyczył Tańczącego na Wietrze Luwrowi w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w celu zdobycia pieniędzy na wykupienie jedenastu artystów pochodzenia żydowskiego z rąk Niemców. Pięć lat temu studiująca wówczas na Sorbonie Caitlin Vasaro napisała dysertację na temat historycznego znaczenia Tańczącego na Wietrze. Ta praca posłużyła za punkt wyjścia dla rozprawy doktorskiej Andre Beaujolis.

- Czy rodzina Vasaro rości sobie jakieś prawa do Tańczącego na Wietrze?

Pavel zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, ale w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku rząd francuski zakwestionował prawa rodziny Andreasów do posiadania statuetki twierdząc, że akt darowizny podpisany przez Marię Antoninę nie miał mocy prawnej, skoro władzę sprawował wtedy rząd rewolucyjny. Przegrali proces. - Przerwał na chwilę. - Myślisz, że teraz kolej na zniknięcie Tańczącego na Wietrze?

- Nie sądzę.

- W takim razie czy wolno mi spytać, po co spędziłem przy telefonie prawie godzinę, rozmawiając z chorobliwie nieufnym francuskim kustoszem?

- Wszystkie skradzione dzieła sztuki mają ogromne znaczenie kulturowe dla krajów europejskich. Posąg Dawida we Włoszech, Straż *nocna* w Holandii, a teraz *Mona Lisa* we Francji. Tańczący na Wietrze niewątpliwie byłby następny w kolejności, gdyby znajdował się w Europie. - Alex wzruszył ramionami. - Ale nie sądzę, żeby stał się celem kradzieży, dopóki jest strzeżony na ziemi amerykańskiej. Szkoda.

- Sądzę, że Jonathan Andreas jest przeciwnego zdania.

Alex zachichotał; jego niebieskie oczy roziskrzyły się nagle w opalonej twarzy.

- Czemu, do cholery, jesteś taki ponury?

- Bo ty jesteś w całkiem odmiennym nastroju. Jesteś podniecony, gdyż pracujesz na pełnych obrotach. Jesteś na jakimś tropie. Dobrze cię znam.

Alex patrzył na Pavla z miną niewiniątka.

- Dlaczego kazałeś mi zadzwonić do Luwru, kiedy mogłem dowiedzieć się wszystkiego od Goldbauma albo któregoś z zaprzyjaźnionych dziennikarzy?

- Interpol nie będzie cię niepokoił, Pavel.

- Ale chciałeś, żebym namieszał tym telefonem.

Alex przytaknął.

- Miałem pewne przeczucie. Nie martw się, nie trafisz przez to na szubienicę.

- Wcale się nie boję. Już nie raz ryzykowałem głową. - Pavel uśmiechnął się. - Pamiętasz tego więźnia w Diranev? Zdażyłem już pożegnać się z życiem, zanim wkroczyłeś i go rąbnałeś.

- Byłeś mi wtedy winien pewną sumę. Musiałem cię ocalić, żebyś mógł mi ją zwrócić.

- I przez cały czas zapewniałeś mnie, że zrobiłeś to ze szlachetnych pobudek.

- Jakże to możliwe, skoro pojęcie szlachetności jest mi zupełnie obce.

- Ale wiesz, co znaczy słowo przyjaźń - zauważył cicho Pavel.

Alex niecierpliwie machnął ręką.

- Boże, widzę, że na starość robisz się sentymentalny.

- Ja tylko umiejętnie gram, żeby zyskać od ciebie to, czego chcę.

- A czego chcesz?

- Marzy mi się Martynika. Nie mogę już patrzeć na ten śnieg. Przypomina mi Diranev. Nie pojmuję, dlaczego zdecydowałeś się kupić dom w Szwajcarii.

- Bo to jedno z najmniej biurokratyzowanych państw na świecie, które pozwala człowiekowi żyć bez konieczności ciągłego wypełniania przeróżnych formularzy.

- Nie miałbym nic przeciwko niewielkiej biurokracji, jeśli pozwoliłoby mi to wyrwać się z tych przeklętych śniegów i zimna. - Popatrzył na Alexa błagalnym wzrokiem. - Co sądzisz o Martynice?

Wygląda jak szczeniak spoglądający tęsknie na kość, która leży poza jego zasięgiem, pomyślał ciepło Alex.

- Dobra, wybierzemy się na Martynikę. Jak tylko skończę Z...

- Do diabła, zanim zbliżysz się do końca tej sprawy, będziemy tu mieli następną epokę lodowcową. - Pavel odwrócił się i ruszył do drzwi. - Powinienem był bez pytania cię o zgodę posłać po Angelę. Robisz się znacznie podatniejszy na sugestie, kiedy działasz pod dyktando zmysłów, a nie mózgu.

- Pavel!

- Tak?

- Spodziewam się ważnego telefonu. Jak zadzwoni, natychmiast mnie połącz.

- Kto?

- Ledford.

Oczy Pavla rozszerzyły się ze zdumienia.

- Boże - wyszeptał.

- Nie wzywałbym w jego przypadku imienia Boga - wydał wargi Alex. - Nasz przyjaciel Ledford ma znacznie lepsze układy z diabłem.

- Myślisz, że on maczał w tym palce? - Pavel wskazał głową wycinki z gazet

- Myślę, że w paru sprawach - tak. Ledford zawsze lubił błyszczeć i prowadził kilka operacji Agencji dotyczących dzieł sztuki, jeszcze zanim zaczęliśmy pracować razem.

- Zapomniałem. - Pavel zmarszczył czoło, starając się przypomnieć sobie szczegóły. - To on wykradł obraz del Sarto, który posłużył jako okup za uwolnienie tego portugalskiego dyplomaty w Brazylii, tak?

- Między innymi.

- Czy stoi za tym CIA?

- Z początku tak myślałem, ale teraz już tak nie sędzę.

- Więc co?

Alex wzruszył ramionami.

- Pewnie dowiemy się tego, kiedy zadzwoni Ledford.

Pavel zmrużył oczy.

- To dlatego chciałeś, żebym to ja zatelefonował do Luwru. Wcale nie sądziłeś, że następny w kolejce jest Tańczący na Wietrze. Po prostu wystosowałaś zaproszenie.

- Raczej nakaz stawiennictwa - uśmiechnął się szeroko Alex. - Ledforda zawsze fascynował Tańczący na Wietrze. Zachwycił się nim. Dobrze zrozumie, co oznacza moje zapytanie o statuetkę.

- Myślisz, że kustosz działa w porozumieniu z Ledfordem?

- Myślę, że ma kontakt z Ledfordem albo z kimś, kto ukradł *Monę Lisę*. System alarmowy w Luwrze jest zbyt doskonały, żeby ktoś oprócz kustosa mógł go ominąć.

- Myślisz, że w grę wchodzi łapówka?

- Musiałyby to być ekstrawagancka łapówka. Należałoby tu mówić o milionach.

- To nie ma sensu. Kto i po co miałby płacić miliony, by móc skraść obraz, którego nie można potem sprzedać? Nawet prywatny kolekcjoner będzie bał się nabyć dzieło tak słynne jak *Mona Lisa*.

- Interesujące pytanie. - Alex wygodniej rozsiadł się w krześle. - Będziemy musieli znaleźć na nie odpowiedź.

- Ledford nie będzie o tym dyskutował przez telefon. On tu przyjedzie.

- Pewnie tak.

- To błąd, Alex. Jeśli to był Ledford, nie powinieneś dawać mu do zrozumienia, że go przejrzałeś.

- Nie będzie żadnego problemu. Miałem z nim już kiedyś do czynienia.

- Ale wtedy byliście po tej samej stronie.

- To skurwiel, ale nie sądzę, żeby mógł nam wyciąć jakiś szpetny numer.

- Mógł się zmienić - skrzywił się Pavel. - Mógł się maskować w twojej obecności, a poza tym wydaje mi się, że go przeceniasz. - Wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

Alex tępo wpatrywał się w żółtą kartkę papieru, w zamiśleniu gryzmołając piórem; kilkakrotnie obwiodł słowo „Vasaro”, podkreślił „Tańczący na Wietrze” i postawił cztery znaki zapytania przy nazwisku Jonathan Andreas. Być może Pavel ma rację i on, Alex, rzeczywiście naraża się na niebezpieczeństwo. Kiedy zorientował się, że Ledford może być zamieszany w tę całą sprawę, jego zainteresowanie rozwiązaniem zagadki wyraźnie wzrosło. Wciąż czuł niesmak na wspomnienie dawnych kontaktów z tym człowiekiem i wciąż korciło go, żeby przytrzeć mu rogów. Ale być może ta straszliwa nuda uniemożliwiała mu właściwą ocenę sytuacji i pchała do podjęcia ryzyka, na które normalnie by się nie zdecydował.

Tak czy owak, stało się. Jeśli Ledford maczał w tym palce, wie już, że Alex interesuje się sprawą. Teraz może już tylko czekać na reakcję Ledforda.

Zdenerwowany, odrzucił pióro, wstał i szybko podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na ośnieżone wierzchołki Alp. Nad szczytami gór wisało ołowianoszare niebo, które od północy przysłaniały ciemne chmury. Nadciągała burza. Była połowa czerwca i burze nie powinny już być tak częste i gwałtowne, lecz tego roku pogoda w całej Europie znacznie odbiegała od normy. Przed miesiącem grad i ulewne deszcze spowodowały powódź we Włoszech i południowej Francji, a życie w Niemczech i Szwajcarii sparaliżowały gwałtowne zawieje i zamiecie śnieżne. Najwyraźniej za kilka godzin St. Basil ucierpi od kolejnej burzy. Nie miało to zresztą dla Alexa większego znaczenia. Dom był solidny, zaopatrzony

w zapasy żywności i miał swój własny generator, zaś Alex nawet lubił poczucie odizolowania od świata wśród zwałów śniegu. Kiedy zachodziła potrzeba, bez kłopotu potrafił dostosować się do wymogów życia wśród ludzi, lecz znacznie bardziej odpowiadała mu samotność. Nawet po tylu latach Pavel nie potrafił zrozumieć, dlaczego Alex nie podziela jego upodobania do bujnego życia towarzyskiego.

Tak. To, że nadchodzi kolejna burza, nie czyni mi żadnej różnicy, pomyślał Alex.

Nie!

Z gardła Caitlin Vasaro wydarł się rozpaczliwy krzyk, gdy spojrzała na gwałtownie ciemniejące od północnej strony niebo. Miała nadzieję, że prognoza pogody okaże się nietrafna. Boże, jak się o to modliła.

- Nie teraz. Błagam, jeszcze tylko jeden dzień.

- Caitlin? Co się stało, kochanie? - od strony stołu dobiegł zatroskany głos matki. - Coś nie w porządku?

- Nie w porządku? Idzie burza. Róże... - Caitlin gwałtownie odwróciła się od okna i rzuciła do kuchennych drzwi. - Boże, potrzebny był mi tylko jeden dzień. Dlaczego nie mogę mieć jeszcze jednego dnia?

- Nie możesz z tym chwilę poczekać i spokojnie dokończyć posiłek? Przyrządzenie go zajęło mi dwie godziny... co za różnica pół godziny w jedną czy drugą? - Ledwie widoczna zmarszczka przecięła gładką twarz Katrine Vasaro, a jej dyskretnie umalowane usta ściągnęły się w wyrazie dezaprobaty. - Jesteś za chuda. Nie powinnaś sobie pozwalać na opuszczanie posiłków. - Po chwili jej twarz rozjaśniła się. - Może burza nas ominie.

Caitlin popatrzyła na matkę z niedowierzaniem.

- Martwisz się, że opuszczę posiłek? Nie rozumiesz? Chodzi o róże! Jeszcze nie zdążyły w pełni rozkwitnąć i musimy je zebrać, zanim ta przekłeta burza je zniszczy. Nie możesz...

Czemu matka tego nie rozumie? - zastanawiała się rozgoryczona. Choć róże nie były najkosztowniejsze wśród kwiatów, to właśnie z ich uprawy przede wszystkim słynęło Vasaro. I tak mieli szczęście, że po spustoszeniu, jakie uczyniły w tym roku ulewy, bank nie pozbawił ich prawa wykupu obciążonego długiem majątku. Caitlin liczyła na to, że udany zbiór róż

pozwoili im jakoś przetrwać. Otworzyła usta, chcąc wyrzucić z siebie gorzkie słowa, lecz opanowała się. To na nic. Vasaro i tak nigdy nie miało większego znaczenia dla matki, która przebywała tu jedynie z poczucia obowiązku i byłaby o wiele szczęśliwsza mieszkając w Cannes czy Monte Carlo. Caitlin otworzyła drzwi i starając się opanować drżenie w głosie, odparła tylko:

- Nie, nie mogę z tym zczekać aż zjem, mamó.

Po chwili pędziła już po zboczach. Po drugiej stronie drogi jak okiem sięgnąć rozciągało się przed nią ogromne pole róż; na wpeł rozwinięte kwiaty mieniły się karmazynowymi barwami w świetle słońca. Krucho aksamitne piękno głębokiego karmazynu poruszyło w niej najczulsze struny.

Nie ma większej miłości niż ta, która trwa nawet w cieniu miecza.

Gdzie przeczytała te słowa? Boże, jak ona kochała Vasaro! Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo troszczyła się o każdy cal tych żyznych sfałowanych pól, o gaje oliwne i pomarańczowe, o winnice... Rzadko zdarzało jej się uświadamiać sobie zapachy, lecz teraz, w parnym powietrzu, wprost przytłaczał ją aromat pól.

W cieniu miecza...

Słońce świeciło jasnym blaskiem, a niebo nad głową było nieskazitelnie niebieskie, lecz na horyzoncie gromadziły się szybko te złowrogie chmury.

Jacques D'Abler, nadzorca, zdążył już przydzielić pracę i zbieracze szeroką ławą szli głęboko w pole między rzędami krzewów różanych. Od rana obserwował niebo z podobnym co Caitlin niepokojem i widząc groźne chmury wydał odpowiednie rozporządzenia. Gdy Caitlin dotarła na pole, zobaczyła, że Jacques stoi na szeroko rozstawionych nogach na skrzyni starej ciężarówce i podaje ogromne wiklinowe kosze zbieraczom, wydając rozkazy niczym stojący u steru kapitan.

- Fatalnie - odezwał się cicho.

- Nie mów tak. To nie zdoła nas pokonać. Damy sobie radę.
- Szarozielone oczy Caitlin błysnęły dziko, gdy posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, po czym zwróciła się do Jeana Baptiste'a Dalmasa, który zbierał kwiaty w najbliższym rzędzie. - Weź sedana, jedź na farmę Meuniera i powiedz, że potrzebni są nam ich zbieracze na dwie godziny. Tylko na dwie godziny.

- Rzuciła mu klucze. - Powiedz, że zapłacimy im podwójną stawkę. Pospiesz się!

Jean Baptiste popędził pod górę w stronę podjazdu.

Jacques pokręcił głową.

- Meunierowie nie zwolnią swoich ludzi.

- Może zwolnią. Nie uprawiają róż, a ja naprawdę potrzebuję pomocy. Mamy czterdziestu dwóch pracowników. Gdyby wynajęli nam jeszcze ze dwudziestu, może by się udało.

- Z czego zamierzasz im zapłacić?

- Wygrzebię pieniądze choćby spod ziemi. Wysłałeś kogoś do szkoły w wiosce, żeby zwolnili dzieci?

- Oczywiście. - Jacques wskazał ręką dzieci pomagające rodzicom w zbieraniu róż.

- Przepraszam. - Wolno pokręciła głową. - Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś.

- Miałem nadzieję, że pomylili się w prognozie pogody.

- Ja też. - Uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Najwyraźniej Matka Natura postanowiła w tym roku dać nam nauczkę. - Spojrzała na ciemniejące niebo. - Jak myślisz, ile mamy czasu?

Jacques wzruszył ramionami.

- Posuwa się dość wolno. Może ze dwie godziny... jeśli będziemy mieli szczęście.

- Nie mamy szczęścia. Trzeba się liczyć z tym, że została nam tylko godzina. - Przyjrzała się mężczyznom, kobietom i dzieciom pracującym na polach. Ich wprawne palce z wielką zręcznością zrywały karmazynowe róże i gorączkowo wrzucały je do koszy. Poczowała ukłucie dumy. - Może godzina wystarczy, jeśli cały czas będą pracować w tym tempie.

- Wiedzą, co oznacza dla ciebie utrata zbioru róż. To twoi ludzie, Caitlin.

- Tak, to moi ludzie. - Ponownie objęła wzrokiem pole, na którym pracowali Guilleme Poiren, Pierre Ledux, Renee Boisson, Marianne Juniet i wielu innych. Byli jej bliscy jak członkowie rodziny. Wychowywała się wśród nich, bawiła się w chatach ich rodziców, wraz z nimi łąpała robaczki świętojańskie w czasie tajemnych nocnych spotkań w gajach pomarańczowych. Była nawet matką chrzestną niejednego z malców posuwających się teraz za matkami rzędami krzewów różanych. - Muszę zabrać się do pracy. - Chwyciła kosz z cię-

żarówki. - Kiedy pojawiają się ludzie Meuniera, skieruj osiemnastu do zbierania, a dwóch zatrzymaj, żeby pomogli ci opróżnić kosze. Dopilnuj szybkiego opróżniania koszy. - Przeszła wzdłuż rzędu krzewów, obok kosza Renee Boisson postawiła swój i zabrała się do zbierania kwiatów.

Sześćcioletni Gaston przebiegł obok niej z wielkim koszem w ręku. Jego mała twarzyczka jaśniała podnieceniem.

- Caitlin, zostaliśmy zwolnieni ze szkoły!

- Wiem, Gaston. Ale teraz musisz być bardzo dorosły i pomóc nam. To bardzo ważne.

- *Oui*, zobaczysz, że zbiorę najwięcej ze wszystkich na tym polu. - Szybko oddalił się wzdłuż rzędu krzewów do miejsca, w którym zbierała kwiaty jego matka, Adrienne Kijoux.

- Może nie będzie tak źle - odezwała się Renee nie patrząc na Caitlin. Skończyła właśnie zrywać kwiaty z jednego krzewu i przesunęła się do kolejnego. - Jaką różnicę może robić jeden dzień?

- To różnica pomiędzy obfitym zbiorem róż o mocnym zapachu i marnym zbiorem kwiatów o przeciętnym zapachu. - Caitlin mechanicznie wrzucała do koszyka kwiat za kwiatem.

- Renee, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Na litość boską, i tak zbieramy te kwiaty po południu zamiast rano, kiedy zapach jest najmocniejszy. Będziemy mieli szczęście, jeśli... - Nagle roześmiała się. - Teraz ja robię to samo. Mówiłam Jacquesowi, że nie możemy liczyć na szczęście. - Z niepokojem spojrzała w niebo. Czy chmury przesunęły się coraz szybciej, czy tylko tak się jej wydawało? - Ale wygląda na to, że tylko na to możemy liczyć - wyszeptęła.

Renee spojrzała na nią ze współczuciem.

Caitlin szybko zrywała kwiaty, czując, jak serce mocno bije jej w piersi, a w gardle narasta bolesna suchość, starała się jednak nie zwracać na to uwagi, koncentrując się na pracy. Powietrze robiło się coraz gęstsze i bardziej wilgotne, coraz trudniej było oddychać. Zbieracze pracowali w niezwykłym skupieniu i ciszy. Zazwyczaj zrywaniu kwiatów towarzyszył gwar rozmów, plotki, jakieś ogólne uwagi, lecz teraz milczały nawet dzieci.

Gdzie, do diabła, podzieli się pracownicy Meuniera?

Jacques posuwał się wzdłuż rzędów, wymieniając pełne kosze na puste, po czym niósł przepełnione kwiatami ko-

sze na ciężarówkę i wsypywał ich zawartość do ogromnych kadzi.

- Caitlin?

Uniółszy wzrok, zobaczyła stojącą obok matkę, która uśmiechała się do niej ostrożnie.

- Wiem, że byłaś na mnie zła i chciałabym pomóc. Zdaję sobie sprawę, że nie będę pracować zbyt szybko, ale chcę się włączyć. - Katrine zwilżyła wargi językiem. - Czy mogę zbierać razem z tobą?

Oczy Caitlin rozszerzyły się ze zdumienia i po raz pierwszy, odkąd dostrzegła burzowe chmury, uśmiechnęła się z ulgą. Katrine stała tuż obok w swoich doskonale skrojonych białych luźnych spodniach od Diora i jedwabnej bluzce, z ciemnymi włosami starannie upiętymi w kok, z którego nie śmiał wychylić się ani jeden włos. Jej wypielęgnowane dłonie miały paznokcie pomalowane na modny kolor mokka, a twarz była tak poważna jak buzia małego dziecka proszącego o łaskę.

Boże, tego jeszcze mi potrzeba, pomyślała desperacko Caitlin. Matka ma wyrzuty sumienia, a ja muszę wszystko łagodzić. Przez chwilę korciło ją, by odmówić i odesłać matkę do domu.

- Kiedy byłam dzieckiem, często zbierałam kwiaty. - Katrine uśmiechnęła się niepewnie i powtórzyła: - Chciałabym pomóc.

Caitlin zawahała się, zanim wydała pełne rezygnacji westchnienie.

- Oczywiście, że możesz zbierać razem ze mną. Liczy się każda para rąk.

Katrine uśmiechnęła się szeroko z wyraźną ulgą i zaczęła zbierać kwiaty precyzyjnymi ruchami.

- Tutaj jest bardzo miło, prawda? Pamiętam, jak ojciec brał mnie na ramiona i niósł przez pola. Nie było ci dane poznać dziadka, Caitlin. Był postawnym mężczyzną i zawsze dopisywał mu humor. Żałuję, że...

Gwałtowny podmuch wiatru smagnał policzki Caitlin; uniosła głowę, by popatrzeć na niebo. Nie słyszała już paplania Katrine. Spiętrzone chmury wydawały się wrzeć.

Jacques przeszedł obok, dźwigając przepełniony kosz.

- Jean Baptiste wrócił.

Caitline, pełna nadziei, odwróciła się w jego stronę.

Jacques ze smutkiem pokręcił głową.

- Meunierowie nie chcą zwolnić swoich ludzi. Jest pora zbioru lawendy i potrzebują pracowników.

- A niech to!.. - Caitlin ponownie z niepokojem spjrzała w niebo.

- Ostro dmucha. - Wzrok Jacquesa podążył za wzrokiem Caitlin. - Będzie potężna burza.

Caitlin mocno przygryzła dolną wargę.

- Piętnaście minut?

- Dziesięć. - Jacques skierował się w kierunku ciężarówki.

Dziesięć minut. Tymczasem do tej pory udało im się zebrać zaledwie jedną czwartą zbioru. Caitlin poczuła, jak ogarnia ją paniczny lęk; gorączkowo wróciła do zrywania kwiatów. Czas płynął, trudno było już pracować w dotychczasowym tempie.

Wiatr przybrał na sile, szarpiąc jej krótkie brązowe loki, uderzając w nozdrza zapachem deszczu i róż.

Słońce zniknęło za chmurami i pola były skąpane w dziwnym złotawym świetle poprzedzającym burzę.

Uszu Caitlin dobiegł niespokojny pomruk coraz szybciej pracujących zbieraczy.

Rozległ się pierwszy głuchy odgłos grzmotu.

W zapamiętaniu szarpała kwiaty, jakby nigdy dotąd nie miała do czynienia ze zbiorem.

Była świadoma tego, że matka coś do niej mówi, lecz nie potrafiła rozróżnić słów.

Jacques krzyczał, by zbieracze znosili kosze do ciężarówki.

Nie przestawała zrywać kwiatów.

Gruba kropla deszczu spadła na jej policzek i łaskocząc spłynęła na szyję.

- Caitlin - usłyszała obok siebie łagodny głos Jacquesa. - Jest burza. Pozwól mi zanieść swój kosz na ciężarówkę.

Rzuciła mu zrozczone, nieustępliwe spojrzenie.

Złocista poświata zniknęła i pola tonęły teraz w cieniu. Wiatr mierzwił krótkie szpakowate włosy Jacquesa i wydymał białą płócienną koszulę na potężnym torsie.

- Zostaw to, Caitlin. Wiesz przecież, że zbieracze nie przestaną pracować, dopóki nie zejdziesz z pola.

Spjrzała na stojących w bezruchu zbieraczy. Jeśli nie

przerwie pracy, zostaną przy niej na polu nawet w czasie powodzi, starając się zbierać posiekane przez wiatr i wodę kwiaty.

Ich lojalność wzruszyła ją do łez, które natychmiast osuszył kłujący wiatr.

Wyprostowawszy się, otarła ręce o spodnie.

- Zabierz koszyk - powiedziała drżącym głosem, by za chwilę, już opanowana, przekrzykując pomruki burzy, zawołać do zbieraczy: - Koniec pracy! Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Dziękuję wam z całego serca. Pospieszcie się i schrońcie przed burzą.

Mężczyźni, kobiety i dzieci popędzili wzdłuż rzędów krzewów, z impetem stawiając ostatnie kosze na ciężarówkę, po czym pognali w stronę wioski.

- Udało się, nieprawdaż? - zapytała zadowolona z siebie Katrine, gdy szły w stronę ciężarówki.

Nie całkiem, pomyślała w odrętwieniu Caitlin, powoli idąc za matką. Nie całkiem się udało.

- Pospiesz się, Caitlin. - Katrine przyspieszyła kroku. Deszcz przybierał na sile. - Że też nie pomyślałam o parasolce. Będę musiała pojechać jutro do mojej fryzjerki do Cannes.

Caitlin obserwowała Jacquesa naciągającego na rył ciężarówki brezentową plandekę.

- Idź do domu, mamó. Ja pojedę z Jacquesem do laboratorium.

- Jeśli tak uważasz. - Katrine wzdrygnęła się. - Nienawidzę moknąć. Mam chyba w sobie coś z kota. Gdyby istniała reinkarnacja, chciałabym wcielić się w białego persa. Widzę się już rozpartą wygodnie na olbrzymiej jedwabnej poduszce z topazową obróżką, która doskonale współgrałaby z kolorem moich oczu... - Odwróciła się przez ramię. - Czy trochę ci pomogłam, Caitlin?

Caitlin uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ogromnie mi pomogłaś, mamó. A teraz idź do domu i przebierz się. Nie chcesz przecież się przeziębic.

Katrine skinęła głową.

- Ugotuję ci coś ciepłego. Już wiem. Raqout z jagnięcia. - Skierowała się w stronę dworku, stąpając równie zwinnie jak kot perski, do którego przed chwilą się przyrównała.

Jacques skończył umocowywać plandekę, gdy nadeszła Caitlin.

- Nie jest tak źle...

Caitlin przeniosła wzrok na pola, teraz bezlitośnie smagane wiatrem, chłostane ulewą. Jej dojmujące poczucie utraty nie wynikało ze zniszczenia plantacji. Coś kruchego i pięknego ginęło na jej oczach, coś, co było częścią jej korzeni, co nosiła w sercu, przechowywała w pamięci.

- Jedziesz? - Jacques wspiał się do kabiny ciężarówki.

- Nie jestem ci potrzebna. Za chwilę przyjdę do laboratorium.

Popatrzył na nią. Stała na deszczu. Jej dzinsy i podkoszulek oblepiły wysokie, smukłe ciało, spojrzenie wyrażało głęboki ból. Wiedział, że teraz nie należy się z nią spierać.

- Powetujesz sobie straty, kiedy zaczniesz sprzedawać swoje perfumy. - Uśmiechnął się, obnażając białe, nierówne zęby w pobrużdżonej, ogorzałej twarzy. - A w następnym sezonie będzie nowy plon.

Oboje dobrze jednak wiedzieli, że niektóre krzewy nie przetrwają tak gwałtownej burzy po tym, jak ich korzenie zostały nadwątlone przez poprzednie nawałnice. Poza tym jak mieli wprowadzić perfumy na rynek, skoro każdy frank potrzebny był im po prostu na przeżycie? Jacques należał jednak do ludzi, którzy nigdy nie tracą nadziei i Caitlin czuła, że i jej nie wolno się poddawać. Gorzkie doświadczenia zdążyły ją już nauczyć, że jeśli chce się do czegoś dojść na tym świecie, trzeba o to walczyć z zawziętością buldoga. W ciągu minionych lat przegrali i wygrali wiele bitew; ta była tylko jedną więcej. Skinęła głową.

- Tak, kiedy zacznę sprzedawać swoje perfumy.

Odsunęła się na bok i dała mu znak, żeby jechał. Jacques zapalił silnik i samochód ciężko ruszył wysypaną żwirem drogą wijącą się pod górę ku długim kamiennym budynkom za dworem.

Caitlin podbiegła do stróżówki na zboczu wzgórza. Usiadłszy na mokrej trawie, podciągnęła nogi i objęła je rękami. Burza ogołacała krzewy z kwiatów z prędkością, której nie dorównywali najszybsi zbieracze. Niektóre krzewy zostały wyrwane przez wiatr z korzeniami, a karmazynowe kwiaty walały się po całym polu, wbite w błoto, przenoszone przez

tworzące się w brzdach rwące rzeczutki spływające ku drodze.

Burza szalała przez ponad godzinę i Caitlin siedziała, chłonąć ogrom spustoszenia, czekając, aż to wszystko się skończy.

Późnym popołudniem deszcz w końcu przestał padać i zza chmur nieśmiało wyrzało wodniste cytrynowożółte słońce. Caitlin wstała i powoli zeszła ze wzgórza. Stracili połowę krzewów.

Nie po to została, by czuwać przy konającym. Zdecydowała się pozostać, gdyż chciała się przekonać, iż Vasaro zawsze przeżyje, niezależnie od tego, jak bardzo ucierpi od wypadków czy żywiołów. Było zdolne przetrwać wszystkie burze. Ta ziemia miała w sobie cudowną moc odradzania się.

Przykleknawszy, wzięła grudkę tej błotnistej ziemi, zimnej, mokrej, a jednak żywej, tak jak żywe było Vasaro. Jej serce napełniło się otuchą; zaświtała nadzieja. Wszystko będzie dobrze. Jakoś sobie z tym poradzi. Musi być tylko silna jak Vasaro. Będzie musiała więcej pracować, okazać więcej sprytu i znaleźć sposób, by przekonać tych ludzi z banku, że Vasaro jest czymś więcej niż nieruchomością z zadłużoną hipoteką.

Z determinacją zacisnęła w dłoni moką ziemię.

Już się zjawił. - Pavel otworzył drzwi i odsunął się, by przepuścić Briana Ledforda do gabinetu Alexa. - Będziecie mnie potrzebować?

- Oczywiście, że nie. - Ledford zrzucił z siebie płaszcz z bobrowym kołnierzem.

Pavel nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Alex?

Alex pokręcił głową.

Pavel zawahał się i ze zmarszczką niepokoju na czole popatrzył na Ledforda, po czym, wruszywszy potężnymi ramionami, zamknął za sobą drzwi.

- Ostrożny sukinsyn. Zapomniałem już, jak cię zawsze chronił. - Ledford rzucił płaszcz na kanapę obitą brązową skórą. - Cholera, jak tu zimno. Chyba docenisz to, że zdecydowałem się wybrać do ciebie w taką pogodę.

Ledford miał na sobie pierwszorzędnie skrojony szary tweedowy garnitur, ściągnął z dłoni stalowszare skórzane

włoskie rękawiczki i rozluźnił niebieski kaszmirowy szal otaczający mocną, grubą szyję. Ubierał się teraz niezwykle elegancko, lecz poza tym niewiele się zmienił od czasu, gdy Alex widział go po raz ostatni pięć lat temu. Co prawda jego króciutkie, mocno skręcone blond włosy nieco obficiejszy przyprószyła siwizna, a wysokiej figurze o wydatnym torsie przybyło parę kilogramów, lecz grubo ciosane rysy pozostały niezmienione, tak samo jak i wyraz nieskończenie dobrego humoru bijący z jego czerstwej twarzy i błyszczących orzechowych oczu.

Przywitał Alexa z hałaśliwą wylewnością.

- Ech, Alex, chłopie, jak miło znów cię widzieć. Muszę przyznać, że kiedy wczoraj rozmawialiśmy przez telefon, byłem na ciebie trochę zły, ale przecież byłoby głupotą pozwolić, by obecne drobne nieporozumienia ochłodziły naszą wzajemną sympatię. - Z uśmiechem opadł na wyściełany fotel, naprzeciw którego stał przy oknie Alex. Położywszy na kolanach szare rękawiczki, rozprostował umięśnione nogi i skrzyżował je w kostkach. - Czasami tęsknię nawet do tamtych czasów w Wirginii. Brakuje mi nawet naszych pojedynków szachowych. - Wykrzywił wargi. - Muszę chyba być masochistą, bo przecież nigdy nie udało mi się z tobą wygrać. Ale pesymizm nie leży w mojej naturze i zawsze pocieszam się nadzieją, że następnym razem ja znajdę się na górze.

Przez chwilę Alex poczuł, że daje się zwieść urokowi Ledforda, tak samo jak było przed laty, lecz pamięć wróciła i znów ujrzał go we właściwym świetle. Powoli pokręcił głową.

- Obawiam się, Ledford, że nie zdarzyło mi się zatęsknić ani do ciebie, ani do tamtych czasów.

Ledford odrzucił jasnoniebieski kaszmirowy szal.

- Widzę, że nie jesteś w nastroju do prawienia komplementów. Dobrze, w takim razie przejdźmy do interesów. Ile wiesz?

- Jesteś członkiem ugrupowania stojącego za kradzieżami dzieł sztuki. Sądzę, że jest to dobrze zorganizowana i szczerze dotowana operacja. - Alex uśmiechnął się blade. - A kradzieże są tylko częścią większego przedsięwzięcia.

Ledford z uznaniem skinął głową.

- Coś jeszcze?

Starając się nie zmieniać uprzejmego wyrazu twarzy Alex zdecydował się na ślepy strzał.

- „Czarna Medyna”.

Ledford odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Kiedy rozpoczęliśmy operację, pomyślałem sobie, że to ci się może skojarzyć i ostrzegłem współnika, że możesz być dla nas zagrożeniem. Ale on nie chciał mi wierzyć. Muszę przyznać, że czasami jesteś niesamowity.

Alex poczuł dreszcz emocji. Strzał był celny. Miał rację co do powiązań.

- Wspólnika? Nie mówimy chyba o firmie?

- Odszedłem z CIA po tym, jak wyciągnąłeś swego asa atutowego i porzuciłeś naszą owczarnię. Teraz biorę udział w znacznie bardziej dochodowych przedsięwzięciach. - Szacującym wzrokiem rozejrzał się po gabinecie. - To wspaniałe gniazdko, Alex. Gratuluję doskonałego gustu. Szczególnie spodobał mi się ten Van Gogh w holu. Zresztą cały dom jest dokładnie taki, jakiego bym się po tobie spodziewał. Ustronie położony, estetyczny, a jednak z małym ustępstwem na rzecz przepychu barw i różnorodności tkanin. Zawsze było w tobie coś z człowieka renesansu. - Omiótł wzrokiem stos książek na biurku. - Czy masz tu także wspaniałą bibliotekę?

- Oczywiście.

Ledford pokiwał głową.

- Głupie pytanie. Ten niespokojny umysł potrzebuje strawy... Pamiętam, jak zachłannie pożerałeś każdą książkę będącą w zasięgu wzroku, kiedy do nas przystałeś. Musiałem wtedy latać po bibliotekach i znosić ci coraz to nowe. - Spojrzał Alexowi prosto w oczy. - Byliśmy wówczas dobrymi przyjaciółmi, prawda, Alex?

- Tolerowaliśmy się.

- Lubiłeś mnie. - Ledford uśmiechnął się szeroko. - Przyznaj się. Wydawało ci się wtedy, że jestem wujem Samem i Markiem Twainem w jednym ciele.

- Nie powinieneś tak się tym chełpić. Na tamtym etapie musiałem wierzyć w coś lub kogoś. Ale przyznaję, byłeś naprawdę dobry.

Ledford pokiwał głową.

- Oczywiście, że byłem. I to najlepszy. A stałem się jeszcze lepszy po tym, jak nasze drogi się rozeszły. Czas spędzony

w CIA traktuję jako doskonały staż. Teraz zbliżam się do pełni swoich możliwości.

- Gdyby to była prawda, nie byłoby cię tutaj. Wciąż można przewidzieć twoje kroki, Ledford.

- Tylko tobie się to udaje. Wszyscy mamy własną Nemezis, a ty z pewnością jesteś moją. - Zrobił wymowną pauzę. - A ja twoją, Alex. - Na twarz wypełzył mu złowrogi uśmieszek. - Mogę prosić o drinka?

- Nie.

Ledford pstryknął palcami.

- Wiedziałem, że to powiesz. I twoje reakcje łatwo można przewidzieć. Nie masz zwyczaju służyć wrogowi we własnym domu. Wiesz, Alex, czasami jest w tobie coś szlachetnie średniowiecznego.

Alex wzruszył ramionami.

- Najpierw twierdzisz, że jestem człowiekiem renesansu, a teraz, że średniowiecza. Zdecyduj się.

- W obu przypadkach miałem rację. Jesteś błyskotliwy i bezlitosny jak Medyceusze, a jednak kierujesz się w życiu zasadami. - Potrząsnął głową. - Zasady bardzo ograniczają ambitnego mężczyznę. Zastanawiam się, jak ci się udało zająć tak wysoko z takim podejściem do życia. - Zmarszczył czoło. - I nie nauczyłeś się dotąd podstawowej zasady.

- Czuję, że masz zamiar oświecić mnie, cóż to za dewiza.

Ledford cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Sarkazm jest tu zupełnie zbyteczny. Daruj sobie ten ironiczny ton. Liczyłem na miłą, utrzymaną w przyjacielskim tonie konwersację. - Wyprostował się w fotelu. - Podstawową zasadą jest przystosowanie. Zmiana barw, by pasować do otoczenia.

- Niektórzy nazywają to hipokryzją.

- Tylko głupcy. Ale ty nie jesteś głupcem, mimo że zdarza ci się robić duże błędy.

- O jakich błędach mówisz?

- Kazałeś Pawłowi zadzwonić do Desloge'a. Z początku wpadłem we wściekłość, ale później nawet byłem rad, że zdecydowałeś się w to wmieszać. Zawsze miałem bardzo ambiwalentne uczucia w stosunku do ciebie. - Przechylił głowę na bok i z upodobaniem studiował twarz Alexa. - Wiesz przecież, że ładny z ciebie okaz mężczyzny. Swego czasu szalałem na twoim punkcie. Tak, tak, potwornie trudno było mi się

powstrzymać od próby uwiedzenia cię, kiedy pracowaliśmy razem. - Wybuchnął gromkim śmiechem i płasnął dłonią w kolano, widząc bezgraniczne zdumienie na twarzy Alexa. - Widzę, że to tobą wstrząsnęło. Nigdy się tego nie domyślałeś, nieprawdaż?

- Nie.

Ledford wzruszył ramionami.

- W firmie była gromada prawdziwych samców. Jeden fałszywy krok i wyleciałbym z hukiem. Cóż, umiejętność przystosowania.

- Rozumiem.

- A jednak byłeś dla mnie prawdziwą pokusą. Byłeś udręką dla moich zmysłów. Górowałeś nade mną polotem. - Uśmiech na twarzy Ledforda zgasł nagle. - Myślę, że właśnie dlatego zacząłem cię nienawidzić.

Alex oparł się o parapet.

- A nie dlatego, że ogrywałem cię w szachy?

- Z tego powodu również. Nienawidzę przegrywać. To, że nie jestem najlepszy we wszystkim, co robię, boleśnie rani moją dumę. Jak mogłem rywalizować z twoim cholernym talentem? - Machinalnie pocierał wskazującym palcem obitą skórą poręcz fotela. - Ale udało mi się przystosować. Zostałem twoim kumplem.

- I kontrolerem - dodał beznamiętnym tonem Alex.

- Ktoś musiał to robić. Ten niepospolity talent aż prosił się o to, by go wykorzystać... - Pokiwał ze smutkiem głową. - Wszystko układało się dla mnie doskonale, dopóki nagle nie ruszyło cię sumienie. Nigdy nie miałeś poznać rezultatów planu afgańskiego. - Przez twarz przemknął mu cień gniewu. - Kiedy zebrało ci się na skrupuły, ściągnąłeś na moją głowę wiele kłopotów. Musiałem przeżyć wiele upokorzeń. Przypuszczam, że to Pavel ci powiedział?

- Tak.

- Radziłem, żeby nie przyjmowali Pavla, kiedy zjawiliście się razem. Wiedziałem, że lepiej będzie was odizolować.

- Bez niego nigdy nie udałoby mi się uciec.

- Ech, przyjaźń... Piękna rzecz. - Ledford uśmiechnął się. - To ile lat byliście razem?

- Trzyście. Spotkaliśmy się w *Specnazie*, co zresztą dobrze wiesz. - Alex odwrócił się od okna i spojrzął na Ledforda

da. - Ale przecież nie przybyłeś tutaj, żeby sławić wartość przyjaźni.

- Nie, przyjechałem, aby powiedzieć ci, żebyś trzymał się od tego z daleka. To operacja większa niż jakakolwiek, o której ci się śniło. - Ledford podniósł się z fotela jednym gibkim ruchem. - Siedź sobie dalej na tej górze i rozwiążuj swoje łamigłówki. Zostaw realny świat tym, którzy są przygotowani, by się z nim zmierzyć.

- I tego życzy sobie również twój „wspólnik”?

Uśmiech Ledforda nieco przygaś.

- Powiniennem się domyślić, że zgadniesz, iż nie jesteśmy co do tego zgodni. Nie, on chciałby, żebyś do nas dołączył. Uważa cię za cenną zdobycz. - Zniżył głos do jedwabistego szeptu: - Ale ja uważam ten pomysł za absolutnie nie do przyjęcia. Nigdy już nie chcę być na drugim planie.

- Nie? - odparował Alex. - Jaka szkoda. Tak świetnie go wypełniałeś.

- Niczego nie rozumiesz. Kiedy odszedłeś z firmy, wszystko, nad czym pracowałem przez piętnaście lat, zaczęło się nagle walić. Po dwóch latach miałbym szansę objąć stanowisko McMillana i dostać się na sam wierzchołek, gdzie jest moje miejsce. - Na policzki Ledforda wystąpił rumieniec. - Wcale stamtąd nie odszedłem. Zostałem wyrzucony, bo nie byłem wystarczająco przenikliwy, żeby się zorientować, że namierzyłeś McMillana. Najpierw wpadłem w szal. Chciałem pozbawić cię wszystkiego, tak jak ty pozbawiłeś wszystkiego mnie. Poczytuję za triumf samodyscypliny to, że udało mi się opanować gniew i ignorować cię przez te wszystkie lata. - Ledford popatrzył na Alexa spod zmrużonych powiek. - Nigdy nie rozumiałeś, dlaczego tak pasjonował mnie Tańczący na Wietrze, prawda?

- To wspaniałe dzieło sztuki.

- I symbol władzy. Od chwili, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, wiedziałem, że zawsze będzie dla mnie drogowskazem ukazującym, czym mogę być.

- Złudne marzenia o sławie?

- Wcale nie złudne. Realne. Zdobyłeś wszystko, co chciałeś. Pieniądze, bezpieczeństwo, kobiety. Po co pakować się w coś, co nie przyniesie ci żadnego zysku?

- To interesująca sprawa. Powinieneś chyba wiedzieć, że nie potrafię się oprzeć chęci rozwiązywania różnych zagadek.

Zdarzyło się nawet, że udało ci się wykorzystać tę moją słabość. - Czemu uparłem się, żeby drażnić Ledforda, zastanawiał się Alex. Myślał, że uczucie niechęci i żal z powodu straty złudzeń co do Ledforda należą już do przeszłości, tymczasem irytowanie tego człowieka sprawiało mu niezdrową przyjemność. - A poza tym na szczycie góry człowiekowi robi się czasem nudno.

Ledford skinął głową, natychmiast zrozumiawszy, co Alex ma na myśli.

- Pamiętam, że nuda była zawsze twoim utrapieniem. Nuda i ciekawość. Naprawdę powinieneś pamiętać, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. - Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. - No dobra, muszę już lecieć. Miło było cię zobaczyć i powspominać stare dzieje.

Alex zeszytniał, w najwyższym stopniu zdumiony pośpiechem Ledforda.

- Wyjeżdżasz?

- Kierowca i dwóch moich ludzi czekają w pokoju gościnnym. Muszę dojechać na lotnisko, póki pogoda jest możliwa. - Ledford sięgnął po płaszcz. - Wiedziałem, że to na nic. Nie jesteś człowiekiem, którego można pokonać słowami, a ja jestem bardzo zajęty.

- Jakaś druga *Mona Lisa* do ukradzenia?

- Obaj dobrze wiemy, że istnieje tylko jedna *Mona Lisa* - odparł Ledford, wciągając rękawiczki. - Tak jak istnieje tylko jeden Alex Karazov.

Alex żartobliwie odchylił głowę.

- Czekam na cios.

- Nie będzie żadnego ciosu. Jak już mówiłem, mam w stosunku do ciebie bardzo mieszane uczucia. - Ledford zgiął palce; miękkość rękawiczek najwyraźniej sprawiała mu przyjemność. - Ale nie mam ochoty współzawodniczyć z tobą na moim polu, więc po prostu chcę cię zniechęcić do przyjmowania ewentualnych propozycji.

- To znaczy?

- Wolę mieć w tobie wroga niż współpracownika. Oczywiście wiem, że w tej chwili jesteś nietykalny. Byłeś bardzo sprytny zmuszając CIA i KGB do wejścia w zwarcie. Ostatnią rzeczą, której byśmy sobie życzyli, byłoby wciągnięcie ich w nasze plany. - Szeroki uśmiech Ledforda zdawał się emanować

wać życzliwością, gdy po chwili dodał: - A swoją drogą, czy wiesz, że ta rozkoszna włoska modelka, z którą się lubisz zabawiać, jest agentką KGB?

- Podejrzałem to, ale nie byłem pewny, czy jest od nich, czy z CIA - wyznał spokojnie Alex. - Zresztą powiązania Angeli nie mają żadnego wpływu na naszą znajomość.

Ledford pokiwał głową.

- Zawsze byłeś cyniczny, jeśli chodzi o kobiety. I ja wiedziałem, że jesteś zbyt rozsądny, by związać się z najzręczniejszą nawet dziwką, którą mogą ci podstawić. - Uniósłszy kaszmirowy szal, ruszył do drzwi. - A jednak istniała niewielka możliwość, że trochę ci na niej zależy. Może powinieneś do niej zadzwonić?

Alex znieruchomiał.

- To ma być groźba?

- Tylko sugestia. - Wpatrzył się w Alexa. - Wciąż trudno jest ci postrzegać mnie takim, jaki jestem. Pamiętasz mnie jedynie jako człowieka, którego znałeś przed pięcioma laty. Powiedziałem ci, że odbyłem już staż i zapewniam cię, że nie wahać się wykorzystywać nabytych umiejętności. Czasami nawet mi się to podoba. Bywaj, Alex. Dziękuję za miłą pogawędkę. Mam nadzieję, że nie zostanę przez ciebie powtórnie zmuszony do odwiedzin.

Patrząc, jak za Ledfordem zamykają się drzwi, Alex poczuł zimne ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Ostatnie słowa Ledforda były pogroźką, nie przypadkiem też napomknął o Angeli. Pavel miał rację - nie docenił Ledforda.

Boże, mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno!

Błyskawicznie dopadł biurka, uniósł słuchawkę i wybrał numer Angeli di Marco w jej rzymskim mieszkaniu.

Nikt się nie zgłaszał.

Słuchał sygnału z rosnącym niepokojem. Tłumaczył sobie, że nie musiało się nic zdarzyć, że po prostu jest północ i Angela może spędzać noc poza domem albo zabawia się z jednym z wielu swoich gości i nie ma ochoty odbierać telefonu.

- Halo - odezwała się w końcu mocno zniecierpliwionym tonem.

Poczuł ogromną ulgę.

- Angela, nie ruszaj się z mieszkania. Zarygluj drzwi. Jeśli ktoś jest u ciebie, pozbadź się go.

- Alex, co się...

- Nie spieraj się ze mną. Po prostu rób, co mówię. - Westchnął głęboko. - Sądzę, że powinnaś zadzwonić do swojego łącznika z KGB i poprosić, żeby przydzielono ci zadanie gdzieś poza Europą. Tutaj nie jesteś teraz bezpieczna.

Zaniemówiła na dobrą chwilę.

- A więc wiesz? To nie miało wpływu na naszą znajomość, Alex. Naprawdę bardzo cię lubię.

- Wiem, że nie miało.

Odłożył słuchawkę. Ulgę szybko zastąpiło poczucie winy i niesmaku. Szukał rozrywki, bawił się swoją przeklętą łami-główką, prowokując Ledforda, by pokonać nudę. Tymczasem gra zrobiła się śmiertelnie poważna. Angela mogła stracić życie, by Ledford zyskał pewność, że Alex rzeczywiście odrzuci każdą propozycję pracy dla „wspólnika”. Nie docenił Ledforda, który w dodatku nie jego zamierzał za to ukarać.

Lecz Angeli nic się nie stało. Dlaczego?

Alex zamknął oczy, starając się znaleźć logiczną odpowiedź.

Dlatego, iż Ledford wiedział, że jej śmierć nie dotknęłaby Alexa do żywego.

Po cóż jednak miotać puste groźby? Dlaczego chciał mieć pewność, że Alex natychmiast zadzwoni do Rzymu?

„Kierowca i dwóch moich ludzi czekają w pokoju gościnnym.”

Co robili ludzie Ledforda w czasie, gdy rozmawiał w gabinecie z Alexem? Czemu Ledford chciał być pewny, że Alex zostanie jeszcze jakiś czas w gabinecie i da mu szansę wyjścia z domu?

Poczuł nagle potworne ściskanie w żołądku.

Kto był jedyną osobą na świecie, na której mu zależało?

Angela miała tylko odwrócić jego uwagę...

- Chryste! - Oczy Alexa rozszerzyły się z przerażenia. - Pavel! - Rzucił się do drzwi. - Pavel! Gdzie ty...

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był niebieski kaszmirowy szal zaciśnięty wokół szyi przyjaciela.

Pavel został przywiązany do wyściełanego białym zamszem fotela stojącego na wprost wejścia do gabinetu. W ustach miał skórzany knebel. Czarne wytrzeszczone oczy i grube rysy zastygły w agonialnym skurczu.

Odcięto mu genitalia... po czym rozpłatanego go od brzucha aż po mostek nożem rzeźnickim, który wciąż tkwił w jego piersi.

2

Ktoś chce się z tobą widzieć, Caitlin. - Jacques przyklęknął obok, podtrzymując krzew różany, podczas gdy Caitlin delikatnie uklepywała ziemię wokół korzeni. - Czekaj na wzgórzu.

Caitlin znieruchomiała, czując, jak sztywnieją jej mięśnie ramion.

- Ktoś z banku?

- Nie wydaje mi się. Nie wygląda... - Jacques urwał i wrzucił ramionami. - Nie wiem, jak go opisać. Nie pasuje do schematów.

Caitlin spojrzała na wzgórze, gdzie na tle zachodzącego słońca rysowała się ciemna sylwetka mężczyzny.

- Pewnie sprzedaje nawozy. - Uniósłszy rękę, otarła spoczone czoło rękawem niebieskiej bawełnianej bluzy. - Możesz go spławić?

Jacques pokręcił głową.

- Próbowałem, ale się nie dał. - Zachichotał. - I wątpię, żeby woził nawóz w tym Lamborghini, które zaparkował przed domem.

- Psiakość, na pewno z banku.

- Jeśli tak, to już kontrolerzy z pewnością mają go na oku - stwierdził sucho Jacques. - Idź i dowiedz się, czego chce. Ja cię zastąpię. Tak czy owak, przyda ci się przerwa.

- Tobie też. - Caitlin wstała i z trudem rozprostowała plecy. *Merde*, była zmęczona. Zaczęła pracę przed świtem, a zostały jej jeszcze dwa rzędy. - Zaraz wrócę.

- Zaraz będzie ciemno. Idź już do domu, resztę posadzimy jutro.

Caitlin pokręciła głową, wycierając ręce o spodnie.

- Jutro mamy zbyt wiele do zrobienia. Skończymy zbierać rozmaryn na północnym polu i będziemy musieli zacząć zbierać lawendę. Muszę to dzisiaj skończyć - Przeszła wzdłuż rzędu świeżo posadzonych krzewów różanych, ze wzrokiem utkwionym w obserwującego ich ze szczytu wzgórza człowieka. - Jak się przedstawił?

- Alex Karazov.

Zmarszczyła czoło.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek słyszała to nazwisko. Nigdy go nie spotkałam.

- Gdybyś go spotkała, na pewno byś zapamiętała.

Zobaczywszy Alexa Karazova, natychmiast zrozumiała, co Jacques miał na myśli. Alex był niezwykle przystojnym mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat. Szczupła wysportowana sylwetka zdradzała zrećność i siłę. Jego twarz pokrywała opalenizna charakterystyczna dla człowieka, który wiele godzin spędził na trasach narciarskich w St. Moritz lub na plażach Antibes. Patrząc na zbliżającą się Caitlin, uśmiechnął się szeroko. Zorientowała się nagle, że widzi młodszą kopię swego ojca. Ciemne włosy ojca były już przyprószone siwizną, lecz miały ten sam połysk; jego uśmiech był równie urokliwy; ubierał się z tą samą niewymuszoną elegancją. Dopiero gdy dokładniej przyjrzała się Karazowowi, spostrzegła niezwykle inteligencję w jego stalowoniebieskich oczach, a także zuchwałość i pewność siebie emanujące z jego twarzy. Dlaczego nie miałyby być pewny siebie? - pomyślała ze smutkiem. Jego sportowa marynarka zapewne kosztowała więcej niż cała jej garderoba.

Caitlin podświadomie czuła, że Alex jest inny niż jej ojciec. Denis Reardon nie był zdolny do głębszych refleksji, wszystko było na powierzchni, by otoczenie miało co podziwiać. Tymczasem czuła, że za uprzejmym uśmiechem Karazova wiele się kryje. Przypominał jej piękny kwiat jaśminu w pierwszej fazie kwitnienia, wciąż jeszcze stulony, tajemniczy, pełen obietnic. Ta myśl wywołała uśmiech. Z pewnością ktoś tak zuchwale męski jak Karazov poczułby się wręcz urażony porównaniem do kwiatu.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, gdy zatrzymała się przed nieznanym.

- Jestem Caitlin Vasaro, *monsieur* Karazov. - Zaczęła wy-

ciągać do niego rękę na powitanie, lecz skrzywiła się pociesznie zauważywszy, że ma dłonie pobrudzone ziemią. - Proszę wybaczyć, że nie podam panu ręki. Pracowałam cały dzień w polu i ręce mam nie najczystsze. Chciał pan ze mną rozmawiać?

Nie odpowiedział, uważnie wpatrując się w jej twarz.

- Czy pani co dzień pracuje w polu jak pospolita wyrobni-
ca?

- Wyrobnicy z Vasaro nie są wcale pospolici, *monsieur* Karazov. To dobrzy ludzie, uczciwie wykonujący szlachetną pracę. - Ich spojrzenia spotkały się. - A ja, owszem, często pracuję w polu.

- Nie miałem zamiaru nikogo urazić. Po prostu byłem ciekaw. Obawiam się, że jestem zbyt ciekawski. - Objął wzrokiem pola u stóp wzgórza. - Co pani tam robiła?

Mówił po francusku płynnie, z lekkim amerykańskim akcentem. Przeszła na angielski.

- Sadziłam róże. W zeszłym miesiącu burza zniszczyła połowę krzewów i musimy sadzić nowe.

- Czy róż nie powinno się sadzić wiosną?

Nie był ani Anglikiem, ani Amerykaninem, chociaż po angielsku wypowiadał się z większą swobodą niż po francusku.

- W styczniu albo w listopadzie. Ale tutaj pogoda przez większą część roku jest niemal idealna, więc możemy sadzić...

- Urwała, po czym niecierpliwym tonem podjęła: - Z pewnością Vasaro nie interesuje pana ze względu na zbiory. W czym mogę panu pomóc?

- Chodzi raczej o to, jak możemy pomóc sobie nawzajem. Poza tym myli się pani. Bardzo interesuje mnie wszystko, co dotyczy Vasaro. Mam zamiar zainwestować sporą sumkę w jeden z tutejszych produktów.

Zesztywniała.

- Nie rozumiem?

- To bardzo proste. Mam pieniądze i chcę je zainwestować, a pani ma projekt, który wymaga kapitału.

Podejrzliwie uniosła brwi.

- Jaki projekt ma pan na myśli?

- Perfumy. O ile mi wiadomo, ubiegała się pani o pożyczkę w kilku bankach w Cannes, chcąc wprowadzić na rynek nowe perfumy.

- Wszędzie spotkałam się z odmową.
- Dobrze pani wie, że promocja perfum to ryzykowne przedsięwzięcie.

- A pan ma pojęcie o przemyśle perfumeryjnym?
- Wiem coś niecoś na ten temat. W ubiegłym tygodniu objechałam kilka domów firmowych w Paryżu, a wcześniej spędziłam dwa dni w agencji reklamowej, która prowadziła kampanię „Obsession”. Poza tym odwiedziłam pani sąsiadów z południa, którzy uprawiają róże i jaśmin dla „Chanel No. 5”. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to nie wystarczy, by zrobić ze mnie eksperta. Ale uczę się szybko i jestem przyzwyczajony do rozważania różnych wariantów. Kiedyś nawet zajmowałam się tym zawodowo.

- Jako makler giełdowy?
- Czasami grałam na giełdzie. - Uniósł brwi. - Myślałam, że okaże pani większy entuzjazm.

W oszołomieniu pokręciła głową.

- Czuję się jak uderzona obuchem. Nie mogę zebrać myśli... Coś wydaje mi się tu nie w porządku. Mężczyźni w Lamborghini nie zatrzymują się ot tak, na polnej drodze, i nie proponują... a co właściwie pan proponuje?

- Zamierza pani wprowadzić skomponowane przez siebie perfumy na rynek. Próbowала pani pożyczyć na ten cel czterysta tysięcy dolarów. - Pokręcił głową. - Swoją drogą, to niewystarczająca suma.

- Myśli pan, że nie wiem? Chciałam wystartować powoli, a później, kiedy sprawa chwyci, wykazać się rachunkami i przekonać bank, żeby udzielił mi większej pożyczki. Zdawałam sobie sprawę, że czterysta tysięcy to maksimum tego, co mogłam pożyczyć, mając takie a nie inne zabezpieczenie. Skoro jest pan tak zaprzyjaźniony z moim bankiem, musi pan wiedzieć również, że Vasaro jest obciążone długiem hipotecznym.

- Pani bank i inne banki w Cannes zachowują całkowitą dyskrecję. Moje informacje pochodzą od innych informatörów, którzy powiedzieli mi również, że zalega pani ze spłatami długu. - Uśmiechnął się szeroko. - Brzmi to trochę jak w starym melodramacie, nie sądzi pani?

- Obawiam się, że nie dostrzegam w tym elementów rozrywkowych. - Caitlin żałowała, że jest tak potwornie zmęczona.

Musiała teraz myśleć jasno i trzeźwo. - Czy postrzega pan siebie w roli czarnego charakteru?

- Nie chce mi się wierzyć, żeby ktokolwiek mógł uważać się za prawdziwie czarny charakter. - Przeniósł wzrok na pracującego w polu Jacquesa, po czym ponownie spojrzął na Caitlin. - I wcale nie liczę na to, że natychmiast przystanie pani na moje warunki. Byłoby to nierozsądne z mojej strony, zważywszy, że jest pani kobietą interesu.

- Bardzo nierozsądne.

- Czemuż jednak nie miałbym powiedzieć pani, co mogę zaoferować i co spodziewam się otrzymać w zamian? Mógłbym sfinansować wprowadzenie na rynek pani nowych perfum. W zamian za to zezwoliłaby mi pani na kontrolę wszystkich aspektów tego przedsięwzięcia przez pierwszy rok. Poza tym przez pierwsze pięć lat produkcji otrzymywałbym dwadzieścia pięć procent zysku ze sprzedaży perfum. Zgadza się pani?

- Nie. - Poczowała się, jakby ktoś uderzył ją w klatkę piersiową i pozbawił tchu. - Muszę to przemyśleć. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Coś tu musi być nie tak.

- Co może być nie tak? Nie proszę pani o nic prócz części tego, co moje pieniądze zarobią na nas oboje. Czy chce pani darowanemu koniowi zaglądać w zęby?

Szybko chwyciła się jedyne go wniosku, który wydał się jej prawdopodobny.

- Jest pan nieznanym, który dokładnie zna stan moich interesów. To mnie przeraża, *monsieur*. Mogę się jedynie domyślać, że jest pan zaangażowany w jakieś nielegalne interesy. Narkotyki? Próbuje pan prac brudne pieniądze...

Wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Są lepsze sposoby prania brudnych pieniędzy niż inwestowanie ich w ryzykowny interes wprowadzania perfum na rynek. Lepsze i bezpieczniejsze.

- Wydaje się pan doskonale je znać.

- Moje pieniądze nie pochodzą z handlu narkotykami. Jestem autorem powieści sensacyjnych. - Wyciągnął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. - Pieniądze na promocję perfum będą pochodziły z mojego konta w banku w Genewie. - Wyciągnął złote pióro Mont Blanc i napisał coś na wizytówce. - Proszę zadzwonić pod ten numer i poprosić *monsieur*

Ganolda. To wicedyrektor banku. On potwierdzi, że mam u nich konto, zaświadczy również, że pieniądze zostały nań przelane bezpośrednio od mojego wydawcy w Nowym Jorku.

Drżącą ręką sięgnęła po wizytówkę. Nie potrafiła opanować podekscytowania. Może ten człowiek rzeczywiście jest uczciwym inwestorem? Nie, nie może sobie pozwolić na przedwczesne rozbudzanie nadziei. Nie znała tego mężczyzny; niejasne były też motywy, jakimi się kierował. Może krył się za tym jakiś brzydki kawał? *Merde*, a ona zapewne zbyt chętnie z nim rozmawia. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

- Dwadzieścia pięć procent to za dużo.

- Może pani przyjąć lub odrzucić moją ofertę. Lepsze siedemdziesiąt pięć procent udziału w udanym przedsięwzięciu niż sto procent w niczym. Jeśli nie przyjmie pani mojej propozycji, może pani stracić Vasaro i wszelkie szanse wprowadzenia perfum na rynek. - Umilkł na chwilę. - Przypuśćmy, że na osłodę zaproponowałbym pani dwieście tysięcy dolarów w formie pożyczki. Nie jest to, co prawda, suma wystarczająca do spłacenia całego długu, ale powstrzyma bank od niepokojenia pani do czasu, kiedy zaczną napływać pieniądze ze sprzedaży perfum.

Vasaro bezpieczne i znowu należące do niej. Na tę myśl poczuła kolejny przypływ emocji.

- Mówi pan serio? - wyszeptała.

Skinął głową, patrząc jej prosto w oczy.

- Proszę zatelefonować do banku i mnie sprawdzić. Potem możemy wrócić do rozmowy.

- Zaraz to zrobię. - Serce waliło jej w piersiach tak mocno, że z trudem wypowiadała słowa. - Zechce pan wejść do domu i poznać moją matkę? To ona jest prawowitą właścicielką Vasaro i ona będzie musiała ewentualnie podpisać wszystkie dokumenty.

- Mówiono mi o tym. Ale to pani zarządza majątkiem?

Caitlin skinęła głową.

- Mama nie interesuje się pracą na polach. Zapraszam do domu - zachęciła, kierując się szybko w stronę piętrowego kamiennego dworu znajdującego się kilkaset metrów od nich. - Myślę - dodała - że mama nie będzie zgłaszać sprzeciwu, o ile uzna, że pańska propozycja jest korzystna dla Vasaro. -

Czy nie potraktowała go zbyt oschle? Boże, a jeśli miał dobre zamiary... i zmienił zdanie? Być tak blisko szansy na uratowanie Vasaro i stracić ją? Nie zniosłaby tego. - Kiedy mama dorastała, świat był inny. Teraz bardzo się zmienił. Ona tego wszystkiego nie rozumie... ale bardzo mi pomaga. - Wspięła się na trzy kamienne stopnie i otworzyła podwójne mahoniowe drzwi. - Zapewniam pana, że nie będzie żadnych trud... - Znowu powróciły wątpliwości, odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w oczy. - Dlaczego pan to robi? - rzuciła impulsywnie. - Zdaję sobie sprawę, że to nieładne podejrzewać pana o zajmowanie się nielegalną...

- Bardzo nieładne. - W kącikach warg błąkał mu się uśmiezek. - To pewnie przez to Lamborghini.

Najwyraźniej śmiał się z niej, co zresztą jej nie przeszkadzało. Grunt, że go nie rozzłościła. Nie mogła ryzykować, że zrazi go do przedsięwzięcia, dopóki istniała najmniejsza choćby szansa, że można uratować Vasaro.

- Dlaczego chce pan zainwestować w perfumy? I czemu zadał pan sobie tyle trudu, żeby zdobyć wiadomości na temat Vasaro?

Zawahał się; w wyrazie jego twarzy pojawiła się ostrożność, lecz po chwili znów się uśmiechnął.

- Nie pytałem konkretnie o Vasaro. Z początku nawet nie myślałem o inwestowaniu. Zdobywałem tylko wiadomości, gdyż zamierzam napisać książkę, której akcja osadzona jest w podobnej miejscowości. Lecz im więcej dowiadywałem się na temat przemysłu perfumeryjnego, tym większe odkrywałem możliwości. Zyski płynące z perfum, które odniosą sukces na rynku, są wprost astronomiczne.

- Najpierw jednak trzeba odnieść ten sukces.

Skinął głową.

- Jak pani myśli, dlaczego się tu pojawiłem? Doszły mnie słuchy, że pani perfumy - a także długi - zrobiły duże wrażenie na niektórych ludziach z branży. Ma pani najżyźniejsze ziemie w całej Prowansji i stoi pani na krawędzi bankructwa. Sugerowano mi nawet przejęcie majątku, lecz nie mam czasu ani upodobania do tego typu przedsięwzięć. Jestem pisarzem, a nie farmerem. - Umilkł na chwilę. - Proszę mi wierzyć, nie jestem zainteresowany zyskiem innym niż zysk ze sprzedaży pani perfum. Chyba nie ma niczego podejrzanego w tym, że

chcę zdobyć pieniądze i prowadzić obserwacje potrzebne mi do pracy nad książką?

- Nie. - Poczowała się nieco uspokojona. Jego wyjaśnienia wydawały się wiarygodne. - Ale musi pan wiedzieć, że nie istnieje miejscowość podobna do Vasaro. Vasaro jest jedyne w swoim rodzaju. - To, co powiedział, brzmiało logicznie, a jednak wciąż dręczyły ją pewne wątpliwości. - Ma pan dziwny akcent. Czy jest pan Amerykaninem?

Skinał głową.

- Jestem obywatelem amerykańskim, ale wychowałem się w Rumunii. Mój ojciec był Rosjaninem, a matka - Rumunką. Teraz mieszkam w Szwajcarii.

- Powiedział pan, że jakie książki pisze?

- Powieści sensacyjne. Mój pseudonim literacki to Alex Kalan.

Pokręciła głową.

- Nigdy o panu nie słyszałam.

- Szkoda, bo jestem świetnym pisarzem.

- Nie zostaje mi zbyt wiele czasu na czytanie książek.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem. Jest pani zbyt zajęta sadzeniem róż. - Wszedł za nią do wyłożonego kamiennymi płytami westybulu. - Na szczęście istnieje na świecie niewielka grupa czytelników, którzy nie są tak zajęci. - Z zaciekawieniem rozglądał się po przestronnym holu, zatrzymując wzrok na wszystkich znajdujących się tam przedmiotach, od żyrandola z miedzi po mały pejzaż na białej pokrytej stiukiem ścianie. - To jest piękne. - Przeszedł przez hol, by dotknąć lśniącej dębowej poręczy schodów prowadzących na piętro. - I bardzo stare. Początek szesnastego wieku?

- Budowę dworu ukończono w tysiąc pięćset dziewiątym roku. - Pełen dumy uśmiech rozjaśnił twarz Caitlin. - Potem dobudowano jeszcze okoliczne budynki, ale wszystkie przed tysiąc osiemset piętnastym. Wiele mebli w tym domu ma ponad trzysta lat. - Podniósłszy głos, zawołała: - Mamo!

- Jestem tutaj, Caitlin. - Lekki, pogodny głos Katrine dobiegł z salonu po prawej stronie holu. - Cieszę się, że zdecydowałaś się tak wcześnie skończyć pracę. Nie ma sensu... - Katrine urwała, dostrzegłszy Alexa Karazova. Jej twarz rozjaśniła się. - Mamy gościa?

Mogę teraz bezpiecznie zostawić Karazova w towarzystwie mamy, która z radością zabawi go rozmową, gdy pójdę zatelefonować, pomyślała z ulgą Caitlin. Nikt nie potrafił być bardziej czarującą gospodynią niż Katrine.

- Pozwól, mamó, że przedstawię ci *monsieur* Karazova. *Monsieur* Karazov jest pisarzem i chce zainwestować w Vasaro.

- Naprawdę? - Katrine uśmiechnęła się promiennie. - To cudownie. Caitlin jest z tego na pewno bardzo zadowolona. Ostatnio za bardzo martwiła się o pieniądze. Zawsze mówię jej, że wszystko...

- Czy mogłabyś, mamó, poczęstować *monsieur* Karazova winem, a ja załatwię rozmowę telefoniczną? - zapytała szybko Caitlin, nerwowo obracając w dłoni wizytówkę. - Zaraz wrócę.

- Nie musi się pani spieszyć. - Alex z promiennym uśmiechem zwrócił się do matki. - Miło mi panią poznać, *madame* Vasaro.

Był pełen tak ujmującego wdzięku, że matka wydawała się topnieć pod jego spojrzeniem. Katrine była niezwykle wrażliwa na urok mężczyzn w każdym wieku.

Ujawszy dłoń matki, rzucił przez ramię:

- Jestem pewien, że pani mama i ja świetnie się dogadamy. Proszę śmiało pytać o wszystko, co budzi jakiegokolwiek pani wątpliwości. Prosiłem Ganolda, żeby był z panią absolutnie szczerzy.

- Zapytam o wszystko. - Musi być uczciwy, skoro jest taki szczerzy, pomyślała. - Nie dlatego, że panu nie ufam, ale...

- Proszę mi nie ufać. - Jego oczy błyszczały w przyćmionym świetle holu, a słowa wypowiedziane zostały z surową rzeczowością, zaskakującą wobec ciepłego tonu, którym przemawiał do Katrine. - Byłoby bardzo nierozsądne z pani strony zaufać komuś, kto zjawia się nie wiadomo skąd i proponuje pani rozwiązanie wszystkich pani problemów. Powinna pani być czujna. Jeśli przekona się pani, że ratowanie Vasaro leży w moim interesie, może mi pani zaufać. Jeśli nie, proszę mnie odprawić z kwitkiem.

- Jestem pewna, że *monsieur* Karazov nie mówi serio - wtrąciła Katrine, uśmiechając się niepewnie.

Tymczasem Caitlin była przekonana, że Alex po raz pierwszy mówi całkiem serio. Zadrżała, zmieszana, gdy ich spojrze-

nia się spotkały. Wyczuwała w nim ogromną siłę, której nie domyślała się wcześniej; intuicja podpowiadała jej, że w tej chwili ma przed sobą prawdziwego Alexa Karazova, nie zaś urokliwego mężczyznę, który przypominał jej ojca. Ten mężczyzna był zuchwały, inteligentny, bezlitosny... i uczciwy. Ta ostatnia cecha trochę ją uspokajała, podczas gdy pozostałe przyprawiały ją o wahanie. A swoją drogą skoro Karazov był uczciwy, jakie znaczenie mogło mieć to, że nie był pełen ciepła i łagodności? Czemu się nad tym zastanawiała? Przecież liczyło się tylko to, że może uratować Vasaro.

- Wypytam o wszystko, a jeśli nie uzyskam satysfakcjonujących mnie odpowiedzi, z pewnością zostanie pan odesłany. - Uśmiechnęła się chłodno. - Ale myślę, że możemy poczęstować pana szklaneczką wina w czasie, kiedy będę podejmowała decyzję. - Starając się nie zwracać uwagi na nagły błysk zainteresowania w jego oczach, zwróciła się do Katrine. - Mamo, poproś pana do salonu. Zaraz do państwa dołączę, *monsieur*.

Zamknawszy za sobą drzwi gabinetu, ciężko oparła się o wypolerowane drewno. Czuła słabość w kolanach i pustkę w głowie. *Mon Dieu*, bała się. Nie, nie boję się Alexa Karazova - pocieszała się w myślach. Bała się o Vasaro, obawiała się, że Alex może okazać się nie tym, za kogo się podawał, że szansa ocalenia Vasaro zniknie równie szybko jak się pojawiła.

Był tylko jeden sposób, by się uspokoić.

Oderwawszy się od drzwi, powoli skierowała się do telefonu stojącego na biurku w stylu Ludwika XIV.

Gdy dwadzieścia minut później Caitlin Vasaro weszła do salonu, jej twarz jaśniała podnieceniem.

Na jej widok Alex oniemiał z wrażenia czując, jak sztywnieją mu wszystkie mięśnie. Do diabła, nie spodziewał się czegoś podobnego. Kiedy po raz pierwszy ujrzał Caitlin kłęzącą w błocie w swoich przybrudzonych dżinsach i przepalonej bluzie, z ramionami pochylonymi ze zmęczenia, pomyślał, że jest przeciętna. Później, kiedy zobaczył z bliska jej delikatne rysy, skórę o brązowym odcieniu, zweryfikował nieco tę opinię i uznał, że jest całkiem niczego sobie. Teraz, kiedy jej twarz jaśniała ożywieniem, a szarozielone oczy błyszczały z emocji, wydała mu się niemal piękną.

Odstawił szklaneczkę na stolik i wstał.

- Domyślałem się, że jest pani zadowolona, iż nie okazałem się handlarzem narkotyków.

Żarliwie przytaknęła.

- *Monsieur* Ganold czytał nawet pańskie książki.

- To zrozumiałe. Ma doskonały gust. A jak pani myśli, czemu powierzyłem mu prowadzenie moich spraw?

- Powiedział, że napisał pan dwie świetne książki.

- Moją mocną stroną jest fabuła, gorzej idzie mi z rysunkiem postaci.

Roześmiała się.

- Niedawno mówił pan, że jest świetnym pisarzem.

- Tak, ale skoro teraz chwali mnie kto inny, mogę pozwolić sobie na szlachetną skromność.

Caitlin wykonała niecierpliwy gest ręką.

- Musimy porozmawiać o perfumach.

Uniósł brwi.

- Czy to znaczy, że ma pani zamiar przystać na moją propozycję?

- Oczywiście. Nie sądzi pan chyba, że jestem szalona?

- Jakże bym śmiał. - Przyjrzał się jej z namysłem. - Ale myślę, że może być pani jednym z tych rzadko dziś spotykanych stworzeń, które nie potrafią udawać.

- To źle?

- Nie. To po prostu zbija mnie z tropu.

Katrine uniosła szklaneczkę z winem.

- Caitlin zawsze była bardzo bezceremonialna. Wszyscy wiedzą, czego się po niej mogą spodziewać.

- Kiedy otrzymam pieniądze, żeby zapłacić bankowi? - zapytała Caitlin.

Matko Boska, ta kobieta była otwarta i bezbronna jak dziecko. Cała jej poprzednia ostrożność zniknęła i Alex poczuł trudną do wytłumaczenia irytację na myśl o tym, że Caitlin jest taka miękka.

- Jutro możemy pojechać do Cannes i przelać pieniądze na pani konto. Chciałbym jednak jeszcze dzisiaj załatwić niezbędne formalności. - Sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął z niej dokument. - Mam tu sporządzoną już umowę z warunkami, które przedstawiłem. Byłbym zobowiązany, gdyby złożyła pani swój podpis na wszystkich stro-

nach, *madame* Vasaro. Pierwsze cztery są moje, pozostałe należą do pań. - Położył umowę na stole i gestem ręki dał znak Caitlin, by usiadła na zwolnionym przez niego miejscu. - Dokument jest sformułowany bardzo jasno, ale z pewnością będzie pani chciała zapoznać się z jego treścią, zanim poradzi pani mamie, by go podpisała.

Caitlin spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

- Był pan aż taki pewny sukcesu?

- Lubię być przygotowany na wszystko. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie życzą sobie panie dopełnienia formalności jeszcze dzisiaj?

- Nie, nie widzę żadnych przeszkód. - Sięgnęła po umowę i zaczęła z uwagą ją czytać.

Przynajmniej nie poprosiła matki o podpisanie umowy przed zapoznaniem się z jej treścią, pomyślał Alex. Poszło mu zbyt łatwo. Była zbyt ufna.

- Wszystko wydaje się w porządku. - Caitlin uniosła wzrok znad papierów. - Jak pan sam powiedział, jest zwięzła i rzeczowa. - Podsunęła papiery Katrine. - Możesz podpisać, mamo.

Alex podał Katrine swoje złote pióro.

- W lewym dolnym rogu każdej strony.

Katrin skinęła głową i starannie złożyła podpis na każdej stronie.

- Teraz pani. - Alex przesunął dokumenty w stronę Caitlin.

- Tuż pod podpisem pani matki, tam gdzie jest miejsce na podpis świadka.

Caitlin zawahała się na chwilę, po czym szybko podpisała wszystkie strony.

- Proszę. - Odsunęła od siebie papiery z westchnieniem ulgi. - To chyba oznacza, że jesteśmy współnikami.

- Tak, jesteśmy współnikami. - Zebrał wszystkie egzemplarze umowy. - A teraz pozwoli pani, że powiem, czego nie wolno robić moim współnikom. - Podał cztery kopie Caitlin. - Moi współnicy nie składają podpisu nawet pod listą zakupów, zanim nie weźmie jej pod lupę ich adwokat. Nie pozwalają, by ktoś poganiał ich przy podejmowaniu decyzji. A przede wszystkim nie podejmują ważnych decyzji w interesach na podstawie rozmowy telefonicznej, która mogła zostać zaaranżowana przez pierwszego lepszego oszusta.

Uśmiech zniknął z twarzy Caitlin.

- A pan posłużył się podstępem?

- Nie, ale to nie znaczy... dlaczego, na litość boską, nie jest pani ostrożniejsza?

- Byłam w rozpaczy - odparła z prostotą. - Co by się stało, gdyby pan zmienił zdanie?

To wyznanie rozsierdziło go jeszcze bardziej.

- Nie powinna mi pani mówić, że jest w rozpaczy. Boże, niechże pani nie działa na własną niekorzyść!

- Przecież już podpisałam umowę. Teraz muszę panu ufać.

- Spojrzała mu w oczy. - A poza tym, przecież powiedział mi pan, że nie jest oszustem.

- A pani w to uwierzyła?

- Wierzę panu. Dobrze znam się na ludziach. Musiałam nauczyć się rozpoznawać ludzkie charaktery, kiedy przed czterema laty zaczęłam zarządzać Vasaro. - Przyglądała mu się badawczo. - I myślę, że jest pan twardym człowiekiem, ale nie oszustem.

- Oczywiście, że pan nie jest oszustem, Caitlin. - W głosie Katrine dało się wyczuć wzburzenie. - Dziwi mnie twoje zachowanie. Przecież od razu widać, że *monsieur* Karazov jest dżentelmenem w każdym calu.

Alex skłonił się z afektacją.

- Jestem głęboko wdzięczny za okazane mi zaufanie.

- Wcale nie jestem taka ufna - stwierdziła poważnie Caitlin. - Jestem przerażona, rozgorączkowana i nie do końca pewna, czego pan od nas oczekuje.

- Moje oczekiwania są wymienione w umowie. Trudno wyrazić je jaśniej.

Skrzywiła się.

- Mogę być zdesperowana, ale to nie znaczy, że jestem głupia. Wątpię, czy kiedykolwiek zrobił pan coś, co można by uznać za proste lub jasne.

- Rozczarowuje mnie pani. I to wszystko słyszę po zapewnieniu mnie o zaufaniu z pani strony.

- Powiedziałam tylko, że nie sądzę, by pan był oszustem. Co nie przeszkadza, że nigdy nie dopuszcza pan do tego, by ktokolwiek wiedział, co pan myśli czy jakie pobudki panem kierują. Zdaję sobie sprawę, że uważa pan, iż podpisanie przeze mnie tej umowy było lekkomyślnością z mojej strony.

- Wzruszyła ramionami. - Znam się na hodowli kwiatów i uwielbiam komponować perfumy, ale buchalteria i rozliczenia doprowadzają mnie do szału.

- W takim razie powinna była pani zatrudnić księgowego.

Jej policzki zabarwił lekki rumieniec, gdy wyprostowała się w nagłym przypływie śmiałości.

- W porządku, chce pan znać prawdę? Ta strona działalności w Vasaro może mi się nie podobać, ale kiedy trzeba, potrafię być zręczną kobietą interesu. Dobrze wiem, że ważność umowy może zostać zakwestionowana w sądzie, i myślę, że pan też o tym wie - mówiła dobitnie. - I zapewne wie pan także, iż francuskie sądy są bardzo przychylnie usposobione do bezbronnych samotnych kobiet wykorzystywanych przez zagranicznych inwestorów. Pomyślałam więc, że nic nam nie grozi. Jutro rano mój adwokat zapozna się z umową. Jeśli dostrzeże jakieś niedoskonałości, załączymy poprawki. Jeśli pan się na nie nie zgodzi, rozstrzygniemy sprawę w sądzie.

Jego spojrzenie stało się raptem czujne.

- Czemu podpisała pani umowę, choć obawiała się pani, że może być nieważna?

- Z tego samego powodu, z jakiego pan od razu ją przygotował. Większość ludzi woli unikać rozstrzygania spraw na sali sądowej. Podpisanie przeze mnie umowy sprawiło, że obu stronom trudno teraz się wycofać. Będąc w gabinecie odbyłam rozmowę telefoniczną nie tylko z monsieur Ganoldem. Zadzwońłam również do Henri Le Fabre'a, pracownika kasy pożyczkowej w moim banku w Cannes i poprosiłam go o sprawdzenie, czy podany przez pana numer telefonu rzeczywiście należy do banku w Genewie i czy *monsieur* Ganold pracuje w tym banku. - Spojrzawszy mu w oczy, dorzuciła gniewnie: -I nie obchodzi mnie, jakie zyski spodziewa się pan osiągnąć z tego interesu, skoro da mi pan pieniądze, by uratować Vasaro. Udało mi się ochronić Vasaro przed tyloma zagrożeniami, że ochronię je także i przed panem. Cieszę się, że nalegał pan na szybkie podpisanie umowy, ponieważ jest pan teraz związany z Vasaro w nie mniejszym stopniu niż my z panem.

Powróciła jej pewność siebie, zniknął dotychczasowy chłód, ton zdradzał wielkie natężenie emocji. Jeszcze przed chwilą wydawała mu się naiwna i niepewna; teraz wprost kipiała energią.

Przyglądał jej się przez dobrą chwilę, po czym odrzucił głowę do tyłu i zaczął się serdecznie śmiać.

- Mój Boże, a ja myślałem, że jest pani potulną owieczką. Próbowała mnie pani złapać w sidła.

- Nie pozwoliłam tylko, żeby pan mnie w nie schwytał. Miał pan rację, nie cierpię udawania. Ale muszę robić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc Vasaro. - Odwróciła się w stronę Katrine, która przyglądała jej się z obawą. - Mam nadzieję, że *monsieur* Karazov zje z nami kolację. Czy Sophie przygotuje nam jakiś posiłek?

- Oczywiście, że nie. Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby jej na to pozwolić - zaprotestowała energicznie Katrine. - Sama się wszystkim zajmę. Taka niezwykła okazja...

- Moja mama jest mistrzynią kuchni, *monsieur* Karazov. Czeka pana prawdziwa uczta. Nie sądzisz, że powinnaś już zacząć przygotowania, mamo?

- Och, tak, oczywiście.

- Jest bardzo posłuszna - stwierdził Alex, gdy Katrine wyszła z salonu. - To musi ułatwiać pani wiele spraw.

- Czasami - odparła, chwilowo nieobecna myślami, po czym, zorientowawszy się, co miał na myśli, dodała jakby w swojej obronie: - To nie znaczy, że nią manipuluję. Nie rozumie pan. Moja matka lubi, żeby wszystko było jasne i proste. Nie ma ochoty martwić się o... - Urwała. - Chyba po prostu podjęłam się zbyt wielu obowiązków. Zostanie pan na kolacji?

- Z przyjemnością.

- Gdzie się pan zatrzymał? W Cannes?

Przytaknął.

- W hotelu?

- Majestic.

- Możemy dać panu pokój, jeśli naprawdę ma pan zamiar uczynić z Vasaro miejsce akcji przyszłej powieści.

- To bardzo uprzejme z pani strony.

- Podpisałam umowę. Staram się trzymać nie tylko litery, ale i ducha.

- W dzisiejszych czasach niewiele osób w ten sposób pojmuje wspólne interesy. Obawiam się, że „duch” zaginął gdzieś po drodze.

- Ale nie w Vasaro. Chciałby pan się tu zatrzymać?

Skinał głową.

- Chwilowo. Myślę, że będzie to wygodniejsze, skoro musimy opracować plan.

- Plan?

- Plan promocji perfum. Proszę mi powiedzieć, czy ten specyfik ma już nazwę?

- „Vasaro”.

- Od nazwy posiadłości? Perfumom zazwyczaj nadaje się nazwy brzmiące bardziej egzotycznie.

- To moje perfumy, należą do Vasaro. - Jej twarz ożywiła się nagle. - Rozumie pan? Vasaro ma już wiele perfum na rynku, ale nie pod swoją nazwą. Pracowałam nad kompozycją tych perfum przez cztery lata i chcę, żeby ich nazwa coś dla mnie znaczyła. - Spojrzała na Alexa z obawą. - Chce pan, żebym zmieniła nazwę?

- Nazwa mnie nie interesuje. Skoro odniosły sukces perfumy „Poison”, nie widzę żadnego problemu z nazwą „Vasaro”.

- Dziwny z pana człowiek. Wsuwa pan propozycję i chce uzyskać od nas to, co pana interesuje, a potem jest pan zły, że na to pozwalam.

- Nie jestem zły. Po prostu nie rozumiem... - Nie mówił prawdy. Był zły i czuł się dziwnie zakłopotany od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Otwartość i szczerość tej kobiety wzbudziła w nim potrzebę otoczenia jej opieką. Bardzo dziwne, pomyślał cynicznie. Od lat chłopięcych spędzonych w Bukareszcie nie czuł w stosunku do kobiet żadnej potrzeby prócz chęci zaspokojenia najbardziej pierwotnej żądzy, a już z pewnością teraz nie powinien ulegać żadnym subtelniejszym emocjom. - Ja też nie wiem, dlaczego tak reaguję. Wydaje się, że doskonale potrafi pani sama o wszystko zadbać.

- Perfumy są moje i mam prawo ryzykować, dopóki nie zagraża to Vasaro. - Spojrzała nań wyzywająco. - Ale powinien pan sobie zdawać sprawę, że wiem, iż istnieje element ryzyka.

Nie, nie udawała przed sobą, że nie grożą jej oszustwa i straty. Godziła się z możliwością, a nawet dużym prawdopodobieństwem tego, że on stanowi dla niej zagrożenie, lecz starała się stawić temu czoło ze względu na swoje ukochane Vasaro. Dobry Boże, kiedyż to ostatnio czuł tak głębokie oddanie czemuś?

Zacisnęła dłoń na kopii umowy.

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym wziąć prysznic i przebrać się, zanim zasiądziemy do kolacji. Proszę częstować się winem. To z naszych zbiorów.

- Jest doskonale.

- Nam też smakuje. - Ruszyła do drzwi. - Nie jest takie wykwintne jak wina z Szampanii, ale uprawę winogron traktujemy marginesowo. Nastawiamy się na hodowlę kwiatów.

- A co by było, gdyby skoncentrowała się pani na winnicach?

- Mielibyśmy najlepsze wino na świecie - odparła rzeczowym tonem. - Tak jak mamy najwonnejsze kwiaty.

Zachichotał.

- Ma pani dobre zdanie o swoim Vasaro.

- To mój dom. Vasaro jest... - Umilkła, radosny uśmiech zgasł na jej twarzy. - Ale przecież nie interesują pana moje odczucia na temat Vasaro.

Ponownie ogarnęło go dziwne rozrzewnienie, więc szybko przybrał żartobliwy ton.

- Nie powiedziałbym, że zupełnie mnie to nie interesuje. Mówiłem już pani, że moja ciekawość twórcza jest wprost nienasycona.

- Ach, tak... ciekawość. - Uśmiechnęła się uprzejmie, patrząc na niego przez ramię. - Nie każę panu długo czekać. Proszę czuć się jak u siebie w domu.

Kiedy wyszła, powoli opadł na oparcie fotela. Bez wdzięcznej obecności Caitlin Vasaro pokój wydał mu się pusty. Promieniowała żywiołową spontanicznością nie przystającą do chłodnego spokoju, który starał się utrzymać. Ze zniecierpliwieniem odrzucił tę myśl i sięgnął po szklanke. Nic go nie obchodziła Caitlin ani jej Vasaro i należało tylko dopilnować, żeby pozostać w tym stanie ducha i umysłu. Była tylko częścią jego układanki. Jeśli odczuwał coś w obecności tej kobiety, to był to tylko czysto biologiczny dreszczyk. Celowo wrócił myślami do wrażenia, jakie wywarła na nim Caitlin, kiedy niedawno weszła do salonu. Bez wątplenia ta reakcja zaskoczyła go, ponieważ dziewczyna zdecydowanie nie była w jego typie. Co prawda miała biust okazały jak u Junony, lecz jej wysoka, z gracją, poruszająca się sylwetka była nazbyt chuda i zbyt umięśniona, by móc uznać ją za pociągającą. Powodem mogło

być to, że dawno już nie był z żadną kobietą i odczuwał najbardziej pierwotne tęsknoty. A swoją drogą, czemu nie miałby sobie trochę popożłogować? Nie była już dzieckiem, lecz dwudziestoparoletnią kobietą, i ciekawe, czy umie odczuwać w stosunku do mężczyzny taką namiętność jak do swojego Vasaro.

Podniósł szklaneczkę do warg, pogrążony w rozmyślaniach na temat otwierających się przed nim różnych możliwości.

Karazov traktował ją teraz jakoś inaczej.

Jedząc kolację, Caitlin przez cały czas była świadoma subtelnych niuansów tej zmiany, lecz trudno jej było określić, na czym polega jej istota. Alex był czarujący w stosunku do Katrine i niezwykle uprzejmy dla Caitlin, a miła rozmowa przy stole toczyła się na obojętne tematy. Jednak była pewna, że coś się za tym kryje.

Po jakimś czasie gwałtownie przeniósł na nią wzrok i wtedy zrozumiała, że jej obecność niepokoi jego zmysły. To odkrycie wywarło na niej ogromne wrażenie; nim była w stanie ukryć swą reakcję, szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

Alex uśmiechnął się i ponownie przeniósł zainteresowanie na Katrine, komplementując ją za ułożenie kwiatów w wazonie.

Bezpośrednio po kolacji wracał do Cannes. Pożegnawszy matkę, poprosił Caitlin, żeby odprowadziła go do samochodu, by mogli umówić się na spotkanie w banku nazajutrz.

Biały sportowy samochód zaparkowany na podjeździe, błyszczący w świetle księżyca, stał jakby w ostentacyjnej pozie, arogancki... i brzydki.

- Dlaczego zdecydował się pan na Lamborghini? - Zstępując ze schodów, Caitlin uniosła wzrok na Karazova.

- A dlaczego nie?

- Nie pasuje mi do pana. Zbyt rzuca się w oczy.

- Pewnie zaspokaja jakąś słabość mojego charakteru.

- Naprawdę? - Myślała nad tym przez chwilę. - Nie sprawa pan na mnie wrażenia człowieka, który musi dowartościowywać się drogimi zabawkami.

- Ma pani rację. - Otworzył drzwi samochodu. - Kupiłem go, bo byłem wściekły.

Spojrzała na niego, zdumiona.

- Niespodziewanie otrzymałem sporo pieniędzy i chciałem się obnosić z tym faktem.

- Rozumiem.

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie rozumie pani. Nie ma pani najmniejszego pojęcia, o czym mówię. Nie rozumie pani, dlaczego mógłbym utopić kogoś w błocie, żeby wydrzeć, co moje.

- Rzeczywiście nie rozumiem. Zawsze uważałam, że zemsta nie ma sensu.

Potrząsnął głową.

- Myli się pani. Nie wolno pozwolić, by nawet najdrobniejsze przewinienie uszło komuś bezkarnie. Brak reakcji zachęca do powtórki.

- Oko za oko?

Ich spojrzenia spotkały się.

- Dokładnie tak.

Widząc lodowaty wyraz jego oczu, machinalnie cofnęła się. *Dieu*, jakim naprawdę człowiekiem był Karazov?

- A pan widzi sens zemsty?

- Wszyscy go widzą.

- A ja nie. Uważam, że ludzie powinni starać się zapomnieć i żyć dalej.

- To godne podziwu. - Skrzywił się. -I kompletnie nierealne. Po prostu nigdy nie została pani zraniona tak głęboko, że miała ochotę wyciągnąć nóż z rany i zwrócić go przeciw wrogowi.

- A pan został?

Dopiero po dobrej chwili odpowiedział:

- Tak.

Zapanowało milczenie i Caitlin gorączkowo starała się znaleźć właściwe słowa. Potem nagle, silniej niż dotąd, zdała sobie sprawę z jego bliskiej obecności i uporczywego wzroku na swojej twarzy. Bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła chłodnego, gładkiego metalu Lamborghini, wypowiadając pierwsze słowa, które przyszły jej do głowy.

- Ten samochód bardzo spodobałby się mojemu ojcu.

- Naprawdę? Słyszałem, że jest koneserem pięknych rzeczy. Mieszka w Londynie, nieprawdaż?

Zesztywniała.

- Widzę, że interesowało pana znacznie więcej niż stan naszych finansów.

- Rozwazałem różne warianty. Emocje mogą sprawić, że nawet najrozsądniejszy człowiek zaczyna się zachowywać bardzo nierozsądnie. Skoro matka pani miała złożyć swój podpis na dokumentach, musiałem się o niej czegoś dowiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Nie zdobyłem zresztą żadnych szczegółowych informacji, dowiedziałem się jedynie, że poślubiła Irlandczyka Denisa Reardona, z którym rozwiodła się po trzynastu latach małżeństwa.

- To on się z nią rozwiódł.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy pani ojciec jest w Londynie?

- Tak sądzę - odpowiedziała z rezerwą. - Jakies dwa lata temu dostałam od niego kartkę na Boże Narodzenie. Opuścił moją matkę, kiedy miałam zaledwie dwanaście lat.

- Wiem. - Przyglądał jej się badawczo, jakby wahając się, czy ma już odejść, czy nie. Po chwili dodał śmiało. - Po przepuszczeniu jej pieniędzy i doprowadzeniu Vasaro do niemal kompletnej ruiny. I co? Nie powie mi pani chyba, że nigdy nie chciała obrócić noża przeciw uroczemu *mister Reardonowi*?

- Nie.

- Nigdy?

- A co by to dało? On nic nie może poradzić na to, że jest, czym jest.

- Żigolakiem i łowcą posagów.

- To nie pańska sprawa.

- Zastanawiam się, jak daleko może sięgać pani filozofia nadstawiania policzka.

Spojrzała nań zdumionym wzrokiem.

- Pan stara się mnie zranić.

- Nie, staram się jedynie panią obudzić.

- Czemu tak się pan o to troszczy? Nic dla pana nie znaczę.

- Jest pani moim współnikiem. - Uśmiechnął się szeroko; oczy błyszczały mu w ciemności. - Bardzo troszczę się o swoich współników. Chciałbym, żeby mieli otwarte głowy i potrafili działać na wszystkich polach, na których ich potrzebuję.

Wypowiedział te słowa zmysłowym głosem, ostro kontrastującym z rzeczowym sensem wypowiedzi. Ten kolejny paradoks zupełnie wytrącił ją z równowagi.

- Przekona się pan, że potrafię sprawnie działać bez psy-

chologicznych sztuczek. - Dłoń Caitlin ześliznęła się z maski Lamborghini. - A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wrócić do domu i przebrać się w robocze ubranie.

- Ma pani zamiar wrócić do pracy? Przecież dochodzi dziesiąta.

- Muszę skończyć sadzić róże.

- Na litość boską, nie musi pani przecież pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę... szczególnie po tym, jak zgodziłem się wypłacić pani...

- Jutro musimy zacząć zbiór lawendy. To znaczy, że dziś trzeba skończyć z różami. - Caitlin czuła, że Alex jej nie rozumie. - Nie mam jeszcze tych pieniędzy. Zaistnieją dla mnie dopiero wtedy, gdy je zobaczę. A nawet kiedy będę je już miała, nie będzie rozsądnie pracować mniej, dopóki dług nie zostanie spłacony, a ja nie będę miała wystarczającego zabezpieczenia na wypadek roku takiego jak obecny. Muszę chronić Vasaro.

- Chryste - wymamrotał. - To obsesja.

- Nie spodziewałam się, że pan zrozumie.

- Ależ rozumiem. - Skrzywił się. - Sam czasem ulegam różnym obsesjom. - Zajął miejsce za kierownicą. - Będę jutro czekał na panią w banku o dwunastej. Mam nadzieję, że znajdzie pani chwilę, by przyjechać do Cannes i podjąć pieniądze.

Zmarszczyła czoło.

- Wolałabym spotkać się z panem o drugiej. Nawet w takim przypadku będę musiała wcześniej skończyć pracę. Zazwyczaj przerywamy zbieranie o pierwszej, ale będę musiała jeszcze się przebrać i dojechać...

- A więc o drugiej. - Przekreślił kluczyk w stacyjce i samochód obudził się do życia. - Nie chcę krzyżować pani planów.

Caitlin odprowadziła wzrokiem lśniące auto cicho sunące po podjeździe.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zawołała matka od drzwi. Jej turkusowa jedwabna suknia lśniła jak klejnot na tle oświetlonego holu. Jej wzrok powędrował ku sportowemu samochodowi, który dotarł na szczyt czarnego teraz wzgórza i pomknął ku drodze do Cannes. - Jakiż to wspaniały samochód. Myślisz, że *monsieur* Karazov pozwoli mi go kiedyś poprowadzić?

- Możesz go o to zapytać - odpowiedziała Caitlin wstępując na schody. - Wydaje się tobą oczarowany.

- I ja jestem nim oczarowana. Nieczęsto zdarza się spotkać tak atrakcyjnego mężczyznę. Przypomina mi trochę tego australijskiego aktora z oczami...

- Myślę, że większość australijskich aktorów ma oczy.

- Wiesz przecież, co mam na myśli. - Pstryknęła palcami. - Szalony Max.

- Mel Gibson.

Katrine rozpromieniła się.

- Właśnie. Tak czy owak, on jest niezwykle urodziwy i jestem pewna, że wszystko będzie dobrze, Caitlin.

Caitlin lekko pocałowała matkę w policzek, gdy mijała ją wchodząc do holu.

- Mam nadzieję. Dobranoc, mamó. - Skierowała się w stronę schodów. - Jutro będzie mi potrzebny samochód, jadę do Cannes.

Matka uniosła brwi.

- Zamierzałam pojechać do Nicei na lunch z Mignon Salanot... - Zawiesiła głos, lecz po chwili dodała: - Ale mogę to odwołać.

- Nie rób sobie kłopotu. Wezmę furgonetkę.

Katrine z niesmakiem zmarszczyła nos.

- Tylko nie parkuj jej w pobliżu banku. Ten stary grat przyniesie ci wstyd.

Caitlin uśmiechnęła się.

- Lubię ten samochód. Ma swój styl. - Zaczęła powoli wstępować na schody. - I pasuje do mnie. Jesteśmy pospolici i niezbyt eleganccy.

- Wcale nie jesteś pospolita. Ale nie starasz się być elegancka. Przyjrzyj się choćby tej sukni, którą masz na sobie. Ma co najmniej pięć lat i jest o parę centymetrów za długa. - Dokończyła surowym tonem: - Obowiązkiem kobiety jest dbać o to, żeby wyglądać atrakcyjnie.

Caitlin z rozbawieniem pokręciła głową.

- Obawiam się, że należymy do dwóch różnych światów - powiedziała łagodnie.

Katrine westchnęła i z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Śpij dobrze, Caitlin.

Caitlin nie chciała mówić matce, że idzie na górę tylko po

to, by się przebrać. Przez lata zdążyła się już nauczyć, że lepiej było unikać obciążania Katrin informacjami, które matka mogła uznać za stresujące.

- Idziesz spać?

- Niedługo. Myślę, że przerzucę jeszcze najnowszą „Elle”. Jak myślisz, czy skoro *monsieur* Karazov jest taki hojny, będę mogła sprawić sobie parę sukien?

- Zobaczymy, jak zapłacimy rachunki.

- Nie cieszysz się z tego, Caitlin? Myślałam, że się cieszysz, ale...

- Cieszę się - odparła pospiesznie.

Na zafrasowanej twarzy Katrine odmalował się wyraz ogromnej ulgi.

- Czasami nie wiem, co myślisz. Chciałabym, żebyś była szczęśliwa, Caitlin.

Katrine zawsze chce, żeby wszyscy dookoła byli szczęśliwi, pomyślała ze smutkiem Caitlin. Matka nie potrafiła zrozumieć, że szczęście musi być czasami okupione ciężką pracą i poświęceniem. Miała rację, twierdząc, że należą do dwóch różnych światów. Katrine byłaby zachwycona, mając córkę podobną do siebie, taką, która uwielbiałaby ślęczenie nad żurnalami mody, plotkowanie w czasie posiłków i ekscytowałyby się możliwością nabycia nowej sukienki. Pod wieloma względami życie Katrine było cięższe i bardziej samotne niż jej własne. Ona, Caitlin, miała przynajmniej Jacquesa i przyjaciół wśród zbieraczy, którzy rozumieli jej problemy i dążenia. Zatrzymała się na półpiętrze, by obdarzyć Katrine uśmiechem.

- Myślę, że będziemy mogły pozwolić sobie przynajmniej na jedną suknię. Może jutro w Nicei rozejrzałaś się za jakąś, która by ci się podobała?

Twarz Katrine natychmiast się rozjaśniła.

- Będę się starać nie być zbyt rozrzutna. Niedaleko hotelu „Negresco” jest cudowny sklep, który oferuje wspaniałe kreacje za śmiesznie niskie ceny. - Pospieszyła w stronę salonu.

- Myślę o czymś z obniżonym stanem. W zeszłym miesiącu widziałam w „Voque”... - Jej głos rozpląnął się, gdy zniknęła w salonie, by zająć się swoim bezcennym stosem żurnali.

Caitlin posmutniała. Nie stać ich było na kupno sukni, lecz być może do czasu, gdy przyjdą rachunki, ich sytuacja finan-

sowa zdąży się poprawić. Zresztą suknia Katrine była kroplą w morzu wydatków. Zaliczka, którą da jej jutro Karazov, pójdzie na spłatę długu, i wciąż pozostanie problem zdobycia funduszy na zarządzanie Vasaro.

Karazov. Poczwała się spłoszona na myśl o rozmowie przy samochodzie. Nie mogła zaprzeczyć, że ten mężczyzna niepokoił ją swą zmysłowością. Reagowała na niego mocno i gwałtownie.

Lecz sam fakt, że działał na jej zmysły, nie znaczył jeszcze, że musi im ulec. Nie była przecież niedoświadczonym dzieckiem i zdążyła już poznać, jaką siłę przyciągania ma czyjaś fizyczna atrakcyjność. Oczywiście ostatnio nic takiego się nie działo. Odkąd skończyła studia i przejęła zarządzanie Vasaro, była zbyt zajęta, by myśleć o tych sprawach. W jej życiu nie było mężczyzny od czasu Claude'a Janliera, a w tym trudnym romansie próżno byłoby szukać prawdziwej namiętności. Jednak z pewnością był to jakiś związek.

Nie ma co się oszukiwać, pomyślała z nagłą złością na samą siebie. Nie była wystarczająco doświadczona, by nie ulec czarowi mężczyzny tak atrakcyjnego jak Alex Karazov. Tymczasem zbyt bliski związek mógłby niekorzystnie wpłynąć na interesy. Będzie więc musiała unikać zażyłości bliższej niż przyjaźń. Nic nie może przeszkodzić jej w trosce o Vasaro.

3

Statuetka lśniła świetlistym blaskiem w spowitym mrokiem pomieszczeniu laboratorium, szmaragdowe oczy zdawały się przenikać ciemność.

Caitlin długo przyglądała się Pegazowi, po czym usiadła na krześle przy biurku i otworzyła notatnik.

- Chryste, przecież to Tańczący na Wietrze! - dobiegł ją głos od drzwi.

Znieruchomiała, kurczowo zaciskając palce na zeszytcie. Do diabła, to było jej miejsce. Nie życzyła sobie, by ją tutaj niepokoił.

- *Monsieur* Karazov? - wstała i podeszła do kontaktu. - Nie spodziewałam się pana wizyty w tym... - Urwała, zapalając światło, i nacisnęła guzik trzymanego w dłoni pilota.

Statuetka na czarnym marmurowym postumencie rozplynęła się w powietrzu!

Caitlin uśmiechnęła się, widząc bezgraniczne zdumienie na twarzy Alexa.

- Abrakadabra.

Szybko przebiegł wzrokiem po trzech rzutnikach rozstawionych wokół postumentu.

- Hologram?

Przytaknęła.

- Gwarantowany obraz trójwymiarowy.

- Zdażyłem zauważyć. - Wszedł do pomieszczenia i Caitlin spostrzegła, że zmienił elegancki ciemnogrnatowy garnitur, który miał na sobie w banku w Cannes, na spłowiełe niebieskie dzinsy i biały podkoszulek. - Pani mama powiedziała mi, że najprawdopodobniej jest pani tutaj, ale nigdy bym nie

pomyślał, że zamiast przyjść na kolację, będzie pani bawić się rzutnikami. To niezbyt uprzejme z pani strony. Czyżby miało to oznaczać, że lubi pani moje pieniądze, ale niekoniecznie moje towarzystwo?

- Musiałam wrócić do swoich badań, a byłam pewna, że Katrine z przyjemnością zajmie się panem.

Przeniósł wzrok na postument.

- Prowadzi pani badania nad Tańczącym na Wietrze?

- Zna pan tę statuetkę?

- Chyba wszyscy ją znają.

- I ja tak sądzę, ale swoją drogą jestem uprzedzona. Kiedy studiowałam na Sorbonie, napisałam pracę na temat tej statuetki.

- Widziałem zdjęcie statuetki w książce. Studiowała pani historię sztuki?

- Rolnictwo, a jako drugi fakultet wybrałam historię sztuki.

- Osobliwe połączenie.

- Niekoniecznie. Vasaro to moja krew, moje życie.

- A Tańczący na Wietrze?

- Chyba nie będę daleka od prawdy, jeśli powiem, że to moja pasja.

Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.

- Skąd to zainteresowanie?

- Historia rodziny Vasaro jest związana z Tańczącym na Wietrze od ponad czterystu lat. Zafascynowało mnie... - Potrząsnęła głową. - Pan tego nie zrozumie.

- Będę próbował.

- Nabyłam kopię hologramu od Metropolitan Museum w Nowym Jorku, kiedy pisałam swoją pracę. Oryginał został подарowany muzeum przez rodzinę Andreasów, ale wydałam majątek, żeby sporządzono kopię. Holografia wciąż znajduje się na etapie eksperymentu i czułam się potwornie winna, biorąc na ten cel pieniądze przeznaczone na zarządzanie Vasaro.

- A jednak zdecydowała się pani.

- To moja pasja - powtórzyła. - A poza tym to było wtedy, kiedy jeszcze nie spodziewałam się, że wpadniemy w takie tarapaty. Kiedy tylko mam wolną chwilę, wymykam się tutaj i kontempluję statuetkę.

- Przynajmniej przez chwilę nie tyra pani na polu. - Za-

mknął drzwi. - Coś mi się zdaje, że powinienem przeprosić, że pani przeszkodziłem.

- Też mi się tak wydaje. - Uśmiechnęła się.

- Przepraszam. - Wykrzywił twarz w pociesznym grymasie.
- A teraz, skoro już mamy to za sobą, czy pozwoli mi pani chwilę zostać? Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

Wyczuwała jego napięcie. Przeszła przez laboratorium i usiadła z powrotem przy biurku.

- Obawiam się, że jest tu niewiele rzeczy, które mogą pana zainteresować, *monsieur* Karazov.

- Mam na imię Alex. - Rozejrzył się po osobliwym surowym pomieszczeniu. - Co to za miejsce? Wygląda na mały hangar.

- To moja pracownia, laboratorium. Tutaj komponuję nowe perfumy.

- O ile nie siedzisz w ciemnościach, pochłonięta studiowaniem Tańczącego na Wietrze. - Spojrzył na okrągłe biurko, za którym siedziała. Hmm, interesujące. Nad jej głową piętrzyły się liczne półki, na których rzędami stały setki szklanych fiolek, zaś przed nią na blacie znajdowała się niewielka waga i notatnik. - Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała dać koncert organowy.

- Zgadza się - przytaknęła z uśmiechem. - Fiolki na półkach zawierają *essence absolue*, olejki różnych kwiatów i roślin. Wszystkie są starannie oznakowane, żebym mogła je mieszać i ważyć aż do uzyskania odpowiedniej kompozycji. - Wskazała wagę i notatnik. - Muszę prowadzić bardzo dokładne notatki, na wypadek gdyby udało mi się uzyskać kompozycję wartą utrwalenia. Niektóre zapachy są tak ulotne, że najmniejsza zmiana składnika może zmienić cały zapach kompozycji.

- Myślałem, że już opracowałaś recepturę.

- Tak, ale urok zapachów polega na tym, że zawsze można stworzyć coś nowego, innego. Na świecie istnieją już miliony zapachów, a jednak zawsze jest szansa, że... Przepraszam, dałam się ponieść... Przecież to ciebie nie interesuje.

- Dlaczego tak myślisz? Czemu laboratorium znajduje się w osobnym budynku, a nie w domu?

Ruchem głowy wskazała szerokie dwuskrzydłowe drzwi po obu stronach pomieszczenia.

- Dlatego, że tutaj mogę otwierać wszystkie okna i drzwi, żeby z pomieszczenia wyszły wszystkie zapachy. To konieczne, bo inaczej nakładają się na siebie i węch nie jest w stanie ich wyodrębnić. Nerwy węchowe szybko ulegają zmęczeniu i regenerują się tylko na świeżym powietrzu. To laboratorium jest bardzo prymitywne w porównaniu z klimatyzowanymi nowoczesnymi laboratoriami innych producentów perfum, ale doskonale mi się w nim pracuje.

Podszedł do półek z książkami, zajmujących odległą ścianę.

- Twoja matka mówiła, że jesteś mistrzynią w swoim fachu.

- Kocham to - odparła z prostotą.

- Bardziej niż uprawianie kwiatów?

- To są części całości.

- A całością jest Vasaro?

Skinęła głową.

- Michel twierdził, że to jest krag.

- Michel?

- Michel Andreas. Mieszkał tutaj w czasach rewolucji.

Ożenił się z najstarszą córką Catherine Vasaro i Francois Etcheleta.

Unióśł brwi.

- To oni nie byli małżeństwem? W tamtych czasach musiało to być ewenementem.

- Chodzi ci o nazwiska? Nie, nie, Catherine i Francois byli małżeństwem. Warunkiem dziedziczenia Vasaro jest to, że majątek może przechodzić jedynie z najstarszej córki na najstarszą córkę i tylko wtedy, jeśli kobieta zachowa nazwisko Vasaro nawet po wyjściu za mąż.

Zdjął z półki egzemplarz „Fragrance” i zaczął go niedbale przeglądać.

- Osiemnastowieczne bojowniczkę o prawa kobiet musiały być tym zachwycone.

- Michel skomponował pierwsze perfumy, które przyniosły Vasaro rozgłos. Podobno każda dama na dworze Napoleona miała flakonik „La Dame”. - Twarz Caitlin zaróżowiła się z emocji. - Powinieneś przeczytać pamiętnik Catherine. To prawdziwa podróż w przeszłość. Wychowała Michela jak własnego syna i... - Dostrzegłszy uśmiech na twarzy Alexa, urwała. - Wiem, że zbyt ulegam emocjom, kiedy mówię

o historii Vasaro, i zapominam, że nie interesuje to nikogo spoza rodziny.

- Wprost przeciwnie, to fascynujące. Dobrze jest mieć korzenie.

- Każdy ma jakieś korzenie. W Vasaro po prostu sięgają one głębiej.

Nie odezwał się.

- Mam na myśli to, że rodzice i dzieci tworzą więź, która...

- Wiem, co masz na myśli. - Szybko przemierzył pokój i podszedł do niej. - Ale niektórym ludziom wygodniej jest nie mieć korzeni. - Uniósł fiolkę z najbliższej półki i spojrzął na nią pod światło. - Co to?

Na fiolce nie brakowało etykiety; było oczywiste, że chce zmienić temat.

- Bez.

- Używasz go do swoich perfum?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wysoka nuta jaśminu, średnia nuta...

- Nuta? Znowu jesteśmy przy muzyce?

Roześmiała się.

- Komponowanie perfum przypomina komponowanie symfonii. Najpierw wprowadzamy temat przewodni, dominantę, którą wychytujemy od razu... potem przetworzenie tematu, rozwinięcie i wreszcie powtarzamy główne tematy. Dobre perfumy stopniowo rozwijają przed nami kolejne nuty bazowe, które współbrzmia, a potem wyciszają się do ulotnienia zapachu.

- Jak dźwięki symfonii.

- I nie mogą ulotnić się zbyt szybko. Trzeba rozważyć wiele rzeczy. Czy zapach jest wystarczająco, ale nie zbyt intensywny? Czy ma być ostry czy łagodny? Czy ma swój charakter? Czy ma długo unosić się w powietrzu?

- A jak twoje perfumy spełniają te warunki?

- Sam osądź. Oto „Vasaro”. - Sięgnęła po fiolkę stojącą na najniższej półce i strząsnęła kroplę na leżącą na blacie bibułę, po czym wręczyła ją Alexowi. - Chciałam uzyskać coś równie charakterystycznego jak „Opium”, lecz bogatszego o inne odcienie. Chciałam, żeby był w nich świeży zapach pól po deszczu, i delikatny aromat drzew cytrynowych i... - Machnęła ręką w geście bezradności. - Po prostu chciałam, żeby to było Vasaro.

Unióśł bibułę i wciągnął zapach w nozdrza.

- Jest inny niż perfumy, których używały znane mi kobiety.

Oczami wyobraźni ujrzała nagle Alexa stojącego u boku kobiety, z twarzą wtuloną w jej włosy. Szybko odsunęła od siebie ten obraz.

- Perfumy muszą być jedyne w swoim rodzaju. Podobają ci się?

Odłożył bibułę na biurko.

- Trudno mi powiedzieć. Perfumy inaczej pachną na ciele kobiety. - Unióśł fiołkę z „Vasaro”. - Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, zwilżył kciuk odrobiną perfum i wtarł ją w delikatną skórę jej lewego nadgarstka. Podniósłszy jej dłoń, zaczął wchłaniać zapach.

- Niezłe.

Powiedział to obojętnym tonem, nie zwalniając jednak mocnego, ciepłego uścisku dłoni.

- Jeszcze jedno miejsce. To najlepszy z możliwych testów.

- Nalał kroplę perfum na drugi kciuk i odstawił fiołkę. Delikatnym gestem rozchylił kołnierzyk bluzki Caitlin i otoczył dłońmi szczupłą szyję. Powoli wmasowywał perfumy w zagłębienie jej szyi. - Tutaj rytm serca jest najmocniejszy i zapach najlepiej się rozchodzi...

Przełknęła z trudem.

- Skąd wiesz? Mówiłeś, że nie znasz się na perfumach.

- To prawda. Ale parę lat temu czytałem artykuł na temat zmysłu powonienia.

Jej serce biło coraz mocniej pod opuszkami jego palców, którymi wolno pocierał jej skórę.

- A ty zapamiętujesz wszystko, co czytasz?

- Raczej tak. O ile może okazać się przydatne. Jeśli nie, staram się to natychmiast wyrzucić z pamięci. Pamięć też może ulec zmęczeniu. - Zdjął dłonie z jej szyi i pociągnął ją za rękę tak, że się podniosła. Stała przed nim jak bezbronna mała istotka, nie mogąc oderwać wzroku od jego jasnych oczu. Czuła, jak serce wali jej w piersi coraz mocniej, a krew coraz szybciej krąży w żyłach.

- O, tak - zamruczał, wywoławszy reakcję, która sprawiła, że zapach stał się intensywniejszy. - Świetnie. - Stał nieruchomo, z pochyloną głową, wciągając zapach w nozdrza.

Widziała żyłkę szybko pulsującą w jego skroni, i pierzasty

łuk jego ciemnych rzęs na półprzymkniętych powiekach, skrywających błękit oczu. Czuła delikatny zapach wody koloniskiej... limony i piżma. Było coś głęboko pierwotnego w tym, jak stali naprzeciwko siebie, chłonąc swoje zapachy jak para grzejących się zwierząt.

Jej pierś falowała w rytm niespokojnego oddechu; chciała- by móc oddychać wolniej, równiej. Rozpaczliwie próbowała skierować myśli ku czemuś, co pozwoliłoby rozładować to niezdolne napięcie.

Głęboko zaczerpnął tchu; poczuła ciepło jego oddechu na szyi. *Dieu*, nie dotykał jej nawet, a czuła, że zaczyna drżeć.

- Niezwykłe. - Cofnął się o krok, lecz jego półprzymknięte powieki wciąż zakrywały oczy. - Myślę, że to może być hit.

Chwiejnym krokiem podeszła do krzesła i szybko na nie opadła. Wiedziała, że jej policzki płoną, i pragnęła, żeby Alex jak najszybciej znowu traktował ją z dystansem, którego wytworzenie przychodziło mu przecież bez trudu. Zaśmiała się drżącym głosem.

- Człowiek interesu powinien był to wiedzieć, zanim zdecydował się pomóc w promocji.

- Nic by to nie dało. Nie mam pojęcia, dlaczego kobiety lubią takie a nie inne perfumy. - Wydawało jej się, że cień uśmiechu przemknął mu przez twarz. - Ale dobrze wiem, co ja lubię.

A lubił Caitlin, podobał mu się jej zapach i jej reakcja na mężczyznę. Była pociągająca, czysta i naturalna.

Szybko przeniosła wzrok na fiolkę perfum.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

Nie odpowiedział, a kiedy uniosła wzrok, zauważyła, że jego oczy pałają.

- Mówię o perfumach. Powiedziałaś, że musimy porozmawiać o sposobie promocji.

- Porozmawiamy.

- A więc?

- Nie teraz. Mam parę pomysłów, ale czekam na pewne informacje. Wtedy wszystko przedyskutujemy. W najbliższych dniach powinienem mieć ważny telefon. Wtedy będę gotów do działania.

- Od kogo?

- Od człowieka prowadzącego badania rynku. Proszę, po-

wiedz swojej matce, że w najbliższych dniach będą tu do mnie przychodziły różne przesyłki. Zleciłem kilku agencjom gromadzenie informacji.

- Które wykorzystasz w powieściach?

- Niektóre tak. Ja też mam swoją pasję. - Uśmiechnął się. Będę też czasem telefonował stąd zagranicę. Kiedy otrzymasz rachunki, prześlij je *monsieur* Ganoldowi. - Spojrzał na stojące na półkach książki. - Wszystkie o perfumach?

Jak on to robił? Dobrze przecież wiedziała, że jeszcze przed chwilą był podniecony, a teraz zachowywał się tak chłodno, jakby nigdy jej nie dotknął. Jakkolwiek jednak tego dokonał, była mu wdzięczna, że pozwolił jej ochłonać. Serce biło jej już prawie normalnym rytmem i wkrótce będzie równie opanowana jak on.

- Tak. Główny księgozbiór jest w domu. Z wyjątkiem pamiętnika Catherine, większość tych książek stanowią informatory.

Zdjął z półki oprawny w skórę egzemplarz Biblii i spojrzał pytająco na Caitlin.

- Stary Testament jest pełen wzmianek o balsamach i olejkach. W *Pieśni nad Pieśniami* zaznaczone są niektóre fragmenty - wyjaśniła.

Jego wzrok spoczął na zniszczonej książce o spłowiałym grzbiecie; stała w drugim rzędzie.

- Ta nie jest o perfumach - wyszeptał. Trzymał w dłoni książkę *Tańczący na Wietrze - fakty i legendy*. Przesunął palcami po wyblakłej oprawie. - Jest bardzo zniszczona, całkiem się rozlatuje.

- Mam ją od dawna.

- Od jak dawna?

- Od lat - Wtargnęła już w tak wiele zakamarków jej życia i to tak szybko, że czas było wystawić bariery przed najbardziej sekretnym zaułkiem. - Jest bardzo zniszczona. Proszę, odłóż ją na półkę.

Uniósł brwi ze zdumienia, lecz pieczołowicie umieścił książkę na miejscu.

- Ciekawe.

Nie była pewna, czy ma na myśli książkę, czy jej reakcję, ponieważ natychmiast zagadnął:

- Czy mogę zabrać parę tych książek o perfumach do do-

mu? Myślę, że najwyższy już czas, żebym zdobył więcej wiadomości na temat naszych wspólnych interesów.

- Oczywiście.

Odwrociwszy się, zaczął zdejmować z półek wolumin po woluminie; po chwili trzymał w rękach osiem książek.

- Możesz tu jutro wrócić - powiedziała sucho. - Nie mam zamiaru się rozmyślić i nie wpuścić cię.

- Dziękuję. - Ruszył do drzwi. - Niezbyt dobrze sypiam w nocy, a czytam szybko.

- Konieczność zawodowa?

- Już wiele lat temu nauczyłem się błyskawicznego czytania. Ta umiejętność bardzo się przydała w moim poprzednim fachu. - Popatrzył na nią z ukosa. - Powinno cię to uspokoić. Nie wydaje mi się, żeby to była kwalifikacja zawodowa handlarza narkotyków. - Z trudem otworzył drzwi, mocno trzymając książki. - Mam zostawić drzwi otwarte? Ten zapach czuć chyba w niebiosach.

- Już za późno. To dlatego właśnie używamy bibuły. Umieszczamy je potem w szczelnych pojemnikach i wyrzucamy. - Skrzywiła się. - Teraz będę musiała wziąć kąpiel, żeby pozbyć się zapachu.

- Tak, teraz już za późno. - Uśmiechnął się. - Okłamałem cię.

Wydawała się przerażona.

- Jak to?

- Zagłębienie kobiecej szyi nie jest najlepszym miejscem do testowania perfum.

- Nie?

Pokręcił głową.

- Jest inne, znacznie bardziej interesujące miejsce. Będziemy musieli kiedyś to sprawdzić.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z laboratorium.

Przez chwilę tępym wzrokiem wpatrywała się w drzwi, a potem zaczęła cichutko chichotać.

Alex udał się bezpośrednio do swojego pokoju, gdzie natychmiast wybrał numer Simona Goldbauma w Nowym Jorku.

Goldbaum nie ukrywał zniecierpliwienia.

- Na litość boską, Alex, co ty się spodziewasz usłyszeć?

Jonathan Andreas bardzo ceni sobie prywatność i ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ją sobie zapewnić. To musi trochę potrwać.

- Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia. - Alex usiadł na łóżku, otworzył notatnik i sięgnął po pióro. - Dawaj, co masz.

- Niewiele ponad to, co możesz przeczytać w „Time'ie”. Czterdzieści dwa lata, przemysłowiec, doprowadził do ożywienia w przemyśle stoczniowym i udało mu się zahamować tendencję zniżkową w produkcji. Jego stosunki ze związkami są poprawne, ale z pewnością za nimi nie przepada. Są mu przeszkodą w jego planach stworzenia premiowego systemu płac. Prowadzi aktywną działalność polityczną. Republikańczyk. Jest właścicielem majątku na północ od Charleston w Południowej Karolinie. Powszechnie lubiany. Żadnych problemów rodzinnych. Typ patriarchy rodu.

- Żonaty?

- Nie, ale miewa dyskretne romanse. Zwracam uwagę na słowo: dyskretne. Jak już mówiłem, facet lubi podkreślać swoje prawo do prywatności.

- To wszystko?

- Nie - zawahał się Goldbaum. - Węszyłem trochę koło głównej kwatery Partii Republikańskiej. Jest tam bardzo lubiany. Elegancki, inteligentny, zręczny dyplomata, ale kiedy potrzeba, potrafi potrząsnąć ludźmi. Lee Iacocca i Jack Kennedy w jednej osobie.

- Co to znaczy?

Po drugiej stronie słuchawki na chwilę zapadła cisza.

- To znaczy, że może być następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Alex błyskawicznie ocenił wagę usłyszanych informacji, po czym postanowił nie zaprzętać sobie nimi głowy. Nie mogły mu w niczym pomóc.

- Coś jeszcze?

- Do diabła, Alex, nie znajdziesz na niego haka. Człowiek, który ma szansę zostania prezydentem, cholernie uważa, żeby nie zrobić fałszywego ruchu.

- Szukaj dalej.

- Myślę, że to może być po prostu uczciwy facet, Alex.

- To nie znaczy, że nie robi błędów. Potrzebuję punktu zaczepienia.

- Dobrze już, dobrze. Zadzwoń w przyszłym tygodniu. Jesteś u siebie?

- Nie. We Francji. - Alex podał mu numer. - Tylko nie zostawiaj dla mnie żadnych wiadomości.

- Na litość boską, nie jestem amatorem. Pavlowi nie zdarzyło się pomyśleć... - Goldbaum urwał, po czym ochrypłym głosem dodał: - Nie mogę się po tym pozbierać.

- Ja też. - Głos Alexa nie wyrażał żadnych emocji. - Dopadną skurwysyna, który go zabił. Ledford jakby zapadł się pod ziemię. Żeby go dostać, potrzebuję...

- Punktu zaczepienia - dokończył za niego zmęczonym głosem Goldbaum. - Będziesz go miał.

- A co z Ledfordem? Masz coś nowego?

- Pracuję nad tym. To cwaniak. Masz rację, jakiś rok temu zaszył się jak kret pod ziemią.

- W takim razie zbadaj, co robił wcześniej. Zanim się zakonspirował, musiał poczynić jakieś przygotowania.

- Jeśli nawet tak było, to doskonale zatarł po sobie ślady. - Westchnął. - Wiem, szukaj dalej.

- Otóż to.

Odłożywszy słuchawkę, Alex przebiegł wzrokiem notatki. Niewiele tego było. Bardzo niewiele. Spodziewał się po Goldbaumie czegoś więcej. Ten człowiek był niegdyś świetnym reporterem. Skoro nawet on nie mógł wywęszyć nic więcej na temat Andreasa, to prawdopodobnie nie było nic do wywęszenia.

A przecież musiało coś być.

Alex czuł, jak zaczyna w nim wzbierać pasja. Wstał i podszedł do okna we wnęce pokoju. Bezwiednie zacisnął palce na seledynowym jedwabiu zasłon, spoglądając zza szyby na posrebrzone światłem księżyca pola Vasaro. Myślał, że to wszystko będzie prostsze. Że uda mu się z dystansu, nie angażując się, sterować wydarzeniami w Vasaro tak, by odpowiadało to jego celom. Jednakże spędziwszy z Caitlin Vasaro i jej matką zaledwie dwa dni, poczuł się... właśnie, jak się czuł? Poruszony, zaniepokojony... winny?

Nie mam powodu czuć się winny, pospiesznie zapewnił samego siebie. Nie był, co prawda, całkiem szczerzy z Caitlin, lecz jego pieniądze uratują Vasaro, a tego jedynie naprawdę chciała. Powiedziała mu przecież, że nie obchodzi jej, jaki

jest prawdziwy powód, dla którego zainwestował w Vasaro. A jeśli chodzi o inne emocje, to będzie bardzo ostrożny, nie ma zamiaru odsłonić się przed Caitlin na tyle, by stać się bezbronnym.

Mocniej zacisnął palce na zasłonie, przypominając sobie dotyk gładkiej aksamitnej skóry Caitlin pod swoimi dłońmi, jej szarozielone oczy o ostrożnym, zdumionym spojrzeniu. Czemu ograniczył się tylko do tej przygrywki? Była gotowa na więcej. Widział, jak drży pod jego dotykiem, czuł jej ciepło. Caitlin może sobie być ostrożna w stosunku do niego, lecz jej reakcja była niezwykle żywiołowa.

Uczucie niespełnienia szarpnęło nim z bolesną siłą. Szybko odwrócił się, ściągnął podkoszulek i podszedł do łóżka. Położył się i spróbuje zapomnieć o Caitlin i Vasaro. Będzie myślał jedynie o Ledfordzie i o tym, co z nim zrobi, kiedy go dopadnie.

Martynika, Alex - uśmiechnął się przymilnie Pavel - Trochę słońca. O nic więcej nie proszę. Wystarczy mi trochę słońca, trochę seksu, od czasu do czasu jakiś wykwinniejszy posiłek...

- Od czasu do czasu? Chyba ostatnio nie wchodziłeś na wagę.

Pavel przywiązany do fotela, z wytrzeszczonymi oczami nieruchomo wpatrującymi się w Alexa, poruszający zbielełymi wargami.

- Martynika. Trochę słońca...

- Pavel!

Alex gwałtownie usiadł na łóżku, serce waliło mu w piersi jak oszalałe, ciało pokrywał zimny pot.

Kolejny koszmarny sen. Lecz wcale nie czuł się tak, jakby to były tylko sny. Nieprzytomna wściekłość i rozdzierający żal ogarniały go w snach z tą samą siłą co w chwili, gdy ujrzał Pavla przywiązanego do fotela.

Zamknął oczy, starając się opanować dreszcze gwałtownie wstrząsające ciałem. Koszmary dręczyły go co noc, ale kiedy wreszcie dopadnie Ledforda, ustana. Nie potrafił myśleć o Ledfordzie nie myśląc natychmiast o Pavlu, a myślenie o przyjacielu było wprost nie do zniesienia. Boże, jak mu go brakowało.

Tętno powoli wracało do normy. Opadł z powrotem na łóżko i zamknął oczy, czując piekące łzy pod powiekami. Pavel. Nie mógł myśleć o nim bez potwornego poczucia winy. Rozpaczliwie starał się znaleźć coś, co oderwałoby go od ponurych rozważań.

Caitlin Vasaro.

Przy niej ani razu nie pomyślał o Pavlu. Był zaintrygowany, poruszony, niecierpliwy, cały czas zaangażowany. Mógłby wykorzystać jej obecność i towarzyszące jej pożądanie, by oderwać się od dręczących myśli. Wykorzystać Caitlin, by odegnąć ból i rozproszyć senne koszmary.

Wykorzystać? Boże, nienawidził przecież ludzi, którzy wykorzystują innych. Zbyt często w życiu sam był wykorzystywanym.

Potrzebował jednak odwrócenia uwagi. Potrzebował kobiety.

Mógłby być z Caitlin zupełnie szczerzy. Dziś wieczorem pragnęła go równie mocno, jak on jej. Czemu nie miałyby zechcieć dać mu tego, czego potrzebował?

Chwili zapomnienia.

Mogę ci pomóc?

Uniósłszy wzrok, Caitlin ujrzała stojącego obok Alexa. Miał na sobie spłowiełe dżinsy podobne do tych, w których widziała go poprzedniego dnia, i biały podkoszulek.

- Słucham?

- Chciałbym pomóc, o ile mogę okazać się przydatny.

Obserwował, jak Adrienne, pracująca obok niej kobieta, zbiera lawendę.

- To nie wydaje się trudne.

- I nie jest. Wymaga tylko wprawy i wejścia w rytm. - Zmarszczyła czoło. - Ale to ciężka praca.

Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że nie zemdleję z wyczerpania. U siebie w Alpach codziennie jeżdżę na nartach i jestem w całkiem dobrej formie.

Była pewna, że się nie przechwala. Na jego ramionach rysowały się pięknie rzeźbione mięśnie, a ciało nie miało chyba ani grama zbędnego tłuszczu.

- Skoro się nudzisz, dlaczego nie siadziesz do pisania?

Skrzywił się.

- Muza przestała czule szeptać mi do ucha. Mam ochotę na pracę fizyczną. Jeśli solidnie się zmęczone, może będę lepiej spał. - Mięśnie jego ramion poruszały się niespokojnie pod cienką bawełną podkoszulka. - To jak, pozwolisz mi sobie pomóc, czy nie?

Mówił prawdę. Wyczuwała w nim to samo napięcie co poprzedniego dnia.

- Idź do ciężarówki i weź kosz od Jacquesa.

Caitlin prosiła, żeby pan dał mi kosz, D'Abler.

- Tak? - Zanim odwrócił się w stronę Alexa, Jacques schylił się i sięgnął po wypełniony kwiatami kosz, który podał mu zbieracz. - A co pan chce robić z tym koszem?

Pomimo pozornie obojętnego tonu nadzorcy, Alex wyczuł w nim z trudem skrywaną niechęć i ogarnęło go złośliwe zadowolenie. Spojrzał na mężczyznę stojącego na skrzyni ciężarówki. Nieraz zdarzyło już mu się słyszeć ten sam prowokujący ton w głosie innych mężczyzn, zawsze poprzedzał on gwałtowny atak. Po wielu tygodniach życia w stanie frustracji nareszcie trafiało mu się coś, na co mógł gwałtownie zareagować.

A Jacques D'Abler był groźnym przeciwnikiem. Chociaż nie pierwszej młodości, wyglądał jak skała i prezentował pewność siebie człowieka, który zaznał w życiu niewielu fizycznych porażek. Alex przyjrzał mu się szacującym wzrokiem, jakby szukając jego słabych punktów w zbliżającej się walce.

- A co z nimi robią zbieracze?

- Zarabiają na przyzwoite życie. - Jacques spojrzał Alexowi prosto w oczy. - Ale Caitlin mówiła mi, że pan nie musi zarabiać na życie, że jest pan bogaty jak Krezus i chce pan uratować Vasaro.

- A pan jej nie wierzy?

- Wierzę, że pan jej to powiedział. - Wzruszył ramionami.

- Ona nie jest głupia. Zobaczymy.

- Mogę prosić o kosz?

- Żeby pokazać, że jest pan jednym z nas? Nie jest pan jednym z nas, *monsieur* Karazov. Znam takich jak pan. Jest pan zbyt gładki i zbyt nawykły do luksusu jak na Vasaro.

- Prosiłem tylko o kosz, nie o pańską opinię.

- Jestem szczodry. I tak pan ją usłyszy. - Koło ciężarówki pojawiła się zbieraczka; Jacques odebrał od niej przepelniony kosz. - Jak już powiedziałem, Caitlin nie jest głupia, ale chce komuś ufać. Myślę, że zaczyna ufać panu. - Wsypał zawartość kosza do kadzi na ciężarówce. - I to mnie niepokoi.

- To godne ubolewania.

- Żeby pan wiedział. Ona nie miała zwyczaju ufać obcym. Będę bardzo zły, jeśli pan ją zawiedzie.

Otwarty konflikt był coraz bliżej. Alex ochoczo postąpił naprzód spoglądając na Jacquesa spod zmrużonych powiek.

- Jak bardzo zły?

Nie odpowiedział wprost.

- Kiedy Caitlin była małą dziewczynką, ojciec podarował jej wisiołek, złotego Pegaza ze szmaragdowymi oczami. Wszyscy wiedzieliśmy, jak bardzo fascynowały ją opowieści o prawdziwym Tańczącym na Wietrze, a Reardon zawsze dobrze wiedział, jak zadowolić kobiety. Kochała ten wisiołek i nigdy się z nim nie rozstawała. - Wręczył pusty kosz zbieraczce i odprowadził ją wzrokiem czekając, aż odejdzie na wystarczającą odległość, po czym dokończył: - Tej nocy, kiedy opuścił Vasaro, wisiołek zniknął wraz z nim. - Na jego twarzy pojawił się lodowaty uśmiech. - Wtedy niewiele tu już było do zabrania.

- Zapewniam pana, że nie jestem złodziejem klejnotów. Czy z tej opowieści wypływa jakieś przesłanie?

- Oczywiście. - Jacques ukazał niemal wszystkie zęby w szerokim uśmiechu, który pojawił się na jego ogorzałej twarzy. - Udałem się w ślad za sukinsynem do hotelu w Cannes i próbowałem odzyskać wisiołek. Próbowałem tak mocno, że złamałem łajdakowi nos i trzy zębra.

- Interesujące. I odzyskał pan ten wisiołek?

- Nie, zdażył go już sprzedać któregoś ze swoich majątnych przyjaciółek. Próbowałem ją odnaleźć, ale wyjechała z Francji. Pojechałem więc do hotelu jeszcze raz, złamałem Reardonowi obie ręce i wróciłem do Vasaro. On był ostatnim człowiekiem, który ośmielił się zawieść zaufanie Caitlin.

Alex próbował podsycić w sobie niechęć do tego człowieka, lecz okazało się to niemożliwe. Swoją szczerą, manifestowaną srogością przypominał mu Pavla z jego pierwszych dni w *Specnazie*.

- Zapewne zniechęciło to kolejnych potencjalnych naciągaczy. Czy Caitlin wie o tym, co pan zrobił?

- Nie. Ona by nie zrozumiała.

- Ale ja rozumiem. A teraz, skoro zostałem już odpowiednio zastraszony, czy mogę prosić o kosz?

- Wcale nie jest pan zastraszony.

- Nie, prawdę mówiąc, jestem rozczarowany. - Spojrzał Jacquesowi prosto w oczy i wyjawiał mu prawdę. - Miałem ochotę na ostre starcie, ale chyba jednak nie z panem. Jesteśmy do siebie zbyt podobni.

Jacques przyglądał mu się dobrą chwilę, po czym rzucił mu kosz.

- Trzeci rząd. Przyjdę tam za chwilę i pokażę panu, jak to się robi.

Caitlin spodziewała się, że odebrawszy lekcję pogładową u Jacquesa, Alex będzie zbierał razem z nią. Jednak wybrał miejsce obok Pierre'a Ledux i został tam aż do popołudnia, kiedy Jacques zarządził koniec pracy. Rzucił wtedy pusty kosz na ciężarówkę i odszedł bez słowa w stronę domu.

Następnego dnia o świcie był już gotów iść z nią na pole, lecz ponownie wybrał miejsce w innym rzędzie. Gdy o dziesiątej nadszedł czas na rogalika i kawę, przysiadł na skrzyni ciężarówki, rozmawiając z Jacquesem.

Trzeciego dnia Jacques przystanął w pobliżu rzędu, gdzie pracowała Caitlin.

- Całkiem niezły. Nie uważasz?

Caitlin przeniosła wzrok na rząd, w którym Alex pracował obok Renee Boisson.

- Jest szybki.

- I silny. Ma ogromną energię.

To nie podlegało dyskusji. Zwróciła na to uwagę już dwa dni temu. Wydawało się wręcz, że pracuje za wolno jak na tak wielki zapas energii.

- Z początku nie byłem go pewien, ale... ale myślę, że można mu zaufać.

Caitlin spojrzała na Jacquesa ze zdumieniem. Jacques nigdy nie przekonywał się do ludzi zbyt szybko, toteż sądziła, że człowiek tak tajemniczy jak Alex Karazov długo będzie dlań stanowić niepokojącą zagadkę.

- Niełatwo go rozgryźć.
- On cierpi.
- Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu wiem. Za ostro pracuje. - Jacques odwrócił się i odszedł w kierunku ciężarówki.

Podjmując przerwana pracę, Caitlin w zamyśleniu popatrzyła na Alexa. Śmiał się z czegoś, co mówiła Renee, a jego twarz jaśniała ożywieniem. Nie sprawiał wrażenia człowieka, którego dręczą kłopoty czy ból; był energiczny, niezwykle męski, i zupełnie niepodobny do eleganckiego światowca, którego po raz pierwszy zobaczyła na wzgórzu. Pasma ciemnych włosów przykleiło mu się do spoconego czoła, a jego niebieski podkoszulek pociemniał od potu. Stał na lekko rozstawionych nogach; materiał spleśniałych dżinsów opinał jego muskularne pośladki i biodra, wyraźnie uwydatniając śmiałe linie. Bardzo wyraźnie.

Caitlin poczuła, jak oblewa ją fala gorąca i szybko przeniosła wzrok z powrotem na jego twarz. To, co zdarzyło się między nimi w laboratorium, było tylko epizodem, o którym oboje powinni zapomnieć. Alexowi Karazovowi najwyraźniej się to udało; tak samo musi się udać i jej.

Jednakże Jacques miał rację twierdząc, że w pracy Alexa jest coś zapamiętałego. Jakby nie dość było, że ciężko harował na polach, matka powiedziała jej, że często w jego pokoju do trzeciej w nocy pali się światło. Lecz jego nocne zwyczaje z pewnością nie powinny budzić jej zainteresowania, tak samo zresztą jak i tajemnicze paczki, które otrzymywał codziennie. Człowiek tak powściągliwy jak Alex Karazov w żadnym wypadku nie życzyłby sobie wtrącania się do jego spraw czy okazywania współczucia. Starła się przestać o nim myśleć i skoncentrować się na pracy.

Nie poszłabyś na spacer?

Gdy Caitlin uporała się z ustawieniem kosza na ciężarówce, odwróciła się do Alexa. Uzmysłowała sobie, że Alex wysiłkiem woli opanowuje napięcie; zeszywniała z niepokoju.

- Nie mam czasu.
- Tylko na krótką przechadzkę. Od paru dni zwiedzam Vasaro, ale mam parę pytań.

- Może jutro.

- Bądź szczerą - powiedział przymilnie. - Czyż nie zaoszczędziłem ci kilkunastu godzin pracy? Jesteś mi coś winna.

- Sam chciałeś mi pomóc.

Skinął głową.

- A teraz chcę, żebyś poszła ze mną na spacer.

- Dokąd?

Wskazał ręką w kierunku południowym.

Caitlin zawahała się, po czym szybko zaczęła iść we wskazanym przez niego kierunku.

- Caitlin!

Na drodze stał synek Adrienne, Gaston, i patrzył na nią błagalnie. Miał umazaną twarzączkę, a jego rozwichrzone włosy błyszczały w słońcu.

- Dziś wieczorem?

Pokręciła głową.

- Dziś wieczorem nie mam czasu.

Widząc, że jego niebieskie oczy napełniają się łzami, zmiękła.

- Jutro wieczorem. Ale najpierw musisz zapytać mamę i wykonać swoją pracę.

Buzia natychmiast się rozjaśniła.

- Dobrze. Będę mógł naciskać guziki?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Co bym bez ciebie zrobiła? Bardzo mi pomagasz.

Obdarzył ją szerokim uśmiechem, a po chwili już biegł drogą za matką.

- O co chodzi? - zapytał Alex.

- Lubi przychodzić do laboratorium, kiedy pracuję nad Tańczącym na Wietrze, i naciskać guziki pilota. - Filuternie zmrużyła oko. - Myśli, że to magia.

- Abrakadabra - powtórzył jej słowa Alex. - Dziwię się, że tolerujesz jego obecność. Odniosłem wrażenie, że nie lubisz, kiedy ktoś wdziera ci się do królestwa Tańczącego na Wietrze.

- Gaston mi nie przeszkadza. - Wzruszyła ramionami. - No, może trochę, ale dzieci zazwyczaj ofiarowują nam więcej, niż my jesteśmy w stanie dać im. Uczą nas zachwycać się światem.

- Naprawdę? Nigdy nie miałem z nimi wiele do czynienia.

- Poza tym on kocha Tańczącego na Wietrze. Wszystkie dzieci go kochają.

- Czyje to dziecko?

- Adrianny i Etienne. To jeden z moich chrześniaków.

- Ilu ich masz?

- Dwunastu.

- Niezła rodzinka. - Zrównał z nią krok. Była niemal tak wysoka jak on i łatwo im było dopasować tempo marszu.

- O co chcesz mnie zapytać?

- Zaczekaj.

Świeciło słońce, w powietrzu rozchodził się zapach ziemi i kwiatów, a obecność Alexa była dziwnie miła. Dawno już nie spacerowała z kimś dla samej przyjemności spacerowania. Zawsze miała jakieś obowiązki, musiała gdzieś iść, z kimś się spotkać.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - zauważył Alex po dłuższym okresie milczenia.

- Ty też nie. - Spojrzała na niego kpiąco. - Czy to była opinia męskiego szowinisty? Mówienie bez przerwy to niekoniecznie kobieca cecha. Pierre Ledux wyrzuca z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

Roześmiał się.

- Zdążyłem zauważyć.

- Jacques mówi, że dobrze pracujesz. Gdybyś kiedyś stracił pieniądze, natychmiast cię zatrudni.

- Będę o tym pamiętał. Czy Jacques od dawna jest tu nadzorcą?

- Był nim już, zanim się urodziłam. Wychował się w Vasarro. Pamiętam, jak podnosił mnie na ciężarówkę, kiedy jeszcze niezbyt pewnie umiałam chodzić.

Ruchem głowy wskazał białe kwiaty rosnące na polu po lewej stronie.

- To jaśmin?

Caitlin skinęła głową.

- Pod koniec przyszłego tygodnia będzie gotowy do zbioru.

- Co jeszcze tu uprawiacie?

- Kwiaty pomarańczowe, pelargonie, bergamoty, tuberozy, hiacynty, kasje, mimozy, fiołki...

- Zaczekaj. - Alex uniósł rękę. - Chyba powinienem zapytać, czego nie uprawiacie.

Uśmiechnęła się.

- Nie jest tego wiele. Ziemie są bardzo żyzne. Ograniczamy ilość upraw stosownie do zapotrzebowania, ale na przestrzeni wieków uprawiano tu niemal wszystko. Mieliśmy tu nawet niektóre rośliny tropikalne, na przykład wanilię. - Głęboko zaczerpnęła tchu i zamknęła oczy. - Boże, jak ja kocham zapach jaśminu.

- To dlatego uczyniłaś go głównym składnikiem twoich perfum?

- Nie wiem. - Rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się w białe kwiaty jaśminowca. - Może... Pamiętam, że jako mała dziewczynka przychodziłam z Jacquesem na pola o zmroku i czułam się, jakbym znajdowała się w baśniowej krainie. Wszystko było spowite złotawą mgiełką. Słońce nadawało białym kwiatom kremowy odcień, a niebo było lawendowe, różowe i szkarłatne. Czasami bawiłam się w chowanego z Renee i Pierrem. Biegałam wtedy przez pola, piszcząc i... - Urwała, zamyśliwszy się nad czymś. - Pamięć. Myślę, że dlatego użyłam jaśminu. Chciałam w nim utrwalić wspomnienia. - Zwróciła się z uśmiechem do Alexa. - Chyba właśnie o to chodzi w perfumach. Chcemy przechować w nich wspomnienia.

- To Jacques cię tu przyprowadzał? Nie ojciec?

Uśmiech zgasł na jej twarzy.

- Jacques przychodził tu ze mną tylko w te wieczory, kiedy w domu odbywało się przyjęcie. Ojciec mówił, że na przyjęciu dla dorosłych nie ma miejsca dla dzieci. - Odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku. - W tamtych czasach w Vasaro odbywało się mnóstwo przyjęć.

Czuła na sobie spojrzenie Alexa, lecz nie podjął tego tematu. Znowu zapanowało między nimi milczenie.

Alex nie odezwał się, dopóki nie weszli na skaliste urwisko i nie roztoczył się przed nimi zapierający dech w piersiach widok morza, nieba i gór w oddali.

- Co to za miasto? - Zatoczył ręką półkole wskazując liczne domki rozsiane w oddali wzdłuż krętej linii brzegowej Morza Śródziemnego. - Miasta i miasteczka na Riwierze wydają się zlewać w jedno.

- To Cannes. - Wskazała wysypaną żwirem drogę wijącą się dookoła skały i opadającą w dół zbocza. - Około ośmiu kilome-

trów stąd droga łączy się z autostradą prowadzącą do Cannes. Przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby pytać o te miasteczka?

- Nie, zaciekawiał mnie ten domek. - Gestem ręki wskazał mały kamienny budynek, kryty strzechą, odległy o kilkaset metrów od podnóża wzniesienia, na którym stali. - Kto w nim mieszka?

- Nikt - uśmiechnęła się Caitlin. - To Kwietna Chatka.

- Musi być bardzo stara.

Skinęła głową i zaczęła zstępować ze skalistego wzgórza w kierunku domku.

- Wybudował ją jeszcze przed rewolucją Philippe Andre-as, który zarządzał tu w imieniu Catherine Vasaro.

- Służyła jako szopa?

- Nie.

- To po co ją wybudował?

Zachichotała.

- Philippe był miejscowym Don Juanem. Sprowadzał tu wieśniaczki na igraszki.

- *Droit de seigneur?*

- Och nie, kobiety były bardzo chętne. - Otworzywszy drzwi, weszła do wnętrza, marszcząc nos, gdy w nozdrza uderzyła ją woń stęchlizny, kurzu i butwiejącego drewna. Wszystko było zasnuwane pajęczynami. Jedyne meble stanowiły stojące pod oknem łóżko. Pokrywająca je poźółkła ze starości bawełniana narzuta nosiła ślady pleśni. Drewniana podłoga wydawała się w dobrym stanie, lecz i ją pokrywała gruba warstwa kurzu. Palenisko ceglano-kominka było spowite gęstą pajęczą siecią i wyglądało, jakby przez komin wpadła doń połowa krytego strzechą dachu. - Okropnie zniszczony, prawda? Nikt tu już nie przychodzi. Staraliśmy się utrzymać domek w jak najlepszym stanie, ale ostatnio nie miałam czasu ani pieniędzy, żeby dokonać w nim choćby najpilniejszych napraw.

Podszedł do niewielkiego ceglano-kominka.

- Po co zawracać sobie tym głowę, skoro nikt nie korzysta z domku?

Spojrzała nań pełnymi zdumienia oczami.

- To część historii Vasaro.

Skłonił się przykładając rękę do serca.

- Proszę mi wybaczyć, powinienem był wiedzieć, że wszystko, co dotyczy Vasaro, jest nietykalne. Nawet miłosne gniazdko

libertyna. - Rozejrzał się po wnętrzu chaty. - Jak myślisz, gdzie zabawiał się ze swoimi kochankami? Na tym łóżku?

Caitlin nagle zdała sobie sprawę z ich odosobnienia i z panującego w chatce mroku. Spojrzała na stojące w rogu izby łóżko.

- Nie, wtedy nie było tu tego łóżka.

Alex wpatrywał się w nią uporczywie.

- W takim razie gdzie?..

- Według pamiętnika Catherine było tu coś w rodzaju sieniaka. Philippe rozpościerał na nim jedwabną narzutę, rozsypywał na niej płatki kwiatów, a potem kochał się ze swoimi kobietami wśród kwiecica. - Zaczynało jej się udzielać jego napięcie. Roześmiała się drżącym głosem. - To dlatego nazywano ten dom Kwietną Chatką.

- Ale on ich nie kochał, prawda, Caitlin? - zapytał łagodnie. - Przychodziły z nim tutaj, ponieważ odczuwały pożądanie i chciały jedynie, żeby zaspokoił ich zmysły. A on właśnie po to je tutaj przyprowadzał.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Myślę, że ich nie kochał, mimo że kochał się z nimi. Mamy niewielki wybór słów.

- Dobór odpowiednich słów jest tu bardzo ważny. Liczy się uczciwość. - Alex umilkł na chwilę. - Pragnę cię równie mocno jak Philippe pragnął swoich wieśniaczek. A nawet bardziej. Chcę, żebyś położyła się tutaj i pozwoliła mi znaleźć się w tobie.

Zesztywniała.

- Co?

- Chcę, żebyś mi się oddała. Wiele razy. Żebyś jęczała, gryzła mnie i drapała, kiedy będę się w tobie pogrążał. I myślę, że ty też tego chcesz.

- *Dieu*. - Zwilżyła wargi językiem. - Przecież tak się nie mówi. Nikt tak otwarcie nie...

- Ja tak robię. Mówię, że chcę cię osiąść, ale że to będzie tylko seks - powiedział cicho. - Nie miłość. Dobry seks i nic poza tym. Nie chcę cię okłamywać. Nie wierzę w to, że istnieje coś takiego jak romantyczna miłość. Przynajmniej ja nigdy jej nie doświadczyłem. A ty?

- Też nie. - Przyglądała mu się w osłupieniu. - No cóż, z pewnością nie usiłujesz obudzić we mnie miłości słodkimi słówkami.

- Ale jestem szczery. - Kolejne słowa wypowiedział z wa-

haniem, wręcz niezgrabnie. - Czasami może się wydawać, że jestem oziębły, ale to nieprawda. Wiem, jak zadowolić kobietę. - Urwał. - I będę dla ciebie dobry, miły i delikatny. To też jest ważne.

- Tak... jest bardzo ważne - przyznała z roztargnieniem, wciąż oszołomiona tak obcesowo postawioną propozycją. - Nie bardzo rozumiem... Chcesz kochać się ze mną?

- Myślę, że wyraziłem się wystarczająco precyzyjnie. Czy mam wyrazić się jaśniej?

- Nie, wyraziłeś to wystarczająco zrozumiale. - Odsunęła się od niego. - Myślę, że nie powinniśmy byli tu przychodzić. Nastrój tego miejsca najwyraźniej wyprowadził cię z równowagi.

- To nie legowisko Philippe'a nasunęło mi te myśli. Od trzech dni mam ochotę poprosić cię, żebyś się ze mną przespała.

- Przecież prawie na mnie nie patrzyłeś.

- Bo odczuwam ból, kiedy na ciebie patrzę - wyznał szczerze.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, nie tyle z powodu samej informacji, ile dlatego, że człowiek tak powściągliwy jak Alex wyznał coś takiego.

- Pragnę cię od pierwszego wieczoru, lecz nie chciałem, żeby do tego doszło. Myślałem, że jeśli zajmę się ciężką pracą, to będę tak zmęczony, że nie... - Pokręcił głową. - Ale to nie pomogło. Jest gorzej niż było i wiem, że muszę położyć temu kres. Chciałem nawet cię uwieść, ale to nie byłoby uczciwe. Zasługujesz na szczerłość.

- Dziękuję - odparła, wciąż oszołomiona. - Już skończyłeś?

- Prawie. Powiedziałem ci, że cię pragnę.

- I co tu jeszcze jest do dodania?

- Potrzebuję cię.

Wypowiedział te słowa z bolesną wręcz żarliwością; przeniknął ją nagły dreszcz. Mówił prawdę. Z jakiegoś powodu rzeczywiście jej potrzebował i to tak gwałtownie, że natężenie jego emocji działało na nią jak magnes.

Postąpiła krok w jego stronę i zatrzymała się gwałtownie. *Sacre bleu*, co ona robi? Nie chciała tego.

- Nie.

Głęboko zaczerpnął tchu i powoli wypuszczał powietrze.

- Przemyśl to jeszcze. Żadnych zobowiązań, tylko nieustająca erotyka, dopóki oboje się nie znudzimy.

- Nie chcę nawet o tym myśleć. - Odwróciła się z zamiarem odejścia. - To mnie zawstydza.

- Zaczekam, aż oswoisz się z tą myślą. - Otworzył drzwi i odsunął się, robiąc jej miejsce. - Ale bądź pewna, że ponowię próbę, Caitlin.

- Ostrzegam, że nie zmienię zdania. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jesteś zbyt impulsywny. Zbyt gwałtownie dążysz do celu. Byłbyś przeszkodą w tym, czego chcę dla Vasaro.

- Wypróbuj mnie. Czy to boli?

Miała przeczucie, że będzie bolało, i to bardzo. Zdażyła się już przekonać, że nie potrafi beztrudnie traktować luźnej znajomości. Alex wydawał się przekonany, że się nie zaangażuje, lecz ona nie mogła być tego pewna. W ciągu krótkiego czasu, który spędził w Vasaro, zdołał ją zafascynować i poruszyć wyobraźnię bardziej, niż udało się to wcześniej jakimkolwiek mężczyźnie.

- Wypróbuj mnie - powtórzył.

Nie odpowiedziała, szybko wspinając się na wzgórze.

W drodze powrotnej do domu żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Znów ją obserwował.

Caitlin powoli odwróciła wzrok od Alexa, ogałającego z kwiatów krzew lawendy.

Wcale nie usiłował zwrócić na siebie jej uwagi. Czowała, że jest równie bezradny jak ona, na próżno starając się nie spoglądać w jej stronę. Wrzuciła kwiat do koszyka i machinalnie sięgnęła po następny.

Dieu, doszło już do tego, że nie musiała nań patrzeć, by mieć jego obraz przed oczami. Był gorący dzień i zarówno on, jak i inni mężczyźni zdjęli koszule. Pot błyszczał na opalonej skórze jego pleców i ramion; w ciemnym, mocno skręconym owłosieniu torsu dostrzegła małe, sterczące brodawki piersi. Odgarnąwszy czarne włosy z czoła, przepasał je skręconą niebiesko-białą chustką, którą pożyczył od Pierre'a. W tej przepasce wyglądał jak dzikus. Gdy schylał się w rytm zbioru kwiatów, mięśnie jego płaskiego brzucha grały pod skórą.

- Niezły. - Renee rzuciła Caitlin figlarne spojrzenie. - Gdybym nie była żoną mojego cudownego Pierre'a, zazdrościłabym ci.

Caitlin powinna była czuć jedynie zapach lawendy, mogła jednak przysiąc, że nawet z tej odległości dobiega ją delikatna woń limony i piżma - zapach wody kolońskiej Alexa.

- Nie ma powodu, żebyś mi zazdrościła.

- Nie? Jak można nie zazdrościć komuś, kto gości pod swoim dachem takiego przystojniaka? - Renee wrzuciła kwiat do kosza. - Czy wciąż mieszka w drugim końcu korytarza?

- Tak.

- Zawsze byłaś trochę dziwna. Czemu nie miałabyś pozwolić sobie na trochę przyjemności?

Caitlin nie odpowiedziała.

- Patrzy na ciebie, jakby miał ochotę cię zjeść. Może właśnie tak jest. Czy jakiś mężczyzna kiedykolwiek...

- Nie chcę rozmawiać na ten temat.

- Ten Claude, o którym mi kiedyś mówiłaś, był jeszcze dzieckiem, nieprawdaż? Niewiele skorzystałaś.

- Widzę, że się dobrze bawisz.

- Jakbyś zgadła. - Renee odwróciła się przez ramię. - Znow na ciebie patrzy.

Nie, nie spojrzysz w jego stronę. To by ją tylko jeszcze mocniej zaniepokoiło. Nie będzie zwracać uwagi na Alexa, skoncentruje się na pracy.

Powoli, w poczuciu bezradności, spojrzała na pole tam, gdzie stał.

Wpatrywał się w nią uporczywie.

Znieruchomiła. Powiał wiatr, głaszcząc jej twarz i szyję ciepłym oddechem i przylepiając bawełnianą koszulkę do piersi. Czuła, jak sztywnieją jej sutki, a piersi pełnieją i nabrzmiwiają, zaś płęć daje o sobie znać gwałtownym, niemal bolesnym uczuciem mrowienia.

Usłyszała ciche gwizdnięcie Renee.

- Skoro tak się rzeczy mają, lepiej przejdź się na koniec korytarza, moja droga. Łóżko jest wygodniejsze niż gola ziemia.

Caitlin odwróciła wzrok od Alexa i ponownie zaczęła zrywać kwiaty.

Wcale nie czekam na jego powrót, wmawiała sobie. Po prostu nie mogłam spać i potrzebowałam odetchnąć świeżym powietrzem.

Caitlin wygodniej usadowiła się na poduszkach ułożonych na ławie pod oknem, nie odrywając wzroku od rozciągających się w dole pól. Okłamywała się. Nie mogła zasnąć, ponieważ Alex był poza domem.

Wczorajszej i przedwczorajszej nocy stała przy oknie obserwując, jak schodzi ze wzgórza na pola ciężkim, nierównym krokiem. Nie było go wtedy wiele godzin, a ona, nie mogąc zasnąć, w napięciu oczekiwała jego powrotu.

Właśnie nadchodził; szybko, zręcznie wspinał się na wzgórze.

Noc była tak cicha, że słyszała jego kroki na trawie, a nawet rytm oddechu. Księżyc oświetlał jego połyskujące czarne włosy i obwodził jasnym wyrazistym konturem linie sylwetki. Zanim wszedł na kamienne schody, zatrzymał się i spojrzał w jej okno na piętrze.

Szybko odskoczyła za zasłonę.

- Caitlin?

Milczała.

- Wiem, że tam jesteś. Widziałem cię.

Nie odzywała się.

Ochryplym głosem wykrztusił kolejne słowa.

- Nie każ mi dłużej czekać. Potrzebuję cię.

Powiedział to już wcześniej. Wtuliła policzek w chłodny jedwab jasnozielonej zasłony, czując, jak jej piersi nabrzmiwiają w niemej odpowiedzi.

Boże, zaczynała myśleć, że i ona go potrzebuje.

Stał nieruchomo jeszcze dobrą chwilę, z mięśniami napiętymi aż do bólu. Potem powoli, ciężko wstąpił na kamienne stopnie i zniknął z jej pola widzenia.

Wstrzymała oddech, słysząc jego kroki na schodach prowadzących na piętro.

Minął drzwi jej pokoju i udał się do siebie.

Myślę, że lepiej nie idź dzisiaj na pole. Czy źle się czujesz, Caitlin? - zapytała Katrine, z z troskaniem wręczając córce filiżankę kawy. - Jesteś ostatnio jakaś nieswoja.

- Czuję się dobrze. - Oprócz tego, że mam chlicę, pomyślała z autoironią. Zastanawiała się, jak zareagowałaby Katrine, gdyby to powiedziała. Wyobrażała sobie, że miłość cielesna była dla Katrine czymś w rodzaju estetycznego pudełka cze-

koladek. Nie potrafiłaby zrozumieć trawiącej córkę gorączki.
- Może tylko jestem trochę zmęczona.

- Nie dalej jak wczoraj przy kolacji Alex powiedział, że pracujesz zbyt ciężko. A swoją drogą mogłabyś przerywać pracę i przychodzić na kolację, kiedy mamy gościa.

- Alex nie jest gościem. Jest naszym współnikiem w interesach. - Chciała, żeby Katrine przestała mówić o Alexie. Szybko wypła duży łyk kawy i odstawiła filiżankę. - Muszę już iść.

- Nie zaczekasz na Alexa? Od dwóch dni nie czekasz na niego. Myślę, że skoro jest tak miły, że pomaga ci w pracy na polu, powinnaś zdobyć się na uprzejmość i...

Drzwi kuchenne zamknęły się za Caitlin, zagłuszając płynące słowa.

- Matko Święta - szepnęła Caitlin - co się ze mną dzieje?!

Dwie minuty później Alex ją dogonił. Nie zatrzymała się ani nie podniosła nań wzroku.

- To nie może tak dłużej trwać - rzekł cicho, zrównawszy z nią krok. - To nie ma sensu. Czemu mi się opierasz? Nie zrobię ci krzywdy.

Przełknęła, by pozbyć się nieznośnego uczucia dławienia w gardle. Wzrok cały czas miała skierowany prosto przed siebie.

- Jestem zdrowy i wcale nie taki okropny. Spodobam ci się.

Wschodziło słońce, barwiąc pola lawendy wspaniałą purpurą, lecz niemal nie zauważała roztaczającego się przed nią piękna.

- Nie mogę jeść. Nie mogę spać. Leżę w łóżku i myślę o tym, co chciałbym z tobą robić. - Wypowiadał słowa cicho, prawie szeptem, lecz każde było dla niej jak uderzenie. - Nie zaszkodzi twojemu Vasaro. Chcę tylko... - Urwał, a kiedy przemówił ponownie, jego głos był przepełniony goryczą. - Dobrze wiesz, czego chcę.

Wydłużył krok i po chwili zostawił ją daleko w tyle.

4

Była już prawie północ, gdy zobaczyła, jak Alex wychodzi z domu i schodzi ze zbocza w stronę pól.

Zamknęła oczy, przywierając rozpalonym policzkiem do chłodnej szyby. *Merde*, miała ochotę pójść za nim. Czemu tak to odczuwała? Pożądanie nie powinno być tak silne. Nie mogła ani myśleć, ani pracować, ani też skupić się na ważnych sprawach. Obecność Alexa bezustannie ją niepokoiła. Wkrótce Vasaro przestanie z niej mieć jakikolwiek pożytek. Przeszkadzał jej we wszystkim, co robiła.

No nie, przecież w pracy przeszkadzał jej nie Alex Karazov, lecz to, jak reagowała na jego obecność.

Uświadomiwszy to sobie, wyprostowała się gwałtownie. Jej przeciwnikiem nie był sam mężczyzna, lecz pożądanie, które doń czuła. Czemu dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy?

Serce biło jej w piersi tak mocno, że z trudem łapała oddech. Alex może być jej. Może nawet okazać się to korzystne dla Vasaro.

Zerwała się na nogi i pospieszyła ku drzwiom.

Nie zostawiając sobie czasu na myślenie, zbiegła po schodach i wypadła na dwór przez frontowe drzwi. Ciepły wietrzyk niósł zapach pozostałej jeszcze na polach lawendy, którą mieli zbierać nazajutrz, i przyklepił bawełnianą koszulę nocną do ciała.

Alex zniknął jej już z pola widzenia; popędziła za nim drogą. Mijał właśnie pola różane, przyspieszając kroku.

Nie wiedziała, czemu go nie woła. Zatrzymałby się wtedy i poczekał na nią.

Nie musiała krzyżeć. Jeszcze nim doszedł do pola jaśmi-

nu, zatrzymał się gwałtownie i obejrzał przez ramię, jakby wyczuwając jej obecność.

Przeraził ją wyraz jego twarzy.

Potknęła się i przystanęła w niepewnym oczekiwaniu.

- Coś podobnego - odezwał się gardłowym głosem. Przewędrował wzrokiem od jej zmierzwionych włosów wzdłuż nocnej koszuli bez rękawów ku stopom w miękkich pantofelkach, po czym wyciągnął do niej rękę. - Chodź, Caitlin.

Powoli podeszła do niego.

Wpatrywał się w nią w napięciu.

- Tak? - zapytał głucho.

Z trudem wydobyła odpowiedź ze ściśniętego gardła.

- Tak.

Otoczył dłonią jej nadgarstek i pociągnął ją na pole jaśminu.

Caitlin niemal nie czuła miękkiej ziemi pod cienkimi podeszwami pantofelków, nie zdawała sobie sprawy z duszącego zapachu jaśminu, nie zauważała księżycowej poświaty srebrzącej ciemne włosy Alexa, gdy prowadził ją głębiej w pole.

- Alex, gdzie...

- Tutaj - odezwał się i spojrzał jej prosto w oczy. - Nie mogę już dłużej czekać. - Nerwowymi ruchami rozpiął pasek u spodni. - Zrzuć z siebie tę koszulę.

Patrzyła na niego niepewnie. Widziała napięty wyraz jego twarzy i nagle poczuła taki sam lęk, jaki ogarnął ją, kiedy przed chwilą odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Prędej. - Gorączkowo pozbywał się części ubrania, nie odrywając od niej wzroku. - Błagam cię, tylko nie zacznij się znowu zastanawiać. - Stał przed nią nagi, zuchwały, pobudzony. Postąpił krok w jej stronę. - Nie zniósłbym tego.

Ściągnął jej koszulę przez głowę i odrzucił.

- Chodź.

Zbliżyła się do niego i nagle została doń przyciągnięta, przywarła do jego ciała, czując na obnażonych piersiach szorstkie owłosienie jego torsu. Ocierał się o nią wydając niskie, chrapliwe dźwięki.

Czuła się jak w ogniu. Podświadomie starała się jeszcze mocniej przywrzeć do Alexa.

Pochylił głowę i szeroko otworzywszy usta objął nimi za-

chłannie jej prawą pierś. Ssał ją, kąsał i lizał, cały czas wydając gardłowe dźwięki.

Caitlin dyszała ciężko, wbijając palce w jego włosy. Nie mogła myśleć.

- Alex, to jest... - Głos uwiązał jej w krtani. Nie wiedziała, jak wyrazić to, co się z nią dzieje.

Pociągnął ją na ziemię.

- Tak niedobrze - wydyszał chrapliwie. - Nie mogę... - Przewrócił ją na plecy i rozchylił jej uda, gorączkowo ją gładząc, jakby badając miękkość skóry. Dotknął jej dwoma palcami - wskazującym i środkowym, po czym gwałtownie je w niej zagłębił.

Krzyknęła; mięśnie jej brzucha napięły się, zaczęła więc się konwulsyjnie, czując w sobie jego szybko poruszające się palce.

- Ależ jesteś ciasna - zamruczał. Przysunął się bliżej; poczuła lekki ucisk jego twardej męskości. Wycedził przez zęby: - Chcę... znaleźć się w tobie.

I ona pragnęła, by to zrobił. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, walczyła o złapanie tchu. Objęła dłońmi jego ramiona, wbijając mu paznokcie w ciało.

Wszedł w nią głęboko z ogromną siłą.

Cudowne uczucie wypełnienia sprawiło, że ogarnęła ją gwałtowna fala rozkoszy.

Znieruchomiał. Oczy pałały mu w rozpalonej twarzy.

- Jakie to miłe...

- Proszę, zrób to. - Ściskając jego ramiona, z trudem wydobywała słowa przez spierzchnięte wargi. - Nie mogę już wytrzymać. - Uniosła biodra, starając się zespolić z nim jak najściślej.

- Boję się poruszyć. - Przymknął oczy. - Nigdy jeszcze tak się nie czułem. Mam ochotę cię rozerwać, chcę...

- Rób, co chcesz. - Caitlin ponagliła go ruchem bioder. - Proszę, błagam...

Wstrząsnął nim nagły dreszcz; powoli otworzył oczy.

- Ja... mówiłem ci. - Jego głos zabrzmiał jak pomruk.

- Weź mnie...

Wysunął się z niej i ponownie pograżył mocnym pchnięciem.

Caitlin wygięła ciało w łuk i wydała zduszony jęk rozkoszy.

- Lubisz mnie? Lubisz to? - dyszał chrapliwie w rytm silnych pchnięć. - Powiedz.

- Lu... lubię to. - Unosząc biodra, starała się dostosować do jego rytmu.

Poruszał się w niej coraz szybciej, czuł, że traci panowanie nad sobą. Pokrywał ją, jak ogier pokrywa klacz, ujeżdżał zapamiętane.

- Teraz. - Wsunął dłonie pod jej pośladki i unosił ją w rytm pchnięć. - Caitlin, chcę... - wyrzeźbił. Rozdymał szeroko nozdrza przy każdym chrapliwym oddechu. - Nie! Chcę... jeszcze. - Poruszał się gwałtownie, kręcąc biodrami. - Pomóż mi, chcę jeszcze...

Nie mogła mu pomóc. Nie potrafiła nawet pomóc sobie. Toczyła głową na boki na miękkiej ziemi; z jej gardła wydobywały się ciche jęki.

Księżyc. Ziemia. Jaśmin. Limona. Piżmo. Alex.

Alex znieruchomiał, tylko jego tors unosił się i opadał w rytm oddechu.

- Cholera, cholera... - powtarzał zapamiętane, a potem dodał coś w języku, którego nie rozumiała, i rozpoczął nową serię mocnych pchnięć.

Niewysłowiona rozkosz ogarnęła ją gorącą falą. W chwilę później poczuła spazmatyczne skurcze Alexa, który wlewał w nią swoje nasienie.

Opadł na nią, wciąż poruszając biodrami, jakby nie mogąc przestać, mimo iż osiągnął spełnienie. Po chwili znieruchomiał, dysząc ciężko; czuła na sobie luby, ciepły ciężar jego ciała.

Boże, jak to możliwe, zastanawiała się oszołomiona Caitlin. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się ulec tak silnym namiętnościom.

Oddech Alexa stawał się coraz równiejszy i spokojniejszy.

- Przepraszam - rzekł łamiącym się głosem. - Byłem zbyt brutalny. Straciłem panowanie nad sobą.

- Oboje straciliśmy. - Spojrzała na niego. - Byłeś bardzo... pierwotny.

- Nie wychowałem się w salonach. - Skrzywił się. - Mam skłonności do prostych zachowań.

- To było... jak żywcem wyjęte z dżungli. Dzikie...

- Ale miłe? - Pieścił jej piersi, obejmując je i unosząc

stwardniałymi dłońmi. - Masz wspaniałe piersi. Chciałem z nimi robić to, co teraz, od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. Lubisz mnie?

- Tak. - Zaśmiała się drżącym głosem. - Ja też jestem zupełnie pierwotna. - Nagle zdała sobie sprawę, że leży na gołej ziemi, a rzędy białych jaśminowców stoją w swojej krasie po obu ich stronach, jakby pełniąc wartę. - Renee mówiła, że łóżko jest wygodniejsze, ale nie jest tak źle. To dobra ziemia Vasaro.

- Rozmawiałaś o mnie z Renee?

Pokręciła głową.

- Ona rozmawiała ze mną o tobie. Twierdziła, że jestem zadowolona, że nie zrobiłam tego z tobą wcześniej.

Odsunął się i uniósł ją tak, że usiadła.

- A ja myślałem, że jesteś sadystką. Doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Jeszcze jeden dzień taki jak dzisiejszy i rzuciłbym cię na ziemię na oczach zbieraczy. Boże, jak to dobrze, że posłałaś po rozum do głowy. - Pomógł jej włożyć koszulę i zaczął ją zapinać. Nagle spoważniał.

- Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie. A ja tobie?

Zachichotał.

- Też nie, ale Renee ma rację, materac byłby o wiele wygodniejszy. Chodźmy do domu zmyć z siebie ten brud i... - Urwał, dostrzegając wyraz jej twarzy. - Nie chcesz?

Nerwowo zwilżyła wargi językiem.

- Wolałabym nie.

Zesztywniał.

- Nie chcesz wracać do domu czy iść ze mną do łóżka? Nie zawsze się tak zachowuję, Caitlin. Następnym razem postaram się być łagod...

- Nie o to chodzi. Po prostu chcę, żeby to zostało... żebyśmy wrócili oddzielnie.

Odetchnął z ulgą.

- To znaczy?

- Nie chcę, żeby dowiedziała się o tym moja matka. Wolałabym, żeby nikt o tym nie wiedział. Nie chcę, żeby to cokolwiek zmieniło.

- Wciąż boisz się, że będę ci przeszkodą w zarządzaniu Vasaro. - Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek. - Mówi-

łem ci już, że nie pozwolę, by to, co robimy, w jakikolwiek sposób było dla ciebie niekorzystne. Jeśli wolisz, żebym pozostał na drugim planie, to w porządku.

Chyba wszystko dobrze się ułoży, pomyślała z ulgą.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Będę miał, jeśli obudzę się w środku nocy i nie będę mógł przytulić się do ciebie. A ty zapewne zbuntujesz się, kiedy następnym razem znajdę się w tobie i będę tak pierwotny jak dzisiaj.

- Nie ma obawy. - Poczwała mrowienie między udami na wspomnienie intensywnych przeżyć sprzed kilkunastu zaledwie minut. - Zobaczysz, że będzie lepiej zachować to w tajemnicy. - Zmarszczyła czoło. - Chociaż nie wiem, jak nam się to uda...

- Nie martw się. Coś wymyślę.

Caitlin jednak przeczuwała piętzące się trudności.

- Moglibyśmy o tym zapomnieć - zaproponowała ostrożnie.

- Byłoby rozsądnie...

- Nie! - zaprotestował z gwałtownością, którą powściągał w kolejnych słowach. - Powiedziałem ci, że wymyślę jakieś rozwiązanie. Oboje tego potrzebujemy. - Gdy wtulił twarz w jej włosy, dobiegł ją jego zduszony głos: - Zobaczysz, postaram się, żeby wszystko ułożyło się dla ciebie jak najlepiej. - Urwał. - Nie uważałem. W porządku?

Matko Boska! Zupełnie zapomniała o możliwości zajścia w ciążę. Jak mogła być taka głupia? Cóż, mogła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu z nadmiaru emocji nie była w stanie myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem samego aktu.

- Caitlin?

- W porządku. Nie będzie żadnego problemu.

Nie ma się co dziwić, że Alex uważał za rzecz naturalną, iż ona o tym wcześniej pomyślała. Miała już dwadzieścia pięć lat i powinna być odpowiedzialną kobietą, nawet jeśli przeczyło temu jej zachowanie. Teraz będzie już rozsądniejsza.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- To dobrze. - Delikatnie pchnął ją z powrotem na ziemię i podwinął jej koszulę do pasa. Żartobliwie mierzwił kręcone włosy otaczające jej płeć. - A czy nie masz nic przeciwko temu, że teraz wrócimy do dżungli?

Następnego dnia Alex nie pojawił się na polach o świcie. O ósmej Caitlin zauważyła Lamborghini skręcające ku drodze do Cannes.

- Dokąd on jedzie? - Renee odprowadzała samochód wzrokiem, podobnie jak Caitlin.

Starła się zbyć to pytanie pozornie beztroskim wzruszeniem ramion.

- Skąd mogę wiedzieć? - dodała po chwili.

- Może wydałaś mu się za trudna do zdobycia? - Renee pilnie wpatrywała się w twarz Caitlin. - Jeśli mężczyzna nie dostanie tego, co chce, od jednej kobiety, zawsze znajdzie wiele innych, które przystaną na jego warunki. Już ja zadbałabym o to, żeby urządzić mu wspaniałe powitanie, kiedy wróci z miasta.

- Nie obchodzi mnie... - Caitlin umilkła, zdawszy sobie sprawę, że bardzo mocno obchodzi ją, dlaczego Alex wyjechał nic jej o tym nie mówiąc, a uwagi Renee bardzo ją drażniły. Za trudna do zdobycia? Minionej nocy dała Alexowi dokładnie to, o co mu chodziło. Być może była nawet zbyt chętna. Wrócili do domu dopiero około trzeciej nad ranem. Teraz, gdy zaspokoił już zmysły, bez wątpienia będzie mu mniej zależeć na jej towarzystwie i miał zamiar zająć się głównie swoimi interesami. Mogła była się tego spodziewać. Mężczyznom często przestaje zależeć na kobiecie, gdy otrzymają od niej to, czego chcieli. Tak właśnie przecież zachował się jej ojciec w stosunku do matki.

Cóż, ona też dostała to, czego chciała, i nie ma teraz prawa uważać się nad sobą.

Ale przecież mógł ją uprzedzić, że nie będzie dzisiaj pracował z nimi na polu.

Alex zdążył już zmienić garnitur na robocze ubranie i siedząc na skrzyni ciężarówki rozmawiał z Jacquesem, gdy nadeszła Caitlin niosąc swój ostatni tego dnia kosz.

- Cześć. - Uśmiechnął się do niej.

- Cześć - odparła z beznamiętnym wyrazem twarzy, wsypując zawartość kosza do ogromnej kadzi.

- Chodź ze mną. - Alex zeskoczył na ziemię, ujął Caitlin za rękę i odciągnął od ciężarówki. - Szybko.

- Jestem zajęta - odpowiedziała chłodno, starając się wy-

oswobodzić rękę z uścisku. - Muszę dopilnować maceracji kwiatów.

- Nie jesteś wcale zajęta, tylko wściekła. - Pomachał ręką Jacquesowi i poprowadził Caitlin drogą. Zniżył głos do melodramatycznego szeptu. - Myślałaś, że cię wykorzystałem i porzuciłem.

- Nie bądź śmieszny. Nie mam żadnego prawa, by się na ciebie gniewać. Oboje dobrze wiemy, co przyciągnęło nas do siebie.

- Masz prawo. - Zatrzymał się na środku drogi i położył dłonie na jej ramionach. - Obiecałem, że będę dla ciebie miły. A zachowanie takie jak to, o które mnie posądzałaś, nie byłoby miłe. - Uśmiechnął się i lekko nią potrząsnął. - A teraz przestań się na mnie gniewać i chodź.

Czuła znajomy zapach jego wody kolońskiej, a jej ciało reagowało na jego dotyk tak samo silnie jak w nocy.

- Dokąd?

- Do Kwietnej Chatki.

Pierwszą rzeczą, którą Caitlin zauważyła otworzywszy drzwi, była nowiutka bawełniana narzuta rozpostarta na materacu leżącym pośrodku izby.

- Wejdz. - Delikatnie pociągnął ją do izby. Jego niebieskie oczy błyszczały chłopięcym ożywieniem, kiedy powiódł ręką w szerokim geście. - Wszystko wyszorowałem i kupiłem pościel w Cannes. - Wskazał głową wiaderko z lodem. - Mamy dobre wino. - Uśmiechnął się szeroko. - Oczyszczyłem nawet komin z ptasich gniazd, żebyśmy mogli rozpalić ogień, jeśli zrobi się chłodno.

Rozglądała się po izbie, oszołomiona. Pomieszczenie zostało starannie wysprzątane i wręcz lśniło czystością.

- Pięknie to urządziłeś. Ale dlaczego?

- Powiedziałem ci, że coś wymyślę - odparł. - Mówiłaś, że nikt tu nie przychodzi, więc nikt też nie odkryje, że my tu przychodzimy. Będziesz mogła sobie mieć swoje Vasaro. - Delikatnie odgarnął brązowe loki z jej twarzy. - A ja będę mógł mieć ciebie. To dobre rozwiązanie, prawda?

Wysprzątanie tego wnętrza musiało kosztować Alexa wiele godzin ciężkiej pracy. Pracował sam, w tajemnicy przed wszystkimi, żeby nikt nie dowiedział się o ich związku, gdyż

wiedział, że jej na tym zależy. Mówił, że jego zdaniem delikatność jest bardzo ważna i teraz miała namacalny dowód na prawdziwość jego wiary w te słowa.

- Postanowiłem nie obsypywać pościeli płatkami kwiatów.
- Spojrzał na nią poważnym wzrokiem. - Nie jest to w moim stylu. Mam nadzieję, że to ci nie czyni różnicy.

Nie uczyni żadnego romantycznego gestu, gdyż byłby on fałszywy, biorąc pod uwagę usługowy charakter ich znajomości. Zrobiło jej się trochę smutno, lecz szybko uznała swoją reakcję za idiotyczną. Nie potrzebowała romantycznych gestów z jego strony, skoro oferował jej uczciwość i troskę. Jej ojciec nie dawał matce niczego poza kłamstwami i pustymi romantycznymi gestami. Nawet lepiej będzie się czuła bez jedwabnej pościeli i płatków róż.

Rzuciła się w ramiona Alexa tak naturalnie, jakby robiła to już uprzednio setki razy.

- Nie - stwierdziła. - Zupełnie mi na tym nie zależy. Zawsze zresztą wydawało mi się, że Philippe nieco z tym przesadzał. Jestem pewna, że jego kobiety bardziej obchodziło to, kto jest nad nimi, niż co leży pod nimi.

Pójdę pierwsza. - Caitlin szybko zapięła bluzkę i zaczęła upychać ją w spodnie. - Wyjdź gdzieś po dziesięciu minutach.

- Czemu to dla ciebie takie ważne, żeby nikt o nas nie wiedział? - zapytał leniwie Alex, unosząc się na łokciu, by na nią popatrzeć. Naprawdę nieporozumieniem było zakrywanie tych wspaniałych piersi i bioder. Jednak zgrzebność jej stroju roboczego była dlań niezwykle pobudzająca teraz, gdy wiedział już, jakie cudowności się pod nim kryją. Po pięciu dniach bardzo dokładnego zapoznawania się z jej ciałem, znał je naprawdę doskonale. - Czuję się jak ten trzeci.

- To naprawdę nie jest ważne. - Caitlin unikała jego wzroku. - Tak jest po prostu... wygodniej.

- Myślisz, że twoja matka miałaby coś przeciwko temu?

- Nie, nie.

- Jacques i zbieracze mocno stoją na ziemi. Z ich strony nie grożą ci żadne szykany.

- Wiem.

- Więc o co chodzi?

- Wolę utrzymać nasz związek w tajemnicy. Pokręcił głową, nie przestając się jej przyglądać.
- To nielogiczne.
- Czy wszystko musi ci się wydawać logiczne?
- Nie, ale usiłuję to zrozumieć. Nasze pobudki sprawiają, że zachowujemy się tak, a nie inaczej, ale zawsze musi być przyczyna i skutek. - Odrzucił prześcieradło i wstał. - Mamy skutek. Jaka jest przyczyna?
 - Boże, ale jesteś uparty - rzuciła ze zniecierpliwieniem i ruszyła do drzwi. - Zadałeś sobie tyle trudu, żeby wysprzątać tę chatę, bo rozumiałeś moją potrzebę prywatności, a teraz...
 - Chcesz wiedzieć, dlaczego - dokończył ze zmarszczonym czołem i zaczął się ubierać. - Po prostu wydaje mi się to dziwne. Nie ma dla mnie znaczenia akurat to, że chcesz, żebym pozostał w cieniu. Jestem po prostu ciekaw.
 - Wszystkiego, co się dzieje na tej planecie.
 - Prawie. - Obserwował ją spod zmrużonych powiek. - Chodzi o twojego ojca, prawda?
Znieruchomiła.
 - Nie wiem, co masz na myśli.
 - Przyczynę. - Skinął głową. - A więc o to chodzi. Przyjechał do Vasaro, związał się z twoją matką, a kiedy wyjechał, Vasaro było niemal w ruinie. Dostrzegasz pewną zbieżność. Usiłowała się uśmiechnąć.
 - To nieprawda. To, co robimy, nie może zaszkodzić Vasaro.
 - Niby o tym wiesz, ale...
 - Na litość boską, czyżbyś starał się rozszyfrować mnie dla potrzeb swojej książki?
 - Piszę powieści sensacyjne, a nie psychologiczne. - Nie spodziewanie roześmiał się. - Przepraszam. Dałaś mi zagadkę, a rozwiązywanie zagadek to moja pasja. Nie mam już więcej pytań.
 - Bo sądzisz, że znalazłeś odpowiedź.
 - Tak - przyznał miękko. - Nie obawiaj się, że nie dam ci, czego chcesz, Caitlin. Chcę jedynie zrozumieć, dlaczego tego chcesz. - Otworzył przed nią drzwi i delikatnie pocałował w policzek. - A więc dziesięć minut. Czy zobaczymy się na kolacji?
Pokręciła głową.

- Muszę iść do laboratorium.
- Po co?
- Do Tańczącego na Wietrze. Odkąd tu jesteś, byłam tam nie więcej niż dwa razy.
- Miło mi słyszeć, że jestem takim silnym konkurentem. Czemu się nim zajmujesz? Co robisz...
- To nie twoja sprawa - odparła z nagłą gwałtownością. - Naprawdę nie wszystko, czym się zajmuję, musi cię interesować.

Znów to samo. Za każdym razem, kiedy napomykał o Tańczącym na Wietrze, natychmiast ucinała rozmowę, pilnując swojego sekretu jak kapłanka strzegąca świętego ognia.

- W porządku, o ile pozwolisz mi interesować się swoim ciałem. - Z czułością poklepał jej pośladki. - Czy mówiłem ci, jak wspaniałą masz pupę?

Roześmiała się; zobaczył, że napięcie częściowo zniknęło z jej twarzy.

- Na razie, Alex.

Uśmiech na jego twarzy gasł powoli, gdy obserwował, jak żwawo wybiega z domku i wspina się na wzgórze. Niech to szlag! Caitlin najwyraźniej miała straszliwe kompleksy wywołane porzuceniem przez ojca i nie tolerowała zbytnej dociekliwości na ten temat, zaś pasja dotycząca Tańczącego na Wietrze również znajdowała się na liście tematów zakazanych. Czemu nie potrafił zostawić tych tematów w spokoju? Miniony tydzień spotkań w Kwietnej Chatce był chyba najbardziej ekscytujący w całym jego dotychczasowym życiu. Sądził, że ich namiętność po kilku dniach osłabnie, lecz nadal lgnęli do siebie z tą samą gwałtownością, co pierwszej nocy na polu jaśminowym. Caitlin była cudowną, namiętną, podniecającą kochanką.

Pragnął jednak czegoś więcej.

Uświadomienie sobie tego faktu zaskoczyło jego samego. Pragnął ją poznać. Z początku myślał, że Caitlin jest dokładnie taka, jakie sprawia wrażenie - że jest trzeźwo myślącą, bezpośrednią kobietą, której siła tkwi w miłości do Vasaro i tutejszych ludzi. Lecz wkrótce przekonał się, że władają nią również silne namiętności i emocje, które starała się skrywać pod maską chłodnej obojętności. Wielokrotnie zaskoczyło go jej poczucie humoru i z pewnością była bardziej matką niż

córką w stosunku do Katrine. Łączyła ją głęboka więź z Jacquesem, lecz nie było w tym nic z układu ojciec - córka; byli równymi sobie partnerami. Caitlin była jedną ze zbieraczek, a jednak, kiedy zachodziła potrzeba, potrafiła się od nich zdystansować. Ilekroć się nad nią zastanawiał, odkrywał jakąś nową jej cechę, którą intrygowała go i pobudzała do odkrywania czegoś więcej.

Zaczynała pełnić w jego życiu zbyt ważną rolę.

Na tę myśl poczuł zimne ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Rozmyślnie doprowadził ją do momentu, w którym stała się dlań wyzwaniem. Lecz coś mu się nie udało.

Wyszedł z domku i zamknął za sobą drzwi. Wchodząc na wzgórze, rozmyślał nad rozwiązaniem tej kwestii.

Vasaro.

W Vasaro był zbyt blisko Caitlin. Razem pracowali na polu, czasami spotykali się na posiłkach, a do tego łączyła ich silna fizyczna więź. Mógł sobie teraz pozwolić na myślenie o Caitlin, nic więc dziwnego, że stała się aż tak ważną postacią w jego życiu. W każdym innym miejscu potrafiłyby kontrolować swoje emocje.

Jak tylko wróci do domu, zatelefonuje do Goldbauma. Od czasu ostatniej z nim rozmowy minęły już ponad dwa tygodnie i Goldbaum powinien był zdobyć jakieś nowe informacje, które dałyby Alexowi powód do wyjazdu.

Miał nadzieję, że Goldbaum coś wywęszył.

Nie jestem pewien - ostudził Alexa Goldbaum. - Andreas jest szczwany. Nie mam żadnych dowodów. Tylko... niejasne przeczucie.

- Skoro nie ma nic lepszego, skorzystam z tego i zobaczymy, co się zdarzy.

- Pewnie gównno.

- Cóż, to możliwe. Coś na temat Ledforda?

- Ustalam, co robił przez ostatnie dwa lata. Ale nie mam nic interesującego.

- Pracuj nad tym na wypadek, gdyby nie udało mi się z Andreasem.

Goldbaum westchnął ciężko.

- Mam też innych klientów.

- Pewnie nie takich potulnych jak ja.

- Dobra, potulniaku - zgodził się Goldbaum pogodniejszym tonem. - Dam ci znać.

- Nie, to ja zadzwonię. Prawdopodobnie wkrótce stąd wyjadę.

Alex odłożył słuchawkę, wyraźnie ożywiony.

Punkt zaczepienia. No cóż, może nie był to dobry „hak”, ale na pewno było to już coś.

Wstał i skierował się do drzwi. Po tyłu tygodniach tkwienia w Vasaro ze związanymi rękoma nareszcie mógł wykonać jakiś ruch.

Pospiesznie przemierzył korytarz, zbiegł na dół po dwa stopnie i ruszył do laboratorium w poszukiwaniu Caitlin.

Kłęcząca na podłodze naprzeciwko postumentu, na którym pojawił się obraz holograficzny. Alex dostrzegł w mroku jej ciemną sylwetkę. Światło padające z rzutnika na chwilę oświetliło jej brązowe loki, gdy odchyliła głowę, by spojrzeć na statuetkę.

Poczuł się niepewnie, przypomniał sobie, jak zaledwie przed paroma godzinami porównał Caitlin do kapłanki strzeżonej świętego ognia w świątyni.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

Caitlin podskoczyła i opuściła lornetkę.

- *Merde*, ależ mnie przestraszyłeś. Idź sobie. Mówiłam ci, że dzisiaj wieczorem nie mogę się z tobą spotkać.

- Żeby modlić się przed ołtarzem?

- Nie wygłupiaj się - skarciła go niecierpliwym tonem. - Jak nie masz zamiaru stąd wyjść, to uklęknij obok mnie.

Wolno przemierzył pomieszczenie i przykucnął obok.

- Tak?

Wręczyła mu lornetkę.

- Spójrz na podstawę. Czy jest bez skazy i czy wykonana jest z tego samego gatunku złota co statuetka?

Uniósł lornetkę do oczu i nastawił ostrość na podstawę.

- Jeśli nawet nie, to z bardzo podobnego.

- Ale czy z tego samego?

- To ty jesteś specjalistką od antyków.

- Naprawdę nie wiem - wyznała z goryczą Caitlin. - Potrzebuję więcej informacji. Mam tylko pamiętnik Catherine i książkę, którą napisała w latach dwudziestych Lily Andreas.

Rodzina Andreasów ma dwa inne pamiętniki, w których opisane są dawniejsze dzieje, a większość zawartych w nich informacji nigdy nie została opublikowana. - Machnęła ręką. - Spójrz choćby na mnie. Gapię się na ten cholerny hologram przez lornetkę. Powinnam mieć lepszy sprzęt Muszę zobaczyć prawdziwą statuetkę.

Alex uśmiechnął się.

- Czy mógłbym coś zaproponować?

Caitlin podniosła na niego wzrok Wydawało mu się, że w jej oczach lśni odbicie Tańczącego na Wietrze. Wręcz niesamowite było zestawienie tajemniczego Pegaza z osobą tak mocno osadzoną w ziemskich realiach jak Caitlin. Być może i ona dostrzegła to odbicie w jego oczach? Na krótką chwilę zawładnął nimi Tańczący na Wietrze.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Alex - stwierdziła w końcu z lekkim zniecierpliwieniem. - To dla mnie naprawdę istotne.

- Wiem. - Wyjął jej z rąk pilota. - Jeśli chcesz ją zobaczyć, to jedźmy.

Znieruchomiała.

- Co ty mówisz?

Zgasił rzutniki; Tańczący na Wietrze zniknął z oczu Caitlin. Czuł trudną do wytłumaczenia ulgę wstając i zapalając światło.

- Pakuj walizkę. Na pięciodniowy pobyt wystarczy jedna. Zresztą nie wiem, ile czasu nam to zajmie, ale zawsze będziemy mogli coś dokupić, jeżeli...

- Mam się pakować? A dokąd mam jechać?

- Do Stanów. Paszport masz w porządku?

- Chyba tak. Muszę sprawdzić.

- Jeśli coś będzie nie tak, możemy to załatwić w Nicei. Czy mogłabyś zadzwonić do biura Air France i zrobić rezerwację? Muszę załatwić jeszcze parę telefonów i poprosić o dostarczenie mi pewnych informacji na lotnisko, żeby być dobrze przygotowanym.

- Do czego? — Caitlin wstała. - Nie mogę ot, tak sobie, lecieć do Ameryki. Mam trochę obowiązków w Vasaro.

- A jednym z tych obowiązków jest promocja twoich perfum.

- I o to właśnie chodzi?

Przytaknął.

- Musimy znaleźć punkt zaczepienia, żeby wszcząć kampanię w wielkim stylu.

- A ten punkt jest w Stanach?

- Dokładnie - w Południowej Karolinie. - Uśmiechnął się.

- To Tańczący na Wietrze.

Rozszerzonymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w niego, starając się zrozumieć, do czego zmierza.

- Chcesz namówić rodzinę Andreasów, żeby pozwolili ci wykorzystać Tańczącego na Wietrze w kampanii reklamowej?

- A potrafisz sobie wyobrazić jakiś bardziej romantyczny i emocjonujący symbol?

- Nie... Ale to nigdy się nie zdarzy - dodała z rezygnacją.

- A dlaczegoż by nie? Jesteś spokrewniona z rodziną Andreasów, co otwiera nam drzwi, a resztę biorę na siebie.

- A cóż takiego możemy im zaoferować? Oni nie potrzebują pieniędzy. - Caitlin nerwowo przygryzła dolną wargę. - I nigdy nie zezwolili na to, by statuetka została wywieziona ze Stanów, po tym jak na początku drugiej wojny światowej przechwycili ją naziści. - Ich spojrzenia spotkały się. - Chcesz objechać cały świat?

- Przynajmniej Europę, poczynając od Paryża.

Skrzywiła się.

- Jeśli spodziewasz się, że rodzinne uczucia zmiękczą serce kogokolwiek z rodziny Andreasów, to się mocno rozczarujesz. Jak myślisz, dlaczego wcześniej nie zwróciłam się do nich z prośbą o pozwolenie zobaczenia Tańczącego na Wietrze? Dlatego, że to moja babka namówiła ojca Jonathana, żeby wypożyczył Tańczącego na Wietrze Luwrowi. Kiedy naziści ukradli statuetkę, rodzina Andreasów wpadła w furię i oskarżyła rodzinę Vasaro o to, że nie strzegła jej należycie.

- To było pięćdziesiąt lat temu.

- Członkowie rodziny Andreasów mają dobrą pamięć i długo zachowują urazy.

- Przekonamy się, czy to prawda. - Ujął ją za rękę i pociągnął ku drzwiom. - Sprawa jest warta ryzyka.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

Zatrzymał się i spojrzał na nią wymownie.

- Masz pojęcie, ile będzie kosztowało rozwinięcie dużej kampanii reklamowej?

- Bałam się o to pytać. Domyślałam się, że małą fortunę.
- Całkiem sporą fortunę. Od dziesięciu do piętnastu milionów dolarów.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Masz tyle?
- Mam. Ale jeśli dopisze nam szczęście, nie będziemy musieli wydać aż takiej sumy. Tańczący na Wietrze sam sobie zrobi reklamę. Nie będziemy musieli wymyślać dodatkowych chwytów reklamowych.

Uśmiechnęła się.

- Widzę, że się podkładałeś.
- Zawdzięczam to tutejszej bibliotece i przesyłkom z informacjami, które codziennie otrzymywałem. - I zapewniam cię, że zanim dotrzemy do Charleston, będę wiedział dużo, dużo więcej.

Uśmiech zgasł na jej twarzy.

- Skoro kampania będzie kosztować aż tyle, to czy możemy liczyć na zyski?
- Ile kosztuje wyprodukowanie uncji „Vasaro”?
- Około dwudziestu dolarów. Używamy doń najlepszych składników.

Uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie możemy liczyć na zysk. Policzymy dwieście dolarów za uncję.
- To za dużo - wyjąkała, zaszokowana. - To więcej niż za „Passion” czy „Opium”, czy...
- To nie jest za wysoka cena za dobre perfumy. Czy twoje perfumy są dobre?

- Tak.

- Wyjątkowe?

- To Vasaro - odparła krótko.

Zachichotał.

- To znaczy, że mogą stać się klasyką. Klasyczne perfumy mogą z powodzeniem przynieść pięćdziesiąt milionów dolarów rocznie.

- Nigdy cię jeszcze nie widziałam w takim stanie - stwierdziła oszołomiona.

- To dlatego, że przede wszystkim widziałas, jak tracę czas. Moim głównym zajęciem jest rozwiązywanie problemów, a teraz właśnie mam problem do rozwiązania... - Po chwili dodał:

- Nareszcie.

- A to jest to, co lubisz najbardziej, tak? Wtedy dopiero czujesz, że żyjesz?

Wzruszył ramionami.

- Tak myślę. - Chwycił ją za łokieć. - Jeśli nie ma bezpośredniego lotu do Charleston, zapytaj w Air France, czy jest jakiś nocny lot do Nowego Jorku. Pożegnaj się z matką i wydaj polecenia Jacquesowi.

- Myślę, że wpadłabym na to sama - rzuciła oschle.

- Przepraszam. Zbyt ulegam emocjom, kiedy... z czego się śmiejesz?

- Bo pamiętam, jak powiedziałam ci dokładnie to samo, kiedy mówiłam o Vasaro. Chyba mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślałam.

Jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. Miał ochotę delikatnie przesunąć palcem po łagodnej linii warg.

Czułość.

Odwrocił się, nie dotknąwszy jej.

- Proszę, przynieś egzemplarz swojej pracy o Tańczącym na Wietrze, przypomnij też sobie wszystkie rodzinne opowieści, na wypadek gdyby Andreas okazał się amatorem takich historyjek. Musimy zgromadzić wszystkie atuty, skoro zamierzamy wydobyć od niego Tańczącego na Wietrze.

Co to jest? - Caitlin z zaciekawieniem patrzyła na wycinki z gazet, które Alex rozłożył przed nią na tacy. - Czy właśnie to było w kopercie, którą dał ci ten facet przy stanowisku odprawy?

Skinął głową.

- To wycinki z amerykańskich gazet z ostatniego półrocza. Chciałem zobaczyć, ile miejsca poświęcają kradzieżom dzieł sztuki w Europie. Andreas nie będzie zbyt skory do wypożyczenia Tańczącego na Wietrze, jeśli gazety żerują na tych wypadkach. - Alex zdążył schować wycinki do szarej koperty, kiedy obok nich wyrósł jak spod ziemi steward, oferując filiżankę kawy. Alex uśmiechnął się do niego i sięgnął po filiżankę. - Niestety, widzę, że poświęcono im mnóstwo miejsca.

- Oczywiście, że kradzież dzieła takiego jak *Mona Lisa* wzbudza zainteresowanie całego świata. - Pokręciła głową. - Nie mieści mi się w głowie, że do tej pory jeszcze jej nie odzyskano. Pracownicy Interpolu muszą być kompletnymi idiotami.

Wypił łyk kawy.

- To twoja opinia na temat Interpolu?
- Co masz na myśli?
- Czy przez te kradzieże straciłaś zaufanie do policji?

Zastanowiła się.

- Myślę, że... nie wiem.
- A czy przeraziły cię akty terrorystyczne „Czarnej Medycyny”?

- Na pewno sprawiły, że nie czuję się zbyt bezpieczna.

- To ciekawe. Jesteś w Vasaro bardziej bezpieczna niż dziewięć dziesiątych mieszkańców Europy i zaczynasz się bać. Zastanawiam się, jak reagują na to wszystko ludzie, którym nie dane jest żyć w chronionym ogrodzie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Dlaczego tak się tym wszystkim interesujesz?

- Po prostu jestem...

- Ciekaw - dokończyła ze śmiechem Caitlin. - Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać kogoś tak ciekawskiego jak ty. Przypomnij mi, żebym opowiedziała ci historyjkę o smutnym końcu kotka, który miał tę samą słabostkę.

Spoważniał.

- Już to słyszałem.

Spojrzawszy na niego, natychmiast przestała się uśmiechać. Musiała go zranić. Pod maską obojętności krył się jakiś ból. Zrobiło jej się przykro. Spojrzała zza szyby na ciemne niebo, starając się wymyślić coś, co mogłoby odciągnąć jego uwagę od niewątpliwie ponurych myśli.

- Cieszę się, że kiedy złodzieje zabierali *Monę Lisę*, nie przyszło im do głowy ukraść także *Chłopca wśród pól*. Jest w tym samym dziale Luwru.

- *Chłopiec wśród pól*? Nigdy nie słyszałem o takim obrazie. Kto go namalował?

- Jest nie podpisany. - Umilkła na chwilę. - Namalowała go Juliette Andreas, praprababka Jonathana Andreasa. - Zmarszczyła czoło. - Może powinnam była dodać jeszcze jedno „pra”. Zawsze myślą mi się te „pra”.

- Skoro obraz uchodzi za dzieło nieznanego autora, skąd wiesz, że namalowała go Juliette Andreas?

- Jest o tym wzmianka w pamiętniku Catherine. Juliette wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zostawiając we

Francji portret Michela w Vasaro. Juliette była bardzo utalentowana, ale w tamtych czasach ludzie byli uprzedzeni do chwytających za pędzel kobiet i obraz nie miał szansy trafienia do Luwru. - Wygodniej rozsiadła się w fotelu. - Tak więc Catherine zdecydowała się wziąć sprawę w swoje ręce. Większość wielkich dzieł z Wersalu przewieziono do Luwru około tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, ale w czasach Terroru wypadki toczyły się tak szybko, że Catherine doszła do wniosku, iż nie jest wykluczone, że przeoczone wówczas skrytkę z dziełami mistrzów.

Na twarz Alexa powoli wypłynął uśmiech.

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- To prawda. Jej i Francois udało się przenieść obraz Juliette wraz z dziełami Fragonarda i del Sarto do jednego z apartamentów królowej w Wersalu. Potem Francois zadbał o to, by ukryte arcydzieła zostały „odkryte” przez członków Gwardii Narodowej, a wtedy obraz Juliette został przeniesiony do Luwru wraz z innymi. Ponieważ dzieło nieznanego autora znajdowało się w tak doborowym towarzystwie, uznano, że jego autorem musiał być ktoś wybitny.

- I w ten sposób obraz Juliette Andreas wisi w Luwrze obok dzieł mistrzów. - Alex w zamyśleniu popatrzył w kubek z kawą. - Czy rodzina Andreasów zna tę historię?

- Na pewno. Catherine napisała o tym do Juliette.

- Musiały być prawdziwymi przyjaciółkami, skoro Catherine zadała sobie tyle trudu.

- Przeczytaj pamiętnik.

- Chyba to zrobię. - Uniósł wzrok. - A tymczasem nie byłoby źle, gdybyś przy okazji wspomniała o tym Andreasowi.

- To zamierzchła historia. Miała miejsce w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

- Sama mówiłaś, że Andreasowie mają dobrą pamięć. - Dopił kawę. - Można spróbować.

Udało mi się rozproszyć jego ból, pomyślała z ulgą. Prawdopodobnie historia spisana przez Catherine pomogła mu, tak jak się spodziewałam.

- Jesteś strasznie zdecydowany. Będziesz się chwycił wszelkich możliwych sposobów, prawda?

- Zgadza się - odparł poważnie.

Spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę myślisz, że mamy szansę zdobycia Tańczącego na Wietrze?

- Zdobędziemy go.

- Skąd ta pewność?

- Stać, że ja go zdobędę.

Pokręciła głową.

- Więc nie masz wątpliwości, że to ci się uda?

Nie odpowiedział.

- Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, dlaczego tak ważne jest dla ciebie zdobycie Tańczącego na Wietrze?

Uśmiechnął się.

- To pozwoli mi zaoszczędzić masę pieniędzy.

- Ale to nie jest jedyny powód, prawda?

- A nie jest wystarczający? Nie wszyscy przecież musimy pasjonować się antykami.

Czuła, że nie uzyska od niego innej odpowiedzi. Nie wiedziała, czemu tak ją to zabolalo. Nie chciała przecież ujawniać własnych uczuć wiążących się ze statuetką, a poza tym powiedziała Alexowi, że nie interesują jej powody, dla których chce on uratować Vasaro. A jednak teraz coś się zmieniło. Czuła się zraniona, że nie był wobec niej szczerzy.

Splótł palce z jej palcami; jego silny uścisk dłoni działał jak kojąca pociecha.

- Postaraj się zasnąć. W Nowym Jorku będziemy dopiero za cztery godziny, a potem mamy jeszcze dwie... Będziesz wykończona, zanim dotrzemy do Port Andreas.

- Nie mogę zasnąć. Denerwuję się. Jestem zbyt niespokojna. Czy on nas zechce przyjąć?

- Jesteśmy umówieni na jutro na piętnastą. Przed wyjazdem zatelefonowałem z Vasaro do osobistego sekretarza Andreasa, Petera Maskovela, i ustaliłem termin. - Pokręcił głową. - To poszło aż zbyt łatwo. Wymieniłem twoje nazwisko, a Maskovel niemal krzyknął z radości.

- To wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Będziemy musieli działać jeszcze szybciej, kiedy już otrzymamy zgodę Andreasa.

- Wiem, że postępujemy słusznie, ale to wszystko mnie przeraża. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Kręcenie się po świecie i zawieranie transakcji to nie moja specjalność. Mam ochotę uciec do domu i hodować kwiaty.

- Oswoisz się, kiedy wszystko ruszy. Najgorsze jest oczekiwanie. - Uśmiechnął się. - A niby dlaczego miałabyś się obawiać Jonathana Andreasa? Przecież właściwie jesteście kuzynami.

- Za dużo naraz. Tańczący na Wietrze, perfumy, Vasaro.

- No dobrze, skoro nie możesz zasnąć, opowiedz mi jakąś historyjkę.

- Co?

- Opowiedz mi pamiętnik Catherine. Od początku. Zapoznaj mnie ze wszystkimi skandalami w twojej rodzinie.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę chcesz, żebym to zrobiła?

Mocniej ścisnął jej dłoń.

- Naprawdę.

Położyła głowę na oparciu fotela.

- Pierwszy wpis jest pod datą drugiego września tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Catherine była wtedy w klasztorze Abbaye de la Reine...

5

Jestem Peter Maskovel. Czy towarzyszy panu panna Vasaro? - Głęboki głos w bramofonie przy głównym wejściu rozbrzmiewał chłopięcym ożywieniem.

Alex posłał rozbawione spojrzenie siedzącej obok Caitlin.

- Jest obok.

- Otwieram bramę; będę na państwa czekał przy głównym wejściu. Proszę nie opuszczać samochodu, dopóki nie dojadą państwo do budynku.

Głos zamilkł, a żelazne skrzydła bramy zaczęły się powoli rozsuwać.

Alex wprowadził ciemnoniebieski wypożyczony samochód na teren posiadłości.

- Z pewnością by mnie zawrócił, gdybym powiedział, że zostawiłem cię w Vasaro. Jesteś pewna, że nigdy nie spotkałaś tego faceta?

- Jestem pewna. Nawet o nim nie słyszałam.

Wysoka żelazna brama zamknęła swe podwoje za samochodem, a elektronicznie sterowane rygle zasuwę wsunęły się na swoje miejsce.

Caitlin popatrzyła przez ramię na żelazne wrota.

- Czuję się, jakbym dostała się do więzienia o zaostrzonym rygorze. Gdzie są psy gończe?

- Dobermany.

- Dobermany?

- Andreas ma sześć dobermanów strzegących terytorium. To dlatego Maskovel prosił, żebyśmy nie wysiadali z samochodu, póki nie dojedziemy do głównego budynku.

- Skąd wiesz o tych psach? - Po chwili sama odpowiedziała sobie na to pytanie. - Wyczytałaś w gazecie.

Przytaknął.

- Układ osady nie był, co prawda, istotny dla naszych planów, ale nigdy nie zaszkodzi wiedzieć więcej.

- Dlaczego nazywasz to osadą?

- Na tym terenie znajdują się rezydencje wielu członków rodziny Andreasów. Dwie zamężne siostry Jonathana mają letnie domki na wybrzeżu, a jego ojciec ma dom w pobliżu rezydencji. Rezydencja jest otoczona domkami dla gości i dla służby.

Za zakrętem ujrzeni ogromny ceglany budynek z potężnymi białymi kolumnami.

- Robi wrażenie - mruknęła Caitlin. - Arystokracja z Południa. - Przechyleniem głowy wskazała flagę powiewającą na maszcie stojącym przed budynkiem. - Czy nie powinna to być flaga Konfederacji?

- Rodzina Andreasów walczyła po stronie Unii, a Jonathan jest wielkim patriotą. - Prowadząc samochód krętym podjazdem, Alex zauważył, że otwierają się dwuskrzydłowe drzwi domu i na ganek wychodzi szczupły mężczyzna. - To musi być Peter Maskovel. Może być dla nas ważny.

- Czemu?

- Pracuje tu od osiemnastu lat i Andreas darzy go bezgranicznym zaufaniem. - Bacznie przyglądał się zstępującemu ze schodów mężczyźnie. - Razem studiowali w Yale. Maskovel pochodzi z górniczej rodziny z Zachodniej Wirginii i otrzymał stypendium. Jest coś jeszcze... - Zmarszczył czoło, starając się sobie coś przypomnieć. - Aha, Maskovel ma słabe serce. Pięć lat temu przeszedł operację wszczepienia by-passów.

- Nie sprawia wrażenia chorego.

Peter Maskovel był wzrostu niewiele więcej niż średniego, a chociaż nie prezentował imponującej muskulatury, wyglądał zdrowo, imponując opalenizną ładnie odcinającą się od białego cienkiego swetra i szarych spodni. Jego starannie ostrzyżone jasnobrązowe włosy lśniły jedwabście w słońcu, a w mało wyrazistej twarzy zwracały uwagę szeroko osadzone, błyszczące inteligencją brązowe oczy.

- Nie jest chory. Po prostu musi uważać. - Alex zatrzymał samochód i wyłączył zapłon. Odwróciwszy się w stronę Caitlin, obdarzył ją krzepiącym uśmiechem. - Nie denerwuj się. Dostaniemy to, czego chcemy.

- Jak ci już mówiłam, nie jestem w swoim żywiole. - Nerwowo wygładziła spódnice. - Dobrze wyglądam?

Alex rzucił okiem na granatowy kostium, który miała na sobie.

- Świetnie.

Skrzywiła się.

- Wydaje mi się, że mama by się z tobą nie zgodziła. Ten kostium ma pięć lat

- Andreas nie zwróci uwagi na nasz ubiór. - Wysiadł z samochodu. - Chodźmy.

- *Mister Karazov?* - Peter uprzejmie skinął głową i otworzył drzwiczki od strony Caitlin. - Peter Maskovel. - Pomógł Caitlin wysiąść, uporczywie wpatrując się w jej twarz. - A pani musi być Caitlin Vasaro. Czekałem na tę chwilę wiele lat.

Caitlin popatrzyła na niego, oszołomiona.

- Dzień dobry, *mister* Maskovel.

- Jestem Peter. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. Czytałem twoją pracę, którą omówił Beaujolis w swojej dysertacji doktorskiej. To była najciekawsza i najbardziej wnikliwa część całej rozprawy. - Umilkł na chwilę. - Mam zamiar cię wykorzystać.

- Wykorzystać?

- Jesteś w posiadaniu pamiętnika Catherine. Ja mam pamiętniki Cateriny i Sanchii Andreas, ale nigdy nie miałem okazji zapoznania się z pamiętnikiem Catherine. Widzisz, nie wiem nawet...

- Chwileczkę. - Caitlin uniosła rękę, by przerwać ten potok wymowy. - Ty masz pamiętniki Andreasów?

Popatrzył na nią z miną niewiniątka.

- Właściwie stanowią własność Jonathana, ale to tak, jakby były moje. Od roku noszę się z zamiarem zadzwonienia do ciebie. Chciałem prosić o zrobienie na mój koszt kserokopii pamiętnika i przysłanie mi jej.

- Nie mogłabym tego zrobić. Treść pamiętnika jest ściśle poufna.

Wykrzywił twarz w grymasie.

- Obawiałem się, że to powiesz. W pamiętnikach żon Andreasów też można znaleźć sporo rodzinnych tajemnic.

- Czemu tak cię interesuje pamiętnik Catherine?

- Przez całe wieki losy rodziny Andreasów przeplatały się

z losami rodziny Vasaro. Myślę, że moje zainteresowanie wzięło się stąd, że przez lata mieszkałem w pobliżu Tańczącego na Wietrze i chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej. - Łagodny uśmiech rozjaśnił twarz Maskovela i nagle straciła ona swój nijaki wygląd. - Zresztą były i inne przyczyny. Moi najbliżsi już nie żyją i rodzina Andreasów stała się dla mnie drugą rodziną. - Zamyślił się, zmarszczywszy czoło. - A poza tym ciekawi mnie, czy w tym pamiętniku jest jakaś informacja na temat inskrypcji na podstawie statuetki.

Zesztywniała.

- Inskrypcji?
 - Musisz przecież wiedzieć, że napis nigdy nie został zszlifowany?
 - Oczywiście, że wiem, ale...
 - Wybaczcie państwo, może później powrócimy do tej rozmowy - wtrącił Alex. - Nie chciałbym kazać czekać *mister* Andreasowi.

Peter skinął głową.

- Jonathan jest u siebie w gabinecie. - Ujął Caitlin za łokieć i poprowadził ją ku schodom. - Jak mówiłem, zacząłem czytać pamiętniki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Tańczącym na Wietrze. - Schody zawiodły ich do eleganckiego westybulu z błyszczącym dębowym parkietem. - A w zeszłym roku, przeglądając rodzinną korespondencję, natknąłem się na list, w którym jest wzmianka o pamiętniku Catherine.

Caitlin spostrzegła, że Alex z pewnym rozbawieniem przygląda się Maskovelowi. Peter wykazywał wprost dziecięcy entuzjazm, a mimo to czuła, że ma przed sobą całkowicie dojrzałego mężczyznę, który przeżył niejedno. Ta pozorna sprzeczność kazała z tym większym zdziwieniem odbierać niezwykle ożywienie Maskovela, lecz choć wzbudzał w niej sympatię, zaczynało ją ogarniać gwałtowne uczucie zazdrości, a nawet złość. Miał dostęp do dwóch wcześniejszych pamiętników, mógł co dzień oglądać prawdziwego Tańczącego na Wietrze, a wciąż było mu mało.

Peter przystanął przed masywnymi drzwiami z mahoni.

- Będę mógł wrócić jeszcze do tej rozmowy? - zapytał cicho. - Naprawdę muszę przeczytać ten pamiętnik.
 - Porozmawiamy o tym jeszcze. Ale nie mogę obiecać, że coś z tego wyniknie.
 - Dobrze i to. - Obdarzył ją uśmiechem i otworzył drzwi.

- Jonathanie, *mister* Karazov i *miss* Vasaro.

Przepuścił gości przodem, po czym sam wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

Jonathan Andreas był niemal olbrzymem.

Na to przede wszystkim zwróciła uwagę Caitlin, ujrawszy mężczyznę, który odwrócił się od okna w ich stronę. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, muskularne ramiona, potężny tors i posturę drwala. Wydatny nos, pełne wargi, szerokie kości policzkowe, krzaczaste, niemal czarne brwi przydawały mu imponującego wyglądu. Ciemnobrazowe włosy Andreeasa na skroniach przyprószone były siwizną, lecz nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Ubrany był z tą samą co Peter luźną elegancją w granatowy sweter i czarne spodnie.

Skierował się w ich stronę; uśmiech otoczył jego oczy licznymi zmarszczkami. Caitlin przyglądała mu się jak zahipnotyzowana. Z pewnością trudno byłoby uznać Andreeasa za ideał męskiej urody, ale było w nim coś...

- *Miss* Vasaro. - Mocno uściśnął dłoń Caitlin; poczuła się dziwnie uszczęśliwiona. - Mam nadzieję, że pozwolisz mi zwracać się do ciebie Caitlin. Nie wiem, co prawda, co cię tutaj sprowadza, ale bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się przyjechać. Słyszałem tyle opowieści o rodzinie Vasaro i rad jestem, że poznam jej przedstawicielkę.

Zrozumiała, co tak przyciąga do Jonathana Andreeasa. Stwarzał atmosferę bezpieczeństwa, która dawała cudowne poczucie, że w jego obecności nie może się zdarzyć nic złego.

Uśmiechnęła się.

- Nie byłam pewna, czy zostaniemy mile przyjęci. Pamiętam opowieści o tym, jak pański ojciec wpadł w furję dowiedziawszy się o stracie Tańczącego na Wietrze.

- I nadal jest zagniewany. - Czarne oczy Andreeasa błysnęły figlarnie. - To dlatego było mi dane tylko słyszeć o rodzinie Vasaro. - Uwolnił jej rękę i wskazał jeden z dwóch obitych skórą foteli stojących na środku gabinetu przed ogromnym biurkiem z drzewa różanego. - Siadajcie, proszę. Coś mi się wydaje, że Peter zaatakował cię zaraz po wyjściu z samochodu.

- Przyznaję się do winy - oznajmił bynajmniej nie zbity z tropu Peter, opadając na sofę. - Ale *mister* Karazov wybawił ją, zanim udało mi się ją uprowadzić.

- *Mister* Karazov - zwrócił się Andreas do Alexa. - Proszę

mi wybaczyć uchybienie towarzyskie. Nie co dzień zdarza mi się nadrabiać pięćdziesięcioletnie zaniedbania rodzinne.

- Doskonale potrafię to zrozumieć - odparł Alex. - Słyszałem, że świetnie pan sobie radzi z naprawianiem zaniedbań.

Ciepły wyraz twarzy Andreasa tylko nieznacznie się zmienił, lecz Caitlin dostrzegła, iż w jego oczach pojawiła się pewna ostrożność, gdy ponownie, uważniej przyjrzał się Alexowi.

- Robię, co do mnie należy. Nie można dobrze prowadzić interesów, dopóki nie ma idealnego współdziałania. Proszę usiąść.

Alex zajął miejsce w fotelu i uśmiechnął się serdecznie.

- Przekona się pan, że wcale nie czekam, aż pan usiądzie. Gorąco pragnę, żeby zajął pan najwyższe stanowisko.

Andreas skinął głową.

- Powiedział pan Peterowi, że nasza rozmowa będzie dotyczyć interesów. - Zwrócił się Caitlin. - Chodzi o Vasaro?

Przytaknęła.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Potrzebujecie pieniędzy?

- Niezupełnie. - Spojrzała na Alexa. - Wolałabym, żeby wyjaśnił to mój współnik.

- Co chcielibyście uzyskać? - zapytał Alexa Andreas.

- Tańczącego na Wietrze.

Caitlin usłyszała, jak Peter Maskovel wymamrotał coś pod nosem, lecz nie odrywała wzroku od Alexa i Andreasa.

Andreas zachichotał.

- Pan raczy żartować.

- Chcielibyśmy, żeby wypożyczył nam pan Tańczącego na Wietrze. Na krótko. Myślę, że na jakieś pół roku. Caitlin opracowała recepturę perfum, które trzeba wprowadzić na rynek i...

- Chcecie wykorzystać statuetkę jako chwyt reklamowy? - przerwał mu Andreas. - To samo chciałyby zrobić połowa przedsiębiorców na świecie. Myślicie, że wy pierwsi zwracacie się do mnie z podobną prośbą? Tańczący na Wietrze nie służy do takich celów, *mister Karazov*.

- Oczywiście, że nie - przyznał cicho Alex. - Ale w tym przypadku w grę wchodzi coś innego. *Miss Vasaro* może stracić wszystko, co posiada, o ile perfumy nie odniosą sukcesu, a jest pańską krewną.

- Daleką krewną.

- Mimo to myślę, że powinno to czynić sytuację wyjątkową. Ma pan opinię człowieka, który bardzo troszczy się o swoją rodzinę - ciągnął Alex. - Nie mamy zamiaru w nieskończoność korzystać z Tańczącego na Wietrze. Planujemy krótką trasę promocyjną po Europie, a następnie nieco dłuższą w Stanach Zjednoczonych. Potem statuetka wróciłaby do pana.

- To niezwykle uprzejme z pana strony.

Alex nie zwrócił uwagi na ironiczny ton tej wypowiedzi Andreasa.

- Oczywiście skoro chcemy ograniczyć do minimum wykorzystanie Tańczącego na Wietrze, będziemy musieli sięgnąć po jakiś dodatkowy chwyt reklamowy.

- Skąd przyszło wam do głowy, że mógłbym się na to zgodzić?

- Mówiłem już, że liczyłem na pańskie uczucia rodzinne - uśmiechnął się Alex. - I zachętę w postaci sześciu procent z moich dwudziestu pięciu od zysków przez następne pięć lat. Wstępnie szacuję, że ten dochód powinien oscylować wokół trzystu milionów dolarów.

- Całkiem przyjemna sumka. - Andreas oparł się o biurko. - Ale nawet gdybym zdecydował się wam pomóc, absolutnie nie wchodzi w grę zabranie Tańczącego na Wietrze do Europy.

Alex kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Obawia się pan, że statuetka zostanie skradziona. Daję panu słowo, że nie straci pan Tańczącego na Wietrze, jeżeli zgodzi się pan na współpracę. Rozumie się samo przez się, że w pierwszym rzędzie trzeba zadbać o kwestię bezpieczeństwa.

Andreas patrzył na Alexa z powątpiewaniem.

- Ma pan rację, ryzyko zawsze istnieje. Może moglibyśmy skorzystać z usług pańskich służb bezpieczeństwa i odbyć trasę pod pańskim osobistym nadzorem?

Andreas wybuchnął gromkim śmiechem.

- Spodziewa się pan, że mam czas jeździć po świecie ze statuetką? Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, *mister* Karazov.

- To logiczny sposób zapewnienia bezpieczeństwa Tańczącemu na Wietrze. Wszyscy odbiorą to w ten sposób.

Ostatnie zdanie Alex wypowiedział szczególnie dobitnie. Andreas popatrzył na niego spod zmrużonych powiek.

- Co stara się pan przez to powiedzieć?

- Wszystko już powiedziałem.

- To nie wystarczy. - Andreas zwrócił się do Caitlin i rzekł

tonem usprawiedliwienia: - Wybacz, proszę, ale ryzyko jest zbyt duże.

Caitlin poczuła, że gaśnie ostatnia iskierka nadziei. *Merde*, powinna była wiedzieć, że to niemożliwe.

- Proszę przynajmniej posłuchać, jakie są nasze plany. - Alex otworzył teczkę. - Jak tylko wrócimy do Francji, znajdę stylistę, który opracuje projekt flakonika. Sądzę, że zatyczka powinna mieć formę małej figurki Pegaza, przypominającego Tańczącego na Wietrze, i być wykonana ze szkła bakaratowego. - Wyjął z te czki plik rysunków, notatek i zdjęć. - Jak już mówiłem, potrzebujemy dodatkowego chwytu reklamowego, a takim jest najczęściej udział sławnej osobistości. Elizabeth Taylor promuje „*Passion*”, Cher - „*Uninhibited*”, Barysznikow - „*Mishę*”. - Zerwał się z fotela i podszedł do Andreasa. - Tu są zdjęcia i biografie kilkunastu aktorek, które bierzemy pod uwagę.

Andreas niechętnie sięgnął po papiery.

Caitlin obserwowała, jak siada przy biurku z różanego drzewa i rozkłada dokumenty. Było dla niej oczywiste, że nie ma zamiaru pozwolić im na wykorzystanie Tańczącego na Wietrze i stara się jedynie być uprzejmy. Wiedziała jednak, że Alex się nie podda. Na jego twarzy malował się ten sam wyraz zawziętości, z którym pracował na polach.

Andreas zaczął niecierpliwie przerzucać zdjęcia.

- Potrzebujemy kobiety efektownej, inteligentnej i o silnej osobowości... kobiety, która odniosła sukces - wyjaśniał beznamyślnym tonem Alex. - Mój wybór padł na Chelsea Benedict. Bardzo lubię jej filmy. Ale może to być równie dobrze ktoś inny. Glenn Close też ma liczne grono wielbicieli i...

- Chelsea Benedict? - powtórzył Andreas nie unosząc wzroku znad fotografii.

- Zgadzam się, że jest kontrowersyjna, ale myślę, że jej mocne punkty przeważają nad słabszymi.

Andreas spojrzał na Alexa; Caitlin poczuła się niemile zaskoczona widząc chłodny wyraz jego twarzy.

- Widzę, że bardzo starannie przygotował się pan do kampanii.

- To bardzo wstępne założenia, ale nie chciałem marnować pańskiego czasu i przyjeżdżać zupełnie nie przygotowany. - Alex uśmiechnął się. - Przemyśli pan to wszystko? Gdyby chciał pan uzyskać dodatkowe informacje, przez najbliższe

dwa dni będzie mnie można zastać w hotelu „Hyatt” w Charleston.

- Przemyśle. Jest pan bardzo sprytnym człowiekiem, *mister* Karazov. Zastanawiam się, czy Caitlin zdaje sobie sprawę, jak bardzo sprytnym.

W spojrzeniu Alexa pojawiła się czujność.

- Co pan ma na myśli?

- Po tym, jak pan zgłosił chęć zobaczenia się ze mną, poprosiłem Petera, by skontaktował się z moim serdecznym przyjacielem, senatorem. Chcieliśmy się czegoś o panu dowiedzieć.

- Dlaczego? To trochę dziwne w przypadku spotkania dotyczącego interesów.

Jonathan uśmiechnął się nieznacznie.

- Opinie na temat tego, że dobro członków mojej rodziny bardzo leży mi na sercu, nie są wcale przesadzone. Nie podobałoby mi się, gdyby nawet daleka krewna została wykorzystana w celu popierania jakiegoś oszusta.

- Alex nie jest oszustem - pospieszyła z zapewnieniem Caitlin.

- Nie, nie jest - Jonathan wysunął środkową szufladę biurka i wyjął z niej brązową kopertę. - Nasz *mister* Karazov jest bardzo tajemniczy. Peter miał sporo kłopotu, by zgromadzić jego *dossier*. Wygląda na to, że CIA nie życzy sobie żadnych pytań na jego temat. CIA w żadnych okolicznościach nie jest wdzięcznym partnerem, ale znajomy senator powiedział, że ilekroć padało nazwisko Karazov, nabierali wody w usta. Lecz mimo wszystko udało nam się to i owo wydobyć.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odezwał się cierpko Alex.

- Ma pan trzydzieści siedem lat, urodził się pan Rumunii, ale sześć lat temu został obywatelem Stanów Zjednoczonych. Pięć lat wcześniej uciekł pan ze Związku Sowieckiego z człowiekiem o nazwisku Pavel Rubanski. - Jonathan umilkł na chwilę. - Przy entuzjastycznej pomocy CIA. Musiało im bardzo na panu zależeć.

- To znaczy, że był agentem? - wyjąkała Caitlin.

- Nie sądzę - odparł Jonathan. - CIA przydzieliła go do centrum studiów i analiz w Quantico w Wirginii, gdzie pracował sześć lat. Obojętnie, kim tam był, został najwyraźniej oceniony nadzwyczaj wysoko, skoro zapewniano mu wszystko,

czego chciał, od udostępniania prywatnego odrzutowca na weekendowe wypady - przeniósł wzrok z Caitlin na leżące przed nim dokumenty - po zapewnianiu usług panienek bio-rących tysiąc dolarów za dobę.

- Widzę, że dowiedział się pan o mnie bardzo wiele rzeczy - wtrącił zimno Alex. - Skoro tak świetnie mi się tam powiodło, to czemu zdecydowałem się odejść?

- Coś się musiało wydarzyć - rzekł Jonathan. - I tu mamy kolejny znak zapytania. Z jakiegoś powodu odszedł pan, budząc wściekłość współpracowników z Quantico. Zazwyczaj wściekli ludzie wrzeszczą i użalają się, tymczasem CIA udało się wyciszyć wszystko, co dotyczyło tej sprawy.

- Zapewniam pana, że nie byłem żadnym szalonym naukowcem prowadzącym eksperymenty z bronią chemiczną.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Hipoteza o naukowcu nie przystaje do pańskiej przeszłości w *Specnazie*.

- *Specnazie?* - powtórzyła Caitlin.

- Byłem w wojsku - odezwał się Alex. - *Specnaz* to rosyjski odpowiednik Zielonych Beretów.

- A jednocześnie jedna z najsprawniejszych maszynek do zabijania na świecie - dodał Jonathan.

- Wcale nie sprawniejsza od specjalnych oddziałów armii USA - odparował Alex. - Mam informacje, że służył pan w nich w Wietnamie, Andreas.

- Tak - odparł Andreas. - Ale nie służyłem w KGB. - Umilkł na chwilę. - Służył pan w *Specnazie* zaledwie dwa lata, kiedy KGB przydzieliło panu zadania specjalne.

- Jakie zadania? - zainteresowała się Caitlin. Czują, że w jej obecności rozgrywa się dziwna gra w kotka i myszkę, co przerażało ją i przygnębiało zarazem.

- Czemu jego o to nie zapytasz? - Andreas wygodniej rozsiadł się w fotelu, przyglądając się bacznie Alexowi. - To jest ściśle poufne. KGB nigdy nie było zbyt wylewne, ale jeśli chodzi o Karazova, reagują wprost patologicznie. Nie ulega wątpliwości, że jest niezwykle inteligentny. Ma fotograficzną pamięć, a jego biblioteka w Quantico zawierała książki o szerokim wachlarzu tematów - od starożytnej historii do fizyki jądrowej. Tak, to bardzo wszechstronny człowiek. *Specnaz*, KGB, CIA... wszyscy chcieli zatrzymać go jako maskotkę.

- Zdziwi się pan, ale teraz nikt już nie trzyma mnie w roli maskotki - wycedził Alex.
- Wiem. Mieszka pan w Szwajcarii w luksusowej rezydencji, ma pieniędzy jak lodu i kilkanaście kont w bankach szwajcarskich.
- Alex pisze powieści - rzekła Caitlin. - Pod pseudonimem Alex Kalan.
- Znam ten pseudonim. Prawdę mówiąc, czytałem jego książki i muszę wyrazić swoje uznanie. Jest mistrzem w tworzeniu fabuły. Ale wątpię, czy CIA albo KGB zatrudniały go po to, by dostarczał im lektury. - Jonathan uśmiechnął się chytrze. - I musiał dysponować niezłą fortuną, zanim zaczął otrzymywać honoraria autorskie, bo inaczej nie byłby w stanie kupić domu.
- Najwyraźniej stara się pan dowieść, że cieszę się złą sławą, nie budzę zaufania i szacunku i niebezpiecznie jest wchodzić ze mną w interesy - oznajmił pogodnym tonem Alex.
- Nie całkiem bezpiecznie. - Jonathan zwrócił się do Caitlin. - Myślę, że każdy powinien samodzielnie podejmować decyzje, ale po zapoznaniu się ze wszystkimi przesłankami.
- Więc wykorzystuje ciebie do zadawania mi pytań; nie przypuszcza, żebym odpowiedział, jeśli sam mi je zada.
- Merde*, miała już dość tej ich rozmowy prowadzonej nad jej głową.
- Wydaje mi się, że jest tylko jedno istotne pytanie: co robiłeś dla CIA, Alex?
- Nie odpowiedział od razu i przez chwilę myślała, że w ogóle nie udzieli im odpowiedzi. Potem oświadczył krótko:
 - Rozwiązywałem zagadki.
 - Żartujesz.
 - Nie. - Usta Alexa wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - To nie były żarty. Byłem najlepszy w swoim fachu. Praktycznie ja sam kręciłem całym tym interesem. Nikt nie potrafił robić tego tak jak Alex Karazov.
 - Robić czego? - zainteresował się nagle Jonathan.
 - To bardzo proste. Mam pewien specyficzny talent. Wystarczy dostarczyć mi różne informacje, a natychmiast dostrzegam związek między nimi. Rozważam różne możliwości i warianty i potrafię przewidzieć, co zdarzy się w najbliższym lub bardziej odległym czasie. Czasami nawet bardzo odległym.
 - To brzmi jak hokus-pokus - Caitlin wzruszyła ramionami.

Alex pokręcił głową.

- To tylko szachy w mistrzowskim wydaniu na większą skalę. Osobiście nie angażowałem się w grę. Mówiłem im, jakie ruchy należy wykonać, żeby wygrać. Dzięki mnie wygrali wiele partii. Dokładnie dziewięćdziesiąt dwa i cztery dziesiąte procenta.

- Mówi pan o terenowych operacjach wywiadu? - zapytał Jonathan.

- Głównie. Czasami wypożyczano mnie do innych działań.

- Jakich?

Alex wzruszył ramionami.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli przestaniemy już grzebać w mojej niechlubnej przeszłości. Powiedziałem już wszystko, co istotne. - W stalowoniebieskich oczach pojawił się zimny błysk. - No i co, czy zdecydowałaś się wyrzucić mnie z domu?

- Co? - Prawie nie słyszała pytania. To, co powiedział, wywołało w jej umyśle reakcję łańcuchową i z każdą chwilą czuła coraz większe podekscytowanie.

- Pytam, czy już zdecydowałaś...

- Naprawdę potrafisz rozwiązywać zagadki? Wszystkie rodzaje zagadek? - przerwała mu.

Zamrugał powiekami, lekko zbiły z tropu.

- Tak.

- Naprawdę masz tak niezwykły talent? Nikt nie jest w tym lepszy od ciebie?

- Zapewniam cię, że naprawdę jestem jedyny w swoim rodzaju.

Nie zwróciła uwagi na ironiczny ton głosu.

- To dobrze. - Z niezwykłym ożywieniem i żarliwością zwróciła się do Jonathana: - W takim razie mamy jeszcze jeden atut. Napis na podstawie statuetki nigdy nie został rozszyfrowany. *Mister Maskovel* jest tym najwyraźniej zainteresowany. Czy pan również?

Jonathan znieruchomiał.

- Oczywiście. To zagadka, która dręczyła rodzinę przez całe wieki.

- W takim razie Alex i ja rozwiążemy ją dla pana.

Alex uniósł brwi.

- Tak jest. - Caitlin posłała mu wymowne spojrzenie, po czym zwróciła się z powrotem do Jonathana. - Ja znam się na

antykach, a Alex świetnie rozwiązuje problemy. Kto więc ma większe szanse niż my?

Jonathan milczał dłuższą chwilę, po czym stwierdził:

- To interesująca propozycja. Ale chciałbym przypomnieć, że inskrypcja nie została odczytana mimo tego, że na przestrzeni wieków podejmowano bardzo wiele prób.

- Alex powiedział, że jest jedyny.

Alex wydał z siebie zduszony chichot.

- Następnym razem będę uważał na słowa. Nigdy nie wiadomo, jaki zrobisz z nich użytek.

- Jonathan, jeśli *mister* Karazov mógłby pomóc... - Peter odezwał się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy. - Moglibyśmy spróbować...

Jonathan z namysłem przyglądał się Alexowi.

- Myśli pan, że to możliwe?

- Będę musiał przestudiować napis.

- W ciągu wieków rodzina Andreasów zatrudniała najwybitniejszych ekspertów z całego świata. Może rzeczywiście potrzebujemy czegoś więcej. - Jonathan uśmiechnął się nieznacznie. - Sądzę, że być może potrzebny jest nam odgadywacz zagadek.

- Zajmuję się analizowaniem zjawisk i przewidywaniem przyszłych wydarzeń, a to zadanie jest zupełnie odmienne.

- Mimo to zagadka pozostaje zagadką - pospiesznie wtrąciła Caitlin. - I rozwiążemy ją.

- Pochlebia mi, że obdarzacie mnie państwo tak wielkim zaufaniem - wycodził Alex, spoglądając ponownie na Jonathana. - Jednakże z pewnością zrobię, co w mojej mocy, żeby wykonać zadanie, o ile oznaczać to będzie pańską zgodę na naszą prośbę.

- Muszę to przemyśleć. - Jonathan wstał. - Peter zatelefonuje do was jutro rano i powiadomi o mojej decyzji. Życzę miłego dnia.

- Miło z pana strony, że nas pan przyjął. - Caitlin także uniosła się z fotela. - Nie ośmielilibyśmy się pana niepokoić, gdyby nie oznaczało to tak wiele dla Vasaro. Proszę mi wierzyć. Ja... my naprawdę przetłumaczymy ten napis - mówiła z napiętym, poważnym wyrazem twarzy. - A jeśli powierzy pan w nasze ręce Tańczącego na Wietrze, przyrzekam, że zapewnimy mu należyte bezpieczeństwo, *monsieur* Andreas.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. - Twarz Jonathana złagodniała, gdy odwrócił się w jej stronę. - Niezależnie od tego, jaka będzie moja decyzja, mam nadzieję, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie. Może udałoby ci się przyjechać tu na kilka tygodni jesienią, kiedy rodzina gromadzi się z okazji urodzin ojca. - Skrzywił się żartobliwie. - Co prawda, dzieciaki bywają czasami naprawdę nieznośne, ale myślę, że polubiłabyś moje siostry.

- Serdecznie dziękuję, lecz nie jestem pewna, czy twój ojciec byłby zadowolony z mojego udziału w przyjęciu, a poza tym nie powinnam zaniedbywać Vasaro.

- Ani nowych perfum.

Przytaknęła i zwróciła się do Petera.

- A zatem dokończymy tę rozmowę jutro?

Peter uśmiechnął się, wstając.

- Bądź spokojna.

Zawahała się.

- Zastanawiam się... Skoro tu jesteśmy, czy mogłabym zobaczyć Tańczącego na Wietrze?

- Oczywiście. - Jonathan skinął na Petera, który natychmiast ruszył do drzwi. - Peter zaprowadzi was do salonu.

Alex ujął Caitlin pod rękę.

- Karazov - zatrzymał ich głos Jonathana, nim jeszcze dotarli do drzwi. - Jeszcze jedno pytanie. Co się stało z pańskim przyjacielem, Pavlem Rubanskim?

Caitlin poczuła kurczowy uścisk Alexa na swoim ramieniu.

- A co mówią na ten temat pańskie źródła?

- Że szwajcarska policja sporządziła raport, z którego wynika, że w czerwcu zmarł w pańskim domu na atak serca.

- W takim razie dlaczego pan to kwestionuje?

Jonathan nie odpowiedział od razu.

- Rzeczywiście nie mam podstaw. Byłem po prostu ciekaw. - Włożył dokumenty z powrotem do koperty. - Proszę przysłać mi informacje na temat pańskich planów promocyjnych.

Alex skinął głową.

- Jak tylko wrócę do hotelu.

Zaledwie zamknęły się za nimi drzwi gabinetu, Caitlin spytała szeptem:

- Jakie projekty mu pošlesz?

Alex przyspieszył kroku, by dogonić Petera

- Napiszę na komputerze i przekażę mu przez posłańca kilka sugestii.

- Kilka? Czy nie powinniśmy mieć już szczegółowego planu?

- Powinniśmy, ale nie mamy... na razie.

- On ma opinię bardzo sprytnego biznesmena, Alex.

- Jest bardzo bystry. Ale myślę...

- Jesteśmy u celu. - Peter otworzył drzwi po lewej stronie westybuli. - Tańczący na Wietrze jest tam, na postumencie..

- Myślałem, że trzymacie go w sejfie - stwierdził Alex, gdy weszli do ogromnego, wysoko sklepionego salonu.

- A trzymałby pan w sejfie członka rodziny? - Peter zrobił pocieszoną minę. - Zresztą warto to przemyśleć. Mam cioteczna babkę, którą chętnie bym tam umieścił. Proszę się nie martwić, posiadłość jest doskonale strzeżona.

Wzrok Caitlin powędrował ku postumentowi stojącemu na honorowym miejscu pośrodku salonu. Poczula, że traci oddech. Zastygła w drzwiach.

- O Boże!

Myślała, że jest przygotowana na spotkanie z Tańczącym na Wietrze, teraz jednak przekonała się, jak bardzo się myliła.

- Zwała z nóg, co? - zapytał mało wytwornie Peter. - Wiem, co teraz czujesz. Na początku i ja czułem się bardzo nieswojo w jego obecności.

Caitlin wcale nie czuła się nieswojo. Po pierwszym oszałamiającym wrażeniu powoli zaczęło ogarniać ją poczucie spełnienia. Wolno przeszła przez salon i przystanęła tuż przed statuetką, upajając się urzekającym pięknem Pegaza.

- Cześć, staruszk.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa głośno, zajęta delikatnym, nieśmiałym gładzeniem filigranowego skrzydła Pegaza. Złoto pod jej dłonią było chłodne, a jednak odnosiła dziwne wrażenie, że...

- Caitlin? - Usłyszała głos Alexa.

- Tak? - Jakie to dziwne. Na obrazie holograficznym te błyszczące szmaragdowe oczy wydawały się zimne, tajemnicze, tymczasem w rzeczywistości była w nich mądrość, zrozumienie, a nawet współczucie.

- Musimy już iść.

- Jeszcze tylko... - Odwróciła się, by zaprotestować, i zobaczyła, że Alex i Peter wpatrują się nie w statuetkę, lecz w jej

twarz. Jej ręka ześliznęła się ze skrzydła Pegaza i Caitlin zmusiła się do cofnięcia o krok od statuetki. Uśmiechnęła się do Petera. - Dziękuję, że pozwoliłeś nam go zobaczyć. Od dziecka czekałam na tę chwilę.

- Nie ma za co. - Peter wciąż przyglądał się jej z uwagą. - To było bardzo... ciekawe.

Alex podszedł do Caitlin, podał jej ramię i łagodnie pociągnął ku drzwiom.

- Jest wspaniały. Możliwość przyjrzenia mu się w domowej atmosferze zawsze robi większe wrażenie. Będziemy czekać na pański telefon, Maskovel.

- Na pewno zatelefonuję. - Peter przeszedł obok nich i skierował się w stronę gabinetu Jonathana. - Życzę szczęśliwej drogi do Charleston.

Mało nie zepsułaś całej sprawy - szepnął Alex, kiedy szli korytarzem ku wyjściu. - Maskovel zastanawiał się, czy przypadkiem nie masz zamiaru porwać statuetki i zwiać.

- Ona jest taka piękna.

'- Zauważyliśmy, że tak myślisz. Przez pięć minut gapiłaś się na nią nie mówiąc ani słowa.

- Pięć? Nie, nie mogłam... - Wydawało jej się, że to trwało zaledwie parę sekund. - Naprawdę?

- Tak. Myśleliśmy, że jesteś zahipnotyzowana. - Alex otworzył drzwi. - Ale ogólnie uważam, że wizyta była bardzo udana. - Niespodziewanie z gardła wydarł mu się zduszony chichot. - Chociaż myślę, że nieźle zaskoczyłaś Andreasa, nie reagując z należytych przerażeniem na ujawnienie faktów z mojej niechlubnej przeszłości. - Jego uśmiech zbladł. Spojrzał na nią z namysłem. - Muszę przyznać, że udało ci się zaskoczyć tym i mnie.

- Dlaczego? To było bardzo ciekawe, a ja od początku zdawałam sobie sprawę, że masz swoje tajemnice. - Zaczęła pierwsza zstępować po kamiennych schodach. - Rzeczywistość okazała się i tak dużo lepsza od tego, co sobie wyobrażałam.

- Więc wzięłaś na cel to, co dla ciebie najistotniejsze, i przystąpiłaś do ataku. Całkiem nieźle jak na panienkę, która trzęsała się ze strachu przed wejściem do gabinetu.

- To naprawdę jest dla mnie bardzo ważne. Zapomniałam o zdenerwowaniu. - Z powagą spojrzała na niego przez ramię.

- I myślę, Alex, że naprawdę możemy mu się należycie odwdzięczyć.

- Proszę, popraw mnie, jeśli się mylę, ale czyż nie zaoferowałaś mu także moich usług?

- Zrobiłam to tylko dlatego, że twoje umiejętności wywarły wrażenie i sądziłam, że zaoferowanie tylko mojej pomocy nie wystarczy. - Po chwili dodała: - Nie musisz się o to martwić. Sama się tym zajmę.

- Nie byłbym tego taki pewny. Ten napis zaczyna mnie intrygować.

- On jest mój, Alex - wybuchnęła.

Roześmiała się serdecznie.

- Nie widzisz, że drażnię się tylko z tobą? Byłem ciekaw twojej reakcji.

- Ta twoja przekłeta ciekawość. - Uspokoiła się. - Przepraszam. Po prostu nigdy nawet nie marzyłam, że będę miała okazję przyglądać mu się z bliska. - Nagle zmarszczyła czoło. - Wydaje mi się, że Jonathan naprawdę gotów jest nie wyrazić zgody, jeśli nie damy mu szczegółowego planu kampanii reklamowej.

Alex pokręcił głową.

- Myślę, że tym razem Andreasowi chodzi tylko o to, żebyśmy wykonali trochę papierkowej roboty.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Musi znaleźć usprawiedliwienie, żeby dać nam to, czego chcemy.

- Myślisz, że naprawdę może zmienić zdanie?

- Nie. - Alex otworzył drzwi i pomógł Caitlin wsiąść do samochodu. - Jestem pewien, że już je zmienił.

Chciałbym usłyszeć twoją opinię, Peter. - Jonathan odchylił się w skórzanym fotelu, w roztargnieniu obracając w palcach zdjęcie Glenn Close.

- Na jaki temat?

- Karazova.

- Bystry. Twardy. Skryty.

- A Caitlin Vasaro?

Peter uśmiechnął się.

- Myślałem, że to łagodny kociaczek, dopóki nie chwyciła się tematu odczytania napisu i nie zaczęła nieustępliwie wal-

czyć o swoje. Trudno ją sądzić po pozorach. - Przestał się uśmiechać i zamyślił się na chwilę. - Poza tym jest zakochana.

- W Alexie?

- Możliwe. - Peter wzruszył ramionami. - Ale z pewnością w Tańczącym na Wietrze. Powinieneś być widzieć jej twarz, kiedy na niego patrzyła.

- W takim razie będzie naprawdę uważać, by nie narazić go na niebezpieczeństwo.

- To prawda. - Peter przyglądał się Jonathanowi z uwagą.

- Myślisz o pożyczaniu im Tańczącego na Wietrze?

- Uważasz, że rozważanie tej możliwości jest z mojej strony nierozsądne?

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli spodziewasz się, że będę próbował ci to wyperswadować, to się rozczarujesz. Gdybyśmy zawieźli Tańczącego na Wietrze do Francji, miałbym szansę dostania w ręce pamiętnika Catherine, a poza tym moglibyśmy wykorzystać niezwykły talent Alexa do pracy nad rozszyfrowaniem napisu.

Jonathan zachichotał.

- Będziemy też narażeni na ryzyko utraty statuetki.

- Gdy tylko zdecydujesz się na ten krok, dopatrzę, żeby opracowano niezawodny system ochrony.

- Strasznie ci zależy na rozszyfrowaniu tego napisu.

- Myślałem, że tak jest, dopóki nie zobaczyłem reakcji Caitlin na widok statuetki. Dla mnie jest to hobby, ale dla niej to coś zupełnie innego.

- To jeszcze nie znaczy, że któremuś z was się uda. Przez całe wieki wielu uczonych starało się przetłumaczyć napisy na podstawie Tańczącego na Wietrze - mówił łagodnym głosem Jonathan. - Większość twierdziła, że sporządzono je w języku istniejącym na długo przed panowaniem faraonów.

Peter pokręcił głową.

- Pierwsza wzmianka na temat Tańczącego na Wietrze prowadzi do Troi Homera. Gdyby statuetka wcześniej pojawiła się na scenie, już byśmy o tym wiedzieli.

- Masz na myśli napisy na ścianach jaskiń neandertalczyków?

- Już byśmy o tym wiedzieli - powtórzył z uporem Peter.

- Peter, nie możesz wiedzieć... - Jonathan roześmiał się i pokręcił głową. - Boże, ależ ty jesteś uparty. Zatelefonuj do

Maddoxa i zorientuj się, czy uda się zdobyć jakieś wiadomości na temat Karazova. Ten raport był zbyt skąpy. Jeśli mamy prowadzić interesy z tym człowiekiem, powinniśmy dowiedzieć się o nim, ile się tylko da.

- A mamy zamiar prowadzić z nim interesy?

Wzrok Jonathana powędrował ku leżącej na biurku stercie fotografii i rysunków. Po chwili milczenia powiedział wolno:

- Myślę, że to nie jest wykluczone.

Wyszedłszy z gabinetu, Peter udał się bezpośrednio do olbrzymiego salonu, do którego niedawno wprowadzał Caitlin Vasaro i Alexa Karazova, by mogli się przyjrzeć Tańczącemu na Wietrze. Pomieszczenie służyło zazwyczaj tylko do podejmowania oficjalnych gości, ale sześć lat temu Peter przekonał Jonathana, by pozwolił mu przenieść swoje biuro z drugiego końca korytarza do salonu.

Podszedł do biurka, uniósł słuchawkę telefonu, otworzył notes i odnalazł numer biura śledczego Maddoxa. Uzyskawszy połączenie, podał Maddoxowi dane Karazova i odłożył słuchawkę.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, wpatrzył się w szmaragdowe oczy Tańczącego na Wietrze. Czuł, jak serce zaczyna mu bić przyspieszonym rytmem. Powiedział Caitlin, że na początku czuł się nieswojo w obecności Tańczącego na Wietrze, lecz nie przyznał się, że wciąż odczuwa to samo. Nie zrozumiałaby tego. Teraz widział, że Caitlin nie odczuwa żadnego lęku przed Tańczącym na Wietrze.

A co on naprawdę odczuwał? Dlaczego przeniósł tu swoje biuro? Powiedział Jonathanowi, że pociąga go piękno statuetki, ale była to tylko część prawdy. Tańczący na Wietrze fascynował go, lecz zarazem jakby trzymał w niewoli.

Niewoli? To przecież nonsens. Tańczący na Wietrze tak żywo go interesował, ponieważ jego losy były splecione z losem rodziny Andreasów, której czuł się członkiem i która stanowiła dlań cały świat. Słabe serce uniemożliwiało mu prowadzenie normalnego życia, lecz wystarczyło, by otworzył pamiętnik Cateriny i natychmiast był w stanie wzlecieć w górę, zamiast człapać powoli w „rozsądnym” tempie zalecanym mu przez lekarzy.

Wyprostował się w fotelu i sięgnął do szuflady biurka po

oprawny w skórę pamiętnik. Z najwyższą ostrożnością przewertował kruche stronicę książki i odnalazł ulubioną legendę. Wkrótce przeniósł się już w świat Paradygnesa, Andreasa i Hiacynty w dniu, w którym upadła Troja.

Po obiedzie w hotelu Alex odprowadził Caitlin do pokoju, otworzył drzwi i wręczył jej klucz.

- Zamówię dla nas śniadanie do twojego pokoju na dzień jutro rano. Co byś chciała zamówić?

- Cokolwiek, wszystko mi jedno.

Opuszczał ją. Pomimo to, że zamówił dwa osobne apartamenty, aż do tej chwili Caitlin miała nadzieję, że spędzą noc w jej łóżku. Odwróciła się, by nie zauważył, jak bardzo jest rozczarowana.

- Jak myślisz, o której godzinie zadzwonią?

- O najwcześniejszej, jaką Andreas uzna za stosowną. Zdaje sobie sprawę, że się denerwujesz, i nie będzie chciał trzymać cię w niepewności. - Otworzył drzwi. - Spodobałaś mu się.

- On też mi się spodobał. - Odwróciła się i spojrzała na Alexa. - A tobie nie?

Zawahał się.

- Trudno jest go nie lubić. Myślę, że w innych warunkach moglibyśmy nawet zostać przyjaciółmi.

Wpatrywała się w niego, zaintrygowana.

- Czy może być lepsza możliwość zawarcia przyjaźni niż poprzez partnerstwo w interesach?

Alex delikatnie pocałował Caitlin w czoło.

- To ty się z nim zaprzyjaźnisz. Należycie do tego samego gatunku ludzi.

- A jaki to gatunek?

- Oboje jesteście otwarci. - Uśmiechnął się do niej. - Przystałem być taki już dawno temu. - Ruszył do drzwi. - Śpij smacznie.

- Nie będzie to łatwe. - Zmarszczyła nos. - Znowu jestem okropnie niespokojna. Może ty jesteś pewien, że wszystko ułoży się jak najlepiej, ale ja nie jestem tego taka pewna. To zdecydowanie nie jest mój szczęśliwy rok.

Patrzył na nią przez ramię, marszcząc czoło.

- Powiedziałem ci chyba, żebyś się nie denerwowała.

Dygnęła.

- Tak, panie.

- Weź gorący prysznic, idź potem prosto do łóżka i za pięć minut będziesz spała kamiennym snem. Nie spałaś od trzydziestu sześciu godzin. Gdybyś mnie potrzebowała, jestem obok.

Ale nie w tym samym łóżku, pomyślała.

- Nie będę cię potrzebowała. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Masz rację, zachowuję się nierozsądnie. Dobranoc.

Wszedłszy do apartamentu, szybko zamknęła za sobą drzwi. Nie powinna czuć się zraniona, że postanowił spędzić noc osobno. Na pewno był równie zmęczony jak ona i potrzebował odpoczynku. W ich związku chodziło przecież głównie o seks. Być może zdecydował nawet, że skoro są zajęci promocją perfum, sprawy osobiste muszą zejść na dalszy plan.

Niespokojnie rozejrzała się po małym saloniku. Apartament był niezwykle przytulny. Po drugiej stronie pokoju, przed sofą obitą biało-złotym materiałem w kwiatowy deseń, stał niewielki dębowy stolik. Błyszczące dębowe biurko i fotel, obity identyczną tapicerką co sofa, znajdowały się przy oknie naprzeciwko drzwi do sypialni. Białe aksamitne zasłony były teraz zaciągnięte na ogromnym oknie, lecz wcześniej zdążyła zauważyć, że okna apartamentu wychodzą na morze. Pokój był komfortowy, urządzone ze smakiem i... bezosobowy. Poczwała nagle, że tysiące kilometrów dzieli ją od wszystkiego, co zna i kocha, co jest jej drogim, tysiące kilometrów od Vasaro.

To niepoważne. Za chwilę gotowa zawyc żałośnie jak tęskniące za domem dziecko. Wyprostowała się i szybko przeszła do sypialni. Weźmie prysznic, tak jak radził Alex, pójdzie od razu do łóżka i po chwili zaśnie.

A jeśli nie będzie mogła zasnąć, będzie leżeć na łóżku i myśleć o tym, co czuła, gdy ujrzała Tańczącego na Wietrze.

6

Ktoś pukał do drzwi.

Caitlin z trudem otworzyła oczy. Otaczała ją jasność, biel, złoto, chłodna elegancja. To nie Vasaro.

Pukanie powtórzyło się, gwałtownie oprzytomniała.

Alex!

Usiadła na sofie, odrzucając kołdrę.

- Już idę!

Przebiegłszy przez salonik, otworzyła drzwi.

W korytarzu stał Alex, ubrany w oliwkowozielone sztruksowe spodnie i bawełnianą koszulę w kolorze kości słoniowej. Jego włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć po porannym prysznicu, wyglądał zdecydowanie przytomniej i bardziej świeżo niż ona.

Zmarszczył czoło.

- Nie powinnaś otwierać drzwi w hotelu nie wiedząc, kto za nimi stoi. Po to jest wizjer.

- Zapomniałam. - Ziewnęła. - Poza tym wiedziałam, że to ty.

Alex cicho zamknął za sobą drzwi.

- A niby skąd?

- Powiedziałaś, że przyjdiesz tutaj rano.

- Jesteś bardzo bystra.

- Wybacz, jeszcze nie całkiem się obudziłam. Odzyskam rozum, jak wezmę prysznic.

- Wątpię. - Uważnie popatrzył na jej twarz. - Nie mogłaś spać?

- Aż tak źle wyglądam? - Zrobiła pocieszoną minę. - Całą noc dręczył mnie niepokój. Zdrzemnąłam się dopiero nad ranem.

Spojrzał na leżącą na sofie kołdrę.

- Spałaś na tym?

- Łóżko w sypialni jest dla mnie za duże. Czułam się w nim zagubiona. - Starą się przygłodzić ręką zmierzwiłone loki, lecz po chwili zrezygnowała, uznając to za daremny trud. - Jestem cichą wiejską myszką. Moje łóżko w Vasaro ma prawie dwieście lat, a wtedy ludzie byli niższego wzrostu niż teraz. - Ruszyła do sypialni. - Ubiorę się i zaraz...

- Zaczekaj.

Obejrzała się przez ramię i wstrzymała oddech na widok wyrazu jego twarzy.

- Ja też niewiele spałem - wyznał z wahaniem. - Zdarzyło mi się to po raz pierwszy odkąd razem byliśmy na polu jaśminowym. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź.

Natychmiast przeszła jej senność.

- Ale śniadanie...

- Mamy czas. Pójdziemy do sypialni i zostawimy otwarte drzwi, żeby kelner mógł wejść. - Odsunął zasuwkę. - Chyba że nie chcesz... Zrozu...

- Chcę.

Pragnął jej, więc wszystko jest dobrze, jak dotąd. Nic się nie zmieniło.

Podszedł do niej, w napięciu wpatrując się w jej twarz.

- Nie powinienem był zostawiać cię zeszłej nocy. Powinienem był wyczuć, że jesteś zbyt niespokojna, żeby móc zasnąć.

- Nie musisz czuć się za mnie odpowiedzialny. Nie masz... - Urwała, gdyż objął jej pierś. Przez cienki materiał koszuli nocnej delikatnie potarł sutek, który nabrzmiał pod jego ciepłą dłońią.

- Powinienem był ci pomóc - powiedział cicho. - Mogłem postarać się, żebyś się rozluźniła. - Rozpiął jej koszulę i rozchylił, by odsłonić piersi.

- Wiedziałem, że jest ci smutno. - Pochyliwszy głowę, zaczął pieścić sutek językiem.

Przeniknął ją rozkoszny dreszcz. Jego język był tak ciepły i wilgotny, że miała wrażenie, iż pieści ją rozbawiony lew. Nigdy dotąd Alex nie okazywał jej czułości tak spokojnie. Zazwyczaj był gwałtowny, owładnięty pożądaniem równie silnym jak to, które przyciągało ją do niego.

- Alex... - Patrząc na jego ciemną głowę, czuła dziwną słabość w kolanach. - Może przeszlibyśmy do sypialni?

- Jeszcze nie. - W jego niebieskich oczach pojawiły się

wesołe iskierki; delikatnie chwycił zębami sterczącą brodawkę piersi. - Nie jestem pewien, czy umiałbym to robić w normalnym łóżku.

Ogarnęła ją fala gorąca, czuła dziwne ściskanie w żołądku.

- Ja... ufam ci.

Uniósł głowę.

- Jeszcze nie - powtórzył i pociągnął ją na sofę, odrzucił kołdrę i usiadł. - Chcę być pewien, że jesteś całkowicie rozluźniona. - Zmusił ją, by stanęła pomiędzy jego nogami i zaczął ocierać się policzkiem o jej brzuch. - Wciąż jesteś napięta. Czuję to.

- Tak... - Co też on, do diabła, z nią wyczynia?

- Biedactwo. - Uniósł jej koszulę do piersi i dotykał nagiego brzucha rozchyłonymi wargami i szorstkim policzkiem. Włożył rękę pomiędzy jej uda. - Tak lepiej?

- Nie. - Z trudem wciągnęła powietrze. - Alex, to wcale nie jest zabawne.

- Wiem. - Szybko ściągnął spodnie. - To robi się wręcz bolesne. Musimy coś na to poradzić. - Wskazał, że ma stanąć po jego lewej stronie. - Chodź.

To niewłaściwa pozycja, dotarło do niej jak przez mgłę, ale nie próbowała mu się opierać. Sadzał ją sobie bokiem na kolanach, niezwykle podniecony.

Powoli wprowadzał w nią członek, dbając o to, by dostarczyć jej niezwykle podnieć. Gdy wypełnił ją całym sobą, z jej gardła wydarł się ochryply krzyk.

- Teraz złącz nogi - wyszeptał. - I nie ruszaj się.

Posłusznie spełniła jego prośbę, rozpaczliwie wpijając palce w jego ramiona.

- Porusz się!

- Rozłączmy się. - Ponownie rozchylił poły jej koszuli i pieszczotliwie dotknął piersi. - A tego byś sobie przecież nie życzyła.

Nie, z całą pewnością nie chciała, żeby to się zdarzyło. Marzyła o dalszym ciągu, nie o wycofaniu się.

Przytulając ją mocno, pochylił głowę i objął ustami pierś. Trawił ją ogień. Pozycja, w której się znajdowała, działała na nią niezwykle pobudzająco. Uścisk Alexa był ciepły, pełen miłości. Nigdy dotąd nikt nie przytulał jej tak czule. Wypełniał ją sobą, czuła mocne, ruchliwe wargi na piersi. Siedziała na nim nieruchomo, a on umiejętnymi zabiegami doprowadzał ją do szału

zachwytu. Musi, musi się poruszyć, inaczej jej ciało zostanie rozerwane na miliony kawałków, nie wytrzyma tego niesamowitego napięcia. Zaczęła drżeć; co chwila wstrząsał nią gwałtowny dreszcz.

- Alex - wyszeptała. - Zaraz dostanę ataku serca.

- Jeszcze troszkę. - Przeniósł usta na drugą pierś, jednocześnie dociskając ją mocniej do siebie, wypełniając sobą jeszcze szczelniej.

Z jękiem zaczerpnęła tchu, czując, że zaczyna się poruszać. Zamknęła oczy i mocno wparła się plecami w otaczające ją ramię.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- Śniadanie.

Alex szybko zapiął jej koszulę.

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł.

- Musisz coś zjeść. - Alex spojrzał na nią z miną niewiniątka. - Wczoraj na kolację zjadłaś tylko małą kanapkę.

Uniosła na niego przerażone oczy.

- Alex, chyba nie chcesz...

- Nie widzę problemu. - W jego oczach migotały wesołe iskierki. Uniósł białą adamaszkową kołdrę i nakrył ją i siebie. - Wyglądamy bardzo przyzwoicie. Siedzisz sobie na moich kolanach, a ja cię czule obejmuję. Bardzo czule.

- Alex, nie...

- Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł około pięćdziesięcioletni kelner w białej kurtce, prowadząc przed sobą wózek ze śniadaniem.

- Dzień dobry. - Posłał im obojętne spojrzenie. - Nazywam się Mac. Ładny mamy dzisiaj dzień, prawda?

- Bardzo piękny - zgodził się Alex.

- Gdzie mam nakryć do śniadania?

- Gdziekolwiek.

Caitlin wtuliła zaczerwienioną twarz w ramię Alexa. Przypadkowemu obserwatorowi ich pozycja mogła wydać się jedynie manifestacją czułości, ale ona wiedziała, jak jest naprawdę. Czuła w sobie twardość Alexa, zaś kelner znajdował się zaledwie o metr od nich, z wielką wprawą nakrywając stół do śniadania, układając serwetki.

- Jak długo zamierzają państwo zatrzymać się w Charleston? - zapytał.
- To zależy. - Alex niepostrzeżenie wsunął rękę pod kołdrę i powoli zaczął ją przesuwać wzdłuż wewnętrznej strony uda Caitlin.
- Mamy tu ciekawe zabytki. - Kelner odsunął się i szacującym wzrokiem popatrzył na stolik ze śniadaniem.
- Caitlin niemal krzyknęła, gdy Alex zaczął naciskać kciukiem jej płeć. Czuła, że cała płonie, widziała wszystko jak przez mgłę.
- Jest tu wiele starych, drewnianych domków, typowych dla architektury Południa.
- Alex zaczął łagodnie tarmosić kępkę włosów.
- Czytałem, że niedawno przeszedł tędy straszny huragan. Zacisnęła zęby czując, jak znów zaczyna dygotać.
- Uczynił wiele szkód, ale zapewniam, że mimo to warto zobaczyć starą część miasta.
- Pomyślmy o tym - stwierdził Alex. - Czy mógłby pan nalać nam kawę?
- Oczywiście. - Mac uniósł dzbanek i wlał parujący płyn do porcelanowych filiżanek. - Podać państwu?
- Caitlin zeszywniała, z przerażeniem wpatrując się w twarz Alexa.
- Nie, dziękujemy. Moja przyjaciółka jest tak śpiąca, że pewnie wszystko by rozlała.
- W takim razie dziękuję państwu. - Mac odstawił dzbanek i podszedł do sofy, trzymając w ręce rachunek i długopis. - Życzę państwu miłego pobytu w naszym mieście.
- Wypisz czek, Caitlin. - Alex powoli przeciągał kciukiem po wewnętrznej stronie jej uda. Z najwyższym trudem powstrzymała się od wygięcia ciała w łuk. - To twój pokój; nie ma sensu robić zamieszania w recepcji.
- Wzięła od Maca rachunek i długopis. Ręce drżały jej tak, że wypisanie czeku było prawdziwą sztuką.
- Dziękuję. - Kelner zabrał czek i długopis. - Mam nadzieję, że śniadanie będzie państwu smakowało.
- Mam nadzieję, że dałaś mu suty napiwek - odezwał się Alex, gdy za kelnerem zamknęły się drzwi.
- Chyba cię zabiją - oznajmiła cicho Caitlin.
- A jednak musisz przyznać, że to było ciekawe. - Czule

poklepał ciemny trójkąt włosów okrywających jej płeć. - I bardzo podniecające. Czułem, że jesteś bardzo podniecona. To dlatego przeciągałem tę grę.

Musiła w duchu przyznać, że w tym, co przed chwilą przeżyli, rzeczywiście było coś niepokojąco, perwersyjnie podniecającego. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- A mówiłeś mi, że jesteś miły.

- Każdy jest trochę niemiły. A poza tym, byłaś zdenerwowana, zmartwiona i doszedłem do wniosku, że muszę wymyślić sposób, żebyś się rozluźniła. - Odrzucił kołdrę. - Chodźmy, czas już zacząć się przyzwyczajać do łóżek, które mają mniej niż dwieście lat.

Spojrzała na elegancko nakryty stół.

- A co będzie ze śniadaniem, na które mam wielką ochotę?

- Myślę, że w tej chwili masz większą ochotę na coś innego.

- Pociągnął ją w stronę sypialni. - Ja zresztą też. Mam nadzieję, że Mac to zrozumie.

Nie obchodziło jej, co pomyśli sobie Mac. Z napiętej twarzy Alexa wnioskowała, że niepokojąca gra wstępna była już nareszcie skończona, i to odkrycie sprawiło jej wyraźną ulgę.

Ledwie zdążyła dotknąć plecami materaca na łóżku, gdy Alex wszedł w nią i zaczął poruszać się w szaleńczym tempie. Bardzo też szybko i gwałtownie osiągnęli szczyt rozkoszy. Gdy opadły emocje, Caitlin leżała bezwładnie na łóżku, niezdolna poruszyć ręką ani nogą.

Alex przyglądał się jej pałającymi oczyma.

- Myślę, że odniosłem sukces.

- Sukces?

- Jesteś absolutnie odprężona i założę się, że nie w głowie ci teraz martwienie się o perfumy czy zastanawianie się, jaka będzie odpowiedź Andreasa.

Uniosła brwi.

- I po to robiłeś to wszystko?

- Nie, zrobiłem to dla siebie. Myślałem, że lepiej będzie, jeśli się wycofam, ale mi się to nie udało.

Przeraziła się.

- Jak to? - Usiadła i zaczęła wygładzać koszulę nocną, nie podnosząc na niego wzroku. - Nie musisz mi odpowiadać na to pytanie. Nie powinnam była ci go zadawać. Wcale nie czuję, żebym miała prawo spodziewać się...

- Cii... - Położył palec na jej wargach, powstrzymując potok słów. - Masz prawo spodziewać się po mnie uczciwości. - Delikatnie zaczął pieścić dłonią jej szyję. - Wiesz... lubię cię.

Poczuła, jak oblewa ją fala ciepła.

- I dlatego chciałeś się wycofać?

- To staje się zbyt trudne. - Ich spojrzenia spotkały się. - Ponieważ nie jestem otwarty, łagodny i szlachetny jak ty i Andreas. Zbyt długo żyję sam i mogę liczyć tylko na siebie.

- To ma być ostrzeżenie?

- Tak. - Opuścił ramię. - To chyba jest ostrzeżenie. Ponieważ najwyraźniej nie mogę liczyć na rozsądek. Zbyt mocno na mnie działasz. Chronienie się przed tym zostawiam tobie. - Opuścił stopy na podłogę i zaczął się ubierać. - Pójdę teraz do swojego pokoju, wezmę prysznic i zmienię ubranie. Wrócę za piętnaście minut.

Zanim Caitlin zdążyła się odezwać, szedł już przez sypialnię w stronę saloniku. W chwilę później usłyszała, jak zamykają się za nim drzwi. Powoli wstała i przeszła do łazienki, pogrążona w myślach.

Niezależnie od tego, co jej mówił, był szczerze zatroskany i przychodząc tu, chciał jej pomóc. Troska została później zagłuszona przez zmysły, ale to ona głównie nim powodowała. Nawet w ostrzeżeniu Alexa kryło się więcej uczucia niż skłonny był się przyznać.

I powiedział, że ją lubi.

Lubi, nie kocha. Żadne z nich nie oczekiwało od drugiego miłości, ale posiadanie tak interesującego przyjaciela jak Alex powinno być... przyjemne. Nie jest przecież nigdzie powiedziane, że kochankowie nie mogą być przyjaciółmi.

Na tę myśl ponownie oblała ją ciepła fala i kiedy szła do łazienki, na jej twarzy błąkał się leciutki uśmiech.

Peter Maskovel zatelefonował o dziesiątej rano. Caitlin przysłuchiwała się rozmowie z telefonu w sypialni, podczas gdy Alex rozmawiał z aparatu stojącego na biurku w saloniku.

- Jonathan zdecydował się udostępnić państwu Tańczącego na Wietrze. - Tym razem Peter przemawiał rzeczowym tonem człowieka interesu i w jego głosie nie słyhać było nutki wczorajszego chłopięcego entuzjazmu. - Za dziesięć procent od zysków przez pierwsze pięć lat i gwarancję przed-

łożenia mu do zatwierdzenia szczegółowego planu trasy promocyjnej. Nasza strona zadba o bezpieczeństwo. Jonathan lub ja, albo my obaj, będziemy towarzyszyć statuetce na trasie poza Ameryką.

- Zgadzą się. - Głos Alexa brzmiał równie rzeczowo i chłodno jak Petera. - Czy *mister* Andreas nie ma zastrzeżeń co do odbycia trasy europejskiej?

- Wolałby uniknąć wywożenia statuetki ze Stanów, ale rozumie, że wymaga tego dobro interesu. Zaakceptował wasz projekt opakowania perfum, ale chciałby zobaczyć model flakonika, zanim zostanie skierowany do produkcji. Kiedy chcielibyście wprowadzić „Vasaro” na rynek?

Alex nakrył dłonią mikrofon i zapytał Caitlin:

- Kiedy będziesz miała taką ilość perfum, która wystarczy na ograniczone wprowadzenie na rynek?

- Nie wiem. - Nakrywszy słuchawkę, zastanowiła się. - Mam umowę na produkcję perfum z fabryką *monsieur* Serdeaux w Grasse. Będę musiała do niego zadzwonić i zorientować się, czy od razu może rozpocząć produkcję.

- Założmy, że może. Ile to mniej więcej potrwa?

- Trzy miesiące.

- Za trzy miesiące - oznajmił Peterowi Alex, ignorując przerażony wyraz twarzy Caitlin. - Ale wcześniej będziemy musieli rozpocząć kampanię reklamową. Za pięć tygodni w Paryżu przedstawimy naszą rzeczniczkę. Chciałbym już wtedy móc skorzystać z Tańczącego na Wietrze, żeby wzbudzić większe zainteresowanie prasy.

- Będę musiał sprawdzić harmonogram pracy Jonathana. - Peter umilkł na chwilę. - Jonathan zapoznał się z listą ewentualnych przedstawicielek, którą pan mu dostarczył, i uznał, że miał pan rację i Chelsea Benedict będzie najlepsza.

- Cieszę się, że jesteście co do tego zgodni.

- W zeszłym roku przyznano jej Oscara i prawdopodobnie jest rozchwytywana. Z jej *dossier* wynika, że nigdy dotąd nie zajmowała się promocją żadnego produktu. Czy może nam pan zagwarantować, że uda mu się ją zaangażować?

- Sądzę, że mogę złożyć takie zapewnienie. Żadna z aktorek, których listę przedłożyłem *mister* Andreasowi, nie ma podpisanego kontraktu na najbliższy czas.

- W przypadku przedsięwzięcia takiego jak to, wszystko

musi być idealnie zgrane, żeby zadziałało - zauważył Peter. - Nie sporządzimy żadnej umowy dotyczącej wypożyczenia Tańczącego na Wietrze, dopóki nie zobaczymy modelu flakonika i kontraktu podpisanego przez Chelsea Benedict.

- To zrozumiałe. Przedłożę panom obie rzeczy w przyszłym miesiącu. W zamian za to chciałbym, żeby dopilnował pan, by *mister* Andreas zostawił sobie nieco wolnego czasu i mógł za pięć tygodni przywieźć Tańczącego na Wietrze do Paryża.

Na drugim końcu linii zapanowało milczenie.

- Tańczący na Wietrze zostanie przywieziony do Paryża trzeciego października, o ile wszystko będzie w porządku - oznajmił w końcu Peter.

- Zapewniam pana, że będzie.

Rozmowa najwyraźniej zmierza ku końcowi, a nikt nie wspomnął nawet o mojej propozycji rozszyfrowania napisu, pomyślała trwożnie Caitlin.

- Jest jeszcze sprawa inskrypcji - szybko przypomniała Peterowi.

- Ach, tak, jak najbardziej liczymy na państwa pomoc w tej sprawie. Pasjonuję się fotografią i mam sporo zdjęć Tańczącego na Wietrze, które mogę państwu wysłać. Zorientuję się również, czy mógłbym wysłać hologram, który zamówiliśmy dla Metropolitan.

- Przypuszczam, że wszystkie legendy są spisane w pamiętniku Cateriny. Bardzo prosiłabym o udostępnienie mi tego pamiętnika. Kopię hologramu już mam.

- Tak? - Peter zamilkł na chwilę. - No tak, powinienem był się domyślić...

- Przyślesz mi pamiętnik?

- Czytasz po włosku?

- Nie. Ale posługuję się tym językiem na tyle dobrze, że jakoś sobie poradzę.

- To na nic. Pamiętnik Cateriny rozpoczyna się w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym roku. Ja biegle znam włoski, a mimo to mam spore problemy z tłumaczeniem niektórych partii tekstu. To archaiczny włoski i w oryginalnej formie pamiętnik nie na wiele ci się przyda. Mógłbym kazać go dla ciebie przetłumaczyć. Od razu się tym zajmę.

- Kiedy mogę się spodziewać tłumaczenia?

- Nie mam pojęcia. Jak tylko tłumacz upora się z tekstem.

A kiedy już dostaniesz tłumaczenie, dwa razy w miesiącu będziemy oczekiwali od ciebie sprawozdań dotyczących postępów w odczytywaniu napisu.

- Na początku mogą one być zerowe - wtrącił Alex.

- Tak czy owak, będziemy oczekiwać sprawozdań. - Po raz pierwszy w tej rozmowie głos Petera przybrał cieplejsze zabarwienie. - Życzę państwu powodzenia. Mam nadzieję, że dacie sobie radę.

Odłożył słuchawkę, nim Alex zdążył odpowiedzieć.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Oczy Caitlin błyszczały z emocji, gdy Alex wszedł do sypialni. - Nie przypuszczałam, że to się uda.

- Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła. Szczęście nam sprzyja.

- Może ty w to wierzyłeś, ale ja nie. - Zerwała się na równe nogi i spłotła ramiona na piersiach, jakby z radości obejmowała samą siebie. - Tańczący na Wietrze. Nigdy nie przypuszczałam...

- Powtarzasz się. - Uśmiechnął się szeroko. - Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała pofrunąć do sufitu.

- Bo tak jest. - Caitlin potrząsnęła głową. - Wcześniej to było tylko marzenie. Bałam się nawet mieć nadzieję. - Uśmiech na jej twarzy zbladł nagle. - Ale musimy przecież zdobyć ten model flakonika. Jaką masz gwarancję, że uda nam się dostarczyć go w ciągu miesiąca. Wyprodukowanie opakowania i rozwinięcie kampanii trwa całe wieki.

- Pieniądze potrafią przyspieszyć tempo.

- To będzie wymagało wielkich pieniędzy.

- Mam je.

- Ale Jonathan mówił... - Caitlin zawahała się. - Wiem, że nie chcesz mówić o swojej przeszłości, ale chciałabym uzyskać pewność, że ten wspólny plan nie legnie w gruzach, kiedy policja każe zablokować konta... albo coś w tym rodzaju.

Zachichotał.

- Policja na pewno nie tknie moich kont. Nie jestem przestępcą, Caitlin.

Ogarnęło ją poczucie ogromnej ulgi. Wydało jej się, że jest lekka jak piórko. Wcześniej powiedział, że nie jest handlarzem narkotyków, ale słowo „przestępca” miało szersze znaczenie.

- To dobrze. - Po chwili powróciła do głównego tematu. - A nawet jeżeli uda ci się zdobyć flakonik na czas, to co będzie z umową Chelsea Benedict?

- To może być trudniejsza sprawa. Powinniśmy jak najszybciej zacząć ją do tego nakłaniać.

Mówi o Chelsea Benedict tak, jakby była wałęsającą się owieczką, która czeka tylko na wyciągnięcie do niej zapraszającej dłoni, pomyślała z niepokojem Caitlin. Jeśli wierzyć temu, co pisały gazety, aktorka przypominała raczej szalejącą tygrysięcę. Używająca niewybrednego słownictwa, wręcz impertynencka, zaprzysięgła indywidualistka, od trzynastu lat odnosiła oszałamiające sukcesy na scenie i na ekranie, i w tym czasie zdobyła dwa Oscary i prestiżową nagrodę Tony. Zazdrośnie strzegła swego życia prywatnego, natomiast każde jej wystąpienie publiczne było skrętnie odnotowywane, wywołując w mediach istną lawinę komentarzy. Caitlin mgliście przypominała sobie artykuły o związanym z aktorką skandalu, lecz nie pamiętała szczegółów. Prawdopodobnie Alex miał na ten temat dokładne informacje, tak zresztą jak i na wszystkie inne tematy.

- Przypuszczam, że dysponujesz danymi na jej temat?

Przytaknęła.

- Coś tam wiem.

- Tylko coś?

- Wystarczy. - Delikatnie pocałował ją w policzek. - Teraz najważniejsze jest to, że wiem, gdzie możemy ją znaleźć. Wraz z córką bierze udział w ekspedycji „Oszczędźcie wieloryba” - proteście przeciwko zabijaniu wielorybów. Ekspedycja została zorganizowana we współpracy z Greenpeace. Myślę, że powinnaś dokonać paru zakupów i pomyśleć o ciepłej kurtce, a ja zrobię rezerwację i wymelduję nas z hotelu.

- Gdzie ona jest?

- W Reykjavíku.

- W Islandii?

Chelsea Benedict klęła w duchu, marząc, żeby reporter wykonał zdjęcie, zanim ona zwymiotuje.

Obejrzawszy się przez ramię, patrzyła, jak wieloryb wślizguje się pod szarozieloną powierzchnię wody niczym gigantyczny nabój. Przynajmniej on był bezpieczny i być może Marisa uzna, że opłaciło się przeżyć ten koszmar. Stawanie na drodze między ofiarą a statkiem wielorybniczym, który był przynajmniej cztery razy większy od ich niewielkiego stateczku, zdecydowanie nie było dla Chelsea ulubionym sposobem spędzania czasu.

Stała teraz w pobliżu sterówki, z dłońmi zaciśniętymi na poręczy, nienawistnie spoglądając w stronę kapitana statku wielorybniczego, który znajdował się około trzystu metrów od nich. Boże, miała nadzieję, że jej oczy błyszczą nienawiścią. Czuła się tak fatalnie, że równie dobrze mogła się szeroko uśmiechać do brodatego kapitana i skwaszonego idioty mierzącego w nią z działka wyrzucającego harpun.

- Rób wreszcie to zdjęcie - wycedziła przez zęby.

Paul Tyndale uśmiechnął się złośliwie.

- Czekam, żeby się przekonać, czy cię ustrzeli.

Posłała dziennikarzowi mordercze spojrzenie. Był pulchny, elegancko ubrany i wyglądał denerwująco rześko. Jego długi prochowiec był równie suchy i świeży jak wtedy, gdy „Rescuer” wypływał rano z Reykjavíku, podczas gdy ona przemokła do suchej nitki, stojąc cały czas obok sterówki.

- Sam chciałeś się z nami zabrać. Teraz spróbuj się na coś przydać.

- Stoimy zbyt daleko, żeby zrobić dobre zdjęcie. Ale wszystko skrzętnie notuję dla potomności. - Poklepał się po kieszeni, gdzie trzymał notes, którego zresztą nie wyjął ani na chwilę w czasie walki o życie wieloryba. Aparat fotograficzny Nikon irytująco dyndał u jego grubej szyi.

- Moja umowa z „Time” dotyczyła artykułu i ewentualnie zdjęcia na okładkę. To dlatego przysłali tu tak wszechstronnego faceta jak ja. Zdjęcie jest warte wielu słów.

- On wcale nie musi robić zdjęcia. - Marisa podeszła do Chelsea, przemawiając spokojnym, lecz stanowczym tonem. - Udało nam się dokonać tego, o co nam chodziło. Wieloryb jest na razie bezpieczny, a jutro przypłynie tu statek Greenpeace.

Chelsea przeniosła wzrok na zatroskaną twarz Marisy i natychmiast rysy jej twarzy złagodniały. Szczupła twarzyczka Marisy zsiniała z zimna, a długie proste włosy przybrały niemal czarny kolor, zmoczone rozpryskującą się o dziób wodą. Jej córka też przeżywała na statku ciężkie chwile, chociaż najprawdopodobniej nie zauważyła nawet niewygód, zatroskana o życie tego przekłętego wieloryba. Chelsea uspokoiła ją łagodnie:

- Nie martw się, kochanie. Ja się tym zajmę.

- Masz już zapewnioną reklamę, Chelsea - odezwał się Tyndale. - W przyszłym tygodniu ukaże się niewielki artykuł o dzielnej Chelsea Benedict, której ogromnie leży na sercu

ochrona środowiska i która stawiała czoło islandzkim wielorybnikom. Nie musisz być taka zachłanna.

Na chwilę Chelsea aż zaniemówiła, z wściekłości zapomniała nawet o potwornych nudnościach, które wydawały się podnosić jej żołądek jak fale statek.

- Posłuchaj no, Tyndale. Odkąd wypłynęliśmy z Reykjavíku, cały czas mnie atakujesz i usiłujesz wyprowadzić z równowagi. Powiedz, czemu to robisz?

Tyndale przestał się głupkowato uśmiechać.

- Nie przepadam za gwiazdami, które mieszają się w poważne sprawy, byle zdobyć sobie jeszcze większy rozgłos. Ochrona środowiska to bardzo istotny problem, który zasługuje na poważne traktowanie.

Chryste. Jest tylu reporterów na świecie, a ona musiała akurat trafić na nadętego głupka, który zazdrościł popularności gwiazdom filmowym.

- Przecież, do cholery, zgodziłeś się na tę robotę.

- Dlatego, że to atrakcyjny temat, a ja nie miałbym nic przeciwko temu, by ujrzeć swoje nazwisko pod zdjęciem w „Time”. Ale nie mam zamiaru dać ci więcej, niż muszę.

- Zgodnie z umową miałeś zrobić zdjęcia, tak żebym mogła mieć fotografię na okładce.

Wzruszył ramionami.

- Więc pozwij mnie do sądu.

Chelsea poczuła, że z wściekłości płonie aż po nasadę włosów.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie myślisz, sukinsynu - powiedziała jednak spokojnie, dobitnie akcentując słowa. - Ale Marisa uważa, że taka reklama powstrzyma wielorybników od zabijania dalszych waleni, a ja chcę, żeby była usatysfakcjonowana... - Krzyknęła w stronę sterówki do kapitana Desquaresa: - Proszę zbliżyć się do tego statku wielorybniczego!

- Mamusiu, nie! - Marisa chwyciła ją za ramię. - Nie musimy tego robić.

Kapitan Desquares przytaknął.

- To niezbyt rozsądne, Chelsea. Kiedy zagrodziliśmy mu drogę, ich kapitan wpadł w szal.

Chelsea spojrzała na niskiego, zażywnego mężczyznę opartego o burtę statku wielorybniczego i nienawistnie spoglądającego w ich stronę. Desquares miał rację, facet sprawiał wrażenie równie wściekłego jak ona.

- Nie przybyliśmy tu, żeby ich uszczęśliwić. - Chelsea zwróciła się do Tyndale'a. - Myślisz, że jesteśmy za daleko, żeby wyszło dobre zdjęcie? Zobaczmy, na ile możemy się zbliżyć. Mariso, idź do sterówki do kapitana.

- Nie pójdę - zaprotestowała Marisa.

- W takim razie stań przy prawej burcie. Nie chcę, żebyś była teraz w pobliżu.

Marisa zawahała się, lecz z westchnieniem posłuchała matki.

- Wolałabym, żebyś tego nie robiła, mammo.

- Ja też - mruknął kapitan Desquares.

- Szybciej - zarządziła Chelsea. - A ty, Tyndale, stój, gdzie stoisz, i trzymaj aparat w pogotowiu.

Tyndale wyprostował się.

- Co ty wyprawiasz?

- Jeśli nie uda ci się zrobić tego zdjęcia, dopilnuję, żeby twój wydawca urwał ci jaja.

Uszu Chelsea dobiegał szum wody rozpruwanej przez „Rescuer”, który zbliżał się do statku wielorybniczego. Dostrzegając teraz wyraźnie skamieniałą ze zdziwienia, okoloną brodą twarz kapitana. Ryknął z wściekłości i zaczął wygrażać jej pięścią.

- Mammo, proszę... - Głos Marisy wibrował niepokojem.

- Szybko. Znacie jakieś islandzkie przekleństwa? - rzuciła Chelsea przez ramię do kapitana Desquaresa. - Coś, co go rozsierdzi.

- Już jest wystarczająco rozsierdzony - zauważył Tyndale.

Desquares wymamrotał coś w obcym języku.

- Proszę trochę wolniej. Nie rozumiem. - Chelsea nie spuszczała wzroku z kapitana statku wielorybniczego, który mówił coś do marynarza obsługującego działko. - Za dużo sylab.

Kapitan wolniej powtórzył słowa.

- Zrozumiałam. - Chelsea zawsze doskonale radziła sobie w dialogach, ale nigdy nie przypuszczała, że przyjdzie jej wykorzystać swój talent w takich okolicznościach. Nie patrząc na Tyndale'a, rozkazała: - Przygotuj się. I jeśli nie zrobisz tego zdjęcia, wrzucę twój aparat do morza.

- Ma cię na celowniku. Nie może nie trafić.

- O ile będzie chciał mnie trafić. Wątpię, żeby był aż taki głupi. - Miała nadzieję, że nie jest Głęboko zaczerpnęła tchu i mocnym głosem wykrzyczała stek przekleństw pod adresem kapitana statku wielorybniczego.

Po chwili jej uszu dobiegł dziki ryk wściekłości. Potem cichy świst harpuna uwolnionego z działka, rozdzierającego powietrze i mknącego w stronę Chelsea.

Głuchy krzyk Marisy, która rzuciła się przez pokład ku matce.

Harpun wbijający się z tęnym odgłosem w drewniany maszt niecały metr od głowy Chelsea.

Drżąc ze strachu, Chelsea odwróciła się do Tyndale'a:

- Zrobiłeś to cholerne zdjęcie, sukinsynu?

Twarz Tyndale'a przybrała woskowoblady odcień, trzymające aparat ręce drżały.

- Mam to.

- W takim razie spływamy stąd.

Kapitan Desquares natychmiast wykonał zwrot.

- Odetnij tę linę, bo inaczej nie odpłyniemy.

Marynarz wypełnił polecenie i odciął linę uwiązaną do wbitego w maszt harpuna.

Chelsea po raz ostatni spojrzała na pokład statku wielorybniczego. Chociaż kapitan wciąż nie odrywał od niej pałającego wzroku, wydawał się nieco spokojniejszy i z pewnością na statku nie szykowano się do wystrzelenia kolejnego harpuna.

Dwie minuty później „Rescuer” płynął już na południe ku Reykjavikowi.

W chwili gdy statek wielorybniczy znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, Chelsea przechyliła się przez burtę, czując nagły przypływ nudności.

Pozostała w tej pozycji przez dłuższy czas. - Jak przez mgłę widziała kawałki lodu wielkości jej pięści pływające po zimnej zielonej wodzie. Chryste, brakowało tylko tego, żeby statek zderzył się z górą lodową.

Uniósłszy głowę, zorientowała się, że obok niej stoi Marisa trzymając mokrą chusteczkę.

- Dziękuję, kochanie, teraz czuję, że przeżyję. - Spojrzała z ukosa na Tyndale'a. - Czy robił jakieś zdjęcia przed chwilą?

Marisa pokręciła głową.

- Myślę, że go zmiażdżyłaś. - Przytuliła się do Chelsea i delikatnie pogładziła ją po włosach. - Nie chciałam sprawić ci takiego kłopotu, mamó.

- Nie masz się za co winić. To ten cholerny wielorybnik i Tyndale spowodowali to całe zamieszanie. - Chelsea skrzy-

wiła się. - I mój temperament. Zepsułam ci twoją pokojową misję, co?

- Może nadszedł czas, żebyśmy przystąpili do bardziej zdecydowanych działań - stwierdziła Marisa. - Jak na razie wydaje się, że nikt nas nie słucha. - Jej wysokie czoło przecięła zmarszczka frasunku. - Wciąż ginie wiele wielorybów i delfinów. Dlatego nikt nie zwraca na nas uwagi?

- Może to zwróci uwagę. - Chelsea wątpiła, czy konfrontacja ze statkiem wielorybniczym rzeczywiście przyniesie jakieś efekty, ale nie chciała powiedzieć tego Marisie. Jej córka nie znała jeszcze siły ludzkiej zachłanności i była na tyle młoda, że wierzyła, iż można zmienić świat, o ile nie będzie się szczenił wysiłku. - W każdym bądź razie będziemy mieli taką reklamę, że powinno to niektórymi wstrząsnąć.

Marisa zachichotała.

- Powinnaś była widzieć twarz Tyndale'a, kiedy wystrzelono harpun.

- Mam nadzieję, że mały nie zemdlał ze strachu. - Chelsea mocno chwyciła reling czując, jak żołądek znów zaczyna podchodzić jej do gardła. - Psiakość, myślałam, że już po wszystkim. - Zamknawszy oczy, zaczęła głęboko wciągać powietrze. - Mariso, musisz mi coś obiecać.

Marisa otarła skronie matki moką chusteczką.

- Co?

- Że następnym razem zajmiemy się ochroną słońi. - Chelsea gwałtownie przechyliła się i wystawiła głowę nad wzburzone fale. - Boże, jak ja nie cierpię choroby morskiej.

„Rescuer” wchodził do portu, kiedy taksówka, którą jechali Caitlin i Alex, zatrzymała się obok ogromnego magazynu. Przy moło szofer w liberii opierał się o maskę długiej czarnej limuzyny, ze wzrokiem utkwionym w zbliżający się statek.

- Zdążyliśmy na czas - stwierdził Alex wręczając taksówkarzowi należność i dając mu znak, żeby zaczekał. - A teraz zobaczymy, w jakim humorze jest nasza dama i czy nie lepiej będzie porozmawiać z nią innym razem.

- Mówiłeś, że wraz z córką próbowały powstrzymać wielorybników?

Alex przytaknął.

- Islandia i Japonia wciąż na wielką skalę polują na wie-

loryby. Islandia oficjalnie się z tego wycofuje, ale wciąż zdarzają się wielorybnicy bardzo wrogo nastawieni do ingerencji z zewnątrz.

- To ona. Poznają ją po włosach. - Caitlin wysiadła z samochodu, nim taksówkarz zdążył otworzyć drzwiczki, i pomknęła wzdłuż mola.

Włosy idącej pomostem kobiety miały niepowtarzalny odcień złocistej czerwieni i opadały na ramiona kaskadą kędziorów, które wypieściła mistrzowska ręka fryzjera. Chelsea Benedict była niewysoka, lecz poruszała się tak żwawo, z taką gracją i witalnością, że patrzący na nią był pod urokiem jej sposobu bycia, nie zwracając uwagi na wzrost Miała na sobie biały gruby sweter rybacki, rdzawą zamszową kurtkę, i zielone sztruksowe spodnie wpuszczone w beżowe zamszowe botki.

Alex i Caitlin zatrzymali się u stóp trapu. Gdy aktorka wyszła na nabrzeże, Alex ruszył w jej stronę.

- Pani Benedict? Moje nazwisko Alex Karazov, a to jest Caitlin Vasaro. Czy moglibyśmy prosić o chwilę rozmowy?

Chelsea uniosła głowę; Caitlin aż zaczerpnęła tchu z wrażenia. Nie spodziewała się, że aktorka będzie tak atrakcyjna. Chelsea Benedict nie miała makijażu, lecz jej gładka oliwkowa cera najwyraźniej go nie potrzebowała. Miała wystające kości policzkowe i głęboko osadzone szafirowoniebieskie oczy. Wyraziste rysy nie pretendowały do miana klasycznych; ta twarz ustanawiała własne kryterium piękna.

- Do diabła, nie. - Zrobiła groźną minę. Jej głos był gardłowy, wręcz chrapliwy. - Jestem zmarznięta, przemoknięta, cierpiałam na chorobę morską, a ten gangster, który idzie za mną, ma zgodę na wyłączenie. Proszę mi wybaczyć.

Dopiero teraz Caitlin dostrzegła zmarszczki przemęczenia otaczające wargi Chelsea Benedict.

- Nie jesteśmy reporterami, pani Benedict. Mamy dla pani ofertę handlową - powiedział Alex.

- Nie wiem, kim pan jest. Proszę się skontaktować z moim menażerem. - Chelsea obejrzała się przez ramię. - Mariso, idziemy.

Młoda dziewczyna o całą głowę wyższa od Chelsea, ubrana w żółtą kurtkę żeglarską i džinsy, szybko zbiegła po trapie.

- Przepraszam, mamu. Pan Tyndale zadawał mi różne pytania.

Chelsea zeszytniała.

- Na temat ekspedycji?

Marisa unikała wzroku matki.

- Też.

- Idź do samochodu - poleciła Chelsea i wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo. - Rozmówię się z Tyndale'em.

- Mamo, wszystko jest w porządku. Nie miałam nic przeciwko temu.

- Ale ja mam. - Chelsea obrzuciła wściekłym spojrzeniem schodzącego po trapie mężczyznę. - Twój artykuł ma dotyczyć planu ratowania wielorybów, a nie mojej córki.

Paul Tyndale uśmiechnął się chytrze.

- Chciałaś mieć przecież dodatkowe miejsce w gazecie. Artykuł rozwijający temat z okładki musi być odpowiednio pogłębiony, a przecież twoja córka też bierze w tym udział. - Przyjrzał się Marisie. - Może i jej zrobi się parę zdjęć. Jeśli się nie zgodzisz, wykorzystamy zdjęcia z procesu.

- Wyciągną cię z Atlantyku, jeśli...

- To nieistotne, mamo - przerwała jej Marisa. - Nie obchodzi mnie, co on o mnie napisze. Najważniejsze są wieloryby.

- Widzisz? - odezwał się Tyndale. - Twoja córka zna hierarchię ważności. - Uśmiechnął się kpiąco. - Ochrona ginących gatunków warta jest nawet potapiania się w błotku... o ile zdecyduję, że to mnie interesuje.

Przeszedłszy obok nich, skierował się wzdłuż mola.

Chelsea odprowadziła go wzrokiem, używając dosadnych, tym razem angielskich określeń.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby był aż tak wredny, jak myślisz. Po prostu jest wściekły, bo sprawiłaś, że wyszedł na głupka. - Marisa otoczyła plecy matki ramieniem. - Chodźmy. Gorąca kąpiel, mała drzemka i wrócisz do formy.

- Ale ty nie. - Chelsea delikatnie dotknęła policzka Marisy wskazującym palcem. - Nie powinnam była mieć dodatkowych wymagań. Co za różnica, jedna okładka mniej, jedna więcej?

- Zawsze lubiłaś sięgać po wszystko. - Marisa uśmiechnęła się szeroko. - I jak mogłabym się żalić, skoro robiłaś to dla mnie?

Alex postanowił się wtrącić.

- Widzę, że nie jest to najlepszy moment na dyskusję o interesach. Czy moglibyśmy spotkać się wieczorem w hotelu?

- Jutro odlatujemy do Nowego Jorku. - Chelsea skierowała się w stronę czarnej limuzyny. - Proszę skontaktować się z moim menażerem.

- Potrzebna nam szybka decyzja. - Alex i Caitlin dotrzymywali kroku Chelsea i jej córce. - Przedstawienie naszej oferty zajmie najwyżej dziesięć minut.

- Nie sądzę...

- Proszę to rozważyć... - Alex zawiesił głos. - Mój wspólnik, Jonathan Andreas, będzie bardzo rozczarowany, jeśli nawet nie raczy pani wysłuchać, jakie są nasze plany względem pani i Tańczącego na Wietrze.

Doszli do samochodu; szofer otwierał drzwi.

- Moglibyśmy spotkać się na przykład o siódmej?

Chelsea zawahała się. Marisa zajęła miejsce w limuzynie.

- A zresztą... Czemu nie? Zapraszam na herbatę do mojego apartamentu w „Kravitz” o czwartej.

Wsiadła do samochodu, szofer zatrzasnął drzwi, szybko obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

Alex i Caitlin patrzyli, jak limuzyna cicho sunie wzdłuż magazynów.

- Niesamowita, nie sądzisz? - Caitlin wsunęła ręce do kieszeni podbitej futerkiem kurtki. - Jak postępować z taką osobą?

- Tak jak z każdym innym - odpowiedział Alex podając jej ramię. Skierowali się do czekającej na nich taksówki. - Trzeba się zorientować, czego sobie życzy, i dać jej to. - Uśmiechnął się szeroko. - W zamian za to, co chce się uzyskać dla siebie.

Chelsea w skupieniu słuchała, gdy Alex przedstawiał w zarysie plan kampanii reklamowej, lecz jej twarz pozostała nieprzenikniona. Siedziała z podwinętymi nogami na obitej kremową tkaniną sofie w swoim apartamencie, ubrana w luźny satynowy kostium w odcieniu jasnego beżu, z którym wspaniale kontrastowały jej lśniące, rozwichrzone włosy. Gdy Alex skończył mówić, milczała dobrą chwilę, wpatrując się w bursztynową herbatę w filiżance. Jej długie rzęsy rzucały cień na policzki.

- Nigdy jeszcze nie uczestniczyłam w promocji żadnego produktu. Jestem aktorką, nie agentką reklamową.

- Aktorka zawsze może być zainteresowana reklamą. - Alex wychylił się z fotela. - A ja mogę panią zapewnić, że wszystko będzie przygotowane na medal. Sami jesteśmy zain-

teresowani tym, żeby reklamy i publiczne pokazy zwiększyły pani popularność.

Chelsea nie unosiła wzroku znad filizanki.

- Tak, rozumiem. - Przez chwilę milczała, po czym niespodziewanie uniosła głowę i rzuciła szybkie spojrzenie Caitlin, siedzącej w fotelu obok Alexa. - A czemu, do diabła, pani nic nie mówi? To przecież pani perfumy, o ile dobrze zrozumiałam.

Caitlin poczuła, jak pod wpływem reakcji na gwałtowny atak jej policzki oblewa gorący rumieniec.

- Tak, to moje perfumy.

- W takim razie dlaczego to nie pani stara się mnie namówić, żebym zabrała się do roboty?

- Ja nie... Myślę, że... - umilkła na chwilę, po czym zdecydowała się powiedzieć prawdę. - Pani mnie trochę onieśmiela.

Chelsea uniosła brwi i przeniosła wzrok na Alexa.

- A on nie?

Chelsea najwyraźniej była bystrą obserwatorką.

- Nigdy dotąd nie rozmawiałam z gwiazdą filmową - wyjąkała Caitlin. - I naprawdę nie wiem...

Alex zachichotał.

- Caitlin zdaje sobie sprawę, że mamy wspólne interesy.

- A my także mamy wspólne interesy? - zapytała Alexa Chelsea.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Bardzo zbliżone.

Chelsea zwróciła się do Caitlin.

- Czy ma pani próbkę tych perfum?

- Oczywiście. - Caitlin otworzyła torebkę i wyjęła z niej mały flakonik. - Nazwałam je „Vasaro”.

Chelsea otworzyła flakonik i wciągnęła zapach w nozdrza, po czym strząsnęła parę kropel na lewy nadgarstek i ponownie powąchała.

- Cholera, to naprawdę świetne perfumy.

- Spodobały się pani? - W Caitlin wstąpiła nadzieja. Wychyliła się z fotela. - To ja je skomponowałam.

- Mając tak świetne perfumy nie będzie pani musiała komponować innych. - Chelsea ponownie powąchała nadgarstek. A czemu nazywają się „Vasaro”?

- Vasaro to mój dom. Uprawiamy tam kwiaty dla potrzeb przemysłu perfumeryjnego.

- Hmm... - Chelsea zwróciła flakonik Caitlin. - A gdzie to jest?

- Na południu Francji, niedaleko Grasse.

- Chcemy nakręcić w Vasaro reklamówki dla telewizji - wtrącił Alex. - To niewiarygodnie piękna okolica.

- Nawiedzana przez licznych turystów?

- Nie, to bardzo cicha miejscowość.

Chelsea ponownie uniosła nadgarstek do nosa.

- Mówił pan, że chcielibyście, żebym spędziła miesiąc w Paryżu?

Caitlin odetchnęła z ulgą. Aktorka musiała być zainteresowana propozycją; inaczej nie zadawałaby pytań.

Alex przytaknął.

- Przedstawilibyśmy panią jako naszego rzecznika, nadali odpowiedni rozgłos powrotowi Tańczącego na Wietrze do Francji i wyznaczili datę wprowadzenia perfum na rynek.

- I zrobili mi tysiące fotografii z Tańczącym na Wietrze. - Chelsea skrzywiła się. - Nigdy jeszcze żadna statuetka nie zepchnęła mnie na drugi plan.

- Ale mamy do czynienia z niezwykle statuetką - zauważył miękko Alex. - I z niezwykle kobietą. Razem będziecie w stanie zawojować świat.

Chelsea odrzuciła w tył głowę i roześmiała się.

- Boże, ależ pan jest nieustępliwy.

- Zrobi to pani? Możemy na panią liczyć?

Chelsea nakryła błyszczące szafirowe oczy powiekami o długich rzęsach.

- O ile dojdziemy do porozumienia.

Caitlin nerwowo zacisnęła palce na flakoniku.

- Nie poruszaliśmy jeszcze tematu pieniędzy - zwróciła uwagę Chelsea. - Nie jestem materialistką, ale...

- Dwa miliony dolarów - oznajmił Alex.

Caitlin gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nie przypuszczała, że będą musieli zapłacić aż tyle jedynie za pomoc w promocji.

- To niewystarczająca suma - stwierdziła Chelsea.

- To więcej, niż otrzymuje pani za film.

- Za następny zażądam trzech milionów.

- Mówimy o reklamówkach i kilkakrotnym udziale w pokazach. To nie jest zbyt ciężka praca.

- Ale mam firmować produkt. To wielka odpowiedzialność.

Alex milczał przez chwilę.

- Trzy miliony.

Chelsea popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Zgodziłabym się na dwa siedemset. Pospieszył się pan.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Ale w innym przypadku zaczęłaby pani stawiać warunki. Nie mam na to czasu.

Chelsea wolno pokiwała głową.

- Ale ja mimo to mam warunki. - Ruchem głowy wskazała flakonik w ręku Caitlin. - Życzę sobie, żeby na buteleczce było moje imię. Nazwiemy perfumy „Chelsea”.

- Nie! - Krzyknęła Caitlin przerażona.

Chelsea zacisnęła szczęki.

- Takie jest moje życzenie. To będzie dla mnie wspaniała reklama na wiele lat. Popularność niektórych perfum trwa ponad pół wieku. Weźmy choćby „Chanel No. 5”.

Alex milczał.

- Powiedz, że to niemożliwe. - Caitlin błagalnie spojrzała na Alexa. - Nie możemy zmienić nazwy.

- Zgadzam się na dwa miliony siedemset - oznajmiła Chelsea - jeśli na buteleczce znajdzie się moje imię. W przeciwnym razie nie jestem zainteresowana zawarciem umowy.

- Alex - Caitlin rozpaczliwie ścisnęła go za ramię - powiedz jej...

- Jest nam potrzebna.

- Nie aż tak.

- Niestety, aż tak - odparł napiętym głosem Alex.

Caitlin poczuła dławienie w gardle, łzy napłynęły jej do oczu. Czemu nie zamieściła w umowie klauzuli gwarantującej jej prawo do ustalenia nazwy perfum? Nie wydawało jej się to konieczne po tym, jak Alex powiedział, że nie widzi przeszkód, żeby nazwać perfumy „Vasaro”.

- Powiedziałeś, że mogę zatrzymać swoją nazwę. Powiedziałeś, że to nie ma znaczenia.

Przez tweedowy materiał marynarki czuła napinające się mięśnie Alexa.

- Nie rozumiesz. Każda część musi doskonale dopełniać całość. Brakuje jednego elementu i wszystko trzeba zaczynać od zera.

- Ale to nie jest w porządku. - Zwróciwszy się do Chelsea, wypaliła gniewnie: - Nie może pani umieścić swojego imienia na opakowaniu. Moje perfumy należą do Vasaro. To jest Vasaro.

Chelsea uśmiechnęła się i spojrzała na Alexa. Alex przełonił wzrok na napiętą twarz Caitlin. Przez dobrą chwilę nie odzywał się, po czym powiedział:

- W porządku. - Zwrócił się do Chelsea: - Nie zawrzemy umowy. Nie może pani nazwać perfum swoim imieniem.

Caitlin odetchnęła.

Oczy Chelsea rozszerzyły się ze zdumienia.

- To państwa ostatnie słowo?

- Będziemy musieli zwrócić się do kogoś innego.

Chelsea uśmiechnęła się z zaciekawieniem.

- Nie jest pan taki bezwzględny, jak myślałam, *mister* Karazov. Byłam prawie pewna, że pan ją zdradzi.

Alex wstał.

- Przepraszam, że zabraliśmy pani tyle cennego czasu. Chodźmy, Caitlin.

Chelsea wdzięcznie podniosła się z sofy.

- To nie był stracony czas. Towarzystwo państwa uważam za nader interesujące. - Zwróciła się do Caitlin. - Vasaro musi dla pani wiele znaczyć.

Caitlin skinęła głową i wstała.

- Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie.

Chelsea roześmiała się.

- Nie ma drugiego takiego miejsca jak dom. - Zmarszczyła nos. - Nie wiem, co to znaczy. Nigdy nie miałam domu. - Uśmiech zamarł jej na ustach. - I Marisa też nie. - Nagle zwróciła się do Alexa. - Trzy miliony - oznajmiła żywym głosem. - I nazwa jest wasza.

Alex znieruchomiał.

- Zgoda.

Caitlin wpatrywała się w Chelsea, zaskoczona w najwyższym stopniu.

- Ale nadal mam warunek - zwróciła się Chelsea do Caitlin. - Tym razem chyba nie wyda się pani zbyt trudny do spełnienia. Chciałabym, żeby do czasu oficjalnej promocji perfum przyjęła pani pod swój dach moją córkę Marisę. - Uśmiechnęła się. - Ma dopiero szesnaście lat, ale z pewnością nie sprawi pani kłopotu. Doskonale potrafi współżyć

z ludźmi. Jest bardzo spokojna... zupełnie niepodobna do mnie.

- Będzie bardzo mile widziana. - Caitlin mówiła szczerze. Córka Chelsea od razu wzbudziła jej sympatię. Wydawała się niezwykle dojrzała jak na swój wiek. - Ja, co prawda, jestem zajęta pracą na polach, ale moja mama z przyjemnością się nią zaopiekuje.

- Marisa nie wymaga opieki. Przynajmniej tak mi zawsze powtarza. - Chelsea ruszyła do drzwi. - Oczywiście wcale jej nie słucham. Prosiłabym tylko, żeby państwo przez najbliższy miesiąc trzymali ją z dala od wścibskich reporterów. Artykuł Tyndale'a z pewnością narobi dużo szumu i nie chcę, żeby ten zgiełk ją dotknął.

- Jakiego szumu?

- Proszę zapytać pani przyjaciela. - Przenikliwy wzrok Chelsea przeniósł się na Alexa. - Założę się, że wie wszystko na temat Marisy. Wydaje się mieć dostęp do wielu informacji.

- Tak się składa, że rzeczywiście wiem, co przydarzyło się Marisie - odezwał się poważnym tonem Alex. - I podziwiałem pani reakcję.

- Nie pozostało mi nic innego. - Chelsea spojrzała na Caitlin. - Wie pani, czego chce, i nie jest zachłanna. To mi się podoba.

- Pani też wie, czego chce. - Caitlin uśmiechnęła się do Chelsea. - Aktorka miała silną osobowość i trudno było nie podziwiać jej szczerości. - Ale nie mogę powiedzieć, żeby nie była pani zachłanna.

Chelsea wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- To dlatego, że wychowałam się w slumsach. Potem, niezależnie od tego, jak bardzo jest się bogatym, nigdy nie ma się dosyć.

Alex sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Przygotowałem już umowę. Możemy dokonać w niej niezbędnych poprawek, po czym zechce pani opatrzeć ją inicjałami i...

- Nic z tego - oznajmiła zdecydowanym tonem Chelsea. - Proszę to przekazać mojemu menażerowi.

Alex uśmiechnął się nieznacznie i zwrócił się do Caitlin.

- Bardzo roztropnie z pani strony. Widzisz, co powinnaś była zrobić, Caitlin?

- Ale ja nie miałam swojego menażera. Nie ufam nikomu oprócz siebie - odparła Caitlin. - Z wyjątkiem ciebie.

Alex skrzywił się.

- W takim razie niech niebiosa mają cię w swojej opiece.

- Amen - dokończyła Chelsea, otwierając drzwi.

Co miała na myśli mówiąc, że na pewno wiesz wszystko na temat jej córki? - zapytała Alexa Caitlin, gdy szli korytarzem w stronę windy.

- Niczego takiego, o czym nie wiedziałyby większość ludzi - odpowiedział Alex. - Trudno zresztą to ukryć. Chelsea Benedict spędziła czternaście miesięcy w więzieniu.

- W więzieniu? - Caitlin aż podskoczyła z wrażenia.

- Wychowała się w nowojorskich slumsach. Jej matka była prostytutką, a ojciec... - Wzruszył ramionami. - Kto go tam wie? Tak czy owak mieszkał z nimi tak krótko, że to nie ma żadnego znaczenia. Chelsea poszła do średniej szkoły artystycznej i całkiem nieźle się zapowiadała, kiedy spotkała Harry'ego Pernella. Sporo od niej starszy, był bogatym ważniakiem z Wall Street. Chelsea zaszła z nim w ciążę, kiedy miała szesnaście lat. Pobrali się wtedy i sześć miesięcy później urodziła Marisę. - Nacisnął guzik windy. - Cztery lata później uzyskała rozwód i zaczęła się ubiegać o przyznanie jej opieki nad dzieckiem. Bezskutecznie.

- Przecież zazwyczaj to matce przyznaje się prawo do opieki - wtrąciła Caitlin. - Dlaczego w przypadku Chelsea było inaczej?

- Harry Pernell był wyjątkowym łajdakiem. Był wystarczająco bogaty, żeby nająć fałszywych świadków i zgromadzić dowody przeciwko niej. Otrzymał prawo wyłącznej opieki, ale Chelsea się nie poddała. Poszła do pracy i najęła adwokatów. Marisa uczęszczała do prywatnej szkoły na Manhattanie i Chelsea przekupiła personel i władze szkoły, żeby pozwolono jej widywać się z Marisą.

Drzwi windy odsunęły się. Weszli do kabiny, Alex nacisnął guzik i winda bezszelestnie ruszyła w dół.

- Kiedy Marisa miała sześć lat, Chelsea odkryła, że Pernell wykorzystuje małą seksualnie.

- Swoją własną córkę? - Caitlin poczuła, że robi się jej niedobrze.

Alex przytaknął.

- Kazirodztwo. Ale wtedy ten temat był tabu. Nikt nie wierzył Chelsea, kiedy złożyła doniesienie policji.

- Boże - wyszeptała.

- Chelsea porwała Marisę i wywiozła ją do przyjaciół do innego stanu. - Alex wykrzywił wargi. - A Pernell sprawił, że Chelsea została aresztowana i wtrącona do więzienia za uprowadzenie dziecka. Spędziła tam czternaście miesięcy. Oświadczyła, że prędeej tam zgnije niż pozwoli, by Pernell z powrotem dostał w swe łapy Marisę.

- To wymagało od niej wielkiej odwagi.

- Babka ma klasę. Jej adwokaci w końcu znaleźli dowody przeciw Pernellowi w innej sprawie o seksualne wykorzystywanie dziecka, tym razem był to ewidentny gwałt; i Chelsea została ułaskawiona.

- Co się z nim stało?

- Poszedł do więzienia. Nie przeżył tam siedmiu miesięcy. Miał śmiertelny wypadek. Więźniowie nie lubią pedofili.

Poczucie dzikiej satysfakcji, które na moment ogarnęło Caitlin, zaszokowało ją samą. Zawsze uważała, że zemsta nie ma sensu, lecz samo wyobrażenie bezbronnego dziecka, które padło ofiarą własnego ojca, wprawiło ją w ślepą furję. Skoro ona tak silnie reagowała tylko na podstawie relacji, to co musiała przejść Chelsea. Caitlin poczuła do niej nagle ogromną sympatię.

- A teraz Chelsea boi się, że reporterzy wskrzeszą właśnie tę historię?

- Kiedy odniosła pierwszy duży sukces w Hollywood, weszono za wszystkim, co dotyczyło jej przeszłości, i opisywano w gazetach. Lecz mężnie stawiała temu czoło i powiedziała, żeby prasa zabrała swoje brudne łapy od jej życia prywatnego. Powiedziała, że jeśli widzom nie wystarcza to, co daje im na ekranie, to niech ich piekło pochłonie.

- Wierzę, że mogła tak powiedzieć.

- Ona jest nie do zdarcia. - Drzwi windy otworzyły się i Alex wprowadził Caitlin do rześście oświetlonego, hałaśliwego *foyer*. - Jest obdarzona ogromną wrażliwością, a jednak stoi na nogach wystarczająco mocno, żeby większość kobiet mogła się z nią utożsamiać.

- Tak jak Vasaro. - Caitlin nagle stanęła przed oczami

Chelsea taka, jaką widziała po raz pierwszy: piękna, zmęczona, a mimo to gotowa w każdej chwili podjąć walkę. 'Tak, Chelsea była jak Vasaro. Nie szczędzono jej niczego, a jednak potrafiła wszystko przetrzymać i kwitnąć. - Jestem bardzo zadowolona, że zdecydowała się zostać naszą przedstawicielką. - Zrobiła wymowną minę. - Chociaż, prawdę mówiąc, nikt nie pytał mnie o zdanie.

- Promocja miała zależeć wyłącznie ode mnie - przypomniał Alex.

- Wiem. Wcale się nie żalę. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - A ty naprawdę walczyłeś o nazwę.

- Przestań tak na mnie patrzeć - powiedział szorstko Alex.

- Walczyłem z nią, bo wiedziałem, że inaczej się wycofa.

- Nie mogłeś być tego pewien. - Ujęła go pod ramię. - Chelsea ma rację, nie jesteś wcale taki twardy, za jakiego chciałbyś uchodzić.

Alex ostrzegawczo pokręcił głową.

- Nie popełniaj błędów i nie myśl, że jestem inny niż jestem, Caitlin.

- Nie wiem, jaki jesteś naprawdę. - Nie przestawała się uśmiechać. - Ale myślę, że zaczynam się tego dowiadywać.

Nim odwrócił głowę, zdążyła pochwycić jego na poły zrezygnowane, na poły czułe spojrzenie.

- Lecimy stąd do Paryża. Pojutrze jesteśmy tam umówieni z Pierrem Desharmes.

Natychmiast się zaniepokoiła. Pierre Desharmes uchodził za jednego z najlepszych projektantów opakowań dla przemysłu perfumeryjnego, ale nigdy nie zdecydowałyby się go wybrać.

- Nie zgadzam się.

- Jak to? - Alex sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Chcę, żeby to był Henri LeClerc.

- Ma mnóstwo zamówień. - Z powątpiewaniem pokręcił głową. - Może się nam nie udać przekonać go, żeby odłożył zamówienia Diora i Coty i wykonał opakowanie dla nas.

- Chcę spróbować. - Zawahała się. - Dwa lata temu czytałam coś na jego temat w czasopiśmie... to może okazać się pomocne.

- Nie możesz wierzyć we wszystko, co piszą.

- No cóż, może to na nic... ale tak czy owak chcę spróbować.

- W takim razie spróbujemy. Zatelefonuję z lotniska do niego do biura i poproszę go o spotkanie. - Uśmiechnąwszy się, Alex otworzył drzwi wejściowe i zimny podmuch wiatru owionął ich twarze. - Sprawdzimy, jaka jest sytuacja, i zobaczymy, czy uda się wykorzystać ją do naszych potrzeb.

- Zorientuj się, czego sobie życzy LeClerc i daj mu to - zacytowała jego słowa Caitlin, czując, jak przenika ją miły dreszcz emocji. Pomimo poczucia wyobcowania wywołanego szaleńczym tempem życia w świecie, do którego wciągnął ją Alex, nie mogła zaprzeczyć, że cieszyło ją szybkie przenoszenie się z kraju do kraju i spotkania z tak wpływowymi i sławnymi ludźmi jak Jonathan Andreas i Chelsea Benedict.

- Dokładnie tak. - Przez twarz Alexa przemknął wyraz satysfakcji, gdy spojrzął na rozognione policzki i pałające oczy Caitlin. Przystanąwszy, szczerzej otulił kołnierzem płaszcza jej szyję.

Chelsea zapukała, po czym wetknęła głowę do sypialni Marisy.

- Już sobie poszli.

Marisa spojrzała na nią z uśmiechem.

- To dobrze. Teraz możesz zamówić coś do jedzenia i położyć się spać. - Leżała zwinięta w kłębek na łóżku, z podręcznikiem do algebry na poduszce i z notesem w rękę. Miała na sobie starą spłowieałą niebieską piżamę, która nadawała jej wysokiej, szczupłej sylwetce niemal chłopięcy wygląd. - Zjadłaś te bułeczki, które kelner przyniósł do herbaty?

Chelsea pokręciła głową i podeszła do łóżka.

- Nie dałam rady. Mój żołądek jeszcze się nie uspokoił.

Marisa przesunęła się na skraj łóżka i Chelsea położyła się obok niej. Westchnąwszy z zadowoleniem, zamknęła powieki; napięcie dnia powoli z niej uchodziło.

- O, jak dobrze. Boże, jaka jestem zmęczona.

Marisa odrzuciła notes i leżała obok nieruchomo, czekając, aż Chelsea poruszy się pierwsza.

Nadzwyczaj przyjemnie było tak leżeć nie musząc walczyć, starać się być silną, sprytną czy błyskotliwą. Chelsea wiedziała, że za chwilę znów będzie musiała się zmobilizować, lecz na razie chciała tylko leżeć obok Marisy. Słyszała lekki, równy oddech córki i czuła delikatny zapach irysów i białych bzów

w wazonie na stoliku. Dyrekcja hotelu przysłała jej ten bukiet zaraz po tym, jak się tu zameldowały i Chelsea pamiętała, jak Marisa uśmiechnęła się po swojemu - powoli, promiennie, kiedy przyniesiono kwiaty i mogła delikatnie dotknąć palcem jednego z aksamitnych płatków irysa.

Chelsea zaczynała czuć odprężenie, najwidoczniej pogoda ducha Marisy była zaraźliwa. Jak ona to robi? - zastanawiała się Chelsea. To, co jej córka przecierpiała, zraniło ją, lecz nie zostawiło blizny.

- Wiesz, co sobie czasami myślę?

- Co takiego?

- Myślę, że być może niektórzy ludzie urodzili się już z zahartowanymi duszami. - Chelsea otworzyła oczy i w zamyśleniu spojrzała na oprawione zdjęcie na przeciwległej ścianie, przedstawiające zorzę polarną. - Tak że to, co się zdarzy, nie jest w stanie ich zmienić czy zniszczyć. Rozumiesz co mam na myśli?

- Czyżbyś wierzyła w wędrówkę dusz? Mówisz chyba o oczyszczonych duszach?

- Tak? - No tak, Marisa potrafiła wyrazić to precyzyjniej. Pochłaniała książki z różnych dziedzin w błyskawicznym tempie. Chelsea obróciła się na łożku, by spojrzeć na córkę. - Myślę, że ty masz taką duszę, kochanie.

Marisa zachichotała.

- Musisz być zmęczona. Nie pamiętam cię w filozoficznym nastroju.

- Filozoficznym? Ja? - zdziwiła się Chelsea. - O Boże, masz rację. Mówię jak Shirley MacLaine. - Usiadła na łożku. - Mam pustkę w głowie. Lepiej zamówię coś do jedzenia. Może być sałatka i zupa?

- Oczywiście. - Marisa oparła się o wezgi łożka, a Chelsea złożyła zamówienie przez telefon.

- No dobrze. - Chelsea odłożyła słuchawkę i wstała. - Teraz sobie pójdę, a ty odrabiaj lekcje, dopóki nie przyniosą posiłku.

- Nie musisz wychodzić.

- Powinam. - Chelsea zmierzała w stronę drzwi do saloniku. - Przeszkadzam ci, a ty jesteś zbyt uprzejma, żeby mi to powiedzieć.

- Mamo, to nieprawda.

- Prawda. - Chelsea przystanąła w drzwiach i obejrzała

ZAGADKI

się przez ramię. Twarz Marisy wyrażała z troską i skruchę. Chelsea poczuła nagle przypływ miłości i wzruszenia. Boże. Jak to możliwe, że spotkało ją takie szczęście? Przy wszystkich popełnionych błędach musiała chyba zrobić także coś dobrego. - Nie jestem wcale urażona. Wiem, że mnie kochasz. - Zrobiła pocieszoną minę. - Chyba niełatwo jest mieć matkę-aktorkę.

- Nie. - Marisa uśmiechnęła się. - Ale bardzo zabawnie.

- Co za określenie. Wiesz, zdecydowałam się wziąć udział w kampanii reklamowej perfum.

Marisa uniosła brwi.

- Dlaczego?

Chelsea wzruszyła ramionami.

- Umowa jest bardzo korzystna. - Zawiesiła głos. - Kobieta, która opracowała recepturę perfum, hoduje kwiaty w miejscowości Vasaro na południu Francji. Chcę, żebyś pojechała tam na kilka miesięcy, do czasu, gdy perfumy zostaną wprowadzone na rynek.

Marisa znieruchomiała.

- Wszystko przez tego reportera?

- Tak będzie najlepiej, kochanie.

- Już mam zaległości, a teraz w dodatku mam stracić parę pierwszych miesięcy w szkole?

- Nadrobisz to. Masz przecież dobre oceny.

Marisa w napięciu wpatrywała się w matkę.

- Wcale nie muszę uciekać od tego wszystkiego.

- To wcale nie jest ucieczka, tylko wycofanie się z godnością.

- To to samo. Zawsze starasz się chronić wszystkich, którzy są ci bliscy. Nie musisz mnie chronić, mamo.

- Muszę. Nawet nie wiesz, co potrafią te rekiny. - Chelsea uśmiechnęła się. - Nie spieraj się ze mną, kochanie. Sama jesteś bardzo opiekuńcza. Gdyby tak nie było, nie znalazłybyśmy się na tym stateczku, aby przeszkodzić w zabiciu tego cholernego wieloryba.

- To co innego.

- No tak, przecież nie ważysz ośmiu ton - z żartobliwą ironią stwierdziła Chelsea. - To jak, pojedziesz do Vasaro?

Przez chwilę myślała, że Marisa odmówi, lecz córka przytaknęła.

- W porządku, pojedę do Vasaro.

7

Myślałam już, że ta odprawa nigdy się nie skończy. - Caitlin weszła do taksówki i z westchnieniem ulgi opadła na kanapę. - Byli tacy ponurzy. Widziałeś tych żołnierzy z karabinami maszynowymi?

Alex skinął głową, zajął miejsce w taksówce i wręczył kierowcy kartkę z adresem.

- Mieli prawo być zdenerwowani. Wczoraj terroryści z „Czarnej Medyny” zabili dwie osoby podczas Festiwalu Bachowskiego w Wiedniu.

Caitlin zadrżała.

- Nie słyszałam.

- Przeczytałem o tym w gazecie, w samolocie - wyjaśnił.

- To straszne. Ta przemoc jest kompletnie bezsensowna.

Czego oni chcą? - Caitlin spojrzała w okno. - Terroryści nie wysunęli jeszcze żadnych żądań, prawda?

- Nie, ale jestem przekonany, że to tylko kwestia czasu.

- To nowe rządy terroru. - Caitlin postanowiła zmienić temat. - W jakim hotelu się zatrzymamy?

- W żadnym.

- Ale z lotniska w Reykjaviku rozmawiałeś przez telefon prawie godzinę.

- Och, mamy się gdzie zatrzymać. - Alex uśmiechnął się do niej. - To właśnie z tego powodu odebrałem tę kopertę w kasie. Mała niespodzianka.

Czterdzieści minut później taksówka zatrzymała się przed domem na Place des Vosges w paryskiej dzielnicy Marais. Piętrowy budynek przy placu miał spadzisty dach kryty dachówką, fasadę z kamienia i cegły i specyficzny klimat minionych czasów.

- Zatrzymamy się tutaj? - Podekscytowana, chwyciła Alexa za ramię. - Nie mogę w to uwierzyć. To rezydencja Andreasa. Kiedy studiowałam na uniwersytecie, chciałam ją zwiedzić, ale była wtedy zamieszкана i nie mogłam wejść.

- Dom nie należy już do rodziny Andreasów. - Alex zapłacił taksówkarzowi za kurs. - Konwencja Narodowa skonfiskowała go, gdy Jean Marc Andreas i Juliette uciekli z kraju. - Chwycił bagaże i wniósł je po kamiennych stopniach. - Od tamtych czasów nie mieszkał tu nikt z Andreasów. - Wyjął klucz z koperty, którą odebrał na lotnisku, i otworzył frontowe drzwi. - Ani z rodziny Vasaro. Teraz należy do bankiera, który od dwóch lat mieszka w Kenii.

- Czemu to zrobiłeś? - Caitlin weszła do westybulu i z podziwem wpatrzyła się w wiszący nad ich głowami kryształowy zyrandol. - Zadałeś sobie tyle trudu...

- Miałem swoje powody. Mówiłem ci już, że światem rządzi dbałość o własne interesy.

- Alex, czemu po prostu się nie przyznasz? - Caitlin oparła ręce na biodrach i przyglądała mu się, rozgoryczona. - Do diabła, powiedz, że zrobiłeś to dla mnie.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- No dobrze, zrobiłem to dla ciebie. - Ruszył w stronę schodów. - Między innymi.

Caitlin zachichotała i podbiegła do niego.

- Boże, ależ jesteś uparty. - Mineła Alexa i zaczęła wbiegać na piętro po dwa stopnie. - Zastanawiam się, w którym pokoju mieszkała Catherine? - Biegąc korytarzem, otwierała kolejno drzwi do sypialni. - Żałuję, że nie zwróciłam baczniejszej uwagi na opis domu w jej pamiętniku.

- Chcesz powiedzieć, że nie zapamiętałaś tego opisu? Coś podobnego! W samolocie miałem wrażenie, że opisujesz mi szczegółowo każdy detal.

- Nie bądź złośliwy. Gdybyś żywił większy szacunek dla historii czy korzeni...

- Wcale nie jestem złośliwy - odparł Alex, podążając za nią korytarzem. - Po prostu żartuję.

- Mniejsza o to, czy byłeś złośliwy, czy nie. Jakie to wspaniałe... to ten pokój. - Caitlin gwałtownie zatrzymała się w drzwiach dużej sypialni i szybko podbiegła do okna. - To musi być ten pokój. Jego okna wychodzą na ogród. Catherine

pisała, że okna jej pokoju wychodzą na ogród. - Otworzyła okno. - Możemy spać tutaj? Spójrz tylko, co za widok. Te wspaniałe dachy pokryte dachówkami. To takie charakterystyczne dla Paryża, nie uważasz?

- Nie mam pojęcia. - Alex postawił walizki i podszedł do okna. - Nigdy nie byłem w Paryżu.

- Nigdy nie byłeś... - Urwała, spoglądając na niego, zdumiona. - Mieszkasz w Europie i nigdy nie byłeś w Paryżu?

- Zdaję sobie sprawę, że to grzech - odparł uroczyście Alex. - Ale jakoś nie udało mi się wpaść do Paryża.

- Do Paryża się nie wpada. Tu się przyjeżdża, by zaczerpnąć ze źródła. - Caitlin uśmiechnęła się szeroko. - Zresztą nieważne, wszędzie cię zaprowadzę. Będziemy chodzić pieszo. Paryż powinno się zwiedzać na piechotę. Pokażę ci kawiarenkę, do której chodziłam po zajęciach, pójdziemy też na Pont de Sully. - Jej oczy rozbłyły podnieceniem. - I musisz zobaczyć Notre Dame. Witraż w oknie rozetowym jest taki piękny. I Saint Antoine. To mój ulubiony kościół. Pójdziemy też do Hotel Carnavalet, gdzie markiza de Seigne...

- Myślisz, że uda nam się znaleźć wolną chwilę, żeby raz czy dwa razy spotkać się z *monsieur* LeClerkiem?

Uśmiech Caitlin zgasł.

- Oczywiście, wiem, po co tu przyjechaliśmy. Po prostu myślałam, że moglibyśmy... Może nawet mój Paryż ci się nie spodoba. W czasach studenckich nie miałam zbyt wiele pieniędzy i nie znam żadnych pięciogwiazdkowych restauracji czy...

- Na pewno spodoba mi się twój Paryż - przerwał jej Alex. - I będziemy mieli mnóstwo czasu na zwiedzanie, jak tylko uda nam się złożyć zamówienie u LeClerca.

Twarz Caitlin rozpogodziła się.

- Czy w takim razie moglibyśmy od razu wyjść na miasto? Rozpakujemy się później. Chciałabym pokazać ci widok z mostu Sully o zachodzie słońca.

Uśmiechnął się.

- Jak na wiejską myszkę zanedo entuzjasmujesz się wielkim miastem.

- Ale to nie jest „wielkie miasto”, to jest Paryż. No tak, wiem, że to wielkie miasto, ale to nie... - Urwała, widząc, że się z niej śmieje i wykrzywiła się do niego. - Jak trochę tu pomieszkasz, zrozumiesz, o co mi chodzi.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Pochylił się, by delikatnie pocałować ją w czubek nosa. - Zadzwoń do Leclerca, żeby potwierdzić termin wizyty, i możemy wychodzić.

Caitlin skinęła głową. Podeszła do okna i spojrzała na dachy Paryża.

- Wydają mi się teraz inne. To dziwne, jak nasz punkt widzenia zmienia się wraz z wiekiem.

- Nie jesteś jeszcze przecież *madame* Matuzalem.

- Ale nie jestem też nastolatką.

- Kiedy skończyłaś studia?

- Miałam dwadzieścia dwa lata. Chciałam kształcić się dalej, ale bank... musiałam zająć się Vasaro.

- Więc poświęciłaś edukację.

- To nie było dla mnie wielkim poświęceniem. Zawsze czułam, że mam obowiązki względem Vasaro i żałowałam tylko dalszych studiów na historii sztuki. Naprawdę liczyło się tylko Vasaro.

Alex przypatrywał się jej w milczeniu.

- Dlaczego?

- Bo... - Urwała, po czym kontynuowała powoli: - Pewnie dlatego, że Vasaro trwa i nigdy się nie zmienia. Ten świat nie jest zbyt szlachetny, nie sądzisz? Żyje w nim mnóstwo szaleńców takich jak ci terroryści, handlarze narkotyków, są wojny. Świat gna coraz szybciej przed siebie i nie ma na nim miejsca, gdzie można by na chwilę się zatrzymać. Z wyjątkiem Vasaro. Wszystko na tym świecie zmienia się, ale Vasaro pozostaje takie samo.

- Nie ma wyjątków. Wszystko się zmienia, Caitlin - zauważył łagodnie Alex.

- To nie dotyczy Vasaro. Nie tego, co w nim najistotniejsze. Lata mijają, ale każdego roku przychodzi pora kwitnienia i zbioru... - Caitlin poczuła się nagle zbita z tropu widząc, jak intensywnie Alex jej się przygląda. - Próbuję powiedzieć, że ważne jest mieć coś stałego na tym świecie.

- Niebezpiecznie jest pozwolić, by coś stało się dla nas naprawdę ważne. Zbyt łatwo wszystko może zostać nam zabrane.

- Vasaro to nie „coś”.

Alex pokiwał głową.

- Nie dla ciebie.

- A na czym możesz polegać, Alex?

- Na sobie.

- I to ci wystarczy?
- Powiedziałem ci już, że nie wierzę w konieczność posiadania korzeni. - Alex ruszył do drzwi. - Za jakieś dziesięć minut powinienem skończyć rozmowę. Możemy spotkać się na dole?
- Dobrze.
- Odwrócił się przez ramię.
- Wiesz, gdzie chciałbym pójść najpierw?
- Gdzie?
- Do Luwru. Chcę zobaczyć obraz Juliette *Chłopiec wśród pól* Caitlin z zapałem pokiwała głową.
- Pójdziemy do muzeum, a potem zrobimy sobie spacer na most. To piękny obraz, Alex.
- Przypuszczam.

Gdy Alex wyszedł z pokoju, Caitlin odwróciła się do okna. Było wczesne popołudnie, słońce świeciło jasno, powietrze było rześkie i czyste. Jednak Caitlin poczuła się nagle jak mała dziewczynka biegnąca o zmierzchu polami jaśminowca. Świat wydał jej się spowity miękką złotawą mgiełką, w której rodziło się życie, pełne nowych możliwości.

Wydaje mi się, że ten facet nas śledzi - wyszeptała Caitlin, gdy przechodzili obok szklanej piramidy na dziedzińcu Luwru. - Jestem pewna, że widziałam go na placu, kiedy wychodziliśmy z domu.

- Jaki facet?
- Ten w lustrzanych okularach i czerwonej koszuli.
- Alex od niechcienia obejrzał się przez ramię.
- Ten gruby, z przewodnikiem w rękę?
- Tak.
- Hmm. Myślisz, że chce cię porwać i sprzedać do haremu?
- Alex, ja mówię poważnie.
- Ja też. Podobno na Bliskim Wschodzie wysokie blondynki cieszą się dużym powodzeniem. A te wspaniałe piersi z pewnością będą dodatkowym atutem.
- Nie jestem blondynką.
- W słońcu - jesteś. Kiedy indziej włosy układają ci się pasmami jak u kotki albo...
- Czy nie powinniśmy czegoś z tym zrobić?
- Ufarbować ci włosy?
- Wezwać policję.

- Nie zostałaś jeszcze porwana.
- To pewnie złodziej kieszonkowy.
- O wiele bardziej przypada mi do gustu idea haremu. Przychodzą mi wtedy do głowy lubieżne myśli. Wyszadane klejnotami kajdanki, afrodyzjaki, nagie hurysy tańczące, by pobudzić moje zmysły.

- Nie potrzebujesz dodatkowych podniet. - Caitlin roześmiała się. - Jesteś nienasycony. Do diabła, mówię ci, że widziałam go na placu.

- Place des Vosges jest najstarszym placem w Paryżu i najprawdopodobniej opisany jest w każdym przewodniku. Na litość boską, czy naprawdę wydaje ci się, że kieszonkowiec nosiłby czerwoną koszulę i lustrzane okulary?

- Chyba nie.

- Jeśli zobaczymy go ponownie, gdy wyjdziemy z muzeum, zaalarmujemy żandarmerię. Dobrze?

Skinęła głową.

- A teraz zaprowadź mnie do obrazu Juliette. Muszę uspokoić moje rozszalałe zmysły chłodnym strumieniem kultury. Przesuwają mi się przed oczami wizje ciebie w haremie, pochylonej, kręcącej tym cudownym tyłeczkiem...

Caitlin zachichotała.

- Świntuch. Straszny z ciebie świntuch.

- To ty rzuciłaś temat Zastanawiam się, czy w Luwrze jest wystawiona odaliska Delacroix. Powinniśmy ją zobaczyć i wyobrazić sobie, czy pasowałabyś do tej roli. Myślę, że wyglądałabyś bardzo seksownie oparta o stos jedwabnych poduszek. A jeszcze lepiej, siedząca na nich, w pozycji gotowej do gier i zabaw.

Nie przestając chichotać, Caitlin starała się zachować rzeczowy ton.

- Delacroix? Pamiętam odaliskę w Luwrze, ale namalował ją Ingres.

- Jest wiele obrazów przedstawiających odaliski. Przez wieki artyści oddawali się fantazjom na temat haremu. Odaliska Ingesa jest bardzo chłodna i zamknięta w sobie, tymczasem Delacroix przedstawił swoją nagą piękność jako całkowicie oddaną zmysłom. Ty dużo bardziej przypominasz odaliskę Delacroix niż Ingesa. - Otworzył drzwi przed Caitlin i weszli do muzeum. - To wielkie malarstwo. Musimy się dowiedzieć, czy są tu oba malowidła, żebyś mogła je porównać.

Słyszając szum wody - znak, że Caitlin bierze prysznic - Alex szybko przemknął koło łazienki i zszedł po schodach do salonu.

Podniósłszy słuchawkę telefonu wybrał numer w Quantico w Wirginii.

Po trzech sygnałach na drugim końcu linii podniesiono słuchawkę.

- Charles Barney, słucham.

Prawa ręka McMillana.

- Barney, połącz mnie z McMillanem.

- Alex? - W miękki, niepewnym głosie Barneya dało się wyczuć ton wyrzutu. - O co chodzi? Wiesz, że nie mogę go niepokoić bez naprawdę ważnego powodu.

- Barney - Alex dobitnie akcentował słowa. - Połącz mnie z McMillanem.

Barney westchnął.

- No dobra.

Po chwili słuchawkę podniósł Rod McMillan.

- McMillan, słucham.

- McMillan, niech za mną nikt nie łązi, albo niech to robi ktoś, kto zna się na tej robocie.

- Alex? - jedwabistym głosem odezwał się McMillan. - Nie możesz liczyć na angażowanie najlepszych ludzi do tak rutynowej roboty. Przenosisz się z miejsca na miejsce i musieliśmy sięgnąć po pomoc z zewnątrz. Słyszałem, że towarzyszy ci jakaś młoda dama.

- Zdejmij go, albo ja to zrobię.

- Nie radziłbym. - Głos McMillana stracił część swej słodyczy. - Mógłbyś być bardziej skory do współpracy. Pomijając inne sprawy, załatwiliśmy dla ciebie ze szwajcarską policją tę brudną sprawę ze śmiercią Pavla. - Zamilkł na chwilę. - Wiesz dobrze, że ten cień chodzi za tobą jedynie ze względu na twoje bezpieczeństwo.

- Jeśli ona zobaczy go jutro ponownie, będzie po nim.

Gdy Alex wychodził z salonu, jego wargi zaciśnięte były w wąską kreskę. Po wyjściu z muzeum Caitlin nie powiedziała, że dostrzega człowieka CIA, ale musiał upewnić się, że nie nabrała podejrzeń. Miał dużo szczęścia, że tak spokojnie przyjęła rewelacje Jonathana, ale konfrontacja z jego przeszłością była czymś innym niż zetknięcie z teraźniejszością.

Teraz, kiedy jest tak blisko celu, nic złego nie powinno się wydarzyć.

Małe niebieskie bukietiki kwiatów na fajansowych kafelkach z Delft zdobiących ściany łazienki były piękne i doskonale korespondowały z kwiatami zdobiącymi zasłonę przy wannie. Caitlin poddała twarz ciepłemu strumieniowi wody i westchnęła z zadowoleniem, rozkoszując się ciepłem mile rozchodzącym się po całym ciele. Oczywiście kafelki nie były tak wiekowe jak reszta domostwa, lecz jeśli już o tym mowa, to z innej epoki pochodziła również wanna na nogach imitujących zwierzęce łapy, tak jak i cała łazienka. Sądząc po dekoracjach, pomieszczenie musiało być dawniej garderobą przerobioną na łazienkę w latach trzydziestych. Jej prababka kazała dokonać podobnych zmian w Vasaro w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Tradycja ma swoje uroki, ale nie może zastąpić nowoczesności...

- Hej! - Alex odsunął ciężką zasłonę, wszedł do wanny i zaciągnął zasłonę ponownie. - Z trudem udało mi się znaleźć drogę do wanny w tych kłębach pary.

Obejrzała się na niego przez ramię, zaskoczona.

- Ja... lubię ciepły prysznic. To mnie odpręża.

- Nie sprawiasz wrażenia odprężonej.

- Przestraszyłeś mnie. Jestem przyzwyczajona brać prysznic sama.

- Ale my wcale nie bierzemy prysznica.

Zbliżył się do niej, cały czas wpatrując się w jej twarz. Opalona skóra jego policzków połyskiwała wilgocią w kłębach pary, zmrużone oczy wyrażały tęsknotę. Dziwne, jak mogła kiedyś pomyśleć, że są lodowate.

- Wystaw język.

Serce podskoczyło jej w piersi.

- Co?

- Wysuń język.

Z ociąganiem spełniła jego prośbę. Przyniósł się jeszcze bliżej i dotknął jej języka swoim. Trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło, by doświadczyła niezwykle silnych emocji.

- Miła jesteś. - Delikatnie pogładził ją po policzku. - A teraz odwróć się znowu, pochyl się i oprzyj dłoń o kafelki.

Caitlin zaśmiała się drżącym głosem.

- Lepiej wyjdźmy stąd i chodźmy do łóżka.

- Cóż za brak wyobraźni - wyszeptał Alex, sięgając po mydło leżące na niewielkiej marmurowej półeczce przytwierdzonej do ściany. - Nie patrz na mnie i rób dokładnie to, co ci każę.

Caitlin odwróciła się i oparła dłonie o ścianę.

- To jakaś gra?

- O, tak, i to bardzo przyjemna. - Powolnymi, kolistymi ruchami nacierał mydłem jej piersi i brzuch. - A teraz lekko rozstaw nogi.

Wsunął mydło pomiędzy jej uda, przesuwając wolno ręką w przód i w tył. Mięśnie jej brzucha napięły się, gdy poczuła gładkość mydła i ciepłą twardość jego ręki dotykającej intymnych części jej ciała. Po chwili usłyszała, jak mydło uderza o wannę.

- Upuściłeś...

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, gdy włożył w nią dwa palce i zaczął to pogrążyć je w niej, to wysuwać.

Jej pierś falowała, gdy z trudem chwyciła powietrze. Para zdawała się wypełniać jej płuca, tak jak on wypełniał jej ciało.

- Skąd... ci to przyszło do głowy?

Pochylił się i lekko chwycił zębami lewy płatek ucha; jego palce wysunęły się z niej, masował teraz dłońmi jej pośladki.

- Zacząłem myśleć o białych niewolnicach i haremach sułtańskich i o tym, jak miło byłoby mieć swój własny.

- Harem?

- Nie jestem zachłanny. Wystarczyłaby mi jedna odaliska.

- Zaczął lekko przyszczypywać jej pośladki. Przeniknął ją dreszcz rozkoszy, zacisnęła dłonie w pięści.

Pieścił jej lewe ucho ciepłym, wilgotnym językiem.

- Chcesz się w to pobawić?

- Nie... nie wiem, czy potrafię.

- Musisz być zupełnie bierna. - Zmusił ją do stanięcia w szerszym rozkroku, napierając na nią ciałem. - Zapewniam cię, że będziesz wspaniała. - Wszedł w nią głęboko jednym pchnięciem; usłyszał jej zduszony okrzyk. - Pozwól mi na wszystko. Wyobraź sobie, że jesteś niewolnicą, a ja szejkiem, który właśnie cię kupił. Pozwól mi bawić się sobą jak zabawką. - Delikatnie muskał wargami miejsce za uchem. - Jesteśmy na środku Sahary. Próbowłaś uciec ode mnie, ale złapa-

łem cię, zanim dobiegłaś do drzwi i pchnąłem cię na ściankę namiotu. Nikt cię nie usłyszy, nikt nie może ci pomóc.

- To barbarzyństwo.

- Sądzę, że większość mężczyzn ma w sobie coś barbarzyńskiego. - Pogrążył się w niej jeszcze głębiej i znieruchomiał. - Teraz jesteś ze mną połączona. Czujesz to?

Przygryzła dolną wargę.

- Tak.

- Boisz się?

- Nie.

- Chcesz, żeby przybyli jeźdźcy i żeby cię uratowali?

Drżąc, zaczerpnęła tchu.

- Nie.

- To dobrze. Zresztą na Saharze można spotkać niewiele oddziałów konnych. - Położył rękę na jej brzuchu i mocno przycisnął ją do siebie, powoli ruszając biodrami. - Podoba ci się to?

- Tak, podoba... - Zamknęła oczy i rozczapierzyła dłonie na gładkich mokrych kafelkach. Z trudem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- W takim razie stój nieruchomo. Jeśli poruszysz się albo na mnie spojrzysz, to koniec.

Powoli wynurzył się z niej, po czym niezwykle powoli pogrążył znowu. Czuła, jak wypełnia ją sobą, przytrzymując ją ciepłą gładką ręką. Z całej siły przygryzła dolną wargę, by powstrzymać się od krzyku.

Zaczął ponownie się z niej wysuwać; bezwiednie poruszyła się, by go zatrzymać. Na próżno.

- Nie. - Otoczył dłońmi jej szyję, by patrzyła prosto przed siebie. - Powiedziałem ci, że jeśli się poruszysz, to koniec.

Ogarnęła ją ogromna, bolesna tęsknota. Chciała, żeby znów się połączyli.

- Alex, proszę cię... - wyszeptała błagalnie.

- Chcesz tego?

- Tak!

- W takim razie stój zupełnie nieruchomo. - Wszedł w nią ponownie, z tą samą dręczącą powolnością. - Nie śmieję porużyć nawet paluszkami.

Mocno zacisnęła zęby. Nigdy jeszcze nie przeżywała takich emocji. Czuła się całkowicie podporządkowana, nie tyle jemu, co swoim własnym namiętnościom. Słyszała ciężki od-

dech Alexa, czuła dotyk jego mocnych rąk na szyi, kątem oka widziała, jak kłęby pary pokrywają niebieskie kwiatki na kafelkach po obu stronach rozczapierzonych dłoni. Z jej gardła wydobywały się zduszone jęki.

- Chcesz się poruszyć? - wyszeptał jej do ucha Alex.

- Tak. - Przełknęła z trudem. - Och, tak, tak.

- Bardzo?

- Bardzo, bardzo...

- W takim razie powiedz mi, co czujesz. - Otoczył dłońmi jej piersi. - Tutaj.

- Czuję się... nabrzmiała.

Jego ręka powędrowała niżej i zaczęła gładzić poskręcane włosy okrywające płeć.

- A tutaj?

- Tu... jest mi gorąco. Czuję... ból.

- A jeśli się ruszysz, to będzie lepiej?

- Tak.

- W takim razie porusz się. - Lekko klepnął ją w pośladek. - Już!

Mocno trzymając jej biodra, stał nieruchomo, pozwalając jej wyładować całe napięcie, które narosło w czasie wymuszonego bezruchu.

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy poruszała się w szaleńczym rytmie, napierając na niego dziko, nieledwie z furją, dopóki gwałtowny spazm rozkoszy nie zmusił jej do oparcia się o wyłożoną kafelkami ścianę.

- Cii... - Alex przycisnął mokry policzek do jej policzka; na plecach czuła szorstkie owłosienie jego torsu. - Spokojnie.

- Spokojnie? - Zaśmiała się drżącym głosem. - Jak mogę być spokojna po czymś takim?

- Ale podobało ci się?

Pomału zaczynała dochodzić do wniosku, że podoba się jej wszystko, co robi Alex.

- To było jak tornado.

Alex cicho się roześmiał.

- Dziękuję. Nikt jeszcze nie przyrównał mnie do siły natury. - Zakręcił kurek, strumień wody przestał płynąć, odciągnął zasłonę i wyszedł z wanny. - Myślę, że na razie mamy dość wody. - Sięgnął po ręcznik i zaczął ją wycierać. - Muszę się postarać dla ciebie o strój haremowy.

- W żadnym wypadku.

Delikatnie osuszała jej włosy ręcznikiem.

- Nie?

- Nie. Odgrywanie roli nałożnicy z haremu jest zabawne tylko raz. Ta rola zupełnie nie odpowiadałaby mi w normalnym życiu.

Westchnął.

- A szkoda. Niszczysz moje wizje. Może będę zmuszony skorzystać z usług naszego znajomego w czerwonej koszuli, żeby cię porwał i dostarczył do mojego namiotu na Saharze. Oczywiście najpierw będę musiał kupić namiot, żeby rozstawić go na Saharze, a potem...

- Najać faceta w czerwonej koszuli... - powtórzyła cicho, ledwie przypominając sobie grubego turystę, który sprawił Alexowi tyle uciechy i zainspirował ich do przeżycia tych upajających chwil.

- Jestem pewien, że biedak byłby zdruzgotany, gdyby wiedział, jak szybko o nim zapomniałaś. Odkąd wyszliśmy z muzeum, nie wspomniałaś o nim ani słowem.

- Bo go więcej nie widziałam. A jeśli będziesz się ze mnie śmiała...

- Jak mógłbym być tak nikczemny po tym, jak pozwoliłaś mi być szejkiem dla swojej nałożnicy? - Owinął ją ręcznikiem i lekko pchnął w stronę drzwi. - Do łóżka, zanim się przeziebiesz.

Henri LeClerc sprawiał wrażenie znudzonego.

Caitlin spojrzała na jego długie, smukłe palce machinalnie obracające kościaną rękojeść noża do przecinania kopert. Odkąd przed dziesięcioma minutami zostali wprowadzeni do biura LeClerc'a, wyraz twarzy artysty odzwierciedlał kolejno uprzejmość, potem lekkie zniecierpliwienie, a wreszcie znudzenie.

Caitlin nerwowo ścisnęła palcami zamek torebki. Alex kończył przedstawiać ofertę. LeClerc był wąłym mężczyzną, którego wąska, trójkątna twarz nie aspirowała do miana przystojnej, a uwagę przyciągały jedynie jego przenikliwe, szeroko rozstawione szare oczy.

Kąciki jego ust uniósł w tej chwili lekko sarkastyczny uśmiech. Pokręcił głową.

- Jest pan bardzo elokwentny i nie przeczę, że pańska oferta jest bardzo atrakcyjna, *monsieur* Karazov. To dlatego

siedzę tutaj i słucham pana, zamiast pracować. - LeClerc wzruszył szczupłymi ramionami. - Niestety, jestem tylko biednym artystą, który musi myśleć praktycznie.

Biedny artysta, który nosi zegarek Rolex a i używa szklanej figurki gołębiczy Lalique jako przycisku do papierów, pomyślała Caitlin. Wchodząc tu, zauważyła duży dywan w kolorze wina i beżowe zasłony tworzące kojące tło dla surowych sosnowych mebli. Zachodnią ścianę zajmowało malowidło Erte w odcieniach czerni, złota i różu. Pod przeciwległą ścianą stała dwumetrowa oszklona szafka, w której na każdej półce stały liczne rzędy buteleczek na pachnidła z różnych epok. Miała ochotę z bliska przyjrzeć się tej szafce, kiedy tylko weszła do biura, lecz LeClerc natychmiast wskazał im miejsca.

Alex z uśmiechem wychylił się z fotela.

- Chcemy pana przekonać, jak roztropnie będzie odłożyć na jakiś czas inne zamówienia i wykonać nasze. - Uśmiechnął się. - Jeśli suma, którą oferowaliśmy, jest niewystarczająca...

- To niezwykle wysoka suma - przerwał LeClerc. - Ale nie mam czasu na zajęcie się nowym projektem. Pracuję nad opakowaniem dla firmy Coty, a potem mam opracować projekt dla Guerlaina. Zresztą nie biorę projektu z powietrza. To wymaga inspiracji. Obawiam się, że obaj tracimy czas.

Najwyraźniej po raz pierwszy Alex nie dopnie swego. LeClerc nie chciał przyjąć propozycji. Mimo iż rezultat spotkania był od paru minut oczywisty, Caitlin nie potrafiła opowiadać rozczarowania. LeClerc był z pewnością najlepszy.

Rozpaczliwym wzrokiem powiodła po rzędach buteleczek w szafce. Jakże chciałyby móc przyjrzeć się im z bliska.

Alex mówił:

- Nie proszę pana o zrezygnowanie z zamówień Coty. Proszę tylko...

- *Monsieur* LeClerc - przerwała Alexowi Caitlin, wskazując szafkę. - Czy mogłabym przyjrzeć się im z bliska?

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam. - Caitlin wstała, nie odrywając wzroku od szafki. - Proszę nie przerywać rozmowy. Ja tylko... - Przeszła przez pokój i stanęła przed oświetloną szafką. Była tam! Mie niła się w świetle niebieskim płomieniem.

- Przepraszam, *monsieur* LeClerc. Moja współpracowniczka szaleje na punkcie antyków.

Z tonu głosu Alexa Caitlin wnioskuje, iż jest niezadowolony z jej zachowania, i na chwilę ogarnęło ją coś w rodzaju poczucia winy, lecz postanowiła się tym nie przejmować. LeClerc nie chciał zawrzeć z nimi umowy i musiała coś z tym zrobić.

- Pochlebia mi, że moja kolekcja tak panią zafascynowała. Jestem z niej bardzo dumny. - LeClerc wstał i podszedł do Caitlin. - Zbieram te przedmioty od dzieciństwa. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak wielkiego mistrzostwa wymaga zaprojektowanie flakonika na wonności. - Wskazał gliniany zamek z blankami i kominami. - To palnik do kadzideł; zapach ulatuje kominami. - Wycelował palec w małą wazę z nieprzezroczystej masy szklanej. - A ten pojemnik na maści został znaleziony w grobowcu królowej Egiptu.

- A ten? - Caitlin wskazała srebrny flakonik na trzeciej półce szafki, którego zatyczką był duży szafir w kształcie łezki.

LeClerc uśmiechnął się.

- Ma pani dobry gust. Udało mi się zdobyć to cacko na aukcji dwa lata temu. - Zaśmiał się gorzko. - Chciałbym, żeby ktoś dał mi wtedy takie pieniądze, jakie mi dzisiaj oferowaliście. Kosztowało mnie ponad rok mojej pracy. Należał do...

- Marii Antoniny - dokończyła za niego Caitlin, wciąż wpatrzona w buteleczkę. - Ale był w zestawie jeszcze drugi flakonik, z rubinową zatyczką, prawda?

LeClerc znieruchomiał.

- Zaginał, zapewne został skradziony, kiedy Gwardia Narodowa przewoziła królową z Wersalu do Paryża. Ale jak się pani dowiedziała o istnieniu drugiego flakonika? Jest pani kolekcjonerką, *mademoiselle*?

Caitlin pokręciła głową.

- Czytałam o pańskiej zdobyczy w czasopiśmie, a osobiście jestem zainteresowana drugim flakonikiem.

Nagle spod ziemi wyrósł obok nich Alex.

- Caitlin, czy chodzi o flakonik Jeana Marca Andreasa?

Powinna była się spodziewać, że Alex zapamięta każdy szczegół pamiętnika Catherine, którego treść mu opowiedziała.

- Tak przypuszczam. Idealnie zgadza się z opisem w pamiętniku.

- Uważa się, że te flakoniki Maria Antonina otrzymała w prezencie od swego brata, Józefa - oznajmił LeClerc.

Caitlin uśmiechnęła się szeroko i pokręciła głową.

- Bez wątpienia ta podwójna królewskość dodała flakonikom atrakcyjności i podniosła ich cenę.

- Wydaje się pani tego bardzo pewna. - LeClerc był wyraźnie zaintrygowany. - Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że jedną z radości kolekcjonerstwa jest znajomość wszystkich historycznych szczegółów dotyczących zdobytych skarłów.

- Nie jestem całkowiecie przekonana, że to ten sam flakonik. Skąd mogłabym mieć tę pewność? - powiedziała cicho Caitlin. - Ale odpowiada opisowi mojego flakonika.

- I wiedziała pani, że były dwa flakoniki. - LeClerc przyglądał się jej uważnie. - Naprawdę zna pani historię tego flakonika?

- Tak. Zawierał różane perfumy z Vasaro. - Uśmiechnęła się. - I mimo że nie ofiarował go Józef, myślę, że prawdziwa historia wyda się panu jeszcze bardziej fascynująca.

- Prowadzący aukcję powiedział, że różane perfumy były ulubionym pachnidłem królowej - wyszeptał LeClerc.

Caitlin skinęła głową.

- To prawda, chociaż niemal tak samo lubiła fiołkowe.

LeClerc uśmiechnął się.

- Myślę, że musimy porozmawiać. Czy nie zechcieliby państwo zjeść ze mną lunchu?

Jego szczupła twarz ożywiła się wyraźnie i Caitlin poczuła przypływ nadziei. Dzięki szczęściu czy przypadkowi, czy też dziwnemu zrządzeniu losu, otrzymali jeszcze jedną szansę przekonania LeClerca.

Trzeba się zorientować, czego sobie życzą i dać im to.

Ale nie wcześniej, nim otrzymamy w zamian to, co chcemy uzyskać dla siebie.

Caitlin spojrzała na Alexa; patrzył na nią, uśmiechając się w zamyśleniu.

Zwróciła się ponownie do LeClerca.

- Myślę, że dobrze byłoby najpierw dokończyć naszą rozmowę dotyczącą opakowania „Vasaro”. - Uśmiechnęła się miło. - Sądzę, że zapach spodoba się panu.

Trzy godziny później LeClerc zgodził się zrobić wszystko, co w jego mocy, by dostarczyć im projekt wzoru opakowania perfum „Vasaro” w ciągu trzydziestu dni.

Dwa tygodnie później Caitlin weszła do gabinetu, gdzie Alex studiował wykonane przez Petera zdjęcia Tańczącego na Wietrze, które nadeszły dzień wcześniej. Uniósł wzrok udając przerażenie i celowo ostentacyjnie zaczął pospiesznie zakrywać zdjęcia rękoma.

- Nie strzelaj! Tylko patrzyłem.

- Nic tam nie znajdziesz. Przejrzałam je wczoraj, kiedy przyniesiono pocztę. Są nawet mniej czytelne niż obraz holograficzny. - Zmarszczyła czoło. - Zatelefonowałam wczoraj do Petera i wyraziłam zdziwienie, że dotąd nie przysłał mi tłumaczenia pamiętnika.

- Znowu dzwoniłaś?

Zrobiła niewinną minkę.

- Dzwoniłam dopiero trzeci raz. - Kiedy nie przestawał na nią patrzeć z uniesionymi brwiami, wymamrotała: - No dobrze, może czwarty... ale dwa razy mogłam tylko nagrać się na sekretarkę. Jeżeli Peter nas nie zwodzi, to osoba, której zlecił tłumaczenie, bierze pieniądze za nic. W Vasaro taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Otrzymuje się zapłatę za uczciwie przepracowany dzień.

- Czy zapoznałaś Petera ze swoim etosem pracy?

- Powiedziałam mu, żeby opieprzył tłumacza i wziął go do galopu.

Alex zachichotał.

- I co Peter na to?

- Próbował mnie uspokajać. - Skrzywiła się. - Wiem, że jestem zbyt niecierpliwa. Prowadziłam badania nad Tańczącym na Wietrze tak długo, że stał się moją obsesją. - Wzruszyła ramionami. - Ale nie o tym chciałam porozmawiać. Odwołałam przygotowania do urzędującego przyjęcia u Ritza. Znalazłam lepsze miejsce.

Alex odłożył fotografie i spojrzał chmurnie na Caitlin.

- Oszałałaś? Nie ma lepszego miejsca. Ritz to najodpowiedniejsze miejsce na uroczyste przyjęcie w Paryżu.

- Znalazłam lepsze. - Caitlin usiadła w fotelu obok biurka i uśmiechnęła się szeroko. - Zgadnij, jakie?

Jej policzki płonęły rumieńcem i w swym zapale była tak rozbrajająco dziewczęca, że jego poirytowanie natychmiast minęło.

- Na wieży Eiffla?

- Zdecydowanie tandetne. Każdy może wydać przyjęcie na wieży Eiffla.
- *Bateau-mouche* na Sekwanie?
- Pokręciła głową.
- Jeszcze gorzej. - Pochyliwszy głowę ku niemu, wyszeptowała: - W Wersalu.
- Potrząsnął głową.
- Niemożliwe! Pałac jest zabytkiem.
- Możliwe. Dokonałam tego. - Jej szarozielone oczy płonęły podnieceniem. - Zapytałam siebie samą, jakie miejsce przyciągnęłoby na przyjęcie całą śmietankę towarzyską.
- Starał się, by w jego uśmiechu nie pojawił się cień pobłażliwości.
- I co sobie odpowiedziałas?
- Że byłaby to Galeria Zwierciadlana w Wersalu. - Nerwowo splotła szczupłe dłonie na kolanach. - Więc sprawdziłam to i dowiedziałam się, że niezwykle rzadko wynajmowano Galerię na przyjęcia dyplomatyczne albo...
- Naprawdę ci się udało?
- Pokiwała głową.
- Zatelefonowałam do Jonathana i poprosiłam go, żeby porozmawiał w tej sprawie z paroma wysoko postawionymi osobami w rządzie, a potem udałam się do pracowni konserwacji zabytków i zaproponowałam im pięćset tysięcy dolarów w zamian za dopilnowanie, żeby żadnemu z eksponatów nic się nie stało. Oczywiście będziemy musieli wynieść kandelabry i rozesać dywany na parkiecie, ale myślę... Czemu się śmiesz?
- Myślałam właśnie, jak to miło z twojej strony, że skontaktowałaś się ze mną przed zaoferowaniem komuś moich pięćset tysięcy dolarów.
- Spojrzała na niego, przerażona.
- Jesteś na mnie zły? To tylko propozycja, a chodzi przecież o Wersal.
- Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.
- Nie jestem zły. Jestem z ciebie bardzo dumny.
- Oblała się rumieńcem.
- I ja jestem z siebie dumna. Nie byłam pewna, czy potrafię tego dokonać. Sądzę, że jeszcze miesiąc temu w ogóle bym nie próbowała. - Wygładziła spódnicę. - Nigdy... Nie potrafię załatwiać takich spraw.

- Próbujesz to sobie wmówić. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że nie potrafisz załatwiać takich spraw, bo nigdy nie próbowałaś? Pewność siebie zdobywa się czyniąc ciągłe próby, aż do skutku. Jeszcze dwa miesiące, a będziesz...

- Mam nadzieję, że o ile *le bon Dieu* pozwoli, za dwa miesiące będę w Vasaro, gdzie jest moje miejsce. - Po chwili pokiwała głową. - Ale możesz mieć rację. Ostatnio czuję... - zawahała się, szukając słów. - Czuję, jakbym wewnętrznie eksplodowała, każdego dnia uczę się czegoś nowego... Sama już nie wiem. - Zerwała się i ruszyła do drzwi. - Zacznę sporządzać listę gości, a ty musisz zadzwonić do adwokata i upewnić się, że mamy odpowiednie podpisy gwarantujące wynajęcie sali.

- *Oui, mademoiselle.*

Przystanąła w drzwiach i uśmiechnęła się do niego triumfująco.

- Odkryłam jedno. Bardzo szybko się uczę, Alex.

W chwilę później zamknęły się za nią drzwi, lecz Alex nie od razu uniósł słuchawkę, by zadzwonić do adwokata. Caitlin rzeczywiście uczyła się szybko i wiedział, co miała na myśli, mówiąc o swojej przemianie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni obserwował, jak rozwija się, dojrzewa. Zyskała pewność, pozbyła się zahamowań, stała się odważniejsza. Nie chciał pochlebiać sobie uznając, że ma to coś wspólnego z ich związkiem. To nadzieja, która zawsze w cudowny sposób sprzyja rozwojowi, sprawiła, że Caitlin rozbłysła, rozkwitła, zaś on sam był tylko obserwatorem trwającym w oczekiwaniu kolejnej zmiany.

Gwałtownie odsunął fotel od biurka i wstał. Do diabła z adwokatem i listami Caitlin. Słońce świeciło jasnym blaskiem, a on był w Paryżu. Pójdą z Caitlin na spacer nad Sekwanę, a on przekona się, czy zdoła przywołać na jej twarz ten triumfujący uśmiech, jakim obdarzyła go, zanim wyszła z gabinetu.

Caitlin znów gdzieś zniknęła.

A Alex dobrze wiedział, gdzie można ją znaleźć.

Zawiedziony, pokręcił głową patrząc na pustą poduszkę obok niego, po czym odrzucił kołdrę i wyszedł z łóżka. Po drodze do drzwi okrył się szlafrokiem i boso wyszedł z sypialni.

W chwilę później zbiegał ze schodów. Na litość boską, dochodziła czwarta rano. Jakby mało było tego, że Caitlin od świtu do zmierzchu jeździła po całym Paryżu, przygotowując

wszystko na przyjęcie w Wersalu w przyszłym tygodniu, to jeszcze musiała w środku nocy wymykać się do gabinetu, by przyglądać się tym cholernym zdjęciom, niczym ogłupiały fan gapiący się na plakat Micka Jaggera. Przeszedłszy przez westybul, gwałtownie otworzył drzwi gabinetu.

Caitlin uniosła wzrok, przestraszona. Miała na sobie biały pikowany szlafrok i z pobladłą buzią wyglądała jak przyłapanie na psocie dziecko.

- Marsz do łóżka - burknął. - I to już. - W dwóch susach znalazł się przy niej, wyjął z jej ręki lupę i odłożył na biurko. - Mówiłaś, że o dziesiątej rano masz spotkanie z szefem kuchni.

- Nie mogłam zasnąć. Nie jestem wystarczająco zmęczona. Jestem przyzwyczajona do cięższej fizycznej pracy niż tutaj.

- I dlatego przyszłaś tutaj znowu gapić się na zdjęcia Tańczącego na Wietrze. To już trzeci raz w tym tygodniu.

Zamrugwała powiekami.

- Wiesz, że wychodziłam?

- Ja wiem wszystko. - Spojrzał na kilkanaście zdjęć statuetki na blacie biurka. - Mówiłaś, że nie na wiele się zdadzą.

- To nie te same. Ta partia przyszła dwa dni temu.

- Są dobre?

- Nie mamy lepszych. Myślałam, że może coś na nich wypatrzę.

- Masz dość?

- Powiedziałam ci, że nie jestem zmęczona.

- Fizycznie może i nie, ale jesteś kłębkiem nerwów.

- To możliwe. - Potarła oczy wierzchem dłoni. - Nie wiem.

Chyba po prostu jestem zmęczona czekaniem. Potrzebny mi jest ten pamiętnik.

Obszedł biurko, oparł się o nie i patrzył na Caitlin.

- Ciągłe to powtarzasz. Co spodziewasz się tam znaleźć?

Sądził, że zbędzie milczeniem to pytanie, co robiła zazwyczaj, gdy pytał o Tańczącego na Wietrze, lecz po krótkiej chwili wahania odparła:

- Rodzina Andreasów była patologicznie wręcz ostrożna, żeby nikomu obcemu nie ujawnić treści pamiętnika Caterine. Stosunkowo najwięcej informacji podaje książka Lily Andreas, ale nawet ona bardzo ogólnie ujmuje temat

- A jednak udało ci się napisać pracę *Tańczący na Wietrze na przestrzeni dziejów*.

- Zawarłam w niej podania, legendy, kilka udokumentowanych sprawozdań niemieckich oficerów służących w oddziałach strzegących Tańczącego na Wietrze na rozkaz Hitlera. Ale nie byłam w stanie dotrzeć do materiałów dotyczących pochodzenia statuetki. - Nerwowo przygryzła dolną wargę. - Jeśli chodzi o oficjalne źródła, to po raz pierwszy Tańczący na Wietrze pojawia się w nich w Troi, kiedy Andros uciekał z miasta tajemnym przejściem podziemnym ze statuetką i kobietą, którą podobno była Helena.

- Andros?

- Pierwszy Andros. Podobno był rozbójnikiem morskim, którego Trojanie złapali i trzymali w niewoli, kiedy wybuchła wojna między Troją a Grecją.

- Był Grekiem?

- Nie wiem. Gdyby był, prawdopodobnie stracono by go w czasie oblężenia. Paradygnes, brat króla, dał Androsowi statuetkę i wskazał drogę ucieczki z miasta.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie wiem - przyznała z bólem. - Jest tyle pytań, na które nie znam odpowiedzi.

- W pamiętniku również możesz ich nie znaleźć - zauważył łagodnie Alex.

- Ale jest jakaś szansa.

- Zachowujesz się, jakby była to sprawa życia i śmierci. I śmiesz twierdzić, że to ja jestem ciekawski.

Pokręciła głową.

- To nie jest ciekawość. To... - Urwała, opuściła wzrok, po czym pospiesznie wyszeptwała: - On stara się coś mi powiedzieć.

- Co ja słyszę?

Skrzywiła się.

- Teraz pewnie myślisz, że oszalałam.

- Jesteś kompletną wariatką.

- Dlatego właśnie nie chcę o tym mówić. - Uporczywie wpatrywała się w fotografię. - Po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcie Tańczącego na Wietrze, kiedy miałam osiem lat. To zdjęcie było w książce, którą widziałeś na półce w laboratorium. Przez jakiś czas nie rozstawałam się z tą książką. Nie chciałam spuszczać jej z oka. Ona naprawdę wiele dla mnie znaczyła.

- Pegaz to cudowny koń z mitologii. Może podzielać na

dziecięcą wyobraźnię. - Szczególnie na wyobraźnię dziecka tak zanedbywanego przez rodziców jak Caitlin, pomyślał. - Skrzydlaty koń, który może unieść cię do gwiazd...

- Nie, to nie to. To było tak... jakbyśmy dzielili tajemnicę, o której nikt poza nami nie miał pojęcia. - Pokręciła głową w poczuciu bezradności. - Tylko że jak dotąd nie wiem, co to za tajemnica. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale on chce, żebym poznała jego tajemnicę. Chce, żebym to ja odkryła... - Urwała, szukając słów.

- Co?

- Nie domyślasz się? Najwięksi władcy w dziejach ludzkości przypisywali Tańczącemu na Wietrze niezwykłą moc. Musi istnieć jakiś powód, dla którego tak się działo.

- To bardzo cenna statuetka. Bezcenne przedmioty często są traktowane z lękiem i otaczane niemal nabożną czcią.

- Nie, musiało być coś jeszcze... - Jej oczy rozbłyły nagle w świetle lampy. - Och, nie twierdzą, że został przywieziony na ziemię przez kosmitów ani że jest to religijny symbol. Ale statuetka istnieje, ktoś ją wykonał i musi istnieć jakiś powód, dla którego przypisuje się jej taki wpływ. Te napisy muszą coś znaczyć.

- Może jest tam przepis na siekane... - Przerwał w połowie zdania, widząc wyraz jej twarzy. Po wielu tygodniach milczenia na ten temat w końcu zdecydowała się wtajemniczyć go i z pewnością zasługiwała na poważne traktowanie. - Czas iść spać. - Wyprostował się i pomógł jej wstać. - Możesz kiedy indziej chyłkiem wymknąć się do gabinetu, żeby przestudować te zdjęcia. Tańczący na Wietrze inspiruje ludzką wyobraźnię od tysięcy lat. Myślę, że można śmiało przypuszczać, że do jutra to się nie zmieni.

Westchnęła.

- Widzę, że naprawdę myślisz, że jestem wariatką.

- Nie. - Delikatnie pocałował ją w czoło, popychając ku drzwiom. - Myślę, że masz osobliwe podejście do tematu, które trudno mi zrozumieć. Ale skoro podobno Aleksander Wielki miał takie samo odbicie na punkcie Tańczącego na Wietrze, trudno mi cię krytykować.

- Nie wierzysz, że to możliwe. Nie sądziłam zresztą, że uwierzysz.

- Nie mogę wierzyć w to co ty. Jako dziecko nie podziwia-

łem żadnej statuetki i nie biegałem polami pełnymi kwiatów. Mój świat zawsze był oparty na żelaznej, chłodnej logice. - Przystanął u podnóża schodów i lekko dotknął jej szyi dwoma palcami. - Ale chcę ci wierzyć. Udowodnij mi to. Przekonaj mnie, Caitlin.

Dobłą chwilę przyglądała mu się badawczo, po czym nagle jej twarz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

- Dobrze. - Zaczęła wstępować na schody, lecz po chwili odwróciła się do niego. - Nie idziesz na górę?

- Zaraz przyjdę, tylko schowam fotografie i zgaszę światło. - Uśmiechnął się szeroko. - Nauczyłem się tego dawno temu. Zawsze schowaj swoje kawałki układanki, tak żeby nie zostały przemieszczone.

- Nie będę miała żadnych cennych kawałków do chowania, dopóki Peter nie przyśle mi tłumaczenia - mruknęła. - Ostatnio, kiedy do niego dzwonię, zawsze włącza się automatyczna sekretarka.

- A on nie dzwoni potem do ciebie?

- Nie, tylko następnego dnia wysyła mi ekspresem kolejną porcję zdjęć. Nawet nie wiesz, ile setek fotografii mam w szufladzie biurka.

- A nie wydaje ci się, że on cię trochę zwodzi?

- Oczywiście, że to robi. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To bardzo nieładne z jego strony. Naprawdę potrzebny mi jest ten pamiętnik.

- Więc jutro zadzwoń do niego.

- Niedługo skończą mu się filmy. Myślę, że ostatnio nieźle wsparł firmę Kodak. - Wszedłszy na półpiętro, ponownie zatrzymała się i odwróciła. - Boję się, Alex.

Uniósł brwi.

- Teraz? To śmieszne...

- Nie wygłupiaj się. Nie o Tańczącego na Wietrze. - Ze zniecierpliwieniem machnęła ręką. - Po południu masz odebrać model flakonika. A jeśli nie będzie udany?

- A jeśli Tańczący na Wietrze narodził się z błyskawicy? - Alex zachichotał. - Jest to równie prawdopodobne. LeClerc jest mistrzem w swoim fachu. Uspokój się i idź do łóżka.

Posłała mu potulny uśmiech, odwróciła się i wbiegła na schody.

Odprowadził ją wzrokiem. Osobie tak ostrożnej i trzeźwo

myślącej jak Caitlin musiało być niezwykle trudno wyjawić swoje uczucia związane z Tańczącym na Wietrze. Alex został obdarzony ogromnym zaufaniem i czuł się tak, jakby Caitlin dała mu wspaniały prezent.

Odwrócił się na pięcie i wrócił do gabinetu. Starannie pokładał fotografie i włożył je do środkowej szuflady biurka.

Rozległ się dzwonek telefonu.

Znieruchomiał, tępo wbijając wzrok w telefon. Tylko Goldbaum i Katrine wiedzieli, że można ich zastać pod tym numerem, i żadne z nich nie dzwoniłoby w środku nocy bez nagłej potrzeby.

Podniósł słuchawkę.

- Alex, chłopie, słyszałem, że mnie szukasz.

Poczuł zimne ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa.

- Ledford?

- A któż by inny? Podobnie jak ja ty też wymykasz się schematom.

Alex zacisnął dłoń na słuchawce tak, że aż zbiełały mu kostki.

- Ty skurwysynu. Rozszarpię cię.

Ledford zachichotał.

- Zdawałem sobie sprawę, że będziesz niezadowolony z tego, co przydarzyło się Pawłowi. Ale zrobiłem to dla twojego dobra, Alex. Nie traktowałeś mnie wystarczająco serio i musiałem cię ostrzec. Chociaż chyba spodziewałem się, że to może być daremne. Wiem, że szukasz mnie po całej Europie. Próbowałem powstrzymać się jakiś czas od dzwonienia do ciebie, ale trudno mi było oprzeć się pokusie.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie złapać?

- Mam swoje sposoby, tak jak i ty. Nawet jeśli uda ci się mnie odnaleźć, nic ci to nie pomoże. Nic mi nie możesz zrobić.

- W takim razie nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby powiedzieć mi, gdzie jesteś.

- O, nie, to zepsułoby całą zabawę. Z radością oczekuję pojedynku.

- Nie ma mowy o żadnym pojedynku.

- Oczywiście, że jest. To taka nasza gra w szachy, tylko o dużo wyższą stawkę. - Zamilkł na chwilę. - Zastanawiam się, czy wiesz, jak bardzo jestem samotny, Alex.

- Zastanawiam się, czy wiesz, jak mało mnie to obchodzi.

Ledford zdawał się nie słyszeć sarkazmu w głosie Alexa.

- No cóż. Ambitni mężczyźni zmuszeni są trzymać się na dystans. Myślę, że najszcześliwszy i najbardziej odprężający okres życia to był ten, kiedy razem byliśmy w Quantico.

Nie mogę pozwolić, żeby wściekłość pozbawiła mnie zdolności trzeźwego myślenia. Muszę z niego wyciągnąć więcej informacji, powtarzał sobie w duchu Alex.

- Jaką grę prowadzimy tym razem?

- W chowanego. A jaką jeszcze? Z mojej strony - w kotka i myszkę. Obawiam się, że nie będę umiał powstrzymać się od drażnienia się z tobą po tylu upokarzających porażkach, które mi zafundowałeś. Ostatnio sporo myślałem o tym, co mi zabrałeś przez to, że odszedłeś z Quantico. To ropiejące rany, Alex. - Umilkł na dobrą chwilę. - Myślałem, jaki kąsek mógłbym ci dać na apetyt. Interesowało cię, gdzie jestem. W tej chwili dzwonię do ciebie z Aten, ale oczywiście do czasu, jak przylecisz tu z Paryża, już mnie tu nie będzie.

- Czy nasza rozgrywka nie będzie przeszkodą w twoim głównym planie?

Ledford cmoknął z przyganą.

- Sarkazm naprawdę jest tu zbyt liczny. To mistrzowski plan i tym razem mam zamiar zgarnąć całą pulę.

- Całą? A co z twoim „wspólnikiem”?

- Nigdy nie potrafiłem długo pracować w duecie. To mnie nudzi. Jest bardzo bystry, ale nie ma tego daru co ty. - Niespodziewanie Ledford roześmiał się. - A skoro już mówimy o obdarowywaniu, to mam dla ciebie prezent.

- Zadowoliliby mnie twoja głowa na misie.

- Ależ z ciebie okrutnik. A ja naprawdę wierzę w sens dawania prezentów. Potrafią tyle wyrazić bez słów. Myślę, że mój podarunek został już dostarczony pod twoje drzwi, więc życzę ci dobrej nocy, Alex.

- Zaczekaj! Powiedz mi...

- Dobranoc, Alex. - Ledford odłożył słuchawkę.

Alex cisnął słuchawkę na widełki, wybiegł z gabinetu do westybulu i otworzył drzwi wejściowe.

Na progu, wdzięcznie udrapowany i przewiązany czerwoną satynową wstążką, leżał niebieski kaszmirowy szal, taki sam jak ten, który był owinięty wokół szyi Pavla.

8

Masz? - zapytała niecierpliwie Caitlin następnego dnia, gdy spotkała Alexa w drzwiach wejściowych. Jej wzrok powędrował ku teczce, którą trzymał w ręku. - Widziałeś? Jak wygląda?

- Mam. - Alex zamknął za sobą drzwi. - Jeśli przestaniesz zasypywać mnie gradem pytań i przejdziesz ze mną do salonu, będziesz mogła zobaczyć to sama.

- Przepraszam. Jestem taka podniecona. - Caitlin udała się za Alexem do Złotego Salonu. - Nie pozwoliłeś mi oglądać wzorów i czekałam na tę chwilę od czterech tygodni.

- Wcale nie mam do ciebie pretensji. - Alex postawił teczkę na stole i otworzył zamek. - Lubię, jak jesteś podniecona.

Caitlin przeniosła wzrok z teczki na jego twarz. Najwyraźniej wypowiedział te słowa bez żadnej aluzji i nagle zorientowała się, że jest dziwnie spięty.

- Co się stało? Nie podoba ci się opakowanie?

- Jest świetne. Będziesz zadowolona. - Wyjął niewielki przedmiot ze styropianowego pudełeczka. - Spójrz.

Kryształowy pojemnik w kształcie strzelistej piramidy wykonany był ze szkła o niezwykłej przejrzystości i Caitlin odniosła wrażenie, że patrzy w szklaną kulę lub toń krystalicznie czystego jeziora. Nieśmiało dotknęła flakonika.

- Jest piękny. Ale czemu ma formę piramidy?

- LeClerc uważał, że będzie przywodzić na myśl potęgę piramid, wieczności, tajemnic... - odparł Alex. - Złocisty napis „Vasaro” będzie miał wygląd hieroglifów egipskich. - Wyjął z teczki małe czarne pudełko. - A co o nim sądzisz?

- Rewelacyjne. - Tekturowe pudełko wyglądało jak wyko-

nane z drewna, gruba warstwa lakieru lśniła matowym czarnym połyskiem w świetle popołudniowego słońca sącącego się przez okna do wnętrza. - A nazwa „Vasaro” na pudełku będzie wykonana tym samym pismem?

Alex skinął głową.

- A oto *piece de resistance*. - Alex ostrożnie rozwijał mały przedmiot. - Pegaz. LeClerc sądził, że lepiej będzie zrezygnować z chmur i podstawy. Nie można stworzyć drugiego Tańczącego na Wietrze, więc wymyślił własnego Pegaza. Układ sylwetki jest dokładnie taki sam jak w statuetce i natychmiast wywoła skojarzenie z Tańczącym na Wietrze, a nie będzie wyglądać jak tania podróbka.

- LeClerc to geniusz - wyszeptała Caitlin, sięgając po kryształowego Pegaza i z podziwem wpatrując się w zatyczkę. Tak jak powiedział Alex, Pegaz Leclerca nie był Tańczącym na Wietrze, lecz miał jego grację i płynne linie. - To dzieło sztuki. - Z największą ostrożnością umieściła zatyczkę we flakoniku i cofnęła się o krok, by lepiej przyjrzeć się całości. - Udało mu się osiągnąć efekt, o który chodziło. Jest... fascynujący.

- Nie jest ci przykro, że Tańczący na Wietrze zepchnął Vasaro na drugi plan?

- Ależ nie. Tańczący na Wietrze jest nierozzerwalnie związany z historią Vasaro. - Caitlin uśmiechnęła się. - To jedność.

Alex na dłużej zatrzymał wzrok na jej rozpromienionej twarzy.

- Cieszę się, że tak to odbierasz. - Zaczął ponownie pakować flakonik i zatyczkę. - Wysłałem kopię opakowania do Andreasa lotniczym ekspresem, z prośbą o przysłanie umowy. Jutro powinien otrzymać przesyłkę i nie sądzę, żeby miał zastrzeżenia do projektu Leclerca.

- Ja też nie. - Caitlin uniosła tekturowe pudełko i przesuwała palcem po gładkiej lakierowanej powierzchni. Jak też Leclercowi udało się uzyskać fakturę do złudzenia przypominającą drewno? - Mieliliśmy szczęście, że się zgodził.

- Szczęście? - Alex uniósł brwi. - Mówiłaś, że to nie jest twój szczęśliwy rok.

- Może się odmieniło.

- To nie była kwestia szczęścia. - Alex wziął od niej pudełko i schował z powrotem do teczek. - Leclercowi spodoba-

ły się twoje perfumy i zrozumiał, że przysłuży się słusznej sprawie.

- A ty zapłaciłeś mu dwa razy tyle, ile powinienś.

- I tak by się zgodził. Tylko że nie wykonałby zamówienia tak szybko. - Alex zamknął teczkę. - LeClerc jest artystą w przemyśle, gdzie sztuka rzadko jest należycie oceniana przez odbiorców. Rozgłos, który zamierzamy uzyskać dzięki Tańczącemu na Wietrze, stworzy mu szansę zabłyśnięcia. Bardziej niż na pieniądzech zależało mu na „opakowaniu”.

- Więc zorientowałeś się, czego chce, i dałeś mu to. Przytaknął.

- Daliśmy. Już, już pokazywał mi drzwi, kiedy wkroczyłaś do akcji, przyczyniając się do nakłonienia go do zgody. Spodobało mu się również to, że twoje perfumy są wystarczająco dobre, żeby zachęcić do ponownego ich nabycia i w ten sposób przez długi czas utrzymać na rynku również i jego dzieło.

- A on dał nam to, co chcieliśmy uzyskać. - Caitlin uśmiechnęła się. - Zaczynam wierzyć, że ta formuła działa.

- Tak, to działa. - Alex zestawił teczkę na podłogę. - Czasami. Caitlin spojrzała na niego.

- Coś jest nie w porządku?

- Baccarat gra na zwłokę. Mimo że zaproponowałem nadzwyczajną premię, mówią o sześciomiesięcznym terminie.

- Sześć miesięcy? Możemy się na to zgodzić?

- Nie. - Alex uśmiechnął się krzywo. - W związku z tym jutro lecę do Irlandii porozmawiać z firmą w Waterford.

- Sądziłam, że jesteś zdecydowany na Baccarat.

- Och, będziemy mieli Baccarat. Jak się dowiedzą, że Waterford gotów jest wykonać nasze zamówienie w odpowiadającym nam terminie, z pewnością zareagują. Wyciągniemy te kartofle z ognia nie dotykając ich.

- To trochę perfidne.

- To biznes. - Wzruszył ramionami. - Poprosiłem Andreasa, żeby odesłał podpisany kontrakt do Vasaro i zarezerwo wałem dla ciebie na jutro lot do Nicei. Zatelefonuj do Jacquesa, żeby wyszedł po ciebie na lotnisko.

Caitlin wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz?

- Musisz wyjechać z Paryża - oznajmił Alex, nie patrząc w jej stronę. - Ja muszę tu zostać, żeby dogadać się z Baccara-

tern i zacząć zawiadamiać mass media o włączeniu do kampanii Chelsea Benedict i Tańczącego na Wietrze. Ale ty nie musisz z tego powodu siedzieć w Paryżu.

Nie musiałam również tutaj przebywać, kiedy LeClerc pracował nad opakowaniem, ale wtedy Alex chciał, żebym była z nim, pomyślała oniemiała Caitlin. Teraz najwyraźniej nie ma na to ochoty.

- Rzeczywiście nie. - Nie patrzyła mu w oczy. - Miło będzie wrócić już do Vasaro. Bardzo się stęskniłam. Kiedy będę tu znowu potrzebna?

- Za dwa tygodnie. Trzeciego października. Dopilnuję wszystkich szczegółów przyjęcia i zwołam konferencję prasową na czwartego.

Przyjęcie. Była tak ogłuszona bólem z powodu odrzucenia, że zapomniała o przyjęciu. Swoim przyjęciu, przyjęciu w Wersalu, o które tak zabiegała i nad którym pracowała, nie szczędząc wysiłku, by wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Targnęła nią nagły gniew. Dlaczego do diabła, jest taka potulna?

- Idź się powieś!

Zesztywniał.

- Co ty mówisz?

- Nie dam się odesłać do Vasaro tylko dlatego, że masz dosyć naszego związku. - Spojrzała mu prosto w oczy. - To moje perfumy i moje przyjęcie w Wersalu. Zostaję w Paryżu aż do przyjęcia.

- Na litość boską, nie możesz.

- Mogę robić wszystko, na co nam ochotę. - Wpatrywała się w niego wyzywająco. - Nie pozwolę, żeby fakt, że zdążyłeś się mną znudzić, zaszkodził sprawie promocji perfum czy Vasaro.

- Wcale się tobą nie znudziłem - rzekł ochryple. - Po prostu lepiej, żebyśmy przez jakiś czas nie byli razem.

- To prawda. Będziesz zajęty. - Caitlin zmusiła się do uśmiechu. - Ja też będę zajęta. Nie musimy nawet się widywać. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. - Wyjadę teraz do Vasaro, ale tylko na jeden dzień, żeby upewnić się, że mama podpisze umowy. Potem przywiozę je do Paryża i zamelduję się w hotelu InterContinental, gdzie zarezerwowałeś apartamenty dla Chelsea i Jonathana.

- To nie wystarczy. Chcę, żebyś wróciła do Paryża dopiero na przyjęcie.

- Nie zawsze możemy mieć to, co chcemy.

- Caitlin, nie mogę ci tego wyjaśnić, ale są powody, dla których nie powinnaś tu zostać. - W jego głosie pojawił się ton desperacji. - Ważne powody.

- Jest ważniejszy powód, dla którego powinnam zostać. Vasaro. - Caitlin wybiegła z salonu i pomknęła po schodach na piętro. Po chwili trzasnęły drzwi pokoju Catherine. Szybko podeszła do szafy, gdzie leżała jej walizka. Znajdzie sobie zajęcie i ból minie. Swoją drogą to kretyńskie, że w ogóle czuje się zraniona. Od początku wiedziała, że łączy ich tylko pożądanie.

Lecz przecież było i coś więcej.

Ostatnio często chodzili na spacer, przesiadywali w ulicznych kawiarenkach, omawiali plusy i minusy zniesienia barier ekonomicznych między państwami europejskimi, wymieniali poglądy na temat sztuki, religii i biurokracji. W ciągu minionych tygodni oprócz namiętności dzielili także śmiech, a wspólny cel wytworzył kruche więzi przyjaźni.

Tak, to było to. Przyjaźń. Chwyciła się tego słowa desperacko, z wdzięcznością. To bolesne, kiedy przyjaciel nie życzy sobie naszego towarzystwa. Uczucie bólu i żalu jest zrozumiałe w takich okolicznościach.

Położywszy walizkę na łóżku, zaczęła się pakować. Zajmie się sprawą przyjęcia, a gdy wszystko się skończy, będzie mogła wrócić do Vasaro, gdzie jest jej miejsce.

Alex miał rację, o wiele lepiej będzie rozstać się na jakiś czas.

Słyszając pukanie, podniosła głowę. W drzwiach sypialni stał Alex z ustami zaciśniętymi w ponurą kreskę.

- Muszę ci coś wyjaśnić, Caitlin.

Wykorzystałeś mnie - wyszeptwała.

Wzdrygnął się na dźwięk tego słowa.

- Tak, nie mogę temu zaprzeczyć. Zrobiłem to z rozmysłem i... starannie wszystko zaplanowałem.

- Ale dlaczego?

- Powiedziałem ci, że w czerwcu został zamordowany mój przyjaciel Pavel. Stało się tak, ponieważ odkryłem powiązania między... Tak czy owak, to była moja wina. Pracowałem nad jedną z tych cholernych zagadek i zauważyłem związek między akcjami „Czarnej Medyny” a kradzieżami dzieł sztuki. Sposób działania był taki sam, jakim posługiwał się pewien

człowiek, który pracował ze mną dla CIA, Brian Ledford. Pavel został zamordowany, żebym nie zajmował się więcej tą sprawą.

- A po co był ci potrzebny Tańczący na Wietrze?
 - Bo zawsze fascynował Ledforda. Wiedziałem, że jeśli uda mi się ściągnąć tutaj statuetkę, spróbuje ją zdobyć.

- I wykorzystałeś mnie i Jonathana, żeby ją tutaj ściągnąć.
 - Tak.

Zamknęła oczy.

- Boże, czuję się jak marionetka.

- Nie chciałem cię zranić, Caitlin - powiedział ochryłym głosem.

- Ale mnie zraniłeś, i to bardzo. - Uniosła powieki; jej oczy były pełne łez. - Ty łajdaku, naprawdę mnie zraniłeś. Kto dał ci prawo manipulowania nami w ten sposób?

- Nie tylko brałem - odparł niepewnie. - Czy wolno mi przypomnieć, że dałem ci wszystko, czego chciałaś?

Zaśmiała się gorzko.

- Masz rację, dałeś. To był uczciwy interes, bo dałeś nam to, czego chcieliśmy... - Głos załamał jej się na ostatnim słowie. Alex postąpił krok w jej stronę.

- Nie! - Odsunęła się gwałtownie. - Nie, dziękuję. Nie chcę już tego, nie musisz już niczego udawać.

- Nie oszukiwałem cię co do naszego związku, Caitlin.

- Nie wierzę ci. - Potrząsnęła głową. - Więc co robimy?

- Musisz wyjechać z Paryża. Tutaj jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

- Dlaczego? To ty jesteś obiektem nienawiści Ledforda.

- On jest... chory. Nie sądzę, żeby zamordował Pavla tylko po to, żeby mnie ostrzec. Zrobił to, ponieważ Pavel był moim przyjacielem.

- Chory? Powiedz mu, że nic dla ciebie nie znaczą. Że mnie tylko wykorzystywał. To powinno go zadowolić, nie sądzisz?

- Caitlin. Ja nie... - Urwał i wzruszył ramionami w geście bezradności. - Jak myślisz, dlaczego zaryzykowałem wszystko i powiedziałem ci prawdę? Mówiłem ci o tym szalu na progu. W przypadku Ledforda nie można być niczego pewnym. Wie, że tutaj jestem, i być może wie o tobie. Jeśli wrócisz teraz do Vasaro i tam zostaniesz, będziesz bezpieczna.

- A jeśli nie?

- Jutro media narobią wrzasku na temat Tańczącego na Wietrze. Potem niczego już nie mogę gwarantować.

- Nie proszę cię o żadne gwarancje. - Przysiadłszy na skraju łóżka, przycisnęła palce do pulsujących skroni. - Zastanawiam się, jakie rozwiązanie będzie najlepsze.

- Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do Vasaro.

- Nie, to nie jest wyjście.

- Dlaczego nie, na litość boską?

- Ponieważ w przyszłym tygodniu Tańczący na Wietrze zostanie przywieziony do Paryża.

Znieruchomiał.

- Chyba nie zamierzasz zatelefonować do Andreasa i powiedzieć mu o Ledfordzie?

- Nie, statuetka jest mi potrzebna ze względu na Vasaro. Myślę, że dobrze wiedziałeś, że nie powiadomię Jonathana.

- Miałem taką nadzieję.

- I dobrze wiedziałeś, na której strunie masz zagrać. - Jej uśmiech był pełen goryczy. - Widzisz, sprawiłeś, że jestem tak samo winna jak ty.

- Wina leży po mojej stronie. Pozwól, że się wszystkim zajmę.

- Nie ma mowy. Jeśli pozwolę na to, żeby Tańczący na Wietrze przyjechał do Paryża, to biorę na siebie winę i odpowiedzialność. - Wstała i podeszła do niego, zaciskając dłonie w pięści. - Ale nie pozwolę, żeby Jonathanowi stała się krzywda, Alex.

- Nigdy nie miałem zamiaru go krzywdzić.

- Skąd mogę wiedzieć, jakie były twoje zamiary? - Oczy pały w jej pobladłej twarzy. - Statuetka nie może zostać skradziona. Zostanę tutaj i dopilnuję tego. Możesz sobie rozgrywać swoje „partie szachów” z tym maniakiem, ale nie może to dotyczyć nikogo poza wami dwoma. Zrozumiałeś?

- Bądź spokojna.

- To dobrze. - Odwróciła się gwałtownie i zabrała z powrotem do pakowania walizki. - W takim razie zaczekaj gdzieś, zanim się spakuję, i możesz odwieźć mnie na lotnisko. A teraz zjedź mi z oczu, nie chcę na ciebie patrzeć.

Zranił ją.

Patrząc, jak Caitlin znika w tłumie pasażerów na lotnisku Charlesa de Gaulle'a, Alex mocno zacisnęła ręce na kierowni-

cy. Nie odwróciła się. Przez całą drogę z Place des Vosges traktowała go z chłodnym dystansem. Będzie musiał jej to jakoś wynagrodzić, kiedy będzie już po wszystkim. Musi to naprawić, a ona na pewno zrozumie.

Chryste, chciał, żeby została w Vasaro. Mógł jedynie próbować zmniejszyć zagrożenie, starając się trzymać od niej z dala aż do zakończenia przyjęcia. Prawdopodobnie Ledford uzna, że Caitlin odgrywa w życiu Alexa równie mało ważną rolę jak Angela i dzięki temu będzie bezpieczna.

Prawdopodobnie.

Było to zbyt ryzykowne założenie. Musiał zyskać pewność, że Caitlin nic się nie stanie.

W żadnym wypadku nie wolno mu narażać Caitlin, bo może stać się kozłem ofiarnym tak jak Pavel.

Prawdziwe dzieło sztuki. - Jonathan w zamyśleniu spoglądał na leżącą na biurku kryształową zatyczkę. - Mówi się, że LeClerc lubi się cenić. Nie byłem pewien, czy Karazov zdoła go nakłonić, by przyjął zamówienie.

- A jednak jesteś niespokojny - zauważył Peter.

- Nie udało nam się dowiedzieć niczego nowego na temat Karazova. Dlaczego tak bardzo mu na tym wszystkim zależy? Czemu wpłatał w to Caitlin Vasaro?

- Być może tylko z pobudek osobistych. Nie wydaje się mieć jakichś oczywistych innych motywów.

- Oczywistych? - Jonathan zaśmiał się ironicznie. - Nic, co dotyczy *mister* Karazova, nie jest oczywiste. Jakiego słowa użyłeś na określenie go? Skryty?

- Niepokoisz się o Caitlin?

- Spodobała mi się. - Jonathan zmarszczył czoło. - A Karazov nie jest bezpiecznym towarzyszem.

- A co sądzisz o jego zainteresowaniu Tańczącym na Wietrze? Myślisz, że ma coś wspólnego z kradzieżami dzieł sztuki?

- Czemu miałby mieć? Sam powiedziałeś, że ma forsę jak lodu.

- W takim razie masz zamiar podpisać umowę?

- Nie jestem pewien.

Peter zawahał się, po czym wolno powiedział:

- To niebezpieczne. Jennings poradziłby ci spasować. Wiesz przecież, że kiedy zostaniesz przedstawiony jako ofi-

cyjny kandydat, wezmą cię pod lupę. Interesy z niepewnym człowiekiem mogą wzbudzić podejrzenia. Zrobi się wrzawa...

- Nie zdecydowałem jeszcze, czy w ogóle chcę startować.
- Dobrze wiesz, że chcesz.
- To będzie wielkie wyzwanie. - Jonathan zamilkł na chwilę. - Ale są i inne możliwości sprawdzenia się.
- Ale żadnej nie można porównać z kierowaniem największym państwem na świecie.
- To prawda.
- Jennings będzie...
- Al Jennings może trząść Partią Republikańską, ale nie będzie kierował moim życiem - oznajmił Jonathan poirytowanym tonem. - Nie będę marionetką żadnego ugrupowania. Jeśli zdecyduję się nie podpisać umowy, to z pewnością nie dlatego, że będę się bał narazić partii.

Peter zachichotał.

- Czuję, że rwiesz się do walki. Nie miałeś dobrej rozrywki od czasu wygranego procesu przeciwko Cunardowi.

Jonathan poczuł, jak jego rozdrażnienie ulatuje.

- Może... - Spojrzał na leżący przed nim plik papierów. - Jeśli postanowię nie zawierać umowy, nie będziesz miał szansy zobaczenia cennego pamiątnika, a Karazov przestanie pracować nad odczytaniem napisu.

Peter milczał.

- Przecież to dla ciebie bardzo ważne.
- Nie na tyle, żeby miało cię to kosztować prezydenturę. Znajdę jakiś inny sposób, żeby dostać pamiątnik.
- Powiedziałem Karazowowi, że podpiszę umowę, jeśli dopełni warunków. Dwa dni temu otrzymaliśmy kopię umowy podpisanej przez Chelsea Benedict.
- To prawda.
- A opakowanie zostało zaprojektowane przez LeClerca. - Jonathan oparł się o wezgi fotela i wbił wzrok w portret Louisa Charlesa Andreasa na przeciwległej ścianie gabinetu.
- Karazov najwyraźniej dąży do tego, żebyśmy zawarli umowę. Jak myślisz, co zrobi, jeśli nie dotrzymam obietnicy?
- Znajdź inny sposób, by zdobyć to, o co mu chodzi.
- A zdążyliśmy już ustalić, że jest mistrzem intrygi. Może bezpieczniej prowadzić z nim oficjalne interesy i zachować kontrolę.

- Jennings z pewnością tak by nie uważał.
 - Powiedziałem ci już, że nie pozwolę, żeby jakikolwiek Jennings rządził moim życiem - odparł ze zniecierpliwieniem Jonathan. - Zawieram umowę z Caitlin Vasaro, a jakiegokolwiek powiązania z Karazovem będą trudne do zauważenia.

Peter wstał.

- Nie mam zamiaru brać jakiegokolwiek odpowiedzialności za tę decyzję. Pozostawiam cię samemu sobie, Jonathan.

Jonathan uśmiechnął się szeroko.

- Tchórz.

Peter pokiwał głową.

- Osobiście uważam, że masz szansę stać się jednym z największych prezydentów, jakich kiedykolwiek miał ten kraj, i nie chciałbym, żebyś ryzykował utratę tej możliwości.

Uśmiech zamarł Jonathanowi na ustach.

- Nie powiedziałem przecież, że mam zamiar podpisać umowę.

Peter ruszył do drzwi.

- Ale widzę, że jesteś tego bliski.

- Może... Muszę to przemyśleć.

- W tym czasie zajmę się angażowaniem dodatkowych sił bezpieczeństwa, na wypadek gdyby Karazov zapragnął Tańczącego na Wietrze z powodów innych niż jego przeliczalna na pieniądze wartość.

Tego samego popołudnia Jonathan podpisał umowę i Peter wysłał ją pocztą kurierską do Caitlin do Vasaro.

Marisa to takie urocze stworzenie. Cicha i bezpretensjonalna. - Katrine weszła za Caitlin do pokoju i patrzyła, jak córka stawia walizkę na łóżku. - Zupełnie inna, niż można by się spodziewać po córce gwiazdy filmowej. Zaproponowałam, że zabiorę ją do Cannes i Nicei, ale w ciągu dwóch tygodni zdołałam ją nakłonić jedynie do odwiedzenia Muzeum Oceanograficznego Jacquesa Cousteau w Monte Carlo. Cały czas spędzała z Jacquesem na polach albo spacerowała po okolicy.

Caitlin uniosła wieko walizki.

- To bardzo sympatyczne dziecko. Cieszę się, że nie sprawiła ci kłopotu. Zresztą byłam tego pewna.

Katrine zastanowiła się.

- Dziecko? Marisa nie jest dzieckiem.

Caitlin spojrzała na matkę, zdumiona.

- Ma zaledwie szesnaście lat.

- Mimo to nie wydaje mi się... - Zawiesiła głos, po czym zapytała: - Alex nie wrócił z tobą?

- Ma interesy w Paryżu, a wiedział, że przyjeżdżam tylko na dwa dni. - Caitlin nie patrzyła na matkę. - Wszystko układa się jak najlepiej.

- Będzie mi go brakowało. - Katrine uśmiechnęła się. - Ale cieszę się, że mam do dyspozycji jego Lamborghini. Czuję się wspaniale, mogąc nim jeździć po ulicach Nicei.

Caitlin odwróciła się.

- Alex pozwolił ci korzystać z samochodu?

- Oczywiście. Dał mi kluczyki przed wyjazdem do Stanów.

- Katrine uniosła starannie wyskubane brwi i wyduła wargi.

- Przecież nie korzystałabym z niego bez pozwolenia.

- Nie wiedziałam... - Caitlin zaczęła rozpakowywać walizkę. - Nic mi o tym nie mówił.

- Jest bardzo taktowny. I uczynny.

- Tak. - Caitlin przypomniała sobie, ile kłopotu zadał sobie Alex, żeby wynająć dom na placu, i ogarnęło ją nagle dojmujące poczucie utraty. Jej ręce zacisnęły się bezwiednie na materiale spódnicy. Pola. Wróci do pracy na polach i wszystko będzie dobrze. - Mamo, czy mogłabyś poprosić Sophie, żeby dokończyła rozpakowywanie walizki? Chciałabym się przebrać i iść na pole zobaczyć się z Jacquesem.

Katrine kiwnęła głową.

- Ja to zrobię. Nie jestem teraz zajęta. - Podeszła do łóżka i jej czoło przecięła zmarszczka frasunku, gdy dostrzegła granatowy kostium. - Mam nadzieję, że nie nosiłaś tam tej staroci? Nie widzę żadnych nowych sprawunków. Co ty robiłaś w Paryżu, skoro nie odwiedziłaś sklepów?

Caitlin uśmiechnęła się.

- Znalazłam inne zajęcia. To był pobyt związany z interesami. Muszę wracać jutro, żeby dopilnować ostatnich przygotowań do przyjęcia, gdy tylko podpiszesz umowę.

Caitlin rozpięła bluzkę i zdjęła ją, by przebrać się w roboczą bluzę. - Ale w Paryżu zawsze jest cudownie i są tam cudowne muzea.

I Alex w kłębach pary, wypełniający ją sobą.

I śmiech Alexa na dziedzińcu Luwru.

I Alex unoszący w zdumieniu brwi, kiedy kelner odprowadzał do sąsiedniego stolika starszą panią z chartem afgańskim.

- Zawsze interesowały cię muzea. - Katrine podała Caitlin parę czystych džinsów. - Słyszałam w telewizji, że w Luwrze podwojono strażę. Nie potrafię zrozumieć, jak można mieć ochotę odwiedzać miejsce, w którym aż roi się od uzbrojonych policjantów.

- Oni w ogóle nie rzucają się w oczy.

- Tak czy owak, cieszę się, że jesteś w domu. - Katrine patrzyła, jak Caitlin wciąga spodnie. - Wczoraj ci terroryści z „Czarnej Medyny” znowu dali o sobie znać w Atenach i Lars Krakow ogłosił, że sformował oddział antyterrorystyczny, żeby się z nimi rozprawić.

- To dobrze. Wydaje się, że nikt inny nie potrafi ich powstrzymać.

Prawdopodobnie ten horror z Ledfordem wkrótce się skończy.

Katrine uśmiechnęła się.

- Pamiętam z dzieciństwa różne opowieści o Krakowie. Był moim bohaterem lat dziecinnych. Wszystkie dzieci naklejały fotografie jego i de Gaulle'a w swoich zeszytach. Krakow poradził sobie z nazistami i na pewno znajdzie sposób unieszkodliwienia tych kanałii. - Zadrzała. - Dzięki Bogu, nic takiego nie zdarza się w cywilizowanych miastach takich jak Cannes czy Nicea. Im większe miasto, tym większe niebezpieczeństwo.

- Paryż był bardzo spokojny. - Caitlin zapięła spodnie i usiadła na łóżku, by włożyć buty. - Jediną oznaką niepokoju była obecność żołnierzy na lotnisku.

Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć i zdała sobie sprawę z niezręcznej ciszy, jaka zazwyczaj zapadała pomiędzy nią a matką po wyczerpaniu niewielu wspólnych tematów.

Katrine wydawała się tego nie zauważać. Z marsową miną wciąż przyglądała się granatowemu kostiumowi.

- Musisz mi pozwolić wyrzucić ten niemodny kostium, kochanie. Jest naprawdę okropny.

Widząc Caitlin idącą w jej kierunku między rzędami tuberozy, Marisa Benedict uśmiechnęła się.

- Jesteś Caitlin Vasaro. Widziałam cię w porcie w Reykjavíku. - Jej oczy rozbłyły. - Ale i tak bym cię rozpoznała na podstawie zdjęć w albumach, które pokazała mi twoja mama.

- Moja matka pokazała ci zdjęcia?

- Och, tak, ona jest z ciebie bardzo dumna. - Marisa otarła spocone czoło rękawem koszuli. - Wiesz chyba o tym?

- Nie. - Caitlin w zamyśleniu spojrzała na dom, wciąż świadoma niezręczności milczenia w obecności matki. Katrine czasami zaskakiwała ją i zawsze w takich wypadkach Caitlin postanawiała zdobyć się na większy wysiłek, by ją zrozumieć. Lecz teraz nie miała na to czasu. - Nie wiedziałam. - Odwróciła się do Marisy. - Nie musisz pracować na polach. Jesteś naszym gościem.

- Lubię tę pracę. - Marisa zerwała kwiat i włożyła do koszyka. - I jestem przyzwyczajona do pracy fizycznej w czasie wakacji. Ostatnio dwa razy spędziłam letnie wakacje pracując przy delfinach w Instytucie Morskim w San Diego. Chcę zostać oceanologiem.

- Teraz rozumiem. - Caitlin zaczęła zrywać kwiaty. - To dlatego byłeś w Islandii ratować wieloryby?

- Ktoś musi coś z tym robić. - Na chwilę przerwała pracę, by objąć wzrokiem pola. - Vasaro jest bardzo piękne. Miło z twojej strony, że pozwoliłaś mi tu przyjechać.

- Moja mama powiedziała mi, że nie sprawiasz żadnego kłopotu i bardzo pomagasz w pracy Jacquesowi.

- Wiesz, w zrywaniu kwiatów jest coś niezmiernie kojącego - powiedziała łagodnie Marisa. - Tak samo jak w nurkowaniu. To inny świat. Wszędzie dookoła widzi się samo piękno, które pomaga zapomnieć o brzydocie i bólu.

Caitlin przyglądała się promiennej twarzy dziewczyny; czuła ogromny przypływ sympatii. Marisa była jeszcze niemal dzieckiem, lecz zdążyła już poznać brud i ból, o których mówiła.

- Tak, naprawdę pomaga.

Marisa spojrzała na Caitlin i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Moja mama mówiła, że cię polubię. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

Caitlin odwzajemniła uśmiech.

- Jestem tego pewna.

Zdjęcie w niedzielnym dodatku do londyńskiego „Timesa” natychmiast przyciągnęło wzrok Briana Ledforda. Dobrą chwilę wpatrywał się w fotografię, po czym cicho gwizdnął przez zęby.

- Piękny. Boże, jaki piękny.

- Kto?

Siedzący po drugiej stronie stolika Hans Brucker uniósł złotowłosą głowę z drapieżnym wdziękiem lwa, który zwęszył na swoim terenie zapach intruza.

- To cię nie interesuje. - Brian nie odrywał wzroku od gazety. - Jedz śniadanie.

- Nie pytałbym, gdyby mnie nie interesowało - zauważył naburmuszony Hans, wydymając pięknie wykrojone wargi. - I wcale nie jestem głodny.

- Wczoraj, kiedy pływaliśmy o północy, zauważyłem, że robisz się trochę za chudy - tonem lekkiej przygany stwierdził Brian. - Martwi mnie to. Musisz bardziej dbać o siebie, mój chłopcze.

- Robię to, na co mam ochotę - burknął Hans sięgając jednak posłusznie po grzanekę.

Robi się zbyt potulny, pomyślał z zalem Brian. Zawsze fascynowało go łamanie ich charakterów, lecz kiedy mu się to udawało, odczuwał pewien smutek. Zwerbował Hansa Bruckera, kiedy rok temu tworzył „Czarną Medynę”, zachęcony zarówno jego blond urodą, jak i wyjątkowym talentem w dziedzinie obchodzenia się z materiałami wybuchowymi. Połączenie anielskiego wyglądu i zimnej zawziętości niezmiernie podniecało Briana. Dawno już nie odczuwał takiego podniecenia w czyjejś obecności.

Hans wychował się na ulicach Monachium, w wieku dwunastu lat przystąpił do terrorystycznego ugrupowania „Synowie Sprawiedliwości”, a rok później zabił pierwszego człowieka. Do czasu, kiedy zwrócił uwagę Ledforda, zdążył zamordować jeszcze dziewięć osób w urozmaicony, nierzadko wymagający dużych umiejętności i nieprzyjemny sposób, i stał się bezkonkurencyjny w sztuce konstruowania i podkładania bomb i plastycznych materiałów wybuchowych. Chłopak miał zaledwie osiemnaście lat, nie wyróżniał się inteligencją ani

krzepą, nie wykazywał zbytnej pewności siebie ani nie prezentował nieznośnych cech „macho”, których Brian po prostu nie cierpiał. Był po prostu idealny. Jakże mógłbym mu się oprzeć? - pomyślał z rozbawieniem Brian.

Fizyczne uwiedzenie nie wchodziło w tym przypadku w rachubę, lecz podporządkowanie psychiczne było jak najbardziej możliwe. Zdecydowawszy, że Hans jest tego wart, Brian zabrał się za „uczenie się” go i wkrótce wiedział już, jak można manipulować chłopcem. Doświadczenie mówiło mu, że osieroceni chłopcy lepiej reagowali, gdy wcielał się w rolę ojca niż kochanka. Działo się tak szczególnie w przypadku naturalnych sierot, takich jak Hans, a Brian był mistrzem w odgrywaniu roli ojca. W ciągu sześciu miesięcy Hans był już całkowicie od niego zależny. Jaka szkoda, że emocje się skończyły.

- Kto to jest?

Chłopak był zazdrosny. Byłby zdumiony i przerażony, gdyby wiedział, jak jego silna emocjonalna więź z Brianem bliska jest więzi seksualnej. Ledforda kusiło, żeby chłopaka trochę podręczyć, lecz nie byłoby to rozsądne. Hans był trochę niezrównoważony i należało zapewniać mu spokój.

- Nie obawiaj się, Hans. To tylko statuetka. - Uniósł gazetę.

- Tańczący na Wietrze. Musisz przyznać, że jest piękny.

- Aha. - Uspokojony Hans nie spojrzał nawet na zdjęcie. Uśmiechnął się. - Mamy ją ukraść?

- Niewykluczone.

- Ale on powiedział, że już nie będzie kradzieży.

- W takim razie będziemy musieli wpłynąć na niego, by zmienił zdanie. - Brian ponownie spojrzał na fotografię. - Ponieważ ja naprawdę muszę ją mieć. Zatelefonuj do redakcji i dowiedz się, kto podał do druku, że Tańczący na Wietrze pojawi się w Paryżu.

- Sam zadzwoń. Nie jestem twoim niewolnikiem.

- Ale lubisz sprawiać mi przyjemność - mówił jedwabistym głosem Brian, nie podnosząc wzroku znad gazety. - A naprawdę zależy mi, żebyś to dla mnie zrobił.

Mimo iż nie uniósł wzroku, Brian był pewien, iż blade policzki Hansa zabarwił rumieniec. To aż nudne, jak doskonale potrafił przewidzieć jego reakcje.

Hans wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo, z wściekłością odsunął fotel od stolika i podszedł do telefonu.

Brian wygodniej rozsiadł się w fotelu i w zamyśleniu spoglądał na fotografię Tańczącego na Wietrze. Musi przekonać współnika, że jedna kradzież więcej w żaden znaczący sposób nie wpłynie na całość planu. Może współnik stałby się bardziej uległy, gdyby Brian zgodził się pokryć koszty całej operacji. Nie, pewnie nawet i to by nie wystarczyło. Bez wątpienia żądałby, żeby to grupa Briana wykonała zadanie, którego wykonania konsekwentnie odmawiał w ciągu kilku minionych tygodni. Chryste, nienawidził takiej roboty. Facet nie miał szacunku dla dzieł sztuki, był równie kulturalny jak Attyła, król Hunów.

Hans odłożył słuchawkę.

- Alex Karazov.

Brian odrzucił w tył głowę i ryknął śmiechem.

- Cudowny. Jest naprawdę cudowny. - Plasnął dłonią o kolano. - Wiedziałem, wiedziałem. Zastanawiam się tylko, jak mu się udało?

- Znasz Karazova?

- Nie dąsaj się. Nie przypominasz sobie mojego starego kumpla, Alexa? Musiałem ukarać jego przyjaciela.

Hans zmarszczył czoło.

- Teraz sobie przypominam. To było w czerwcu. Nie pozwoliłeś mi sobie towarzyszyć.

Czemu nie pozwoliłem Hansowi jechać ze mną? - zastanowił się Brian. W owym czasie wciąż jeszcze pracował nad podporządkowaniem sobie Hansa i wiedział, że chłopak z radością popracowałby nad Rubanskim. Brian mógł nawet tak wszystko zorganizować, żeby Hans i Alex w ogóle się wtedy nie spotkali.

Jednak z jakiegoś powodu chciał, żeby jego pojedynek z Alexem był tylko ich sprawą. Powiedział Alexowi, że żywił w stosunku do niego ambiwalentne uczucia, lecz teraz nie był już pewien, co właściwie czuje.

Zastanawiał się, czy wciąż potrafi odczuwać miłość. Dawno temu wyparł to uczucie, tak że nie wiedział już, na czym polega jego istota. Nienawidził Karazova, lecz jednocześnie pragnął go i podziwiał. Czasami nawet go chronił. Kto to powiedział, że miłość od nienawiści dzieli niebezpiecznie bli-

ska granica? Czyżby zarówno kochał, jak i nienawidził Alexa Karazova?

- Masz zamiar go zabić?

- Całkiem możliwe.

- Pozwól mi to zrobić - zaproponował z zapalem Hans, a jego niebieskie oczy rozbłyły podnieceniem. - Masz rację. Lubię sprawiać ci przyjemność.

- To dlatego, że troszczymy się o siebie nawzajem. Jak ojciec i syn. - Chłopak jest naprawdę wspaniały, pomyślał Brian, delikatnym gestem odgarniając złotawe lśniące włosy z czoła Hansa. Dawniej Hans obcinał te piękne włosy przy samej skórze, by wyglądać bardziej męsko, i Brian traktował jako sukces to, że zaledwie po pięciu miesiącach znajomości zapuścił je na obecną długość. Teraz Brian czuł, jak pod jego dotykiem ciało chłopca przeszył dreszcz emocji. Nigdy nie udałooby mi się tak nagiąć Alexa do swojej woli, pomyślał z żalem. - Nie, jeśli to ma się stać, zrobię to sam.

W oczach chłopca pojawiły się wściekłe błyski.

- Ty go lubisz.

- Nie bądź głupi. Nie lubię go. - Brian uśmiechnął się, spoglądając na zdjęcie Tańczącego na Wietrze. - Ani Karazov, ani Tańczący na Wietrze nie wzbudzali w nim uczuć tak letnich jak sympatia. A jednak i Karazov, i statuetka pasjonowali go w dziwny sposób. - Ale myślę, że powinniśmy się dowiedzieć, co planuje mój przyjaciel Alex. Któż to doręczył w moim imieniu ten podarek dla Karazova? - Pstryknął palcami. - Ferrazo. Zatelefonujesz do Ferraza do Paryża i powiesz mu, że od tej pory chcę, żeby Karazov był pod ścisłą obserwacją.

- Ja tam pojadę. Pozwól mi to zrobić.

Brian zachichotał.

- I za parę dni znajdziemy Karazova przepołowionego jak przejrzały melon na jednej z bocznych uliczek. Nic z tego, zadzwonisz do Ferraza.

- To mi się nie podoba.

- Nie musi ci się podobać, po prostu masz to zrobić. Teraz siedź cicho, a ja zatelefonuję do Brukseli i zorientuję się, czy uda nam się coś wynegocjować u naszego uroczego przyjaciela.

Podszedł do telefonu. Po chwili uzyskał połączenie i przedstawił swój plan.

- To niemożliwe - stwierdził współnik.
- Dotąd spełniałem wszystkie twoje żądania - odparł Ledford. - Tym razem ja o coś proszę.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

- Jak bardzo prosisz?

Ledford westchnął.

- W porządku, to kłóci się z moim poczuciem estetyki, ale będziesz miał swój wielki wybuch.

- To uczciwa transakcja - zabytek za zabytek. Swoją drogą dziwię się, że tak gustujesz w tych starociach. Czas już uprzątnąć rupiecie z minionych wieków i utorować drogę nowemu światu.

- Powiedziałem już, że to zrobię.

- Będę potrzebował czterech.

Ledford zastanowił się.

- Czterech? To mnie zbyt osłabi. Dam ci trzech.

Kolejna chwila milczenia.

- W porządku, o ile wykonasz dla mnie jeszcze inną robotę. Smythe zrobił się niewygodny. Będę potrzebował pomocy twojego towarzysza, żeby się go pozbyć.

Ledford spojrzął przez długość werandy na Hansa, który leniwie przewiesił odzianą w dżins nogę przez poręcz białego plecionego fotela, i jego wargi wykrzywił lekki uśmiech.

- Jak?

- Nic gwałtownego. Myślę, że wystarczy atak serca.

- Hans będzie rozczarowany. Jest bardzo rozdrażniony i z radością powitałby możliwość wyładowania swego gniewu. Kiedy?

- Bądźcie jutro w Liverpoolu. Muszę tam być na spotkaniu w Hiltonie i Smythe też tam będzie. Ma zamiar przenocować w hotelu i wrócić do Londynu dopiero następnego dnia. Umówiłem się z nim na pojutrze na lunch i ostateczną rozmowę.

Ledford zachichotał.

- Ostateczną... a to dobre słowo.

- Jeśli przy pożegnaniu podam mu rękę, to znaczy, że robota jest odwołana. Jeśli nie - chcę, żeby został wyeliminowany, zanim zdąży z kimkolwiek porozmawiać. Zrozumiałeś?

- Jak najbardziej - odpowiedział uprzejmie Ledford. - Cały czas traktujesz mnie, jakbym był ociężały umysłowo. Zasta-

nawiam się, jakbyś sobie poradził, gdybyś miał wykonać to, co robię ja w naszym przedsięwzięciu. Moja robota to coś znacznie więcej niż gładkie przemowy i manipulowanie mediami w celu skradzenia *Mona Lisy*.

- To wymagało półtoramilionowej łapówki.

- I miesiące zmiękczenia faceta, który nigdy wcześniej nie przyjął łapówki. Nie sądzisz, że moja przenikliwość dorównuje twojej?

W słuchawce ponownie zapanowała cisza i Ledfordowi zdawało się, że niemal słyszy tryby obracające się w mózgu tego łajdaka, który nie mógł się zdecydować, czy lepiej będzie go ułagodzić, czy zdominować.

- Nigdy nie kwestionowałem twojej inteligencji, Ledford. Czy gdyby było inaczej, proponowałbym ci współpracę?

Myślałeś po prostu, że będziesz miał nade mną pełną kontrolę, skurwysynu, pomyślał beznamiętnie Brian. Owszem, akceptował zwierzchnictwo tak długo, jak odpowiadało to jego celom, ale nadszedł już czas, by pokazać, że potrafi wszystkie te plany utracić, jeśli taka będzie jego wola.

- Dobra, jutro w Liverpoolu.

- Jeśli podam Smythe'owi rękę, to robota odwołana. Zre-sztą fatalnie się składa. Możemy potrzebować Smythe'a, żeby dotrzeć do Cartwright.

- Damy sobie radę i bez niego. - Ledford odłożył słuchawkę, czując dziką satysfakcję na myśl o burzy, jaką niewątpliwie wywołała ta akcja. Miał nadzieję, że tego aroganckiego bubka trafi szlag.

- Mam dla ciebie atrakcyjną propozycję, mój drogi chłopcze - oznajmił Hansowi. - Nasz przyjaciel chce, żeby oprócz wielkiego wybuchu ofiarować mu też *lagniappe*.

- *Lagniappe*?

- To słowo, którego używa się w Luizjanie. Oznacza coś danego na dodatek, na przykład kiedy cukiernik ofiarowuje darmo trzynaste ciasteczko. W tym przypadku *lagniappe* nie powinno ci sprawić trudu. Jesteś przyzwyczajony dawać mi coś ekstra, ilekroć cię o to proszę.

Hans uniósł brwi.

- Czego on chce?

- Ataku serca.

- Kogo chce się pozbyć?

- Czcigodnego Johna Rolanda Smythe'a, sekretarza Amandy Cartwright, specjalnego delegata rządu brytyjskiego do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Między innymi decyduje o tym, które państwa ona odwiedzi. Podobno ten dżentelmen jest nieprzekupny i żałośnie dyskretny. Najwyraźniej nie można go skompromitować, a wie zbyt wiele, żeby pozostawić go przy życiu, o ile nie zgodzi się z nami współpracować.

- Nigdy jeszcze nie zabiłem obywatela brytyjskiego.

- W takim razie czeka cię niezła gratka, co?

- Czemu musi to być atak serca? Nie lubię posługiwać się strzykawką. Są i inne metody.

- Które z pewnością dałyby ci więcej satysfakcji. - Ledford delikatnie obwiodł palcem pięknie wykrojone wargi Hansa. - Ale to musi wyglądać na naturalną śmierć.

Hans zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem. Raz chce, żeby nasza robota narobiła wiele szumu, a innym razem musimy wszystko zachować w tajemnicy. Dlaczego?

- Nie musisz tego rozumieć.

Hans zacisnął wargi.

- Dlaczego?

Brian westchnął. Hans bywał czasami nieznośnie uparty.

- Hans, drogi chłopcze, ty nawet nie czytasz gazet. Jak mam ci wyjaśnić... - Urwał, po czym przemówił powoli i wyraźnie, jak do dziecka. - Dwanaście państw europejskich, należących do Wspólnego Rynku, chce znieść wszelkie bariery i granice. Chcą nawet mieć wspólną walutę, uwalniając świat od funtów, lirów, franków i tak dalej. Od lat istnieją ugrupowania, które chcą także, aby wszystkie te państwa znajdowały się pod jednym rządem. Możesz sobie wyobrazić wpływy i profity, które można zgarnąć, mając władzę nad zjednoczoną Europą?

Hans wzruszył ramionami, zniecierpliwiony.

- A co to wszystko ma wspólnego z nami?

- Idea całkowitego zjednoczenia spotkała się ze zbyt silną opozycją. Teraz nasi ludzie kontrolują pięćdziesiąt pięć procent gazet i dwie agencje w Europie, i to pomaga kształtować opinię publiczną, ale tak czy owak mogłoby potrwać lata, żeby przekonać najważniejsze osoby w rządach tych państw, aby skupiły się w jednym obozie. - Uśmiechnął się. - Dlatego

powstała „Czarna Medyna”. Lubisz filmy kowbojskie. Zauważyłeś, jak wozy zbijają się w krąg, żeby się bronić, kiedy atakują Indianie?

Hans kiwnął głową.

- No więc wszystkie te wspaniałe kraje są jak wozy, które zbijamy w jedną kupę. Musimy tylko wysłać kolejne fale Indian, a będą głośno krzyczeć o każdą pomoc, jaką uda im się dostać. Jeśli nie otrzymają jej od własnych rządów, zwrócą się do kogokolwiek, kto będzie im w stanie ją zaoferować. Zaplanowaliśmy ostateczną akcję, żeby tak się stało.

- Tą, o której mówiłeś mi tutaj, w Turcji.

Brian przytaknął.

- Kiedy będą już gotowi do oskubania, zgarniemy ich wszystkich na kupę tak szybko, że nawet nie będą wiedzieli, skąd przyszedł atak. Wielka Brytania jest kłótniwa w zbyt wielu kwestiach i to bardzo niepokoi naszego przyjaciela.

- Aha. - Hans milczał dobrą chwilę. - Ale dlaczego muszę zrobić ten zastrzyk Smythe'owi?

Hans stanowczo nie grzeszył nadmiarem inteligencji i Brian zastanawiał się, ile z tego, co powiedział, dotarło do tej pięknej złotowłosej głowy.

- Dlatego, że przez najbliższe parę miesięcy nikomu nie może nawet przyjść do głowy, że istnieje jakieś zagrożenie dla pani Cartwright. Byłoby nam wtedy dużo trudniej zastąpić Smythe'a naszym człowiekiem, który byłby bardziej skory do współpracy.

- Macie zamiar zabić tę starszą panią.

Brian machnął ręką.

- Ona nie jest starszą panią, to kobieta w kwiecie wieku. Nie wszyscy możemy mieć wiecznie dziewiętnaście lat.

- Nigdy jeszcze nie zabiłem starszej pani.

- Wątpię, czy tobie zostanie przydzielone to zadanie.

- Dlaczego nie?

- Bo wymaga starannego zaplanowania i współdziałania wszystkich zainteresowanych.

- Naprawdę mogę to zrobić. Proszę... - Hans ujął dłoń Briana i uniósł ją do warg. - Ja... potrzebuję tego.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Dawniej byłem... - Urwał, szukając słów. - Ludzie mnie szanowali. Wchodziłem do pokoju i czułem się jak pan. Zanim

zrobiłeś ze mnie... - Zamilkł, a po chwili wyszeptał: - Dawniej robiłem dużo rzeczy.

Brian zachichotał.

- Czy to ma znaczyć, że z powodu naszej relacji czujesz się niedowartościowany? Sądziłem, że nauczyłem cię, że dobry syn okazuje ojcu szacunek i posłuszeństwo. Nie mam zamiaru cię unieszczęśliwiać. Chyba byłoby lepiej dla ciebie, gdybym pozwolił ci odejść.

- Nie! - Hans kurczowo zacisnął palce na dłoni Briana. - Wiesz, że nie chciałem... po prostu daj mi więcej zadań.

- Pomyślę o tym. - Brian uśmiechnął się. - Zobaczymy, jak spiszesz się jutro. - Jego uśmiech zbladł, a na twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. - A jak już załatwisz sprawę ze Smythem, być może poproszę cię, żebyś przejechał się do Kilane Downs w Yorkshire i wykonał kolejne zadanie.

Sukinsyn, nie podał nawet ręki, kiedy przystanęli przy wylocie wind, lecz Smythe poczuł ulgę. Nie zniósłby dotyku tego człowieka po tym, co usłyszał od niego przed chwilą.

- Proszę to przemyśleć. To dla nas jedyna szansa.

- Pomyślę nad tym. - Smythe przywołał windę. - Powiadomię pana. Myślę, że wierzy pan w to, że postępuje właściwie. - Drzwi windy odsunęły się i Smythe pospiesznie wszedł do kabiny. - Zdaje pan sobie z pewnością sprawę, że zaskoczył mnie swoją propozycją. Muszę...

Urwał, widząc pogardliwy uśmiech na twarzy mężczyzny. Ogarnął go strach; zrozumiał, że tamten nie oszukiwał, zmiana nastroju była zbyt wyraźna.

Drzwi zamknęły się, odgradzając go od nienagannie eleganckiej, złowrogiej sylwetki rozmówcy i Smythe głęboko zaczerpnął tchu naciskając guzik szóstego piętra. Musi teraz jak najszybciej zatelefonować do biura, żeby przysłali stamtąd kogoś, kto mógłby mu towarzyszyć na Downing Street, gdzie zda relację z tego, co usłyszał.

Boże, co za historia.

Ogarnął go taki sam gniew jak wtedy, gdy po raz pierwszy powiedzieli mu, czego od niego oczekują. Chryste, Amanda Cartwright była bardzo wymagająca dla współpracowników, ale to ona dbała o wszystko, a on bardzo ją lubił. Nie chciał, żeby została upokorzona na tej konferencji.

Winda zatrzymała się, wyskoczył z kabiny i popędził korytarzem w stronę pokoju. Dopadłszy drzwi, błyskawicznie przekręcił klucz w zamku.

- *Herr Smythe*, czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

Ogarnął go paniczny strach, serce załomotało mu w piersi, mięśnie napięły się. Po chwili jednak poczuł ulgę, widząc idącego w jego kierunku młodego chłopca. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście-dziewiętnaście lat, czyli był w tym samym wieku co jego własny syn, Robert, który w zeszłym roku zaczął studiować w Oksfordzie. Chłopak miał na sobie obcisłe džinsy, czarny golf i białą wiatrówkę, a jego złotawe włosy spadały na uszy lśniącem kaskiem. Dzięki Bogu, Rob nosił się zwykle bardziej tradycyjnie niż jego rówieśnicy i zawsze miał starannie ostrzyżone włosy. Lecz ten chłopak sprawiał wrażenie schludniejszego i przyjemniejszego niż większość kolegów Roba.

- Przykro mi, ale bardzo się spieszę.

- Ale przyjechałem tu z tak daleka, *Herr Smythe*. - Uśmiech chłopca rozjaśnił jego urodziwą twarz, kiedy zrównał się ze Smythem. Jego lewa ręka wśliznęła się do kieszeni kurtki. -I obiecuję panu, że to potrwa tylko chwilę.

30 września po południu Caitlin odebrała telefon od Alexa w Hotelu InterContinental. Przemawiał rzeczowym tonem człowieka interesu.

- Chelsea Benedict przylatuje do Paryża cztery dni wcześniej. Prosi, żebyś czekała na nią jutro o pierwszej w *foyer* hotelowym.

- Czy to konieczne?

- Ona uważa, że tak. Chyba dobrze by było zadbać o jej dobry humor. Zresztą decyzja należy do ciebie.

- W porządku, będę na nią czekać. Udało ci się nakłonić Baccarata, żeby przyspieszyli produkcję flakoników?

- Bez problemu. Będą mieli wystarczającą liczbę na czas.

- Znowu ci się udało. Widzę, że groźba, że zabierze się to, czego ktoś sobie życzy, działa prawie tak samo skutecznie jak danie tego.

- Nie mam zamiaru przeproszać za to, że ich trochę naci-skąłem.

Dlaczego spierała się z nim, skoro chciała skończyć tę rozmowę i nie słyszeć jego głosu?

- Nie potępiam cię - powiedziała zmęczonym głosem. - Wydawało mi się to tylko... trochę perfidne.

- Bo takie było. - Urwał. - I taki jestem.

- To prawda. - Postanowiła zmienić temat. - A co z akcją reklamową w prasie?

- Nie czytałaś gazet?

- Ostatnio nie. Spędziłam mnóstwo czasu rozmawiając przez telefon z Serdeaux z fabryki perfum, a resztę czasu zajęły mi przygotowania do przyjęcia. Była o nas mowa w gazetach?

- We wszystkich gazetach i w telewizji obwieszczono, że Tańczący na Wietrze przybywa do Francji.

- W takim razie uzyskałaś wszystko, co chciałaś.

W głosie Alexa pojawiło się dziwne napięcie.

- Tak, uzyskałem, co chciałem. - Po chwili namysłu dodał powoli: - Czego oboje chcieliśmy. Zadzwoń do Chelsea i powiem, że wyjdiesz jej na spotkanie.

Kiedy następnego dnia o pierwszej Caitlin zeszła do hotelowego *foyer*, zastała tam Chelsea w otoczeniu stosów bagaży, podekscytowanych chłopców hotelowych, mężczyzny w uniformie kierowcy i recepcjonisty. Wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Caitlin widziała ją w codziennym stroju w Reykjavíku. Teraz Chelsea miała na sobie obcisłą brązową sukienkę, a jej lśniąca włosy pięknie kontrastowały z ciemnym materiałem. Była imponująco pewna siebie i oszałamiająco zgrabna.

- Hej - zawołała do Caitlin. - Zaraz do ciebie idę. - O dziwo, aktorka dotrzymała słowa. Błyskawicznie wydała recepcjoniście polecenie, by ją zameldował, rozdała napiwki chłopcom hotelowym i kiwając palcem na kierowcę, szybko znalazła się przy Caitlin. - Istny dom wariatów. Caitlin, przedstawiam ci George'a. Będzie nas woził po Paryżu.

Ledwie Caitlin zdążyła wymamrotać coś w odpowiedzi, Chelsea wyprowadziła ją przez drzwi wejściowe do czarnej limuzyny zaparkowanej przy rue de Castiglione.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że poleciłam przenieść twoje rzeczy do mojego apartamentu. Wiem,

że powinnam najpierw zapytać cię o zgodę, ale te cholerne apartamenty dla VIP-ów są wielkie jak boiska do futbolu i nie będziesz miała problemu z unikaniem mojego towarzystwa. Nie cierpię samotnie mieszkać w hotelach.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu. - Zaskoczona, gdyż Chelsea niemal wepchnęła ją na tylne siedzenie limuzyny, Caitlin zapytała: - Dokąd jedziemy?

- Na zakupy. - Spojrzawszy na dopasowaną szarą sukienkę Caitlin, dodała: - Chociaż u Lacroix mogą nie wpuścić cię do środka w tym stroju. No, dobrze, powiemy im, że ostatnie pięć lat spędziłaś w Kongo. Nie ośmiela się wyrzucić misjonarki. - Zanim weszła do limuzyny, głęboko zaczerpnęła tchu. - Boże, kocham zapach Paryża. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie. Świeże croissantsy, stragany z kwiatami, tlenek węgla z autokarów turystycznych...

Caitlin roześmiała się.

- I pstryk aparatów fotograficznych.

- To jest dźwięk, nie zapach. Bądźmy precyzyjni jeśli chodzi o zmysły. - Chelsea zajęła miejsce w limuzynie i George zamknął drzwi. - Jedźmy pooddychać przepełnionym wonią perfum powietrzem u Lacroix.

Caitlin rozsiadła się wygodnie na miękkim pluszowym siedzeniu.

- Wolę zapachy Vasaro. Myślę, że i ty będziesz wolała. Na kiedy Alex ustalił termin kręcenia reklamówek?

- Niestety, wybrał zbyt wczesny termin. Tuż po przyjęciu. Na reżysera wybrał Pauleya Hartlanda. - Kiedy Caitlin wpatrzyła się w nią pytająco, dodała: - Pauley dwa razy z rzędu zdobył nagrodę Clio za najlepszą reklamę telewizyjną.

Caitlin zamrugała i z powagą kiwnęła głową.

- To znaczy, że jest dobry.

- Najlepszy.

- Czy będą kręcone reklamówki z Tańczącym na Wietrze?

- Te z Vasaro - nie. Alex powiedział Pauleyowi, że absolutnie nie może zabrać Tańczącego na Wietrze do Vasaro ze względów bezpieczeństwa, więc Pauley nakręci jedną reklamówkę ze statuetką we wnętrzu. - Zrobiła zafrasowaną minę. - Ale scenografowie jeszcze nie znaleźli odpowiedniego wnętrza.

- A jakiego wnętrza szukacie?

- Restauracji albo klubu. O scenerii raczej romantycznej niż wyszukanej.

- LaRotonde.

Chelsea spojrzała na nią pytająco.

- To cudowna kawiarenka w hotelu Negresco w Nicei. Konie jak z karuzeli unoszą się na postumentach pomiędzy stolikami i budkami. Na środku salki jest lalka wielkości małej dziewczynki, ubrana w białą sukienkę z epoki wiktoriańskiej, grająca na katarynce. - Zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów. - Grają tam cudowne wiedeńskie walce, a na oknach są te śliczne różowe austriackie zasłony, które tak wspaniale się układają.

- Brzmi zachęcająco.

- To naprawdę piękne wnętrze. - Caitlin otworzyła oczy i uśmiechnęła się do wspomnień. - Kiedy byłam małą dziewczynką, ojciec zabierał mnie tam co roku na urodziny.

Jakie to dziwne, że zapomniała o tych wspaniałych chwilach i pamiętała tylko gorycz po jego odejściu.

- Zatelefonuję do Pauleya i poproszę, żeby ktoś pojechał zobaczyć to wnętrze. - Kiedy samochód ruszył, Chelsea zwróciła się do Caitlin: - Marisa bardzo cię polubiła. Wspomina cię za każdym razem, kiedy rozmawiam z nią przez telefon.

- A ja bardzo lubię Marisę - oznajmiła Caitlin. - To urocze dziecko.

- Ona nie jest dzieckiem. - Chelsea zacisnęła obciążoną rękawiczką dłoń na torebce. - Nigdy nie była dzieckiem, odkąd ten łajdak... - Głos jej się załamał, urwała, by ponownie przemówić spokojnym już tonem. - Ona kochała swego ojca, a on z rozmysłem ją skrzywdził. Rozumiesz, jakie to może mieć konsekwencje dla dziecka?

- Rozumiem.

Chelsea badawczym wzrokiem przyjrzała się twarzy Caitlin.

- Myślę, że rzeczywiście rozumiesz. Może dlatego tak szybko się zaprzyjaźniłyście. Dwie... czemu przyglądasz mi się w ten sposób?

- Po prostu nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego pozwoliłaś jej przyjechać do Vasaro?

- Polubiłam cię.

- Ale przecież wiedziałaś, że będę spędzać mnóstwo cza-

su w Paryżu. - Caitlin przyglądała się Chelsea w zamyśleniu. - A ty ogromnie dbasz o Marisę. Wątpię, czy wysłałabyś ją do niezajomych tylko dlatego, że poczułaś do nich sympatię.

Chelsea spojrzała na nią z uznaniem.

- Jesteś bystra. - Wyglądała jak ktoś przyłapany na niewinnej psocie. - Zleciłam sprawdzenie was.

- Jak to?

- Zleciłam, żeby was śledzono. Oczywiście prosiłam, żeby wszystko odbyło się jak najbardziej dyskretnie. Nie chciałam, żeby twoi sąsiedzi nabrali podejrzeń, że jesteś morderczynią czy coś w tym rodzaju. Swoją drogą, oni bardzo lubią i szanują waszą rodzinę.

Caitlin zmusiła się do uśmiechu.

- To miłe.

Chelsea popatrzyła na nią z niepokojem.

- Nie gniewasz się na mnie?

Caitlin roześmiała się.

- Nie. To nawet zabawne.

Chelsea odetchnęła z ulgą.

- To świetnie. - Odwróciła wzrok od Caitlin i powiedziała zmienionym głosem: - Chciałam ci bardzo podziękować za to, że jesteś taka dobra dla mojej córki i że tak dobrze czuje się w Vasaro. Tego nie było w umowie.

- Cieszę się, że mogłam pomóc. Czy ten reporter dał ci się we znaki, jak się tego spodziewałaś?

Chelsea pokręciła głową.

- Tyndale nie wspomniał ani słowem o naszych sprawach osobistych i dostałam okładkę. - Zmarszczyła czoło. - Skąd on ci przyszedł do głowy?

- Twoja córka powiedziała, że nie wierzy, żeby on był tak zły, jak myślisz.

- Zawsze lepiej jest być przygotowanym na najgorsze. - Limuzyna zatrzymała się przed wejściem do sklepu na rue du Faubourg Saint-Honore i Chelsea uśmiechnęła się szeroko, gdy kierowca obszedł samochód, by otworzyć drzwi. - Chodź, wybierzemy parę ubrań roboczych.

- Nie na wiele ci się przydam. Moja matka twierdzi, że mam beznadziejny gust.

- I ma rację. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam,

wiedziałam, że jesteś taka jak Marisa. Ona uważa, że ubrania są tylko po to, by zakrywać ciało i dawać ciepło.

- A jak ty uważasz?

- To są środki do tworzenia klimatu. Kostiumy, na podstawie których wydajemy opinie. - Wskazała swoją brązową suknię. - Co myślisz o mnie, kiedy patrzysz na tę sukienkę?

- Że jesteś szykowna, śmiała, atrakcyjna.

- Dla ciebie musimy znaleźć coś spokojniejszego. Żadnej krzykliwości, spokojna elegancja.

- Dla mnie? - Caitlin wpatrywała się w Chelsea w osłupieniu. - Myślałam, że przyjechałyśmy zrobić zakupy dla ciebie. Chelsea pokręciła głową.

- Zamówiłam suknię Lagerfelda w Domu Mody Chanel, kiedy wróciłam do Stanów z Islandii, i muszę tylko iść do przymiarki. Ta wyprawa jest dla ciebie.

- W takim razie wybrałyśmy się na zakupy do niewłaściwego sklepu.

- Nonsens. - Chelsea ruszyła do wejścia. - Sprzedajesz perfumy po dwieście dolarów za uncję. Klienci powinni widzieć w tobie kobietę, którą stać na używanie własnych perfum... *ergo*, musisz się ubrać. To strój roboczy.

- Nie stać mnie na...

- Ale mnie stać - przerwała szorstko Chelsea. - Byłaś miła dla Marisy i chcę spłacić dług.

- Chelsea, spędziłam z nią tylko dwa dni. To moja matka się nią opiekowała. Nie mogę pozwolić, żebyś to zrobiła.

- W takim razie kupimy parę rzeczy i dla twojej matki.

- Nie potrzebuję...

- Mój Boże, czy ty wreszcie przestaniesz gadać? - Chelsea przepłynęła obok lokaja w liberii, który otworzył przed nimi drzwi. - Zażyczyłam sobie od was trzy miliony dolarów. Uspokój się i pozwól mi wydać na ciebie marną część tej sumy.

Caitlin z wahaniem weszła za Chelsea do sklepu. Zdawała sobie sprawę, że w najbliższych dniach będzie potrzebowała eleganckiego ubrania i nigdy nie czuła się bardziej szaro niż w obecności barwnopiórej Chelsea.

- Dobrze, ale tylko to, co naprawdę niezbędne. Mój sposób życia nie wymaga...

Chelsea nie słuchała.

- Myślę, że dobrze ci będzie w barwach klejnotów. - Przy-

glądała się Caitlin. - Turkus, szmaragdy i oczywiście czerni. Z twoimi włosami będzie ci doskonale w czerni. Gorzej, jeśli chodzi o fason. Obfity biust jest niemodny i trudno dobrać strój. - Zmarszczyła czoło. - Trudno mi powiedzieć, w czym ci będzie dobrze. Ja jestem pawiem, a ty łabędziem.

- Łabędziem? - Caitlin roześmiała się. - Nie jestem może brzydkim kaczątkiem, ale z pewnością nie łabędziem.

- Zaczekaj. - Elegancko ubrana sprzedawczyni mierzyła Caitlin wyniosłym spojrzeniem, sunąc po srebrnoszarym dywanie w ich stronę. Chelsea podeszła do Caitlin, jakby miała zamiar osłonić ją własnym ciałem. - To przez tę twoją straszną sukienkę. Nie daj się jej zastraszyć - wyszeptwała. - Te smoki otrzymują premię za każdego klienta, którego skołują. To stały element gry. Po prostu zachowuj się powściągliwie i bądź ponad to, a ja dokonam reszty.

Caitlin starała się przybrać stosownie wyniosły wyraz twarzy, lecz było to niezmiernie trudne wobec ekspedientki przyglądającej się jej z taką pogardą.

Chelsea gwałtownie postąpiła krok, niczym wojownik szykujący się do bitwy, a kiedy przemówiła, w jej głosie nie było słyhać żadnego śladu hollywoodzkiego akcentu; był to akcent rodem z królewskiego teatru szekspirowskiego.

- *Bonjour*, madame. To jest *mademoiselle* Caitlin Vasaro. Oczywiście słyszała pani o niej. - Chelsea sprawiała wrażenie szczerze zdumionej, gdy kobieta pokręciła głową. - Nie? Jak to możliwe? W przyszłym tygodniu prezydent odznaczy ją *Croix de Guerre* za jej ofiarną służbę w Kongo. - Posłała sprzedawczyni pełne politowania spojrzenie. - Może powinnyśmy były mimo wszystko pójść do Diora, Caitlin. Rozumiem, że chciałaś spróbować czegoś nowego, ale... - Urwała, krzyżując spojrzenie ze smokiem, by po chwili przejść do otwartego wyzwania: - Może powie mi pani, *madame*, czy Lacroix może zaproponować mojej przyjaciółce coś, czego nie znajdzie u Diora?

9

Kupiłyśmy za dużo rzeczy. - Caitlin wygodnie rozsiadła się z tyłu limuzyny, wydając westchnienie ulgi. Po zaledwie trzech godzinach spędzonych w subtelnej atmosferze *haute couture* czuła się bardziej zmęczona niż po całodziennym pracy na polach Vasaro. - Cieszę się, że kupiłyśmy te trzy suknie dla mojej mamy, ale nie potrzebowałam...

- Oczywiście, że potrzebowałam - przerwała jej Chelsea. - Trzy suknie wieczorowe, dwie na co dzień, jeden kostium, dwie suknie koktajlowe. Nie kupiłyśmy ani jednej pary butów. - Zmarszczyła czoło. - Sądzę, że na przyjęcie powinnaś włożyć tę czarną aksamitną. Pięknie komponuje się z odcieniem twojej skóry.

- Odśłania jej tak wiele - zauważyła Caitlin. - Nie kupiłaś nic dla siebie.

- Potrzebowałam tylko tych dwóch sukien, na przyjęcie i na występ promocyjny. - Wychyliła się w stronę kierowcy. - George, zawiąż nas na Saint-Germain czternaście.

- Nie wracamy do hotelu? - Caitlin zdecydowanie pokręciła głową. - Nie zniosę już dalszych zakupów.

- Spokojnie. Nie jedziemy na zakupy. - Chelsea rozsiadła się wygodnie i uśmiechnęła się. - Jedziemy na herbatkę do pewnego miłego starszego pana i jego żony.

- Wolałabym wrócić do hotelu i odpocząć.

- To może poczekać - oznajmiła Chelsea. - Najpierw musisz poznać *monsieur* Perdota. Nie martw się, nie będziesz żałować. To dwoje czarujących ludzi.

Ku swemu zdumieniu Caitlin musiała przyznać, że Chelsea miała rację. Następne dwie godziny spędziła w niezwykle

miłej atmosferze. Jean Perdot i jego żona Mignon mieszkali w małym domku, który prawdopodobnie był równie wiekowy jak dom Andreasa. Po wejściu do salonu Caitlin znalazła się w przytulnej wiktoriańskiej atmosferze, która koła jej skołatanę nerwy równie skutecznie jak rumiankowa herbatka, podana przez *madame* Perdot w filiżankach z sewrskiej porcelany, tak delikatnej, że wydawała się niemal przezroczysta. Sofa obita była szkarłatnym aksamitem, a w palenisku kominka z białego marmuru płonął niewielki ogień. Dębowy parkiet wysłany był dywanem z Aubusson z motywami białych róż i liści winnej latorośli, a wzór ten podchwytowały niejako bujne, soczyście zielone palmy w donicach, umieszczone w zakątkach salonu. Obok wysokiego, łukowato sklepionego okna stał niewielki stolik przykryty obrusem z weneckiej koronki, a na nim znajdował się osobliwy zbiór oprawionych w ramki fotografii, złote i srebrne tabakiery i przepyszny czarny wachlarz ze strusich piór.

Perdotowie potrafili wytworzyć w swoim otoczeniu atmosferę ciepła i elegancji. Mignon była drobną, siwowłosą panią i miała na sobie doskonale skrojoną suknię w delikatnym odcieniu koloru niebieskiego, który przypominał Caitlin barwę jaja rudzika i nieba o świcie. Jej mąż był wysoki, szczupły, z burzą srebrnobiałych włosów i z bystrym spojrzeniem. Stanowili parę dowcipnych ludzi o nienagannych manierach; nie kryli swego głębokiego wzajemnego uczucia, serdecznie odnosili się do siebie oraz do Chelsea i byli uprzejmie zainteresowani osobą Caitlin.

Kiedy Chelsea w końcu wstała, kończąc wizytę, Caitlin poczuła się wręcz rozczarowana.

Jean Perdot odprowadził je do drzwi i ucałował Chelsea w policzek.

- Ta suknia jest okropna - mruknął wesoło. - I tak wszyscy wiedzą, że masz wspaniałe ciało; nie musisz tak się z tym obnosić. Ta suknia to zupełnie nie ty.

Caitlin nie posiadała się ze zdumienia, słysząc takie słowa z ust mężczyzny, który do tej pory prezentował jedynie staroświecką galanterię.

- Miałam nadzieję, że tak to odbierzesz. - Chelsea spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem. - Dlatego ją włożyłam, Jean.

Oczy Jeana Perdota otoczyła siatka zmarszczek, gdy zachichotał.

- *Bon Dieu*, jakaś ty sprytna.

- Staram się. - Chelsea wskazała na Caitlin. - A co powiesz o niej? Łabędzica?

Starszy pan pokręcił głową.

- To dorodna róża o najgłębszym odcieniu szkarłatu, prosta i zdrowa. - Przyglądał się Caitlin szacującym wzrokiem. - I mająca kolce.

- Kolce? - Chelsea zmarszczyła czoło. - Nie wydaje mi się.

- Dlatego, że nigdy ich nie widziałas? - Jean Perdot uśmiechnął się wyrozumiale. - Być może nawet ona sama nie wie, że je ma, ale są na pewno. - Uniósł dłoń Caitlin do warg. - Ogromnie się cieszę, że cię poznałem, moje dziecko. Proszę, odwiedź nas jeszcze.

- Dziękuję za gościnę, *monsieur* Perdot.

Stał na progu, dopóki nie zniknęły we wnętrzu limuzyny.

- Spodobałaś mu się - stwierdziła z zadowoleniem Chelsea, gdy limuzyna ruszyła. - Miałam nadzieję, że tak będzie.

- Przed chwilą czułam się tak, jakbym była żyjątkiem oglądanym pod mikroskopem.

- To był komplement. Gdybyś go nie zainteresowała, powiedziałyby mi, że nic w tobie nie widzi.

- Widzi? A kim on jest? Malarzem?

- To najwybitniejszy projektant sukien na świecie.

Caitlin patrzyła na nią, zdumiona.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- To dlatego, że jest też najlepiej strzeżoną tajemnicą na świecie. Wszystkie jego klientki muszą obiecać, że nikomu nie zdradzą nazwiska projektanta.

- Coś podobnego!

- Pochodzi z rodziny bankierów i nigdy nie potrzebował pieniędzy. Działa już od ponad czterdziestu lat, ale nigdy nie chciał mieć własnego domu mody, gdyż jak twierdzi, źle wpływałoby to na jego sztukę. Projektuje suknie tak, by pasowały do osobowości klientki, a *madame* pozostawia wykonanie.

- Niewiarygodne.

- Też tak sądziłam. Większości potencjalnych klientek odmawia. - Uśmiechnęła się szeroko. - Na przykład lady Di jest

na jego liście odrzuconych. Powiedział mi, że w ciągu dziesięciu lat może przyjąć tylko kilka nowych klientek.

- A ty jesteś jedną z nich?

- Miałam szczęście. Pięć lat temu trafiłam do niego przez jedną z jego najdawniejszych klientek i uznał, że jestem dla niego wyzwaniem.

Caitlin zdążyła już zrozumieć dlaczego.

- On nie przyjmuje zamówień; tworzy kreację i daje znak, że raczył zrobić ci grzeczność. Miałam na sobie jedną z jego sukien, kiedy wręczano mi Oskara.

- Przykro mi, ale nie oglądałam ceremonii wręczania Oskarów.

- Ścinała z nóg. - Chelsea uśmiechnęła się szeroko. - Jak wrócimy do hotelu, pokażę ci, co czekało na mnie tym razem.

Caitlin sądziła, że po tych godzinach spędzonych w jedwabnym kokonie na rue du Faubourg Saint-Honore nie będzie miała ochoty na oglądanie sukienek do końca życia, lecz nagle zaciekawiała się, jak projektant postrzega Chelsea Benedict.

- Jestem bardzo ciekawa.

Chelsea rzuciła szybkie spojrzenie przez tylną szybę limuzyny.

- Jest naprawdę dobry.

- *Monsieur Perdot*?

Chelsea pokręciła głową.

- Twój anioł stróż.

Caitlin zeszywniała.

- Kto?

- Mężczyzna jadący za nami w szarym Renault.

Widząc, że Caitlin nie przestaje wpatrywać się w nią osłupiałym wzrokiem, Chelsea wyjaśniła:

- Detektyw, którego Alex wynajął, żeby cię chronił, kiedy przewoziłaś wszystkie te wypożyczone dzieła sztuki do Wersalu.

- Chelsea przyjrzała się Caitlin, zdziwiona. - To Alex nie mówił ci, że mi o nim powiedział? Nie chciał, żebym myślała, że ktoś chce mnie porwać, a wiedział, że zapewne go zauważę. - Skrzywiła się. - Boże, ilu ludzi wynajmowali producenci, żeby mnie strzeżono jako ich inwestycję w trakcie pracy nad filmem.

- Nie, nie powiedział mi, że ci mówił.

Nie zadał sobie trudu, żeby ją samą poinformować o najęciu detektywa. Odkąd wróciła do Paryża, starała się mieć czas tak

wypełniony zajęciami, że wieczorem padała na łóżko w stanie kompletnego wyczerpania, i niemal zapomniała o Ledfordzie, lecz wiadomość, że Alex nie zapomniał, sprawiła, iż poczucie zagrożenia wróciło.

- Dobrze się czujesz? - Chelsea z uwagą wpatrywała się w jej twarz.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Po prostu jestem zmęczona.

Gdy wróciły do hotelu, Chelsea przemaszerowała przez *foyer*, przywołując chłopców hotelowych niczym generał dokonujący przeglądu wojsk, i po chwili jej mały oddział ustawił niezliczone pudła i pudełeczka na osiemnastowiecznej, obitej brokatem sofie w salonie. Chelsea rozdała czarujące uśmiechy i sute napiwki gapiącym się na nią tragarzom i machnięciem ręki odprawiła ich z pokoju. Sprężystym, pełnym gracji krokiem przeszła do sypialni.

- Chodź. Skarb Jeana jest w szafie w sypialni.

- Już idę. - Caitlin z ulgą zrzuciła szpilki. - Jeśli dokuśtykam. Jak ci się udaje przeżyć taki maraton?

- Wystarczy gorący prysznic i już wraca się do formy.

Pałające oczy Alexa wpatrujące się w nią przez kłęby pary w łazience.

To wspomnienie opadło ją nagle z bolesną siłą. Nie będzie myśleć o Alexie, powtarzała sobie w duchu. Wykorzystał ją i Vasaro. Ból wkrótce minie. Tego dnia dopiero teraz pomyślała o nim po raz pierwszy; zapewne oznaczało to, że rany już się goją.

Chelsea otworzyła przepastną szafę i zagłębiła się w jej czeluści.

- Naprawdę mi się podoba. Czyż Jean nie jest geniuszem?

Caitlin zrozumiała, co Chelsea miała na myśli, gdy tylko ujrziała srebrną wieczorową kreację. Nie, to nie była suknia, lecz sukienka. Krótka sukienka z niewielkim dekoltem i długimi rękawami. Była prosta w kroju i opadała luźno, ledwie zaznaczając kształty Chelsea. Tym, co przyciągało oko, był materiał. Srebrne cekiny, z których składała się sukienka były ułożone tak, że przypominały błyszczącą kolczugę, i Chelsea wyglądała w tym stroju jak młody średniowieczny rycerz... lecz zarazem cudownie kobieco. Było oczywiste, iż Jean Perdot nie postrzegał Chelsea Benedict jako pawia, jak sama

się określiła, lecz jako wojownika, królową Amazonek. Przypomniał sobie, jak Chelsea z dziką wściekłością zaatakowała reportera w porcie w obronie Marisy i jak podeszła w sklepie do sprzedawczynie obrzucającej klientkę pogardliwym spojrzeniem, Caitlin wolno pokiwała głową.

- Masz rację. Ten człowiek jest geniuszem. Czy włożysz ją na przyjęcie?

Chelsea pokręciła głową, delikatnie dotykając mieniących się cekinów.

- Zbyttnio rzuca się w oczy. Dobry rzecznik powinien reklamować produkt, a nie siebie. Poza tym, skoro nie mam szans przyćmić tej cholernej statuetki, przyjmę swój los z godnością. - Schowała sukienkę z powrotem do szafy. - Zachowam ją na specjalną okazję.

- Na wręczenie kolejnego Oskara?

- Może... - Chelsea zamknęła drzwi szafy. - Weź prysznic, a ja zamówię coś do jedzenia. Myślę, że zjemy tutaj i odpoczniemy. Jutro rano czeka nas konferencja prasowa, a po południu musimy kupić buty.

- Konferencja prasowa? - Caitlin natychmiast zapomniała o lęku przed kolejną rundą zakupów na myśl o nowym zagrożeniu. - Dlaczego miałabym brać w tym udział?

- Bo skomponowałam perfumy, głuptasku. - Chelsea uśmiechnęła się. - Wezmę cały ciężar na siebie. Kontakty z prasą to część mojego zawodu.

- Obawiam się, że nie będziesz miała wyboru. Przez następne dwa dni większość czasu będę musiała spędzać w Wersalu.

Chelsea skinęła głową.

- Alex powiedział mi o tym twoim wyczynie. Jest z ciebie bardzo dumny.

- Naprawdę? - zapytała z rezerwą Caitlin. - Miło mi to słyszeć. Swoją drogą nietrudno było ich wszystkich przekonać, że to jedyne miejsce godne Tańczącego na Wietrze.

Chelsea zmarszczyła nos.

- Nie mówiąc o przyjęciu Chelsea Benedict.

- Jestem przekonana, że większość zaproszonych będzie patrzeć raczej na ciebie niż na statuetkę.

- Bardzo to miłe z twojej strony, ale to zapewne nieprawda. W każdym bądź razie wszyscy chcą być na liście gości zaproszonych na to przyjęcie w Wersalu. - Przyjrzała się Cait-

lin z namysłem. - Wiesz, myślę, że się zmieniłaś, odkąd zobaczyłam cię po raz pierwszy.

- Naprawdę? W jakim sensie?

- Nie jestem pewna. Może trudniej jest cię onieśmielić?

- Z pewnością udało się to tej kobiecie u Lacroix.

Chelsea zachichotała.

- Nazwisko Lacroix rzuca na kolana całą żeńską populację świata. - Jej uśmiech zgasł. - Myślę, że owocuje twój związek z Karazovem. Jak mówi się w twoim języku, ty i twój Alex jesteście *tres formidables*.

- On nie jest „moim Alexem”. - Caitlin ruszyła do drzwi. - Ale znalazłaś dobre określenie na niego. *Tres formidable*.

Zobaczymy się później. - Przystanąwszy na progu Galerii Zwierciadlanej, Chelsea wygładziła fałdy szyfonowej białej sukni i przybrała majestatyczną pozę. - Nadszedł czas pokazu!

Caitlin pospiesznie cofnęła się o krok, widząc jak reporterzy i operator kamery płyną przez korytarz ku Chelsea jak gwoździe do magnesu. W ciągu kilku minionych dni zdążyła się napatrzyć na *showtimes* Chelsea i zdecydowanie wolała pozostawać w tle, szczególnie w czasie tego przyjęcia, które było ukoronowaniem jej wysiłków minionych tygodni. Aktorka bez trudu panowała nad sytuacją dzięki sile swej osobowości. Łączyła w sobie błyskotliwość, humor i niezwykłą witalność, bez których nie można stać się gwiazdą.

Chelsea natychmiast została wchłonięta przez tłum gości, zaś Caitlin zaszła się w odległym kącie sali. Poza nadzorowaniem, żeby przyjęcie przebiegało bez zakłóceń, jej rola była już wypełniona. W drugim końcu korytarza kwartet smyczkowy grał koncert Vivaldiego, lecz wśród gwaru rozmów i delikatnego pobrękiwania kieliszków słyszało się tylko pojedyncze tony. Kelnerzy w białych frakach zgrabnie krążyli pośród tłumu, roznosząc kanapki, szampana Roderer Cristal i sok pomarańczowy. Na drewnianej posadzce rozścielono aksamitne dywany typu *savonnerie*, a z wysokiego sklepienia zwisały kryształowe żyrandole. Wspinała rzeźba lodowa przedstawiająca Tańczącego na Wietrze według projektu LeClerca dominowała tuż obok wysokiego okna zwieńczonego półkolem nad barem, gdzie na długim stole pokrytym adamszkowym obrusem oferowano kawior z białugi, homary, ciasteczka i nugaty.

Caitlin przyglądała się odbiciom wchodzących i wychodzących, śmiejących się i wystrojonych gości w siedemnastu lustrach zdobiących długą galerię i zastanawiała się, czy to przyjęcie podobne jest do bali wydawanych tu w czasach Catherine. Catherine nigdy nie była tu na balu, lecz jej przyjaciółka, Juliette, musiała niegdyś przemierzać tę salę, spoglądając, tak jak teraz ona, na beczkowe sklepienia galerii przyozdobione przez Le Bruna malowidłami będącymi apoteozą Króla-Słońce.

- Nareszcie cię znalazłem.

Oderwawszy wzrok od sklepienia, spojrzała na Jonathana, który wydawał się jeszcze większy i bardziej patriarchalny niż gdy ujrzała go po raz pierwszy.

- Cześć, Jonathan. Miło ujrzeć znajomą twarz w tym tłumie. - Uśmiechnęła się. - Zauważyłam trzy gwiazdy filmowe, premiera i szejka naftowego i zaczynałam czuć się przytłoczona.

- Dzisiaj wieczorem powinnaś odczuwać jedynie dumę i szczęście. Wspaniale się spisałaś. - Jonathan ujął jej dłoń i Caitlin ponownie udzieliło się to dziwne poczucie bezpieczeństwa, którego doświadczyła, kiedy spotkała go po raz pierwszy. - A przy tym pięknie wyglądasz. Iście królewsko. Jakbyś spędziła tu całe życie.

Zaśmiała się i pokręciła głową.

- A ja czuję się, jakby moje miejsce było w domu wariatów. Ostatnie dni były wprost potworne. Nie wiem, jak wytrzymasz ciągle życie na świeczniku.

- Można się do tego przyzwyczaić. - Jonathan uniósł kieliszek szampana z niesionej przez kelnera tacy i wręczył Caitlin. - Niekiedy to może nawet wpływać odprężająco. - Wypił łyk szampana i obojętnym wzrokiem potoczył po tłumie. Na przykład Chelsea Benedict wydaje się rozkwitać.

Caitlin spojrzała na grupkę ludzi otaczających stojącą na środku sali Chelsea.

- Ona jest niezwykła. Wystarczy jej pięć minut, żeby każdego mieć w ręku. Powinieneś zobaczyć, jak radziła sobie z prasą.

- Słyszałem, że nie grzeszy dyplomacją. - Podoba ci się?

Caitlin przytaknęła.

- Bardzo. Jest taka... z krwi i kości. Chciałbyś ją poznać?

- Mieliliśmy już okazję się poznać. W zeszłym roku oboje otrzymaliśmy zaproszenie na obiad do Białego Domu. - Jona-

than dokończył szampana i odstawił pusty kieliszek na pokryty adamaszkiem stół. - Znam tutaj prawie wszystkich. Może chciałabyś, żebym przedstawił cię Mitterrandowi albo Krakowowi?

- To Krakow jest tutaj? Nie byłam pewna czy przyjdzie.

- Tam, koło palmy.

Caitlin z zainteresowaniem przyjrzała się człowiekowi-legendzie. Na zdjęciach Larsa Krakowa w prasie jego krótko ostrzyżone włosy wydawały się siwe, lecz teraz, przekonała się, iż mają odcień złotawosrebrny. Jego wysoka, szczupła sylwetka była odziana z tą samą wytworną anonimowością, jaką prezentowała reszta mężczyzn na sali, lecz wyróżniała go spośród nich blizna na lewym policzku i smutne, głęboko osadzone czarne oczy. Wyglądał jak święty... lub męczennik. Jej matka mówiła, że ma tę bliznę od dzieciństwa, kiedy gestapo torturowało go, chcąc wyciągnąć odeń informację dotyczącą głównego punktu dowodzenia duńskim ruchem oporu w Kopenhadze. Nie wyjawiał im niczego, a kiedy go wypuszczono, był tak zmaltretowany i załamany, że powrót do zdrowia zabrał mu ponad dwa lata. Został obwołany bohaterem narodowym, zaś po wojnie dostał się na szczyty europejskiej polityki.

- Wiele o nim słyszałam. Moja mama szczerze go podziwia. Znasz go?

- Spotkałem go na kilku konferencjach handlowych. Nietuzinkowy facet.

W tonie jego głosu Caitlin wyczuła odcień rezerwy i przeniosła wzrok z Krakowa na Jonathana.

- Nie lubisz go?

- Jak już mówiłem, to silna osobowość. Nie znam go na tyle dobrze, by wydawać o nim zdecydowaną opinię. - Spojrzała na mężczyznę, z którym rozmawiał Krakow i natychmiast spochmurniał. - Za to dobrze znam *mansieur* Dalpre. Jest szefem Interpolu i zatruł życie mnie i Peterowi swoim biurokratycznym podejściem do Tańczącego na Wietrze. Powiedziałem mu, że zapewniamy własne środki bezpieczeństwa, ale chciał znać nasz plan w najdrobniejszych szczegółach.

Osobowość Krakowa była do tego stopnia dominująca, że Caitlin niemal nie zauważyła drobnego, ciemnowłosego mężczyzny przemawiającego do niego z wielkim przejęciem.

- Sprawia wrażenie, jakby chciał go do czegoś przekonać.

- Raoul Dalpre jest gorącym orędownikiem zjednoczenia Europy. Prawdopodobnie chce skaptować Krakowa do swego obozu. - Jonathan wzruszył ramionami. - Będzie to typowy kwiatek do kożucha. Krakow wypowiada się zdecydowanie przeciw zjednoczeniu.

- A co ty o tym sądzisz?

- Zjednoczenie wszystkich państw Europy pod jedną władzą stworzyłoby supermocarstwo, które mogłoby stanowić zagrożenie nie tylko w sensie ekonomicznym. Myślę, że dobrze zrobimy, mając na oku pana Dalpre.

- Według tego, co ostatnio czytałam w gazetach, gdyby istniała lepsza współpraca, można by praktycznie położyć kres aktom terroru i kradzieżom. Za obecne niepowodzenia obwinia się biurokrację i słaby przepływ informacji.

Jonathan wzruszył ramionami.

- Możliwe... - Szybko zmienił temat. - Ale nie odpowiedziałś na moje pytanie. Czy chcesz poznać Krakowa?

Ponownie spojrzała na Krakowa. Chętnie pochwaliłaby się matce, że go poznała, lecz biedak wydawał się osaczony przez gadatliwego *monsieur* Dalpre. Pokręciła głową.

- Moja mama nigdy mi pewnie tego nie wybaczy, ale nie. Wolałabym się przejść po sali, przekonać się, że wszystko jest w porządku i starać się nie rzucać w oczy.

- To niemożliwe. Piękne kobiety mogą być niedoceniane, ale nigdy nie pozostają nie zauważone. - Jonathan ujął ją za łokieć i zaczął torować drogę przez tłum w kierunku Salonu Pokoju, będącego przedłużeniem Galerii Zwierciadlanej. - Porzuć rolę gospodyni. Chodź przywitać się z Peterem i uspokój go. Jest pewien, że zamierzasz go udusić.

Zmarszczyła brwi.

- Trochę mnie to korci. Na gwałt potrzebuję tego tłumaczenia, a wciąż nie mogę się go doczekać.

- W takim razie pozwól mi się zaprowadzić do Petera, żebyś mogła mu nawymyślać osobiście. - Wykrzywił wargi. - Powinno ci to sprawić o wiele większą satysfakcję niż mówienie do automatycznej sekretarki.

- Jak on się czuje?

- Świetnie. Sama się za chwilę przekonasz. Nie wystarczy mi, że są tu kamery na podczerwień, samoczynne alarmy i armia ochroniarzy dookoła i w pałacu. Sam musi pełnić

straż. - Zgrabnie poprowadził ją obok mężczyzny w mundurze z imponującym rzędem odznaczeń na potężnym torsie. - Choć środki ostrożności zgromadzone przez Karazova zrobiły na nim wrażenie.

- Alex jest bardzo skrupulatny. Cieszę się, że jesteś zadowolony.

- Jakże mógłbym nie być? Po południu wyjechał po nas na lotnisko, sprawdził wszystkie zabezpieczenia i osobiście nadzorował przewóz Tańczącego na Wietrze do Wersalu. Nie do końca ufał naszym ludziom i zatrudnił na dzisiejszy wieczór dodatkowych strażników. Przed chwilą widziałem, jak lustrował galerię, jakby to było pole bitwy. - Zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Aż mi to do niego nie pasuje. Raczej spodziewałbym się, że będzie stał za kulisami, pociągając za sznurki.

- Przypisujesz mu cechy makiaweliczne.

- Tak to odbierasz? - Jonathan uśmiechnął się. - Pod wieloma względami Machiavelli został potraktowany bardzo niesprawiedliwie. Był jedynie wytworem swojej epoki i otoczenia. Tak samo jak Karazov.

Dotarli do kwadratu oddzielonego od reszty sali czerwonymi aksamitnymi sznurami i Caitlin dostrzegła Petera Maskovela stojącego czujnie w jego obrębie. Miał na sobie nieskazitelnie czarny smoking, lecz ten wytworny strój nie przydawał mu wzrostu ani krzepy, jak to było w przypadku Jonathana. Wprost przeciwnie, Peter wydawał się bledszy i bardziej kruchy niż wtedy, gdy ostatnio widziała go w Port Andreas.

Mizerna twarz Petera rozjaśniła się uśmiechem, gdy zobaczył Caitlin.

- Hej. - Ruchem ręki wskazał statuetkę Pegaza na czarnym marmurowym postumencie. - Przyszłaś tu do mnie czy do mojego kolegi?

- Do obojgu. - Caitlin uśmiechnęła się. - Jak się czujesz? Sprawiasz wrażenie zmęczonego.

- Świetnie. - Uśmiechnął się szeroko. - No, prawie świetnie. Jeszcze się nie przyzwyczałem do różnicy czasu.

Jonathan zmarszczył czoło.

- Na litość boską, natychmiast idź do hotelu i odpocznij. Zrobiłeś już wszystko, co do ciebie należy.

- Zrobię wszystko, co do mnie należy, dopiero wtedy, gdy

Tańczący na Wietrze zostanie bezpiecznie ulokowany w sejfie w hotelu InterContinental.

- Jesteście zadowoleni z apartamentów? - zapytała Caitlin. - Chelsea i ja dzielimy apartament na trzecim piętrze.

Jonathan skinął głową.

- Bardzo. Peter i ja mieszkamy na tym samym piętrze. Alex zarezerwował całe trzecie piętro, żeby zapewnić nam spokój.

- Jesteśmy sąsiadami. - Peter przymilnie uśmiechnął się do Caitlin. - Nie powinnaś obstawać przy chłóście dla sąsiada.

Ignorując ten apel, zmierzyła go surowym wzrokiem.

- W średniowieczu często się do tego uciekano. Naprawdę zależy mi na tym tłumaczeniu, Peter.

Westchnął.

- Jesteś jeszcze gorszym poganiaczem niewolników niż Jonathan. Ojciec Domenico już prawie skończył pracę. Jeszcze tydzień i cały pamiętnik będzie przetłumaczony.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ojciec?..

- Niewielu uczonych potrafi dokładnie przetłumaczyć piętnastowieczny włoski. Musiałem udać się do klasztoru w Wirginii i prosić ojca Domenica o pomoc.

Caitlin ze skrucą przypomniła sobie treść niezbyt grzecznych uwag dotyczących tłumaczenia, które nagrała na automatyczną sekretarkę Petera.

- Myślałam, że najałeś kogoś do tłumaczenia. Czemu mi nie powiedziałaś?

- Oczywiście Jonathan hojnie zasilił klasztorną kiesę. - Peter patrzył jej śmiało oczy. -I dużo zabawniej było ci o tym nie mówić. Po pewnym czasie zacząłem wręcz czekać na twoje docinki na sekretarce. Były jak ostroga spinająca do biegu.

Roześmiała się.

- Boże, a ja kazałam ci powiedzieć mu, żeby ruszył dupę.

W oczach Petera pojawiły się przekorne iskierki.

- Nie przekazałem tej wiadomości ojcu Domenico. Nie znalazłby zrozumienia. Otrzymasz tłumaczenie, jak tylko przepiszę ostatnie dwadzieścia stron. Ojciec Domenico pisał odręcznie, a ma bardzo nieczytelny charakter pisma.

- W takim razie pozwól, że zapewnię ci spokojne otoczenie, abyś mógł skończyć pracę. Może znalazłbyś trochę czasu, żeby pojechać na kilka dni do Vasaro? - Caitlin uśmiechnęła się,

widząc ożywienie na twarzy Petera, i dodała miękko: - Nie wyobrażam sobie, żebym mogła gdziekolwiek indziej udostępnić ci pamiętnik Catherine.

Znieruchomiał.

- Naprawdę pozwolisz mi się z nim zapoznać?

Przytaknęła.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić po dręczeniu cię przez ostatni miesiąc.

- Kiedy?

• - Kiedy tylko zechcesz.

- Może być jutro? - Pokręcił głową. - Nie, nie jutro. Muszę nadzorować przewóz Tańczącego na Wietrze do Nicei. Co powiesz na pojutrze?

Caitlin roześmiała się.

- Doskonale. Zatelefonuję do matki i uprzedzę ją, że przyjeżdżasz.

- Jak długo będę mógł tam zostać?

- Jak długo zechcesz. Chelsea i ja wyjeżdżamy jutro do Nicei nakręcić reklamówkę w Negresco, ale to potrwa najwyżej parę dni, a potem wracamy do Vasaro nakręcić resztę.

- Teraz czuję się naprawdę wspaniale. - Peter ujął dłoń Caitlin. - Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Proszę tylko o jedno.

- O tłumaczenie?

Przytaknęła.

- I żebyś nie wysyłał mi kolejnych fotografii.

Peter roześmiał się.

- Umowa stoi.

- Pamiętnik Catherine nic tu nie pomoże. Nie ma w nim wzmianek na temat inskrypcji.

- Historia rodzinna jest o wiele ważniejsza niż napisy. Odczytanie inskrypcji to tylko dodatkowa frajda. - Na twarzy Petera pojawił się łagodny uśmiech. - Możemy popracować razem. Chciałbym ci pomóc. Nie jestem twoim rywalem, Caitlin.

Caitlin zareagowała poczuciem ogromnej wdzięczności... i winy. Jeśli chodzi o to tłumaczenie, zachowała się jak sekutnica.

- Dziękuję. Będę o tym pamiętać. - Idąc za wzrokiem Petera przeniosła wzrok na Pegaza i przez chwilę czuła tę samą satysfakcję, która owładnęła nią, gdy ujrzała statuetkę po raz

pierwszy. Wyszeptała: - On tak wiele dla mnie znaczy. Muszę to zrobić, Peter.

- Wiem.

Jonathan delikatnie dotknął ramienia Caitlin.

- Czy mogłabyś powiedzieć Chelsea Benedict, że jestem już gotów, by oficjalnie przedstawić ją jako rzeczniczkę? - Zniżył głos do szeptu: - Chciałbym mieć to już za sobą, żeby móc odesłać Petera do hotelu. Nie powinien się tak przemęczać.

Caitlin kiwnęła głową.

- Zaraz jej powiem.

Ruszyła korytarzem w stronę miejsca, gdzie stała Chelsea.

- Wyglądasz dzisiaj tak inaczej.

To był głos Alexa.

Zatrzymała się i zmobilizowała wewnętrznie, zanim zdecydowała się odwrócić i spojrzeć na niego. I on prezentował się odmiennie: szarmancki, wytworny.

- Cześć, Alex.

- To bardzo piękna suknia. Nigdy nie widziałem cię w czerni. - Jego wzrok zatrzymał się dłużej na zagłębieniu dekoltu. - Twoja skóra jest taka... - Urwał i przeniósł wzrok na jej twarz. - Jak leci?

Boże, nie powinna się tak czuć po tym, ile wysiłku włożyła w przekonanie samej siebie, że między nimi wszystko już skończone. Potępiła go za to, co zrobił, ale najwyraźniej nie miało to wpływu na reakcje jej ciała. Czuła, jak piersi jej nabrzmiwiają i ogarnia ją gorąca fala pożądania. Pragnęła go w tej chwili równie mocno jak wtedy na polu, zanim zaczęli poznawać swoje ciała. Zmusiła się do uśmiechu.

- Bardzo dobrze. Wszystko idzie jak w zegarku. - Zniżyła głos. - A tobie?

- Ani śladu Ledforda.

Wykrzywiła wargi w kwaśnym uśmiechu.

- Wiem, że jesteś tym rozczarowany, ale nie mogę powiedzieć, że tego żałuję.

- Może jeszcze się zjawić.

- W takim razie zrób wszystko, żebyś to ty go dostał, i żeby on nie dostał Tańczącego na Wietrze - odpaliła szorstko.

- Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? - wybuchnął. - Sama wczoraj sprawdzałaś podjęte środki bezpieczeństwa. Wiesz, jaki jestem ostrożny.

- Nie wiem, co... - Urwała, nerwowo zwilżając wargi językiem. Musi od niego odejść. Ta pełna goryczy rozmowa była niemal równie bolesna jak świadomość fizycznej reakcji na jego bliskość. - Powinam już iść.

- Cóż, nie zatrzymuję.

Mówił ochryłym głosem, z lekko słowiańskim akcentem, jak zawsze, kiedy był pobudzony. Ujrzawszy wyraz jego twarzy, gwałtownie zaczerpnęła tchu i mocno wbiła paznokcie w skórę zaciśniętych w pięści dłoni. Boże, jak chciała go dotknąć. Odwróciła się pospiesznie.

- Muszę przyprowadzić Chelsea. Jonathan chce mieć już za sobą jej oficjalne przedstawienie.

- Ja też - oznajmił zduszonym z napięcia głosem Alex. - Chryste, chciałbym, żeby w ogóle było już po wszystkim.

Po chwili wmieszał się w tłum.

Gdzie on jest?

Alex stał w rogu sali, nie zwracając uwagi na przemowę Jonathana, przedstawiającego Chelsea, i obserwował tłum.

Nic podejrzanego.

Pułapka została zastawiona.

Gdzie, do cholery, podziewał się Brian Ledford?

Jonathan otworzył drzwi do swego apartamentu i zauważył stojącego w korytarzu Petera.

- Pomyślałem, że wstąpię i powiadomię cię, że Tańczący na Wietrze jest już zamknięty na noc.

- W sejfie? - zapytał Jonathan.

Peter przytaknął.

- To jest właściwie skarbiec i postawiłem przed nim dwóch strażników. Tańczący na Wietrze jest tak bezpieczny, jakbyśmy umieścili go w Fort Knox. - Z niepokojem zmarszczył czoło. - Czy będę mógł pojechać do Vasaro?

- A czemuż by nie? Zapewne i ja odwiedzę Vasaro, kiedy zaczną tam kręcić reklamówki.

Peter uśmiechnął się z ulgą.

- Przyjedziesz? Myślałem, że będziesz zbyt zajęty.

- Muszę strzec tego, w co inwestuję, a poza tym czas, żebym dowiedział się czegoś więcej na temat reklamówek. Myślę o telewizyjnej kampanii reklamowej nowego krążownika.

- Pauley Hartland jest bezkonkurencyjny. Na pewno wywiąże się z zadania. - Ziewnął, zakrywając usta dłonią. - Chelsea Benedict świetnie wyglądała z Tańczącym na Wietrze, nie uważasz?

Jonathan przytaknął.

- Komponują się nawzajem. To był świetny wybór.

Peter zaczął zamykać drzwi.

- Dobranoc, Jonathan. Do zobaczenia rano.

- Dobranoc. I wyśpij się wreszcie porządnie. Nie musisz codziennie wstawać o świcie.

Peter stłumił kolejne ziewnięcie.

- Może pośpij dłużej.

Gdy tylko za Peterem zamknęły się drzwi, Jonathan szybko przemierzył salon, zdejmując czarny krawat. Rzucił go na biurko, po czym zdjął smoking i zawiesił go na oparciu krzesła.

Boże, czuł się jak dziecko w dniu Bożego Narodzenia starające się oprzeć pokusie, by zejść na dół i zerknąć, jakie prezenty znajdują się pod choinką.

Nie był już dzieckiem i nie chciał czekać. Czekał już i tak zbyt długo, a życie jest takie krótkie.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku i odwrócił się w stronę otwierających się drzwi.

- Jeszcze się nie rozebrałeś? - Chelsea zamknęła za sobą drzwi i przebiegła przez pokój; spódnice jej białej sukni unosiły się za nią jak skrzydła. - Ja bym już była rozebrana. - Rzuciła mu się w ramiona, obsypując jego twarz i szyję szybkimi, gorączkowymi pocałunkami. - Czemu mężczyźni nie mogą...

- Cicho, Chelsea. - Powstrzymał potok jej słów długim pocałunkiem. - Nie miałem czasu. - Chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni. Boże, była taka lekka w jego ramionach. Zawsze zaskakiwała go swoją fizyczną kruchością w zestawieniu z siłą swej osobowości. Było w niej tyle wigoru i energii, tyle siły i szczodrości. - Czekałem na tę chwilę osiem miesięcy i nie chcę, żebyś zepsuła ją swoimi wymówkami.

- W porządku - powiedziała łagodnie, wtulając się w niego. - Ale gdybyś chciał pieprzyć się ze mną tak samo jak ja...

- Kochać się - poprawił Jonathan, kładąc ją na łóżku, i zaczął rozpinąć koszulę. W ciągu tych paru chwil, kiedy byli razem, często używała ulicznego slangu i dobrze wiedział, że

robi to, żeby uwypuklić różnice pochodzenia. - Dobrze wiesz, co nas łączy. Przestań zasłaniać się seksem i powiedz to.

- Czy to takie ważne - to słowo czy inne? - rzuciła Chelsea, zrzucając pantofle i uklękła na łóżku tyłem do Jonathana. - Rozepnij mi sukienkę.

- Powiedz to. - Jonathan odsunął zamek suwaka i odgarnął lśniąca burzę jej włosów na jedną stronę, by delikatnie musnąć wargami jej kark. - Czy mogę cię o to prosić?

Zaśmiała się drżącym głosem, odwracając się.

- Nigdy nie potrafię odmówić dżentelmenowi, jeśli prosi. Kochać się. To dużo ładniej?

- Tak, i jest to o wiele bardziej prawdziwe. - Jonathan zsunął suknię z ramion Chelsea. Jej obnażone piersi tak prężnie wznosiły się ku górze, jak to zapamiętał. Boże, czekał już zbyt długo. - Chelsea, kochanie...

Pochylił głowę i zapomniał o semantyce.

Zaczynam odczuwać coś w rodzaju wdzięczności w stosunku do Karazova -- stwierdził Jonathan, odgarniając pasmo włosów z twarzy Chelsea. - To bardzo niebezpieczne.

- Jak on się o nas dowiedział? Byliśmy tacy ostrożni.

- Kto to może wiedzieć? Musi mieć jakieś powiązania.

- To mi się nie podoba. Jeśli jemu udało się to odkryć, to równie dobrze może to zrobić pierwszy lepszy reporter.

- Nie sądzę. Karazov jest... niezwykły.

- Możemy mu ufać, że nikomu nie powie?

- Tak mi się wydaje.

- Nie wydajesz się tym zbyt przejmować.

- Szczerze mówiąc, Chelsea, w ogóle mnie to nie obchodzi. Zachichotała.

- Oto cytat z mężczyzny z Charleston.

- Pochodzę z Charleston.

- Ale jesteś o wiele miłszy niż Rhett Butler. - Jej uśmiech zgasł. - A ja się tym przejmuję.

- Wiem. I tu tkwi błąd. Skąd masz klucz do mojego apartamentu?

- Karazov. Znalazłam klucz w torebce, kiedy wyszedł z mojego apartamentu na przyjęcie.

- Wygląda na to, że spłaca swoje długi.

- Hmm, ale nie jest Kupidem.

- Chelsea, kochanie, nie mam ochoty rozmawiać teraz o Karazovie. - Przyglądał jej się uważnie. - Jesteś chudsza niż w Kingston. - Objął pierś Chelsea szeroką dłońią i lekko ścisnął. - Pomyślałem, że schudłaś, jak tylko zobaczyłem cię dzisiaj na przyjęciu.

- Tylko parę funtów. Nie przejmuj się. - Chelsea przytuliła się mocniej, wciskając się w ramiona Jonathana. - Przestań mi się tak przyglądać. Potrafię o siebie zadbać.

- Akurat - prychnął Jonathan. - Widziałem twoje zdjęcie na okładce „Time'a”, to z harpunem wbitym w maszt tuż obok twojej głowy. Równie dobrze mógł trafić w ciebie.

- Straciłam panowanie nad sobą - przyznała pokornie. Jonathan niespodziewanie roześmiał się.

- Od tej pory, jeśli grozi jakieś rzucanie harpunem, zostaw to mnie.

- Z pewnością jesteś odpowiednio wyposażony do tego sportu. - Przesunęła rękę w dół i objęła go. - Masz odpowiednią broń.

- Twoje komplementy sprawiają, że... - Gwałtownie zaczerpnął tchu, gdy wzmocniła uścisk, i pospiesznie dodał: - Ze doczekasz się kolejnego rzutu harpunem.

Zachichotała i uniosła się na łokciu, by nań spojrzeć.

- Ależ jesteś bojowy.

- Nie bojowy, tylko namiętny. - Lekko przechylił jej głowę, by złożyć na niej pocałunek. - Wszyscy zakochani mężczyźni są namiętni. - Czując, jak sztywnieje z napięcia, ucałował ją ponownie. - Czas, żebyś się tego dowiedziała, Chelsea.

Odsunęła się od niego i usiadła na łóżku.

- Chce mi się pić. - Opuściwszy stopy na ziemię, wstała. - Przyniosę sobie wody mineralnej. Chcesz coś?

- Nie. - Patrzył, jak naga idzie przez sypialnię w stronę salonu. Uwielbiał obserwować, jak się porusza, jak prostuje plecy, jakby maszerowała na wroga, jak idzie drobnym sprężystym krokiem, znamionującym ogromną witalność. To właśnie ten krok przyciągnął jego uwagę, gdy po raz pierwszy zobaczył ją idącą tuż przed nim do sali jadalnej w Białym Domu. Potem okazało się, że przydzielono mu miejsce obok niej za długim stołem przykrytym adamaszkowym obrusem i jeszcze zanim wieczór się skończył, był pewien, że w jego życiu zdarzyło się coś niezwykłego i pięknego. - Zaczekaj. -

Podniósł z podłogi swoją wygniecioną koszulę. - Klimatyzacja. Tu jest zbyt zimno, żebyś mogła chodzić na golasa. - Rzucił jej koszulę. - Włóż to.

Chwyliła koszulę i włożyła ręce w rękawy, zalotnie mrugając rzęsami, gdy podwijała mankiety.

- Muszę przyznać, że uwielbiam sposób, w jaki troszczą się o kobiety džentelmeni z Południa. - Odwróciła się i wyszła z sypialni. - To przyprawia moje serce o drżenie, a umysł...

- Kochanie, jesteś cudowną aktorką, ale w roli piękności z Południa robisz kompletną klapę.

Jonathan wstał z łóżka, podszedł do szafy i wyjął z niej czarny aksamitny szlafrok. Włożył go i udał się za Chelsea do salonu.

Szukała czegoś w barku.

- Cieszę się, że w końcu do tego doszedłeś. - Wyjęła małą butelkę Evian i otworzyła ją. - Należę do Hollywood i Beverly Hills.

- Jesteś tym, kim chcesz być. - Jonathan przystanął na środku salonu i obserwował, jak wlewa wodę do kieliszka. - Masz nieograniczone możliwości, kochanie.

Zacisnęła dłoń na nóżce kieliszka.

- Przestań mnie tak nazywać. Nie jestem twoim kochaniem.

Przyglądał się jej, nie odzywając się ani słowem.

- Nie jestem - powtórzyła buntowniczo. - To nie jest miłość. - Uniosła kieliszek do warg. - Wolalabym, żebyś przestał mówić, że mnie kochasz. To tylko seks... miłe łóżkowe seanse.

Milczał.

- Nie wiem, czemu mężczyźni robią się tacy sentymentalni po tym, jak się prześpią z kobietą. Na litość boską, orgazm to nie miłość. Seks nie ma dla mnie głębszego znaczenia. Mogę mieć orgazm z każdym, w każdej chwili. - Pstryknęła palcami. - Ot, tak. Do diabła, mogę mieć orgazm patrząc, jak tańczy Barysznikow albo jak Jose Canseco wspaniale uderza piłkę baseballową.

Jonathan skrzywił się.

- Łatwo cię zaspokoić.

Zamilkła, zbита z tropu, po czym wybuchnęła śmiechem.

- A niech cię!

- Wybacz, Chelsea, wiem, że to powinno mnie odstraszyć. - Podszedł bliżej. - A teraz powiedz mi, kiedy za mnie wyjdiesz?

- Nigdy. - Chelsea wypięła kolejny łyk wody. - Powiedziałam ci to siedem miesięcy temu i przyjąłeś to do wiadomości.
- Nie przyjąłem. Po prostu zmieniłem temat.
- W takim razie przyjmij to do wiadomości teraz. O ile będziemy to robili dyskretnie, nie mam nic przeciwko spotykaniu się z tobą i popie... - Urwała, napotkawszy jego wzrok, po czym poprawiła się: - i kochaniu się. Ale to wszystko. Mam swoje życie, a ty swoje, i one do siebie nie przystają.
- Bardzo dobrze nam się to udawało nie tak znów dawno temu. - Uśmiechnął się. - I nie musiałem nawet tańczyć czy grać w baseball.
- Posłuchaj. - Odstawiła kieliszek na szafkę. - Nie będziemy się o to spierać. To nie podlega dyskusji.
- Wszystko może stać się przedmiotem dyskusji. - Jonathan zaczął zapinać jej koszulę. - Zmarzniesz, jeśli nie...
- Dam sobie radę. - Cofnęła się. - Nie jestem członkiem twojej rady nadzorczej ani członkiem rodziny. Nie musisz nic dla mnie robić.
- Nie muszę - przytaknęła łagodnie. - Uważam to jedynie za przywilej.
- O, Boże. - Mocno zacisnęła powieki. - Co ja mam z tobą zrobić?
- Zamieszkać ze mną. Wyjdź za mnie. Pozwól mi dać sobie jeszcze jedno dziecko, które otoczysz miłością tak jak Marisę.
- Nie mogę tego zrobić. - Uniosła powieki; jej oczy były pełne łez. - I chciałabym, żebyś przestał o tym mówić.
- Pokręcił głową.
- Przestańmy to ukrywać. Porozmawiaj ze mną, Chelsea.
- Nie chcę rozmawiać. - Rzuciła mu się w ramiona i przytuliła policzek do jego torsu. - Tęskniłam za tobą. Boże, jak ja tęskniłam, Jonathan.
- To dobry początek. - Delikatnie gładził jej włosy. - Czas na resztę.
- Wiesz, jaka była pierwsza rzecz, którą o tobie usłyszałam? - Jej głos był stłumiony. - Rozmawiałam z Geraldem Tibbetsem, naszym ambasadorem w Wenezueli, a on powiedział: „Wiesz, kto to jest? To Jonathan Andreas, przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych.”
- Jonathan roześmiał się.
- To, że tak mówił, jeszcze nie oznacza, że tak będzie.

- Ale do tego dążysz. - Nagle rzuciła gwałtownym tonem: - I powinieneś do tego dążyć. Byłbyś wspaniałym prezydentem.
- A ty byłabyś wspaniałą *first lady*.
- Pokręciła głową.
- Jestem aktorką.
- Tak jak Ronald Regan.
- To co innego. Poza tym spędziłam czternaście miesięcy w więzieniu. Obsmarowały mnie wszystkie szmatławce na całym świecie.
- A ty otrząsnęłaś się z tego i zostałam wspaniałą aktorką. I wspaniałym człowiekiem. - Delikatnie pocałował ją w usta.
- Nie mówiąc już o tym, jak wspaniałą jesteś kochanką.
- Ja mówię poważnie. - Jej głos drżał. - Nie twierdzę, że wstydę się tego, co zrobiłam. - Potrząsnęła głową. - Nie, to nieprawda. Wstydę się, że byłam taka głupia i nie zorientowałam się, że ten skurwiel stanowił zagrożenie dla Marisy.
- Sama byłaś wtedy prawie dzieckiem.
- Rodząc dziecko, straciłam prawo pozostania dzieckiem. - Pokręciła głową. - Popełniłam i wiele innych błędów, ale nigdy nie czułam... Wyrosłam z nich.
- Jonathan w milczeniu gładził jej włosy, czekając, co powie dalej.
- Ale nie mam prawa popełniać kolejnego błędu, który może zaszkodzić komuś innemu. Wyborcy w żadnym wypadku nie zaakceptują mnie w roli żony prezydenta.
- Skąd wiesz? Świat się zmienia. Ludzie nie mają już tak ciasnych poglądów jak dawniej.
- Powiedz to Gary'emu Hartowi - odparła. - Niektóre brukowce twierdziły, że byłam wiarołomną żoną, a potem żyłam bardzo swobodnie.
- A to prawda?
- Nie. - Zadrżała. - Przez wiele lat po rozwodzie z tym sukinysem nie mogłam znieść czyjegoś dotyku. Myślałam, że... - Głos jej się załamał. - Ale to teraz nie ma żadnego znaczenia.
- Dla mnie to ma ogromne znaczenie. Wszystko, co dotyczy ciebie, ma dla mnie ogromne znaczenie. - Ujął w dłonie jej twarz. - Chcesz znać prawdę? Tak, chciałbym zostać prezydentem. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za parę miesięcy chcę zgłosić swą kandydaturę.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Miałam rację.
Pokręcił głową.
- Przez całe dorosłe życie byłem przy władzy i prezydentura nie jest dla mnie gwiazdką z nieba. To tylko zawód, który chciałem wykonywać. Cztery lata w Białym Domu nie są warte, żeby stracić to, co możemy mieć wspólnie przez całe życie.
- Osiem - poprawiła. - Byliby głupcami, gdyby nie wybrali cię ponownie.
- Osiem lat też nie jest tego warte.
- Tak czy owak, będzie musiało być. - Odwróciła się i skierowała się do sypialni. - Ale jeśli będziesz dla mnie bardzo miły, być może zgodzę się, żebyś przemycił mnie do Białego Domu na igraszki, tak jak podobno Kennedy czynił z Marylin Monroe.
- Jesteś zbyt wartościowa, żeby być jedynie kochanką prezydenta.
- Więc popracuję nad tym. Potrafię osiągać niezłe rezultaty, jeśli nad czymś popracuję. - Przystanęła w drzwiach sypialni. - A teraz jestem w nastroju na małe harpunowanie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Z tobą zawsze jestem na to gotowy. - Zamilkł na chwilę. - Ale to nie jest koniec naszej dyskusji.
- Wiem. - Zmarszczyła nos. - Nie wiesz, co dla ciebie dobre.
- Owszem, wiem. - Nie było sensu próbować kruszyć jej murów obronnych. Lepiej będzie przestać się z nią spierać i uciec się do łagodnej perswazji. Całe szczęście, że Karazov stworzył sytuację, w której miał dość czasu i możliwości, by spróbować ją nakłonić do przyjęcia jego punktu widzenia. - Przeszedł przez pokój. - Dobre dla mnie jest mleko, warzywa i płatki owsiane. - Objął ją w pasie i poprowadził w stronę łóżka. - I trochę ruchu. Długie spacery, pływanie, tenis... - Zaczął gładzić jej pośladki przez materiał koszuli. - A przede wszystkim harpunowanie.

Dyla trzecia nad ranem, kiedy Alex otworzył drzwi do rezydencji na Place des Vosges i usłyszał dzwonek telefonu.

Czym prędzej zatrzasnął drzwi, wbiegł na schody i uniósł słuchawkę.

- Alex, chłopie, przeszedłeś samego siebie. - Ledford zarechotał. - Ale, prawdę mówiąc, domyślałem się, że staniesz na wysokości zadania. Rozgoryczenie i wściekłość zazwyczaj po-

pychają mężczyzn do wielkich czynów. Weźmy choćby to, jak udało ci się zdobyć Tańczącego na Wietrze, żeby zarzucić na mnie przynętę. Kawał dobrej roboty, Alex.

- Spróbuj go przechwycić, Ledford.

- Oczywiście, że spróbuję. - Zamilkł na chwilę. - Przyznaj się, że spodziewałeś się, że stanie się to dzisiaj w Wersalu. Wyobrażam sobie ciebie, jak przemierzałeś galerię, zaglądając za każdą donicę i czekając na mnie. Przyznaję, że byłem bliski postarania się, żebyś nie czuł się rozczarowany.

- Więc czemu nie przyszedłeś?

- Mój wspólnik nie chciał zakłócić przebiegu przyjęcia, a ja łaskawie przystałem na jego prośby. Widzisz, on nie jest zachwycony moimi naleganiami na przechwycenie Tańczącego na Wietrze. Musiałem ubić z nim interes, tak żebyśmy obaj byli usatysfakcjonowani.

- Kolejna kradzież?

- Nie, chodzi o inny rodzaj operacji. - W tonie jego głosu pojawiły się kpiące nuty. - Taki, który wymaga pewnego poświęcenia z mojej strony. Znasz dobrze moją słabość do antyków. Mam nadzieję, że docenisz trud, który sobie zadałem żeby ciebie zadowolić.

- Chcę się z tobą spotkać.

- Ależ spotkamy się, za jakiś czas. Jak mógłbym oprzeć się chęci zobaczenia się z tobą? - Jego głos spoważniał. - Myślę, że to wszystko z twojego powodu, a nie z powodu Tańczącego na Wietrze. Pewnie i w twoich staraniach nie tyle chodzi o zemstę, co o zbliżenie. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Nie.

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy się do tego nie przyznasz, nawet przed sobą. - Ledford zamilkł na chwilę. - Zawsze byłem trochę zazdrosny o Pavla. To dlatego pozwoliłem chłopcom trochę się z nim pobawić.

Alex poczuł, jak ogarnia go dzika furia.

- Ty skurwysynu.

- Jesteś nieuprzejmy, a ja zawsze traktuję cię z należą uprzejmością. Tak naprawdę to dzisiejszą robotę dedykuję tobie. Nie każdy potrafiłby pobudzić mnie do tak gigantycznego dzieła zniszczenia.

- Nie potrzebuję twoich gestów - odparł lodowatym tonem Alex. - Chcę twojej głowy.

- Wybacz. - Ledford zawiesił głos. - Z Place des Vosges powinieneś dobrze usłyszeć eksplozję. Tak na marginesie, to wynajmujesz piękny dom. Korciło mnie, żeby cię odwiedzić i obejrzeć te wspaniałe wnętrza. Muszę przyznać, że masz znakomity gust.

- Drzwi stoją otworem.

Ledford zachichotał.

- Postaram się to zapamiętać. - Zamilkł na chwilę. - Doszły mnie słuchy, że przez pewien czas mieszkała tam z tobą jakaś kobieta. To mi się nie podoba, Alex.

Alex poczuł ciarki na plecach. Z wysiłkiem zaczerpnął tchu.

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nic jeszcze o niej nie wiedziałem, bo od razu bym cię zganił - ciągnął jadownicę Ledford. - Powinieneś być całkowicie skupiony na mnie i na naszej rywalizacji. Widzę, że przypadek Angeli niczego cię nie nauczył.

- Angeli?

- Nic nie wiesz? Nie odwołali jej wystarczająco szybko, ale zapewniam cię, że wszystko odbyło się błyskawicznie.

- Boże!

- Miałem zamiar zostawić ją w spokoju. Poza wszystkim, nie było powodu, dla którego miałbym to zrobić. Ale kiedy cię zobaczyłem, uznałem, że nie mógłbym znieść myśli o tym, że znowu będziecie razem, i trochę sobie popofolgowałem. Było mi lżej ze świadomością, że ona nie żyje - kontynuował ożywionym tonem Ledford. - Cóż, muszę już iść. Rozmowa z tobą wpływa na mnie ogromnie inspirująco, ale mam zadanie do wykonania. Będziemy w kontakcie.

Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Alex niewidzącym wzrokiem spojrział w lustro na przeciwległej ścianie salonu. Ledford był szaleńcem. Nie, byłoby lepiej, gdyby był szaleńcem. Był całkowicie amoralny. Alex poczuł gwałtowne ściskanie w żołądku na myśl o tym, że miał nadzieję, iż Ledford uzna, że Caitiin zajmuje w jego życiu równie mało znaczące miejsce co Angela.

Caitiin!

Gwałtownie porwał słuchawkę i wybrał numer telefonu Caitiin w hotelu InterContinental. Telefon został odebrany po piątym sygnale.

- Słucham - odezwała się sennym głosem Caitiin.

Nadpłynęła fala ulgi.

- Caitlin, wszystko w porządku?
 - Było, dopóki mnie nie obudziłeś. Co się...
 - Nie wychodź z pokoju! Upewnij się, że drzwi są zamknięte! Zaraz zadzwonię do Jonathana, żeby został przy tobie, dopóki się nie zjawię. To potrwa najwyżej parę minut. Nie otwieraj drzwi nikomu poza nim.

- Alex, co... - Urwała. - Ledford?

- Nie wymienił cię z imienia. Być może nie wie, kim jesteś, ale nie mogę być tego pewny.

- Boże - wyszeptwała. - Tańczący na Wietrze...

- Nie martwię się o tę cholerną statuetkę. Nie otwieraj drzwi.

Odłożył słuchawkę i zatelefonował do Jonathana. Usłyszawszy w słuchawce głos Andreasa, rzucił krótko:

- Idź do pokoju Caitlin i zostań z nią, dopóki nie przyjdę. Zadzwon do Petera z jej pokoju i poproś, żeby sprawdził, czy Tańczący na Wietrze jest zabezpieczony.

- Co się dzieje? Karazov?

- Po prostu zrób to! - Nacisnął widełki i wykręcił numer policji. Uzyskawszy połączenie, wyrzucił z siebie szybko: - „Czarna Medyna” uderzy dzisiaj w nocy. Bomba pod zabytkiem - po czym odłożył słuchawkę.

Prawdopodobnie jego telefon na policję nie miał sensu. Miasto takie jak Paryż składało się z samych zabytków.

Poderwał się i ruszył do drzwi.

Powietrzem wstrząsnęła potworna eksplozja.

Przez ponad tysiąc lat z tego uświęconego miejsca wznoszono modlitwy do nieba. Najpierw była to starochrześcijańska bazylika, potem kościół w stylu romańskim, następnie, w piętnastym wieku, założono tu klasztor. W czasie drugiej wojny światowej stał się schronieniem uchodźców z Trzeciej Rzeszy. Był tak wspaniały, że Hitler rozważał projekt zdemontowania go i przeniesienia do Berlina, ku chwale *Vaterlandu*. Bezcenny zabytek przetrwał wojny, zarazę i upływ czasu.

Nie przetrwał Briana Ledforda.

Kościół Świętego Antoniego znajdował się jedynie o dwie przecznice od hotelu InterContinental i Alex musiał wysiąść z taksówki, gdy znalazł się w dotkniętej wybuchem dzielnicy.

Teraz, przedzierając się przez tłum, ze ściśniętym gardłem przyglądał się ogromowi zniszczenia. Słynna wieża zniknęła jak zdmuchnięta, a wewnątrz bazyliki wypełniało morze ognia. Błyszczące odłamki witraży, dzieło najznamienitszych artystów renesansu, zostały siłą wybuchu wyrzucone na ulicę. Pamiętał, z jakim zachwytem Caitlin parę tygodni temu przyglądała się tym oświetlonym słońcem witrażom.

- Proszę się odsunąć. - Młody żandarm z pobladałą twarzą i z podejrzanie błyszczącymi oczami odpychał ludzi napierających na liny otaczające płonący budynek. - Nie możecie nic zrobić. Przepuście straż pożarną.

Wśród zgłiszczy były już trzy wozy strażackie, a rozlegały się syreny zapowiadające przybycie kolejnych, pędzących mostem w stronę kościoła.

- To na nic. Już po wszystkim. - Starsza kobieta stojąca obok Alexa wpatrywała się w płonący kościół oczami wilgotnymi od łez, tak samo jak oczy młodego żandarma. - Przyjęłam tu pierwszą Komunię Świętą. Stałam dokładnie w tym miejscu w czasie mszy żałobnej za spójność duszy generała de Gaulle'a. - Zamilkła, łzy stoczyły się jej wolno po policzkach.

Pozostali ludzie w tłumie również stali w milczeniu, z napiętymi twarzami i mokrymi od łez oczami, wpatrzeni w ogień, który nieubłaganie ogarniał kościół.

Jeśli zamiarem Ledforda było wywołanie szoku i powszechnego oburzenia świata, cel wybrał idealnie. Alex nie był Francuzem, a jednak ogromnym bólem zareagował na stratę tego bastionu tradycji i chwały.

- *Canaille* - wyszeptła starsza kobieta, ocierając łzy rękawem płaszcza. - Bezbożnicy.

Alex nie odpowiedział, przepychając się przez tłum w milczeniu obserwujący trawiony przez płomień kościół Świętego Antoniego.

10

Nocne niebo paliło się krwawą łuną.

Caitlin stała przy oknie w salonie, ze zgrozą wpatrując się w upiorną iluminację i słuchając wycia syren wozów strażackich spieszących na miejsce pożaru.

- Tym razem to nie była groźba.

Caitlin machinalnie odwróciła głowę. W drzwiach stała Chelsea ubrana wciąż w tę samą białą suknię, którą miała na sobie na przyjęciu, ze zmierzwionymi włosami, bez makijażu.

Caitlin wybełkotała:

- Zaraz po wybuchu próbowałam dzwonić do recepcji, ale było zajęte. Co się stało?

- Nie wiem. Jonathan dzwoni do ambasady, próbując się dowiedzieć. Przysłał mnie, żebym ci powiedziała, że zaraz tu przyjdzie. - Chelsea popatrzyła na Caitlin z niepokojem. - Co ci jest? Złe się czujesz?

- Nie.

- To dlaczego, do cholery, Alex...

- Poczekajmy, aż przyjdzie Jonathan. - Nie mogła już dłużej ich oszukiwać, a za wszelką cenę chciała uniknąć dwukrotnego przyznawania się do współuczestnictwa w podstępie Alexa.

- Okropnie wyglądasz. Na pewno nie jest tak źle. - Chelsea przeszła przez pokój i stanęła przy oknie obok Caitlin. Przez chwilę milczała, jej twarz oświetlały czerwone refleksy ognia, gdy zapatrzyła się w ciemność. - Nie zapytałaś, co robiłam u Jonathana.

- To nie moja sprawa. Po telefonie Alexa weszłam do twojej sypialni i zobaczyłam, że łóżko jest puste - stwierdziła Caitlin, nie przenosząc wzroku na Chelsea. - Nie musisz mi wszystkiego mówić.

- Nie ma sensu dłużej ukrywać tego przed tobą. Ponieważ do czasu wprowadzenia perfum na rynek będziemy stanowić jedną dużą rodzinę, i tak wkrótce byś się zorientowała. Jonathan i ja... od roku mam z nim romans. - Zamilkła, po czym kontynuowała z wahaniem. - Byłabym wdzięczna, gdybyś nikomu o tym nie mówiła. Jonathan chce zająć wysoko w polityce, a to mogłoby zaszkodzić jego karierze.

- Mówiłam ci, że to nie moja sprawa.

- Dziękuję. - Chelsea zawiesiła głos. - On jest wspaniały, sama chyba przyznasz.

- Bardzo mi się spodobał.

- Wszyscy go lubią. Naprawdę leży mu na sercu dobro innych i ludzie to wyczuwają. Kiedy z nim jestem, czuję... - Urwała, po czym dodała cicho: - Jest jak opoka.

- To dlatego zgodziłaś się na promowanie perfum?

Chelsea powoli kiwnęła głową.

- Nie miałam żadnych wątpliwości, że się zgodzę, kiedy Alex napomknął o Jonathanie. To stworzyło nam wspaniałą szansę widywania się bez wzbudzania podejrzeń. To bardzo przemyślane ze strony Alexa.

- Więc Alex wiedział o twoim romansie z Jonathanem?

- Musiał wiedzieć. Tak dobrze rozegrał tę partię.

Cóż, umiejętnie rozegrał tę partię ze wszystkimi.

- Skąd się o tym dowiedział?

Chelsea wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Jonathan twierdzi, że on ma jakieś kontakty.

I skrzętnie korzystał z usług wszystkich agencji zajmujących się gromadzeniem informacji na określone tematy, pomyślała Caitlin.

- Zorientował się, czego sobie życzycie, i to wam dał.

- Myślę, że można by to tak ująć.

- Tak ujmuje to Alex - stwierdziła pełnym goryczy tonem Caitlin.

- Alex ma zwyczaj... - Chelsea pstryknęła palcami. - Zupełnie zapomniałam! Byłam tak przerażona, że po prostu rzuciłam... - Pospiesznie sięgnęła po pudełko stojące na stoliku przy drzwiach i podała Caitlin. - Znalazłam to na korytarzu przed drzwiami. Na bileciku jest twoje nazwisko.

Pudełko było otwarte, a bilecik wsunięty pod czerwoną wstążkę oplatającą niebieski kaszmirowy szal.

Caitlin w osłupieniu wpatrywała się w szal i po raz pierwszy zrozumiała grozę terroru. Alex mówił jej o innych szalach podzuczanych przez Ledforda, lecz ten był inny. Delikatniejszy.

Był to szal kobiety.

To kościół Świętego Antoniego - oznajmił Jonathan, wchodząc do pokoju parę minut później.

Caitlin struchlała ze zgrozy.

- Nie... - wyszeptała.

- Niestety - przytaknął z ponurym wyrazem twarzy Jonathan, zamykając drzwi. - Podłożono taką ilość materiału wybuchowego, by go całkowicie zniszczyć. Prawdopodobnie zostało tylko rumowisko. To „Czarna Medyna”. Policja otrzymała anonimowy telefon parę minut przed wybuchem.

Caitlin zacisnęła dłonie na aksamitnej kotarze.

- Mam nadzieję, że kiedy ich dopadną, zostaną wykastrowani.

Chelsea spojrzała na nią, zaskoczona.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam, żebyś mówiła o kimś z taką nienawiścią.

- To był kościół Świętego Antoniego. - Caitlin spojrzała na rozżarzone niebo. - To tak, jakby wysadzili katedrę Nôtre Dame. Wy, Amerykanie, tego nie rozumiecie. U nas w Europie przywiązuje się dużą wagę do zabytków. Żyjemy wśród nich. Są częścią naszego życia. Co byście powiedzieli, gdyby ktoś wysadził w powietrze wasze Mauzoleum Lincoln?

Chelsea delikatnie położyła dłoń na ramieniu Caitlin.

- Może w ambasadzie się pomylili.

- Byłam tam przed paroma tygodniami. Chciałam pokazać Alexowi... - Urwała, spojrzawszy na leżący na stoliku szal. - To Ledford dokonał tego dzieła zniszczenia. To szaleńcy.

Dlaczego ktoś niszczy coś tak pięknego jak kościół Świętego Antoniego? Dlaczego ktoś chce zabić kobietę, której nigdy nie widział?

- Alex bardzo niepokoił się o twoje bezpieczeństwo, Caitlin. - Jonathan wypowiedział te słowa bardzo łagodnym tonem, lecz na jego twarzy malowało się napięcie. - Czy jest może coś, o czym nie wiemy?

Piętnaście minut później Caitlin otworzyła drzwi Alexowi.

- Powiedziałam im wszystko.

Alex zeszywniał, lecz z determinacją wszedł do apartamentu.

- Dobrze, że ja nie będę już musiał tego robić. - Zaryglował drzwi, po czym odwrócił się w stronę Chelsea i Jonathana. - Sprawdziłeś już, czy Tańczący na Wietrze jest bezpieczny?

- Sprawdziłem. Przed chwilą miałem telefon od Petera. Był w skarbcu. Strażnicy powiedzieli, że system alarmowy włączył się na chwilę, kiedy budynkiem wstrząsnął wybuch, ale kiedy weszli do skarbcza, Tańczący na Wietrze był na miejscu.

Alex znieruchomiał.

- Zadzwoń natychmiast do Petera. Te systemy alarmowe nie mogły włączyć się z powodu eksplozji. Sam sprawdzałem ich działanie, kiedy dowiedziałem się, że macie zamiar umieścić statuetkę w tym sejfie.

- Peter powiedział, że widział Tańczącego na Wietrze.

- Zadzwoń do niego i poproś, żeby sprawdził jeszcze raz - ponaglił Alex.

Jonathan chwilę patrzył na niego w milczeniu, po czym podszedł do telefonu i wybrał numer.

- Peter? Bądź tak dobry i sprawdź, czy statuetka jest w sejfie. Tak, wiem, że już to zrobiłeś. Zrób to jeszcze raz i zadzwoń do mnie. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Alexa. - To strata czasu. Wygląda na to, że to nie statuetka była celem ataku. - Urwał. - ... Dzisiaj. Od jutra rana nikt już nie będzie jej zagrażał. Wysłałem Petera ze statuetką z powrotem do Ameryki.

- Wiedziałem, że tak zrobisz.

- I zadzwonię na policję, żeby poinformować ich o twoim przyjacielu Ledfordzie.

- Nie rób tego!

- To zbrodniarz - odparł Jonathan. - Nie masz prawa zatajać jego nazwiska przed policją.

- Myślisz, że go złapią, kiedy dowiedzą się, jak się nazywa? - zapytał Alex. - Próbuję go dopaść od czterech miesięcy i nie udało mi się nawet do niego zbliżyć.

- Policja dysponuje środkami, których ty nie masz.

- A ja mam do swojej dyspozycji środki, których im brakuje - odrzekł Alex. - Dopóki Ledford myśli, że cała batalia rozgrywa się tylko między nami dwoma, mam szansę go dopaść.

- A on ma szansę dopaść Caitlin - wtrąciła Chelsea. - Boże, nie widzisz, że dziewczyna jest śmiertelnie przerażona?

Nie chciał tego widzieć. Unikał spoglądania na Caitlin od chwili, kiedy znalazł się w tym pokoju.

- Powiadomienie policji na pewno go nie odstraszy. Zrozum, on był w CIA. Ma kontakty i informatorów w całej Europie. Oni i tak nie będą w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa.

- A ty będziesz w stanie? - zapytała z sarkazmem Chelsea.
- Całe piętro jest niby strzeżone, a jednak udało mu się zostać pod drzwiami ten pakuneczek.

Znieruchomiał.

- Jaki pakunek? - Jego wzrok padł na leżący na stoliku szal. - Boże...

- Na bilecie było moje nazwisko - oznajmiła Caitlin. - Wie, kim jestem.

Była przerażona i nie należało się temu dziwić. Chciał ją objąć, przytulić, pocieszyć, lecz wiedział, że nie przyjęłaby tych dowodów troski.

- Nie chciałem, żeby sprawy przybrały taki obrót, Caitlin. To nie powinno było się zdarzyć.

- Źle to sobie wykombinowałeś - stwierdziła głucho. - Szkoda, skoro zaplanowałeś wszystko tak...

Przerwało jej głośnie pukanie do drzwi.

- Jonathan! Na litość boską, otwórz!

- To Peter. - Jonathan odryglował drzwi.

Do apartamentu wszedł Peter. Jego jedwabiste włosy były zmierzwione, a twarz papierowo blada.

- Zabrali ją, Jonathanie. Mógłbym przysiąc... Boże, wybacz. Powinienem był przewidzieć... Powinienem był sam tam zostać.

- Mówisz o Tańczącym na Wietrze? - Jonathan zeszywniał, z niedowierzaniem wpatrując się w Petera. - Skradziono Tańczącego na Wietrze?

Peter zamknął drzwi.

- Przysięgam, że sam zająłem do sejfu, ale było tam ciemno, i...

- O czym ty mówisz?

- Kopia. Kiedy włączył się alarm, myśleliśmy, że stało się to z powodu wybuchu. Wszystkie alarmy w samochodach i sklepach w zasięgu paru przecznic od kościoła też się włączyły. Siła wybuchu wstrząsnęła hotelem... - Peter zaczerpnął

tchu. - Jeden strażnik pobiegł do recepcji, żeby do mnie zadzwonić i zapytać, czy mają przenieść statuetkę ze skarbcu w inne miejsce, drugi został w skarbcu. To wtedy zabrano statuetkę, a wstawiono kopię.

- A co z tym drugim strażnikiem?

- Zniknął zaraz po tym, jak pierwszy raz poszedłem sprawdzić, czy statuetka jest na miejscu. Ledford musiał jakoś go dopaść.

- O jakiej kopii ty mówisz? - zapytał z niedowierzaniem Jonathan. - Nie ma kopii tak podobnej do prawdziwego Tańczącego na Wietrze, żebyś mógł dać się zwieść.

- Owszem, jest.

Wszyscy odwrócili się w stronę Caitlin.

- Istnieje kopia łądząco podobna do oryginału, o ile statuetki nie stoją obok siebie. - Caitlin drżącą dłonią potarła wargę.

- To statuetka wykonana przez weneckiego artystę, Maria Desedera. Widziałam ją raz, kiedy pisałam swoją pracę na temat Tańczącego na Wietrze. W przyćmionym świetle bardzo niewiele osób potrafiłoby je odróżnić.

- Nic nie wiedziałam o istnieniu takiej kopii - stwierdziła Chelsea.

- Zamówił ją w osiemnastym wieku Jean Marc Andreas. Znajduje się teraz w prywatnych zbiorach Alfreda Connaughta, angielskiego przemysłowca, który mieszka w Kilane Downs w Yorkshire.

- Boże, przecież ja o tym wiedziałem... - odezwał się ponuro Peter. - Pisałaś o tym w swojej pracy, Caitlin. Czemu nie pamiętałem...

- Ale skąd ona się tutaj wzięła? - przerwała mu Chelsea.

- Dużo łatwiej było Ledfordowi ukraść kopię niż oryginał - oznajmił Alex. - Powinniśmy zainteresować się, co się dzieje z *mister* Connaughtem.

- Jezu... - wyszeptała Chelsea.

Jonathan w oszołomieniu kręcił głową.

- Zniknęła Jeszcze to do mnie nie dociera. Nie mogę w to uwierzyć. - Uniósłszy głowę, spojrzał na Alexa. - Ty draniu, ta statuetka należała do mojej rodziny od początku... Nie powinienem.. - Urwał i głęboko wciągnął powietrze, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Nie mogę uwierzyć w to, że zniknęła.

- Odzyskam ją - zapewnił Alex.

- Jak? Jak dotąd nie udało ci się nawet odnaleźć Ledforda.

- Ja ponoszę winę za to, że Tańczący na Wietrze został skradziony. Znajdę Ledforda i odzyskam statuetkę.

Caitlin podeszła do Jonathana.

- Tak mi przykro, Jonathan. - Jej oczy pełne były łez. - Nie potrafię nawet wyrazić, jak okropnie się czuję z tego powodu. Obiecuję, że odnajdziemy Tańczącego na Wietrze.

- Odnajdziemy? - Alex pokręcił głową. - Ty na pewno nie. Grozi ci niebezpieczeństwo.

- A niby gdzie mam się ukryć? - Caitlin gwałtownie odwróciła się w jego stronę; jej mokre od łez oczy zaiskrzyły się złością. - Myślisz, że mam zamiar ściągać tego potwora do Vasaro? Pozwoliłam ci to zrobić. Mogłam była powstrzymać Jonathana od przywiezienia statuetki do Paryża. Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę. - Wciągnęła powietrze. - Ale nie zrobiłam tego. Tak bardzo chciałam, żeby Tańczący na Wietrze znalazł się tutaj, że postanowiłam zaryzykować.

- Nikt cię nie obwinia, Caitlin - oznajmiła Chelsea. - Wiemy, jak bardzo chciałaś, żeby perfumy...

- W takim razie powinniście mnie zacząć obwiniać. Jestem tak samo winna jak Alex. A może i bardziej. To było... jakby miał się spełnić mój sen. Tańczący na Wietrze... Tak bardzo kocham Vasaro, że chciałam, żeby perfumy odniosły wielki sukces i nie potrafiłam się zdobyć... - Przerwała; głos jej się załamał. Przełknęła z trudem. - Powiedziałam ci, Alex, że nie pozwolę, żeby Jonathanowi stała się krzywda.

Alex zwrócił się do Jonathana.

- Wygląda na to, że jesteśmy w szachu. Ledford ma Tańczącego na Wietrze i zrobi wszystko, by go zatrzymać. To jego obsesja.

- Słuchajcie go uważnie - stwierdziła z gorzkim uśmiechem Caitlin. - Alex jest ekspertem w dziedzinie obsesji.

- Caitlin ma rację. Mam obsesję na punkcie Ledforda, ale to jest dla was korzystne. Jestem waszą jedyną szansą. Jeśli policja dowie się o Ledfordzie, stracimy jedyny punkt zaczepienia.

- Sam mi przecież powiedziałeś, że nie masz żadnych poszlak - zauważył Jonathan.

- Mam człowieka, który pracuje nad przeszłością Ledforda. Może wywęszyć coś, co da nam jakiś punkt zaczepienia. Alex zauważył, że Jonathan przygląda mu się sceptycznie; trudno było mieć doń o to pretensje. - A jeśli nie uda nam się znaleźć Ledforda, być może wpadniemy na ślad jego wspólni-

ka. Ledford powiedział mi, że nie próbował wykraść statuetki w trakcie przyjęcia, bo sprzeciwiał się temu jego współnik. Logicznie myśląc, powodem tego sprzeciwu mógł być fakt, że uczestniczył w przyjęciu.

- Chwytasz się wątlej nici.

Nie mógł zaprzeczyć.

- Od czegoś trzeba zacząć. Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny na znalezienie tropu.

Jonathan zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Dwadzieścia cztery godziny. Ani chwili więcej.

Alex zwrócił się do Caitlin.

- To ty wysyłałaś zaproszenia. Potrzebna mi będzie lista gości.

Podeszła do biurka, otworzyła środkową szufladę i wyjęła z niej plik papierów.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie teraz. - Ich spojrzenia spotkały się. - Ale będę mógł lepiej się skupić, wiedząc, że jesteś bezpieczna.

Pokręciła głową.

- Nie wrócę do Vasaro.

- Porozmawiamy o tym później. Nie jestem pewien, jakie miejsce będzie dla ciebie najbezpieczniejsze. - Odwrócił się i ruszył do drzwi. - Jonathan, proszę, zostań z nią, dopóki nie wrócę. Chcę nająć dwóch ochroniarzy, żeby pilnowali korytarza, i przenieść się do sąsiedniego apartamentu. - Obejrzał się przez ramię na Caitlin. - Na litość boską, zostań tutaj.

- Nie obawiaj się - odparła Caitlin, nie patrząc na niego. - Chcę żyć. Nie mam zamiaru dać się zabić temu maniakowi.

- Nie pozwolę, by cię tknął. - Alex zamknął za sobą drzwi i skierował się ku windom.

Było już nieco po szóstej rano i przez szyby sączyło się do salonu szare światło poranka, kiedy Alex otwierał drzwi do swojego apartamentu położonego tuż obok pokoi Caitlin.

Boże, był potwornie zmęczony.

Zgiął i rozprostował ramiona, by pozbyć się uczucia sztywności mięśni, podszedł do biurka i opadł na fotel. Nie nadszedł jeszcze czas na odpoczynek. Wyjął z kieszeni smokinga listę gości otrzymaną od Caitlin i wpatrzył się w kartkę, starając się nie poddawać senności, która zakłócała jasność myślenia.

Dwadzieścia cztery godziny.

Przebiegł wzrokiem sporządzoną przez siebie krótszą listę zaproszonych. Widniały na niej nazwiska znanych osobistości. Po godzinnym namyśle podkreślił tylko dwa: Raoula Dalprego, szefa Interpolu, i Benjaminą Cartera, angielskiego milionera i znawcy sztuki. Dalpre wykazał się zdumiewającą opieszałością w ściganiu złodziei dzieł sztuki, zaś Carter znany był jako fanatyczny kolekcjoner, utrzymujący kontakty z podziemiem przestępczym i nie mający oporów przed nabywaniem kradzionych dzieł sztuki. Alex oparł się o wezgi fotela i przetarł oczy. Jego wybór był oparty na wątplych podstawach, które mogły okazać się niewystarczające, by przekonać Andreasa. Powinien jeszcze raz wszystko przemyśleć, lecz był już na to zbyt zmęczony.

Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Simona Goldbauma w Nowym Jorku.

- Czy ty w ogóle chodzisz spać?
- Nie mam czasu. Muszę mieć coś na temat Ledforda. Cokolwiek
- Wczoraj po południu otrzymałem raport, ale nie miałem czasu mu się przyjrzeć. Zadzwoń do mnie do biura o przyzwoitej porze, tak żebym zdążył go przejrzeć.
- Zejdź do biura w tej chwili.
- Wiesz, która tutaj jest godzina?
- Idź teraz.
- To cię będzie kosztować potrójnie.
- A poza tym co nowego?
- Wszystko w porządku. - Goldbaum westchnął ciężko. - Ale to chyba nie będzie warte twoich pieniędzy.
- Jestem w InterContinental w Paryżu.
- Zadzwonię do ciebie. - Goldbaum odłożył słuchawkę.

Alex rozsiadł się wygodniej w fotelu. Miał nadzieję, że Goldbaum znajdzie coś, co pozwoli mu przestać wciąż widzieć wystraszone, pełne rezerwy spojrzenie Caitlin, kiedy patrzyła nań wcześniej tej nocy. Czemu nie dawało mu to spokoju? Przez całe życie ludzie patrzyli na niego z taką samą ostrożnością i niepewnością. Wydawali się wyczuwać jego cynizm i nieufność i odpłacali mu tym samym. Z wyjątkiem Caitlin. Z początku też wykazywała nieufność, lecz potem to zniknęło i przeszło w...

Gwałtownie odsunął fotel i wstał. Nie mógł teraz myśleć o Caitlin, bo to sprawiało, że ponownie ogarniało go poczucie winy i pustki, a musiał przecież skupić się na Ledfordzie i na-

zwiskach gości. Przeszedł do sypialni. Weźmie prysznic, zamówi kawę i postara się wymyślić nowy sposób złożenia układanki.

KRAKOW OBIECUJE ZŁAPAC TERRORYSTÓW, KTÓRZY WYSADZILI W POWIETRZE KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Alex przyglądał się nagłówkowi gazety porannej, którą kelner przyniósł mu razem z kawą. Chryste, tego jeszcze potrzebował: walczącego z wiatrakami idealisty włączającego mu w drogę.

Telefon zadzwonił, gdy kończył trzecią filiżankę kawy.

- Mówiłem ci, że nie uda ci się mnie powstrzymać - odezwał się Ledford.

Alex z całej siły zacisnął dłoń na słuchawce.

- Gdzie jesteś?

Ledford zignorował to pytanie.

- Opuściłeś dom przy Place des Vosges. Jaka szkoda. Obawiam się, że to z powodu tej kobiety.

- Ledford, trzymaj się od niej z daleka!

- Może... Szal, który jej posłałem, był tylko małym żarcikiem. Jednakże potem bardzo zdenerwowało mnie to, jak rzuciłeś się jej na pomoc. Będę musiał zastanowić się nad swoimi uczuciami w stosunku do *miss* Vasaro. Powiedz mi, czy ona...

Alex postanowił za wszelką cenę odciągnąć jego uwagę od Caitlin.

- Dlaczego Dalpre chciał zniszczyć kościół Świętego Antoniego?

- Dalpre? - Ledford zamilkł na chwilę. - To tak szybko złożyłeś już kawałki układanki? Och, Alex, kocham ten twój wspianiały umysł.

Alex doznał wstrząsu. Nie mógł uwierzyć, że trafił w sedno, strzelając na oślep.

- Dlaczego?

- Naprawdę nie chciałem tego robić, ale Dalpre nie ma szacunku dla zabytków, a ja musiałem mieć Tańczącego na Wietrze.

- Po co w takim razie kazał ci ukraść tyle cennych dzieł sztuki?

- Nie rozumiesz. On wcale nie kazał mi ich kraść. Musia-

łem go przekonać, że kradzieże powinny być istotną częścią całej operacji. - Roześmiał się. - On chce być Napoleonem, a ja poradziłem mu, żeby zadbał, by te dzieła sztuki stały się solidnym wypełnieniem skarbcza jego nowego reżimu.

- Boże, i on na to poszedł?
- Owszem, ale przypuszczam, że przyjemniaczek ma swoje własne plany dotyczące moich skarbów.
- Wygląda na to, że jesteście siebie warci.
- Z pewnością dla niego to wyróżnienie, ale ja mierzę wyżej niż Dalpre. - Urwał. - Wiedziałem, że będziesz zde gustowany moją akcją w kościele Świętego Antoniego.
- Zdegustowany? Co ty mówisz? Jesteś szaleńcem.
- Nie, jedynie lubię wszystko odpowiednio klasyfikować. - Ledford zamilkł na chwilę. - Ale w tej chwili mam problem z zaszufładkowaniem ciebie. Myślę, że to dlatego, że nigdy do końca nie analizowałem moich uczuć względem ciebie.

- Czy Dalpre ma zamiar...
- Nie chcę rozmawiać o Dalprem.
- To o czym chcesz rozmawiać?
- O niczym. - Urwał. - Chciałem cię tylko usłyszeć. - Zniżył głos do szeptu. - I powiadomić cię, że nie istnieje nic, czego nie mógłbym ci zabrać.

Odłożył słuchawkę.

Starając się opanować dziką wściekłość, Alex próbował uporządkować otrzymane przed chwilą informacje.

Nie było tego wiele. Tylko dwa fakty: że wciąż jest śledzony i że, o ile można było wierzyć Ledfordowi, Dalpre był wytrawnym spiskowcem. Nie należało przywiązywać zbyt dużej wagi do słów Ledforda, lecz to, co powiedział, wydawało się pasować... Dalpre miał zarówno odpowiednie kontakty jak i wpływy, żeby zainicjować te akcje, a jego poparcie dla idei zjednoczonej Europy dla nikogo nie stanowiło tajemnicy.

Kwadrans później telefon zadzwonił ponownie.

- Niewiele tego jest - rzekł Goldbaum, gdy tylko Alex uniósł słuchawkę. - Stambuł.

- Dalej.
- Jakies czternaście miesięcy temu Ledford wystąpił o wizę i pojechał do Turcji. Odbył tradycyjną trasę turystyczną, pokreślił się nad cieśniną Dardanele, a potem spędził dwa tygodnie w Stambule. - Zawiesił głos. - Kupił tam dom.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o tym zakupie. Moi ludzie wiele tygodni grzebali w papierach i sprawdzali fikcyjne firmy, ale w końcu ustalili, że nabywcą był Ledford.

- I wciąż jest właścicielem?

- Był jeszcze pięć dni temu.

- Daj mi adres.

- Ulica Kindżałów dwieście czternaście. Mogę teraz wrócić do domu i położyć się spać?

- Jeszcze nie. Chciałbym, żebyś zdobył jak najwięcej informacji o brytyjskim przemysłowcu Benjaminie Carterze i o Raoulu Dalprem.

- O tym Raoulu Dalprem?

- Interpol.

Goldbaum gwizdnął.

- Śliska sprawa. Słyszałem, że bywa okropnie złośliwy, a ma władzę wystarczającą, żeby zatuszować wszystkie ciemne sprawy.

- Potrzebne mi są informacje i dwudziestoczwierogodzinna obserwacja. - Usłyszawszy pomruk niezadowolenia Goldbauma, Alex uciał: - Wiem. To będzie mnie kosztować. Cena nie gra roli.

- Mamy w Brukseli Desleppesa... Może jemu to zlecę. Coś jeszcze?

Alex spojrział na nagłówek w gazecie.

- Obserwacja Larsa Krakowa. Chcę wiedzieć wszystko, co odkryje na temat terrorystów.

- Jestem zaskoczony, iż nie spodziewasz się, że ich znajdę, zanim on to zrobi - stwierdził zgrzyźliwie Goldbaum. - Nie jestem cudotwórcą.

- Szkoda. Chciałbym, żeby teraz stał się cud.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza, po czym Goldbaum rzucił szorstko:

- Idź spać. Musisz być jeszcze bardziej zmęczony niż ja, skoro chciałbyś uciec się do cudownych rozwiązań. Odwalę dla ciebie tę robotę.

Zanim Alex zdążył odpowiedzieć, jak zwykle szybko odłożył słuchawkę.

Stambuł. To wyglądało prawdopodobnie. Gdzie można było znaleźć lepsze miejsce na ukrycie bezcennych dzieł sztuki niż

w azjatyckim kraju mającym ściśle powiązania z Europą? Ledford być może jest teraz w drodze do tego domu w Stambule. Ta myśl sprawiła, że serce zaczęło żywiej bić w piersi Alexa. Może uda mu się dopaść sukinsyna.

Chwycił za słuchawkę i zatelefonował do Air France robiąc rezerwację na lot do Genewy, po czym wybrał numer apartamentu Jonathana.

Około drugiej po południu Alex był gotów do wyjazdu i udał się do apartamentu Caitlin, żeby powiedzieć jej, czego się dowiedział.

- Jadę z tobą - oznajmiła beznamiętnym tonem.

- Nie mam zamiaru się z tobą spierać - odparł Alex. - Przemysślałem całą sytuację i doszedłem do wniosku, że ze mną będziesz bezpieczniejsza.

- Zaraz się spakuję. - Caitlin odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni. - Za dwadzieścia minut będę gotowa.

- Nie spiesz się tak. Pierwsze dwa dni w Stambule chcę spędzić sam.

Zatrzymała się.

- Dlaczego?

- Muszę znaleźć dla ciebie mieszkanie. - Widząc, że przygląda mu się podejrzliwie, pokręcił głową. - Na litość boską, jestem śledzony i nie wiem, ile czasu zajmie mi pozbycie się cienia. Muszę znaleźć dla ciebie bezpieczne miejsce.

- A w Paryżu jestem bezpieczna?

- Nie, ale tutaj przynajmniej mogę przydzielić ci ochroniarzy, a Jonathan zadba, żeby nic ci się nie stało. Pojutrze załatwi bilety dla ekipy filmowej, Chelsea i dla ciebie na lot do Nicei. Ustaliłem z Goldbaumem, że kiedy przyjedziecie na lotnisko, spotkasz się w toalecie dla pań z kobietą odpowiadającą mniej więcej twojemu rysopisowi. Zamienicie ubrania i ona poleci na twój bilet do Nicei, gdzie niepostrzeżenie zniknie. Jonathan da ci bilet na samolot do Stambułu, a ja wyjadę po ciebie na lotnisko. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że nie przyleciałaś do Nicei, zdołam cię gdzieś bezpiecznie ulokować.

Caitlin nie odzywała się dobrą chwilę.

- Nie próbujesz mnie oszukać?

Żachnął się.

- Nie, to się już nie powtórzy.

- W porządku, za dwa dni.

Poczuł ogromną ulgę.

- Dzięki Bogu, zachowujesz się rozsądnie.

- Myślisz, że się nie boję? - natarła na niego. - Cały czas mam przed oczami niebieski szalik... Nie chcę umierać i nie wiem nic o tych sprawach. To nie mój świat.

- Mógłbym postarać się znaleźć dla ciebie bezpieczne miejsce gdzieś indziej.

- Nie. - Pokręciła głową. - Obiecałam Jonathanowi, że odzyskam Tańczącego na Wietrze. Zawsze dotrzymuję obietnic.

Nie mógł spodziewać się niczego innego. Caitlin zachowała niezłomne poczucie honoru w świecie, który niemal całkowicie zapomniał, co znaczy honor. Była równie silnie owładnięta poczuciem winy i chęcią dotrzymania obietnicy, jak on obsesją schwywania Ledforda. Chryste, ile zamieszania wynikło z tego powodu.

- Jonathan sprawdził, co stało się z Alfredem Connaughtem. Kilane Downs spaliło się, a on zginął w czasie pożaru. Przypuszcza się, że spłonęła również cała jego kolekcja. - Uśmiechnęła się gorzko. - Ale my wiemy lepiej, prawda?

- Niestety.

- Chelsea zgodziła się dalej reklamować perfumy. To bardzo miłe z jej strony. Nie zasłużyliśmy sobie na to.

- Zapłaciliśmy trzy miliony dolarów, żeby zapewnić sobie jej uprzejmość. - Uniósł rękę widząc, że Caitlin ma zamiar zaprotestować. - Przepraszam. To rzeczywiście miłe z jej strony. Nie musiała tego kontynuować. Skoro nie mamy już Tańczącego na Wietrze, ona, Jonathan i ekipa zdjęciowa zrezygnowali ze zdjęć w Nicei i pojedą prosto do Vasaro, żeby nakręcić pozostałe reklamówki. - Po chwili dodał: - A ja poprosiłem Jonathana, żeby Peter wcześniej pojechał do Vasaro i miał oko na wszystko, co wyda mu się nie w porządku.

- Mama... - Caitlin spojrzała Alexowi prosto w oczy. - Czy nic jej nie grozi?

- To tylko środki ostrożności - zapewnił pospiesznie. - Zadzwoń do niej i powiedz, że musisz zostać w Paryżu ze względu na interesy, a Peter przyjedzie do Vasaro, żeby zapoznać się z treścią pamiętnika Catherine. Nie ma powodu, żeby spodziewać się kłopotów w Vasaro, i nie ma sensu jej straszyć.

Caitlin odetchnęła z ulgą i skinęła głową.

- Tak też myślałam. Nie ma powodu, dla którego miałby wyrządzić krzywdę Vasaro, skoro mnie tam nie będzie.

Zgubiłem Karazova na lotnisku w Genewie - zameldował Ledfordowi Ferrazo. - Nie wiem, jak mu się to udało. W jednej chwili był, a w następnej już go nie było.

- Powiem ci, jak zdołał ci uciec - rzekł kwaśno Ledford. - Od pięciu lat śledzą go agenci KGB i CIA. To wystarczająco dużo czasu, żeby się nauczyć, jak zręcznie wymknąć się śledzącemu w razie potrzeby. Czemu, do cholery, nie byłeś uważniejszy?

- Starałem się... - Ferrazo urwał, po czym dodał: - Pojechałem do jego domu w St. Basil. Dom jest zamknięty i nie ma śladu Karazova. Czy mam dalej szukać go w Szwajcarii?

Ledford zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, Genewa służyła jedynie do odwrócenia uwagi.

- Chcesz, żebym wrócił do Paryża? On może starać się skontaktować z tą kobietą.

- Mam w Paryżu mnóstwo ludzi, którzy będą obserwować hotel, zaś Andreas zwiększył środki bezpieczeństwa, tak że trudno będzie dowiedzieć się, czy Karazov kontaktował się z nią, czy nie. Jedź do Vasaro i czekaj tam, na wypadek gdyby tam wróciła.

Ledford odłożył słuchawkę, marszcząc czoło. Nie ulegało wątpliwości, że Alex zostawił fałszywy trop, a dopiero potem udał się do miejsca przeznaczenia. Alex rzadko działał pod wpływem nagłego impulsu czy postępował nieobliczalnie; musiał dowiedzieć się czegoś, co przyspieszyło jego decyzję wyjazdu z Paryża. Ledford dokładnie odtworzył w pamięci ich rozmowy telefoniczne: nie padły w nich żadne istotne informacje, co oznaczało, że Alex musiał zdobyć je od swoich ludzi. Pozostawało już tylko pytanie, którą z nitek udało mu się odnaleźć.

Dom przy ulicy Kindżałów.

Tak, Alex musiał przerzucić górę papierzyk i dowiedzieć się o tym domu. Powinno to zaniepokoić Ledforda, lecz zamiast tego odczuł jedynie coś w rodzaju ojcowskiej dumy.

Dumy i satysfakcji. Alex najwyraźniej ponownie zajął się tym, co najważniejsze. Opuścił tę Vasaro w chwili, kiedy był możliwość ruchu w walce pomiędzy nimi dwoma.

- Mówiłem ci, że spisałbym się lepiej niż Ferrazo.

Ledford spojrział na Hansa, czując silne zniecierpliwienie.

Nie był pewien, czy to poirowanie było skutkiem znudzenia chłopcem, czy rezultatem porównań pomiędzy Hansem a Alexem, jakich ostatnio często dokonywał.

- To prawda. Ale ty zawsze myślisz, że potrafisz wykonać każde zadanie lepiej niż ktokolwiek inny.

- Pozwól mi pojechać za nim. Odnajdę go.

- Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewien, że mój przyjaciel Alex pojechał do Sztambułu. Zaraz zatelefonujemy do kogoś, żeby miał go na oku. Jesteś mi potrzebny tutaj.

Hans zawył.

- Czemu jeszcze siedzimy w Paryżu? Myślałem, że chodziło ci tylko o statuetkę.

- Musimy najpierw skończyć tę robotę.

- Przecież już ją skończyliśmy. Powiedziałeś, że dobrze się spisałem z tym kościołem.

- Bardzo dobrze, ale wysadzenie kościoła to był dopiero pierwszy krok. - Ledford uśmiechnął się. - Jest jeszcze inny aspekt operacji.

- I będę w nim uczestniczył?

- O tak, słoneczko. - Ledford obdarzył Hansa dobrotliwym uśmiechem. - Mam jak najszczerzy zamiar, żebyś w nim uczestniczył. - Sięgnął po słuchawkę. - A teraz nie przeszkadzaj, będę dzwonił do Sztambułu.

- Pewnie chcesz zlecić śledzenie Karazova Cyganowi?

- Tak.

- Dlaczego nigdy nie pozwoliłeś mi się z nim spotkać?

- Cygan jest bardzo skryty. Nie lubi być w centrum zainteresowania.

- To mi się nie podoba.

- Wcale tym nie jestem zaskoczony, ale naprawdę nie wiem, dlaczego chcesz go poznać. Nie macie ze sobą wiele wspólnego.

- Ledford zaczął wybierać numer. - Swoją drogą, ten facet jest bardzo sprawny. Tak, myślę, że Cygan to dobry wybór.

Dom przy ulicy Kindżałów trudno było określić mianem domu; to był po prostu pałac.

Drewniany budynek miał dwa piętra. Błyszczące okna ze szkła ołowiowego punktowały niższe partie fasady pałacu, zaś nieco wyżej misternie rzeźbione drewniane okiennice zasłaniały okna tej części domu, w której dawniej zapewne mieścił

się harem. Dwie złote kopuły, jasno świecące w ostrym słońcu, dominowały nad skrzydłami rozciągającymi się po obu stronach głównego budynku. Wejścia do pałacu strzegły dwie czterometrowe bramy. Niegdyś pomalowane na ciemnoszkarłatny kolor, teraz wyblakły i przybrały barwę cynamonową. Przed wejściem do pałacu mieścił się niewielki dziedziniec z wdzięczną biało-turkusową mozaikową fontanną. Niezwykle utalentowany rzemieślnik nie skąpił swego kunsztu pracując nad bogato zdobionym wysokim żelaznym ogrodzeniem budynku wraz z dziedzińcem. Wykuł w żelazie majestatycznie stąpające flamingi, pawie z rozpostartymi ogonami i wzbijające się w górę sokoły.

Alex dotarł do Stambułu poprzedniego dnia późną nocą, a rano udało mu się zdobyć informacje na temat miejsca usytuowania domu. Całą resztę przedpołudnia spędził stojąc w krętej, śmierzdzącej wąskiej uliczce przecinającej ulicę Kindżałów, spływając potem i czekając, aż ktoś przejdzie przez tę imponującą bramę.

Bezsukutecznie.

Ani śladu Ledforda czy kogokolwiek, kto mógł należeć do jego swity. Dom Ledforda najwyraźniej był zamknięty, nie dostrzegł nawet służącego na dziedzińcu. Gdyby Ledford używał tego domu jako kryjówki na zrabowane dzieła sztuki, nie pozostawiłby go bez nadzoru.

Jednakże kupno tego pałacu musiało mieć jakiś cel. Zarówno nabycie budynku, jak i to, że wciąż doń należał, oznaczało, że musiał on pełnić ważną rolę w ogólnym planie Ledforda. Lecz nie tylko logika, ale i instynkt nakazywały Alexowi pozostać w Stambule. Odkąd Goldbaum napomknął o wyjeździe Ledforda do Turcji, niepokoiło go to samo uczucie, którego doświadczał zawsze, ilekroć widział kawałek układanki gotów do włożenia w odpowiednie, nie znane jeszcze miejsce.

Coś musi się tu, do cholery, wydarzyć.

Lecz nie mógł czekać na pojawienie się Ledforda w nieskończoność. Musiał dysponować faktami czy wskazówkami, które pozwoliłyby mu przejąć inicjatywę, a chociaż w przeszłości parę razy bawił w Stambule, zdawał sobie sprawę, że sam na tym obcym terenie nie ma możliwości wywęszenia tego, czego potrzebuje. Musi znaleźć kogoś, kto dostarczy mu wszystkich potrzebnych informacji.

Wyszedł z uliczki i szybko wrócił taksówką do Hiltona. Zna-

lazłszy się w swoim pokoju, natychmiast zatelefonował do Roda McMillana do Quantico.

- Jestem w Stambule i potrzebuję pomocy.
- Ty arogancki sukinsynu. Myślisz, że ci jej udzielę?
- Potrzebuję rodowitego mieszkańca Stambułu, który zna podziemne korytarze tego miasta i wszystkie węże, które wyłażą stamtąd nocą. Daj mi jego namiary albo sam go będę szukał.
- Powodzenia.
- Łapanie węży w Stambule może być bardzo niebezpieczne. Jesteś pewien, że chcesz, żebym narażał swoje życie w tych śmierdzących zaułkach?

Po drugiej stronie słuchawki dobrą chwilę trwało milczenie.

- Któregoś dnia postaram się od ciebie uwolnić, Karazov. Bardzo gwałtownie.

Alex z ironią przedrzeźnił McMillana.

- Powodzenia.

Usłyszał, jak McMillan szepce coś do kogoś.

- Zaczekaj - odezwał się do Alexa McMillan. - Barney ci go znajdzie.

Oczami wyobraźni Alex ujrzał bursztynowe światełka na ekranie odbijające się w błyszczącej czaszce Barneya, gdy uderzał w klawisze, wdzierając się do pamięci komputera.

Kilka minut później McMillan odezwał się ponownie.

- Kemal Nemid. Pracował dla nas i dla twoich przyjaciół z KGB.

- Jak mam się z nim skontaktować?

- Nie ma telefonu. Barney zorganizuje spotkanie. Z dossier wynika, że lubi, żeby pierwsze spotkanie odbyło się w miejscu publicznym, zazwyczaj na wolnym powietrzu, w kawiarni Korfez nad Bosforem.

- Kiedy?

- Jutro.

- Dzisiaj. Wychodzę teraz z hotelu. Będę w tej kawiarni cały dzień i cały wieczór. - To powiedziawszy, Alex odłożył słuchawkę.

Alex pił kawę, wodząc wzrokiem po ocienionych parasolami stolikach ulicznej kawiarenki. Obok przelewały się strumienie pojazdów. Słońce już niemal zaszło. McMillan miał

ponad sześć godzin, żeby się skontaktować, tymczasem nie było śladu tego Kemala Nemida. To zresztą pasowało do McMillana - pozwolić Alexowi dusić się tutaj cały wieczór i dopiero na koniec zaprezentować Nemida.

Kakofonia klaksonów przerwała ciszę i Alex przeniósł wzrok na ulicę. Wąską jezdnią na chybottliwym niebieskim rowerze jechał trzynasto-, czternastoletni chłopak. Jadące za nim samochody poruszały się z konieczności w iście żółwim tempie.

Chłopak powoli obejrzał się przez ramię na ustawione za nim w kolejce samochody i uśmiechnął się przepaszająco.

- Proszę o cierpliwość. Siadło mi koło.

Odpowiedziało mu zawodzenie i przekleństwa kierowców. Uśmiech chłopca zgasł; odwróciwszy się zaczął mozolnie pedałowac. Z opony coraz szybciej uchodziło powietrze, kierowcy posyłali w stronę rowerzysty coraz bardziej soczyste wiązanki; chłopak wydawał się coraz bardziej zdeterminowany.

Alex z uśmiechem obserwował tę cudaczną kawalkadę.

Dojechawszy do kawiarni, chłopiec zeskoczył z roweru i skłonił się kierowcom z przesadną uniżonością, władcym gestem dając znak autom, że mogą jechać szybciej. Ta uprzejmość została zupełnie zignorowana; samochody przemknęły obok niego ze świstem.

Dzieciak miał butę. Alex obserwował, jak chłopiec przykleknał obok roweru, by zbadać oponę. Niewiele osób nie ustąpiłoby rym niecierpliwym kierowcom, a już rzadko kto przeciwstawiłby się im w takim stylu. Zauważył, że chłopak jest starszy niż mu się wydawało. Co prawda jego zmierzwióne kręcone włosy i bystre czarne oczy przydawały mu młodego wyglądu, a wystrzępione, spłowiałe džinsy były ulubionym mundurkiem uczniów w Stambule, lecz jego sylwetka nie miała młodzieńczego wyglądu. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt trzy - pięć wzrostu, lecz kiedy kucnął przy rowerze, pod tkaniną spodni zarysowała się potężna muskulatura jego ud, widać też było, że pod jasnoczerwonym podkoszulkiem kryją się szerokie ramiona.

Chłopak ze smutkiem potrząsnął kędzierzawą czupryną, zwracając się do Alexa:

- Myślę, że rama jest pogięta. Spieszyłem się i zjechałem nim po schodach na ulicę obok Wielkiego Bazaru.

- Szkoda.

Chłopak jęknął.

- To był świetny rower. Będzie pan musiał za niego zapłacić. Alex spojrzał na chłopca, zaskoczony.

- Czyżby?

- Oczywiście. To pan nie mógł się doczekać spotkania ze mną. Musiałem opuścić ostatnią godzinę zajęć na uniwersytecie i...

- To ty jesteś Kemal Nemid?

Chłopak kiwnął głową i wstał.

- Koniecznie musi mi pan kupić nowy rower. - Ustawił pojazd przy słupku obok wejścia do kawiarni i podszedł do stolika Alexa. - Muszę pana ostrzec. McMillan powiedział, że tym razem nie on będzie płacił, a moje usługi drogo kosztują. - Uśmiechnął się szeroko. Ale przekona się pan, że jestem wart swojej zapłaty. Jestem niezastąpiony.

Alex z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Próżność chłopca dorównywała bucie.

- Spodziewałem się kogoś starszego.

- Mam prawie dwadzieścia trzy lata. Młodość jest atutem.

- Kemal wskazał swe czarne oczy. - Młodzi więcej widzą i lepiej zapamiętują. Miał pan szczęście, że trafił na mnie. - Oparł się o krzesło naprzeciwko Alexa i kiwnięciem palca przywołał kelnera. - Proszę mi powiedzieć, co mam dla pana zrobić, *mister* Karazov?

- Jak mnie rozpoznałeś?

- Dobre oczy, bezbłędna intuicja, spryt. - W oczach Kemała zamigotały wesołe iskierki. - Poza tym Barney przefaksował mi pana zdjęcie.

- Masz fax?

- Oczywiście, jestem na bieżąco z najnowszymi zdobyczami techniki. Naciągnąłem na niego McMillana w ramach zapłaty za ostatnie zadanie, które dla niego wykonałem.

- Masz fax bez telefonu?

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Przecież musiałbym wtedy uiszczać opłaty za telefon. Poszedłem do Urzędu Telekomunikacji i zgodzili się, żebym wykorzystywał urządzenie tylko jako fax. W ten sposób klienci płacą za usługi. - Spojrzał na kelnera, który właśnie nadzszedł. - Proszę *raki* - Odwrócił się do Alexa. - Nie podoba ci się, że naciągnąłem McMillana na fax?

- Wprost przeciwnie. Popieram naciąganie McMillana.

- To dobrze. Nie lubię go. - Kemal wychylił się do przodu.
- Barney mówił, że kogoś szukasz.
 - Briana Ledforda.
- Kemal wykrzywił się.
- Nieprzyjemny typ.
- Alex zeszywniał.
- Znasz go?
- Widziałem go kilka razy. Nie ma go teraz w Stambule.
- Skąd wiesz?
- Kemal ukazał w uśmiechu niemal wszystkie nieskazitelnie białe zęby.
- Żyję z tego, że wiem takie rzeczy. To dlatego będziesz mi musiał dać mnóstwo pieniędzy. Ledford był tutaj parę tygodni temu, ale wyjechał.
 - Jak długo bawił w Stambule?
- Kemal wzruszył ramionami.
- Z przerwami - ponad rok.
- I mieszkał w tym domu przy ulicy Kindżałów?
- Kemal pokręcił głową.
- Nic mi nie wiadomo na temat domu przy ulicy Kindżałów. Z tego, co wiem, Ledford mieszkał gdzieś na starym mieście.
- Gdzie?
- Nie wiem.
- Znowu impas. Jednak skoro Stambuł był przez jakiś czas bazą Ledforda, musiał tu zorganizować jakąś siatkę.
- Kto był jego dostawcą?
- Wargi Kemala wygięły się w rozkosznym uśmiechu.
- Bardzo dobrze. Dostawca powinien wiedzieć, gdzie dostarczyć towar.
- Cieszę się, że wyraziłeś uznanie. A teraz powiedz mi, kto...
- Och, nie wiem, ale myślę, że bystre myślenie powinno spotkać się z pochwałą.
- Alex spojrział na niego chłodnym wzrokiem.
- Oczekuję informacji, nie pochwał.
- Kemal uprzejmie skinął głową.
- W porządku, więc co przypuszczalnie mu dostarczano?
- Mógł potrzebować broni, materiałów wybuchowych, fałszywych dokumentów. Kto może zajmować się tymi wszystkimi sprawami?
- Fałszywymi papierami też?

Alex przytaknął.

- O te pozostałe rzeczy jest bardzo łatwo, ale wyrobienie fałszywych dokumentów wymaga... - Urwał i zmarszczył czoło, po czym powoli powiedział: - Cygan. Tylko Cygan mógł się zajmować tym wszystkim.

- Kim, do diabła, jest ten Cygan?

- Chcesz znać jego nazwisko? - Kemal pokręcił głową. - Nie wiem. Kiedy ma się do czynienia z klientami takimi jak Ledford, nie chce się, żeby ktoś wiedział o nas więcej niż to konieczne. Słyszałem, że Cygan działa za pośrednictwem paru osób w mieście.

- Możesz go znaleźć?

- Spróbuję. Niczego nie obiecuję.

- Nawet za tę olbrzymią sumę pieniędzy, na jaką masz zamiar wycenić swoje usługi?

- Będę się bardzo starał. - Kemal uśmiechnął się przymilnie. - Prawdę mówiąc, jutro wieczorem mógłbym cię zabrać do jednego z pośredników Cygana, oczywiście o ile będziesz chciał.

- Chcę - odparł Alex. - Wolałbym nawet, żebyś zabrał mnie tam jeszcze dzisiaj.

- Zanadto się spieszysz. - Kelner postawił przed Kemalem szklaneczkę, położył serwetkę i odszedł. - Trzeba smakować życie. - Uniósł napój do warg. - Tak jak *raki* Próbowałeś?

- W czasie pierwszego pobytu w Stambule. Może rozsadzić mózg.

- Ale w jaki przyjemny sposób. - Kemal wypił kolejny łyk i westchnął z zadowoleniem. - Człowiek powinien umieć czerpać przyjemność z życia, nie sądzisz?

- Mógłbyś zorganizować to spotkanie jeszcze dzisiaj?

Kemal pokręcił głową.

- To niemożliwe. Obiecuję, że załatwię to jutro. - Wypił kolejny łyk *raki* - Ale nie będziesz się dzisiaj nudził. Mamy coś do zrobienia.

- My? Do zrobienia?

Kemal przytaknął z powagą i rozejrzawszy się po kawiarni, zniżył głos do szeptu.

- Musimy iść do sklepu obok bazaru.

- Spotkać się z innym pośrednikiem Cygana?

- Nie. - Kemal obdarzył Alexa promiennym uśmiechem. - Kupić mi nowy rower.

11

Pamiętnik Catherine jest w laboratorium, razem z książkami o perfumach. - Katrine uśmiechnęła się do Petera. - Caitlin zawsze lubiła go mieć gdzieś blisko, a spędza więcej czasu w laboratorium niż w domu. Mogę pana tam zaprowadzić, weźmie go pan do domu i przejrzy w spokoju.

- Nie chciałbym sprawiać pani kłopotu. Proszę wskazać mi drogę, a sam go znajdę. - Katrine okazała się bardzo uczynna, lecz Peter nie chciał dalszej wymiany uprzejmości i miłej pogawędki na błahe tematy w momencie, gdy w jego rękach znajdzie się pamiętnik. - Proszę... Była pani wystarczająco uprzejma przyjmując mnie pod swój dach. Nie chciałbym sprawiać kłopotu większego, niż to konieczne.

Katrine zawahała się.

- No cóż, skoro woli pan... To drugi kamienny budynek za dworem. - Jej twarz rozpromieniła się. - Marisa spaceruje gdzieś w pobliżu. Jeśli pan ją spotka, z pewnością chętnie panu pokaże, gdzie to jest.

- Dziękuję. Drugi kamienny budynek. Jest zamknięty?

Katherine pokręciła głową.

- Nie. W Vasaro nic nie zginie.

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Chyba mi się spodoba w tym raj. Kto to jest Marisa?

- Marisa Benedict, córka Chelsea Benedict. Będzie u nas mieszkać jeszcze parę tygodni. Myślałam, że pan wie.

Peter pokręcił głową.

- Nikt mi o niej nie mówił. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia. Nie chciałbym jej niepokoić. Postaram się sam trafić do laboratorium. - Ruszył do drzwi. - Skoro w tej chwili

nikt nie korzysta z laboratorium, czy pozwoliłaby mi pani tam przeglądać pamiętnik i przepisywać notatki, które obiecałem wysłać Caitlin?

- Oczywiście. - Katrine uśmiechnęła się wyrozumiale. - Ale nie jest tam tak wygodnie jak w domu. Proszę zbytnio się nie ekscytować i nie zapominać o posiłkach tak jak Caitlin. Kolację jadamy wcześniej, około siódmej.

- Na pewno wrócę na czas. - Peter otworzył drzwi. - Jeszcze jedno... mam bzika na punkcie fotografii. Najczęściej sam wywołuję swoje zdjęcia, ale ponieważ nie mam tu odpowiedniego sprzętu, chciałbym oddać film do wywołania. Czy gdzieś w pobliżu jest punkt fotograficzny?

- W aptecce w wiosce.

- Świetnie. Jeszcze raz dziękuję, *madame* Vasaro.

- Katrine. W Vasaro jesteśmy bardzo bezpośredni.

- Katrine. - Peter uśmiechnął się. - Teraz już jestem pewien, że mi się tu spodoba. - Zamknął za sobą drzwi.

Przystanąwszy na najwyższym stopniu schodów, głęboko wciągnął w nozdrza balsamiczne powietrze. Boże, Vasaro było takie piękne. Słońce jasno świeciło na błękitnym niebie, a bujna roślinność budziła zachwyt świeżością zieleni i feerią barw kwitnących kwiatów. Nigdy nie czuł się bardziej pełen werwy i radości życia niż w tej chwili. Niemal czuł, jak krew śpiewa mu w żyłach.

Uśmiechnął się. Krew nie śpiewa i nie powinien być taki szczęśliwy. Tuż przed przybyciem do Vasaro czuł ciężar winy z powodu kradzieży Tańczącego na Wietrze. Błagał, żeby Jonathan pozwolił mu zostać w Paryżu i podjąć się nudnego obowiązku rozmów z policją i urzędnikami z instytucji ubezpieczeniowych, lecz zamiast ponieść karę, został wysłany do Vasaro.

Ale jak mógł obiektywnie to wszystko rozważyć? Teraz, w tym rajskim ogrodzie? Wszystko wydawało mu się doskonałe. Pozostawało mu tylko spacerować, rozmawiać z ludźmi, robić zdjęcia i...

Zdjęcia. Boże, to miejsce było rajem dla fotografa. Nie mógł się już doczekać, kiedy wyjmie z bagażu swojego Nikona i przejdzie się z nim po okolicy. Z zaskoczeniem stwierdził, że pamiętnik Catherine jakby stracił na ważności. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczył to miejsce, ogarnęło go dziwne przecucie, że w Vasaro czeka nań coś, czego od dawna szuka.

Nonsens. Czekwała na niego praca przy przepisywaniu tłumaczenia, by wysłać je Caitlin, i przyjemność zapoznania się z jeszcze jedną gałęzią rodu Andreasów poprzez pamiętnik Catherine Vasaro.

Szybko obszedł dwór i zawahał się. Katrine powiedziała, że laboratorium mieści się w drugim kamiennym budynku, tymczasem stał naprzeciwko budowli wzniesionej na pół z kamienia, na pół z drewna. Z pewnością ongiś była tu stajnia. Czy miał uznać to za jeden z budynków?

- Halo, czy mogę panu w czymś pomóc?

Odwróciwszy się, Peter ujrzał przed sobą wysoką, smukłą dziewczynę ubraną w luźną żółtą bluzkę i spłowiełe dzinsy. Przyglądała mu się z powagą, a kiedy spojrział na jej twarz, lekki wietrzyk uniósł pasmo jej długich, prostych brązowych włosów i zwiął na jej wargi. Odgarnęła je niespiesznym gestem.

- Jestem Peter Maskovel. Szukam laboratorium.

- Marisa Benedict - Uśmiechnęła się pogodnie. - To niedaleko. Zaprowadzę pana.

Patrzył na nią rozszerzonymi oczami. Czuł się tak jak wtedy, gdy przed dwudziestoma laty po raz pierwszy ujrzał Tańczącego na Wietrze... był skonsternowany, podniecony, olśniony.

Nie opuszczało go też dziwne wrażenie, że odnalazł to, co czekało na niego w Vasaro.

Nazywa się Adnan Irmak. - Kemal otworzył drzwi z kutego żelaza i pierwszy wszedł do westybulu *yali* Irmaka nad Bosforem. - Muszę cię uprzedzić, że nie będzie chętny do współpracy.

- Pod niewielkim naciskiem większość ludzi okazuje się skłonna do współpracy. Proszę, powiedz mi coś o nim.

Kemal wzruszył ramionami, idąc przez westybul ku długiemu, błyszczącemu korytarzowi.

- Trochę bawi się narkotykami. Czasami daje się namówić na paserstwo. Ale główne zyski czerpie z haremu.

- Jest właścicielem haremu?

- Słyszałeś o tym?

- Jak mógłbym nie słyszeć? - Domy publiczne działały w Stambule legalnie, lecz to, co działo się w haremie Irmaka mocno wykraczało poza prawo. Jego zła sława sięgała daleko poza granice Turcji. - Odwiedziłem raz Kafas, ale postanowiłem nie chodzić do haremu.

- Ja tam byłem. - Kemal spuścił oczy. - To nie jest miejsce godne polecenia.

Takie słuchy dotarły również do Alexa. Za odpowiednio wysoką cenę harem zapewniał wszystkie rodzaje rozpusty i wyuzdania od sadomasochizmu po pedofilię. Jego wzrok padł na wspaniały perski dywan rozesłany na pokrytej kafelkami podłodze, a potem na wspaniałą wazę z epoki Ming zajmującą honorowe miejsce na postumencie obok drzwi, do których zmierzali.

- Widzę, że świetnie sobie radzi.

- Och, Adnan jest bardzo bogaty. Mógłby już przestać zarabiać. - Kemal uśmiechnął się z przekąsem. - Ale nie przestaje. Dlaczego miałby się wycofać? Jest bardzo zachłanny i lubi to, co robi.

- Irmak wydaje się doskonałym kandydatem do drużyny Ledforda.

Kemal przytaknął.

- Adnan ma różne kontakty. Przez jakiś czas zastanawiałem się, czy on sam nie jest Cyganem. - Zapukał do drzwi. - Adnan, to ja, Kemal.

- Wejdz, Kemal - zahuczał niski głos. - Wiesz, że drzwi mojego domu zawsze stoją przed tobą otworem.

Alex wszedł za Kemalem do biura.

Adnan Irmak siedział przy biurku, paląc zdobioną kamieniami szlachetnymi fajkę wodną. Rubinowe szkło naczynia z wodą stojącego na niskim stoliku obok biurka błyszczało w późnym popołudniowym słońcu, a długi szkarłatny sznur przytroczony do fajki był upstrzony wstawkami ze złota. Irmak był pierwszym Turkiem odzianym w tradycyjną szatę, którego Alex zobaczył od przyjazdu do Stambułu. Lecz być może luźny brązowo-biały strój miał przede wszystkim ukryć ogromne zwały tłuszczu na niskim ciele. Adnan Irmak musiał ważyć około stu osiemdziesięciu kilogramów.

- Wchodźcie, wchodźcie - Irmak tłustą ręką wskazał dwa fotele naprzeciwko biurka. - Siadajcie. Dawno u mnie nie byłeś, Kemal. Ale wybaczam ci to, ponieważ przyprowadziłeś mi klienta. - Przyglądał się Kemalowi szacującym wzrokiem. W jego tłustych policzkach pojawiły się dołki, gdy promiennie uśmiechnął się do chłopaka. - Jesteś przystojniejszy niż zwykle, ty diable wcielony. - Przeniósł wzrok na Alexa. -

A tobie czym mogę służyć? Kemal powiedział mi, że masz specjalne żądania i środki wystarczające na to, by zostały spełnione.

- Chcę znaleźć pewną osobę.

- To nie problem. - Irmak zachichotał i posłał Kemalowi rozbawione spojrzenie. - Potrafię zaspokoić każde żądanie, prawda, Kemal?

Kemal przytaknął.

Irmak zaciągnął się fajką.

- Zawsze wierzyłem w to, że Allah umieścił człowieka na ziemi, by mógł mieć, co chce, a ja zbiłem fortunę na zaspokajaniu pragnień. Można by powiedzieć, że jestem jak stręczyciel niewolnic do dawnych sułtańskich serajów. - Westchnął.

- Jak ja zazdroszczę tym ludziom. Jakaż ogromną mieli władzę. Człowiek mógł folgować sobie bez ograniczeń, nie musząc obawiać się prawa. Oni stanowili prawo.

- Nie szukam nałożnicy.

- Chodzi mu o Cygana - wyjaśnił Kemal.

Irmak zmarszczył czoło i ściągawszy usta, głęboko zaciągnął się fajką.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Zapewniam, że stać mnie na sumę, która może odświeżyć twoją pamięć.

- Powiedziałem, że go nie znam - odparł Irmak opryskliwym tonem. - Nie jestem z ciebie zadowolony, Kemal. Powiedziałeś mi, że to klient.

Kemal wzruszył ramionami.

- Przecież proponuje ci pieniądze.

- Nie musisz prowadzić mnie do Cygana - oznajmił Alex. - Chciałbym tylko wiedzieć, jak się z nim skontaktować.

- Idź sobie. - Irmak niecierpliwie machnął ręką. - Nic nie wiem.

- Kemal twierdził, że wiesz. Podaj cenę.

- Nie ma ce... - Irmak urwał, a wyraz jego twarzy zdradzał, że się nad czymś zastanawia. - Bardzo łatwo oferujesz pieniądze. Kemal mówił, że masz ich dużo. - Niespodziewanie uśmiechnął się przymilnie. - Nie pomogę ci znaleźć Cygana, ale możemy ubić interes. Jesteś gościem w naszym mieście, a goście zawsze czują się samotni. - Pochylił się do przodu. - Byłeś kiedyś w moim przybytku?

- Nigdy nie spotkał mnie ten zaszczyt - odparł ironicznie Alex.

- To przekracza wszelkie wyobrażenia. Jest jak haremy z przeszłości. Piękny wystrój wnętrza, woń kadzideł, jedwabne poduszki. - Czarne oczy Adnana świeciły jak dwie błyszczące rodzyunki niemal zagubione w otyłej, nalanej twarzy. - No i dysponuję najnowszymi środkami, które wzbudzają pożądanie do tego stopnia, że moje ślicznotki aż szaleją, by zadowolić swoich panów.

Alex czuł głębokie obrzydzenie patrząc na tego człowieka. Kemal miał rację; stręczyciel wprost uwielbiał swój fach.

- Nie interesuje mnie...

- Proszę nie podejmować pochopnych decyzji. Mam dla ciebie coś niezwykłego. - Adnan cmoknął z lubością. - Wspaniała dziewczynka z długimi złotymi włosami i aksamitną skórą. Melis ma małe piersi i pierwszy kobiecy puszek. - Irmak zamilkł na chwilę, po czym obwieścił triumfalnie: - Jedenaście lat i prawie dziewica. Gdzie można...

- Dość już tego! - Alex miał go powyżej uszu. Gwałtownie zerwał się i stanął obok Irmaka. - Nie chcę pieprzyć żadnej z twoich ofiar, skurwysynu. - Odwrócił fotel, wyrwał nargile z dłoni Adnana i wyszarpnął przewód z rubinowej wazy. - Ale chcę wiedzieć, gdzie mogę znaleźć Cygana. - Z całej siły ucisnął kolanem genitalia Irmaka. Ignorując krzyk bólu, okręcił sznur fajki wokół szyi grubasa, zrobił pętlę i zacisnął. Z gardła Irmaka dobył się bulgocący charkot, kluskowate palce na próżno manipulowały przy przewodzie. - Ogromnie mi na tym zależy. - Otoczył szyję Irmaka kolejny raz, aż sznur wbił się głębiej w fałdy tłuszczu. Irmak otworzył usta i wybałuszył oczy. - Powiedz mi - słodkim tonem zażądał Alex.

- Nie... nie mogę... Ja... - Sznur zacisnął się mocniej, przerywając bezładną jakaninę Irmaka.

- Jesteś naprawdę dobry, Karazov. - Kemal z chłodnym obiektywizmem patrzył na przewód zaciśnięty wokół szyi Irmaka. Odchylił się do tyłu i przewiesił nogę przez poręcz fotela. - Ale czy mogę zwrócić ci uwagę, że on nie może mówić z tą garotą na szyi?

- Może kiwać głową. - Alex uśmiechnął się dziko w zsiniałą twarz Irmaka. - To co? Porozmawiamy?

Irmak gwałtownie skinał głową.

- I powiesz mi, gdzie mogę znaleźć Cygana?
Ponowne kiwnięcie głową.
- Kemal leniwie kołysał stopą, uśmiechając się z uznaniem do Alexa.
- Wspaniale. Naprawdę wspaniale.
Alex rozluźnił pętlę.
- Irmak gwałtownie zaczerpnął tchu, kurczowo zaciskając dłonie na poręczach fotela.
- Jesteś szalony - pisnął. - Omal mnie nie zabiłeś.
- Cygan.
- Nie wiem... - Z jego gardła dobyły się chrapliwe dźwięki, gdy sznur ponownie zaczął się zaciskać. - Na Allacha, nie wiem, gdzie można go znaleźć. Ale znam wiele osób. Może uda mi się dowiedzieć.
- Kiedy?
- Wkrótce. Jutro. - Spojrzał na przewód zwisający mu z szyi. - Tak, jutro.
- Alex badawczym wzrokiem przyglądał się jego twarzy. Irmak był za bardzo przerażony, żeby kłamać. Naprawdę nie wiedział, gdzie można znaleźć Cygana. Alex odwinął sznur i odrzucił go, po czym uniósł kolano.
- Jestem w Hiltonie. Zadzwoń.
- Irmak przytaknął, z nienawistnym wyrazem twarzy masując jedną ręką szyję, a drugą genitalia.
- Zadałeś mi ból.
- O to mi chodziło - odparł Alex. - I spodobało mi się. Kiedy coś się komuś spodoba, chętnie to powtarza. Postaraj się to zapamiętać. - Ruszył do drzwi. - Chodź, Kemal.
- Kemal powoli wstał i udał się za Alexem.
- Nie zrobiłbym tego lepiej - wyszeptał. - Zaczynam myśleć, że jesteśmy bratnimi duszami, Karazov.
- Nie wybaczę ci tego, Kemal. - Irmak patrzył na niego spoде łba, nie przestając rozmasowywać szyi.
- Mówisz o wybaczeniu? - Kemal odwrócił się przez ramię.
- Czy kiedykolwiek między nami była mowa o przebaczeniu, Adnan? - Wyszedł za Alexem z biura, zamykając za sobą drzwi.
- Chyba popsulem twoje interesy z Irmakiem - stwierdził Alex, gdy szli korytarzem. - Postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

- Liczę na to. - Kemal uśmiechnął się łagodnie. - Jeśli chcesz wiedzieć, to właśnie obliczałem, ile cię to będzie kosztować. Poza tym Adnan i ja mamy porachunki z przeszłości.

- Od jak dawna?

- Miałem osiem lat, kiedy Adnan przygarnął mnie do łona - odparł Kemal. - Uciekłem z domu, a Irmak doskonale rozumiał, czego potrzebuje dziecko. Zapewnił mi jedzenie, kąpiele i inny, nawet bardziej luksusowy dom - w haremie.

Alex aż przystanął, porażony tym, co usłyszał.

- Tak, byłem najstodszą śliweczką w koszyku z dziecięcymi prostytutkami. Byłem w tym tak dobry, jak jestem we wszystkim innym. - Kemal wzruszył ramionami. - Jednakże czułem, że nie jestem stworzony do tego zawodu, więc kiedy miałem czternaście lat, uciekłem i znalazłem sobie inne zajęcie, które pozwala mi nie obawiać się Adnana i daje poczucie niezależności. Niezależność jest bardzo istotna.

- Tak, bardzo istotna.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. A pieniądze dają całkowitą niezależność. - Kemal otworzył drzwi z kutego żelaza i wyszli na ulicę. - Pewnego dnia będę miał ogromny dom, wielki jak pałac, i będę żył jak kalif. Postanowiłem, że zostanę najbardziej niezależnym człowiekiem na tej półkuli.

- Dziwię się, że nie powiedziałaś: na świecie - zauważył kaśliwie Alex.

- Jestem realistą - odparł Kemal. - A realisci wyznaczają sobie w danym momencie tylko jeden cel. Dzisiaj półkula, jutro cały świat.

- Myślisz, że Irmak kłamał mówiąc, że może dowiedzieć się, gdzie jest Cygan?

- To możliwe, ale przeraziłeś go nie na żarty. On nie jest odważny. - Kemal zaszepił się. - Chyba że w stosunku do bezbronnych kobiet i dzieci. Wtedy ryczy jak lew. - Wzruszył ramionami. - Ale Adnan może nam się przydać. Tak czy owak będę pilnie szukał innego kontaktu. Nie martw się, razem będziemy walczyć, dopóki nie osiągniemy tego, o co ci chodzi.

Alex wierzył mu. Zdażył się już przekonać, że pod beztroską młodzieńczą twarzą Kemala kryje się niezłomność i niezwykła inteligencja. Zaczynał lubić tego łobuziaka.

- Jutro przyjeżdża tutaj moja przyjaciółka. Potrzebuję domu. Bardzo bezpiecznego domu. Mógłbyś mi pomóc?

- Oczywiście. Czyż nie oddałem ci się do dyspozycji? Masz jakieś wymagania co do lokalizacji?

- Niezbyt eksponowane miejsce i takie, żeby nie można się zbliżyć nie zauważonym.

- Znam parę takich miejsc.

- Na to liczyłem.

- Coś jeszcze?

- Ponieważ muszę czekać na jutrzejszy telefon od Adnana, mam resztę wieczoru do swojej dyspozycji. Może pokazałbyś mi w Stambule coś poza tym cholernym sklepem z rowerami?

- To był świetny sklep - zaprotestował Kemal.

- Ale bardzo drogi.

Kemal w zamyśleniu zmarszczył brwi.

- Jest pewien klub, gdzie grają wspaniałego amerykańskiego rocka. Uwielbiam tę muzykę. Cały czas słucham Bruce'a Springsteena na swoim walkmanie. Boss jest świetnym muzykiem. Ja też jestem świetnym muzykiem, więc to wiem.

- Rock. Akurat tego muszę słuchać w egzotycznym Stambule.

- Spodoba ci się. Uwierz mi. - Kemal przymknął powieki, długie ciemne rzęsy nakryły oczy. - Ale mój czas jest bardzo cenny. W tym tygodniu mam egzaminy, a czas na naukę poświęcam tobie. Będziesz musiał za to zapłacić.

Alex mógł się tego spodziewać. Miał szanse wkrótce uczynić Kemala najbogatszym człowiekiem na tej półkuli. Westchnął z rezygnacją.

- Wiem.

Chelsea i Caitlin weszły do windy; drzwi bezszelestnie zamknęły się za nimi.

- Wiesz, co robić? - zapytała Chelsea. - Po tym, jak ta tajemnicza pinda i ja wyjdziemy z kibelka, odczekasz pięć minut i pójdziesz do swojego stanowiska odprawy. Jonathan będzie tam na ciebie czekał z dokumentami i bagażem podręcznym.

- Wiem. Mówiłaś mi o tym wystarczająco wiele razy.

- Przepraszam. Zdaje się, że zaczynam być trochę nadopiekuńcza.

Gdyby Caitlin nie była tak zdenerwowana, uśmiechnęłaby się słysząc ten eufemizm.

- Jonathan czeka na nas w foyer. Zdecydował, że bezpieczniej będzie wynająć jedną ogromną limuzynę dla całej ekipy,

żebyś mogła zgubić się w tłumie. - Drzwi otworzyły się i Chelsea wyszła z windy. - A teraz pamiętaj, żeby poruszać się wolno i swobodnie: język ciała znaczy bardzo wiele, kiedy...

- Chwileczkę, *mademoiselle* Vasaro. Chciałbym zamienić z panią dwa słowa. Jestem Raoul Dalpre.

Caitlin gwałtownie przystanęła, przenosząc wzrok na współnika Ledforda. Kiedy stał obok Krakowa, wydawał się niczym nie wyróżniać, lecz obecnie występował w majestacie władzy. Jego szary jedwabny krawat błyszczał lodowato na tle nienagannie skrojonego granatowego garnituru. *Lodowato*. To słowo pasuje do niego, pomyślała Caitlin. Błada twarz, zimne szare oczy, starannie wypielegnowane dłonie...

Jak spod ziemi wyrósł obok nich Jonathan.

- Mówiłem *monsieur* Dalpre, że musimy już jechać na lotnisko, ale nalegał, że chce z tobą porozmawiać, Caitlin.

- To potrwa chwilkę - zapewnił Dalpre.

- Nie mamy nawet chwili - wtrąciła się Chelsea i ująwszy ramię Caitlin, ruszyła przez *foyer*. - Wybrał pan nieodpowiedni moment. Chodź, Caitlin.

- Możemy rozmawiać po drodze do samochodu. - Dalpre zrównał krok z Caitlin. - Słyszałem, że to z pani inicjatywy przywieziono Tańczącego na Wietrze do Francji, *mademoiselle*.

- Wyjaśniłem już, dlaczego... - próbował wtrącić Jonathan.

- I że pani towarzyszy, *monsieur* Karazov, wyjechał z Paryża tuż po kradzieży. Dokąd się udał?

Caitlin wzruszyła ramionami.

- Nie raczył mnie poinformować. Pewnie z powrotem do Szwajcarii. Ma tam dom.

- Nie zapytała go pani? To dziwne. A co by pani zrobiła, gdyby musiała się z nim skontaktować? - Dalpre zamilkł na chwilę, po czym dodał łagodnie: - Nie ma go w St. Basil. Sprawdziłem to.

- Nie ma go? Tak czy owak jestem pewna, że się z nami skontaktuje. - Caitlin przyspieszyła kroku, byli już prawie przy szklanych drzwiach wiodących na ulicę. - Trudno przewidzieć postępowanie Alexa.

- *Monsieur* Andreas powiedział mi, że wraca pani do Vasaro.

- To prawda - odparła Caitlin. - Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Nie, o ile nie zdecyduje się pani zniknąć jak *monsieur*

Karazov. - Dalpre uśmiechnął się chłodno. - Przyznaję, że to by mi się bardzo nie spodobało. Nie...

- O, spójrz, ładują bagaż do limuzyny - Chelsea pociągnęła Caitlin na ulicę. - Musimy sprawdzić, czy są wszystkie bagaże.

Dalpre podszedł za nimi do limuzyny.

- Jestem tu samochodem. Czy mógłbym zaproponować pani odwiezienie na lotnisko, *mademoiselle* Vasaro?

- To by nam zakłóciło wyjazd. Poprosiłem, żeby na lotnisku spotkał nas personel obsługujący VIP-ów - oznajmił Jonathan. - Do widzenia, Dalpre.

- Widzę, że za wszelką cenę chce się pan mnie pozbyć. - Dalpre uśmiechnął się kwaśno. - Przypominam też sobie, że nie był pan zbyt chętny do współpracy, kiedy starałem się zapewnić bezpieczeństwo pana własności. Być może powinien był pan słuchać moich rad.

- Być może - odparł Jonathan tonem pełnym rezerwy. - Czy nie ma pan nic innego do roboty poza przesłuchiowaniem mojej kuzynki? Wydaje mi się, że oprócz Tańczącego na Wietrze istnieje jeszcze sporo innych dzieł sztuki, których nie udało się panu odnaleźć.

Dalpre zeszywniał.

- To nie moja wina. Mam związane ręce z powodu braku bliższej współpracy między rządami. - Zwrócił się do Caitlin. - Odlatuje pani o drugiej do Nicei?

- Tak.

- W takim razie życzę dobrej podróży. Jestem pewien, że wkrótce się spotkamy. Miłego dnia, *mademoiselle*.

Odwrócił się i odszedł rue de Castiglione.

Chelsea odetchnęła z ulgą.

- Myślałam, że nigdy się nie odczepi.

- Może on podejrzewa, że nie jadę do Nicei? - zapytała Caitlin.

- To możliwe. - Jonathan wzruszył ramionami. - Ale nie może być tego pewien.

- Zasłoń twarz kapturem peleryny. - Chelsea cofnęła się, żeby krytycznie przyjrzeć się Caitlin, po czym skinęła głową. - W porządku. Ta różowo-kremowa kratka to był dobry wybór.

- Niezupełnie stapiam się z tłem.

- Wcale nie chcemy, żebyś rozplynęła się w powietrzu. Chcemy, żeby wszyscy cię zapamiętali. - Poprawiła różowe

frędzle na ramionach Caitlin. - A przynajmniej twoją pelerynę. Masz w bagażu granatowy żakiet?

Caitlin skinęła głową.

Chelsea machnięciem ręki wskazała limuzynę.

- W takim razie chodźmy. Nadszedł czas pokazu.

Alex czekał na Caitlin na lotnisku w Stambule, skąd zawiózł ją do wynajętego domu nad Bosforem.

- Jesteśmy w domu - obwieścił, otwarty drzwi. - Anglik i jego żona pojechali do Londynu i Kemalowi udało się wynająć dla mnie ten domek. Te drzwi prowadzą do małego ogródka. Brama jest zaopatrzona w niezawodny system alarmowy. Są tu dwie sypialnie, salonik i jadalnia, gabinet i łazienka. Jest w niej tylko wanna, bez prysznic. Nie ma więc luksusu, ale chyba wystarczy na nasze potrzeby.

Caitlin nie zastanawiała się wcześniej, co ją tu czeka, ale z pewnością nie przypuszczała, że znajdzie się w przytulnym angielskim mieszkaniu. Po egzotycznej wspaniałości minaretów i kopulastych meczetów oglądanych po drodze z lotniska zachodni wystrój wnętrza wydał jej się kojący. Delikatny fiolet dominował w kolorystyce obciągniętych perkalem poduszek na sofie i stojącego obok fotela. Długi barek z ustawionymi obok stołkami z poduchami o tym samym fioletowym odcieniu oddzielał niewielką jadalnię od małej kuchni. Dwoje płowowłosych dzieci uśmiechało się z oprawionej w ramki fotografii stojącej w rogu barku.

- Bardzo tu miło. Ten Kemal, o którym mi opowiadałeś, jest cudotwórcą.

- Jest naprawdę niesamowity. - Alex postawił na podłodze jej dwie walizki. - Powiedział, że tak głęboko zakopał w papierach dowód najmu, że tylko trzęsienie ziemi mogłoby wydobyć go na powierzchnię, a telefon wciąż jest zarejestrowany na nazwisko właściciela. Załatwiłem w recepcji w Hiltonie, że będą odkładać wiadomości dla mnie, a ja będę odbierał je co dzień rano. Korespondencja do nas będzie przychodziła na adres biura American Express na nazwisko Kemala, on będzie ją odbierał i przynosił tutaj. - Alex podszedł do okna. - Stąd jest ładny widok na Bosfor. - Otworzył okna i do pokoju wdarło się świeże powietrze. - I pięć razy dziennie słyhać, jak muezzin wzywa wiernych na modlitwę z tego minaretu w oddali.

- Mówisz jak pośrednik handlu nieruchomościami. - Popatrzyła na niego badawczo. - Bardzo długo tu jechaliśmy. Byliśmy śledzeni?

- Chyba nie, ale wolałem się upewnić. Twoja sypialnia jest po lewej stronie.

- Bałeś się, że śledzi nas Ledford?

- Raczej któryś z jego ludzi.

- Ten, który śledził nas w Paryżu? Ten w czerwonej koszuli?

- Na litość boską, nie - ostro zaprzeczył, najwyraźniej dotknięty. - Myślisz, że pozwoliłbym ci tu przyjechać, gdybym sądził, że grozi ci takie niebezpieczeństwo?

- Nie wiem. A nie pozwoliłbyś? - zapytała chłodno, przechodząc do wskazanej przez niego sypialni. - Kto śledził nas w Paryżu?

- CIA. Nie stanowili dla ciebie zagrożenia.

- Ale zrobiłeś wszystko, żebym niczego nie podejrzewała.

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie chciałem siać paniki. Wszystko układało się pomyślnie i nie chciałem, żeby coś cię zaniepokoiło i skłoniło do wycofania się z umowy.

- Wątpię, czy wycofałabym się na tym etapie. - Caitlin uśmiechnęła się z goryczą. - Przez cały ten czas w Paryżu dbałeś o to, żebym pozostawała ślepa i głucha.

- Sam byłem nieźle oszołomiony.

- Ale nie ślepy. Dokładnie wiedziałeś, co robisz, czyż nie tak, Alex?

Zacisnął wargi, lecz po chwili odpowiedział ledwie dosłyszalnie:

- Tak, dokładnie tak.

- Powiesz mi, dlaczego CIA cię śledziło?

- A to takie dla ciebie ważne?

- Nie, po prostu jestem ciekawa. Powinieneś chyba to zrozumieć. Sam jesteś zawsze wszystkiego ciekaw.

- Tak, rzeczywiście potrafię zrozumieć ludzką ciekawość. - Uniósł walizki i przeniósł je do sypialni. - Rozpakuj się, a ja zrobię kawę.

- Nie masz zamiaru zdradzić mi swoich sekretów?

- Szkoda na to czasu. To już nie ma żadnego znaczenia.

- Dla mnie ma.

W jego spojrzeniu pojawiła się czujność.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę cię poznać.

- Przecież mnie znasz.

Potrząsnęła głową.

- Tak mi się zdawało, ale tak nie jest. Za to ty mnie dobrze poznałeś, prawda? Stałam się wobec ciebie tak bezbronna, jak nigdy nie byłam wobec nikogo, ponieważ dobrze wiedziałeś, na jakiej strunie zagrać. To dlatego mogłeś mną manipulować, Alex. - Zadrżała. - Ty znasz reguły rządzące tym światem, a ja nie. Muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Muszę poznać twój sposób myślenia.

- Jeśli chodzi o myślenie, to miewałem lepsze okresy. - Ze znużeniem wzruszył ramionami. - Do diabła, może i masz rację. Zawołam cię, jak kawa będzie gotowa, a wtedy możesz wypytywać mnie do woli.

Alex rozsiadł się wygodnie na sofie i uśmiechnął sardonicznie.

- No więc?

Caitlin uporczywie wpatrywała się w filiżankę z kawą.

- Czemu CIA cię śledzi?

- Żeby mnie chronić.

Spojrzała na niego z powątpieniem.

Wzruszył ramionami.

- Z pewnością nie robią tego dlatego, że mnie tak kochają. Serdecznie mnie tam nienawidzą.

- Dlaczego?

- Bo jestem jak odbezpieczona broń skierowana w głowę McMillana.

- Kto to jest McMillan?

- Rod McMillan zajmuje bardzo wysokie stanowisko w CIA. Między innymi nadzorował komórkę, która organizowała mój wyjazd ze Związku Radzieckiego. - Alex wypił łyk kawy. - W CIA pracuje bardzo wielu uczciwych, patriotycznie nastawionych ludzi. Ale McMillan do nich nie należy.

- Jest oszustem?

- Jest zepsuty do szpiku kości. - Alex wzruszył ramionami. - Może kiedyś był uczciwy, ale kiedy go poznałem, nadużywał

już stanowiska i wykorzystywał informacje, żeby zgarnąć jak najwięcej dla siebie.

Caitlin uniosła filiżankę.

- I co dalej?

- Chcesz wiedzieć wszystko? No dobrze, więc od początku nie miałem złudzeń co do McMillana, ale nie zwracałem na to uwagi. Płacono mi bardzo dobrze, chroniono przed represjami ze strony KGB i pozwalano mi bez przeszkód rozwiązywać moje ulubione łamigłówki. McMillan obiecał mi, że po dziesięciu latach zostaną przeniesiony i pozwolą mi żyć po swojemu. To był dobry układ.

- Więc czemu stamtąd odszedłeś?

- Coś się zdarzyło... - Potrząsnął głową i spojrzał na nią poważnie. - Nie chciałbym ci o tym mówić. Stałbym się zbyt bezbronny wobec ciebie. Zostały mi jeszcze resztki instynktu samozachowawczego. - Dopił kawę i odstawił filiżankę na talerzyk. - W każdym bądź razie coś się zdarzyło i wiedziałem, że muszę porzucić tę robotę. Jednakże McMillan zagroził, że w przypadku odejścia przestanie mnie ochraniać. Wiedziałem, że to oznacza, iż nie minie pół roku, a dopadnie mnie KGB. Więc musiałem rozwiązać swoją prywatną łamigłówkę: Jak powstrzymać McMillana od wykorzystywania mnie, a jednocześnie przeżyć.

- Jestem pewna, że człowiek tak bystry jak ty nie miał trudności ze znalezieniem wyjścia.

Udał, że nie wyczuwa ironii w jej słowach.

- Zacząłem kontrolować informacje, żeby znaleźć jakiś atut, i to nie tylko informacje, które dotyczyły mojej działki, ale i te, które przekazywano bezpośrednio McMillanowi. Trwało to sześć miesięcy, aż wreszcie dopisało mi szczęście. Informacje zaczęły się układać w sensowną całość. Wpadłem na wielkie oszustwo McMillana. Takie, które miało go ustawić na resztę życia. - Uśmiechnął się do Caitlin. - Nie byłaś daleka od prawdy. Pieniądze na moich kontach w Szwajcarii pochodzą z handlu narkotykami. Ale nie zajmowałem się handlem narkotykami, tylko ukradłem te pieniądze.

- Handlarzowi?

Potrząsnął głową.

- McMillanowi... i Izborskiemu.

- Kto to jest Izborski?

- Pułkownik KGB. Jego nazwisko pojawiało się w tych in-

formacjach co jakiś czas. CIA i KGB wzięły na cel spisek wenezuelskiego króla narkotykowego, Manuela Salazara. Salazar planował obalenie rządu Wenezueli i przejęcie władzy. W dzisiejszych czasach przejęcie władzy nad państwem to bardzo kosztowna inwestycja.

- Jak bardzo?

- Pięćset milionów dolarów, które trzeba zapłacić różnym urzędnikom i oficerom armii, żeby zorganizowali rewolucję, a potem dyskretnie przekazali władzę marionetkom Salazara. - Uśmiechnął się. - Zarówno McMillan jak i Izborski uznali za swój patriotyczny obowiązek pozbawienie Salazara tych środków, dzięki którym mógł zostać dyktatorem, i uważali, że skonfiskowane pieniądze powinny wypełnić ich prywatne kieszenie, zamiast roztopić się gdzieś na drodze oficjalnego procesu sądowego. Tak więc McMillan i Izborski postanowili współpracować w imię wspólnego celu. Kiedy tylko dowiedzieli się, gdzie pieniądze mają zostać przelane, postanowili wkroczyć do akcji i zgarnąć je, dzieląc się sprawiedliwie pół na pół.

- I ty ich uprzedziłeś?

Pokręcił głową.

- To nie byłoby po mojej myśli. Nie chciałem mieć przeciw sobie Salazara, więc zaczekałem, aż McMillan i Izborski ukradną mu pieniądze. Muszę przyznać, że zrobili to bardzo sprytnie i pieniądze były wyprane. Po czym Pavel i ja ukradliśmy im te pieniądze. - Uśmiechnął się. - I wyjechaliśmy do Szwajcarii.

- Czemu nie ruszyli za wami w pościg?

- Ponieważ wyjeżdżając z Quantico zabrałem ze sobą różne dokumenty, potwierdzające prawdziwość moich przypuszczeń, wraz z moimi analizami tych dokumentów. Sporządziłem fotokopie w trzydziestu dwóch egzemplarzach i umieściłem je w depozytach bankowych w różnych krajach na całym świecie z instrukcją, że w razie mojej śmierci czy zaginięcia mają być natychmiast przesłane do gazet i przywódców państw w Stanach i w wielu krajach europejskich. - Uśmiechnął się krzywo. - Zostałem również bardzo szczegółowy list do Manuela Salazara.

- Bardzo sprytnie. Muszą cię chronić albo zostaną zniszczeni lub zamordowani przez Salazara.

- Albo przez własnych ludzi, którzy nie chcą narazić na szwank dobrego imienia agencji.

- Plan rzeczywiście godny twojego talentu, Alex. Cieszysz się, że wszyscy ci faceci muszą teraz tańczyć, jak im zagrasz?

- Muszę przyznać, że cieszyło mnie to. Myślałaś, że zaprzeczę? Oni mnie wykorzystali. Wykorzystało mnie KGB. Tak samo CIA. Nie przypominam sobie czasów, kiedy ktoś nie wykorzystywał mnie, żeby zdobyć to, czego chce.

- Biedny Alex.

Głęboko zaczerpnął tchu i powiedział cicho:

- Nie wymagam współczucia. Oczekuję jedynie zrozumienia. W świecie, w którym żyłem, wszyscy wykorzystywali się nawzajem. Ja uciekłem z tego świata, ale Pavel... Boże, on był moim przyjacielem.

- Więc wykorzystasteś mnie, żeby go pomścić.

- Nie chciałem, żebyś na tym ucierpiała.

- Ale zrobiłbyś to nawet gdybyś wiedział, że to będzie dla mnie zagrożeniem.

Dobłą chwilę nie odpowiadał.

- Kiedy to się zaczęło, rzeczywiście nie obchodziło mnie, czy ktoś na tym ucierpi, czy nie. Interesowało mnie tylko to, żeby dopaść Ledforda. To właśnie chciałaś usłyszeć?

Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie to chciała od niego usłyszeć. Nie chciała, żeby był z nią szczery. Wolała, żeby szukał tanich usprawiedliwień, żeby był inny niż mężczyzna, którego poznała przez te miesiące. Chciała móc zatrzymać w sobie złość i pogardę. Poczwała się nagle ogarnięta panicznym strachem. Dlaczego tak się upierała przy podsycaniu swojej złości?

- Tak, to właśnie chciałam usłyszeć.

- W takim razie przyznaję się do tego. Zawsze o tym wiedziałaś, Caitlin.

Tak, wiedziała, a mimo to coś ją do niego przyciągało. Ta myśl przyprawiła ją o jeszcze większy niepokój.

- Już mówiłam, że chciałaś, żebym była ślepa i głucha. Nie pamiętam już, co wiedziałam, a czego nie wiedziałam na twój temat. - Odstawiła filiżankę. - Co zdażyłeś wywęszyć? Ledford jest w Stambule?

- Ludzie Kemala na lotnisku mówią, że nie.

- A co z tym pośrednikiem, o którym mówiłeś mi w drodze z lotniska?

- Masz na myśli Cygana? - Alex pokręcił głową. - Nawiąza-

łem kontakt z jednym z jego ludzi, Adnanem Irmakiem, ale Kemal powiedział, że zniknął zeszłej nocy zaraz po tym, jak złożyłem mu wizytę. Kemal nie potrafi powiedzieć, gdzie się zaszły.

- Co w takim razie możemy zrobić?
- Czekam na telefon od Kemala.
- Może Ledford tu nie wróci, wiedząc, że go poszukujemy?
- Mam przeczucie, że wróci.
- Wierzysz w przeczucia? A co z twoim słynnym talentem?
- Nie wiem, jak to działa. Częściowo opiera się to na analizie i przewidywaniu wypadków. Poza tym... nie wiem. Od chwili gdy dowiedziałem się o tym domu Ledforda, mam wrażenie, że to bardzo istotna informacja.

- Będziemy na zmianę obserwować ten dom?
- Nie. Z pewnością zostałem rozpoznany, a ty zapewne też. Kemal zlecił to swojemu człowiekowi.

- Kiedy poznam tego Kemala? Powiedziałeś...

Caitlin urwała, słysząc dzwonek telefonu.

Alex podniósł słuchawkę.

- Halo. - Przez chwilę słuchał, nie przerywając. - Rozumiem, o jedenastej. - Odłożył słuchawkę. - Dzwonił Kemal. Prosił, żeby się z nim spotkać dziś w nocy. Spróbuje się dowiedzieć, gdzie ukrywa się Irmak.

- Ukrywa się?

- Irmak miał dzisiaj zatelefonować do mnie do hotelu i powiedzieć, jak mogę skontaktować się z Cyganem, ale tego nie zrobił. - Alex uśmiechnął się nieznacznie. - Irmak najwyraźniej nie życzy sobie ponownego ze mną spotkania. Kemal mówi, że dwóch ochroniarzy kręci się cały czas przed jego *yali* nad Bosforem. Obawiam się, że trochę przesadziłem w czasie naszej rozmowy.

Caitlin wzdygnęła się, widząc jego zmienioną twarz. Powiedziała, że chce go poznać, ale teraz nie była już pewna, czy chce znać takiego Alexa Karazova.

- Gdzie spotkasz się z Kemalem?

- Pójdziemy do klubu, którego właścicielem jest Irmak, i zobaczymy, czy się tam pokaże albo czy Kemalowi uda się czegoś dowiedzieć.

- Pójdę z tobą.

- Spodziewałem się, że będziesz chciała. Przypuszczam, że

jeśli ci powiem, że to nie jest miejsce, w którym będziesz się dobrze czuła, to i tak nic nie pomoże?

- Nie pomoże.

Uśmiechnął się tajemniczo.

- W takim razie nie będę próbował cię powstrzymać. U bierz się w coś ciemnego i spokojnego, zakrytego pod szyję.

Zebrał filiżanki i talerzyki i skierował się do maleńkiej kuchni. -I nie miej do mnie pretensji, jeśli nie spodoba ci się tamtejszy kabaret.

Co to jest Kafas? - zapytała Caitlin, przeczytawszy nazwę wymalowaną złotą farbą na okutych brązem mahoniowych drzwiach.

- To po turecku znaczy „złota klatka”. - Alex zapukał i w drzwiach stanął wysoki, brodaty mężczyzna ubrany w luźną czerwoną szatę i biały turban. Alex powiedział coś do niego szeptem po turecku i mężczyzna pozwolił im wejść do wyłożonego mozaiką przedpokoju. Drugi, podobnie ubrany mężczyzna wręczył białą szatę Alexowi. Ignorując Caitlin, skłonili się Alexowi i wskazali wejście w kształcie dziurki od klucza. Alex ujął Caitlin za łokieć i lekko pchnął w stronę drzwi. - Zresztą nazwa jest doskonale dobrana.

Po wejściu do wnętrza natychmiast otoczył ich słodkawo pachnący dym i zapach mocnej kawy.

- Nie sprawia na mnie wrażenia złotej. - Caitlin wędrowała wzrokiem po obszernym pomieszczeniu. Odcień złota miało jedynie miękkie, rozproszone światło padające na kasetonowe sklepienie sufitu. Sala wyglądała raczej jak stadion niż klatka. Niskie stoliki dla gości i ogromnej wielkości poduchy obciągnięte atlasem rozmieszczone były na sześciu podestach, skąd rozciągał się widok na okrągłą arenę, którą zajmowali muzykanci w turbanach grający na egzotycznych instrumentach strunowych, dzwoneczkach i bębnach. Kelnerzy odziani w szkarłatne powłóczyście szaty, noszący tace z napojami i ciastkami, żwawo biegali w górę i w dół trzech kondygnacji schodów łączących sześć podestów. Zauważyła, że oprócz niej na sali nie ma żadnej kobiety. Pomieszczenie zapełniali mężczyźni w szatach podobnych do tej, którą odźwierny wręczył Alexowi. - A ten słodkawych zapach może oznaczać duże kłopoty.

- Musiałaś ogłądać *Midnight Express*. Turcja wcale nie ma

bardziej surowego prawa dotyczącego narkotyków niż inne państwa.

- Nie chcę dokonywać żadnych porównań robiąc tu zakupy.
- Nie obawiaj się, Złota Klatka jest doskonale chroniona.
- Przez kogo?
- Myślę, że przez wysoko postawioną osobę w rządzie. Nie jest bezpiecznie zbyt szczegółowo wypytywać o te sprawy.
- Alex usiadł na poduszce przy niskim stoliku blisko drzwi.
- Ale mogę cię zapewnić, że nie musisz się obawiać obławy.
- Jestem tu jedyną kobietą.
- Nie wyrzucą cię. To klub dla mężczyzn, ale czasami przywodzi się tu kobiety.
- Co powiedziałaś temu mężczyźnie, który nas tu wpuścił?
- Hasło, które podał mi Kemal. Trzeba znać hasło albo być gościem stałego członka klubu, żeby być tu wpuszczonym.
- Byłeś tu już kiedyś?
- Raz. Wiele lat temu.
- Alex skinął na kelnera i jeden z obsługujących szybko wbiegł po schodach.
- To miejsce zostało zaprojektowane z myślą o mężczyznach, którzy mają kompleks sułtana. Najlepiej zrobisz, jeśli spróbujesz nie zwracać na siebie uwagi.
- Nie sądziłeś chyba, że mam zamiar odtańczyć taniec brzucha.

Musiał wyczuć jej zdenerwowanie, gdyż odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

- Jesteś spięta. Mówiłem ci, że to nie jest miejsce dla ciebie.

- Nie jestem. Jestem tylko... - Urwała. - No dobrze, denerwuję się, ale jakoś się opanuję.

Alex odwrócił się do kelnera i szybko zagadał doń po turecku. Mężczyzna kiwnął głową i po chwili zniknął w tłumie.

- Poprosiłem go, żeby przysłał tu Kemala, kiedy się pojawi, i zamówiłem kawę.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Mówisz po turecku.

- W twoim głosie słyszę podejrzliwość. Kiedy byłem w KGB, często przyjeżdżałem do Stambułu. Podoba mi się tutaj. To miasto, w którym zasady są dość względne... A ja nigdy nie lubiłem zasad.

Wiedziała, że Alex ich nie znosi. Kiedy nie mógł ich łamać,

znajdował sposób ich obejścia. Swego czasu ta jego nieprawo-
rządność wydała jej się nawet podniecająca. Szybko prze-
niosła wzrok na miedziany kociołek na stole.

- Czemu mówiłeś, że do tego lokalu pasuje nazwa Złota
Klatka?

- To historyczna nazwa. Tak nazywał się apartament w pa-
łacu Topkapi.

- Dlaczego?

- Ponieważ bracia panującego sułtana byli trzymani tam
w zamknięciu przez całe życie i nigdy nie mogli stamtąd wyjść.

Wzdrygnęła się.

- To straszne.

Alex przytaknął.

- Miało to chronić panującego sułtana przed skrytobój-
stwem. Czasami dopuszczano do nich nałożnice, ale dopiero po
wycięciu im narządów rodnych, żeby nie mogły mieć dzieci.

Caitlin zadrżała.

- Nie rozumiem, jak można nadać jakiemuś miejscu nazwę
więzienia, obojętnie czy złotego, czy nie.

Alex uśmiechnął się nieznacznie.

- Do książąt bardzo rzadko dopuszczano kobiety. I jak są-
dzisz, co zdrowi, aktywni seksualnie mężczyźni robili w ta-
kich okolicznościach?

- To lokal dla homoseksualistów?

- Raczej dla biseksów. Z tego, co mówił mi Kemal, wnio-
skuje, że Irmak jest homoseksualistą, co prawdopodobnie
jest jednym z powodów, dla których Cygan użył go jako po-
średnika w kontaktach z Ledfordem. Kafas jest jednym z naj-
słynniejszych night-clubów na świecie i mógł zainteresować
Ledforda, więc...

- O, widzę, że przyprowadziłeś damę. To mi się podoba.
Nie ma to jak łączyć interes z przyjemnością.

Uniósłszy wzrok, Caitlin ujrzała obok siebie niezwykle
przystojnego młodzieńca. Był ubrany w taką samą białą szatę
jak reszta gości, lecz nosił ją z wyzywającą nonszalancją.

- Kemal Nemid. Caitlin Vasaro - dokonał prezentacji Alex.

Kemal Nemid opadł na poduchę obok Caitlin i zwrócił się
do Alexa:

- Nie udało mi się jeszcze z nikim skontaktować. Drzwi do
haremu pozostają zamknięte, dopóki nie zaczniesz się pokazywać. -

Kemal skrzyżował nogi i natychmiast przybrał żartobliwy ton kalifa pełniącego honory pana domu. Odwrócił głowę w stronę Caitlin: - Jaka piękna dama. - Uniósł jej dłoń do warg w kurtuazyjnym geście. - Jestem zaszczycony mogąc panią poznać. Czy wolno mi powiedzieć, że ma pani wspaniałe piersi?

Caitlin zatrzepotała rzęsami.

- Dziękuję za komplement.

- Są jak piękne, wyniosłe góry. - Z przyganą popatrzył na zabudowany dekolt jej czarnej sukni. - Nie powinna ich pani tak zakrywać. Podobam się pani?

Zmieszana, spojrzała na Alexa. Wzruszył ramionami, więc przeniosła wzrok na Kemala.

- Ja... nie znam pana.

- Ale podobam się pani na pierwszy rzut oka?

- Tak, myślę, że tak.

- W takim razie będzie pani mogła wystąpić i ze mną, i z Alexem.

- Kemal - zwrócił się doń łagodnie Alex.

Kemal westchnął.

- Co, przyszła tutaj z powodu Ledforda i nie ma zamiaru brać udziału?

Alex przytaknął.

Kemal, zawiedziony, pokręcił głową.

- Byłoby wspaniale, gdyby wzięła udział. Uwielbiam duże piersi. To ma podtekst psychologiczny. Straciłem matkę, kiedy byłem bardzo mały.

- Przepraszam, *monsieur* Kemal, ale co...

- Kemal. Proszę mi mówić Kemal. Nawet jeśli nie możemy razem wystąpić, z pewnością szybko się zaprzyjaźnimy. Mam dar jasnowidzenia, wiesz?

- Nie, nie wiedziałam. - Caitlin z trudem powstrzymała się od śmiechu. Chłopak był równie bezczelny jak urokliwy.

- A gdybyś zdecydowała się wziąć udział, jestem do twoich usług.

Już drugi raz napomknął o braniu w czymś udziału.

- W czym niby miałabym brać udział?

Kemal pytająco popatrzył na Alexa.

- Powiedźże jej wreszcie - odezwał się zniecierpliwiony Alex.

Kemal zmarszczył brwi i zwrócił się do Caitlin:

- To Alex powinien ci to wyjaśnić. Jest już za późno, żebyś mogła stąd wyjść. Po jedenastej nikt już nie może wejść ani wyjść ze Złotej Klatki.

- Sama chciała tu przyjść - wtrącił Alex.

Kemal uważnie przyglądał się Alexowi.

- A z jakiegoś powodu chciałeś, żeby ona to zobaczyła. Chcesz, żeby potem poszła do haremu?

- Jesteśmy tu, żeby znaleźć Irmaka. Nie ma mowy o żadnym haremie.

Kemal uniósł brwi.

- Ale dobrze wiesz, jak na nią wpłynie przyglądanie się występowi. To nieuczciwe z twojej strony, żeby...

- Mam już dość ignorowania mojej osoby - oznajmiła dobitnie Caitlin.

- Wybacz. - Kemal uśmiechnął się do niej. - To bardzo nieuprzejme z naszej strony. Musisz teraz zostać na występie. Drzwi Klatki są zamknięte. To taka tradycja, ale zapewniam, że nic ci nie grozi.

- Tradycja?

- Każdej nocy odbywa się tu pokaz upamiętniający rozpusztę w pałacu Topkapi. - Pocieszającym gestem uściśnął jej dłoń. - Myślałem, że Alex po to cię tu przyprowadził. Gość może wziąć udział w występie.

- Teraz rozumiem - stwierdziła Caitlin. - Mówisz o sex-show. Mam rację?

Kemal przytaknął.

- Ale to nie jest taki show, jaki możesz zobaczyć w Paryżu. Z wyjątkiem paru kobiet przyprowadzanych tu z haremu, w występie biorą udział ochotnicy, którzy chcą się pokazać. Zobaczysz, jakie to inspirujące.

Zabrzmiał gong i światła nagle przygasły.

Serce Caitlin podskoczyło niemal do gardła, gdy spojrzała w dół na scenę. Wszyscy muzykanci z wyjątkiem mężczyzny grającego na bębnie opuścili środek sceny, a na wolnej przestrzeni ustawiono w pewnych odstępach trzy sofy obite szkarłatnym aksamitem. Merde, nie była przecież dzieckiem. Nie miała powodu, by się tak denerwować.

- Nie musisz patrzeć. - Kemal uwolnił jej rękę i wstał. - O ile nie chcesz dać się wciągnąć. Mnie nigdy się to nie udało, ale jestem wyjątkowo zmysłowy. Do zobaczenia po występie.

Pójdę zobaczyć, czy uda mi się dostać do haremu, kiedy przyprowadzą kobiety. - Zaczął zstępować ze schodów w stronę wolnej przestrzeni na środku sali.

Mężczyzna grający na bębnie jął powoli wybijać rytm rozchodzący się echem przypominającym bicie serca. Ciemność przeszła w różowy półmrok, kiedy na scenie pojawili się dwaj mężczyźni. Byli młodzi, atletycznie zbudowani, urodziwi i zupełnie nadzy.

Pokaz trwał ponad godzinę. Na scenie pojawiały się homo- i heteroseksualne pary. Mężczyźni i kobiety byli bez wyjątku młodzi i atrakcyjni, i bez wątpienia pełni entuzjazmu. Caitlin musiała przyznać, że miały ją sprzeczne uczucia. To było jak gorączkowy sen. Widzowie siedzieli milcząco w ciemności, powietrze wydawało się naładowane elektrycznością.

Starła się nie patrzeć na Alexa, lecz kilkakrotnie w czasie przedstawienia poczuła na sobie jego wzrok i nie potrafiła powstrzymać się, by na niego nie spojrzeć. W skupieniu wpatrywał się w brodatego mężczyznę, którego twarz była w tej chwili wtulona pomiędzy uda złotoskórej mulatki.

Nozdrza Alexa rozdymały się nieznacznie przy każdym oddechu. Niespodziewanie przeniósł wzrok na jej twarz; na widok jego pałających oczu oblała ją fala gorąca.

Uśmiechnęła się nieznacznie, widząc, że Alex wyczuwa, co się z nią dzieje.

- Bierze cię? - Spytał gardłowym głosem, z lekko słowiańskim akcentem, który często pojawiał się u niego w chwilach, kiedy oni sami byli tak blisko.

- Tak. - Caitlin przełknęła z trudem i przeniosła wzrok na scenę. Zbyt dobrze znał jej reakcje, by nie zdawać sobie sprawy, że odczuwa teraz mrowienie między udami. Wiedziała, że się jej przygląda, lecz nie odwróciła się ponownie w jego stronę. - Chciałabym, żeby Kemal już wrócił.

- Zaraz przyjdzie - rzekł Alex. - Show skończy się za jakieś dziesięć minut. Ta mała ruda kobietka i atleta wyglądają razem bardzo podniecająco, nie uważasz?

Przeniosła wzrok na owłosionego olbrzyma stojącego za drobną kobietą klęczącą na sofie. Uderzenia w bęben towarzyszyły każdemu silnemu pchnięciu, zaś pochylona kobieta szeptała coś gorączkowo, unosząc miarowo biodra, by silniej zespolić się z partnerem.

Uderzenie bębna.

Pchnięcie.

Uderzenie.

Wycofanie się.

Uderzenie.

Pchnięcie.

Głośniej.

Szybciej.

Mocniej.

Odgłos uderzeń dłoni grającego na bębnie o kozłą skórę instrumentu.

Odgłos uderzeń mięśniowych ud mężczyzny o miękkie poślądki kobiety.

Caitlin czuła, jak nabrzmiewają jej piersi, i kurczowo zacisnęła dłoń na filiżance z kawą. Czuła się tak, jakby była tą kobietą klęczącą na sofie. Powietrze wydało jej się nagle bardzo gęste, oddychała z trudem. Serce waliło w piersi jak oszalałe, krew tętniła pod skórą. Zmusiła się do oderwania wzroku od sceny.

- Co to za harem, o którym rozmawialiście z Kemalem? Jeszcze jedna część legendy?

Alex skinął głową.

- Złota Klatka w pałacu Topkapi znajduje się naprzeciwko haremu. - Ruchem głowy wskazał drzwi przylegające do sceny. - Te drzwi prowadzą do apartamentów zajmowanych przez mężczyzn i kobiety z haremu. W rzeczywistości jest to burdel, ale żeby tam się dostać, trzeba przejść przez Kafas. Goście oglądają show, a potem idą do burdelu. Są tam również wolne pokoje, które można wynająć na godziny albo na całą noc.

- Niewiarygodne.

- Wygodne - poprawił ją Alex. - Po takim przedstawieniu jak to trudno jest czekać. - Zrobił wymowną pauzę. - Prawda, Caitlin?

Z ulgą spostrzegła, że pokaz ma się ku końcowi. Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, spojrzała na niego.

- Dlaczego chciałeś, żebym to zobaczyła? To miało wpłynąć na mnie podniecająco?

- Tak.

- I spodziewasz się, że znajdę się w twoim łóżku, jak tylko wrócimy do domu?

- Nie jestem głupcem.
- A może myślałeś, że będę chciała poznać harem?
Uśmiechnął się blado.

- Gdyby rzeczy miały się inaczej, chciałabyś.

Wbiła wzrok w ziemię.

- To nie zrobiło na mnie wrażenia.

- Owszem, zrobiło. Widzę, jak krew pulsuje ci w skroniach.
Jesteś podniecona i wściekła na mnie, że to widzę.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

Przez jego twarz przemknęło trudne do określenia uczucie.
Uśmiechnął się łobuzersko.

- Jesteś wystarczająco bystra, żeby wiedzieć, że jestem samolubny. Nie możemy mieszkać pod jednym dachem, kiedy ciągle pilnujesz się, żeby nie okazać mi uczuć, a seks wydaje mi się jedynym sposobem, w jaki mogę cię zdobyć. Nigdy nie zaszkodzi przygotować grunt.

Powinna była odwrócić wzrok. Wiedziała, jak natarczywy potrafi być Alex, kiedy się przy czymś upierał. W końcu udało jej się przenieść wzrok na scenę, by stwierdzić, że show już się skończył.

- Myślę, że powinniśmy... o, jest Kemal. - Poczowała wielką ulgę widząc, jak Kemal zmierza w ich kierunku, przeskakując po dwa stopnie. Chciała stąd jak najszybciej wyjść. Atmosfera tego miejsca wytrąciła ją z równowagi i pragnęła odzyskać spokój.

- Co z Irmakiem? - zapytał Alex Kemala, gdy przystanął obok ich stolika.

Kemal pokręcił głową.

- Nie ma go dziś tutaj. Ale wciąż jest w mieście. Melis mówi, że rano był w haremie.

- Melis... - Alex zmarszczył brwi, starając się skojarzyć imię z osobą.

- Przypominasz sobie? To ta jedenastoletnia dziewczynka ze złotymi włosami, o której mówił Irmak. - Szerokim gestem wskazał tłum mężczyźn zmierzających ku drzwiom prowadzącym do haremu. - Będzie miała pracowitą noc.

- Jedenaście lat? - Caitlin poczuła, że robi jej się niedobrze. - Trzymają tu dzieci? Nie można czegoś zrobić?

- Może i można - odparł Kemal. - Ale nie teraz. Dzisiaj nie przydarzy się jej ani innym nic takiego, co nie zdarzało się już wiele razy.

- To potworne, że wykorzystują dzieci.
- To nie tylko potworne, to wyrok śmierci.
- Jak to?!
- prostytutki są badane co drugi dzień w trosce o klientów, po to, by czuli się bezpieczni i przyszli ponownie. - Kemal zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho: - Ale Adnan nie ma zamiaru niepokoić klientów podobnymi badaniami. W dobie AIDS, jakie szanse przeżycia mają jego prostytutki?
- Alex wstał, zdjął szatę i rzucił pieniądze na stół.
- Może złożylibyśmy kolejną wizytę w *yali* Irmaka?
- Kemal pokręcił głową.
- Melis mówi, że go tam nie ma. Poza tym zależy ci na znalezieniu Cygana, zanim zabijesz Adnana. Być może ukrywa się przed tobą tylko do czasu, aż znajdziesz Cygana. - Zauważywszy zdumione spojrzenie Caitlin, uśmiechnął się do niej promiennie. - Ale straszmy tę piękną damę. Dość już tej ponurej rozmowy. - Podał Caitlin rękę i pomógł wstać. - Chodź, pójde z tobą do domu.
- Ty ze mną?
- Kemal zdjął wierzchnią szatę i rzucił ją na puf. Miał na sobie dżinsy i białą włochatą bluzę.
- Napijemy się kawy, a ja powiem ci, jakie miejsca w moim mieście powinnaś koniecznie zobaczyć. - Pstryknął palcami.
- Nie, jutro sam cię oprowadzę.
- Nie przyjechałam tu w celach turystycznych, Kemal.
- Ale co masz innego do roboty, zanim odszukam Adnana? A ponieważ uważam, że jesteś bardzo piękna, oprowadzę cię za darmo. - Spojrzawszy na Alexa, dodał łaskawie: - Ty też możesz z nami pójść.
- Miło z twojej strony, że zauważyłaś moją obecność - warknął Alex.
- Owszem, miło. - Kemal uśmiechnął się promiennie. - Szczególnie odkał dałeś mi do zrozumienia, że nie mogę przekonać tej pięknej damy, jak wspaniałym jestem kochankiem.
- Dobrze, że to zrozumiałaś.
- Nie obawiaj się. - Kemal machnął ręką. - Potrzebuję twoich pieniędzy. Obiecuję, że nigdy nie uświadomię jej, co traci.
- Alex skrzywił się.
- Dziękuję, ale nie sądzę, żeby taka wycieczka była rozsądna. - Zwrócił się do Caitlin.. - Nie masz nawet pojęcia, jakim

wyróżnieniem jest propozycja oprowadzenia cię po mieście gratis. Rzadko kto lubi pieniądze tak jak Kemal.

- To prawda. - Kemal ujął Caitlin za łokieć i poprowadził w stronę drzwi. - A teraz wracajmy do domu. Mieszkam niedaleko, ale tam są karaluchy. Panie nie lubią karaluchów.

- Zgadza się.

- Ja też ich nie lubię, ale płacę niewielki czynsz. Zatrzymamy się przy moim domu, przyniosę gitarę i coś wam zagram.

- Nie jestem w nastroju na słuchanie serenady.

Kemal kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Wciąż martwisz się o te dzieci. Ale na razie nic dla nich nie możesz zrobić, więc nie myśl o nich. Ciesz się chwilą.

- A ty to potrafisz?

Spowaźniał.

- Tak. Przykro mi, jeśli myślisz, że jestem nieczuły, ale już dawno temu zrozumiałem, że sentymenty nie służą działaniu.

- Uśmiechnął się. - Czeka was dodatkowa atrakcja. Potrafię też śpiewać. - Ugiął kolana przybierając pozę estradowego piosenkarza; szarpnął struny nieistniejącej gitary. - Zaśpiewam dla was *Born in the U. S. A*

- Dobrze grasz i śpiewasz?

- O, tak - przytaknął z powagą Kemal. - Jestem wspaniały. Prawie równie dobry jak Bruce Springsteen. Co prawda jestem lepszy w seksie, bo gra na gitarze wymaga więcej czasu, by dojść do perfekcji.

Caitlin zachichotała.

- I tu, i tu trzeba się nauczyć grać na odpowiednich strunach. - Wypowiedziawszy te słowa bez zastanowienia, spojrzała kątem oka na Alexa. Uśmiechnął się porozumiewawczo. Szybko przeniosła wzrok na Kemala. - Alex mówił mi, że pracujesz dla CIA.

- Dorywcz. Na co dzień studiuję na uniwersytecie. - Jego czarne oczy rozbliły się ożywieniem. - Filozofię.

Caitlin pokręciła głową.

- Powinam była się domyślić.

Kiedy wyszli ze Złotej Klatki na krętą ulicę, owiało ich rześkie, jesienne już powietrze.

- Sokrates również był sensualistą - stwierdził Kemal. - Jak większość Greków. Ale oni stawiali piękno mężczyzn wyżej niż piękno kobiety, co wydaje mi się przejawem dyskrymi-

nacji. Jestem o wiele większym demokratą. - Zwrócił się do Alexa: - Będziesz nam jutro towarzyszył?

- Nie. I Caitlin również nigdzie nie pójdzie. Powiedziałem ci już, że to nierozsądne.

Kemal popatrzył na Alexa spod zmrużonych powiek.

- Chciałeś raczej powiedzieć, że niebezpieczne. Grozi jej jakieś niebezpieczeństwo?

- Ledford.

- To fatalnie. - Po chwili jednak jego twarz rozjaśniła się; lekko skłonił głowę przed Caitlin. - Ale nie martw się, piękna damo. Obiecuję, że nad tym pomyślę i pokonam tę przeszkodę.

Spoglądając z rozbawieniem na jego bojowy wyraz twarzy Caitlin czuła, że Kemal dotrzyma obietnicy.

W ciągu kilku następnych godzin Kemal udowodnił, że reklamowanie własnego talentu muzycznego nie było prózną przechwałką. Biegłą umiejętność gry na gitarze uzupełniał piękny baryton. Gdy tylko weszli do domu, usiadł na podłodze i zabawiał ich rockowymi przebojami, żartami i frywolnymi opowiastkami z życia współziomków. Caitlin odkryła w nim dziwne połączenie chłopięcego uroku ze znajomością życia i zaskakującą mądrością. Była zafascynowana jego osobowością. Za to Alex był niezwykle mrukliwy.

Dochodziła już trzecia nad ranem, kiedy Kemal włożył gitarę do pokrowca i wstał.

- Muszę iść do domu, wziąć prysznic i przebrać się na zajęcia. Dzisiaj rezygnujemy z wycieczki, ale jutro przyjdę po ciebie o szóstej rano.

Caitlin zatrzepotała rzęsami.

- Przyjdiesz po mnie?

- Oczywiście. - Ruszył do drzwi. - Obiecałem ci pokazać moje miasto.

Alex zeszytniał.

- A ja powiedziałem, że to zbyt niebezpieczne.

- Dlatego właśnie wyruszymy o świcie. - Kemal odwrócił się w drzwiach z uśmiechem. - W ten sposób zakończymy wycieczkę, zanim ktokolwiek wstanie.

Caitlin pokręciła głową.

- Wszystko będzie jeszcze zamknięte.

- Mam wielu przyjaciół. Znajdę sposób na otwarcie za-

mkniętych drzwi. - Zwrócił się do Alexa. - Odstawię ją całą i zdrową około dziewiątej. Zgoda?

- Nie - odparł Alex.

- Tak - powiedziała równocześnie Caitlin.

Alex gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Do cholery, to mi się nie podoba.

- Nie wydaje się niebezpieczne. Mówiłeś, że w drodze z lotniska nikt nas nie śledził... - przekonywała Alexa. - Będę czekać o szóstej - rzuciła w stronę Kemala.

Kemal obdarzył ją radosnym uśmiechem, po czym zamknął za sobą drzwi.

- Dlaczego to zrobiłaś? - warknął Alex.

Unikała jego spojrzenia.

- Kemal wydaje mi się zabawny. Nie spotkałam jeszcze kogoś tak otwartego i pełnego entuzjazmu.

- Nie daj się zwieść pozorom. To twardy skurczybyk.

- W takim razie będę przy nim bezpieczniejsza, nie sądzisz? Poza tym nie wydaje mi się, żebyś zabierał mnie dzisiaj do Kafasu, gdybyś sądził, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

- Nie dałaś mi możliwości wyboru. Ale to nie jest odpowiedni czas na zwiedzanie zabytków.

Nie obchodziło jej wcale zwiedzanie zabytków. Nie chciała jedynie pozostawać pod jednym dachem z Alexem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chwile spędzone w Kafasie uświadomiły jej, jak bardzo jest bezbronna wobec niego.

- Może po prostu podpisuję się pod filozofią Kemala polegającą na cieszeniu się chwilą?

- W takim razie idę z wami.

- Nie! - Jej reakcja była tak gwałtowna, że Alex ze zdumieniem zajrzał jej w twarz. Szybko odwróciła się i skierowała do sypialni.

- Trudno. Będziesz musiała jakoś to znieść. Jeśli zorientuję się, że ten Kemal ma rację i ryzyko jest niewielkie, uwolnię cię od swojej obecności. Zadowolona?

- Nie, ale rozumiem, że muszę się zgodzić. Dobranoc.

Usłyszała za sobą ciche przekleństwo, po czym Alex ze zdziwieniem w głosie powiedział:

- Weź buty, które łatwo ci będzie wkładać i zdejmować.

Obejrzała się przez ramię.

- Po co?

- W tym mieście jest pełno meczetów i będziesz musiała zdejmować buty, zanim do nich wejdiesz.

- Skąd wiesz? Racja, powiedziałeś mi, że tu przyjeżdżałeś.

- Meczety nie znajdowały się wtedy na liście miejsc, które musiałem koniecznie odwiedzić. Byłem wtedy młodym sensualistą, tak jak nasz przyjaciel Kemal. - Machnął ręką. - Pasjonowałem się różnymi błahostkami.

Sprawił wrażenie tak zmęczonego i potwornie samotnego, że przez chwilę serdecznie mu współczuła. *Dieu*, jakie to głupie. Karazov był ostatnią osobą, która życzyłaby sobie współczucia.

- Co będziemy robić jutro?

Wzruszył ramionami.

- Załatwimy parę telefonów. Przystudiujemy fotografie Tańczącego na Wietrze. Może uda mi się przewidzieć następny ruch Ledforda.

- Udaje ci się to?

- Czasami. Niezbyt często, jeśli mam tyle wariantów jak teraz.

Zawahała się, dziwnie nie miała ochoty wychodzić z pokoju. Niespodziewanie zapytała:

- Czemu uciekłeś do Stanów?

- Nie odpowiem na to pytanie. Nie mam zamiaru dawać ci dziś do ręki kolejnej broni przeciwko mnie.

- No cóż, zobaczymy jutro. - Zaczęła zamykać drzwi.

- To ci się nie uda.

- Co?

- Nie możesz uciekać.

- Nie uciekam.

- Akurat. W Paryżu byłaś śmiertelnie przerażona, a teraz gotowa jesteś nadstawić karku, byle tylko uniknąć mojego towarzystwa.

- Nie... ryzyko jest naprawdę niewielkie.

- Być może. Ale, do diabła, nie powinnaś go w ogóle podejmować. - Zrobił wymowną pauzę. - Musimy współpracować i mieszkać razem, o ile chcemy znaleźć Ledforda. Nie możesz być na mnie zła i zawzięta przez cały czas.

- Nie licz na to. - Caitlin zamknęła drzwi i ciężko oparła się o nie.

Czy kiedykolwiek będzie jej lżej?

12

Caitlin nie spała dobrze tej nocy i gdy wstała o siódmej rano, natychmiast zadzwoniła do Vasaro.

Telefon odebrała Katrine. Słyszając głos matki, Caitlin poczuła przyływ serdeczności.

- Mamo? Jak się czujesz?

- Całkiem dobrze. - Katrine wydawała się mieć rozproszoną uwagę. - Doprawdy, Caitlin, to nie w porządku z twojej strony zaprosić tylu gości do Vasaro i nie przyjechać mi pomóc. Mają przybyć w południe i gdzie ja ich rozlokuję? *Madame* Benedict, *monsieur* Andreas i ten reżyser, Pauley... A co z resztą ekipy? Nie możesz odłożyć tych spraw w Paryżu i po być w Vasaro do ich wyjazdu?

- Doskonale dasz sobie radę, mamo. Wiesz, że zawsze świetnie sobie radzisz - zapewniła Caitlin. - I pomyśl tylko o tym, co będziesz mogła opowiedzieć swoim przyjaciółkom o Chelsea Benedict. Zżółkną z zazdrości, że mogłaś ją gościć w Vasaro.

- To prawda. - Katrine w jednej chwili udobruchała się na myśl o tej towarzyskiej sensacji. - Myślisz, że uda mi się ją namówić, żeby któregoś dnia pojechała ze mną do Nicei na lunch?

- Myślę, że tak... o ile nie będzie zbyt zajęta.

- Marisa zaproponowała, że zwolni swój pokój w domu i przeniesie się do wioski, do Renee i jej męża. - Katrine rozpogadzała się z każdym słowem. - Muszę już kończyć, Caitlin. Nie mam teraz czasu z tobą rozmawiać.

- Zaczekaj! Czy gdzieś w pobliżu jest Peter Maskovel?

- Tak, właśnie skończył śniadanie. Peter! Już idzie. Do widzenia, Caitlin.

- Przepraszam, że nie mogę przyjechać i...
- Cześć, Caitlin - usłyszała głos Petera Maskovela.
- Zastanawiałam się, czy wszystko w porządku z tłumaczeniem.

- Tak. Dzisiaj powinienem skończyć przepisywanie. Gdzie mam je przesłać?

- Na biuro American Express w Stambule na nazwisko Kemal Nemid. Powiedz Jonathanowi, że jeśli będzie chciał przekazać nam jakąś wiadomość, może zostawić ją dla Alexa w hotelu Hilton.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Możemy tu zostać nieco dłużej. Czy mógłbyś przysłać mi moje rzutniki i hologram? Są w laboratorium.

- Zapakuję je z tłumaczeniem i wyślę razem.

- Dziękuję.

Peter zamilkł i Caitlin czuła, że zastanawia się, czemu ona nie kończy rozmowy. Do diabła, nie chciała zrywać tej wątłej nitki łączącej ją z domem.

- Podoba ci się w Vasaro?

- A komu mogłoby się tu nie podobać? To raj na ziemi. W krótkim czasie zużyłem już mnóstwo filmów. Ale wieczorami pracuję nad tłumaczeniem - dodał szybko. - Marisa pomaga mi je przepisywać na maszynie.

- Jest niezwykła, nie uważasz?

Nie odpowiadał dłuższą chwilę.

- Bardzo niezwykła.

Nie znajdowała już więcej pretekstów do kontynuowania rozmowy.

- Ponieważ nie mogę być w Vasaro, będę bardzo wdzięczna, jeśli pomożesz mojej mamie. Ona gubi się w takich sytuacjach.

- Marisa i ja będziemy nad nią czuwać.

Kolejna chwila ciszy.

- Jeszcze jedno. - Starła się mówić wesołym, beztróskim głosem. - Wiem, że prosiłam cię, żebyś nie przysyłał mi więcej fotografii, ale nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś przysłał mi parę swoich zdjęć Vasaro.

- Przyślę ci odbitki wszystkich zdjęć - zapewnił ją łagodnie Peter.

- To bardzo mile z twojej strony, Peter. Do widzenia.

Odłożywszy słuchawkę, głęboko zaczerpnęła tchu. Czuła się odcięta od wszystkiego, co było jej bliskie, i ogromnie samotna.

- Coś nie tak? - W drzwiach sypialni stał Alex. Zastanawiała się, jak długo przysłuchiwał się rozmowie.

- W porządku. Mama jest trochę przerażona najazdem ekipy, ale da sobie radę. - Wstała, zawiązała pasek szlafroka i skierowała się do łazienki. - Za parę dni powinnam otrzymać tłumaczenie. To dlatego dzwoniłam do Vasaro. Nie mogę tu siedzieć z założonymi rękami. Muszę mieć jakiś cel.

- Caitlin...

Udawała, że nie słyszy proszącego tonu w jego głosie.

- Muszę się ubrać.

- Nie odgradzaj się ode mnie. Chcę ci pomóc.

Odwróciwszy się gwałtownie, spojrzała mu prosto w oczy.

- Powiedz, potrafisz zaradzić temu, żebym nie czuła się uchodźcą z Vasaro?

Ze zrozumieniem pokręcił głową.

- Nie, nie potrafię.

- Tak też myślałam. - Weszła do sypialni i zamknęła drzwi.

Odłożywszy słuchawkę, Peter zauważył stojącą obok niego Marisę.

- Ona tęskni.

Marisa z powagą pokiwała głową.

- To musi być straszne - mieć dom, który się kocha, i nie móc tu przyjechać. Mama i ja przenosiłyśmy się tyle razy, że nigdy nie zdążyłam przyzwyczaić się do jakiegoś miejsca. - Gdy Peter ruszył do drzwi, zrównała z nim krok. - Mogę ci dzisiaj pomagać tylko rano. Potem muszę tu wrócić, spakować się i przenieść do wioski.

- Mogłabyś poszukać dla mnie noclegu u kogoś ze zbieraczy? Katrine martwi się, czy w domu starczy miejsca dla gości.

- Zapytam Jacquesa. Louis mieszka sam i pewnie ucieszyłby się z towarzystwa. - Marisa uśmiechnęła się do niego. - Miło byłoby mieszkać niedaleko siebie z dala od tłumu, prawda? Żadne z nas nie lubi rozgłosu.

- Bardzo miło.

Wsunęła mu rękę pod ramię i razem zeszli ze schodów.

- Tak mi dobrze z tobą, Peter.

Czuł, że serce bije mu przyspieszonym rytmem, lecz wyraz

twarzą pozostał nie zmieniony. Szesnaście i czterdzieści lat, przypomniał sobie szybko. Dziewczyna zbliżająca się do pełni aktywnego życia i zramolały kapcan, którego stan zdrowia może w każdej chwili gwałtownie się pogorszyć. Lubiła go. Ufała mu. Stali się przyjaciółmi, uwielbiającymi rozmawiać i pracować razem. Powinien być wdzięczny losowi, że dane mu było przeżyć takie chwile.

Gdy tak razem szli w stronę laboratorium, nakrył jej dłoń swoją i poklepał z czułością.

- Ja też czuję się przy tobie wspaniale, Mariso.

Popłyniemy promem po zatoce Złoty Róg - oznajmił Kemal. - Mówiłem ci, że kiedyś nazywano Złoty Róg stawem sułtana? Zatoka była bardzo zanieczyszczona, ale teraz jest czysta i piękna...

- Jak daleko jest do przystani?

- Półtora-dwa kilometry.

- I będziemy tam szli pieszo?

- Oczywiście, Stambuł należy zwiedzać na piechotę.

Caitlin przypomniała sobie, jak mówiła Alexowi to samo o Paryżu, lecz nie była takim niestrudzonym przewodnikiem, jakim okazał się Kemal. Było tuż po ósmej rano, a już czuła się wyczerpana.

- Nie możemy wziąć taksówki?

Kemal zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Jesteś dużą, silną, piękną kobietą. - Widząc, że jej twarz chmurzy się buntowniczo, złagodniał. - Ale może jutro wynajmiemy ci rower.

- Nie, dziękuję. Nie przy tym ruchu ulicznym. - Westchnęła ciężko. - No dobrze, pójdę pieszo.

- Rower jest naprawdę przydatny. O wiele lepszy niż samochód. Wjeżdża tam, gdzie nie wjedzie nawet najmniejszy samochodek.

Caitlin pokręciła głową.

- Którędy pójdziemy?

Kemal przyspieszył; starała się dotrzymać mu kroku.

Przeszli w milczeniu prawie całą przecnicę, kiedy Kemal zapytał znienacka:

- Czemu tak chłodno traktujesz Alexa?

Spojrzała na niego poirytowana.

- To bardzo osobiste pytanie i nie twoja sprawa, Kemal.

- Dlatego, że kiedyś byliście kochankami?

Zesztywniała.

- Skąd wiesz, że...

- Oczywiście, że Alex nic mi nie powiedział - pospiesznie zapewnił ją Kemal. - Po prostu jestem bardzo wrażliwy. Wyczułem to.

- Jesteś bardzo wrażliwy i masz dar jasnowidzenia?

Kemal uśmiechnął się szeroko.

- Dokładnie tak. - Przyglądał się jej napiętej twarzy. -

Boisz się Alexa?

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Dlaczego miałabym się bać?

- Jest człowiekiem, który potrafi zabić. Czasami kobiety boją się tego w mężczyźnie.

Przypomniała sobie sytuację sprzed paru dni, kiedy ogarnęła ją lekki strach na widok twarzy Alexa.

- Co zaszło między Alexem a Irmakiem?

- Alex... zdenerwował się.

- I co?

Kemal wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział.

- Nie, oczywiście, że nie boję się Alexa - odparła Caitlin.

- To dlaczego śpisz w oddzielnym łóżku, skoro chciałybyś dzielić je z nim?

- Nie chcę... Kemal, tę rozmowę uważam za skończoną.

- Jesteś na mnie zła - stwierdził. - Pytałem tylko dlatego, że lubię Alexa Karazova. I ciebie też lubię.

- Nic w tym dziwnego. Wydajesz się przyjaźnić ze wszystkimi.

- O, tak, wszyscy mnie lubią. Jak mogliby nie lubić?

- Nie mam pojęcia. - Uśmiechnęła się. Nie sposób było dłużej gniewać się na Kemala. Hultaj beztrosko stapał po nie swoim terenie, jakby cały świat doń należał.

- Nie powinniście wzbraniać się przed braniem od siebie nawzajem tego, co chcecie - upierał się Kemal. - Kto wie, co może przynieść jutro? Trzeba cieszyć się każdą chwilą.

- Kemal, jesteś całkowitym poganinem.

- Ale to prawda - zaprotestował. - Uwierz mi. Przemawia przeze mnie mądrość.

Zachichotała.

- Filozofia a la Kemal?

Przytaknął z powagą.

- Kiedy byłem małym chłopcem, byłem bardzo biedny, a moją rodziną pogardzano. Więc uciekłem od rodziny. Myślałem, że uciekam do lepszego życia

- A tak się nie stało?

- To Alex nic ci nie mówił? Nie, to nie było lepsze życie. Powinienem być trwać przy mojej rodzinie, cieszyć się dobrymi chwilami, a próbować przetrwać... - Urwał i uśmiechnął się do niej przepraszająco. - Wystarczy. Nie jesteś tu po to, by słuchać mojej paplaniny. - Kemal najwyraźniej miał już dość zwierzeń. Wielkodusznie zaproponował: - Jeśli naprawdę bola cię nogi, to po zejściu z promu możemy wziąć taksówkę.

Poczuła się, jakby ofiarował jej diadem z brylantów.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Oczywiście, ty za nią zapłacisz.

- Oczywiście. - Caitlin miała okazję przekonać się, ile racji było w słowach Alexa na temat gestu, jaki uczynił wobec niej Kemal, nie żądając zapłaty za to, że był jej przewodnikiem. - To się rozumie samo przez się.

Nie wejść na to drzewo, Pauley - oznajmiła Chelsea stanowczym tonem. - Zmusiłeś mnie do jazdy na oklep po skalnym urwisku, do biegu przez pole róż, tańczenia wśród winorośli... - Zrobiła obrażoną minę. - Mam zamiar zmyć ci za to głowę. Wiesz, jaka gąbczasta jest ta ziemia?

- Ale ty masz takie boskie stópki, aniołku - odparł słodko Pauley. Jego białe zęby rozbłysły w szerokim uśmiechu. - I wiesz, że mamy nakręcić już tylko jedno ujęcie i wracamy do Nicei. - Wskazał rosnące nie opodal drzewko pomarańczowe. - Tak to widzę. Jesteś driadą siedzącą na jednej z niższych gałęzi tego drzewa. Skierujemy na ciebie dmuchawy i twoja suknia wydmie się delikatnie, a kwiaty będą opadać na twoje włosy, po czym spływać na Tańczącego na Wietrze na postumencie pod drzewem.

- Przecież to drzewko nie ma kwiatów.

- Poradzimy sobie. Przywożłem odpowiednie rekwizyty z Nicei. Kto mówi, że kwiaty muszą być prawdziwe? Jedwabne też będą dobre.

- Nie mamy Tańczącego na Wietrze.

- A od czego są efekty specjalne?

Chelsea usłyszała zduszony chichot Jonathana, lecz nie spojrzała w jego stronę. Pauley doprowadzał ją do szaleństwa swoimi wymaganiami w ciągu ostatnich dwóch dni i nic już jej nie bawiło.

- Nie zgadzam się na drzewo.

- To będzie całkowicie bezpieczne. Weźmiemy drabinę i...

- Pauley, wychowałam się w nowojorskich slumsach. W dzieciństwie drzewa widywałam tylko na ilustracjach w szkole imienia Ulyssesa S. Granta. Odmawiam zwisania na gałęzi jak Tarzan.

- Jesteś zmęczona. - Pauley przybrał ton zatroskania. - Świnia ze mnie, że zapomniałem, jak ciężko dzisiaj pracowałeś. Odpocznij piętnaście minut, a potem pogadamy.

- Piętnaście minut? Haruję od świtu, a ty dajesz mi... - Chelsea urwała, gdyż zdała sobie sprawę, że mówi w przestrzeń. Pauley odszedł w kierunku operatora kamery, a reszta ekipy rozproszyła się i udała w stronę przygotowanego przez Katrine stołu z przekąskami i napojami, ustawionego na skraju lasku pomarańczowego.

- Driada? - Jonathan uniósł brwi. - Jakoś nie potrafię wyobrazić sobie ciebie jako leśnej boginki. Jesteś na to zbyt mocno osadzona w ziemskiej rzeczywistości.

- Powiedz to Pauleyowi. - Podeszła do Jonathana. - Ubzdurał sobie, że wszystko musi opierać się na mnie. - Uniosła skraj zwiewnej złocistej sukni, by ukazać mu bosc stopy. - Przez cały dzień nie wolno mi było włożyć butów. Myślę, że to bosc stopy są dla niego fetyszem.

- Interesująca uwaga. - Oczy Jonathana błyszcząły, gdy ujął ją za ramię. - W takim razie chyba nie masz ochoty na spacer. Chcesz się czegoś napić?

Pokręciła głową.

- Chcę to już mieć za sobą. Nigdy nie będę już narzekać na filmowe plenery. W filmach zapewniają mi przynajmniej dublerkę.

- Mimo wszystko udało mu się nakręcić parę wspaniałych ujęć. Najbardziej podobało mi się to, kiedy klęczysz nad strumieniem w tej złotej sukni. - Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Byłaś fantastyczna. Wyglądałaś jak Joanna d'Arc.

W jego spojrzeniu było tyle miłości, że natychmiast zniknęło całe jej zdenerwowanie i zmęczenie.

- Naprawdę? Widzę to wszystko jak przez mgłę. Nie jestem pewna, czy to pamiętam. - Miała ochotę pogłodzić jego dłoń, lecz powstrzymała się. Atmosfera Vasaro sprawiała, że czuła się jak na wyspie Utopia, i musiała bezustannie przypominać sobie, że realny świat istnieje tuż obok i ktoś z ekipy Pauleya może w każdej chwili ulec pokusie dostarczenia informacji żadnym sensacji brukowcom. Opuściła rękę, nie dotknąwszy go nawet. - Tęskniłam do ciebie rano.

- Rozmawiałem przez telefon z Interpolem, a potem musieliśmy z Peterem zacząć się umowami, które wczoraj przysłano z mojego biura pocztą kurierską. Muszę trochę zajmować się także interesami.

- Byle nie za dużo. - Chelsea uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Możesz sobie teraz trochę odpuścić, prawda? Może już nie trafić się nam okazja taka jak ta.

Uśmiech Jonathana zgasł.

- Jak to: może się już nie trafić? Będziemy mieli mnóstwo okazji, kiedy za mnie wyjdiesz.

- Nie wyjdę za ciebie. Dobrze wiesz, że nie mogę. - Odwróciła się i niewidzącym wzrokiem spojrzała w kierunku ekipy zgromadzonej wokół stołu. - Podoba mi się ten twój Peter. Jest tak miły jak mówiłeś. On wie o nas?

- Nic mu nie mówiłem, ale zna mnie na tyle dobrze, że czyta we mnie jak w księdze. Zepewne wie, że cię kocham. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał powoli: -I że ty też mnie kochasz.

- Nigdy tego nie powiedziałam - odparła Chelsea, przyspieszając kroku. - Mówiłam ci, że nie... - Urwała. - Czas, żebyśmy nakręcili to ujęcie. Może pozwolę Pauleyowi zrobić z siebie driadę. Wszystko mi jedno.

- Kiedy przestaniesz mi uciekać, Chelsea?

- Wcale nie uciekam. Po prostu wykonuję swój zawód. - Chelsea buntowniczo spojrzała na niego przez ramię. - To jest praca, którą potrafię wykonywać. Natomiast rola, o której mówisz, zupełnie do mnie nie pasuje.

- Ależ doskonale pasuje - powiedział cicho Jonathan. - Spróbuj. To nie jest...

- Przepraszam, Jonathan, ale miałeś telefon. Myślę, że powinienś oddzwonić.

Odwróciwszy się, zobaczyli zмирzającego w ich kierunku Petera.

Jonathan zmarszczył czoło ze zniecierpliwieniem.

- Nie mogłeś sam tego załatwić?
- To Al Jennings. Dzwonił z Cannes.

Jonathan zeszytywniał i popatrzył na Petera spod zmrużonych powiek.

- A co on tu, do diabła, robi?

- Sądzę, że nie przyjechał w celach turystycznych. - Peter popatrzył niepewnie na Chelsea. - Mówił, że chciałby się z tobą spotkać w hotelu jutro po południu.

Chelsea szybko opanowała uczucie ogarniającej ją paniki. Wiedziała przecież, że to wszystko jest zbyt piękne, by mogło trwać wiecznie.

- W takim razie musisz jechać, prawda? - zapytała.

- Nie muszę, jeśli nie będę chciał. - Jonathan zacisnął wargi.

- Nie będę leciał na każde kiwnięcie palcem Ala Jenningsa.

- Nie bądź głupi - ofuknęła go Chelsea. - Wiem przecież, kim jest Jennings. To zacy senator z Południowej Karoliny, który przygotowuje twoją kandydaturę. Oczywiście, że musisz jechać. - Spojrzała mu prosto w oczy. - I oboje wiemy, dlaczego tutaj przyjechał. Chce uratować twój *image*. - Musiał widzieć nasze zdjęcia z przyjęcia w Wersalu, kiedy przedstawiałeś mnie jako rzeczniczkę. Nie powinnam była ci nigdy na to pozwolić. Chryste, powinnam była wiedzieć.

- To nie była wyłącznie twoja decyzja - stwierdził sucho Jonathan. - Może ci się wydawać, że musisz brać ciężar każdego związku wyłącznie na własne barki, ale i ja mam tutaj coś do powiedzenia.

Peter starannie unikał spoglądania w ich stronę.

- Mam mu powiedzieć, że jesteś nieosiągalny?

- Nie. - Jonathan nie spuszczał wzroku z Chelsea. - Powiedz mu, że chętnie się z nim spotkam. - Zrobił pauzę. - Tak jak i pani Benedict.

- Nie! - Chelsea pokręciła głową. - Wyłącz mnie z tego, Jonathan.

- Dlaczego? Boisz się, że mogą mieć rację ci, którzy postrzegają cię jako kobietę bez zasad?

- Nie boję się. - Nerwowo otwierała i zaciskała dłonie. - Po prostu nie wiem, co mi przyjdzie z tego, że tam pojedę.

- Więc pojedź tylko dlatego, że ja chcę, żebyś to zrobiła - poprosił łagodnym tonem Jonathan. - I dlatego, że jeśli nie

pojedziesz, powiem czcigodnemu senatorowi, żeby poszedł sobie do diabła.

Wiedziała, że gotów był to zrobić. Poczowała się osaczona.

- A co będzie, jak tam już będą czyhać reporterzy?

- Chelsea, na litość boską, nie możesz się ukrywać w nieskończoność... - Odwrócił się do Petera. - Powiedz Jenningsowi, że mogę się z nim spotkać tylko pod warunkiem, że nie będzie dziennikarzy. - Zwrócił się do Chelsea: - Teraz w porządku?

Powoli kiwnęła głową.

- Tak.

Peter wydał westchnienie ulgi.

- Dobrze. Zadzwoń do niego. - Odwrócił się i odszedł podejrzenie szybkim krokiem.

Chelsea wyprostowała się wojowniczo i przyglądała fałdy delikatnej tkaniny sukni.

- Myślę, że lepiej będzie wejść na to drzewo i skończyć zdjęcia, inaczej Pauley zrobi jutro piekielną awanturę, jeśli będę chciała wyjechać. - Spojrzała na Jonathana i zapytała miękko: - Będziesz gdzieś w pobliżu?

- Oczywiście, że nie przepuszczę takiej okazji. Nie co dzień mam szansę widzieć cię na drzewie. Z pewnością będę w pobliżu.

Tylko teraz. Tylko dzisiaj.

Chelsea, nie patrząc już na Jonathana, podeszła do ekipy. Cóż, nic nie trwa wiecznie. I tak powinna być szczęśliwa, że nic nie zakłóciło im tych dwóch tygodni, które mieli dla siebie.

A jednak nie była szczęśliwa. Pragnęła czegoś więcej.

- Sprawiasz wrażenie wściekłej. O czym myślisz?

- O wierszyku o zachłannych dzieciach, który doskonale mnie określa. Caitlin powiedziała kiedyś, że jestem zachłanna. Miała rację. - Widząc, że Jonathan chce coś powiedzieć, dodała szybko: - Muszę przed wyjazdem iść do wioski zobaczyć się z Marisą. Nie miałam czasu z nią spokojnie porozmawiać przez te dwa tygodnie. Dobrze wygląda, nie uważasz?

- Po prostu kwitnie. - Jonathan zmarszczył brwi, zamyślny. - Była jakaś zgaszona, kiedy nas sobie przedstawiałaś. Myślisz, że ona mnie lubi?

Chelsea przyjrzała mu się, zaskoczona. Nigdy jeszcze nie słyszała Jonathana mówiącego tak niepewnym głosem.

- Ona zawsze jest cicha. Oczywiście, że cię lubi. Wszyscy cię lubią.

- Ona to nie „wszyscy”, ona jest twoją córką - stwierdził Jonathan. - I mam nadzieję, że będzie także moja.

Chelsea już chciała zaprotestować, ale powstrzymała się. Jeśli ich spotkanie z Jenningsem przyjmie obrót taki, jakiego się spodziewała, ich wspólne chwile będą wkrótce należeć do przeszłości i nie powinna ich psuć kłótnią. Uśmiechnęła się i powiedziała: - Marisa cię lubi. Dlaczego miałyby cię nie lubić?

Twoja mama i Jonathan jadą jutro do Cannes na ważne spotkanie - oznajmił Peter. - A ekipa filmowa wyrusza jeszcze dziś wieczorem do Nicei, żeby opracować reklamówki. Niedługo będziemy znów mieli całe Vasaro dla siebie.

- To świetnie. - Marisa posłała mu uśmiech. - Jeżeli nie liczyć Katrine, Jacquesa i zbieraczy.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Oczywiście, wiem. Chcesz z powrotem zająć się swoimi pamiętnikami. - Marisa oparła się o pień drzewa oliwnego, ze wzrokiem utkwionym w pomarańczowozłote skrzydła motyla unoszącego się nad rabatą purpurowych fiołków. - Czemu one są dla ciebie takie ważne, Peter? Powiedziałeś, że Caitlin chce odczytać napisy, a ty?

Peter zamknął oprawny w brązową skórę pamiętnik Catherine i odwrócił się do Marisy.

- Nie wiem. Chyba dlatego, że ludzie, którzy pisali te pamiętniki, zawsze byli mi jakoś bliscy i... nie, to nieprawda. Od chwili, kiedy zacząłem czytać pamiętniki Cateriny, poczułem się, jakbym był częścią ich życia. - Zrobił pocieszoną minę. - Odkąd przyjechałem do Vasaro, zaczęli mi się nawet śnić.

Marisa zerwała źdźbło trawy i zaczęła je gryźć.

- Co ci się śni?

- Nic dobrego.

- Tańczący na Wietrze?

- Niezupełnie.

Pokręciła głową.

- Mam to z ciebie wyciągać?

Zrobi to, pomyślał smutno. Usłyszała cień zaniepokojenia w głosie i będzie nalegać.

Zdażył ją już poznać na tyle, że wiedział, iż pogoda ducha Marisy łączyła się z niezłomną determinacją w przypadku z troskania o bliskich.

- Paradygnes.
- Kto?
- Nie pamiętasz? Mówiłem ci przecież, że Paradygnes był bratem króla Troi, i to on dał Androsowi Tańczącego na Wietrze i pomógł mu wydostać się z Troi przed jej upadkiem.
- Racja! Zdecydował się zostać i zginął, kiedy Grecy wdarli się do miasta.

Peter przytaknął.

- Miałem sny na jego temat.
- Jakie sny?
- Dokładnie takie, jakich mogłabyś się po mnie spodziewać. Wariackie. Paradygnes siedzi na wysokim krześle, które wygląda jak tron. Opiera głowę o wysokie, rzeźbione oparcie, ma zamknięte oczy. On na coś czeka.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem. - Wzruszył ramionami w geście bezradności. - Patrzę na niego, a jednocześnie czuję, że nim jestem. Wyczuwam jego smutek i jego cierpliwość, i jego oczekiwanie.
- To nie jest zły sen. Dlaczego cię niepokoi?
- Bo wiem, że on otworzy oczy i na mnie spojrzy. - Peter pokręcił głową. - Powiedziałem ci już, że to zwariowane sny.

Marisa odrzuciła źdźbło trawy i przyklękła przed nim.

- Posłuchaj, masz te wszystkie dziwne sny, bo przez cztery ostatnie dni cały czas miałeś przed sobą pamiętnik Catherine. Dlatego śnią ci się legendy związane z Tańczącym na Wietrze. Jak znowu będziesz miał ten głupi sen, pomyśl, że ty i Paradygnes nie macie ze sobą nic wspólnego. Ty czekałbyś, aż Grecy wedrą się do miasta i cię zabiją. Jesteś typem wojownika. Uciekałbyś z Androsem albo sam jeden obronił Troję.

Zachichotał.

- Cieszę się, że masz o mnie tak dobre zdanie.
- To prawda. Jeśli dzisiaj Paradygnes zapuka do ciebie, odeślij go. Niech ci nie zawraca głowy.
- Masz rację. - Wszystko, co powiedziała Marisa, miało głęboki sens. Nie potrafił jednak do końca wyjaśnić jej, jakie uczucia budziły w nim te sny. Kiedy stał tak przed sędziwym mężem, z przerażeniem czekając, aż otworzy oczy, wiedział, że to się musi zdarzyć, ponieważ w jakiś dziwny sposób był częścią tego dumnego, smutnego Trojanina.

Marisa nie miała jednak racji twierdząc, że Paradygnes

i on są tak od siebie różni. Nie wiedziała, że to ona była wojownikiem i całą siłą woli starała się obudzić tę cechę u niego. On był dużo bardziej skłonny pogodzić się z losem i dostosować do sytuacji jak Paradygnes.

Łączyło ich jeszcze coś, o czym nawet nie wspomni Marisie. Stary człowiek nie był w stanie uciec ani podjąć walki, ponieważ był słaby, podobnie jak Peter.

Paradygnes był kulawy.

- Masz rację, odprawię go. - Peter podniósł się i pomógł Marisie wstać. - Chodź. Pojedź ze mną do Grasse. Przygotowałem już paczkę dla Caitlin i chcę jeszcze dzisiaj ją wysłać.

Kiwnęła głową równając z nim krok.

- Zaczekaj. - Zatrzymał się i odszedł od niej trochę dalej. - Słońce przebija przez korony drzew i tworzy aureolę wokół twojej głowy. - Uniósł Nikona zwisającego na pasku z jego szyi i wycelował w nią obiektyw. - Fantastyczny efekt. Wyglądasz jak anioł.

- Zrobiłeś mi już całe mnóstwo zdjęć - zaprotestowała. - Zdjęcia powinny dobrze oddawać rzeczywistość, a ja z pewnością nie jestem aniołem.

- Wiem. - Podobnie jak jej matka, Marisa potrafiła być zdumiewająco konkretna. - Ale tak czy owak chcę zrobić to zdjęcie.

Nie była anielska. Była poważna, czarująca, była wszystkim, co stanowi o uroku życia w najpiękniejszej z chwil.

Była wschodem słońca.

W drodze do wioski Marisa i Peter przystanęli na wzgórzu, żeby porozmawiać z Jacquesem.

- Widzę, że najałeś nowych pracowników - zauważyła Marisa, patrząc na pole pelargonii. - Potrzebowałeś ich? Pelargonie są już prawie zebrane.

Jacques wzruszył ramionami.

- Anise jest już w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby móc pracować w polach, a Pierre musiał wyjechać do Lyons pomóc matce w sklepie, więc najałem dorywczych pracowników na ich miejsce. - Skrzywił się. - Nie popracują tu zbyt długo. Obaj dbają o to, żeby nie pobrudzić sobie rąk i żeby się nie spocić.

- Czemu nic mi nie powiedziałaś? Mogłabym wam pomagać co rano. - Zwróciła się do Petera, który wycelował obie-

ktyw w pole. - Przyjdę jutro do laboratorium po południu zamiast rano.

- Co? - zapytał roztargnionym tonem, pstrykając kolejne zdjęcie. - Aha. Dobrze.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Masz zamiar zostać niewolnicą w tym Elizjum. - Skrzywił się, skierował obiektyw na ogorzałą od słońca i wiatru twarz Jacquesa i zrobił mu zdjęcie. - I ja chciałbym pomóc.

- Nie ma mowy. Masz swoją pracę do wykonania. - Wzrok Marisy powędrował ku dwóm mężczyznom pracującym w odległym końcu rzędu. Jacques miał rację, pomyślała. Żaden z nich nie pracował w tym samym płynnym rytmie co pozostali zbieracze; więcej czasu spędzali na rozmowie i żartach. Wysoki, płowowłosy chłopak wyglądał na Anglika i prawdopodobnie przyjechał do Francji na wakacje. Drugi mężczyzna był starszy, trzydziestoparoletni, krępy, o śniadej cerze. - Wydaje mi się, że pracowałabym dużo lepiej niż oni, Jacques. Naprawdę się nie przemęczają.

- Już ja ich rozruszam. - Jacques zacisnął wargi i z ponurym wyrazem twarzy skierował się w stronę pola. - Spocą się, czy tego sobie życzą, czy nie. - Zawołał: - Ej, Kembro, wydaje ci się, że to piknik? Tu się zbiera kwiaty, a nie wacha.

Wysoki płowowłosy chłopak uniósł głowę, po czym zaczął szybko zrywać pelargonie.

- A ty co, Ferrazo? - zawołał Jacques do starszego z dwójki. - Chciałeś mieć pracę, to teraz pracuj!

Ferrazo spojrział na Jacquesa i obnażył zęby w szerokim uśmiechu. Przeniósł wzrok na wzgórze, gdzie stali Marisa i Peter. Przez chwilę im się przyglądał, po czym skupił się na zrywaniu pomarańczowoczerwonych pelargonii.

Tego dnia wieczorem Ledford otrzymał telefon od Ferraza w swoim apartamencie w Paryżu.

- Chyba ktoś dzisiaj zrobił mi zdjęcie. Ten Maskovel, który mieszka w wiosce - powiedział Ferrazo, gdy tylko Ledford uniósł słuchawkę. - To mi się nie podoba.

- Wydaje ci się, że coś podejrzewa?

- Nie, robi zdjęcia całej okolicy.

- W takim razie nie martw się o to. - Ledford oparł się o oparcie fotela. - To wszystko?

- Nie, nie podoba mi się ta harówka na polach i gadanie bzdur. Morduję się tu już prawie tydzień. Nie umawiałem się z tobą na robotę na farmie - utyskiwał Ferrazo.

- To już nie potrwa długo. Co robi od przyjazdu ta Vasaro?

- Ona tu nie przyjechała.

Ledford bezwiednie wyprostował się w fotelu, zaszokowany wiadomością.

- Jak to, nie przyjechała? Cztery dni temu opuściła hotel i poleciała do Nicei.

- Nie pojawiła się tutaj. Jest tylko ekipa filmowa, Maskovel i...

- Czemu mnie nie zawiadomiłeś, że nie wróciła do Vasaro?

- Myślałem, że o tym wiesz - tłumaczył się pokornie Ferrazo.

- Przysłałeś mnie tutaj na wypadek, gdyby wróciła do Vasaro.

Alex posłał po nią, żeby przyjechała do niego do Stambułu. Przejął inicjatywę i udało mu się oszukać zarówno jego, jak i jego ludzi. Ależ musi się z nich teraz śmiać. Powrócił myślą do okresu sromotnych porażek z Alexem w Quantico i ogarnęła go dzika wściekłość.

Po chwili szok ustąpił miejsca tak ogromnemu bólowi, że z trudem zbierał myśli. Poczul się zdradzony. Jak Alex mógł mu to zrobić? Pozwolił, by ta dziwka weszła pomiędzy nich i zepsuła ich wielki, mistrzowski pojedynek. Bez wątpienia ukrywa się tam, skoro Cygan nie był w stanie go znaleźć przez te dwa dni. Może nawet teraz pieprzy się z tą suką. Swego czasu powstrzymał się od zlecenia Ferrazowi zabicia Alexa i teraz otrzymał za to taką zapłatę.

- Ty głąbie. Chciałem wiedzieć o niej wszystko - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Nie jestem głupi. Nie wiedziałem, że... czy mam zostać w Vasaro?

- Co? - Ledford starał się zebrać myśli mimo potwornego uczucia rozdarcia. - Skąd dzwonisz?

- Z apteki w wiosce.

- Podaj mi swój numer i czekaj. Oddzwonię.

Zapisawszy numer, Ledford odłożył słuchawkę.

Caitlin Vasaro. Widział w gazetach jej zdjęcia z przyjęcia w Wersalu, ale z trudem przypominał sobie jej wysoką sylwetkę i delikatne rysy twarzy. Była jedynie pionkiem w tej grze, lecz najwyraźniej zaczynała nabierać znaczenia. Nie przestraszyła się i nie udała we właściwe miejsce po otrzymania-

niu ostrzeżenia. Ona też musiała być zaangażowana w to oszustwo. To była jej wina. Wykorzystała załamanie Alexa po śmierci Pavła, by go uwieść i odciągnąć od nieuchronnej konfrontacji z Brianem. To ona spowodowała, że Alex go zdradził.

Sięgnął po słuchawkę, lecz po chwili opuścił rękę. Trzeba uporządkować myśli. Przede wszystkim musi załatwić tę robotę w Luwrze, żeby nic mu nie przeszkadzało. Nie może działać pod wpływem impulsu, kiedy gra idzie o tak wielką stawkę. Odkąd Alex znów pojawił się w jego życiu, trudno było mu wyłączyć emocje i dostrzegał, jakie kryje się w tym niebezpieczeństwo. Gdy wygaszał emocje, rozumiał, jak nierozsądne jest obwinianie Alexa o zdradę, ponieważ nie wiedział, co Brian planuje dla niego, jeśli podejmie wyzwanie. Ta irracjonalność myślenia niemal zniszczyła go w wieku chłopięcym, ale teraz potrafił się już kontrolować.

Usiadł w fotelu obok stołu i próbował się skoncentrować. Musi chłodno i precyzyjnie przemyśleć, jak pokazać Alexowi, że nic nie zyskał na swoim oszustwie.

Alex stał przy drzwiach i natarł na Caitlin, gdy tylko weszła do domu.

- Gdzie ty była tyle czasu, do diabła?

- Uspokój się, Alex - powiedział cicho Kemal, wstając z sofy.

Caitlin spojrzała na ponurą twarz Alexa i natychmiast stała się czujna. Odłożyła notatnik i torebkę na stół obok drzwi, zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- W muzeum archeologicznym. - Obeszła barek, otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę lemoniady. Ignorując Alexa, powiedziała: - Cześć, Kemal.

- Cześć, Caitlin. - Uśmiechnął się do niej. - Jak minął dzień? Przyjemnie?

- Niestety, to dla mnie okropny dzień. Boli mnie głowa i jestem potwornie zmęczona. - Nalała lemoniadę do szklanki i włożyła butelkę z powrotem do lodówki. - I nie mam ochoty na śledztwo.

- Wielka szkoda. - Alex wlepił w nią wzrok. - Wychodzisz o świcie, a wracasz o trzeciej po południu i myślisz, że nie będę ci zadawał żadnych pytań?

- Mówisz jak skrzyżowanie belfra z rozsierzdzonym małżonkiem. Żadna z tych ról do ciebie nie pasuje.

- On się o ciebie niepokoił - wtrącił Kemal. - Myślał, że jesteś ze mną, dopóki nie przyszedłem do niego na lunch.

- Powinnaś być z nim - rzekł Alex. - A ty wałęsasz się sama po Stambule, nie mówiąc nikomu, gdzie...

- Zostawiłam karteczkę.

- Na której napisałaś tylko to, że wrócisz za parę godzin.

- Nie spodziewałam się, że to zajmie mi tyle czasu. Poszłam do muzeum i nie chciałam, żeby ktoś mi przeszkadzał, kiedy pracuję. - Uniosła szklankę do ust i wypita łyk lemoniady. - Poza tym, Kemal by się nudził.

- W twoim towarzystwie? Nigdy.

- Zamknij się, Kemal - warknął Alex.

Kemal kiwnął głową.

- Tak chyba będzie najlepiej. - Usiadłszy na stołku, oparł łokcie o barek. - Mów dalej.

Caitlin obeszła barek i usiadła w osiemnastowiecznym fotelu naprzeciwko sofy.

- Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, Alex. Nie dopuszczę do tego, by Ledford zrobił ze mnie więźnia. Nie ma powodu, żeby Ledford miał podejrzewać, że nie wsiadłam w samolot do Nicei, a już na pewno nie wie, że jesteśmy tutaj, bo inaczej zrobiłby już jakiś ruch. Chciałam pójść do muzeum i poszłam.

- Bez ochrony.

- Trzy dni z rzędu chodziłam z Kemalem i nic się nie wydarzyło.

- Któż ośmieliłby się niepokoić cię przy takim tygrysie jak ja, który... - Kemal pochwycił spojrzenie Alexa i pokręcił głową. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę. Trudno mi nie brać udziału w rozmowie, a nie wiem, czyją brać stronę. - Zeskoczył ze stołka i ruszył do drzwi. - A ponieważ ta strona, którą bym poparł, bez wątplenia by wygrała, nie byłoby to uczciwe. - Otworzył drzwi. - Obgadajcie to sobie. Do zobaczenia jutro.

Caitlin patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi. Nagle roześmiała się.

- On jest niemożliwy.

- To słowo zostało stworzone z myślą o nim. - Jego próba przywołania na twarz uśmiechu nie powiodła się. - Kemal miał rację. Niepokoiłem się o ciebie. Czułem się zaniepokojony.

ny nawet wtedy, kiedy chodziłaś z nim, ale teraz było dużo, dużo gorzej. Robisz się zbyt pewna siebie.

- Może... Nie mogę siedzieć tu beczynninie. Muszę mieć chociaż złudzenie, że coś robię.

- A co zrobiłaś?

- Przyglądałam się wszystkim tablicom i murom z inskrypcjami. Potem porozmawiałam z kustoszem, *monsieur* Modu-
-em, i udało mi się go namówić, żeby wziął mnie na dół i po-
kazał eksponaty przechowywane w magazynach.

- Nic dziwnego, że jesteś zmęczona.

- Było tam kilka tablic z napisami podobnymi do tych na
statuetce, ale inskrypcja na Tańczącym na Wietrze wygląda
mi bardziej na grecki.

- Spodziewałaś się, że będzie tam czekała na ciebie?

- Nie. - Wypiła kolejny łyk lemoniady, po czym zatoczyła
głową koło, żeby rozluźnić napięte mięśnie. - Kiedy powstał
Tańczący na Wietrze, było tyle oddzielnych krajów i kultur, że
z pewnością istniało mnóstwo dialektów języków. Trzy tablice
w muzeum nie zostały nigdy odczytane. Niecodziennie znaj-
duje się kamienie z Rosetty. Nie wiem, od czego zacząć.

- Przecież już zaczęłaś.

- Może... Ale etap eliminowania różnych wersji nigdy nie
daje satysfakcji. Pokazałam kustoszowi zdjęcia inskrypcji
i powiedział, że ryty są jakby mu znajome.

- Pochyl głowę. - Jego głos dobiegał z bliska. Stał tuż za jej
fotelem.

- Co?

Nie czekał, aż spełni jego prośbę. Poczwała na karku jego
dłonie, silne palce masujące jej szyję.

Zesztywniała, wszystkie jej mięśnie napięły się.

- Przestań - rzucił ochryple. - Chcę ci tylko pomóc. Za-
mknij oczy i rozluźnij się. - Kciuki zagłębiły się w ścięgna szyi
przeniknął ją dreszcz, gdy ustąpiło napięcie. - Powiedział ci,
gdzie mógł je widzieć?

Zamknęła oczy i otaczająca ją ciemność do tego stopnia
wzmogła przyjemne uczucie, że musiała zebrać myśli, zanim
przypomniała sobie, o czym rozmawiali. - Nie, obiecał, że się
nad tym zastanowi. Powiedziałam, że skontaktuję się z nim
jutro.

- Nie sądzisz, że go naciskasz?

- Przypominanie o tym, żeby się zastanowił, to jeszcze nie wywieranie nacisku.

- A jeśli nie przypomni sobie do jutra?

- Zatelefonuję pojutrze.

- I następnego dnia, i jeszcze następnego. - Roześmiał się.

- Powiedz mi, czy ten biedak ma automatyczną sekretarkę?

- Nie będę działać w ten sposób. Jestem przecież w tym samym mieście co *monsieur* Modul.

- Niech go Allach ma w swej opiece.

- Jesteś niedobry. Nigdy nie byłam niegrzeczna dla Petera.

- Jedyne natarczywa. - Lekko uciskał kciukami mięśnie karku. - Kiedy następnym razem będziesz szła do muzeum, zapewnij sobie towarzystwo moje albo Kemala.

Przesunął dłonie na obojczyk; poczuła się niemal oszołomiona rozkoszą, gdy ugniała, masował i koił napięte mięśnie.

- Lepiej się koncentruję, kiedy jestem sama.

- Nie będziesz się mogła skoncentrować, jeśli nie będziesz żyła.

Jego słowa przypawiły ją o dreszcz, lecz nie wydobyły z oszołomienia. Czuła, jak skóra szyi i ramion płonie pod dotykiem jego rąk. Co dziwne, mimo iż miała zamknięte oczy, niemal widziała jego mocne, śniade palce rytmicznie uciskające jej ciało.

- Wiem, że istnieje zagrożenie... ale nie dociera do mnie jako coś rzeczywistego. Nigdy w to nie wierzyłam. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś, kogo nawet nie znam, próbował mnie zabić. To nie ma sensu.

- Caitlin, do cholery, nie bądź idiotką. Obiekt jest najłabszy, kiedy czuje się bezpieczny. Wiem, jak to działa. Najpierw jest strach, a potem, kiedy przez jakiś czas nic się nie dzieje, pojawia się nuda. A nuda rodzi bez troskę. - Alex mówił niskim, przekonującym tonem. W ciemności czuła lekki limonowy zapach jego wody kolońskiej. - Nie będę ci przeszkadzał. Po prostu pozwól mi tam być.

Mięśnie Caitlin rozluźniły się, były miękkie, lecz nie mogła się poruszyć. Chciała, żeby jego ręce przewędrowały niżej i objęły jej piersi, chciała, żeby pochylił się nad nią i pocałował... lecz szarpnęła się i gwałtownie wstała. Jak może być tak głupia? Odwróciła się, by nań spojrzeć.

- Jesteś dobry, Alex.

ZAGADKI

W jego wzroku kryła się ostrożność.

- Myślę, że nie chodzi ci o moje umiejętności masażysty?
- Trzeba zorientować się, czego sobie życzą, i im to dać, a zrobią wszystko, co chcesz. Tak to było?

- Tak.

- Nie możesz już mieć nade mną władzy za pomocą seksu, Alex.

- Nawet nie próbowałem. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Przynajmniej nie to było moim zamiarem. Chciałem ci jedynie pomóc.

- Ale możesz chcieć to zrobić.

Uśmiechnął się z goryczą.

- Tak, ucieknę się do seksu, o ile będzie to oznaczało powstrzymanie cię od chodzenia samej po ulicach. Użyję wszelkich możliwych sposobów.

13

Samochód powoli sunął Pont Royal.

- To mi się nie podoba - rzekł Hans, wpatrując się w ciemne wody Sekwany. - Wyznaczyłeś za mało ludzi do tej roboty w Luwrze, a poza tym to wszystko jest za wcześnie od wybuchu w kościele.

- Trzech wystarczy - oznajmił Ledford, przyglądając się Hansowi. - Mamy zamiar to wysadzić, a nie kraść obrazy.

- Myślałem, że nie lubisz niszczyć obrazów i tych rupieci.

- Nike z Samotraki to nie rupieć - oświadczył Ledford, wykrzywając się. - Naprawdę muszę spróbować cię podkszałcić.

Hans poczuł ogromną ulgę. Ostatnio Brian okazywał mu zniecierpliwienie, jakby znudził się ich związkiem. Lecz skoro miał zamiar go kształcić, to znaczyło, że wciąż o niego dba. Istniała jeszcze nadzieja.

- Nic nie wiem o tych rupieciach, ale mogę się nauczyć.

Brian delikatnie pogładził Hansa po włosach. Chłopak nie poruszył się, nie dał po sobie poznać, jak wiele znaczył dlań ten gest. Brian zawsze dotykał włosów Hansa, bawił się nimi, okręcał dookoła palców. Boże, nie cierpiał tych długich, miękkich włosów. Nie mógł patrzeć na siebie w lustrze. Niektórzy mówili, że Brian jest pedałem, ale to były kłamstwa. Hans czuł, że Brian kocha go jak syna i nie było w tym nic nienormalnego.

- Będziemy musieli dać ci szansę - orzekł Brian. - Jak tylko skończymy robotę. - Skręcił w prawo i zatrzymał się przy Quai des Tuileries. - Masz swój nóż? Usun cicho strażnika przy wejściu.

Hans skinął głową.

- Jak wejdiesz na dziedziniec, będziesz bezpieczny. Ja już zająłem się innymi strażnikami.

- Łapówki?

Brian przytaknął.

- Cordoza i Brenter spotkają się z tobą obok szklanej piramidy na Cour Napoleon. Mają ze sobą ładunki wybuchowe. Nastaw zapalniki na dziesięć minut, żebyś zdążył wrócić do samochodu.

Hans kiwnął głową.

- Znam swoją robotę. - Zaczął wychodzić z wozu.

- Zaczekaj. - Oczy Briana błyszczały w ciemności, gdy pochylił się i delikatnie dotknął policzka Hansa. - Zastanawiam się, czy wiesz, jak mi na tobie zależy?

Hansa ogarnęła ogromna radość, jak zawsze, gdy Brian dotykał go z czułością. Zanim w jego życiu pojawił się Brian, nikt nie pieścił go, nie opiekował się nim i nie uczył posłuszeństwa. Hans nienawidził wszelkiej dyscypliny, ale Brian twierdził, że jest niezbędna, że robi to w imię ojcowskiej miłości.

- Idź już - wyszeptał Brian, opuszczając rękę. - Czas już na ciebie.

- Do zobaczenia. - Hans wyskoczył z samochodu i szybko ruszył w kierunku głównego wejścia.

Strażnik stał tyłem do ulicy, obserwując dziedziniec, jakby dobiegł go stamtąd jakiś hałas. Śmiesznie łatwo Hans zdołał zbliżyć się do niego. Otoczył lewą ręką szyję wartownika, nakrywając mu usta dłonią, a drugą ręką zagłębił długi, trzydziestopięciocentymetrowy nóż między żebra, by przebić serce.

Zawłókł strażnika na dziedziniec, ukrył ciało w cieniu, po czym podszedł do szklanej piramidy.

Brenter i Cordoza stali już obok piramidy, a dostrzegłszy Hansa, ruszyli w jego stronę. Hans zeszytywniał widząc wyrazistą, przystojną twarz Cordozy i jego gęste czarne włosy błyszczące w świetle księżyca. Parę razy w ciągu ostatnich miesięcy przyłapał Briana na tym, jak w zamyśleniu przyglądał się Cordozie. Wstrętny dzikus. Nigdy nie lubił tych brudasów. Miał nadzieję, że palant przyniósł zapalniki. Przy ostatniej robocie zapomniał o dwóch i gdyby Hans nie był w stanie naprędce sklecić...

Pół twarzy Cordozy odpadło.

Coś ciemnego i miękkiego plasnęło na szkło piramidy.

Mózg Cordozy.

Brener z krzykiem przypadł do ziemi. Zbyt późno. Przd jego marynarki zakwitł krwawymi plamami po kolejnej serii kul.

Chryste, co się dzieje?

Hans rzucił się za piramidę i sięgnął do kieszeni marynarki po nóż. Kule rozbiły przyległą ścianę piramidy.

Co było nie tak? Wszystko miało być przygotowane. Brian powiedział, że jest załatwione...

- Przykro mi, chłopcze.

Hans odwrócił się. W świetle księżyca zobaczył stojącego nie opodal Briana. Trzymał w rękach pistolet maszynowy Ingram MAC-10 i uśmiechał się łagodnie.

- Powiedziałeś, że wszystko było załatwione - wybełkotał Hans.

Brian przytaknął.

- Było. To nie strażnicy. To ja.

- Dlaczego?

- Taka była umowa. Potrzeba było paru ofiarnych owieczek, a ja czułem się zobligowany do dokonania rzezi same-mu. Przecież jesteście moimi ludźmi.

Brian uniósł pistolet i wycelował w głowę Hansa. Przed chwilą widział, jak mózg Cordozy rozbryznął się na piramidzie; wiedział, czego potrafi dokonać ta broń. Zawahał się, obniżył lufę i wystrzelił krótką serię w ciało Hansa.

Ból.

Hans zawył, opadł na ziemię i znieruchomiał.

- To tylko dopełnianie warunków umowy, Hans - powiedział usprawiedliwiającym tonem Brian.

Hans leżał nieruchomo, zagryzając dolną wargę, by nie wydać krzyku, który spowoduje kolejną serię kul.

Usłyszał odgłos kroków Briana, oddalających się ku bramie.

Umierał. Brian go zabił.

Straszliwy szok zaczynał ustępować miejsca kipiącej nienawiści.

Miał umrzeć, ponieważ Brian tak bardzo pożądał tej przekłetej statuetki, że zawarł umowę, pozwalającą mu ją zdobyć.

Nie, nie umrze.

Nie jest tak mądry jak Brian, ale jest młodszy i silniejszy.

A Brian nie był taki znów sprytny. Nie wykonał należycie swojej roboty. Zawsze należało się upewnić, że atak zakończył się powodzeniem, i Brian złamał tę regułę. Hans zrobiłby to lepiej...

Jego histeryczny śmiech brzmiał niemal jak szloch, gdy pełzł w stronę bramy. Dla Briana zrobiłby wszystko. Pozwól mi to zrobić, Brian. Pozwól mi zabić się dla ciebie. Zrobię to lepiej.

Czołgał się pomału, w męce, czując jak krew płynie z jego ran na kamienie dziedzińca. Jak tylko stąd się wydostanie, zatamuje krew.

Zapewni sobie pomoc.

Przeżyje.

Nie może umrzeć, dopóki żyje Brian Ledford.

Jak zwykle po śniadaniu Alex zatelefonował do Hiltona, by odebrać wiadomości. Była tylko jedna, pozostawiona tego samego ranka o ósmej czterdzieści pięć.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Caitlin:

- Sukces. Wiadomość od Irmaka.

Caitlin spojrzała nań, zaskoczona.

- Co przekazał?

Spojrzał na wiadomość zapisaną na kartce obok telefonu.

- „Mam coś dla ciebie. Przyjdź do Meczetu Selima Wielkiego o dziesiątej rano. ”

- Idę po torebkę.

- Pospiesz się. Musimy znaleźć taksówkę, a w Stambule jest ponad pięćset meczetów.

Caitlin przewiesiła przez ramię torebkę z koźlej skóry.

- Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Kemal zaprowadził mnie chyba do wszystkich - oznajmiła sucho. - Poza tym większość z nich zawiera szczątki osobistości nazwanej „wielką” albo „wspaniałą”. Będziemy mieli szczęście, jeśli trafimy na taksówkarza, który znajdzie to miejsce.

Meczet Selima Wielkiego znajdował się po drugiej stronie Bosforu i dotarcie tam zajęło Caitlin i Alexowi ponad godzinę. Irmak czekał już przed wejściem. W swojej szacie pośród tłumu turystów wyglądał jak groteskowa postać z ulicznego teatru lalek. Zauważywszy Alexa i Caitlin, ruszył w ich stronę, a gdy podszedł bliżej, spostrzegli, że nalana brązowa twarz pokryta jest tłustym potem.

- Mam coś dla ciebie. - Drżącą ręką podał Alexowi białe podłużne pudełko. - Prezent.

Alex ze zniecierpliwieniem popatrzył na pudełko.

- Nie uda ci się mnie przekupić, Irmak.

- To nie ode mnie. Od Ledforda.

Alex poczuł zimny dreszcz na wspomnienie niebieskiego kaszmirowego szala leżącego na progu domu w Paryżu.

- Od Ledforda? To on jest tutaj?

- Nie wiem - wymamrotał Irmak. - Ja nic nie wiem. Zostaw mnie w spokoju. - Odwrócił się i zaczął odchodzić kaczym krokiem.

- Zaczekaj! - zawołał za nim Alex. - Gdzie jest... - Urwał.

Irmak zniknął w tłumie. Nie sposób było teraz się z nim rozprawić.

Caitlin z przerażeniem wpatrywała się w pudełko i Alex wiedział, że ma teraz przed oczami szal leżący przed jej drzwiami w hotelu.

- Otwórz to - poprosiła szorstkim głosem.

Odwiązał wstążkę i powoli otworzył pudełko.

Na wyściółce z bibułki leżał czarny tulipan.

Alex wyjął bilecik leżący obok kwiatu.

- Co pisze? - zapytała Caitlin.

- To nie jest wiadomość od Ledforda - odparł Alex. - To kartka z krótką historią tulipana, którą zazwyczaj dodaje się do bukietów sprzedawanych turystom. - Zaczął czytać na głos: - „Wbrew obiegowej opinii, że ojczyzną tulipana jest Holandia, uprawa tych kwiatów w Europie rozwinęła się we Francji po przewiezieniu ich z Turcji na dwór Ludwika XIV przez francuskiego ambasadora na dworze otomańskim. Kwiaty mają różną barwę, kształt i wielkość, a rozmnażają się z cebulek...”

- Nieee!

Ośłupiał.

Jej twarz była kredowoblada, oczy pałały.

- Nie rozumiesz? Czerń jest kolorem żałoby. Czarny kwiat przywieziony do Francji.

- Boże... - wyszeptał.

Pudełko wypadło mu z rąk. Czarny tulipan został rozdeptany pod jego butem, kiedy wybiegł na ulicę, żeby zatrzymać taksówkę.

Czarny kwiat przywieziony do Francji.

Vasaro!

To może być tylko ostrzeżenie - rzekł Alex, wybierając numer centrali, by prosić o połączenie z Vasaro. - Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

- Przecież nie ma powodu, żeby chciał mścić się na kimkolwiek w Vasaro. - Caitlin siedziała w fotelu tępo wpatrując się w telefon; wszystkie mięśnie miała napięte w oczekiwaniu. - To nie ma sensu.

- Pewnie, że nie. Ale skontaktuję się z Jonathanem i ostrzeżę go, żeby...

- Przykro mi, *monsieur*, lecz jest uszkodzenie linii - oznajmił znudzonym głosem telefonista. - Proszę zadzwonić później.

- Uszkodzenie linii - zwrócił się do Caitlin i szybko rzucił w słuchawkę: - W wiosce jest apteka. Nie znam numeru. Proszę spróbować tam się dodzwonić.

- To nic nie da. Jest uszkodzenie w całym rejonie. Proszę zadzwonić później.

Alex odłożył słuchawkę, czując dławienie w klatce piersiowej. Linia telefoniczna do Vasaro została odcięta. Podejrzenia przeradzały się w pewność. Boże, niemal widział błysk słońca na stali nożyc, kiedy przecinano przewody telefoniczne.

- Co się stało? - wyszeptała Caitlin, patrząc na jego zmienioną twarz.

Alex nie spojrział na nią i sięgnął do kieszeni po paszport.

- Może nic. Ale tak czy owak lecę do Vasaro.

- Wyjdź i złap taksówkę. - Caitlin uniosła słuchawkę. - Zrobię rezerwację na najbliższy lot do Nicei.

- To może być pułapka.

- A może być podstęp, żeby odciągnąć cię ode mnie i zabić mnie tutaj.

Alexowi również przyszła do głowy taka możliwość. Paragraf 22. Mógł poprosić Kemala, żeby zajął się Caitlin w czasie jego nieobecności, lecz wtedy, będąc w Vasaro, cały czas szalałyby z niepokojem.

- Jadę z tobą, Alex. - Głos Caitlin drżał. - Nic mnie nie zatrzyma. Chodzi o Vasaro.

Skinął głową i ruszył do drzwi. Vasaro było sensem jej życia i nie miał prawa się jej przeciwstawiać. Mógł tylko próbować ją ochronić.

Boże, czuł się bezradny. Jedyłą nadzieją był Jonathan An-

dreas - był bystry, czujny i znał sytuację. Dzięki Bogu, że Jonathan jest wciąż w Vasaro.

Trzy godziny zajęło Jonathanowi i Chelsea dotarcie z Vasaro do położonej wśród wzgórz winnicy, gdzie Jennings umówił się z nimi w domu przyjaciela.

Nieco zaokrąglona sylwetka i pełna twarz Alberta Jenningsa przywodziła na myśl stereotypowe wyobrażenie starego lekarza domowego. Do tego wyobrażenia nie pasowały jedynie starannie zaczesane siwe włosy, przyszczyżone z takim mistrzostwem, że każdy znajdował się idealnie tam, gdzie powinien. Obowiązkowa fryzura polityka, pomyślała Chelsea, wchodząc za Jenningsem i Jonathanem na werandę, z której roztaczał się widok na winnicę.

W czasie długiej jazdy Albert Jennings był uprzejmy dla Jonathana, niezwykle układowy wobec Chelsea, i ani razu nie dał do zrozumienia, że spotkanie jest czymś więcej niż towarzyską pogawędką rodaków na obczyźnie.

- Proszę usiąść, pani Benedict. - Jennings wskazał wygodny biały fotel stojący tak, że umożliwiał siedzącemu kontemplowanie krajobrazu - zielonych wzgórz i położonych na zboczach winnic. Odwrócił się i spojrzał ponad winnicami na późnopołudniowe słońce. Pędy winorośli były brzemienne gronami ciemnopurpurowych owoców. - Czas winobrania. Piękny widok. W czasie drugiej wojny światowej stacjonowałem we Francji i pamiętam, jak przyjechałem tu pierwszy raz po wojnie, spojrzałem na te wzgórza i przysięgłem sobie, że jak będę na emeryturze, to zamieszkać gdzieś w tym regionie. - Uśmiechnął się. - Ale wszystko się zmienia, prawda? Teraz chcę być jak najbliżej wnuków. Powinna pani to zrozumieć, bo ma pani córkę.

Chelsea uśmiechnęła się powściągliwie.

- Tak, mam córkę, Marisę.

Jonathan usiadł w fotelu obok niej, twarzą do Jenningsa, jakby w milczeniu tworząc front przeciwko wrogowi.

- To wspaniała dziewczyna.

Jennings uśmiechnął się serdecznie, opierając się o kamienną balustradę.

- Latorośl pani Benedict nie może nie być czarująca. Cały świat zachwyca się urodą i talentem Chelsea Benedict.

Chelsea kurzowo zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

- Przejdźmy do sedna sprawy, dobrze? Nie mam cierpliwości na takie pogaduszki. Przecież to spotkanie odbywa się z mojego powodu, prawda?

Uśmiech Jenningsa przygasał. Skinął głową.

- Uznałem, że nie od rzeczy będzie porozmawiać z Jonathanem na temat jego związku z panią.

Chelsea spojrzała wyzywająco.

- Byliśmy bardzo ostrożni. Widziano nas razem tylko przy okazji prezentacji Tańczącego na Wietrze i rozpoczęcia kampanii reklamowej perfum.

- Daj spokój, Al. - Jonathan wypowiedział te słowa cicho, lecz stanowczo. - To nie twoja sprawa.

- To jest jego sprawa - natarła na Jonathana Chelsea. - Oczywiście, że jest. Jesteś osobą publiczną.

- Akurat!

- Moim zamiarem było jedynie udzielić ostrzeżenia co do przyszłego uwikłania - wyjaśnił Jennings. - Ma pani rację, byliście państwo niezwykle dyskretni.

- Mamy zamiar się pobrać, Al - oznajmił Jonathan.

- Nie! - ostro zaprotestowała Chelsea, po czym, starając się opanować wzburzenie, zwróciła się do Jenningsa: - Niech pan mu powie. Na co pan czeka?

Na chwilę spod maski zawodowej uprzejmości Jenningsa wyjrzała twarz pełna szczerzej sympatii i współczucia.

- Zdaje sobie pani sprawę, że to nie jest obowiązek, który przyjąłbym na siebie, gdybym miał możliwość wyboru. Osobiście szczerze panią podziwiam.

- Proszę mu powiedzieć.

Jennings odwrócił się do Jonathana.

- To się nie uda, Jonathan. Rozwód, więzienie, skandaliczny proces sądowy. To przekreśliło twoje szanse u wyborców. Nie możemy obiecać, że twoja kandydatura zostanie przyjęta, jeśli się z nią ożenisz.

- Podobno „szczerze ją podziwiasz” - zauważył z sarkazmem Jonathan. - Czy wiesz, że siedząc w więzieniu uzupełniła wykształcenie, a kiedy wyszła na wolność, zdobyła dyplom Columbia University? Że zna cztery języki? - Jennings próbował coś wtrącić, lecz Jonathan nie dał mu na to szansy. - I że jest przewodniczącą Towarzystwa Schronisk dla Maltretowanych Dzieci, że w zeszłym roku przekazała pięćset tysięcy dolarów na Fun-

dusz Pomocy Dzieciom Upośledzonym, nakręciła cztery reklamówki i objechała dwadzieścia trzy miasta w ramach kampanii na rzecz likwidacji analfabetyzmu w Stanach?

Chelsea spojrzała na niego zbита z tropu. Nie zdawała sobie sprawy, że Jonathan ma tyle wiadomości na temat jej życia z dala od niego.

Jonathan uśmiechnął się do niej, rad z efektu.

- Wybacz, że niszczę ten twój *image* nie szlifowanego diamentu, który starasz się mi wcisnąć wszelkimi sposobami, ale czy naprawdę myślałaś, że nie będę próbował dowiedzieć się wszystkiego na temat kobiety, którą kocham? - Uśmiech Jonathana zgasł; po chwili zwrócił się do Jenningsa. - A poza tym zawsze dobrze jest gromadzić amunicję na czas strzelaniny.

Jennings pokręcił głową.

- Każda kampania polityczna musi uwzględniać najniższy wspólny mianownik populacji. W społeczeństwie jest mnóstwo uprzedzeń co do nietypowych życiorysów i to odbije się na liczbie oddanych głosów. - Jennings popatrzył Jonathanowi prosto w oczy. - Nawet jeśli udałoby nam się obejść jakoś tę sprawę procesu sądowego, istnieje jeszcze coś takiego jak wizerunek publiczny. Pani Benedict może prowadzić działalność dobroczynną jak Matka Teresa, ale jest przy tym żywiołowa, impulsywna i mówi prosto w oczy to, co myśli. - Uniósł rękę, widząc, że Jonathan ma zamiar zaprotestować. - Zgadzę się, że ta ostatnia cecha jest ze wszech miar godna pochwały, ale nie u *first lady*. W tej grze liczy się dyplomacja.

- Skończyłeś? - zapytał Jonathan.

Jennings przytaknął.

Jonathan wstał.

- Idź do diabła. - Odwrócił się do Chelsea. - Nie mamy tu już nic do roboty. Spotkanie skończone.

- Nie. - Chelsea kciukiem wskazała drzwi. - Może dobrze zrobi panu mały spacer, Jennings? Ja się tym zajmę.

Jennings zawahał się, po czym oderwał się od balustrady.

- Chcemy tylko jego dobra. Tym tylko musimy się kierować.

- Wiem - odparła Chelsea. - Wszystko będzie dobrze. Proszę nas tylko zostawić samych.

Jennings skinął głową i ruszył do drzwi.

- Powiem Paulowi, żeby później podał herbatę.

Jonathan zaczekał, aż za Jenningsem zamkną się drzwi, po czym dobitnie akcentując słowa, powiedział:

- Nie, Chelsea.

- Nie mów mi „nie”. - Chelsea zerwała się z fotela i spojrzała w kierunku winnic. - Nie masz na ten temat nic do powiedzenia. Nie będziemy się spotykać, dopóki nie otrzymasz nominacji.

Jonathan nie dawał za wygraną.

- Jennings się myli. Wyborcy na pewno by cię zaakceptowali.

- Dlatego, że ty zaakceptowałeś? Gdyby większość populacji składała się z armii Jonathanów Andreasów, może mielibyśmy szansę. Ale tak nie jest. Co powiedział Jennings? Najniższy wspólny mianownik...

- Wygląda na to, że darzę wyborców większym szacunkiem niż wy - powiedział cicho Jonathan. - Wierzę, że wyżej cenią inteligencję i prawość niż pozorną cnotę.

- Nie możesz podejmować takiego ryzyka.

- Chodzi o moją karierę, Chelsea.

- I nie wolno ci jej rujnować. - Patrząc na niego płonącymi oczami, ciągnęła ochryplym głosem. - Więc posłuchaj. Zrobimy tak. Rozstaniemy się i nie będziemy się spotykać aż do dnia wprowadzenia perfum na rynek, a potem znowu się rozejdziemy, dopóki nie otrzymasz nominacji.

- Głupstwa opowiadasz.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- Kiedy zostaniesz kandydatem, będziemy się widywać oficjalnie, ponieważ będę brać udział w twojej kampanii. A jak zostaniesz prezydentem, najbezpieczniej dla ciebie będzie...

- Uczynić cię moją kochanką i wpuszczać do Białego Domu tylnymi schodami - dokończył za nią Jonathan. - Wybacz, kochanie, ale zupełnie się na to nie godzę.

- Tylko tyle będzie nam dane - powiedziała matowym głosem. - Mówię poważnie, Jonathan. Nigdy nie uważałam się za *femme fatale* i nie chcę być wampem, dla którego mężczyźni rezygnują ze swoich ambicji. Skoro nie zgadzasz się na moje warunki, więcej mnie nie zobaczysz.

Jonathan wpatrywał się w nią w napięciu.

- Blefujesz.

- Nie jestem mistrzem negocjacji, tak jak ty, Jonathan. Nie mam pojęcia o blefowaniu. Dysponuję tylko jedną bronią

i mam zamiar jej użyć. Jeśli chcesz, żebyśmy mieli ze sobą coś wspólnego, nie odrzucaj moich warunków.

Przez jego twarz przemknął wyraz zniecierpliwienia.

- To mi się nie podoba, Chelsea.

- Uraziłam twą męską próżność, ponieważ nie pozwalałam ci odgrywać roli wielkiego, szlachetnego bohatera? - parsknęła Chelsea. - To źle. Świat już nie działa na tych zasadach.

- Próbujesz mnie rozzłościć.

Odwróciła się.

- Może i próbuję. To byłoby jakieś wyjście.

- Bardzo złe wyjście. Powiem Jenningsowi, że nie będę kandydował.

- Wycofanie się będzie tylko stratą czasu. Za pięć lat, a może nawet wcześniej, dojdiesz do wniosku, że to, co było między nami, już minęło i wtedy zaczniesz się ubiegać o urząd. Przecież tego pragniesz, Jonathan. - Spojrzała na niego poważnie. - Wiesz, że dotrzymuję obietnic. Ogłoś, że dla mnie rezygnujesz z fotela, a więcej się nie zobaczymy.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę.

- Chryste, ależ jesteś twarda.

- Jestem. A teraz powiem Jenningsowi, że nie musi się już dłużej martwić z mojego powodu.

- Nie.

- W takim razie sama mu to powiem. - Chelsea ruszyła do drzwi. - A potem powiem mu w swój żywiołowy, impulsywny sposób, że pieprzę jego herbatkę i że może nas odwiedzić do hotelu w Cannes.

- Zranił cię.

- Nie. Wiem, kim jestem.

- Nie sądzę.

- Tak czy owak wiem, kim jesteśmy. - Otworzyła drzwi i odwróciwszy się przez ramię, uśmiechnęła się z goryczą. - Jesteśmy historią, Jonathan. - Po chwili dodała: - Dopóki pan nie stanie się historią, panie prezydencie.

Patrzył na nią wzrokiem zbitego psa.

- Nie pozwolę ci tego zrobić. Znajdę sposób, żeby cię zablokować.

Właśnie ta możliwość ją przerażała. Jonathan może okazać się równie uparty jak ona, a już wielokrotnie wykazał się

przenikliwością i pomysłowością. Choć nigdy nie zwrócił tych umiejętności przeciwko niej, nie miała wątpliwości, że byłby bardzo trudnym przeciwnikiem. Rozpaczliwie chciała zachować z nim tę kruchą więź, którą mu proponowała. Boże, miała nadzieję, że nie zmusi jej do całkowitego zerwania.

- Nie rób tego - powiedziała ochrypłym głosem, szybko wchodząc do domu. - Na litość boską, nie rób tego, Jonathan.

Dwie godziny po wyjściu z domu Caitlin i Alex siedzieli już w samolocie Air France lecącym do Nicei. Gdy samolot powoli kołował na pas startowy, Alex zaczął przeglądać nagłówki gazet, które wręczyła mu stewardesa.

BRYGADA ANTYTERRORYSTYCZNA KRAKOWA WALCZY Z „CZARNĄ MEDYNĄ” W LUWRZE

Spojrzał na Caitlin. Odwzajemniła spojrzenie, w jej oczach czaił się strach.

- To zdarzyło się tej nocy. „Czarna Medyna” nigdy nie uderzała dwa razy w ciągu tego samego tygodnia. Może ten tulipan był tylko ostrzeżeniem. - Nerwowo zaciskała ręce na poręczach fotela. - Może to tylko makabryczny żart.

Nakrył jej dłoń swoją. Przez chwilę myślał, że wyszarpnie rękę. Jednak Caitlin powoli odwróciła dłoń i mocno spłótła palce z jego palcami. Po raz pierwszy od czasu, kiedy przyznał, że ją oszukał, dobrowolnie wykonała ciepły gest.

Nie wolno mu przypisywać temu gestowi żadnego głębszego znaczenia. W tej chwili zapewne podałaby rękę samemu diabłu. Mocno ścisnął jej dłoń, starając się w tym uścisku zawrzeć pocieszenie, wszystko, co mogło ją pocieszyć.

Przeniósł wzrok na gazetę. Nad artykułem zamieszczono zdjęcie uśmiechniętego Krakowa, przepychającego się przez tłum stojący przy wejściu do Luwru. Alex uśmiechnął się cynicznie na widok błyszczących ożywieniem twarzy ludzi w tłumie rąk wyciągniętych w stronę Krakowa, jakby był on jakimś świętym. Dlaczego zresztą miałoby być inaczej? Dotrzymał przecież słowa. Wielki bohater zlikwidował jeśli nawet nie całą „Czarną Medynę”, to z pewnością jej najniebezpieczniejszych członków, którzy zniszczyli ukochany kościół Świętego Antoniego.

Był zbawcą. Wystarczyło mu teraz tylko zażądać, a dano by mu wszystko, czego chce.

Każdy żołnierz nosi w tornistrze buławę marszałka.

Czyje to słowa? Ach, tak, przypisuje się je Napoleonowi, który...

- Boże! - Zesztywniał, zaciskając dłoń na gazecie. Caitlin z przerażeniem spojrzała na jego twarz.

- Co się stało?

- Ledford mówił, że jego wspólnik chce być Napoleonem.

- I co z tego?

- To nie Dalpre, tylko Krakow chce być Napoleonem.

- Krakow jest wspólnikiem Ledforda?

- Pomyliłem się, a Ledford z radością pozwolił mi błądzić w ślepej uliczce. Dał mi nawet różne informacje na temat motywacji, żeby uczynić tę hipotezę bardziej prawdopodobną.

Jeszcze nim samolot zdążył nabrać wysokości, Alex odtworzył w myślach całą historię.

Grupa Krakowa wcale nie złapała terrorystów, tylko ich zabiła. Według artykułu, terroryści zabili strażnika próbując wysadzić w powietrze Luwr, tak jak przed tygodniem kościół Świętego Antoniego. Członkowie grupy Krakowa, którzy patrolowali Luwr w celu zapobieżenia tragedii, zatrzymali trzech terrorystów, zanim jeszcze tamci zdążyli podłożyć ładunki wybuchowe. Niestety, stawili opór przy próbie zatrzymania. Dwóch z trzech przestępców zginęło w strzelaninie. Trzeciemu udało się zbiec, ale jest ranny i lada dzień zostanie ujęty.

Caitlin wychyliła się w fotelu, aby spojrzeć do gazety znad ramienia Alexa.

- Przecież to nie ma sensu. Krakow... nie, to niemożliwe. - Wskazała gazetę. - Przecież jego ludzie zabili dwóch terrorystów.

- Co automatycznie stawia ich poza podejrzeniem, jemu przynosi ogromną popularność i daje doskonałą pozycję do zrobienia następnego ruchu.

- Jakiego ruchu?

- Wydaje mi się, że ten atak na Luwr posłuży mu jako pretekst do „niechętej” zmiany stanowiska w sprawie zjednoczenia Europy i przyznania, że istnieje potrzeba utworze-

nia centralnej struktury kontrolującej terrorystów. - Zamilkł na chwilę. - Pod jego kierunkiem.

- To tylko twoje domniemania. Nie możesz być tego pewny.

- Nie mogę. - Ale czuł się tak, jakby brakujący kawałek układanki gładko wśliznął się na swoje miejsce. - Poczekamy, zobaczymy.

- Krakow jest bohaterem dzieciństwa mojej mamy. Myślała, że zrobi wszystko... - Caitlin urwała i niewidzącym wzrokiem spojrzała w okno. - Boże, miej nas wszystkich w swej opiece.

Katrine siedziała przy stole kuchennym trzymając w ręku filiżankę świeżo zaparzonej kawy z ekspresu. Zaparzyła ilość wystarczającą dla Petera i Marisy, którzy często wieczorem przychodzili z wioski, by z nią porozmawiać, lecz dziś jeszcze się nie pojawili.

Zmarszczyła brwi, spojrzawszy na swe smukłe palce obejmujące filiżankę. Lakier do paznokci miał zbyt zdecydowany odcień beżu, jak na jej jasną karnację. Jak wyją Peter i Marisa, pójdzie na górę, zmyje go i nałoży ten wspaniały różowy lakier, który w zeszłym tygodniu kupiła w Cannes. Nic tak wspaniale nie wpływało na świadomość kobiecości jak piękne, starannie wypielegnowane paznokcie. Wzdrygnęła się na myśl o krótko obciętych, nie lakierowanych paznokciach Caitlin. Córka miała ładniejsze dłonie niż ona i Katrine ciągle starała się ją przekonać, że można pracować w polu, jednocześnie utrzymując...

Światła na niebie.

Katrine odstawiła filiżankę na stół, nie odrywając wzroku od okienka nad zlewem. Jakie to niesamowite. Odsunęła krzesło i podeszła do zlewu, wciąż wpatrzona w dwa silne snopy światła na horyzoncie, przecinające niebo jak olbrzymie szczudła. Przypominały trochę reflektory oświetlające niebo w czasie festiwalu w Cannes. Denis zabrał ją raz do Cannes w czasie festiwalu i było to niesłychanie emocjonujące. Te wspaniałe, szybkie samochody, mieniące się klejnoty i sławne twarze. Denis wyglądał tak przystojnie w smokingu, a i ona czuła się wytworna i czarująca.

Zmarszczyła czoło, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie mogą to być światła z Cannes, gdyż trzeba było przejść wzgórzami na skalne urwisko, aby z Vasaro zobaczyć to miasto.

- *Madame Vasaro.*

Podskoczyła przerażona i obejrzała się przez ramię. Zobaczyła stojącego w drzwiach niskiego, krępego mężczyznę w bawełnianym kombinezonie i wystrzępionej niebieskiej koszuli. Jeden z nowych pracowników, stwierdziła z ulgą. Ten Włoch, Ferneo czy Ferrazo, czy jakoś tak.

- Przestraszył mnie pan. Nie słyszałam, jak pan pukał.

Uśmiechnął się do niej. Dostrzegła jakiś błysk, gdy wyciągał rękę, którą do tej pory trzymał za plecami. Latarka?

- Patrzyłam na te dziwne światła. Czy to Jacques przysłał... Nigdy nie dokończyła tego zdania.

Dotarli na szczyt wzgórza po drodze do Vasaro, kiedy Peter zauważył helikopter lądujący na trawniku przed dworem. Z czeluści kadłuba wysypała się grupa mężczyzn w czarnych kombinezonach, czarnych czapkach i ciemnych okularach. Wyglądali jak żołnierze z amerykańskiej jednostki Delta Force atakujący placówkę wroga.

- Co to? - Marisa kurczowo zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Czego oni tu szukają?

- Nie wiem.

Lecz obawiał się, że wie.

Nad polem róż pojawiło się pasmo ognia i krzewy buchnęły płomieniami.

- Miotacze ognia. Boże, podpalają pola!

Peter obserwował, jak mężczyźni z helikoptera rozpraszają się w różnych kierunkach, a miotacze ognia jak ogniste berła niosły ztratę wszystkiemu, czego dotknęły.

- Marisa, widziałaś... - Od strony wioski biegła ku nim Renee. Zbliżywszy się do nich, zatrzymała się nagle jak wryta i wykrztusiła ledwie słyszalnym głosem: - Matko Boska, pola! Musimy ratować pola!

- Zostań w wiosce. - Peter chwycił Marisę za rękę. - Powiedz wszystkim, żeby zostali w wiosce i nie zbliżali się...

Powietrzem wstrząsnęła potworna eksplozja i Peter instynktownie pchnął obie kobiety na ziemię. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, czuł ból. Tylko nie teraz, do cholery. Teraz, kiedy Marisa go potrzebowała, nie wolno mu umierać. Kolejny wybuch, po chwili jeszcze jeden. Otaczające dwór budynki były wysadzane jeden po drugim; kamienie, drewno i gruz wylatywały w powietrze.

- Katrine... - wyszeptała Marisa. - Gdzie jest Katrine?
 - Pójdę zobaczyć... - Peter uniósł głowę akurat w chwili, gdy objęte płomieniami pola zalało jaskrawe światło. Huk był tak potężny, że zadygotała pod nimi ziemia.

Dwór w Vasaro, który stał tu od ponad czterystu lat, buchnął ogniem.

Marisa zerwała się i zaczęła zbiegać ze wzgórza w kierunku Vasaro.

- Katrine!

To było jak najkoszmarniejszy sen. Peter zobaczył szczupłą sylwetkę Marisy odcinającą się jak lalka z papieru na tle płonącego tła. Pobiegł za nią; jego serce waliło dziko, czuł przeszywający ból.

Upadła!

Nie słyszał strzału, ale zdążył zobaczyć ciemnoczerwoną plamę na białej bluzce.

O, Boże, tylko nie Marisa.

Nie Marisa.

Nie Marisa.

Żyła, poruszała się, starała odczołgać na skraj drogi.

Przysadzisty muskularny mężczyzna, którego twarz wydawała mu się jakby znajoma, biegł ku Marisie z wyciągniętym pistoletem.

- Nie!

Peterowi wydało się, że porusza się w zwolnionym tempie. Nie zdąży na czas. Marisa zginie.

Rzucił się do przodu, nakrywając sobą ciało Marisy.

Drgnął, czując potworne ukłucie bólu. Raz. Drugi. Trzeci.

- Leż... nie ruszaj się - wyszeptał do Marisy. Poczł w ustach coś mokrego i słonego. - Niech myśli, że my nie...

Urwał; leżał bezwładnie i nieruchomo.

Nie było już więcej strzałów. Może odszedł. Może Marisa jest już bezpieczna.

Umierał. To śmieszne, jaki zawsze był ostrożny. Dbał o właściwy odpoczynek, odpowiednie ćwiczenia, unikał stresu, wszystko, byle tylko serce nie odmówiło mu posłuszeństwa, wszystko na nic.

- Peter - wyszeptała Marisa. Powoli, z wysiłkiem wyczołgiwała się spod niego. - On już poszedł.

Była cała zakrwawiona, ale nie wiedział, ile jest jej

krwi, a ile jego. Powinien jej pomóc, opatrzyć ranę, ale nie mógł nawet wyciągnąć ręki w jej stronę. Renee stała na wzgórzu...

- Renee... idź do Renee.

Przysunęła się do niego. Chciała mu pomóc.

- Nie... musisz żyć - wyszeptał.

- Oboje będziemy żyć. - Mocno uściśnęła jego dłoń. Jej oczy błyszczały w świetle ognia. - Walcz.

Było już za późno. Marisa tego nie rozumiała. Była wojownikiem, jak Andros, a wojownicy nigdy nie rozumieją wszystkiego do końca. Zadaniem wojowników było jedynie strzec Tańczącego na Wietrze.

Tańczący na Wietrze? Skąd się wzięła ta myśl?

Ból wzmagał się, eksplodował w jego piersi. Ogarnęło go uczucie potwornej samotności.

- Marisa!

- Jestem tutaj.

Nie chciał opuszczać Marisy.

I bał się, potwornie się bał.

Marisa próbowała usiąść, starała się rozpiąć mu koszulę.

Ból stał się nie do wytrzymania. Dławił go śmiertelny strach. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby przestać się bać.

Spojrzał w oczy Marisy, patrzące na niego z przejęciem i zrozumieniem. Piękne, smutne, szmaragdowe oczy. Nie, to znowu Tańczący na Wietrze. Lecz nagle ich dwoje zdawało się pochylać nad nim, stopiwszy się w jedno. Strach mijał.

Królestwo bez końca, wieczny lot bez ograniczeń, chmury opromienione złotym światłem.

I coś jeszcze.

Paradygnes. Stary mąż siedzący z zamkniętymi oczami na tronie z wysokim oparciem.

Oczy Paradygnesa otwierały się; stary człowiek spojrzał na niego. Dlaczego nie rozumiał tego wcześniej?

Już się nie bał.

Vasaro płonęło!

Caitlin powiodła wkoło błędnym wzrokiem, gdy dwuosobowy wypożyczony samochód wyjechał z zakrętu.

Pola, gaje, winnice były zżerane przez ogień. Ogromne kłębiaste chmury czarnego dymu unosiły się do nieba.

- Boże! - Nie wiedziała nawet, że wydarł jej się z gardła ten okrzyk. - Nie! To niemożliwe!

Alex wparł stopę w pedał gazu i samochód popędził drogą.

- Alex... - Za zakrętem zobaczyli płonący dwór. Północną stronę kamiennego budynku zniszczył wybuch, a pozostała część była jak roztrzaskany kadłub, który przypominał Caitlin zdjęcia zbombardowanego Londynu. Płomienie ognia lizały górne okna.

- Mama...

- Wiem. - Wierzchołki drzew cytrynowych i limonowych chwyciły ogień, tworząc upiorną kopułę, kiedy wóz zatrzymał się na podjeździe.

- Mama... - Caitlin zaczęła szarpać drzwiczki, gdy tylko samochód się zatrzymał. - W tym domu jest mama!

- Zostań tu, z dala od ognia. Pójdę po nią. - Alex wyskoczył z auta, wbiegł po schodach i gwałtownie otworzył drzwi wejściowe.

Śmierć. Wszędzie dookoła była śmierć. Vasaro umierało. Umierał dom, śmierć była też wewnątrz i czyhała na Alexa. Jakże ona mogła stać na zewnątrz i czekać?

Otworzyła drzwiczki samochodu. Żar i dym wdarły się do jej płuc, gdy wbiegała po schodach do westybulu. Dym piekł ją w oczy, palił płuca.

- Alex!

- Cofnij się! - dobiegł ją głos Alexa z tyłu domu. - Już idę.

Stanęła w westybulu, obserwując płomienie splezające ze schodów z piętra, pożerające z zachłanną łapczywością dywan z Aubusson.

Dym gęstniał i Caitlin z trudem dostrzegła wybiegającego z kuchni Alexa. Po chwili zauważyła w jego ramionach wątle ciało Katrine i poczuła ogromną ulgę. Matka jest nieprzytomna od dymu, ale przynajmniej nie dosięgły jej płomienie.

- Wsiadaj do auta i jedź do wioski - rzucił ochrypłym głosem Alek, znosząc Katrine ze schodów. - Przeniosę ją przez trawnik do drogi.

Caitlin pokręciła głową. Stanęła na palcach, by ponad jego ramieniem spojrzeć na twarz matki. Alex trzymał Katrine tak, że jej twarz była częściowo wtulona w zagłębienie jego ramienia.

- Weźmiemy ją do samochodu. Musimy zawieźć ją do lekarza. Dym... - Podeszła bliżej. - Nie mamy czasu, żeby... - Urwała, zobaczywszy to, co Alex chciał przed nią zasłonić.

Małą, krwawą dziurkę wielkości wskazującego palca na delikatnej skroni Katrine.

Wpiła się wzrokiem w pobladałą twarz Alexa.

- Alex?

- Nie żyje - odparł.

- To niemożliwe. - Czyż nie widział, że Katrine nic się nie zmieniła? Szminka wyglądała świeżo, jakby nałożyła ją przed chwilą, a paznokcie ręki bezwładnie zwisającej u boku były starannie polakierowane na matowy beż. Caitlin podeszła bliżej i dotknęła pięknie ułożonych włosów Katrine. Ani jeden włoszek nie był nie na swoim miejscu. Tak samo jak zawsze.

- Mamo?

- Caitlin... - Głos Alexa przepełniony był bólem.

- Mamo?

- Musimy stąd iść - stwierdził Alex. - Ogień...

Ogień. Śmierć. Katrine. Vasaro.

Alex. Lecz Alex nie zginął w ogniu, nie umarł. Musi wyjść go z Vasaro, zanim i jego zabierze śmierć.

Machinalnie ruszyła w kierunku Lamborghini na podjeździe. Płonące gałęzie drzew w alei spadały na dach wozu, a biała farba topiła się tworząc brzydkie plamy w miejscach zetknięcia z rozżarzonego drewnem. Jaka szkoda, pomyślała w odrętwieniu. Katrine byłaby bardzo zmartwiona. Tak lubiła to Lamborghini i tak cieszyła się mogąc nim jeździć.

Caitlin otworzyła drzwi i opadła na siedzenie.

- Nie. - Alex znalazł się obok niej, z twarzą ściągniętą cierpieniem. - Ty musisz prowadzić.

Wtedy dopiero zrozumiała, o co mu chodzi. W Lamborghini były miejsca tylko dla dwóch osób. Taki był też sportowy samochód, który wypożyczyli na lotnisku, by jak najszybciej dojechać do Vasaro. Nie było miejsca dla Katrine.

Nie było już dla niej miejsca na tym świecie.

Wyciągnęła rękę.

- Ja ją potrzymam. Nie jest zbyt ciężka.

Alex zawahał się.

- Daj mi ją. - Głos Caitlin załamał się niebezpiecznie. - Jestem silna. Dam radę ją unieść.

Oczy Alexa błyszczały w usmarowanej sadzą twarzy.

- Tak, wiem, że jesteś silna. - Ostrożnie posadził drobne ciało Katrine na kolanach Caitlin, zamknął drzwiczki i obiegnął samochód, zajął miejsce za kierownicą.

Caitlin poczuła rozdzierający ból, przenikający aż do trzewi, gdy zobaczyła z bliska dziurę od kuli. Drżącą dłonią nakryła ten otwór w skroni pasmem jedwabistych włosów matki. Katrine z pewnością nie życzyłaby sobie, żeby ktokolwiek widział tę ohydną dziurę.

- W porządku? - zapytał Alex, ruszając.

Nie słyszała go. Matka i dziecko. Kiedy Caitlin była dzieckiem, Katrine musiała tulić ją i chronić w ten sam sposób, zanim ojciec sprawił, że oddaliła się od córki i Vasaro. Teraz role odwróciły się i to ona musi trzymać i chronić matkę w jej ostatniej drodze z domu.

Czule tuliła Katrine w ramionach, gdy Alex jechał szpalem płonących drzew w stronę drogi ku wiosce.

Pożar!

Języki ognia już ją lizały, paliły. Nie mogła oddychać. Dusił się...

Katrine!

Caitlin usiadła gwałtownie, starając się uciec, odnaleźć Katrine i wyciągnąć ją, zanim...

- Uspokój się. - Alex siedział obok łóżka, trzymając ją za rękę i próbując powstrzymać od zrzucenia z siebie kołdry. Pachniał dymem, wokół oczu miał sine koła, nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. - Jesteś bezpieczna. Jesteś w domu Renee w wiosce.

Rozejrzała się dookoła w oszołomieniu, przypominając sobie nagle, że zna ten pokój. Szerokie podwójne łóżko, jasnoróżową tapetę w kwiaty. To ona dała Renee w prezencie ślubnym ten wiszący na ścianie krucyfiks z kości słoniowej i złota, kiedy Renee wychodziła za Pierre'a.

Zamknęła oczy, by uwolnić się od wspomnień. Bezpieczna. Może i była bezpieczna, ale na świecie nic już nie było bezpieczne i pewne.

- Mama...

- Nie pamiętasz? Zawieźli ją do Grasse. Pewnie w ogóle nie wiesz, co się działo, kiedy tu przyjechaliśmy.

Mgliście przypomniała sobie przyjazd do domu Renee, która obmyła ją delikatnie i ułożyła do snu... ale nic więcej.

Otworzyła oczy.

- To jest łóżko Renee i Pierre'a. Nie powinnam tu leżeć.

- Nie jest im teraz potrzebne. Są na polach, tak jak i reszta zbieraczy. Jacques próbuje ratować, co się da.

Wątpiła, czy cokolwiek uda się uratować. Zadrżała na myśl o płonącym piekle, które zostawiła za sobą.

- Czemu to się stało? Moja mama nigdy nikogo nie skrzywdziła. Vasaro...

- Nie... nie wiem - powiedział, zacinając się Alex. - Przylecieli śmigłowcem. Jacques powiedział, że wyglądało to jak atak komandosów. Dokładnie wiedzieli, gdzie iść i co robić. Jacques widział, jak jeden z dorywczych pracowników wskakiwał do helikoptera tuż przed startem, a policja uważa, że to on przeciął linie telefoniczne i przygotował to wszystko.

- Kto to był?

- Włoch. Ferrazo. - Urwał. - Zabił też Petera Maskovela. Marisa została dwukrotnie trafiona, ale lekarze są dobrej myśli.

- Mój Boże... - Jedna potworna wiadomość za drugą. Milczała przez chwilę, próbując przyjąć to do wiadomości. - To wszystko było po to, żeby nam pokazać, że mogą mi zrobić krzywdę, tak? Wszystko było po to, by mnie zranić.

Ścisnął ją za rękę.

- Postaraj się zasnąć.

Pokręciła głową.

- Sny...

- Rozumiem.

Naprawdę rozumiał, pomyślała mgliście. Widziała to po wyrazie jego twarzy. Wiedział, co to strach przed powrotem do koszmaru z przeszłości.

- W takim razie nie śpij. Tylko odpoczywaj. - Wziął ją w ramiona i utulił.

Jego biała koszula była rozdarta na ramieniu, a zapach dymu stał się mocniejszy, gdy znalazła się tak blisko niego.

- Twoje ubranie... pachnie.

Znieruchomiał.

- Jeszcze się nie umyłem. Nie chciałem cię zostawiać. Nie pomyślałem, że może ci to przypominać...

- To mi nie przeszkadza. I tak przed tym nie ucieknę. - Myśl o tym, co Alex ryzykował, by jej pomóc, przyniosła jej pewną pociechę. Wtuliła policzek w zagłębienie jego ramienia. - Jeśli jestem za ciężka, powiedz mi. Wiem, że nie jestem piórkciem.

- Nie jesteś ciężka - ochryplym głosem powiedział Alex.

Było jej tak potwornie ciężko na duszy, że oddychała z trudem.

- Kochałam ją. Zawsze ją kochałam.

Alex w milczeniu gładził ją po włosach.

- Ale jej nie znałam. Byłam zawsze zbyt zajęta, żeby z nią porozmawiać... - Nerwowo zacisnęła szczupłą dłoń na koszuli. - Żałuję, że nie znajdowałam na to czasu. Teraz już nigdy nie będę miała okazji.

- Wszyscy tak się czujemy, kiedy umiera ktoś bliski. Wszyscy popełniamy błędy. Musimy się z tym pogodzić.

- Tak. - Nie odzywała się dłuższą chwilę. - Czemu oni ją zastrzelili, Alex? To moja wina?

- Nie.

- To nie ma sensu. Nic tutaj nie ma sensu - oznajmiła udręczonym głosem.

- Nie. - Jego głos załamał się; mocniej otoczył ją ramionami. - Porozmawiamy o tym później. Teraz staraj się o tym nie myśleć.

- Dziękuję, że jesteś dla mnie taki dobry.

W jego śmiechu słychać było nutę rozpacz.

- Dobry? Mój Boże!

Zamknęła oczy.

- Jesteś lepszy, niż myślisz.

- Powiedz mi to jeszcze raz.

- Powiem. Dobroć jest ważna. Sam mi to kiedyś mówiłeś, pamiętasz?

- Tak.

- Mówisz dziwnym głosem.

- Bo mnie dobijasz.

To dziwne, ale w chwili tragedii minął jej gniew i uraza do Alexa. Byli połączeni bólem, związani wspólnym poczuciem winy i żalu. Liczyło się tylko to, że ją pocieszał i że on też lubił Katrine. Zarzuciła mu ręce na szyję, starając się dać mu tę samą pociechę, którą on jej dawał.

- Przepraszam.

Wtulił twarz w jej włosy.

- Nic nie mów. Staraj się odpocząć.

Leżała w milczeniu, pozwalając, by rozchodziła się po niej ciepła siła jego ciała, dopóki nie popadła w kojące odrętwienie.

- Alex?

- Tak?

- Wiesz, czasami wydawało mi się, że cię kocham.

Zesztywniał.

- Nie mów tak. Później będziesz tego żałować.

- Nie widzę innego powodu, dla którego mnie to tak bolało.

- Teraz, kiedy czuła to błogie odrętwienie i hic nie miało już znaczenia, łatwo jej było przyznać się przed sobą do tego, co tak długo starała się zignorować, powiedzieć o tym, o czym bała się myśleć. - Przepraszam. Nie chciałam cię wprawiać w zakłopotanie.

- Nie wprawiasz mnie w zakłopotanie - powiedział ochrypłym głosem.

- To dobrze. Zresztą pewnie się myliłam. Oboje wiemy, że to naprawdę nie istnieje... - Nie otwierała oczu, by nie wracać do świata, lecz wciąż czuła zapach dymu otaczający Alexa.

Czy Vasaro wciąż jeszcze płonęło?

14

Jak się czujesz? - Chelsea delikatnie dotknęła ramienia Caitlin. - Czy jest coś, w czym mogłabym ci pomóc?

- Nie, dziękuję, - Caitlin cały czas miała przed oczami trumnę opuszczaną do dołu. - Nikt już nic nie może zrobić. Ona nie żyje. Wszystko minęło. - Przewędrowała wzrokiem po znajomych twarzach zgromadzonych wokół grobu: Jacques, Pierre, Renee, większość zbieraczy, kilkoro przyjaciół Katri-ne z Nicei. Jonathan Andreas nie mógł wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych, gdyż zawiózł ciało Petera Maskovela do Zachodniej Wirginii, by tam zostało pogrzebane. Alex był w kościele, lecz teraz go nie widziała. Szybko stłumiła w sobie uczucie osamotnienia spowodowane jego nieobecnością.

Alex zajął się formalnościami związanymi z pogrzebem, trzymał z dala reporterów, policję, Interpol i przedstawicieli rządu. Tulił ją, gdy w ciągu pierwszych nocy po tragedii budziła się z krzykiem i czuwał przy niej, dopóki ponownie nie zasypiała. Dziękowała Bogu za to cudowne odrętwienie i wygaszenie emocji po pierwszej serii koszmarów sennych. Teraz nie potrzebowała już niczyjej pomocy.

- Dziękuję ci za przysłanie mi sukni i za niewpuszczenie kamer telewizyjnych na cmentarz.

- Przyjmuję podziękowania za suknię, ale dziennikarzy powstrzymał Alex. - Chelsea dodała po chwili. -I Dalprego. Nie wiem, jak udało mu się utrzymać tego człowieka lodu z dala od ciebie. Zadręczał nas pytaniami.

Znowu Alex. Dbał o jej potrzeby, usuwał przeszkody z jej drogi. Wiedziała, że powinna czuć doń głęboką wdzięczność,

lecz to uczucie nie potrafiło się przebić przez twardą lodową skorupę, którą się opancerzyła.

- On twierdzi, że to Krakow, a nie Dalpre, jest współnikiem Ledforda.

- Wiem. Mówił o tym Jonathanowi. To strzał na oślep i może nie mieć racji. - Chelsea skrzywiła się. - Zresztą mam nadzieję, że się myli. Szczerze nie cierpię Dalprego. - Chwyła Caitlin pod ramię, odciągając ją od grobu w kierunku dwuskrzydłowej ozdobnej bramy cmentarza. - Muszę iść do szpitala. Na pewno czujesz się dobrze?

Caitlin kiwnęła głową.

Chelsea zmarszczyła czoło.

- Pewnie to nieprawda. Jak tylko Marisa będzie mogła opuścić szpital, mam zamiar odesłać ją do Los Angeles. Mój dom jest doskonale strzeżony. Może pojechałabyś tam z nią i została do czasu wprowadzenia perfum na rynek?

Lansowanie perfum. Chelsea mówiła o wprowadzeniu perfum na rynek tak, jakby nic się nie zmieniło. Caitlin powinna porozmawiać z nimi o perfumach, ale nie miała siłą przeprowadzać tej rozmowy teraz.

- To bardzo miłe z twojej strony. - Był to naprawdę sympatyczny gest i przez chwilę żałowała, że nie może tego poczuć pod lodową skorupą, w której się schroniła. - Ale nie mogę tam jechać. Muszę... muszę wracać do Vasaro.

Chelsea pokręciła głową.

- Na litość boską, Caitlin, ty jesteś w szoku. Nie możesz stawiać czoła...

- Jadę tam. Mogłabyś mnie podrzucić, zanim pojedziesz do szpitala?

Chelsea zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

- Dobra. Czemu nie? Ten dzień nie przyniesie już nic gorszego.

Caitlin stała na wzgórzu, tyłem do zgliszcz dworu, patrząc na zwęglone pola.

Wypalone drzewa w gajach oliwnych i pomarańczowych przypominały poskręcane szkielety. Widziała już to wszystko przed paroma dniami, ale wtedy szybko odwracała wzrok, nie stać jej było na inną reakcję.

Teraz stała wyprostowana, stawiając czoło rzeczywistości,

upajając się tym widokiem, chłonąc go, pozwalając podsycać chłodną wściekłość i determinację.

- Nie powinnaś była tu dzisiaj przyjeżdżać. - Obok stanął Alex. - Jeszcze nie masz dosyć? Byłaś już dzisiaj na jednym pogrzebie.

- Musiałam to zobaczyć. - Caitlin nie odrywała wzroku od szerniałych pól. - Masz rację, to jest tak, jakby umarło moje dziecko. Nikt nie ma prawa robić czegoś tak... tak złego.

- To wina złego świata.

- Nigdy tak nie myślałam. - Caitlin pokręciła głową. - Wydawało mi się, że zawsze można coś zrobić, żeby powstrzymać zło. Myliłam się.

Alex podszedł bliżej i wyciągnął ku niej rękę.

- Caitlin, to nie koniec...

- Nie dotykaj mnie.

Opuścił rękę.

- W porządku. Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz. - Myślał, że wini go za te potworności, lecz nie obwiniała za to nikogo oprócz siebie. Nie pozwoliła mu się dotknąć ze względu na niebezpieczeństwo, jakie dla niej stanowił. W przeszłości udowodnił, że wie lepiej niż ktokolwiek inny, jakiej dotknąć struny, by obudzić w niej emocje, zaś uczucia i emocje stanowiły zagrożenie dla skorupy, którą się opancerzyła przeciw bólowi. Uniósłszy rękę, wskazała ruiny i zgłiszczą. - Wiesz, co czuję? Zanim Ledford to zrobił, chciałam jedynie odzyskać dla Jonathana Tańczącego na Wietrze, ale teraz chcę, żeby Ledford poniósł karę. Chcę, żeby oni wszyscy zostali ukarani.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że nie wierzysz w zemstę.

- A ty odparłeś, że widocznie nigdy nie byłam wystarczająco głęboko zraniona. Powiedz mi, Alex, czy teraz jestem wystarczająco głęboko zraniona?

- Tak. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - I co teraz?

- A cóż mi pozostało? Zawsze byłam zła, że mama pozwoliła ojcu zrujnować Vasaro. - Zaśmiała się gorzko. - A teraz robiłam to sama. Wystarczyłby jeden telefon do Jonathana i nic złego by się tu nie stało. Ale byłam taka głupia, że... - Głos jej się załamał.

- To nie ty jesteś winna. To moja wina. - Jasne oczy Alexa błyszczały w udręczonej twarzy. - Wszystko poszło inaczej. Nie obwiniaj się. Boże, nie chcę cię już więcej ranić.

- Sądysz, że mogę tak to zostawić? Siedzieć tutaj i patrzeć na te pola? Moja matka nie żyje, nie ma już Vasaro, a za trzydzieści miesięcy nie będzie też moich perfum.

- Śmierci Katrine nie da się odwrócić, ale możemy coś zrobić z resztą.

- Co? Masz zamiar nabyć kwiaty z innych farm? Po tylu lekturach powinieneś wiedzieć, że to się nie uda. Żeby zachować niepowtarzalność zapachu, kwiaty muszą być uprawiane tutaj, w Vasaro. Spójrz na tę ziemię, Alex. Wygląda jak po wybuchu bomby wodorowej.

- Jacques mówi, że udało mu się zebrać szczepy i sadzonki większości roślin. Zastanówmy się... Mówię ci, że możemy...

- Nie! - Nie mogła znieść rozmowy na ten temat. Odwróciła się na pięcie i ruszyła przez wypalony trawnik w stronę zaparkowanego na podjeździe samochodu. Zdawała sobie sprawę z jego bólu i poczucia winy, ale nie zamierzała mu współczuć. Nie mogła dopuścić żadnych uczuć za ten lodowy pancerz, żeby się nie załamać. Pancerz musi być coraz grubszy, musi powstrzymać ból.

- Wygrałaś, do cholery. - Chwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie. - Coś ci pokażę. W rzeczach Petera znaleźliśmy rolkę filmu. Jonathan dał ją do wywołania. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął fotografię. - Ten krępy mężczyzna pracujący na polu to Antonio Ferrazo. Spójrz na niego. Zapamiętaj jego twarz. To on zabił twoją matkę i Petera. Zabije i ciebie, jeśli trafi się okazja.

Caitlin spojrzała na zdjęcie. Mężczyzna z fotografii uśmiechał się, a dzień później z zimną krwią mordował.

Alex wręczył jej inne zdjęcie.

- A to jest Ledford.

Spojrzała na jowialną czerstwą twarz wyzierającą z pogniecionej starej fotografii z oślimi uszami.

- Obaj wyglądają... tak zwyczajnie. - Schowała zdjęcia do torebki. - Nie martw się, zapamiętam ich.

- Powinnaś.

- A co z Krakowem?

- Telefonowałem do Goldbauma i kazałem mu przydzielić więcej osób do obserwacji. - Zrównał z nią krok. - Poczyliłem przygotowania do dzisiejszego odlotu z Nicei. Czuję, że nie uda mi się przekonać ciebie, żebyś zostawiła to w spokoju. -

Zasepił się, jak zawsze, gdy rozważał problemy i możliwości. Jak dobrze znała ten wyraz twarzy. Teraz, skoro decyzja została już podjęta, należało skupić wysiłki na metodach rozwiązania problemów, które powstawały. - Wynająłem samolot. Polecimy nim na prywatne lądowisko pod Stambułem. Stamtąd weźmiemy taksówkę, dojedziemy do bazaru i tam zostawię cię z Kemalem, a sam pójdę na zwiady i zobaczę, czy dom jest nadal bezpieczny.

Kiwnęła głową.

- Po drodze do Nicei wstąpimy do wioski i zostawimy Jacquesowi instrukcje, jak ma załatwić sprawę z urzędnikami ubezpieczeniowymi. - Patrząc jej w oczy, otworzył przed nią drzwiczki. - Boże, boję się. Proszę, namyśl się jeszcze. Mógłbym wysłać cię do Port Andreas, gdzie Jonathan zapewniłby ci bezpieczeństwo. Nie wracaj ze mną do Turcji, Caitlin.

Bez słowa wsiadła do samochodu.

Zaklął i zatrzaskał za nią drzwiczki.

Tu Ferrazo. Jestem w hotelu Divan w Stambule.

- Nie obchodzi mnie, gdzie jesteś. Gdzie Karazov i ta Vasaro? - zapytał Ledford.

- Nie udało mi się ich znaleźć. Cały dzień czuwałem na lotnisku, ale Karazov i kobieta nie pokazali się.

- Myślisz, że Karazov jest takim głupcem, że wsiadłby w rejsowy samolot, żebyś mógł go zgarnąć zaraz po wyjściu z lotniska?

- Nie mogę ryzykować powrotu do Vasaro. Połowa Interpolu kręciła się po okolicy po tym, jak podpaliliśmy farmę.

Brian westchnął.

- Zaczynasz mi się nie podobać, Ferrazo.

- On jest naprawdę dobry - usprawiedliwiał się Ferrazo. - Powinieneś pozwolić mi ich zdjąć w Wersalu.

- Nie! Nie wolno ci nawet tknąć Karazova. To ta kobieta jest celem, idioto. Jeżeli czujesz, że dasz radę.

- Dałem radę w Vasaro, no nie? - rzucił grubiańsko Ferrazo. - Po prostu muszę ich najpierw znaleźć.

- To może nie być łatwe. Cygan mówi, że Karazov ukrywa się, i nawet on nie potrafił ustalić miejsca jego pobytu w Stambule. Jednakże Karazov może próbować ponownie się z nim skontaktować. - Ledford urwał, rozważając coś. - Karazov wie o tym domu na ulicy Kindżałów.

- W takim razie wezmę dom pod obserwację.

- Przyjeżdżam do Stambułu za trzy tygodnie - oznajmił łagodnym tonem Ledford. - Do tego czasu chcę, żeby ta kobieta została wyeliminowana. Nie będę tolerował drugiej pomyłki.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Wcale go nie zdziwiło, że Alex zadał sobie tyle trudu, by zgubić Ferraza. Ogrom spustoszenia, które zesłał na Vasaro, bez wątpienia pozwolił Alexowi zrozumieć, jak bardzo jest niezadowolony z jego związku z tą kobietą. Tak, najwyższy już czas, żeby Alex zrozumiał, że nie wolno mu dalej naruszać czystości reguł ich pojedynku.

- Dlaczego nie chcesz zabić Karazova, skoro wie o tym domu?

Ledford wstał i odwrócił się do Krakowa, siedzącego w fotelu pod przeciwległą ścianą.

- On nie pobiegnie z tą wiadomością do Interpolu. Nie martw się. Rozliczę się z nim.

- Zrób to tak, żebym nie był w to wmieszany. - Krakow podniósł się z fotela. - Mam zamiar dziś po południu zwołać konferencję prasową i myślę, że nie powinniśmy się już spotykać przed Stambułem. Nie powinniśmy chyba nawet porozumiewać się przez telefon. Kiedy to się skończy, muszę być...

- Czysty jak łąza - dokończył za niego Ledford, uśmiechając się szeroko. - Nie martw się, będziesz czysty.

- Wiesz, co masz zrobić?

- Jutro zadzwonię z pogrózkami na policję.

- I wykonasz robotę w Stambule dokładnie według moich wskazówek?

- Oczywiście, to ty o wszystkim decydujesz. - Ledford nie przestawał się uśmiechać. - Poza tym to naprawdę świetny plan.

- Nie będziesz tego żałował. Jak tylko dojdę do władzy, będziesz...

- Lepiej już idź - przerwał mu Ledford. Flaki mu się przewracały na widok tego bufona. - Nie warto się narażać teraz, kiedy sukces jest już tak blisko.

Krakow skinął głową.

- Cieszę się, że rozumiesz potrzebę ostrożności.

Ledford patrzył, jak Krakow sprężystym żołnierskim krokiem idzie w stronę drzwi. Pajac, pomyślał, chodzi, jakby połknął kij od szczotki.

Krakow przystanął przy drzwiach.

- Daj mi znać, kiedy zainstalujesz się już w kwaterze, żebym mógł ci przekazać ewentualne instrukcje.

- Dobrze. - Obserwował, jak Krakow otwiera drzwi. Ten sukinsyn miał zamiar jemu dawać instrukcje! Najwyraźniej wszystkie te pochlebstwa i dowody czołobitności, które zbierał Krakow w ostatnim czasie, rozdeły go jak balon. Odczuł nagle gwałtowną potrzebę przekłucia tego balonu. - Doszedłem do wniosku, że może dobrze byłoby usunąć twoją żonę.

Krakow zamarł w bezruchu, zszokowany.

- Co ty mówisz?

- Kiedy usuniemy już inne cele w Stambule, nie od rzeczy byłoby...

- Helga?

To nim wstrząsnęło. Ledford przymknął powieki, by ukryć wyraz satysfakcji w oczach.

- A czemuż by nie? Mógłbyś potem odgrywać rolę zbolełego wdowca i jestem pewien, że to oddaliłoby od ciebie wszelkie podejrzenia.

- Ja... przemyślę to.

- Dla dobra sprawy. Pomijając wszystko inne, poświęciłem moich trzech dobrych ludzi w Luwrze. Jedna żona to nie tak znowu wiele.

- Powiedziałem ci, że to przemyślę - wycedził Krakow przez zaciśnięte zęby. - Nie uważam, żeby to było konieczne.

- Możesz wymienić ją na dwie długonogie blondynki, z których słynie twój kraj.

Krakow wyprężył się z godnością.

- Jeśli zgodzę się na śmierć Helgi, nie zrobię tego z tak dziecinnych powodów.

- Oczywiście, że nie.

Krakowowi udało się niemal całkowicie przekonać samego siebie, że robi to z pobudek patriotycznych, a nie w celu sięgnięcia po władzę. Okłamywanie samego siebie jest zawsze błędem, nawet jeśli okłamuje się innych.

Brian przeszedł przez pokój i otworzył drzwi przed Krakowem.

- Tylko tak sobie pomyślałem.

- Dam ci znać.

- Będę czekał. - Brian zamknął drzwi za Krakowem i po-

ownie podszedł do telefonu. Prawdopodobnie nie powinien był drażnić sukinsyna, ale Krakow był tak odrażającym sztywniakiem, że nie mógł się oprzeć tej pokusie. Krakowowi wciąż wydawało się, że Brian jest tępym zawodowym mordercą. Zarechotał. Krakow będzie bardzo zdziwiony, kiedy się przekona, że jego partner był niezwykle przebiegły.

Zdecydował, że nadszedł już czas na kolejny punkt jego własnego planu. Podniósłszy słuchawkę, zatelefonował do biura Linii Oceanicznych White Star.

Hej, maleńka. - Chelsea żwawym krokiem wbiegła do sali szpitalnej, położyła na łóżku bukiet róż i ucałowała Marisę w czoło. Lewa ręka i obojczyk Marisy były strzaskane i zostały unieruchomione w pancerzu gipsowym. Druga kula przeszła przez ciało Maskovela i drasnęła jej klatkę piersiową. Boże, jaka była blada. - Lekarz mówił, że miałaś spokojną noc. Niedługo cię stąd zabierzemy. - Przysiadła na krześle obok łóżka. - Reporterzy cię nie nachodzili?

Marisa pokręciła głową.

- Przełożona pielęgniarek nikogo nie wpuściła.
- Znakomicie.
- Jak się czuje Caitlin?
- Niezbyt dobrze. Zachowuje się jak robot.
- Trudno się spodziewać czego innego. - Marisa przełknęła z trudem. - Byłaś dzisiaj na pogrzebie?
- Myślałam, że nie będziesz pamiętała, że to dzisiaj. - Chelsea nakryła dłoń Marisy swoją dłonią. - Zamówiłam od ciebie wiązanek kwiatów.

- A kiedy pochowają Petera?
- Jutro, w Zachodniej Wirginii.
Oczy Marisy napełniły się łzami.
- On uratował mi życie.
- Wiem. Renee widziała wszystko ze wzgórza i nam opowiedziała.

- On był moim przyjacielem, mamo. - Dwie łzy wolno stoczyły się po policzkach Marisy. - Był taki delikatny i miły... Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto byłby mi tak bliski.

- W takim razie niech ci zawsze towarzyszy. Nigdy go nie zapomnij. - Chelsea ścisnęła Marisę za rękę. - Ja nigdy go nie zapomnę. Ocalił najcenniejszą część mojego życia.

- Jonathan go odwiózł?
- Chelsea kiwnęła głową.
- Marisa przygryzła dolną wargę.
- Nie chciałam, żeby był sam. Jedyłą żyjącą jego krewną była cioteczna babka, za którą nie przepadał. Był taki samotny.
- Miał przyjaciela w osobie Jonathana. To cenny dar.
- Tak. - Marisa otarła mokre policzki rogiem prześcieradła.
- Wyjdiesz za niego?
- Oczy Chelsea zaokrągliły się ze zdumienia.
- Co?
- Pytam, czy wyjdiesz za Jonathana. To dobry człowiek, a ty go kochasz. Wyjdiesz za niego?
- Chryste, co ty wygadujesz? Wiesz, że nie jestem typem kobiety, która realizuje się w małżeństwie. Czy nie wystarczamy sobie nawzajem, ty i ja?
- Już czas, żeby skończyło się to „ty i ja”. Zapomnij o mnie. Wyjdź za niego, mamó.
- Chcesz się mnie pozbyć?
- Chcę, żebyś przestała żyć z poczuciem winy.
- Co za pomysł. - Chelsea starannie unikała wzroku Marisy.
- Nie można uchylić tego pytania?
- Nie.
- Boże, ależ jesteś uparta. - Zaczęła obwodzić palcem wzory na kołdrze. - On zapewne będzie naszym przyszłym prezydentem, moja mała.
- I co z tego?
- Wiesz przecież, że ja...
- Boże drogi! - Marisa otworzyła usta ze zdumienia. - Znalazłaś sobie następny obiekt do wzięcia pod ochronę.
- Nie chcę o tym rozmawiać.
- W porządku. - Marisa urwała. - Są teraz ważniejsze tematy do omówienia.
- Chelsea spojrzała na nią z niepokojem.
- Jakie tematy?
- Nie mieszaj się do tego, mamó.
- Niby do czego?
- To zbyt niebezpieczne. Niech się tym zajmują władze.
- Nie mieszaj się do tego.
- Nie mam zaufania do skuteczności wymiaru sprawiedliwości w dzisiejszych czasach. - Chelsea powinna była przewi-

dzieć, że Marisa, która zna ją najlepiej, domyśli się, jaka będzie jej reakcja na to, co wydarzyło się w Vasaro. - O mało co nie wykrwawiłaś się na śmierć.

- Nie umarłam. Wyzdrowieję.

Chelsea cofnęła rękę i starała się przemówić spokojnym tonem.

- Ferrazo nie zasługuje na to, żeby żyć, tak samo jak Ledford.

- A ja nie zasługuję na to, żeby martwić się o ciebie.

- Cios poniżej pasa. - Chelsea spojrzała córce prosto w oczy. - Posłuchaj, a co by było, gdybym to ja leżała teraz w tym łóżku? Co byś chciała zrobić?

Marisa uśmiechnęła się.

- Cios poniżej pasa.

Chelsea pochyliła się i ucałowała córkę.

- Musisz się z tym pogodzić. Mamy to w genach. Jesteś wojownikiem, tak samo jak ja. - Wstała i sięgnęła po bukiet róż.

- Wstawię je do wody.

- Mamo, nie...

- Nie martw się, obiecuję, że nie będę udawała Rambo, i nie opuszczę cię, dopóki nie będziesz gotowa do wyjazdu do Kalifornii. - Zmarszczyła czoło. - Mam tylko nadzieję, że Caitlin i Alex nie dopadną ich, zanim zjawię się w Stambule.

Marisa z rezygnacją pokręciła głową.

- A ja mam nadzieję, że dopadną.

Dochodziła północ, gdy Kemal i Caitlin dotarli do domu nad Bosforem.

Alex był w kuchni.

- Zrobiłem kawę. Napijcie się?

- Ja dziękuję. - Caitlin przeszła przez salonik do sypialni.

- Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc.

Po chwili drzwi się za nią zamknęły.

- Ona nie jest już tą samą osobą. - Kemal z niepokojem spoglądał na drzwi, za którymi zniknęła. - To mi się nie podoba.

- Myślisz, że mnie się podoba? - burknął gniewnie Alex, nalewając kawę do filiżanek. - Nie chce rozmawiać, nie uśmiecha się. Jest nieobecna. To trwa od pierwszego dnia w Vasaro.

- Szok - orzekł Kemal. - Widziałem to u dzieci w haremie. Nie chciały uwierzyć w to, co im się przytrafiło, więc zasklepiły się w sobie.

- Jak długo to trwa?

- Czasami całe lata. - Kemal pokręcił głową. - Ale u tych dzieci to nawet nie było takie złe. Przynajmniej jakaś ich częśćka pozostała nie naruszona. W przypadku Caitlin jest inaczej. Niedobrze, kiedy człowiek robi się zbyt odretwiały, żeby się bać. - Przeniósł wzrok na Alexa. - Kiedy czekaliśmy, żebyś sprawdził dom, zapytała mnie, czy mógłbym przemyścić ją do haremu, żeby mogła dowiedzieć się czegoś więcej o Adnanie.

- Chryste.

- Powiedziałem jej, że to nic nie da. Adnan nie pokazał się, odkąd wyjechaliście do Vasaro.

- Gdzie on się, do diabła, może podziewać?

- To dopiero siedem dni - przypomniał mu Kemal.

Siedem dni. Te dni w Vasaro wydawały się trwać wieki, odmierzane poczuciem winy i bólem. Bólem Caitlin, jego poczuciem winy. Alex zacisnął dłoń na filiżance.

- Ona musi się z tego otrząsnąć. To zbyt niebezpieczne, żeby mogło trwać.

- Jest przepełniona nienawiścią do Ledforda. Pragnienie zemsty może ją wyzwolić.

- Nie liczyłbym na to. Wydaje się jej teraz, że pragnie zemsty, ale to kłóci się z jej systemem wartości.

Kemal uśmiechnął się do Alexa.

- Ale nie z naszym.

- Nie. Caitlin jest inna niż my.

- Więc co możemy zrobić?

- Musimy sprawić, żeby przestała myśleć o śmierci i zaczęła myśleć o życiu.

- Okoliczności temu nie sprzyjają.

- Zawsze jest jakiś sposób, o ile podejdziesz do sprawy z odpowiedniej strony.

Kemal z zainteresowaniem uniósł brwi.

- Tańczący na Wietrze. Ona czuje się, jakby straciła wszystko, ale jest jeszcze Tańczący na Wietrze.

- Nie rozumiem. Przecież Tańczącego na Wietrze też nie ma.

- Ale została jego tajemnica. Wciąż możemy starać się rozwiązać tę zagadkę. Jeśli nie uda mi się jej pomóc w żaden inny sposób, pomogę jej w tym. - Odstawił filiżankę na talerzyk. - Dzień przed śmiercią Maskovel nadał przesyłkę do

biura American Express. Chciałbym, żebyś odebrał ją jutro rano i przyniósł Caitlin.

Kemal przytaknął.

- Mam nadzieję, że zda sobie sprawę, jak wielki czynię jej honor stając się dla niej zwykłym chłopcem na posyłki.

- Wątpię, czy zechce z czegokolwiek zdawać sobie sprawę - odparł zmęczonym głosem Alex.

- To się zmieni. Bądź cierpliwy, Alex.

Alex spojrzął na zamknięte drzwi pokoju Caitlin.

- Łatwo ci mówić. Jestem zbyt przerażony, by czekać, aż dojdzie do siebie. Mam zamiar wydobyć ją z tego stanu wszelkimi możliwymi sposobami.

Przynoszę podarki - zanucił Kemal, gdy Caitlin otworzyła drzwi następnego ranka. - Chodź i uśmiechnij się do mnie z wdzięcznością.

Caitlin odsunęła się od drzwi, by go wpuścić, i zamknęła je za nim.

- Co to jest?

Kemal z westchnieniem ulgi postawił ogromne pudło na stoliku.

- Masz szczęście, że jestem silny jak tur. Słabszy mężczyzna załamałby się pod tym ciężarem.

Caitlin przez moment czuła lekkie rozbawienie.

- Co to jest?

- Nie wiem. - Kemal wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął przecinać taśmę, którą oklejona była paczka. - To ma jakiś związek z Tańczącym na Wietrze. Alex mówił, że przyjdzie paczka od Petera Maskovela.

- Od Petera. - Serce ścisnęło się jej bólem, gdy przypomniała sobie ostatnią rozmowę z delikatnym, subtelnym Peterem Maskovelem. Pełnymi łez oczami obserwowała, jak Kemal otwiera pudełko.

- Trzy rzutniki. - Kemal sięgnął w głąb pudła, wyciągnął dużą szarą kopertę i podał Caitlin. - Jest prawie tak ciężka jak rzutniki.

- Tłumaczenie - wyszeptała.

Miała w ręku to, na co tak długo czekała. Poczowała pewne podekscytowanie.

Kemal wyciągnął drugą dużą kopertę.

- Wszystkie możliwe skarby.

Otworzyła kopertę, zajrzała do środka, po czym szybko ją zamknęła.

- To tylko zdjęcia.

- Mogę zobaczyć? - Wyciągnął po nie rękę.

Caitlin zawahała się, lecz po chwili wręczyła mu kopertę.

Kemal wyjął zdjęcia i zaczął je przeglądać.

- Bardzo lubię kwiaty. Jakie piękne było to twoje Vasaro.

- Tak, było.

Uniósł wzrok, jego czarne oczy rozbłysły współczuciem.

- Mogłaś się tym cieszyć, ale teraz już nie możesz. Teraz musisz otworzyć się na inne rodzaje szczęścia. Nie chcę cię urazić gruboskórnością, ale trzeba umieć stawić czoło nieszczęściu.

- Stawiałam.

- Nie wydaje mi się. - Powrócił do przeglądania zdjęć. -

Ale mogę ci pomóc... kto to jest?

Przestał przerzucać fotografie i wpatrywał się z uwagą w jedno zdjęcie.

Caitlin spojrzała na fotografię.

- To Marisa Benedict.

- Ta młoda dziewczyna, która została postrzelona? - Przez twarz Kemala przemknął gniew. - Skurwysyny.

- Biedna Marisa.

W dalszym ciągu wpatrywał się w fotografię.

- Musi być niezwykła. - Spojrzał uważnie na podobiznę twarzy Marisy. - Ale nigdy się nie śmieje, prawda?

Caitlin spojrzała na niego zdumiona.

- Nie śmieje się? Nie chodzi co prawda cały czas z szerokim uśmiechem na twarzy, ale nie jest... - Caitlin urwała, zdawszy sobie sprawę, że nigdy nie słyszała śmiechu Marisy.

Kemal kiwnął głową.

- Uśmiecha się, ale się nie śmieje. To niedobrze. Ktoś powinien nauczyć ją śmiechu.

- Nie sposób nie lubić Marisy. Jestem pewna... - Umilkła, przyglądając mu się w oszołomieniu. - Skąd wiesz, że się nie śmieje?

- *Sien mien.*

- Co?

- To pradawna chińska sztuka czytania twarzy. Zajmowałem się tym kiedyś.

- Przez chwilę myślałam, że to twój dar jasnowidzenia. - Caitlin uśmiechnęła się blado. - I, oczywiście, stałeś się ekspertem.

- Oczywiście. - Wyjął zdjęcie i schował do kieszeni dżinów. - Zatrzymam je, dobrze?

- Skoro chcesz...

- Bardzo chcę. - Wyjął jeden z rzutników z pudełka. - A teraz zabiorę to do gabinetu. Chodź ze mną i pokaż, gdzie mam je ustawić. - Szybko przeszedł w kierunku gabinetu.

Caitlin spojrzała na kopertę z tłumaczeniem czując rosnące zaciekawienie.

Mocno ściskając kopertę, weszła za Kemalem do gabinetu.

- Postaw jeden rzutnik na krześle w rogu pokoju. Użyjemy biurka jako postumentu, a dwa pozostałe ustawimy pod takim kątem, żeby...

Gwiezdne wojny - wymamrotał Kemal, z zachwytem wpatrując się w trójwymiarowy obraz Tańczącego na Wietrze. - W tym filmie aktorzy prowadzili trójwymiarowy pojedynek. To to samo?

- Myślę, że w filmie użyto efektów specjalnych, a to jest rzeczywiste. - Caitlin nachyliła się nad jednym z rzutników. - Nie wiem dokładnie, na czym polegają takie efekty specjalne, ale słyszałam coś niecoś o wytwarzaniu hologramów. To wszystko dzieje się przy użyciu techniki laserowej. Laser wytwarza wiązkę światła spójnego. Na błonę fotograficzną musi paść wiązka światła odbitego od przedmiotu, razem z wiązką światła odbitego od płaskiego zwierciadła. Dochodzi wtedy do interferencji obu wiązek i zarejestrowania na błonie obrazu interferencyjnego utworzonego przez dwie fale elektromagnetyczne.

Alex stał w drzwiach gabinetu, słuchając Caitlin, lecz ani ona, ani Kemal nie zdawali sobie sprawy z jego obecności. Zasłony na oknach były zaciągnięte, tak że w pomieszczeniu panował mrok, a oni oboje klęczeli na podłodze wpatrując się w holograficzny obraz Tańczącego na Wietrze. Nawet w półmroku Alex dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy Caitlin i zapiekło go dojmujące uczucie porażki. To Kemalowi udało się dotrzeć do niej tak, jak on nie potrafił.

- Po wywołaniu błony fotograficznej uzyskujemy przezroczyste, zwane hologramem. - Caitlin w roztargnieniu zmierzwiła

krótkie loki. - Na hologramie znajduje się kombinacja prążków i pierścieni dyfrakcyjnych. Jeśli odpowiednio oświetlimy hologram, otrzymamy trójwymiarowy obraz przedmiotu.

- To bardzo interesujące - powiedział znudzonym tonem Kemal. - Proszę cię, nie mów już dalej. Naprawdę wiesz, jak pozbawić człowieka złudzeń.

Caitlin zachichotała.

- Jesteś jak Gaston. On też nie lubi logicznych wyjaśnień, ale on ma dopiero sześć lat.

- Mądry chłopak.

Alex poczuł się zbędny. Celowo poruszył się, żeby zdali sobie sprawę z jego obecności.

- O, jesteś tutaj - zauważył Kemal. - Chodź i zobacz to чудо. Istna magia.

Caitlin zeszytywniała, a jej uśmiech zgasł, gdy spojrzała na Alexa. Zaciśnęła pięści w bezsilnej rozpacz.

- Abrakadabra.

Caitlin przeniosła wzrok na obraz Tańczącego na Wietrze.

- Nie było cię tak długo. Gdzie się podziewałeś?

- Poszedłem do muzeum spotkać się z Modulem.

Znieruchomiła.

- Doszedłem do wniosku, że miał już wystarczająco dużo czasu, żeby przypomnieć sobie, gdzie widział inskrypcję.

- I przypomniał sobie?

- Upřednio zadawszy mi mnóstwo pytań. To dlatego tak długo to trwało. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Byłabyś ze mnie dumna. Wykazałem się tą samą wytrwałością, która ciebie uczyniła sławną.

- Lepszym słowem byłoby: osławioną. Gdzie to widział?

- Pięć lat temu na wykopaliskach w Górach Taurusu w pobliżu wioski Tamkalo. Prace przerwano z braku funduszy, a najcenniejsze wykopaliska przewieziono do muzeum w Ankarze. Mieszkańcy wioski prosili, żeby niektóre znaleziska zostawić w miejscowym muzeum, które założyli licząc na przyciągnięcie turystów z wybrzeża. - Zamilkł na chwilę. - Ale ten fragment tabliczki, na którym zobaczył tę inskrypcję, nie został znaleziony przez archeologów. Dziecko jednego z wieśniaków przyniosło go z gór.

- Jak Mojżesz? - zapytał Kemal.

- Niezupełnie. - rzekł Alex. - Chłopak znalazł odłamany

kawałek tabliczki w jaskini i sprzedał go archeologom za twardą walutę.

- W takim razie reszta tabliczki może wciąż być w jaskini - stwierdziła Caitlin.

- To możliwe.

Kemal wstał, wyłączył pilotem rzutniki i Tańczący na Wietrze zniknął z biurka.

- Nie pozostaje nam nic innego jak tylko jechać do Tamkalo.

- Caitlin i ja pojedziemy do Tamkalo - stwierdził stanowczym tonem Alex. - Ty zostaniesz tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o Ledfordzie albo Irmaku.

- Też dobrze. Nie lubię wspinać się po górach. - Uśmiechnął się szeroko. - Natomiast chętnie porzucę swoje karaluchy i wprowadzę się tutaj, żeby strzec waszego dobytku.

- Doceniam poświęcenie z twojej strony.

- Tak, mam wielkie serce dla przyjaciół. Kiedy wyjeżdżacie?

- Jutro rano.

- Będzie wam potrzebny dżip. Pożyczę go i wyposażę we wszystko, co potrzebne do życia na wolnym powietrzu.

- Obejdziemy się bez złotych kołków do namiotu.

- A szkoda. Wiem, gdzie można nabyć takie skarby i chciałem prosić was o odpowiednią za nie zapłatę.

- Jestem pewien, że opłata będzie odpowiednio wysoka.

- Ja też. Dżip będzie stał pod domem jutro o szóstej rano.

- Kemal wyciągnął rękę. - Powinienem dorobić sobie klucz, jeśli mam należycie strzec waszej własności.

Alex sięgnął do kieszeni i wręczył mu mosiężny klucz, który otwierał bramę i drzwi wejściowe.

- Nie sprawi ci to kłopotu? - zapytał sucho. - Nie chciałbym narażać cię na niewygodę.

- Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze. - Kemal odwrócił się do Caitlin, uśmiechając się łagodnie. - Ten wyjazd dobrze ci zrobi. Pozbądź się złych wspomnień i wróć do zdrowia. - Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z gabinetu.

Alex odprowadził Kemala do wyjścia.

- Postaram się dzwonić do ciebie tutaj przynajmniej raz dziennie, oczekując sprawozdania. Może ruszysz dupę i spróbujesz odnaleźć Irmaka.

- Cały czas próbuję. - Ostry ton głosu Alexa kazał Kemalowi odwrócić się i spojrzeć nań pytająco. Po chwili jego twarz rozpo-

godziła się, pokiwał głową ze zrozumieniem i dodał łagodnym tonem: - Nie wściekaj się na mnie. To nie moja zasługa. To statuetka sprawiła, że Caitlin zaczęła wracać do życia.

Alex zdawał sobie sprawę, że to, co mówi Kemal, jest prawdą. Ale, do diabła, Caitlin nie bladła i nie sztywniała, kiedy patrzyła na Kemala.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dla ciebie to bolesny eksperyment. Ktoregoś dnia ona to zrozumie. - Kemal zamknął za sobą drzwi.

- Naprawdę tam pojedziemy? - W drzwiach gabinetu stała Caitlin.

- Naprawdę. - Obrzucił szybkim spojrzeniem jej ożywioną twarz i udał się do swojej sypialni.

Zazdrość. Chryste, kipiał, wprost płonął zazdrością. Był zazdrosny o Kemala, o to cholerne tłumaczenie, nawet o Tańczącego na Wietrze. Nigdy wcześniej się tak nie czuł i nie umiał sobie z tym poradzić.

Chciał jednak nią potrząsnąć, sprawić, by patrzyła na niego tak jak w czasie paru pierwszych dni w Paryżu, przywarta do niego tak jak w Vasaro, nim zmieniła się w lód. Z jednej strony zdawał sobie sprawę z tego, że oczekuje rzeczy na razie niemożliwych do spełnienia, że powinien uzbroić się w cierpliwość, tak jak radził mu Kemal. Jednak targały nim sprzeczne uczucia. Ze wszystkich sił chciał jej pomóc, a ona go odtrącała.

Okłamywał się. To nie było wszystko, czego chciał. Intencje, dla których chciał ją wyrwać z tego kokonu nie były tak czyste, jak próbował to sobie wmówić. Jego ciąta nie interesowały emocjonalne problemy Caitlin, chciało jedynie zaspokojenia własnych potrzeb.

Dżip wjechał na wzgórze, skąd roztaczał się widok na niewielką wioskę Tamkalo, która leżała w dolinie otoczonej majestatycznymi łańcuchami gór. Kłęby białej pary unosiły się nad co najmniej dwudziestu gorących źródeł znajdujących się w okolicach i w samej wiosce. Duża chata o płaskim krytym darnią dachu rozsiadła się obok ogromnej niecki żłobiącej ziemię na końcu wioski. Domostwo wyróżniało się spośród innych szarobrazowych chat przypominających darniowe stożki tej samej wielkości, stojące na białoszarej piaszczystej ziemi.

- *Dieu*, nigdy nie widziałam jeszcze czegoś podobnego -

stwierdziła Caitlin, upchnąwszy stronicę tłumaczenia z powrotem do koperty, i wyprostowała się na siedzeniu. - Czy w tych dziwnych domkach naprawdę mieszkają ludzie?

- Przypuszczam, że tak, ale nikogo nie widzę. - Alex zatrzymał dżipa, opierając łokcie o kierownicę. - Wioska sprawia wrażenie opuszczonej.

Caitlin także nie dostrzegła oznak życia w wiosce.

- Nie widać ludzi ani bydła, ani pojazdów. Wioska-widmo. Czy *monsieur* Modul nie wspomniał... - Po chwili sama odpowiedziała sobie na nie dokończone pytanie. - Ale przecież on mógł nie wiedzieć, skoro nie było go tu pięć lat.

Alex przytaknął ponuro.

- Nici z dzwonięcia codziennie do Kemala. Wioska musiała się wyludnić, kiedy wyprowadzili się stąd archeologowie.

- Spójrz na tę ziemię. Nie mogło im się przecież zbyt dobrze powodzić i wcześniej.

- Ta ziemia musi być nasycona minerałami wypłukiwanymi na powierzchnię przez źródła.

- Zamiast starać się przyciągnąć turystów zakładając muzeum, powinni byli założyć tu uzdrowisko. Nigdy nie widziałam tylu gorących źródeł na tak niewielkiej powierzchni. - Caitlin wyskoczyła z dżipa i ruszyła ulicą, wznecając kłęby piasku. - A może uda nam się trafić do tego muzeum. To wygląda na wykop. Czy *monsieur* Modul mówił, że w pobliżu był...

Kula ze świstem przeleciała tuż obok głowy Caitlin.

Instynktownie padła na ziemię. Słyszała echo wystrzału długo rozbrzmiewające w górach. Skąd padł strzał? Przerazonym wzrokiem powiodła po dziwnych budynkach rozsiadłych wzdłuż ulicy.

- Nie wstawaj! - krzyknął Alex.

Merde, czyżby myślał, że ma zamiar iść na spacer z ludźmi, którzy do niej strzelali? Zaczęła czołgać się w stronę jednej z tych dziwnych stożkowatych chat po lewej stronie ulicy.

Następna kula zaryła w piach tuż przed nią.

Zesztywniała. Może powinna podpełznąć z powrotem w stronę dżipa? Obejrzała się przez ramię. Alexa nie było w wozie. Gdzie, do diabła... Matko Święta, nie miała czasu zastanawiać się, dokąd poszedł, skoro wciąż leżała na otwartej przestrzeni. Chata była bliżej niż dżip. Głęboko zaczerpnę-

ła tchu i przetoczyła się w jej stronę, spodziewając się, że lada chwila może zostać trafiona.

Panującą w dolinie ciszę rozdarł nagle ostry krzyk bólu, po którym natychmiast posypały się gwałtowne, wypowiedane podniesionym męskim głosem tureckie słowa.

Ostrożnie wychyliwszy głowę zza chaty, zobaczyła Alexa wychodzącego z domku z płaskim dachem obok wykopu. Alex trzymał w jednym ręku karabin, w drugim pistolet.

- Jesteś ranna? - krzyknął.

- Nie.

- To szybko chodź tu i włącz do środka. Nie wiadomo, kto jeszcze może się czaić w tych domkach. - Odwrócił się i zniknął we wnętrzu chaty.

Z chaty, do której wszedł, dobiegł kolejny wściekły potok tureckich słów. Caitlin wstała i ostrożnie przeszła parę metrów ulicą.

- Caitlin!

- Idę. - Przyspieszyła kroku i po chwili weszła do chaty z płaskim dachem. Omiotła wzrokiem obszerne wnętrze stwierdzając, że wygląda jakby przeszło przez nie stado słońi. Poprzewracane stoły i krzesła, szafki wraz z zawartością leżące na klepisku. Jedynym meblem, który pozostał na swoim miejscu, był długi, prymitywnie sklecony stół pod przeciwległą ścianą.

Wysoki, żyłasty mężczyzna kłęczący na klepisku był równie zaniedbany jak otoczenie. Miał na sobie brudną szatę w kasztanowe pasy i usmarowany biały turban, i wyglądał na sześćdziesiąt parę lat. Trudno było zresztą określić jego dokładny wiek zważywszy obfitą warstwę kurzu i tłuszczu pokrywającą jego twarz, kędzierzawe czarne włosy i długą, przetykaną siwizną brodę. Jego gorejące oczy utkwione w nią z fanatycznym żarem przypominały jej ajatollaha Chomeiniego. Z ust płynęła mu krew, lecz nie powstrzymało go to od wypowiedzenia ogromnej ilości słów, kiedy ją zobaczył. Odruchowo cofnęła się o krok.

- Kim on jest? Czemu do mnie strzelał?

- Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Nie mam zamiaru wpaść w jakieś tarapaty. Nie mogę zamknąć mu gęby. - Alex słuchał przez chwilę, po czym zwrócił się do Caitlin podniesionym tonem, by przekrzyczeć napastliwy jazgot mężczyzny. - Nazywa się Abdul Kasmina i twierdzi, że jest właścicielem całej wioski. Kiedy wszyscy się wyprowadzili, on został i wio-

ska należy do niego prawem zasiedzenia. Wdarliśmy się na jego teren i musimy zginać.

Caitlin poczuła ogromną ulgę. Przed chwilą przemknęło jej przez głowę, że to może nowa pułapka Ledforda.

- Jest szalony?
- Słuszny wniosek.

Caitlin wzdrygnęła się.

- Dlaczego tu został zupełnie sam?

- Może po to, żeby być królem wszystkiego, czego pilnuje? Kto wie? - Alex rozejrzał się po chacie. - Sądząc po tych stołach i szafkach, myślę, że tu właśnie znajdowało się muzeum, zanim Abdul zamienił je w swój prywatny chlew. Może rozejrzyj się tutaj i zobacz, czy nie znajdziesz tego kawałka tabliczki, o którym mówił Moduł, a ja wyprowadzę stąd Abdula i zadam mu parę pytań.

Caitlin niemal nie słuchając jego słów podeszła do długiego stołu pod ścianą. Słowo „chlew” bardzo dobrze określało to miejsce. Na stole walało się kilkanaście glinianych mis i prymitywnych noży. Skrzywiła się widząc liczne muchy unoszące się nad resztkami jedzenia w jednej z płytszych misek. Antyki najwyraźniej nie znajdowały uznania Abdula Kasminy.

Pod połamaną urną leżał kawałek tabliczki.

Zapomniała o muchach. Zapomniała o całym bożym świecie, mając przed oczami tylko ten trójkątny kawałek szarobrazowej gliny. Ostrożnie, niemal bojąc się wziąć głębszy oddech, przesunęła urnę.

- Boże. - Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała te słowa, patrząc na starożytny napis. Był dokładnie taki sam...

- Alex! Jest taki sam! - krzyknęła. Zerwawszy z szyi niebieską bawełnianą chustę, starannie owinęła nią kawałek tabliczki. Nie wierzyła swemu szczęściu. Tabliczka mogła rozbić się, kiedy dziecko wykopywało ją z ziemi, albo ten szaleniiec mógł cisnąć nią o ziemię w przypływie wściekłości. Raz jeszcze spojrzała na porzucane po stole przedmioty, chcąc się upewnić, że nie ma tam żadnej innej tabliczki z podobnym napisem, po czym wybiegła z muzeum. - Alex! Słyszysz mnie! To jest... - Urwała, dostrzegłszy leżącego na ziemi Abdula Kasminę i stojącego nad nim Alexa.

Alex zrobił użytek z brudnego turbana Abdula, żeby go

zakneblować. Teraz wargi Abdula były rozdzielone materiałem, a okolice jego lewego oka szybko siniąły.

- Zrobiłeś mu krzywdę.

- Mam taką nadzieję. - Gdy Alex odwrócił się w jej stronę, zauważyła ogromny siniak na jego policzku. - Próbował nas zabić.

- On jest chory psychicznie. Nie powinieneś być... prawdopodobnie chciał nas tylko odstraszyć.

Abdul wybełkotał coś jadownicie pod adresem Caitlin, co sprawiło, że rysy twarzy Alexa jeszcze bardziej stężały.

- Nie sądę.

- Mimo wszystko nie powinieneś bić bezbronного człowieka.

- Wcale nie był bezbronny. Będę straszył tym siniakiem przez tydzień. I wcale go nie biłem, tylko przesłuchiwałem. - Alex dźgnął żebra Abdula czubkiem buta. - Tak się zmęczył, że postanowił położyć się i odpocząć.

Zacisnęła wargi z odrazą.

- Tak przesłuchuje ludzi KGB?

- Czasami. - Alex spojrzał jej prosto w oczy. - Chciałaś wiedzieć, skąd się wzięła ta tabliczka. Dowiedziałem się tego. - Wskazał najbliższą górę wznoszącą się nad wioską. - Jest ścieżka, którą można dojść do jaskini znajdującej się w połowie zbocza.

- Mogliśmy dowiedzieć się tego w inny sposób. Uwolnij go. Alex pokręcił głową.

- Nie wiemy, czy nie ma innej broni w którejś z tych lepianek.

- W takim razie zwiąż go i zostaw.

Alex przyglądał się jej przez chwilę, po czym podniósł wierzgającego Abdula i przerzucił go sobie przez ramię.

- Zaraz wrócę. - To powiedziawszy, zniknął we wnętrzu.

Dziesięć minut później stanął na progu chaty już bez ciężaru.

- W porządku.

- Długo nie wracałeś.

- Nie spowodowałem żadnego trwałego kalectwa. - Ruszył ulicą w kierunku dżipa. - I nie mam zamiaru usprawiedliwiać się, że wydobyłem z niego informacje, na których mi zależało. Obojętnie, czy jest szalony, czy nie, jest złośliwym sukinsynem, który chciał zabić nas oboje. - Spojrzał na nią z ukosa. - Może chcesz, żebym ci przetłumaczył, co zamierza

zrobić, kiedy odzyska wolność z niewierną, która ośmiela się nosić męskie spodnie?

- Nie. - Doszli do dżipa i Caitiin włożyła kopertę z tłumaczeniem, którą zostawiła w samochodzie, do jednej z kieszeni plecaka leżącego na tylnym siedzeniu. - Nie chcę tego słuchać.

- Nie, ty po prostu nie chcesz słyszeć niczego, co mogłoby cię przekonać, że nie byłem... - Wzruszył ramionami. - Mniejsza o to. - Bierz swój plecak i pomóż mi rozbić obozowisko.

- Możemy zatrzymać się w którejś z tych chat.

- Rób jak chcesz. Ja wolę nocować na powietrzu niż w brudzie, który musiał nagromadzić się w tych chatach przez ostatnie pięć lat.

Caitiin przypomniała sobie brud, muchy i szybkobieżne owady w muzeum i zmieniła zdanie. Odwróciła się w stronę Alexa.

- Ty rozkładasz obóz, a ja poszukam drewna na ognisko.

Caitlin przeczytała kolejną stronicę i odłożyła ją na stos innych kartek piętrzący się na kocu obok niej.

- Idź spać - odezwał się Alex ze swego śpiwora po drugiej stronie ogniska. - Jutro musisz wdrapać się na górę.

- Na pół góry - poprawiła go, wciąż pochłonięta tym, co czytała. - Abdul powiedział, że jaskinia jest w połowie góry.

- Gdziekolwiek jest - w głosie Alexa słychać było zniecierpliwienie - nie chciałbym być zmuszony ciebie tam wlec.

Uniosła wzrok.

- Nie będziesz musiał mnie wlec. Dotrzymam ci kroku. - Nagle zdała sobie sprawę, że te słowa brzmią znajomo. - To właśnie Hiacynta powiedziała Androsowi.

- Kiedy?

- Kiedy uciekali z Troi. - W zamyśleniu spojrzała w ogień. - Powiedziała, że dotrzyma mu kroku. Andros pochodził z ludu Szardana i myślę, że napis na podstawie statuetki też może być w języku Szardanów. Myślę, że Andros kazał wyryć ten napis na podstawie po opuszczeniu Troi.

- Skąd ten wniosek?

- W pierwszej legendzie nie ma wzmianki o inskrypcji, mimo że jest dokładny opis statuetki.

- To może być przeoczenie.

- Ale to Andros zlecił egipskiemu skrybie spisanie tej hi-

storii. We wstępie Caterina stwierdza, że od czasów Androsa tradycją stało się spisywanie rodzinnych historii. - Caitlin zmarszczyła brwi. - Andros?.. nie rozumiem.

- Co w tym niezrozumiałego?

- Andros był wojownikiem. Był waleczny i mądry, ale nie był typem człowieka, który chce spisać historię swego życia dla potomności. Dlaczego tak mu zależało na spisaniu tej historii i przekazaniu jej przyszłym pokoleniom?

- Wysznułaś te wnioski po przeczytaniu pierwszej legendy?

- Sam ją przeczytaj, a zobaczysz, czy się ze mną nie zgodzisz.

- Może jutro... Co to za lud Szardana?

- Nikt nie wie o nim zbyt wiele. Byli bardzo skryci i nie zostawili własnych zapisów. Starożytni Egipcjanie określali ich mianem ludzi morza. Powszechnie obawiano się ich, bo słynęli jako doskonali wojownicy i rzeczywiście kiedyś zaatakowali przybrzeżną strefę Egiptu. Potem służyli w wojskach zaciężnych faraonów. Nikt nie wie, dlaczego z wrogów stali się poddanymi.

- Z pewnością nie odkryjesz tego dzisiaj. - Alex odwrócił się do niej plecami i podciągnął suwak śpiwora. - Idź spać.

- Za chwilę.

- Natychmiast

Zaniepokoiło ją wzburzenie w jego głosie. Czytając historię Androsa, nie zwracała uwagi na rosnące napięcie Alexa, które uzewnętrzniały napięte mięśnie jego pleców. Korciło ją, żeby powiedzieć mu, że może się wypchać, ale z pewnością nie potrzebowali dalszych konfliktów. Poza tym miał rację - powinna wypocząć przed trudami nadchodzącego dnia.

Wspinaczka okazała się dużo trudniejsza, niż się spodziewała, i doszli do jaskini dopiero późnym popołudniem. Wyłobiona koleinami ścieżka wspinała się stromo, a czasami zniknęła i musieli przedzierać się wśród skał i głazów.

Kiedy wreszcie ujrzeli ogromny otwór wapiennej jaskini, Caitlin czuła się, jakby szli cały dzień, a nie parę godzin, i jakby plecak ważył o całą tonę więcej, niż kiedy rozpoczęli wspinaczkę.

Alex odwrócił się i podał jej rękę, by pomóc jej pokonać ostatnie metry.

- W porządku?

To były pierwsze słowa, jakie do niej wypowiedział, odkąd wyruszyli z wioski.

Skinęła głową, z trudem łapiąc oddech, i otarła chusteczką pot z czoła i karku.

- Zostań tutaj. Idę zobaczyć, co jest w środku.

Zniknął we wnętrzu jaskini.

Zaczekała, aż opanuje oddech, i poszła za nim.

Mrok panujący w jaskini rozpraszało jedynie światło dochodzące z zewnątrz. Sklepienie jaskini musiało znajdować się jakieś dziesięć metrów nad jej głową, nie czuła jednak zimna ani przeciągu. Wewnątrz było niemal gorąco. Widziała zarys skał i gładów i ruchomy punkt światła latarki Alexa, zdążającego w jej stronę.

- Widzę, że jesteś posłuszna jak zwykle.

- Jak długa jest jaskinia?

- Ma około czterystu metrów. Jest tu tak gorąco, bo przy końcu bije jeszcze jedno gorące źródło. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Niestety, na ścianach nie dostrzegłem żadnych napisów ani symboli.

- Wcale się nie spodziewałam, że dostrzeżesz. - Caitlin postawiła plecak na ziemi. Po drodze nie widziałam śladu drewna na rozpałkę. Myślę, że będziemy musieli skorzystać z kuchenki turystycznej. Przynajmniej dziś w nocy nie będziemy potrzebowali ogniska, żeby się ogrzać. Rozłożmy obóz, a o świcie zaczniemy poszukiwania.

- Dziwię się, że nie chcesz od razu zacząć poszukiwań.

Zignorowała sarkazm w jego głosie.

- Skoro jaskinia jest taka mała, jak mówisz, nie będzie to zbyt trudne zadanie i do wieczora dokładnie ją przeszukamy. - Uklękła na ziemi i rozsznurowała plecak. - A poza tym chciałybym przeczytać drugą legendę, póki jest jeszcze światło dzienne. - Czuła na sobie jego wzrok, lecz starała się na niego nie patrzeć. - Wczoraj ja przyrządziłam posiłek. Dziś twoja kolej.

Wyjęła tłumaczenie z plecaka i podeszła do wyjścia z jaskini. Usiadłszy tuż przy otworze, oparła się plecami o poszarpaną wapienną ścianę.

Przed nią rozpościerała się dolina, ponura, skalista, niesamowita w późnym popołudniowym słońcu.

Słyszała odgłosy krzątania Alexa w jaskini, lecz wyparła wszelkie myśli na jego temat i zagłębiła się w lekturze dru-

ZAGADKI

giej legendy. Zdażyła przeczytać zaledwie trzy strony, kiedy Alex wyszedł z jaskini.

- Daj mi do przeczytania pierwszą legendę.

Przeniosła na niego wzrok.

- Teraz?

- Powiedziałaś, że powinienem ją przeczytać. - Usiadł obok i wziął od niej stronicę tłumaczenia. - Co innego mam do roboty?

Niezwykle szybko odkładał kolejne pokryte maszynowym pismem strony i przypomniła sobie, jak mówił jej kiedyś w laboratorium, że opanował sztukę szybkiego czytania.

Starała się skupić na drugiej legendzie dotyczącej osiedlenia się Androsa i Hiacynty w Aleksandrii i założenia przez nich rodziny, lecz jej się to nie udawało. Była zbyt świadoma obecności Alexa siedzącego obok i zaczytanego w historii spotkania Androsa i Hiacynty w ich ostatnim dniu w Troi. Sama przeczytała tę legendę dwa razy, ale miała ją przed oczami jak na ekranie, wzbogaconą przez wyobraźnię tak, iż stała się niemal rzeczywistością.

Andros, Hiacynta i Paradygnes...

I Tańczący na Wietrze.

15

Złota statuetka Pegaza o wysokości osiemnastu cali przyciągała wzrok i przykuwała uwagę. Dwa idealnie dobrane owalne szmaragdy stanowiły oczy konia, a jego filigranowe skrzydła załamywały się do tyłu wzdłuż zgrabnego ciała, jakby chłostane silnym wiatrem. Na filigranowej chmurze, z której Pegaz zdawał się zrywać do lotu, błyszczały perły, a podstawę statuetki zdobiło czterysta czterdzieści siedem diamentów.

- Jak myślisz, Androsie? - Paradygnes delikatnie otarł filigranowe skrzydła stojącej na stole statuetki miękką ściereczką. - Czy Tańczący na Wietrze wart jest tego, żeby dlań umrzeć?

- Co ja myślę? Myślę, że jesteś szalony - wypalił bez ogródek Andros. - Król rozkazał ci stopić statuetkę, aż stanie się bezkształtną masą metalu. Co będzie, jeśli odkryje, że go nie posłuchałeś?

- Prawdopodobnie rozkaże, żebym to ja został spalony. - Paradygnes nie odrywał wzroku od statuetki. - Nalej sobie wina. Chcę ci coś zaproponować.

Andros przeszedł przez komnatę do stołu i uniósł wdzięczny niebieski dzban, na którym namalowany był Apollo ciągnący słońce przez niebiosy. Dzban był tak wspaniały, jak wszystko inne w komnacie Paradygnesa, i Andros zawsze patrzył na niego z podziwem. Nalał wina do czary.

- Więc proponuj. Nie muszę dodawać, że z uwagą wysłucham twojej propozycji. Jako więźniowi w twoim mieście, nie składano mi ostatnio zbyt wielu propozycji.

- Nie możesz uskarżać się na złe traktowanie.

- Nie przez ciebie. - Andros uniósł czarę do warg. - Często zastanawiałem się, dlaczego wstawiłeś się za mną u brata, kiedy chciał mi ściąć głowę.

- Myślałem, że możesz mi być potrzebny. Jesteś odważny i masz rzadko spotykane poczucie honoru. - Paradygnes odłożył ściereczkę na stół, cofnął się o krok i zapytał miękko: - Na Zeusa, czyż to nie czyste piękno?

- Pozbądź się statuetki - rzekł szorstko Andros. - Zgadzą się, że jest zbyt piękna, by ją zniszczyć, ale trzymają ją w ukryciu. Doszły mnie słuchy, że twój brat przypisuje jej magiczną siłę daną od bogów, która spowodowała, że Trajnor zdradził swoich ludzi

- Mój brat nie zawsze myśli roztropnie. Skoro wierzył, że sprawiła to statuetka, to czemu kazał porąbać Trajнора żywcem na kawałki? - Paradygnes pokręcił głową. - Mój brat nigdy nie był zbyt mądry i nawet kiedy był małym chłopcem, powodowała nim zachłanność i namiętność. - Skrzywił się. - Wiesz, że to ja powinienem być królem? To ja byłem pierworodnym synem. Gdyby nie te koślawe nogi, zasiadałbym teraz na tronie i prawdopodobnie nie musielibyśmy dzisiaj siedzieć za tymi murami, czekając na śmierć.

- Nie jest powiedziane, że zginiesz.

- Chcesz mnie pocieszyć? - Paradygnes pokręcił głową. - Obłędzenie trwa już zbyt długo, zawziętość jest zbyt wielka, straty obu stron coraz dotkliwsze. Kiedy w końcu zostaniemy pokonani, nie będzie litości. My także byśmy jej nie okazali, gdyby to nam przy padło w udziale zwycięstwo.

Andros w zamyśleniu pił wino, spoglądając na statuetkę. Chciał, żeby starzec przestał już kluczyć i powiedział, po co go wezwał z więziennej celi. Nie po raz pierwszy brat króla kazał po niego posłać, częstował winem i zabawiał rozmową, lecz takie postępowanie wydawało się bardzo dziwne szczególnie teraz, kiedy miastu groziła zagłada.

- Masz rację. Każdy musi kiedyś umrzeć. Ale nie ma sensu przyspieszać tej chwili wprawiając w gniew brata.

- Nie wydawałeś się przejęty możliwością wywołania jego gniewu, kiedy poddawał cię chłości podczas przesłuchania. - Paradygnes uśmiechnął się. - Mogłeś być mu wyznać to, co chciał wiedzieć, a darowałby ci wolność i pozwolił wyjechać z miasta.

Na chwilę twarz Androsa rozjaśniła się uśmiechem.

- Na cóż zdałby mi się koń? Nie należę do wytrawnych jeźdźców takich jak ty. Jestem człowiekiem morza.

- Dobrze o tym wiemy - odparł sucho Paradygnes. - Wasze

okręty napadają na naszych mieszkańców i ściągają haracz od czasów panowania ojca mojego ojca.

Andros wzruszył ramionami

- Każde miasto-państwo najeżdża i łupi, co tylko może. Szardanowie są w tym po prostu lepsi od innych

- W związku z czym muszą mieć u siebie wielkie bogactwa - Paradygnes utykając podszedł do stołu i nalał sobie czarę wina. - Nic w tym dziwnego, że mój brat chce znać położenie twojej ojczyzny, żeby móc zdobyć te skarby. Jak zauważyłeś, wszyscy jesteśmy najeżdźcami Wrogowie, którzy nas dzisiaj oblegają, mogą sobie mówić o zemście, ale im także chodzi tylko o niewolników i łupy.

To doprawdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że twój statek rozbił się u wybrzeży Troady tuż przed tym, jak Grecy obiegli nasz gród.

Andros mocniej zacisnął dłoń na czarze.

- Nie obchodzi mnie wasza wojna i nie mam zamiaru stać się jej ofiarą. - Uśmiechnął się, ukazując białe zęby. - Daj mi miecz, a wydam cię z miasta i zapewniam cię, że przy następnym ataku będziecie mieli znacznie mniej wrogów do odparcia.

- Nie wątpię, że to prawda. - Wzrok Paradygnesa wciąż był utkwiony w dzban, z którego niedawno nalał wino. - Powiedz mi, czy macie takie piękne przedmioty w skarbcach w swoim mieście?

Na wargach Androsa zaigrał tajemniczy uśmiech.

- Mamy skarby, jakich sobie nawet nie jesteście w stanie wyobrazić.

- Takie jak ten?

- O wiele cenniejsze.

- To w takim razie po co na nas napadacie?

Andros nie odpowiedział.

- Nie chcesz odpowiedzieć nawet na tak niewinne pytanie? - Paradygnes uśmiechnął się i uniósł czarę do warg. - Tajemniczy z was lud. Przyplływacie znikąd, napadacie, plądrujecie, łupicie i rozplływacie się we mgle. Zaczynam żywić coś w rodzaju współczucia dla mojego ukochanego brata.

- Powinieneś współczuć moim ludziom, których twój brat poświęcił Posejdonowi, żeby uratować miasto. - Szczęki Androsa zacisnęły się. - To byli dzielni szczerzy ludzie.

- Ale wrogowie.

- To ja byłem wrogiem - odparł Andros. - Oni jedynie przyplłynęli ze mną. - Jednym haustem wypił wino pozostałe w czarze. - Mógł wziąć ich w niewolę, zamiast robić rzeź. Niech bogowie prze-

klną jego duszę. - Odstawił czarę na stół i odwrócił się do Paradygnesa. - Ale nie zamierzam waśnić się z tobą, czcigodny mężu. Czas spędzony z tobą dał mi wiele satysfakcji. Czego sobie życzysz? Chcesz, żebym przeszył ci serce mieczem, byś uniknął hańby śmierci z rąk wroga?

- Nie. - Paradygnes skinął głową w stronę statuetki. - Co wiesz o Tańczącym na Wietrze?

- Że jesteś szaleńcem, który nie posłuchał rozkazu zniszczenia statuetki

- Potwierdzam. Co jeszcze?

- Tylko to, co mówili mi strażnicy. Że wasz wojownik Trajnor otrzymał od wroga tę statuetkę w zamian za otwarcie zachodniej bramy. Że ich wojownicy wdarli się przez tę bramę, podpálili ją i że od tamtej pory dwa razy mogli już zdobyć miasto.

- Następnym razem miasto upadnie.

Andros skinął głową.

- Teraz, kiedy brama jest już zniszczona, nie możecie powstrzymać ich w nieskończoność.

- Gdyby nie zdrada, nasze miasto spustoszyłaby choroba, która błyskawicznie zbiera śmiertelne żniwo - odparł znużonym głosem Paradygnes. - Trajnor nie wykazał się męstwem, ale kochał piękne przedmioty tak samo jak ja. Wiesz, jakie było jego ostatnie życzenie przed śmiercią?

Andros pokręcił głową.

- Żeby mógł jeszcze raz zobaczyć Tańczącego na Wietrze. - Paradygnes zasępił się. - Nie ma się co dziwić, że mój brat jest przerażony. On rozumie tylko wojnę i walkę. Nigdy nie potrafił pojąć siły piękna. - Spojrzał na Androsa. - Ale ty rozumiesz tę moc. Zauważyłem, że patrzyłeś na moje piękne przedmioty z podziwem, nie zachłannie.

- Oczywiście, że jest w tym i chciwość - uśmiechnął się Andros.

- Myślisz, że nie próbowałem oszacować ich wartości?

- Nie potrafię zdobyć się na zniszczenie Tańczącego na Wietrze i nie mogę też pozwolić, by statuetka wpadła w ręce wrogów. - Paradygnes zamilkł na chwilę. - Więc wynieś ją dzisiaj z miasta przed kolejnym atakiem.

Andros znieruchomiał; w serce wstąpiła nadzieja.

- Mniemam, że zdajesz sobie sprawę, jak szaleńczy to pomysł. Miasto jest otoczone.

- To bardzo stary gród, który był wiele razy niszczony i odbudo-

wywany. - *Paradygnes pokuśtykał w drugi koniec komnaty i odsunął kobierzec, by odsłonić drewnianą klapę. - To przejście poprowadzi cię pod ziemią i wyprowadzi daleko poza linie wroga.*

- *Twój brat zna to przejście?*

Stary człowiek przytaknął.

- *Ale z niego nie skorzysta. Jego głowa jest przepiętna mądrze, a serce - nienawiścią. Prędzej zostanie tutaj i pozwoli się zabić, niż ucieknie.*

- *Cóż, nie jestem tak nieroztropny. Z chęcią zabiorę twojego Tańczącego na Wietrze i opuszczę to miejsce. - Andros podszedł do statuetki - Chodź, wydamy cię stąd.*

- *Ja zostaję.*

Andros popatrzył na niego zdumiony.

- *To moje miasto, moja ojczyzna. - Paradygnes skrzywił się. - Być może jestem równie nieroztropny jak mój brat. - Pochylił się i chwycił żelazny uchwyt, by otworzyć klapę. - Ale nie pójdziesz sam. Wyprawiam z tobą jeszcze kogoś. Czeka już w tunelu z mieczem, latarnią, żeby oświetlić ci drogę, i z zapasami żywności, które powinny wam wystarczyć przynajmniej na... - Przerwał, słysząc wrzawę na dziedzińcu.*

- *Atakują! Na mury!*

- *Spiesz się. Znowu się przedarli. - Paradygnes wskazał Tańczącego na Wietrze. - Włóż statuetkę do kufereka i uciekaj.*

Andros szybko zrobił, co mu polecono, chwycił kuferek i podbiegł ku otworowi w posadzce.

- *Kto czeka w tunelu?*

- *Hiacynta.*

Andros powoli pokręcił głową.

- *Ty też, starcze?*

- *Ona nie jest taka jak myślisz. - Paradygnes wzruszył ramionami. - I nie mogę pozwolić, by zginęła, tak jak nie mógłbym się pogodzić ze zniszczeniem Tańczącego na Wietrze.*

- *Ostrzegam. Nie będę robił dla niej względów. - Andros wziął kuferek pod lewe ramie i zaczął powoli opuszczać się w ciemną czeluść po sznurowej drabince. - Przekona się, że będzie musiała dotrzymać mi kroku, albo zginie.*

- *Dotrzyma ci kroku. - Paradygnes uśmiechnął się nieznacznie. - Możesz nawet mieć trudności z dotrzymaniem jej kroku. Jak już mówiłem, ona nie jest taką, jak ci się zdaje.*

Andros zawahał się; uniósł wzrok na starego człowieka.

- *Chodź z nami. Tutaj czeka cię tylko śmierć.*

Paradygnes pokręcił głową.

- *Jestem kulawym starcem, a droga, która was czeka, jest dla mnie za trudna.*

Andros milczał przez chwilę, po czym powiedział powoli:

- *Chodź... Znajdę sposób, żeby ci pomóc.*

- *Będziesz nieść mnie na plecach? Nie znoszę niewygód i wolę umrzeć tutaj wśród swoich skarbów niż gdzieś na obczyźnie. Niech bogowie mają was w swojej opiece. - Wzdrygnął się, słysząc rozdzierające noc przenikliwe krzyki na dziedzińcu. - Spiesz się! Zanim podpalą miasto, musicie być już daleko poza jego murami, bo dym zabije was w tym tunelu. Nie czekając na odpowiedź, szybko opuścił klapę i nakrył ją dywanem, zostawiając Androsa w ciemności.*

Paradygnes dokuśtykał do krzesła i ciężko na nie opadł z westchnieniem ulgi

Tańczący na Wietrze był bezpieczny. Tak nieustraszony wojownik jak Andros z pewnością okaże się odpowiednim strażnikiem statuetki i ochroni ją przed wszystkimi, którzy pragną ją zniszczyć. Niech w świecie, w którym panuje podłość, gwałt i przemoc, przetrwa przynajmniej jeden nieskończenie piękny przedmiot

Wrzaski i szcęk mieczy dochodziły z coraz bliższej odległości. Przeniknął go dreszcz; zdał sobie sprawę, że zbliża się śmierć. Wciąż jeszcze miał czas, by uciec, gdyby się na to zdecydował. Co prawda zejście po sznurowej drabince stanowiło nie lada problem dla człowieka kulawego, lecz nie raz już się przekonał, że potrafił dokonać większości rzeczy, które robili bardziej od niego uprzywilejowani

Nie, był już zbyt zmęczony bolesnym kuśtykaniem w ciemnych korytarzach tego świata. Z pewnością poza ziemią istnieje gdzieś miejsce, gdzie dusze dobrych ludzi unoszą się na skrzydłach silnych i złotych jak skrzydła Pegaza, którego powierzył Androsowi

Skrzydła Tańczącego na Wietrze.

Jakie to może być uczucie: tańczyć na chmurze, być uwolnionym z ziemskich okowów? Nagle przez chwilę wyobraził sobie, że będzie wtedy czuł podmuchy wiatru na twarzy. I rozpierając radość unoszenia się nad górami i rzekami, poddawania twarzy ciepłym promieniom, słońca. Czy ta wizja została zesłana przez bogów, by pocieszyć go w ostatnich chwilach życia, czy jedynie

powstała w jego umyśle z rozpaczy? To nieważne. Istotne było, że jej doznał. Gdyby wystarczająco się skupił, prawdopodobnie mógłby ponownie przywołać to niezwykle uczucie.

Zamknął oczy i po chwili na jego pomarszczone oblicze wypląnął błogi uśmiech. Wciąż się uśmiechał, gdy wrogowie wyłamali drzwi i przyszli po niego.

Płomienie strzelały wysoko w nocne niebo, jakby chciały roztopić na nim gwiazdy.

Andros stał na wzgórzu ze wzrokiem utkwionym w płonące miasto w dole.

- To był dzielny człowiek - odezwała się cicho stojąca za nim Hiacynta. - Moje serce okryte jest żałobą.

- Mówisz o Paradygniesie?

- A o kim? - Oparła się o ogromną trójkątną szarą skałę, nie odrywając wzroku od płonącego miasta. - Nikt inny w tym nędznym mieście o mnie nie dbał.

- Dziwisz się im?

- Wierzysz w te kłamstwa?

- Nie wierzę w nic oprócz tego, co widzę, słyszę czy czuję. Nie ufam nikomu, dopóki mnie do siebie nie przekona. - Schylił się i podniósł kuferek z Tańczącym na Wietrze. - Ale twoje towarzystwo jest całkiem przyjemne i nie jęczałaś ani nie użalałaś się na tempo, które narzuciłem w tunelu. Myślę, że jakiś czas możemy podróżować razem.

- Dokąd się teraz udamy?

- Na południe wzdłuż wybrzeży do Egiptu. Najmę się do pracy u faraona, żeby zarobić pieniądze wystarczające do tego, by zbudować statek i wrócić do Szardanów.

Przymknęła oczy.

- Mógłbyś sprzedać klejnoty z Tańczącego na Wietrze.

Pokręcił głową.

- Paradygnes zginął, by uratować ten skarb. Nie mogę go zdradzić. - Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Myślę, że wiedziałaś, że taka będzie moja odpowiedź.

- Miałam nadzieję, że będzie taka. - Promienny uśmiech rozjaśnił jej urodziwą twarz i nagle Andros zrozumiał, dlaczego Paradygnes nie mógł znieść myśli o tym, że Hiacynta może zginąć. Na bogów, zaczynał reagować na tę kobietę tak jak oni wszyscy. Szybko odwrócił wzrok.

ZAGADKI

- *To jak, pójdziesz ze mną? Droga nie będzie łatwa, a będziesz traktowana jak kobieta, a nie jak bogini*

- *Zawsze o tym marzyłam. - Hiacynta odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na płonące miasto. - Ale nikt poza Paradygnesem tego nie rozumiał.*

Uniosła latarnię i szczerzej otulała się szatą.

- *Podaj mi ten tobolek z jedzeniem. Musisz nieść statuetkę.*

Zawahał się, szacującym wzrokiem przyglądając się jej wdzięcznej, smukłej sylwetce.

- *Dam radę ponieść obie te rzeczy, kuferek nie jest ciężki*

Pochwyciła tobolek z zapasami żywności i pierwsza ruszyła ścieżką.

- *Androsie, przestań się ze mną spierać. Czeka nas długa droga i chcę dzielić z tobą jej trudy. Narzuć tempo, a ja dotrzymam ci kroku.*

Andros ze zdumieniem dobrą chwilę patrzył na Hiacyntę, aż przyłapał się na tym, że śmieje się do siebie, i ruszył za nią. Paradygnes miał rację mówiąc, że może mieć kłopoty z dotrzymaniem kroku tej kobiecie.

Po pewnym czasie dogonił Hiacyntę i w milczenia szli obok siebie ku odległemu krajowi leżącemu daleko na południu.

Żadne z nich nie odwróciło się już, by spojrzeć na płonące mury Troi

16

Alex odłożył ostatnią stronicę pierwszej legendy i w zamyśleniu zapatrzył się na spowitą mrokiem dolinę.

- I co? - zapytała Caitlin.

- Szli na południe, wzdłuż wybrzeża.

- Tak.

- Z Tamkalo niedaleko jest do wybrzeża.

Oczy Caitlin zaokrągliły się.

- Myślisz, że to Andros mógł zostawić tutaj tę tabliczkę w drodze do Egiptu?

- Tego nie twierdzę. To tylko możliwość do rozważenia. Mówiłaś, że lud Szardana był bardzo skryty i zostawił niewiele dowodów swego istnienia. Jednakże mamy inskrypcję na podstawie Tańczącego na Wietrze, której sporządzenie przypisujesz Androsowi, a teraz znajdujemy tabliczkę na jego rzekomej trasie podróży z Troi do Egiptu. Jeśli te dwa fakty nie mają żadnego związku, to mamy do czynienia z niezwykłym zbiegiem okoliczności.

- Dlaczego miałyby zapuścić się tak daleko w głąb lądu? - Spojrzała na dolinę. - I po co miałyby się tu wspinać?

- Nie mamy jeszcze tych kawałków układanki. - Uporządkował stronicę i oddał jej. - Ale jeżeli ta legenda dobrze oddaje prawdę, zgadzam się z tobą, że Andros postąpił niezgodnie ze swoim charakterem, kiedy nakazał skrybie spisanie tej historii.

W zamyśleniu upychała stronicę przekładu do koperty. Myśl, że Andros i Hiacynta byli tu, na tej górze, a być może nawet w tej samej grocie, wzbudziła w niej dziwny niepokój. Miejsce robiło wystarczająco niesamowite wrażenie i niepo-

trzebna była jej świadomość, że może być nawiedzane przez ducha jednego z jej przodków.

- To cię zaniepokoiło.

- Ależ skąd. - Wstała i podeszła do wejścia do jaskini. - Robi się chłodno. Lepiej wejdźmy do środka.

Alex spojrział w ołowiane niebo.

- Nie podobają mi się te chmury. - Zmarszczył czoło. - Myślę, że powinniśmy przeszukać tę jaskinię jeszcze dzisiaj, a potem stąd zmykać. Nie chciałbym tu ugrzęznąć w czasie burzy śnieżnej.

- Dobrze. - Nie miała ochoty przebywać tu z Alexem ani chwili dłużej, niż trzeba, by przeszukać to miejsce. - Poszukajmy tablic teraz, a zjemy później. Przyniesź latarkę.

Tabliczka sterczała za głazem tkwiącym w pianistym gorącym źródle przy końcu jaskini. Znaleźli ją po trzech zaledwie godzinach poszukiwań.

Serce podskoczyło w piersi Caitlin, po czym zaczęło walić jak oszalałe, gdy uklękła tuż przy tabliczce. Tabliczka miała około dwudziestu centymetrów szerokości i trzydziestu wysokości, a jej lewy róg został odłamany. Z niedowierzaniem wpatrywała się w znalezisko.

- To przyszło zbyt łatwo - wyszeptwała. - Leży niemal na widoku.

- A czemuż by nie? Przecież to nie święty Graal. - Alex przyklęknął obok niej. - Może ten, kto to napisał, wcale nie chciał tego chować.

- Musieliśmy wdrapać się na górę, żeby to znaleźć.

- Owszem, to jest przeszkoda, ale przecież nie taka, której nie można pokonać. - Alex z najwyższą ostrożnością chwycił tabliczkę usiłując ją wyciągnąć. - Jest mocno osadzona w ziemi. Pewnie dlatego kawałek się ułamał, kiedy ten chłopak próbował ją wyciągnąć.

Wyjął z kieszeni nóż i zaczął okopywać ziemię wokół tabliczki. Pięć minut później ostrożnie wyciągnął ją z ziemi i podał Caitlin.

- Wilgoć ze źródła musiała sprzyjać utrzymaniu jej w tak dobrym stanie. Mogła pokruszyć się... - Urwał, spojrzawszy na jej twarz. - Co się stało?

- Tu jest ich więcej. - Caitlin pochyliła się, zaglądając

w ciemne zagłębienie w skale jaskini, zasłonięte dotąd sterzącą pionowo tabliczką. Sięgnąwszy w rozpadlinę skalną, wyciągnęła stamtąd tabliczkę, po chwili następną, a po chwili jeszcze jedną. Gdy rozpadlina była już pusta, na skalnym podłożu leżało przed nimi pięć tabliczek. Oszołomiona, wodziła po nich wzrokiem. - To samo pismo. - Zaśmiała się drżącym głosem. - *Dieu*, a ja myślałam, że będziemy mieli do odczytania tylko inskrypcję na Tańczącym na Wietrze.

- Wygląda na to, że nasz skryba był bardzo płodny.

Skinęła głową, przenosząc wzrok z jednej tabliczki na drugą, coraz bardziej podniecona.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, spojrzawszy na ostatnią ze znalezionych tablic.

- Tak. On chciał nam to ułatwić. To greka.

Przysunął się bliżej, studiując tablicę.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Tabliczka była przedzielona linią biegnącą od szczytu do podstawy. Po jednej stronie znajdował się najprawdopodobniej napis w języku Szardanów, po drugiej - litery greckie. - Myślę, że zostawił to dla nas. Dał nam tabliczki, a potem dał nam klucz.

- Dlaczego od razu nie posłużył się greką?

Zaśmiała się.

- Skąd mogę wiedzieć? Może chciał postawić nas przed wyzwaniem.

- Ale skąd mógł wiedzieć, że napisy kiedykolwiek zostaną odczytane? W jego czasach nie było to możliwe.

- Wiem. Kamień z Rosetry znaleziono w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, a i tak potrzeba było wielu lat, żeby odczytać hieroglify, dysponując wiedzą dostępną w owym czasie. - Caitlin zamyśliła się. - Przeszkody. A może on chciał, żeby jego tabliczki zgubiły się, ale nie na zawsze.

- To tylko twoje przypuszczenia - rzekł Alex.

Wiedziała, że tak jest, ale była tak ożywiona, że nie mogła powstrzymać się od dalszego zgadywania.

- Jeśli autorem tych napisów był Andros, to wyjaśniałoby, dlaczego rozpoczął tradycję spisywania historii rodziny. To może być wątek, pozwalający nam zrozumieć następne inskrypcje.

- A jaką mógł mieć pewność, że ta historia będzie miała ciąg dalszy?

- Tańczący na Wietrze. Zadbał o to, by losy rodziny były nierozdzielnie związane z Tańczącym na Wietrze. Jeśli przetrwał Tańczący na Wietrze, to przetrwała i rodzina. - Ogarnęła wzrokiem tabliczki. - I to samo z legendami, które przyprowadziły nas tutaj. To może być koło, które zamyka się w tym samym punkcie i... - Urwała, unosząc wzrok na jego twarz. Zrozumiała, co było zamiarem Alexa. Podsuwał jej problemy, by ją zaangażować, zmusić do myślenia. - Czemu pozwalasz mi na tę gadanię? Pewnie dawno już doszedłeś do odpowiednich wniosków.

- Może... - Zaczął ostrożnie układać tabliczki jedną na drugiej. - Ale dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że Tańczący na Wietrze stanowi twoją wyłączną własność. Nie przypuszczałem, że zechcesz zaakceptować moją pomoc.

A jednak znalazł sposób, by jej pomóc, jednocześnie pozwalając, by panowała nad sytuacją. Zrobiło jej się ciepło na duszy, gdy spojrzała na niego w świetle latarki. Ze skupioną twarzą i zmarszczonymi brwiami pieczołowicie zbierała tabliczki jak mały chłopiec układający klocki. To dziwne, lecz Alex nigdy dotąd nie kojarzył jej się z chłopięcnością. Zawsze postrzegala go jako w pełni dorosłego mężczyznę o niezwyklej inteligencji, poczuciu humoru i zmysłowości.

Tę zmysłowość doskonale teraz wyczuwała.

W zafascynowaniu spoglądała na jego silne ręce układające tablice z tak niezwyklej ostrożnością, na mięśnie ud widoczne przez miękki materiał dżinsów, i wypukłość ramion pod czarną koszulą, gdy sięgał po ostatnią tabliczkę. Odczuła nagle ogromną chęć dotknięcia go, przytulenia.

Wstał i cofnął się.

- Ja poniosę tablice, a ty idź pierwsza i oświetlaj mi drogę latarką. Nie chciałbym potknąć się i...

Zesztywniała, zauważyła, jak napięły się mięśnie jego brzucha.

Nie mogła złapać tchu. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Caitlin?

Zorientował się, co się z nią dzieje. W panice wstała i chwyciła latarkę.

- Masz rację. Nie potrzebuję żadnej pomocy. - Przeszła obok niego, szybko kierując się ku wyjściu.

Usłyszała, że coś mówi, lecz była już zbyt daleko, żeby odróżnić słowa. Podążył za nią, wydawało jej się, że echo jego kroków rozbrzmiewa w całej jaskini. Na ścianie widziała jego

poruszający się cień powiększony do olbrzymich rozmiarów. Czuła się coraz bardziej nieswojo.

Kłęczała już, otwierając plecak, kiedy doszedł do wyjścia z jaskini. Nie podnosząc na niego wzroku, wyciągnęła z plecaka niebieski podkoszulek i rzuciła w jego stronę.

- Owiń w to tabliczki, a potem mi je daj. Poniosę je w plecaku.

Podniósł podkoszulek z ziemi i owinał tabliczki, po czym ostrożnie postawił je na ziemi, opierając o skalną ścianę.

- Powiedziałam, żebyś mi je dał.

- Chodź tutaj. - Znów ten lekko słowiański akcent.

Kłęczała, przygarbiona, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w otwarty plecak.

- Nie chcę.

Podszedł do niej.

- To nieprawda.

Zgasił latarkę.

Ciemność. Żar. Alex.

Serce biło jej tak mocno, że obawiała się, iż Alex to słyszy.

- Mylisz się. Byłam podniecona z powodu odkrycia.

- Co uspiło twoją czujność i przestałaś mnie odpychać. Nie mam zamiaru bawić się z tobą w kotka i myszkę. Chcę zachowywać się zgodnie ze swoim charakterem, do cholery.

- Zapal latarkę.

- Nie chcę, żebyś mnie widziała. Chcę, żebyś mnie czuła.

Nie potrafiła opanować dreszczy, kiedy musnął jej szyję. Jej piersi stwardniały.

- Nie - wyszeptała.

- Chcesz tego. - Pociągnął ją tak, że wstała, i zaczął rozpinąć jej bluzkę. - Powiedz mi, że tego chcesz.

Czuła w ciemności jego zapach. Rozpiął jej stanik i zdjął razem z bluzką. Czemu stała nieruchomo? Czemu się nie opierała?

- Mylisz się. Nie chcę tego.

- Nie poddajesz się. - Pochylił głowę i objął ustami jej sutek. Poczowała, że oblewa ją fala gorąca.

- Chcesz tego, tylko nie chcesz się przyznać. - Otoczył jej pierś dłonią i zaczął leciutko ugniatać. - Weź mnie. Poczuj mnie. - Jego ręka prześliznęła się w dół i powędrowała między jej uda. - Tutaj.

Odchyliła w tył głowę, czując przyptyw fal podniecenia. Chwyił zębami brodawkę piersi. Jak przez mgłę dotarło do niej, że rozpina jej spodnie, a po chwili zarówno dżinsy jak i majteczki zostały ściągnięte do kostek.

Alex ukląkł, niecierpliwie ugniatając jej pośladki, i wtulił twarz w ciemną kępkę kręconych włosów otaczających jej płeć.

Jego język...

Odrzuciła nogą spodnie i wpiła palce w jego włosy. Rozchylił kolanem jej uda i pchnął ją na ścianę jaskini. Nagimi plecami dotykała chłodnej skały, a mimo to cała płonęła; czuła ciepłe dłonie Alexa na pośladkach, trawił ją wewnętrzny ogień. W tej odurzającej żarem ciemności słyszała swój chrapliwy oddech.

- Nie wytrzymam...

- Wytrzymasz, tego właśnie chcesz.

Delikatnie zacisnął zęby na wrażliwym gruzełku. Miała ochotę krzyknąć, oszalała z podniecenia.

Pociągnął ją na ziemię; pod nagim ciałem poczuła miękki chłodny materiał śpiwora. Był na niej, rozchyłał jej uda. Dotarło do niej, że nie zdjął ubrania.

Zagłębił się w niej jednym szybkim pchnięciem.

- Alex!

- Zapomnij, kim jestem - wyszeptał. - Wyobraź sobie, że jestem ci zupełnie obcy. Rób, co chcesz. Bierz, co chcesz. Zapomnij o wszystkim.

Co on mówił? Żaden nieznajomy nie potrafiłby sprawić, żeby tak się czuła.

Pograżał się w niej raz szybciej, raz wolniej, nie pozwalając przywyknąć do żadnego rytmu.

Toczyła głową na boki, oddychała z trudem.

- Czujesz mnie? - Wychodził z niej i znów pograżał się głęboko, ogromny, gruby, gorący. - Dobrze ci?

- To nie...

Wynurzył się prawie całkowicie i zaczął pieścić ją kciukiem i palcem wskazującym.

- To miłe, prawda? Nie myśl o mnie, myśl tylko o tym.

Uniosła biodra, by jak najszczelniej wypełnił ją sobą.

- Dobrze. - Wycofał się. - Chcesz, żebym znalazł się w tobie jeszcze głębiej? - Pogładził jej kark, po czym lekko nacisnął kciukiem zagłębienie szyi. - Chcesz poczuć mnie aż tutaj?

- Tak! - Zabrzmiało to jak eksplozja.

Wszedł w nią do oporu.

- Jeszcze głębiej?

- Tak.

Zaczął pograżać się w niej szybkimi pchnięciami, kręcił biodrami, jego ruchy przybierały na sile. Z jej gardła wydierały się głośne okrzyki.

Dźwignął jej nogi ponad głowę, by wzmocnić siłę pchnięć. Była otwarta na niego, odpowiadała na jego bodźce każdym mięśniem, gdy pograżał się w niej niczym buhaj. Walczyła o złapanie tchu, słysząc jego ciężki oddech w ciemności.

- Teraz - wydyszał Alex, pograżając się w niej całkowicie.
- Teraz.

Dygocąc z rozkoszy, poczuła, że osiągnął spełnienie.

Opadł na nią całym swoim ciężarem, oddychając ciężko i chrapliwie, z wysiłkiem wciągając powietrze do płuc.

Potem opuścił ją. Słyszała, jak się porusza w ciemności, ale nie miała energii, by się tym zainteresować. Rozbłysła latarka, którą włożył jej w dłoń.

- Trzymaj.

Niesie mnie, przemknęło jej przez myśl. Dokąd?

- Usiądź tu na chwilę. - Posadził ją na skale obok gorącego źródła, wziął od niej latarkę i postawił obok niej. Otaczały go kłęby pary, wilgoć skręcała jego ciemne włosy i perliła opaloną skórę twarzy i szyi. Ich ogromne cienie na ścianie jaskini wyglądały trochę niesamowicie.

Sprawdził ciepłotę wody, po czym umieścił ją w bulgocącym strumieniu. Przyjemne doznanie wydobyło ją z letargu. Na powrót wróciła jasność widzenia. Przeniosła wzrok na jego twarz.

- Nie obszedłem się z tobą zbyt łagodnie. - Uśmiechnął się krzywo. - Co za eufemizm. O mało cię nie rozerwałem. Nie chcę, żebyś jutro miała o to do mnie żal.

Pomogła mu. Nieprzytomna z rozkoszy i podniecenia zachowywała się jak dzikie zwierzę kopulujące w ciemności.

- To... nic nie znaczyło - powiedziała, zacinając się.

- Znaczyło. - Alex usiadł na skale, obserwując ją pluskającą się w wodzie. - Znaczyło, że wróciłaś do życia. - Ich spojrzenia spotkały się. - To znaczy, że mimo iż nie żyje twoja matka i że twoim zdaniem umarło i Vasaro, ty żyjesz. Masz

pragnienia i żądze, słabości i mocne strony, wszystko, co miałś przedtem. To znaczy, że życie toczy się dalej.

Caitlin spoglądała na niego zaskoczona.

- Próbujesz mi powiedzieć, że robiłeś to wszystko, żeby mi pomóc?

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się filuternie. - Robiłem to, bo chciałem znaleźć się w tobie tak bardzo, że nie mogłem wytrzymać. Myślałem, że zdążyłaś mnie już poznać na tyle, żeby nie spodziewać się po mnie działania ze szlachetnych pobudek.

- Wcale się tego nie spodziewam.

- Nie, myślisz, że jestem czarnym charakterem. Równie dobrze to ja mogłem spalić Vasaro.

- Nie obwiniam cię za...

- Akurat. - Wzruszył ramionami. - Ale nie bardziej niż ja sam obwiniam siebie. Wstań. - Zaczął zdejmować koszulę. - No, wstań.

Uniósł ją i zaczął szybko wycierać swoją koszulą.

- Nie martw się, wiem, że to stało się zbyt szybko. Wszystko teraz wraca do poprzedniego stanu, dopóki sama nie zechcesz tego zmienić. - Uniósł Caitlin i włożył ją naga do śpiwora. - Albo dopóki znowu nie będę mógł już wytrzymać.

Sięgnął po latarkę i przeszedł do swego śpiwora. Caitlin patrzyła, jak szykuje się do snu i gasi latarkę.

Dłuższy czas leżała w ciemności. Materiał śpiwora delikatnie drażnił jej nagie ciało, które wciąż odczuwało mrowienie...

To od kąpieli w źródle, przekonywała siebie w myślach. Nie dlatego, że znowu go pragnie.

Popełniła wielki błąd. Nie powinna była pozwolić, by to się zdarzyło. Lodowa skorupa stopiła się i nie czuła się już bezpiecznie opancerzona.

Czuła się zmieszana, samotna, bezradna... i pełna życia.

Kobieta była zbyt nerwowa. Będzie musiała zginąć. Leżąc w łóżku Hans obserwował krzątającą się po pokoju Jeanne-Marie Neunier, starannie unikającą spoglądania w jego stronę. Niosła właśnie papierową torbę pełną warzyw i miała zamiar włożyć ją do szafki. Wręcz namacalnie wyczuwał lęk tej dziwki, co na chwilę dało mu uczucie satysfakcji. Jeanne-Marie bała się go od chwili, gdy pozwolił jej poderwać się

w ulicznej kawiarence sześć miesięcy wcześniej. Jej lęk był jak balsam dla jego duszy, kiedy przychodził do niej po całych dniach zginania karku pod jarzmem Briana.

- Masz gazetę?

- Tak. - Szybko wyciągnęła gazetę z torby na zakupy i pospieszyła ku niemu. - Brygada Krakowa cały czas cię poszukuje.

Tak samo jak Ledford. Hans uśmiechnął się na myśl o tym, jak wściekły musi być Brian po trzech tygodniach bezowocnych poszukiwań w całym Paryżu. Jakie szczęście, że utrzymał w tajemnicy przed Brianem swój romans z Jeanne-Marie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Brianowi nie spodobałaby się ta znajomość. Tymczasem przy Jeanne-Marie to Hans był panem.

- Będziesz musiał się stąd wyprowadzić.

Hans zmierzył Jeanne-Marie lodowatym spojrzeniem.

- Mówię poważnie. Nie mogę cię tu dłużej trzymać. Muszę zarobić na życie, a nie mogę tu przyprowadzić klientów, skoro zajmujesz moje łóżko.

- Nie wydobrałem jeszcze na tyle, żeby się wyprowadzić.

- A co będzie, jeśli się dowiedzą, że cię ukrywam? Ludzie Krakowa mogą tu wpaść i mnie zabić.

- Jak mogę się stąd wyprowadzić? - Hans sięgnął po gazetę. - Potrzebuję fałszywych dokumentów, żeby wyjechać z tego kraju, a nie mam pieniędzy.

- Dam ci pieniądze. Mam trochę oszczędności.

- Tak? - Popatrzył na nią z zainteresowaniem. - Będę też potrzebował plastiku i zapalników. Mam ochotę zrobić niespodziankę Ledfordowi i Krakowowi.

- Powiedz, gdzie je kupić, a przyniosę je dla ciebie.

- Widzę, że bardzo chętnie byś się mnie pozbyła. - Żartobliwie złożył wargi jak do pocałunku. - Czyżbyś mnie już nie kochała?

- Oczywiście, że kocham. Przecież przyjąłem cię i sprowadziłem zaufanego lekarza. - Przełknęła. - Po prostu uważam, że byłoby bezpieczniej dla nas obojga, gdybyś wyjechał z Paryża.

- Pewnie masz rację - powiedział wpatrzony w nagłówek w gazecie. Ta głupia pinda nie powiedziała mu o konferencji prasowej Krakowa. Myślała, że Hansa interesują tylko wiadomości dotyczące jego własnej sytuacji.

KRAKOW ZAPRASZA PRZEDSTAWICIELI PAŃSTW EUROPEJSKICH NA SPOTKANIE W SPRAWIE ZJEDNOCZENIA W RAMACH UNII EUROPEJSKIEJ

To było to. Spotkanie, o którym mówił mu Ledford. Szybko przebiegł wzrokiem artykuł. Spotkanie miało się odbyć dwudziestego szóstego listopada, dopiero za trzy tygodnie, w Stambule. Chociaż obecna popularność Krakowa powinna była wyrzucić pewną presję na Cartwright, by choć symbolicznie zaznaczyła swą tam obecność, powątpiewano, czy przyjmie zaproszenie.

Starsza pani z pewnością przyjedzie. Już Krakow i Ledford zadbają o to, by wszyscy przybyli jak owce do rzeźni.

Lecz Ledford nie będzie tam jedynym rzeźnikiem. Za trzy tygodnie Hans powróci do zdrowia i będzie gotów do działania.

- Kiedy wyjedziesz? - zaciekała się Jeanne-Marie.
- Za trzy tygodnie. O ile do tego czasu załatwisz mi papiery.
- Za trzy tygodnie?

Zauważył wyraz rozczarowania na jej twarzy i w jednej chwili przypawiło go to o wściekłość. Czyżby naprawdę myślała, że z własnej woli chce jak najdłużej leżeć tu bezradny w jej nędznym pokoiku? Wymamrotał pod nosem przekleństwo i zauważył, że wyraz przygnębienia na jej twarzy ustępuje miejsca przerażeniu. Tak było już lepiej. Dziwka musi wiedzieć, kto tu rządzi. Jeśli zdołał się czegokolwiek nauczyć od Briana, to z pewnością było to upajające, idące do głowy uczucie posiadania władzy nad innym człowiekiem. Widział to uczucie na twarzy Ledforda za każdym razem, kiedy Brian go sobie podporządkowywał. Teraz to on, Hans, występował w roli Briana.

- Przede wszystkim potrzebny mi będzie paszport, wiza turecka i tyle gotówki, ile uda ci się zdobyć. Potem porozmawiamy o plastiku. Rozumiesz?

Gorliwie przytaknęła.

- A teraz przynieś mi swoje lusterko i mój nóż.

Jej oczy zaokrągliły się z przerażenia.

- Nóż?

- Szybciej!

Szybko przeszła przez pokój, sięgnęła po lusterko i podała mu.

- Twój nóż jest w szufladzie szafki.

- Przynieś go.

Sięgnęła po nóż w skórzanym futerale i wręczyła Hansowi.

- A teraz potrzyмай lusterko.

Usiadła na brzegu łóżka i uniosła lusterko na wysokość jego twarzy.

- Co chcesz zrobić?

Lusterko trzęsło się w jej rękach. Jak mógł się w nim dobrze przejrzeć?

- Trzymaj je nieruchomo - prychnął niecierpliwie.

Przyjrzał się swojej twarzy w lustrze. Policzki porastała mu krótka złotawa szczecina, ale za trzy tygodnie będzie już miał brodę. Spojrzał na złotą grzywę włosów otaczających twarz. Wyjął nóż z futerału, chwycił garść włosów i obciął je ostrym jak żyłotka ostrzem.

- Nie! - Jeanne-Marie wzdrygnęła się, gdy Hans przeniósł na nią zimny wzrok. - To znaczy... to było takie *jolie*.

Zignorował jej słowa, sięgając po następną garść miękkich włosów i zaczął je rzezać nożem. *Jolie*. Nie był ładny. Nie był też mięczakiem, którego próbował uczynić zeń Brian. Jak tylko doprowadzi się do przyzwoitego wyglądu, pokaże dziewczce, kto tu jest panem. Był jeszcze zbyt słaby, by ją posiąść, ale nie widział powodu, dla którego nie miałyby się z nią troszkę podrażnić i zobaczyć, jak te smutne oczy spoglądają na niego w sposób, który sprawi, że poczuje się prawdziwym mężczyzną.

Nagła myśl wywołała uśmiech na jego wargach. Kiedy skończy obcinać swoje włosy, zrobi podobną fryzurę Jeanne-Marie. Obetnie jej włosy jak najkrócej. To go trochę rozbawi, przecież zawsze chętnie oferowała mu trochę rozrywki. Lecz zdawał sobie sprawę, że ta nerwowość i bojaźliwość, która tak go do niej przyciągała, okaza się jej wadami, kiedy wymknie mu się spod kontroli.

Tak, jak tylko wyciśnie z niej wszystko, czego potrzebuje, będzie musiała umrzeć.

Śnieg zaczął padać nad ranem i do czasu, kiedy Alex i Caitlin zeszedli z góry w południe, na dżipie leżała już cienka śnieżna kołderka.

Tuż obok stał drugi dżip, na jego masce siedział Kemal, majtając nogami.

- Nareszcie jesteście. - Zgrabnie zeskoczył na ziemię. -

Zastanawiałem się, czy nie będę musiał was szukać. Cieszę się, że mi tego oszczędziliście.

- Co ty tu robisz, Kemal? - zapytała Caitlin.

- Nie miałem od was telefonu. - Uśmiechnął się szeroko. - Więc przyjechałem na pomoc. Kim jest ten szaleniec w budzie? Obawiałem się, że mógł was zabić i pożreć wasze ciała.

- Wypuściłeś go?

- Czy wyglądam na takiego głupca?

- Czemu tu przyjechałeś? - powtórzył Alex, zdejmując plecak.

- Nie wierzysz mi? Po tym, jak zrezygnowałem z wygod w waszym domu, żeby przemierzyć tysiące kilometrów tymi nędznymi drogami, wdychając pył i spaliny, by na końcu wejść do sam środek śnieżycy? - Wyjął gazetę z kieszeni kurtki i rzucił Alexowi. - Pomyślałem, że powinniście to zobaczyć. Wczoraj Krakow poparł ideę zjednoczenia Europy i zaprosił wszystkie ważne osobistości z państw EWG na spotkanie w wynajętym przez siebie domu. - Uśmiechnął się i dokończył słodkim głosem: - W Stambule przy ulicy Kindżałów.

- Miałeś rację, Alex. - Caitlin spojrzała na gazetę z ramienia Alexa. - Tu właśnie jest napisane to, o czym on mówi? To po turecku. Rozpoznaję tylko nazwisko Krakow.

Kemal pokręcił głową.

- Nie, to wczorajsza gazeta wieczorna. Donosi, że „Czarna Medyna” ma zamiar uniemożliwić to spotkanie i grozi odwetem, gdyby doszło ono do skutku.

- Bardzo sprytne - mruknął Alex. - Przypuszczam, że brytyjski lew ryczy?

Kemal przytaknął.

- Tak samo i pozostali przywódcy państw.

- Ledford chciał zmusić ich wszystkich do przybycia albo narażenia się na oskarżenia o ugięcie się przed terrorystami - wywnioskowała Caitlin.

Alex skinął głową.

- Poza tym skoro „Czarna Medyna” zabrania zorganizowania konferencji, ma to wykazać, że boją się zjednoczenia Europy i postrzegają to jako zagrożenie dla siebie. Nawet jeśli pani Cartwright nie ma zamiaru poprzeć planów Krakowa, w tej sytuacji będzie musiała się pojawić.

- Ledford ryzykuje.

- Nie tak znów wiele. - Alex spojrział na Kemala. - Założę się, że Krakow wydał to oświadczenie po to, żeby było jasne, że on i jego zwolennicy oczywiście będą obecni na konferencji, ale zrozumie, jeśli któryś z jego znamienitych gości będzie wolał w niej nie uczestniczyć.

Kemal skinął głową.

- Dokładnie tak.

- Co oznacza, że odpowiedzialność za to, co może zdarzyć się w czasie konferencji, nie spadnie na Krakowa. Przecież wręcz dał do zrozumienia, żeby trzymali się z dala.

- Czy sądzisz, że „Czarna Medyna” zaatakuje w czasie konferencji? - zapytał Kemal.

- A co ty myślisz? - Alex złożył gazetę i rzucił ją na siedzenie dżipa. - Parę dobrze upatrzonych ofiar na konferencji i całą Europę ogarnie panika.

- I to może być ostatni impuls, który ustawi Krakowa w pozycji dogodnej do przejęcia władzy - wymamrotała Caitlin.

Kemal skrzywił się.

- To pewnie oznacza, że będę musiał pójść do pracy. Jutro przejmę od Hamana obowiązki obserwacji pałacu. Ale za to poświęcenie musicie mi obiecać, że będziecie codziennie zapraszać mnie wieczorem na kolację, żeby wybawić mnie od moich karaluchów. Będę wam zdawał sprawozdanie, a potem śpiewał piosenki i...

- Kiedy otworzą dom, postaraj się tam wejść i rozejrzeć się - przerwał mu Alex.

- A czego niby mam tam szukać?

- Obrazów. Posągów. Nie sądzę, żeby tam były, ale musimy mieć pewność.

- Zdobędę tę pewność - oznajmił zaskakująco poważnym tonem Kemal. - I zatelefonuję do mojego przyjaciela na lotnisku, żeby czekał na Ledforda.

- Kiedy zaczniesz obserwować pałac, nie chcę, żebyś przychodził do nas do domu.

Na twarzy Kemala odmalowało się rozczarowanie.

- Nie?

- Dlaczego nie miałby nas odwiedzać? - zapytała Caitlin.

- Ja to rozumiem. - Kemal skrzywił się. - Boi się, że kiedy kot obserwuje mysia dziurę, inne myszy obserwują kota. Nie chce, żebym przyprowadził do was tych innych. - Wzruszył ramionami

i wykonał niecierpliwy gest ręką. - Ma rację, że jest ostrożny. Nie zdaje sobie tylko sprawy, że nie jestem zwykłym kotem, tylko tygrysem. Mogę połknąć wszystkie myszy naraz.

- To trochę krwawe - oznajmił sucho Alex. - Nie mówią już o późniejszym bólu brzucha. Ograniczymy twoją aktywność do obserwacji mysiej dziury. Będziemy spotykać się co wieczór o zachodzie słońca na bazarze przy ulicy Turbanów.

- Skoro tak się przy tym upierasz... - Kemal westchnął. - Tak czy owak, moim karaluchom robi się trochę smutno. - Popatrzył na Caitlin. - Udało ci się?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Ponad wszelkie oczekiwania.

- To dobrze. - Obserwował długą chwilę jej twarz, po czym uśmiechnął się. - Tak, widzę. Jesteś odprężona.

Zaczerwieniła się i szybko zaczęła odpinać plecaka

- *Sien mien?*

- Dar jasnowidzenia. - Odwrócił się, podszedł do swojego dżipa i zajął miejsce za kierownicą. - Do zobaczenia w domu. Musicie mnie dzisiaj dopieścić, skoro mam się poświęcić tak prozaicznemu zajęciu jak obserwacja pałacu. - Włączył zapłon i cofnął dżipa. - A tak na marginesie, Alex, domyślasz się chyba, że będę musiał wystawić ci rachunek za wyposażenie tego dżipa i moje własne niewygody.

- Spodziewałem się, że otrzymam taki rachunek.

- Będzie bardzo wysoki. - Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jakby nie było, usługi błędnego rycerza nie są tanie. - Zawrócił dżipa i odjechał wzniesając za sobą chmurę drobno-go śniegu i pyłu.

Caitlin ostrożnie ustawiła plecak z tabliczkami na podłodze z tyłu dżipa.

- Niepokojące wiadomości, nie uważasz?

Alex pokiwał głową.

- W każdej chwili mogę cię stąd wysłać w bezpieczne miejsce.

- Nie mam dokąd jechać.

- Bzdury opowiadasz! - Ton jego głosu był tak gwałtowny, że spojrzała na niego z przerażeniem. - Co się z tobą dzieje? Wciąż masz korzenie. Uchwycić się ich, na litość boską. Nie chcesz mówić o Vasaro i potrafię to zrozumieć. - Podszedł do

niej. - Ale Vasaro jest częścią ciebie. Jest spalone, ale wciąż jest częścią ciebie. Nie możesz żyć bez korzeni.

- Ty tak żyjesz.

- Bo nigdy ich nie miałem, ale ty jesteś inna. Potrzebujesz... - Urwał i wrzucił swój plecak na tylne siedzenie dżipa.

- Wracamy do Stambułu.

Caitlin zajęła miejsce w samochodzie.

- A co z Abdulem Kasminą?

- Jak mógłbym zapomnieć o twoim podopiecznym? Nie pogniewasz się, jeśli nie zabierzemy go ze sobą i nie adoptujemy? - Cofnął dżipa i zawrócił. - Zatrzymamy się w najbliższym miasteczku i opowiemy władzom o tym łajdaku. - Wcisnął pedał gazu. - Myślałem o tym, jak można by przyspieszyć proces odczytywania inskrypcji. Departament Obrony dysponuje komputerem, który rozszyfrowuje symbole tak jak litery. Jest to wciąż poufna sprawa, ale moglibyśmy poprosić Jonathana, żeby porozmawiał z kim trzeba i żeby to załatwił. Bez tego odczytanie tabliczek może nam zająć całe lata.

- Nie wiedziałabym, jak to obsługiwać.

- Miałem już do czynienia z takimi komputerami. Mogłbym cię tego nauczyć. - Nie patrząc na nią, powiedziała: - Nie próbuję zabierać ci tematu. To tylko propozycja.

Skoro komputer może przyspieszyć tłumaczenie tekstu tablic, byłaby idiotką nie skorzystać z tej możliwości. Mimo że sprawa tłumaczenia nie miała nic wspólnego z wiadomościami przywiezionymi przez Kemala, jego słowa uzmysłowiły jej, że czas ucieka.

- Dziękuję - odpowiedziała chłodno. - Będzie mi miło, jeśli pomożesz mi w zdobyciu tego komputera.

- Zatelefonuję do Jonathana, jak tylko wrócimy do domu. Może trochę potrwać, zanim naciśnię odpowiednich ludzi.

Ferrazo widział już tego człowieka.

Powoli oderwał się od ceglanej ściany sklepu naprzeciwko pałacu przy ulicy Kindżałów.

Obserwował, jak młody mężczyzna o kręconych włosach rzuca przez ramię wesołą uwagę do starszego człowieka stojącego na skrzyni ciężarówce, po czym przechodzi przez dziedzińiec. Wyglądał bardziej na chłopca niż mężczyznę, a w jego

ruchach była młodzieńcza werwa. Jego wargi ściągnęły się i zaczął gwizdać melodię piosenki Bruce'a Springsteena, którą Ferrazo mgliście sobie przypominał. *Glory Time*, albo *Glory Days*, albo coś takiego. Zatrzymał się przy fontannie, by wygodniej umieścić mały, wytworny stolik na swoich barczys-tych ramionach, po czym leniwie wszedł do pałacu.

Tak, Ferrazo był pewien, że widział już tego człowieka; ta twarz była zbyt wyrazista, żeby jej nie zapamiętać.

Dwa dni wcześniej widział tego butnego młodzieniaszka wychodzącego z kawiarni przy tej samej ulicy, a dzisiaj nosił meble z magazynu, w którym Ledford kazał je przechowywać, kiedy kupił ten dom ponad rok temu.

Zbieg okoliczności?

Ferrazo nie wierzył w takie zbiegi okoliczności.

Ponownie oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach.

Miał już zrezygnować z obserwacji domu na dzisiaj, ale teraz poczeka, aż ten mężczyzna wyjdzie z pałacu.

Czemu Turcy nie noszą już tych fezów, które widuje się na filmach? - zapytała Alexa Caitlin, obserwując strumień ludzi przechodzących obok stoiska z materiałami. - Przyjeżdżając tutaj spodziewałam się ujrzeć tańczących derwiszów i kobiety w czarczafach.

- Noszenie fezów przestało być obowiązkowe w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, kiedy Turcja zaczęła zapatrywać się na Zachód, a nie na Wschód. Zakon derwiszów tańczących został rozwiązany w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Słyszałem, że raz do roku wciąż wykonuje się ten taniec gdzieś w Konya, ale wątpię, czy wciąż jest w tym niegdysiejszy urok - wyjaśnił nieobecny tonem Alex, wypatrując w tłumie Kemala. - Turczynki mieszkające w miastach należą do najbardziej wyemancypowanych kobiet na świecie. Tylko w wiejskich ośrodkach można spotkać kobiety zakwe-fione i godzące się na całkowitą dominację mężczyzn.

- Co dowodzi wyższości życia miejskiego. - Dotknęła palcami bogato haftowanego aksamitu. - Kemal powinien już tu być.

- Spóźnia się dopiero piętnaście minut. Mówił, że musi wracać do magazynu z dostawcami.

- Jak myślisz, dlaczego w pałacu nie ma tych dzieł sztuki?

- Przewiezienie ich z Europy do Turcji miało sens, ale

Ledford nigdy nie zostawiłby tak cennych dzieł w nie strzeżonym budynku.

- W takim razie są pewnie gdzie indziej w Stambule.

- Przekonamy się, kiedy na scenę wkroczy Ledford. - Skinał głową w kierunku aksamitu w kolorze burgunda, który trzymała w ręku. - Podoba ci się?

- Jest bardzo piękny.

- Pozwól, że ci go kupię. - Odwrócił się do brodatego kupca za ladą.

Natychmiast opuściła ręce.

- Nie, dziękuję.

- Na litość boską, to tylko kawałek materiału. Chcę ci coś ofiarować.

- Dlaczego?

- Odczuwam potrzebę ofiarowania ci czegoś. Czy to takie dziwne? Bóg mi świadkiem, że wziąłem już wystarczająco dużo od...

- Idzie Kemal - przerwała mu. - Sprawia wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- Co w tym niezwykłego? - zapytał z sarkazmem Alex. - Byłoby dziwne, gdyby sprawiał wrażenie nieśmiałego i zamkniętego w sobie.

- Przyznaj się, że go lubisz.

- Wie, że go lubię. Łobuz myśli, że potrafi oczarować wszystkich dookoła.

- I co?

Alex uśmiechnął się powoli.

- Śmieje się od ucha do... mój Boże!

Zesztywniał, widząc wyraz jej twarzy.

- Co się stało?

- Za nim... - Caitlin nie mogła wykrztusić słowa ze ściśniętego gardła. - Tam, w tłumie, za nim...

Alex odwrócił się gwałtownie, przeczesując wzrokiem tłum ludzi wypełniający bazar.

- Nie widzę...

- Jestem pewna, że widziałam... mówię ci, on tam był. To zdjęcie... Wiem... Ferrazo!

Nastąpił błyskawiczny rozwój wypadków.

Metaliczny błysk lufy pistoletu skierowanej prosto w jej głowę.

- Nie! - Alex pociągnął ją na ziemię, padając przewrócili stragan.

Kupiec bławatny krzyczący coś przeraźliwie, gdy bele atłasów i aksamitów stoczyły się na ziemię.

Potworny odgłos zetknięcia twardego metalu z ciałem.

Krzyk bólu Alexa, który nakrył ją sobą.

Piski i krzyki ludzi rozbiegających się w popłochu we wszystkie strony.

Ciepła krew. Nie, nie jej... Krew Alexa!

Ogarnęła ją panika. Krew Alexa... wypływająca z jego skroni.

Nie dostrzegła Ferraza. Lecz to niczego nie oznaczało. Przy takiej ilości ludzi kotłujących się na ulicy mogła go nie zauważyć, nawet gdyby był całkiem blisko.

Caitlin w zapamiętaniu zaczęła wlec bezwładne ciało Alexa za róg straganu z materiałami. Brodaty kupiec leżał skulony na ziemi i natychmiast zaczął gwałtownie wykrzykiwać coś pod jej adresem po turecku.

- Zamknij się! - rzuciła gniewnie, odpychając go. - Nie widzisz...

To na nic. Mężczyzna najwyraźniej jej nie rozumiał. Nie zwracając na niego uwagi, tuliła głowę Alexa do swej piersi. Czy żył? Tak trzymała Katrine w czasie tej potwornej drogi do wioski. Katrine z kulą w skroni...

- Caitlin! - Głos Kemala.

- Tutaj! - odkrzyknęła. - Uważaj, Kemal!

- Uciekł. Pobiegłem za nim po tym, jak do ciebie strzelił. - Kemal klęczał przy niej, wpatrując się w Alexa. - Nie żyje?

- Nie wiem - wyszeptała. Chwyciła kawałek atłasu z jednej z rozwiniętych bel leżących na ziemi i przytknęła do skroni Alexa. - Tyle krwi...

Kupiec znów zaczął na nią pomstować, aż Kemal odwrócił się i krzyknął do niego po turecku coś, co sprawiło, że oczy Turka rozszerzyły się z oburzenia. Umilkł, wstał i powoli odszedł.

- McMillan... nie na policję.

Caitlin błyskawicznie przeniosła wzrok na twarz Alexa. Miał otwarte oczy i niemal bezgłośnie poruszał wargami. Pochyliła się nad nim.

- McMillan. Lekarz... powiedz mu... Ferrazo. - Alex za-

mknął oczy i straciwszy przytomność bezwładnie osunął się w jej ramionach.

Był nieprzytomny, ale żył!

Z uczucia ulgi aż przestała oddychać. Po chwili odzyskała jasność myślenia.

- Zaraz będzie tu policja - ostrzegł spieszenie Kemal. - Przeniesiemy go?

Kula tylko drasnęła skroń Alexa, lecz przenoszenie mogło być niebezpieczne.

Jednakże Alex powiedział, żeby nie mieszać w to policji.

- Dasz radę go unieść?

Kemal kiwnął głową.

- Oczywiście. Jestem bardzo silny. - Lecz zuchwały ton zniknął z jego głosu, gdy wziął bezwładne ciało Alexa na ramiona. - Prowadź i patrz, czy nie ma gdzieś policji. Jak tylko wyjdziemy z bazaru, poprowadzę cię bocznymi uliczkami, które powinny być bezpieczne. Idziemy do waszego domu?

Caitlin wstała i przyglądała się, jak Kemal z trudem podnosi się na nogi z Alexem na ramionach.

- A gdzież by indziej?

Caitlin musiała aż cztery razy dzwonić do Quantico w Wirginii, zanim w końcu połączono ją z Rodem McMillanem. Usłyszawszy jego głos, od razu przystąpiła do wyłuszczenia sprawy.

- Strzelano do Alexa Karazova.

Na drugim końcu słuchawki zapanowała cisza.

- Nie żyje?

- Żyje, ale potrzebuje opieki lekarskiej, a nie chce mieszać w to miejscowej policji.

- Wciąż jest w Stambule?

- Tak. - Pokrótce opowiedziała mu, co się wydarzyło. - Prosił, żeby panu powiedzieć, że był to Ferrazo.

- Proszę mi podać adres.

Podawała adres i wskazówki, jak dojechać.

- Poślę tam kogoś. Powinien u was być za około trzy kwadransy. - McMillan zamilkł na chwilę. - Czy rozmawiam z panią Caitlin Vasaro?

- Tak.

- Niech się pani od niego odczepi.

Zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Co takiego?

- Najpierw ta rozróżba w Vasaro, teraz to. To pani jestem celem. Do cholery, nie chcę, żeby Karazov kręcił się w pobliżu.

Caitlin bez słowa odłożyła słuchawkę.

- Ktoś przyjedzie? - Kemal wyszedł z sypialni Alexa, wynosząc miednicę z wodą. - Wciąż jest nieprzytomny.

- McMillan powiedział, że ktoś tu będzie za trzy kwadranse.

- To dobrze. To był człowiek Ledforda?

- Tak, ma na nazwisko Ferrazo. Podobno to on zabił moją matkę i Petera Maskovela.

- I postrzelił tę piękną dziewczynę z fotografii?

Caitlin skinęła głową.

- Zły człowiek. - Kemal wyniósł miednicę do kuchni i wylał jej krwawą zawartość do zlewu. - To moja wina. To ja go do was doprowadziłem.

- I tak mógł nas znaleźć.

Kemal potrząsnął głową.

- Nie byłem dostatecznie ostrożny. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem śledzony. - Postawił miednicę na zlewie. - Może nie jestem taki wspaniały, jak mi się zdawało. Co za przykre doświadczenie.

- Każdy ma prawo do błędu.

- Ale nie takiego. - Jego twarz była niezwykle poważna. - Mogłaś zginąć. Alex o mało nie umarł. Wybacz, Caitlin.

- Nie ma o czym mówić. Teraz musimy wziąć się do pracy i wszystko uporządkować.

Uśmiechnął się blado.

- Potrafisz łatwo wybaczać.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie była tak wyrozumiała dla Alexa. Powiedziała mu co prawda, że to wyłącznie ona ponosi winę za to, co stało się w Vasaro, jednak tak naprawdę nigdy w to do końca nie uwierzyła, ponieważ nie była w stanie znieść poczucia wyłącznej winy.

Odczuwam potrzebę ofiarowania ci czegoś.

Powróciły do niej słowa Alexa wypowiedziane tuż przed tym, jak zobaczyła Ferraza. I ofiarował. Ofiarował jej swoje życie i wciąż groziła mu śmierć, bo próbował ją uratować.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Mylisz się. Wcale nie umiem łatwo wybaczać.

Odwróciła się i skierowała do sypialni Alexa.

Alex odzyskał przytomność dopiero po czwartej następnego ranka. Caitlin, która drzemała w fotelu obok jego łóżka, nagle obudziła się.

Alex patrzył na nią, jego niebieskie oczy błyszczały w świetle lampy.

- Hej. - Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się resztek snu. - Wszystko będzie dobrze. Kula tylko drasnęła twoją skroń, ale i to było bardzo groźne. Lekarz powiedział, że to odpowiednik uderzenia młotkiem. Masz wstrząs mózgu i powinieneś cały tydzień leżeć w łóżku.

- A co z Ferrazo?

- Wmieszał się w tłum.

- Powiadomiłaś McMillana?

Skinęła głową.

- To on przysłał lekarza.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- I to najszybciej, jak mogł.

- Powiedział mi, żebym trzymała się od ciebie z daleka.

Jego uśmiech zgasł.

- Należało się tego spodziewać. Zapomnij o tym. Nie mogę teraz pozwolić, żebyś mnie opuściła. To nie byłoby bezpieczne. Musisz poczekać, dopóki to się nie skończy.

Milczała dobrą chwilę, po czym zapytała:

- Jak się czujesz?

- Jakby moja głowa miała za chwilę eksplodować.

Wzdrygnęła się.

- Niewiele brakowało, a tak by stało. Myślałam o mamie...

- Katrine... - Alex umilkł na dłuższą chwilę. - Caitlin, chciałbym, żebyś rano zadzwoniła do Jonathana. Nie mów mu nic o tym, co się wczoraj stało, ale powiedz, że konferencja w sprawie zjednoczenia Europy może zmusić Ledforda do wyjścia na powierzchnię i będziemy mogli go dopaść. Mogę potrzebować jego pomocy tu na miejscu. - Zamknął oczy. - I nie wychodź z domu, dopóki... - Urwał.

- Dopóki co?

- Daj McMillanowi czas na wyeliminowanie Ferraza.

Wyeliminowanie Ferraza? Aha, to znaczyło, że ma dać ludziom McMillana czas na zabicie Ferraza. Wzdrygnęła się na ponurą brutalność określenia.

Alex musiał wyczuć jej gwałtowną zmianę nastroju, bo ponownie otworzył oczy.

- To absolutnie niezbędne. Spróbuje znowu.

- Nie spieram się z tobą. Myślę, że świat doskonale obejdzie się bez Ferraza.

Cień zaskoczenia przemknął przez twarz Alexa, a po chwili jego usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

- Może jednak mimo wszystko jest dla ciebie miejsce w moim świecie.

Ponownie zamknął oczy i po chwili już mocno spał.

Caitlin odchyliła się w fotelu i uważnie przyjrzała się jego twarzy.

Jego świat. Jej świat. Oba te światy wydawały się wzajemnie przenikać, łączyć. Nie potrafiłaby już powiedzieć, do którego należy. To, co wydawało się oczywiste wtedy, gdy czuła się opuszczona i rozgoryczona po śmierci matki, teraz już takie nie było. Nie była już tą naiwną kobietą, którą Alex spotkał pierwszego dnia w Vasaro, lecz nie była też i kobietą, która stała na wzgórzu patrząc na zgliszcza Vasaro. Zmieniała się, rozwijała, stawała się...

Merde, nie wiedziała, kim się staje. Była kłębkim poplątanych i sprzecznych uczuć i Bóg jedyny wiedział, jaka z tego mogła wyniknąć przemiana.

Lecz zobaczywszy broczącego krwią Alexa leżącego w ulicznym pyle między straganami, odkryła przynajmniej jedną prawdę, prawdę, której będzie musiała teraz stawić czoło i z którą będzie musiała się uporać.

17

Ferrazo.

Ferrazo obudził się zdjęty lękiem, jego oczy nie zdążyły się jeszcze przyzwyczać do ciemności panującej w pokoju hotelowym. Zamknął drzwi na dwa zamki, jednak szept zdawał się dochodzić nie z korytarza, a gdzieś z wnętrza pokoju.

Usłyszał coś, jakiś dźwięk, szelest, jakby ktoś się poruszył. Coś.

Wsunął dłoń pod poduszkę i zacisnął na kolbie pistoletu.

- Ferrazo.

Stoczył się z łóżka, boleśnie uderzając się o podłogę, wypatrywał oczy, chcąc przewiercić wzrokiem ciemność.

Jakiś cień na lewo od zasłon na oknie.

Przeczłogał się naokoło łóżka.

- Wykorzystałeś mnie, Ferrazo.

- Kto to, do cholery?

- Nienawidzę, jak ktoś mnie wykorzystuje.

Słowa nie dochodziły od strony okna, lecz z drugiego rogu pokoju. Jak tam się przedostał? Ferrazo obrócił się, żeby spojrzeć w tamtą stronę.

W rogu pokoju nie było nikogo.

- Myślę, że człowiek powinien wiedzieć, dlaczego umrze.

Głos dobiegał ponownie od strony okna, lecz nikogo, do kurwy nędzy, tam nie było.

- Umrzeć? W żadnym wypadku, sukinsynu.

- Alex Karazov jest moim przyjacielem.

Pozwolić mu mówić. Lada chwila go dostrzeże.

- Nie chciałem załatwić Karazova. To był wypadek. Moim celem była ta Vasaro.

- Tak czy owak, wykorzystałeś mnie, żeby ich znaleźć.

No tak, to był tylko ten zawadiacki dzieciak, który doprowadził go do Karazova i tej kobiety. Ferrazo poczuł ogromną ulgę i ostrożnie uniósł się do półprzysiadu. Nie ma strachu. Poradzi sobie bez problemu. Niemożliwe, żeby ten cwaniaczek...

Rozbłysło światło latarki i nagle znikąd pojawiła się pięść Kemala, która z bezbłędną precyzją uderzyła od dołu w nos Ferraza, rozszczepiając kości i wgniatając je w mózg.

Zmarł w ciągu dwóch sekund.

Nie powinieneś wychodzić z łóżka. - Caitlin zmarszczyła brwi, widząc kompletnie ubranego Alexa stojącego w drzwiach sypialni. - Wiesz przecież, że lekarz kazał ci leżeć przez cały tydzień, a minęły dopiero cztery dni.

- Czuję się zupełnie dobrze. Nie wytrzymam już ani chwili dłużej w tym cholernym łóżku. - Podeszedł do niej. - Co czytasz?

- „Newsweeka”. Jest tu artykuł o Krakowie.

- A co z pamiętnikiem?

- Przeczytałam go już cztery razy. Teraz muszę to wszystko przemyśleć. Kemal przyniósł mi całe naręcza książek z księgarni międzynarodowej. - Patrzyła, jak Alex pochyła się po egzemplarz „Paris Matcha”. Późne popołudniowe słońce wpadające do pokoju załśniło na jego ciemnych włosach i oświetliło kwadratowy biały opatrunek na skroni. - Przecież nie wolno ci czytać. To też jest wbrew zaleceniom lekarza.

- Nonsens. - Zaczął układać czasopisma na stoliku w stos, grożący w każdej chwili runięciem. - Nie mogę beczynnienie leżeć i wegetować. Przejrzę chociaż te pisma.

Caitlin stanął przed oczami wieczór w laboratorium, kiedy Alex patrzył na nią trzymając naręcze książek. Wtedy jedyny raz widziała go tak niespokojnym jak teraz.

- Nie. - Wstała i zabrała mu czasopisma. - Może jutro. Lekarz przyjdzie jutro rano i wtedy zapytam go, czy możesz trochę poczytać.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Muszę zatelefonować do Jonathana. Ten cholerny komputer powinien być już nadejść.

- Już nadszedł. Dwa dni temu Kemal przyniósł go z biura American Express. Poprosiłam, żeby postawił go w gabinecie.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo wiedziałam, że zaraz byś się do niego zabrał. Na razie usiądź, a ja zrobię ci herbatę. - Skierowała się do kuchni. - Kiedy ją wypijesz, masz wrócić do łóżka.

- Taka rana to drobiazg. W *Specnazie* upoważniałaby najwyżej do spędzenia w łóżku pół dnia.

- W takim razie wszyscy tam byli niewiarygodnie głupi.

Alex wciąż stał nieruchomo, obserwując ją.

- Może usiądziesz? - zapytała z wyrzutem. - Nie musisz teraz odgrywać macho przed swoimi żołnierzami. Oczekuję, że będziesz zachowywał się jak człowiek inteligentny.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, lecz po chwili uśmiechnął się blade i opadł na wskazany przez Caitlin fotel.

- Tak już lepiej. - Imbryk zaczął gwizdać; zdjęła go z ognia i zalała esencją. - Dlaczego byłeś w *Specnazie*?

- Mój ojciec sobie tego życzył.

- Powinien zdawać sobie sprawę, że będziesz się marnował w wojsku.

Nie odpowiedział, patrząc na nią zmrużonymi oczami.

- Jesteś inna - powiedział powoli. - Zmieniłaś się.

- Tak? - Przyniosła tacę z herbatą do stolika. - Dlaczego twój ojciec chciał, żebyś był żołnierzem?

- Bo sam przez całe życie był żołnierzem. Nie cenił żadnej innej profesji - wyjaśnił w roztargnieniu, obserwując, jak nalewa herbatę do dwóch filiżanek. - Ostrze zniknęło. Nie jest już wymierzone w moją stronę.

Spojrzała na niego.

- Dlaczego? - zapytał.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że obwiniam cię za Vasaro.

- Rozpoczynamy od nowa?

- Tak, na ile można z tym wszystkim, co zaszło między nami.

Podniósł filiżankę do ust. Zapadła między nimi cisza.

- Musimy zadbać o to, żebyś była tak zajęta teraźniejszością, żeby nie myśleć o przeszłości. - Odstawił filiżankę na talerzyk, odchylił się w fotelu i rozprostował nogi. Nagle stał się znów niezwykle ożywiony, wróciła ta jego wrodzona pewność siebie.

- Skoro wypiliśmy już herbatę - powiedziała - powinieneś położyć się do łóżka.

- Za chwilę.

- Robi się ciemno. Zapalę światło.

- Zostaw to. Nie jest jeszcze ciemno.

Nie, to dopiero zmierzch przysłonił pokój woalem intymności. Odchyliła się, by znaleźć się w cieniu.

- Dlaczego *Specnaz*? - zapytała nagle.
- Znowu do tego wracamy? - Wzruszył ramionami. - Bo to elitarna jednostka, a ja chciałem, by ojciec był ze mnie dumny.
- A był?
- Tak, przez jakiś czas. Lubił się chwalić, że ma syna w *Specnazie*. To przydawało mu splendoru. A potem wypatrzyło mnie KGB i przeniosłem się do Moskwy - mówił beznamiętnym tonem. - Mój ojciec nie uważał już tego za powód do chwały, więc bardzo rozluźnił łączące nas stosunki.
- Bardzo to przeżyłeś?
- Nie pamiętam. Myślę, że byłem swego czasu zraniony i rozgoryczony. Powinienem być wiedzieć, jak to się skończy. Kiedy zabrał mnie ze szkoły, wyraźnie dał mi do zrozumienia, czego ode mnie oczekuje.
- Ze szkoły?
- Chodziłem do szkoły państwowej w Bukareszcie. Matka umarła, kiedy miałem pięć lat, ale do tego czasu zdażyłem już wykazać niezwykle możliwości intelektualne, więc chętnie popisywano się mną z okazji wizyt towarzyszy partyjnych. Potem, kiedy miałem szesnaście lat, ojciec przyjechał do mnie do Bukaresztu i musieli mu mnie oddać. Zabrał mnie z sobą do Rosji.
- Chciałeś z nim tam jechać?
- O, tak. Miałem nadzieję, że będę miał dom i rodzinę.
- Gdzie poznałeś Pavla?
- W *Specnazie*. Razem przechodziliśmy szkolenie. - Urwał.
- Obiecuję odpowiedzieć na wszystkie inne pytania, ale nie chcę rozmawiać o Pavlu.
- Dlaczego?
- Był mi bliski. Był moim przyjacielem. Trudno jest mi mówić o ludziach, na których mi zależało. - Szybko powtórzył:
- Obiecuję, odpowiem ci na wszystkie inne pytania.
- Nie musisz odpowiadać na moje pytania.
- Owszem, muszę. Powiedziałaś, że dowiedziałem się wszystkiego o tobie i że to uczyniło cię bezbroną. Staram się być uczciwy. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Teraz, kiedy jestem już pewien, że nie zamierzasz nadziać mnie na szpikulce. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Pokręciła głową i wstała.

- To twoje sprawy.
- Zapytałaś mnie kiedyś, dlaczego uciekłem ze Związku Radzieckiego. Miałem dość tego, że mnie tam wykorzystywano. Pomyślałem, że w Ameryce będę mógł mieć własne życie.
- Skrzywił się. - Ale to nie było tak. Po prostu zamieniłem jednego pana na drugiego.

Nic dziwnego, że Alex uważał, iż wszyscy wykorzystują wszystkich. Od dzieciństwa był brutalnie wykorzystywany przez rodziców, szkoły, rządy... Nawet ja próbowałam go wykorzystać, pomyślała. Miała do niego pretensję o to, że manipulował nią dla własnych celów, ale czyż nie skorzystała z jego pieniędzy i inteligencji, by osiągnąć to, czego pragnęła dla Vasaro?

Wyniosła tacę do kuchni.

- Połóż się do łóżka. Nie musisz już niczego mi wyjaśniać.
Wstał.

- Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać.

- Na pewno nie zmienię.

Sięgnął po dwa czasopisma.

- Odłóż to.

Uśmiechnął się i odłożył pisma z powrotem na stolik.

- To tylko test.

- Później zjrzy tu Kemal. Może zagrać z tobą w karty.

- Może zagrałabyś ze mną już teraz?

- Nie. - Każdym słowem, każdym gestem zbliżał się do niej. Musiała zachować dystans. Do diabła, nie wiedziała nawet, czy to, co do niej czuł, nie było jedynie mieszaniną pożądania i poczucia obowiązku. - Będziesz musiał poczekać na Kemala.

Przyglądała się jej uważnie. Była zadowolona, że zmierzchnięty spokój mrokiem i Alex nie mógł widzieć jej wyrazu twarzy.

- Zaczekam - powiedział łagodnie i wycofał się do sypialni.

Była pewna, że ma na myśli nie tylko czekanie na Kemala.

Kemal wyciągnął kartę i uśmiechnął się łobuzersko.

- Oho, znowu dostaniesz łupnia. Równie dobrze mógłbyś rzucić karty.

- Jakoś to przetrzymam. - Alex spojrział na rozdanie. - Zatelefonowałem dziś wieczorem do McMillana, żeby upewnić się, że Ferrazo nie będzie dłużej stanowił zagrożenia dla Caitlin.

Kemal odrzucił dwójkę pik.

- Jak też się miewa nasz uroczy McMillan?
- Jest zakłopotany.
- To los ludzi nie posiadających daru przewidywania.
- Tego wieczoru, kiedy zostałem postrzelony, ktoś zabił Ferraza w jego pokoju hotelowym.
- A czyż nie tego sobie życzyłeś? Teraz Caitlin jest bezpieczna.
- Nie zrobili tego ludzie McMillana.
- Nie?
- Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.
- A jaka to różnica?
- Nie podoba mi się myśl, że na scenie pojawił się ktoś nowy. Kemal zachichotał i pokręcił głową.
- Ja to zrobiłem.
- Alex zeszywniał.
- Ty zabiłeś Ferraza?
- Kemal wzruszył ramionami.
- Obawiałem się, że ludzie McMillana nie zadziałają wystarczająco szybko.
- Alex przyjrzał mu się uważnie.
- Ale chodziło nie tylko o to.
- Wykorzystał mnie, żeby trafić do was - wyjaśnił z prostotą Kemal. - Nie cierpię być wykorzystywany. Wydaje mi się, że odczuwasz to podobnie.
- Alex milczał przez chwilę.
- Tak. - Znów popatrzył w karty. - Odważny jesteś. McMillan może być niezadowolony. On lubi sam pociągać za sznurki.
- To pojedynczy przypadek i już się nie powtórzy. Nie lubię zabijać. Jestem na to zbyt subtelny. - Wyłożył trzy króle. - Dokładaj.
- Alex rzucił karty.
- Subtelny jak tygrys.
- Tylko wtedy, gdy jest to naprawdę konieczne. - Nagle spowaźniał. - W każdym z nas drzemie dzikus. To dlatego dano nam rozum, żebyśmy mogli dokonywać wyborów. Każdego dnia dokonujemy wyboru, czy mamy kochać czy nienawidzić, czynić dobro czy zło.
- A jakiego wyboru ty dokonujesz?
- To zależy od tego, o jaką idzie stawkę. Czasami chcemy być dobrzy, ale musimy iść na kompromis.

- I zabicie Ferraza było rezultatem kompromisu.
- Nie. - Kemal uśmiechnął się łagodnie. - Żaden kompromis nie był tu potrzebny. Ferrazo wykorzystał mnie i zranił mojego przyjaciela.

Alex znieruchomiał.

- Twojego przyjaciela?
- Jesteś moim przyjacielem - stwierdził Kemal. - Nie wiesz o tym?

Alex patrzył na niego w milczeniu.

- Nie musisz odpowiadać - stwierdził Kemal. - Wiem, że to dla ciebie trudne.

- Co jest dla mnie trudne?
- Obdarzanie kogoś zaufaniem wystarczającym, by nazwać go przyjacielem. Sam mam z tym kłopot. - W oczach Kemala pojawiły się wesołe iskierki. - Oczywiście wiem, iż każdy chciałby zaprzyjaźnić się z kimś tak nadzwyczajnym jak ja.

- Nie użyłbym tu słowa „nadzwyczajny”.
- Fascynujący, wybitny, pomysłowy?
- Nie trafiłeś jeszcze w sedno.
- Czarujący, utalentowany, wykształ...
- Nie wytrzymam tego dłużej. Robi mi się słabo.
- Po prostu jestem szczery. - Kemal opadł na oparcie fotela. - Ale czy ty jesteś ze mną szczery?

- Jeśli chodzi o twoje niezwykle przymioty?
- Nie. - Kemal wskazał talię kart leżącą na kołdrze. - Wygrałem ostatnie trzy rozdania. Z twoją fotograficzną pamięcią powinieneś być zapamiętać, jakie karty zostały już rzucone. Pozwalasz mi wygrywać?

- Nie. - Alex przeniósł wzrok na karty. - Dobra pamięć to cenny dar, ale nauczyłem się z niego nie korzystać.

- Dlaczego miałbyś z niego nie korzystać?
- To czyni grę bardziej interesującą. Nie kocham rywalizacji aż tak bardzo, by nie dać ci równych szans.

Kemal uśmiechnął się chytrze.

- A poza tym każdy z nas musi się jakoś dostosowywać. - Alex spojrzał na Kemala i dodał, uśmiechając się: - Do przyjaciela.

Caitlin, obudź się.

Z bijącym sercem usiadła na łóżku. W świetle lampy ujrzała masywną sylwetkę Alexa.

- Co się stało? Ledford?
- Nie. Nic się nie stało. Nie mogłem spać i pomyślałem, że musimy porozmawiać. Chcę ci coś pokazać.
- Spojrzała na stojący na stoliku budzik.
- O wpół do piątej rano?
- Możesz się ubrać i wyjść ze mną?
- Caitlin przetarła zaspane oczy.
- Nie możemy z tym poczekać? Czy to także ważne?
- Ważne... dla mnie.
- Zawahała się przez chwilę, po czym odrzuciła kołdrę.
- Daj mi piętnaście minut.
- Alex odwrócił się.
- Weź płaszcz albo kurtkę. Rano jest chłodno.

Most Galatei? Alex, zrywasz mnie w środku nocy, żebyśmy poszli na most Galatei? Byłam już tu z Kemalem. To był jeden z pierwszych punktów programu.

- Byliście tu o świcie?
- Nie, było już jasno.
- Większość turystów przychodzi tu nocą, ale myślę, że najładniej jest tu o świcie. - Alex ujął ją za ramię i pociągnął za sobą. - Kiedy wschodzi słońce, świat wydaje się całkiem nowy... jak o świcie w Vasaro.

Zesztywniała.

- Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej różnych miejsc niż Stambuł i Vasaro.

- Nie dąsaj się na mnie. Wiem, co robię - rzekł nie patrząc na nią. Zatrzymali się przy czarnej żelaznej balustradzie i spojrzeli na wody zatoki Złoty Róg. - Chcę z tobą porozmawiać o Vasaro.

- Nie chcę rozmawiać o Vasaro.

- Wiem - powiedział cicho Alex. - Ale właśnie dlatego musimy to zrobić. Pogrzebałaś Vasaro zanim umarło. Kontaktowałem się z Jacquesem i wiem, że uratował wystarczającą ilość szczepów i sadzonek, żeby zacząć od nowa.

- To już nigdy nie będzie takie samo.

- Nie, nigdy nie będzie takie samo. - Alex zacisnął dłoń na poręczu. - Ale czy musi być? Jestem bardzo zaskoczony twoim podejściem do tej sprawy. Jesteś wojownikiem i zastanawia mnie, dlaczego tak łatwo poddałaś się w tym przypad-

ku. - Próbowała zaprotestować, ale uprzedził ją: - Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że przeżyłaś szok, ale dlaczego nie zabrałaś się do roboty jak Jacques i nie chciałaś zacząć od nowa? I tej nocy wreszcie zrozumiałem. To uraz.

- Uraz?

Przytaknął.

- Pamiętam, jak mi mówiłaś, że od dzieciństwa zdawałaś sobie sprawę, że twoim obowiązkiem jest utrzymanie i ochronienie Vasaro. Zawsze byłaś strażniczką Vasaro, opiekunką tego, co przekazały ci pokolenia twoich przodków. Nie z twojej winy nie udało ci się ochronić przed zagładą tego, co stworzyli. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Nie widzisz? Teraz możesz stać się kimś więcej niż strażniczką. Możesz ukształtować Vasaro według własnego upodobania.

Przemawiał z taką żarliwością, że jego zapał zaczął niemal udzielać się Caitlin.

- To brzmi obiecująco.

- Bo istnieje nadzieja, Caitlin. Możemy sprawić, że Vasaro ożyje.

- Możemy?

- Mogę ci pomóc. Pozwól mi sobie pomóc.

Caitlin zapatrzyła się na smukłe minarety w oddali.

- Może i masz rację - powiedziała po dłuższym milczeniu - ale dla mnie wciąż jest za wcześnie, by się z tym zmierzyć. W tej chwili odczuwam jeszcze zbyt wielki ból, myśląc o Vasaro.

- W porządku. Zapomnij o Vasaro. Porozmawiajmy o perfumach.

- Mój Boże, czy ty nigdy się nie poddajesz? Perfumy to nieaktualna sprawa.

- Nie zostawię tego tak - stwierdził Alex. - Muszę coś z tym zrobić.

- Alex, mamy zapas perfum zaledwie na trzynaście miesięcy. Nie możemy wylansować perfum, jeśli potem nie będziemy w stanie sprostać zamówieniom.

- Będziemy w stanie. Przemyślałem to. - Alex zmarszczył czoło, pilnie się nad czymś zastanawiając. - Jeżeli dobrze to zorganizujemy, zrobimy z „Vasaro” numer jeden na świecie.

- Może powiesz mi, jakim sposobem?

- Opierając się na jednej z najbardziej podstawowych słabości ludzkiej natury.

- To znaczy?

Alex uśmiechnął się szeroko.

- Chęci sięgania po zakazany owoc albo po coś trudnego do zdobycia. Co uważa się za najwspanialsze bogactwa natury? Diamenty, szmaragdy, złoto... wszystko, co jest rzadkie i trudne do zdobycia. Dlaczego obrazy artyści natychmiast zyskują na wartości, kiedy malarz umiera? Bo wiemy, że istniejące już płótna są jedynymi, które możemy mieć.

Caitlin ożywiła się; mimowolnie udzielił jej się jego entuzjazm.

- Mówisz, że dlatego, że mamy zapas perfum wystarczający tylko na trzynaście miesięcy...

- Dziesięć lat.

- Co?

- Będziemy racjonować ten zapas perfum tak, jakby był to jedyny zapas wody na pustyni. - Alex nachylił się ku niej, jego twarz promieniowała energią. - Będziemy je sprzedawać za pośrednictwem kilku wybranych salonów na świecie. Będą skakać sobie do gardeł, żeby otrzymać dostawę. - Urwał. - Po tysiąc dolarów uncja.

Oczy Caitlin zaokrągliły się ze zdumienia.

- To nam się nie uda.

- Musimy podnieść cenę, żeby zwiększyć ich atrakcyjność - wyjaśnił Alex. - Zaufaj mi. To zadziała. Zniszczenie Vasaro przez „Czarną Medynę” zostało tak nagłośnione przez media, że nikt nawet nie pomyśli, że jest to fortel, by wyciągnąć pieniądze. Te perfumy naprawdę są rzadkie i będą nie do odtworzenia przez wiele lat.

- Dziesięć?

- Jacques twierdzi, że potrzeba siedmiu, ale myślę, że dodamy jeszcze trzy lata, by niepowtarzalność Vasaro dobrze zapadła w pamięć, zanim obniżymy cenę, gdy będziemy zdobywać szeroki rynek. Do tego czasu każda kobieta będzie czuła, że największym luksusem na świecie jest posiadanie flakonika „Vasaro”.

Caitlin przyglądała mu się zaskoczona.

- Wszystko sobie zaplanowałeś.

Uśmiechnął się.

- Przecież nie pozwalałaś mi robić nic innego, kiedy leżałem w łóżku. - Zmarszczył brwi. - Przed prezentacją rozpo-

czniemy kampanię reklamową na dużą skalę, wykorzystamy wszystkie reklamówki z Chelsea, podkreślając niepowtarzalność statuetki i perfum. Potem będziemy puszczać reklamy rzadko i tylko w porze największej oglądalności. Myślę, że dobrze będzie zadbać o to, by uncja perfum przechodziła od jednej głowy państwa do drugiej. Na przykład od kobiety zajmującej najbardziej prestiżowe stanowisko we Francji do, powiedzmy, królowej Elżbiety. Czemu się śmiejesz?

- Bo nagle zrobiło mi się żal królowej Elżbiety. - Oczy Caitlin błyszczały ożywieniem. - A co będzie, jeśli biedaczka uzna, że nie chce mieć do czynienia z moimi perfumami... nawet jeśli chodziłoby tylko o przyjęcie podarunku?

Alex uśmiechnął się szeroko.

- Zorientujemy się, czego sobie życzy, i jej to damy.

- Naprawdę chcesz rozpocząć kampanię reklamową i urządzić wieczór promocyjny? - zapytała rzeczowo.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, zatelefonowałem do agencji reklamowej i wyznaczyłem datę rozpoczęcia kampanii na dziesiątego grudnia. Skoro na razie będziemy sprzedawać raczej pomysł, a nie perfumy, nie ma powodu cze...

- O ile Ledford wyświadczy ci tę przysługę i pokaże się w odpowiednim czasie.

- Zjawi się tutaj. Na pewno, Caitlin. Wszystko się ułoży. Odbudowa Vasaro, promocja, wszystko. Dopilnuję tego. Wierzysz mi?

Zaczynała mu wierzyć. Zaświtała iskierka nadziei.

- Myślę, że boję się ci wierzyć.

- Nie masz wyjścia. Potrzebujesz Vasaro i potrzebujesz swoich perfum. Jedno i drugie jest częścią ciebie.

- Już to kiedyś mówiłeś.

- Bo prawie od chwili, kiedy cię spotkałem, traktowałem ciebie, Vasaro i perfumy jako jedną całość. Pamiętam, że przeczytałem kiedyś... - Odwrócił wzrok i zacytował:

*Kim jest ta, co się wyłania z pustyni
wśród słupów dymu*

*owiana wonią mirry i kadzidła
i wszelkich wonności kupców?*

Jak piękna jest miłość twoja,

o ileż słodsza jest miłość twoja od wina,

a zapach olejków twych nad wszystkie balsamy!

*Nard i szafran, wonna trzcina i cynamon
i wszelkie drzewa żywiczne,
mirra i aloes i wszystkie najprzedniejsze balsamy.
Tyś źródłem mego ogrodu, zdrojem wód żywych
spływających z Libanu.
Powstań, wietrze północny, nadleć wietrze z południa!
Wiej przez ogród mój, niech popłyną jego wonności!**

Caitlin wpatrywała się w niego jak urzeczona, z sercem przepełnionym radosnym przeczuciem. Jego twarz była opamnowana jak zwykle, a jednak miała wrażenie, że pod tymi pięknymi słowami pieśni przypisywanej królowi Salomonowi kryło się osobiste przesłanie.

- Pieśń nad Pieśniami.

- Te fragmenty były podkreślone w Biblii, którą wzięłem wtedy wieczorem z laboratorium.

Oderwała od niego wzrok i zaśmiała się cicho.

- A mówiłeś, że miałeś głowę zaprzątniętą błahostkami.

Odpowiedział z prostotą kontrastującą z kunsztownością biblijnego tekstu, który recytował przed chwilą.

- Chodzi o ciebie i o Vasaro. To nie błahostki, Caitlin.

- Nie? - Niezależnie od tego, jak było naprawdę, te słowa głęboko zapadły jej w serce. Musi je przemyśleć i zastanowić się, co dla niej oznaczają. Odwróciła się i włożyła ręce do kieszeni płaszcza. - Spacer sprawił, że zrobiłam się strasznie głodna. Zobaczmy, czy jest tu gdzieś jakaś otwarta kawiarenka.

- Zaczekaj. Już czas...

- Na co? Przecież to nie...

W ciszy rozległ się śpiew muezzina, wysoki i słodki, wzywający wiernych na modlitwę. Z szarych mgieł spowijających smukłe minarety i kopuły starożytnego miasta wynurzał się bladorożowy świt, niczym nieśmiały rumieniec na policzkach ukrytej za czarczafem odaliski.

Caitlin słuchała oczarowana. Alex miał rację. Czują się jak wtedy, gdy słuchała śpiewu skowronków w domu, w Vasaro.

W domu. Powiedziała sobie, że nie ma domu.

Lecz Alex twierdził, że Vasaro jest w niej samej.

Ucichł śpiew muezzina. Caitlin głęboko zaczerpnęła tchu i odwróciła się do Alexa.

* tłum. o. Piotr Rostworowski

- Co za cudowne zakończenie...

Potrząsnął głową.

- Nie zakończenie. Początek. - Podał jej ramię i poprowadził na drugi koniec mostu. - To dlatego cię tu przyprowadziłem. Żeby ci pokazać, że wciąż istnieją początki.

Początki. Zawsze czuła się częścią piękna stworzonego w przeszłości. Dziwna była świadomość, że może być zmuszona tworzyć nową przyszłość Vasaro. Dziwna... i podniecająca.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Masz swoją kawiarnię. - Wskazał mały lokalik na nabrzeżu, z czerwono-białą markizą nad wejściem. Przysadzista, siwowłosa kobieta w męskiej tweedowej marynarce otwierała właśnie drzwi wejściowe. - Pewnie nie podają tu jajek na bekonie czy croissantów, które tak lubisz, ale może będą mieli...

- Nieważne. - Zaczęła zstępować ze schodów na nabrzeże. - Mam nadzieję, że mają tu herbatę. Za turecką kawę też się nie pogniewam.

Usłyszała cichy głos Alexa:

- Pozwolisz mi sobie pomóc?

- Z Vasaro? Jeszcze nie wiem. - Odwróciła się ku niemu z uśmiechem. - Ale wiem, że na pewno teraz już potrzebuję twojej pomocy.

Spojrzał na nią pytająco.

- Chodzi o tabliczki.

- Przygotuję dziś komputer i nauczę cię go obsługiwać.

- To nie wystarczy. Chcę, żebyś ze mną pracował nad ich odczytaniem.

Zesztywniał.

- Chcesz podzielić się tą pracą ze mną?

- Chcę, żebyśmy razem znaleźli odpowiedź.

Czy wiedział, że nie mogła mu ofiarować większego daru?

- Ja... dziękuję ci. - Ujął ją pod ramię i poprowadził ku drzwiom kawiarni. Lekko ochryplym głosem dodał: - W takim razie szybko zjedzmy śniadanie i zabieramy się do roboty.

Wszystko już przygotowane - oznajmiła Chelsea wchodząc do pokoju szpitalnego Marisy. - Całe stado lekarzy i pielęgniarek będzie czekać w czwartek na lotnisku w Los Angeles. - Usiadła przy łóżku. - Zawiozą cię do domu i ułożą w twoim własnym łóżku.

- Nie czuję się jeszcze na siłach odbyć tę podróż.
- Akurat. Przez ostatnie cztery dni udawałaś chorą. - Chelsea zrobiła srogą minę. - Pierwszego dnia porządnie mnie wystraszyłaś, ty diablico. Myślałam, że to prawdziwe pogorszenie.

Marisa uśmiechnęła się blado.

- Może tak było.

Chelsea pokręciła głową.

- Chciałaś zyskać na czasie.

- Nigdy nie wiadomo, czy jeden dzień nie uczyni jakiejś różnicy.

- Ostatnie cztery trudno nazwać zakretem historii.

- Nie masz zamiaru zmienić zdania?

Chelsea pocieszającym gestem poklepała dłoń córki.

- Przestań się o mnie zamartwiać. Powiedziałam ci, że nie zrobię niczego nierozsądnego. Po prostu pokażę się na tej konferencji i zrobię to, co umiem robić najlepiej. Pouwodzę paru dyplomatów, zadam parę pytań...

- Ściągniesz na siebie kłopoty.

Chelsea rezeźmiała się.

- Cicho, brzdącu. Będę ostrożna. Ty masz tylko wracać do zdrowia. - Wstała. - A teraz odpocznij trochę, a ja pójdę do dyżurki pielęgniarek i zobaczę, czy uda mi się zwabić twoją ulubioną pielęgniarkę do słonecznej Kalifornii. - Zmarszczyła brwi. - Jak ona się nazywa?

- Desiree Larue.

- Racja. Jak mogłam zapomnieć takie nazwisko? Byłoby odpowiednie dla gwiazdy filmów porno. - Wyszła z pokoju.

Marisa w zamyśleniu wpatrywała się w drzwi. Leżąc bezradnie w łóżku, wykorzystała już jedyną kartę, jaką miała, i nadszedł czas wezwać posiłki.

Lewą ręką sięgnęła po stojący na szafce telefon i trzymając słuchawkę w zagłębieniu szyi, wybrała numer centrali.

- Chciałabym uzyskać połączenie z Jonathanem Andre-
asem w Port Andreas w Południowej Karolinie w Stanach
Zjednoczonych. Niestety, nie znam numeru.

Pora na lunch - powiedziała Caitlin stając w drzwiach gabinetu.

- Jeszcze dwie minutki. - Alex nie odrywał wzroku od ekranu komputera.

- Chodź natychmiast. Od dwóch dni prawie nie sypiasz i nie jadasz. Pozwól, że ja zajmę się następnym wzorem.

- Jeszcze tylko jedna wersja.

Przeszła przez gabinet i położyła rękę na ramieniu Alexa.

- Ja to zrobię. To tak wygląda niewykradanie mi roboty?

- Chryste, naprawdę to robię?

Roześmiała się.

- Nie bądź taki przerażony. Nie spodziewałam się niczego innego. Masz naturę nienasyconej bestii.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie. - Zmarszczyła czoło z udaną srogością. - Ale będę miała, jeśli będę musiała znowu cię niańczyć, gdy przeholujesz z pracą.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego nie masz nic przeciwko temu?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Idź jeść.

- Jeszcze tylko sprawdzę jedną wersję. Myślę, że jesteśmy już blisko. - Wydał polecenie komputerowi. - Zobacz wydruk.

Podeszła do drukarki i przeczytała odpowiedź.

- Pudło.

- Cholera. - Wystukał kolejne polecenie, po czym spojrzał na nią wzrokiem dziecka, które coś spsociło. - No dobrze, teraz ty. Wrócę za dziesięć minut.

Caitlin z rozbawieniem pokręciła głową i zasiadła przed ekranem komputera.

Po chwili jej uśmiech zgasł; pochłonęło ją obserwowanie zawiłego linearnego wzoru na ekranie.

Jonathan czekał w hali lotniska w Stambule. Zdołała ukryć ogromną radość pod grymasem gniewnego zaskoczenia.

- A co ty tu robisz, u diabła? - zapytała, gdy Jonathan wyjął jej z ręki walizkę.

- Nie spodziewałaś się mnie? - Wskazał dwóm stojącym za nim tragarzom pozostałe bagaże. - Sądziłem, że jesteś w dobrych stosunkach z Marisą.

- Marisa... - Chelsea pokręciła głową. - Psiakość, nawet z łoża boleści stara się trzymać mnie w ryzach. Dzwoniła do ciebie?

- Dwa dni temu. - Jonathan ujął ją za łokieć i poprowadził ku wyjściu. - Milo sobie pogawędziliśmy. Kiedy spotkałem ją

po raz pierwszy, zauważyłem jedynie, że emanuje ogromnym ciepłem i pogodą ducha, ale teraz już wiem, że jest córką godną swojej mamusi.

- To znaczy?

Jonathan uśmiechnął się szeroko.

- Jest uparta jak osioł. Wykazała się sztuką dyplomacji godną ambasadora, ale wyraźnie dała mi do zrozumienia, że mam pojechać do Stambułu *tout de suite* i zaopiekować się tobą.

- Nie potrzebuję żadnej opieki.

Jonathan otworzył drzwi taksówki.

- W takim razie to ty zaopiekujesz się mną. - Wręczył napiwki tragarzom i wsiadł za nią do taksówki. - Hilton - rzucił do taksówkarza.

- Miałam zamiar zatrzymać się w Sheratonie.

- Już zarejestrowałam się w Hiltonie.

- I właśnie dlatego powinnam zamieszkać w Sheratonie.

Jonathan pokręcił głową.

- Chcę, żebyś była ze mną.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać. Powiedziałam ci...

- Pamiętam, co mi powiedziałaś. Ale wiele się od tego czasu zmieniło.

- Nie pod tym względem.

- Nie mam zamiaru spierać się z tobą, Chelsea. - Nakrył jej dłoń swoją. - Przyjechałbym do Stambułu niezależnie od tego czy byłabyś, tu czy nie. Peter był moim przyjacielem. Nie zasługiwał na to, żeby zostać zastrzelonym. Trzeba powstrzymać Ledforda.

- Ledfordowi powinno się urwać jaja, oblać ciało benzyną i podpalić.

Jonathan uśmiechnął się blado.

- To właśnie miałem na myśli.

- Tylko wyraziłeś się bardziej dyplomatycznie. Ty zawsze mówisz *comme il faut*.

- A ty zawsze mówisz szczerą prawdę. Co jest lepsze? Prawda czy dyplomacja?

Uśmiechnęła się.

- Widzisz, znowu tak mówisz.

Jonathan lekko ścisnął jej dłoń.

- Nieważne, jak mówię, moje słowa i tak do ciebie nie trafiają, Chelsea.

- Owszem, trafiają. Tylko że nie mogę ich słuchać. Dziennikarze...

- Stambuł nie jest wylęgarnią paparazzich. Nikt nawet nie będzie wiedział, że tu jesteśmy.

- Wszyscy dziennikarze z całej Europy w przyszłym tygodniu zwałą się do Stambułu na konferencję w sprawie zjednoczenia Europy.

- Zawsze możemy wtedy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności.

- Alex i Caitlin są w Stambule. Może mogłabym z nimi zamieszkać?

- Nawet nie wiem, gdzie się zatrzymali. Alex obawia się o bezpieczeństwo Caitlin i nie będzie chciał ryzykować. Powiedział, że skontaktuje się ze mną w Hiltonie.

Nie miała już pretekstu, żeby z nim nie zamieszkać. Poczowała tak ogromną radość, że bojąc się spojrzeć na niego, zapytała:

- Zarezerwowałeś osobne apartamenty?

Jonathan uśmiechnął się.

- Na różnych piętrach.

Zacisnęła ręce z radości.

- Myślę, że przez jakiś czas będzie to bezpieczne. - Szybko dodała: - Ale tylko parę dni.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Porozmawiamy o tym później.

Była trzecia nad ranem, kiedy rozpracowali wzór.

- Mam! - Caitlin obejrzała się przez ramię na siedzącego w fotelu Alexa. - Myślę, że mamy!

Zerwał się z miejsca.

- Jesteś pewna?

- Boję się, żeby nie zapeszyć. Zobacz, co wyjdzie z drukarki. - Wydała komendę i z zapartym tchem czekała, aż komputer przeczyta ją i prześle rozkaz do drukarki.

Alex stał przy drukarce, gdy zaczęła wydawać tekst.

- I co?

Przeczytał:

- Ja, Andros z ludu Szardana, pozdrawiam was i dziękuję...

Caitlin wydała triumfalny okrzyk i rzuciła się w stronę drukarki.

- Udało się!

Alex uśmiechnął się szeroko, złapał ją i okręcił w powietrzu.

- Udało się! Hurra!

Pochyliła się nad drukarką, by na bieżąco czytać tekst.

- *Ja, Andros z ludu Szardana, pozdrawiam was i dziękuję bogom, że znalazł się ktoś, kto przeczyta moje słowa. Siedząc tutaj zastanawiałem się, czy barbarzyńcy doprowadzą świat do zagład zanim osiągną wiedzę pozwalającą odczytać tę tablicę. Wojna kusi, ja, który parałem się tym rzemiosłem, dobrze to wiem, zaś barbarzyńcy lubią ją jeszcze bardziej niż strażnicy Tańczącego na Wietrze. To nie znaczy, że potrafią lepiej walczyć, jedynie znajdują w niej większe upodobanie. Prawdopodobnie Wielcy Uzdrowiciele z ludu Szardana odnieśli większy sukces, niż się spodziewali w powściągnięciu gwałtowności naszych dusz. Często myślałem, że łatwiej przychodzi nam strzec tajemnic naszego ludu, niż powstrzymać się od gwałtownych czynów.*

Nie będę teraz więcej pisał. Dałem wam już wystarczającą ilość słów do waszego celu. Nie jestem uczonym, a sposób pisania jest tak trudny, że omal nie szaleję, widząc, jak wolno się posuwam. Czemu barbarzyńcy nie wynaleźli saavzen?

Drukarka umilkła.

- *Saavzen?* - wyszeptała Caitlin.

- Zauważyłaś, że wspomniał o strażnikach, a nie strażniku Tańczącego na Wietrze? On był jedynym człowiekiem, któremu Paradygnes powierzył statuetkę, a jednak pisze, jakby... - Alex zawiesił głos, uważnie przyglądając się wydrukowi. - Wydaje się, że wszystkich z wyjątkiem Szardanów uważa za barbarzyńców. A jednak zna wszystkie najbardziej rozwinięte kultury na świecie: kulturę Greków, Trojan, Egipcjan... - Zasiadł przy komputerze. - Odczytajmy następną tabliczkę.

- Nie! - Gdy Alex odwrócił się i spojrzał na Caitlin, pokręciła głową. - To więcej, niż myślałam.

- Przecież o to ci właśnie chodziło.

- Jutro.

- Czego się obawiasz?

Sama nie wiedziała, lecz w słowach Androsa było coś, co ją niepokoiło.

- Jutro.

- Dobrze. Dokończymy to rano. A teraz spać.

Wyłączyła komputer, zgasiła światła i wyszła za Alexem z gabinetu. Przystanąwszy w drzwiach odwróciła się i tęsknym wzrokiem spjrzała w stronę drukarki, rozdarta pomiędzy lękiem a ciekawością.

Kim byli Uzdrowiciele z ludu Szardana?

Dwie godziny później Alex poczuł, że Caitlin odsuwa się od niego i wymyka z łóżka. Wiedział, że nie zmrzyła oka i pomimo chęci odłożenia pracy była zbyt podniecona, by spać. Rozumiał, co czuła; i on nie potrafił zasnąć. Zagadka, przed którą stali, była tak fascynująca, że jego umysł nie chciał zwolnić obrotów.

Caitlin bezszelestnie podeszła do drzwi. Wiedział, że idzie do gabinetu, by odczytać treść następných tablic. Korciło go, żeby pójść za nią.

Lecz była to zagadka, o której rozwiązaniu Caitlin marzyła od dzieciństwa. To ona powinna pierwsza poznać rozwiązanie. Z nim podzieli się tym później.

Opanował rosnące napięcie, czekając, aż nadejdzie świt.

Słoneczne światło poranka sączyło się przez szyby rzucając złote refleksy na brązowe loki Caitlin, gdy siedziała skulona w fotelu pod oknem. Kiedy Alex stanął w drzwiach, skończyła właśnie czytać kolejną stronicę i rzuciła ją na stos innych leżących na podłodze obok fotela.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie mogłaś się doczekać.

- Próbowałam zasnąć, ale nie mogłam. - Spojrzała na niego wzrokiem pełnym poczucia winy. Nie chciałam cię z tego wyłączać. Po prostu musiałam wiedzieć. To było jak przymus.

- Wcale się nie czuję wyłączony. - Przeszedł przez gabinet i przykleknął obok niej. - To twoja zagadka. Odczytałaś wszystkie tablice?

- Z wyjątkiem pierwszej. Wydaje się dotyczyć bardziej osobistych spraw i zawierać mniej informacji. - Caitlin pokręciła głową. - Wiesz, Alex, to jest wprost niewiarygodne.

- Szardanowie?

- Tak. Wytworzyli kulturę niepodobną do innych, o jakich słyszałam bądź czytałam. Szardanowie mieszkali na wulkanicznej wyspie, otoczonej wysokimi skałami. Z morza nie spo-

sób było dostrzec, co jest wewnątrz wyspy. Ich rozwój przebiegał w odizolowaniu od innych kultur, a mieszkańcy byli skazywani na wygnanie, jeśli ujawnili cokolwiek na temat Szardanów ludziom z zewnątrz. W końcu mieszkańcom zabroniono handlu czy kontaktów ze światem zewnętrznym. Takie prawo zachowała jedynie garstka wybrańców.

- Trudno ich za to winić, skoro mieli coś, co mogło być przedmiotem ogólnego pożądanego. Według słów Androsa świat roił się wtedy od barbarzyńców.

- Rzeczywiście mieli coś takiego - odparła Caitlin. - Byli lekarzami. Wierzyli, że warunkiem szczęścia jest zdrowie duszy i ciała.

- Co dalej?

- Cała ich kultura obracała się wokół tej filozofii. Każdy z nich, mężczyzna lub kobieta, poznawał sztukę leczenia, a najbardziej utalentowani otrzymywali tytuł Wielkiego Uzdrowiciela i władzę nad Szardanami. Żeby zostać Wielkim Uzdrowicielem, Szardan musiał albo odkryć lek na jakąś chorobę, albo sposób przedłużenia życia.

- Boże... - Zrozumiał, w jakim kierunku zmierza ta opowieść. - Ile lat miała ta cywilizacja w czasach Androsa?

- Pięćset lat. - Caitlin spojrzała mu prosto w oczy. - A każde pokolenie wydawało co najmniej jednego Wielkiego Uzdrowiciela.

- I co najmniej jedno lekarstwo lub odkrycie.

- Więcej. Przeciętna długość życia Szardanów to sto pięćdziesiąt lat. Andros używa, co prawda, innej terminologii, ale domyśliłam się, że Szardanowie wynaleźli leki i środki zapobiegające zawałom serca, rakowi, cukrzycy, ospie, chorobie Heine-Medina, trądowi... - Machnęła bezradnie ręką. - I wielu innym chorobom, o których nigdy nie słyszałam. Wiesz, co to znaczy? - Wciąż była pod wrażeniem swego odkrycia. - Nie mieli sobie równych w dziedzinie medycyny w całych dziejach.

- Podobno Egipcjanie już całe wieki przed narodzeniem Chrystusa przeprowadzali skomplikowane operacje mózgu.

- Ale to jest coś więcej. To jest... - Urwała, zaciskając dłoń na poręczy fotela. - To oznacza miliony uratowanych istnień ludzkich i przedłużenie życia o siedemdziesiąt pięć lat.

Ośłupiał.

- Mówisz tak, jakby Szardanowie wciąż istnieli.

- Nie sędę, żeby to było możliwe. Nasza planeta za bardzo się skurczyła, żeby jakaś społeczność mogła żyć w ukryciu. Ale ich medyczna wiedza mogła przetrwać. Pamiętasz, co Andros mówił o sekretach Wielkich Uzdrowicieli?

- Tak.

- Szardanowie wysyłali wojowników, by napadali i przywozili do ojczyzny łupy, żeby przysporzyć chwały ich miastu-państwu. Byli to ludzie, których uznano za nieprzystosowanych psychicznie do spokojnego życia Szardanów. Ich przywódcy byli znani jako Strażnicy. - Przeniosła wzrok na porzucane po podłodze kartki. - A ich głównym zadaniem było strzeżenie Tańczącego na Wietrze.

- To Tańczący na Wietrze został wykonany przez Szardanów?

- To było najwybitniejsze dzieło ich rzemieślników, skarbnica kultury. Ich celem było stworzenie przedmiotu tak cennego, tak pięknego, żeby nikt nie mógł znieść myśli o jego zniszczeniu.

- Jak w takim razie Grecy weszli w posiadanie statuetki?

- Lud Szardana żył na wulkanicznej wyspie, którą nawiedzały też trzęsienia ziemi. Po wykonaniu Tańczącego na Wietrze oddano go pod nadzór wojownikom, których wysyłano w świat. W ten sposób, jeśli ich miasto-państwo nawiedzał jakiś kataklizm, statuetka pozostawała bezpieczna. Andros pisze, że okręt Szardanów wiozący Tańczącego na Wietrze został raz napadnięty i złupiony przez załogę okrętu należącego do floty Agamemnona. Kiedy wieść o tym dotarła do Szardanów, posłano Androsa, żeby odzyskał statuetkę. Kiedy ścigał flotę Agamemnona, jego okręt rozbił się w czasie sztormu i Trojanie pojмали Androsa i załogę. - Spojrzała na Alexa. - Ciąg dalszy już znasz.

- Niezupełnie. Użyłaś słowa skarbnica w stosunku do Tańczącego na Wietrze.

- Inskrypcja na podstawie Tańczącego na Wietrze jest przetłumaczona jako „W środku płonie ogień”. Wielcy Uzdrowiciele złożyli całą swoją wiedzę, którą dysponowali do czasów Androsa, w Tańczącym na Wietrze.

Alex patrzył na nią oszołomiony.

- W jaki sposób?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Andros nic nie napisał na ten temat. Pewnie jest to wyryte wewnątrz statuetki, może ma z tym coś wspólne-

go ten tajemniczy *saavzen*. Z pewnością w wielu dziedzinach osiągnęli wiedzę przewyższającą tę, którą my dysponujemy. Być może mieli swój własny odpowiednik mikrofilmu. Cokolwiek to było, jestem pewna, że wciąż istnieje. Szardanowie z pewnością zadbali o to, żeby ich sekrety przetrwały wszystkie zagrożenia. - Wzdrygnęła się. - A tymczasem to Ledford ma Tańczącego na Wietrze. O Boże, boję się. Wiesz, ile każde państwo gotowe jest zapłacić za takie informacje? On i Krakow mogą wykorzystać to, żeby sięgnąć po władzę.

- Ledford nie wie, co ma. Po prostu musimy odzyskać Tańczącego na Wietrze, zanim przyjdzie mu do głowy, że statuetka jest czymś więcej niż tylko dziełem sztuki.

Litery na ostatniej tabliczce zdecydowanie różniły się od pozostałych. Były rozrzucone, pisane z przerwami, jakby pochodziły z różnych czasów.

Hiacynta zapadła na chorobę, która dziesiątkowała ludność Troi. Jakie to straszne, że uniknęła losu zwyciężonych, by umrzeć na tej górze, gdzie skryliśmy się przed barbarzyńcami, od których roi się na wybrzeżu.

Zachorowała cztery dni temu i myślcie co chcecie, ale zostałem z nią nie z powodu słabości. Mimo że sama pochodzi z barbarzyńców, była dobrym, szczerym i miłym towarzyszem. Chciałbym, móc kontynuować wędrówkę w jej towarzystwie.

Myślę, że to choroba od brudnej wody. Mógłbym ją wyleczyć.

O czym teraz myślę? Jest tylko kobietą. Nie mogę złamać przysięgi z powodu kobiety. Skoro ma umrzeć, umrze.

Jest trawiona gorączką. Krzyczy nocami Czemu tak mnie to boli?

Umiera...

Jestem Strażnikiem. Nie mogę złamać przysięgi Czy barbarzyńska kobieta warta jest tego, by nigdy już nie wrócić do Szardanów?

Przed godziną otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć...

Po czym następowało zdanie, wryte drżącą dłonią:

Myślę, że sam umrę, jeżeli bogowie mi ją zabiorą...

- Nie umarła - powiedziała cicho Caitlin. - A on nigdy nie wrócił do Szardanów. Pomógł jej.

- Tak wynika z legend.

- Ale nigdy nie zdradził tajemnic. Strzegł Szardanów i Tańczącego na Wietrze przed barbarzyńcami.

- Aż dotąd. Jak podejrzewał, wciąż nie brak na świecie barbarzyńców.

- Tak. - Odwróciła się, by nań spojrzeć. - Ale jest teraz więcej strażników.

- Nie patrz tak na mnie. Nie jestem strażnikiem-idealistą.

- Nie? - Uśmiechnęła się do niego. - A jednak powiedziałaś, że wybrałam tę rolę, a ty z pewnością roztoczyłeś nade mną straż. Myślę, że masz więcej wspólnego z Androsem niż myślisz.

Zakłopotany, wzruszył ramionami.

- Nonsens.

- Jak myślisz, co mogło stać się z ludem Szardana?

- To ty studiowałaś na Sorbonie. Czy opis wyspy Szardanów nie wydaje ci się uderzająco podobny...

- Nie przypominam sobie kultury skupionej wokół uzdrawiania. - Caitlin zastanowiła się. - Ale może... Avalon? Uzdrawiająca wyspa, na którą zabrano króla Artura, kiedy otrzymał śmiertelną ranę?

- Miałem raczej na myśli wulkany i trzęsienia ziemi. Niektórzy uczeni przypuszczają, że Atlantyda zapadła się w głąb oceanu wskutek trzęsienia ziemi, które spowodowało olbrzymią falę. To wyjaśniałoby, dlaczego Szardanowie przestali napadać na inne kraje i stali się zaciężnymi w Egipcie. Nie mieli już dokąd wracać... - Wzruszył ramionami. - A może Szardanowie nie mieszkali na żadnej z tych wysp. - Zebrał z podłogi porozrzucane kartki i ułożył w stos. - Myślę, że teraz to przeczytam, a potem wyniosę komputer i drukarkę.

- Dlaczego?

- Żeby ponownie rozstawić rzutniki. Musimy przestudować obraz Tańczącego na Wietrze i zobaczyć, czy uda nam się odkryć jeszcze jedną tajemnicę. - Zmarszczył brwi. - Skoro tak bardzo umiłowali piękno, nie chce mi się wierzyć, że po prostu umieścili coś wewnątrz statuetki, żeby trzeba było kiedyś ją zniszczyć. Może klucz tkwi w sposobie ułożenia klejnotów...

O ile odczytanie tablic wydawało się Caitlin trudne, następne godziny wykazały, że znalezienie miejsca otwarcia statuetki jest niemal niemożliwe. Było oczywiste, że czeka ich jeszcze wiele dni pracy.

Caitlin była tak wyczerpana, że wydawało jej się, iż zaśnie, ledwie przyłoży głowę do poduszki, lecz godzinę po udaniu się do sypialni wciąż leżała bezsennie.

Pod wpływem nagłego impulsu odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. W chwilę później stała na progu sypialni Alexa.

- Alex.

Zauważyła, jak jego twarz stężała, gdy uniósł się na łóżku.

Podeszła bliżej.

- Nie chcę już nigdy być sama.

Odchylił kołdrę w niemym geście zaproszenia.

- Nigdy nie byłaś sama.

Wśliznęła się do łóżka i leżała obok, nie dotykając go.

- Nie?

Delikatnie podciągnął kołdrę pod jej brodę, po czym położył się po swojej stronie łóżka.

- Zawsze byłem tu dla ciebie.

- Dlatego, że było ci mnie żal?

- Nie, nie z tego powodu.

- Z pożądania?

- Też nie. Chociaż z pewnością ono istnieje.

- Czuję się... tak nieswojo.

- A ja nie.

- Wszystko wokół nas tak się zmienia... Co powinniśmy zrobić?

- Wypać się, dostać się do wnętrza tej cholernej statuetki, odnaleźć Ledforda, pojechać do Nicei, wprowadzić twoje perfumy na rynek, posadzić kwia...

Zachichotała.

- Powinnaś była wiedzieć, że masz gotową odpowiedź.

- Udzielanie odpowiedzi to jest to, co robię najlepiej.

- Jest coś innego, co robisz jeszcze lepiej.

Zesztywniał.

- Nie musisz odpłacać mi za to, że jestem z tobą, Caitlin. Po to jesteśmy przyjaciółmi.

Nie powiedział: kochankami, powiedział: przyjaciółmi. Mgliście przypomniała sobie, jak kiedyś zapewniała siebie

samą, że nie są kochankami, tylko przyjaciółmi. Od tego czasu zdarzyło się tak wiele, że tamten fakt wydawał się mieć miejsce całe wieki temu.

- A jesteśmy przyjaciółmi, Alex?

- Chcę być twoim przyjacielem. Szanuję cię. Ufam... ufam ci.

Wypowiedział te słowa zacinając się, jakby wymuszając je na sobie, jednak poczuła, że oblewa ją fala ciepła. Tego samego uczucia doświadczyła na moście Galatei. Wydawało jej się, że chciał jej wtedy powiedzieć coś innego niż powiedział. Alex Karazov był człowiekiem silnych namiętności, lecz po latach doświadczenia przykrości i zdrad, które nauczyły go cynizmu, okazanie jej zaufania i przyjaźni było wielkim i cennym darem. Ofiarował kiedyś swą przyjaźń Pawłowi, po śmierci którego jedynie Kemal zdołał nieco zbliżyć się do Alexa.

- Powiedz, czy kiedykolwiek powiedziałaś Pawłowi, jak bardzo zależało ci na jego przyjaźni?

- Czemu o to pytasz?

- Powiedziałaś?

- Nie. - Po chwili dodał pospiesznie. - To nie było konieczne. On o tym wiedział.

- Rozumiem. - W końcu Caitlin zaczynała rozumieć Alexa Karazova. Jak bardzo jest nieufny, pomyślała ze współczuciem, tak samo, jak niegdyś była ona. Ze zdumieniem zorientowała się, że używa czasu przeszłego. Kiedy to jej nieufność w stosunku do Alexa zaczęła mijać, a pojawiło się zaufanie? Najpierw było pożądanie, po czym doświadczyli wszystkich odcieni namiętności, rozpaczy i wrogości, i dopiero teraz zaczęli się rozumieć. - Proszę, przytul mnie.

- Powiedziałem, że nie musisz odpłacać mi...

- Kto tu komu odpłaca? - Wtuliła się w jego ramiona i poczuła przypływ pożądania, gdy spotkały się ich ciała. Musieli zatoczyć pełne koło, by powrócić do pożądania, wiedziała jednak, że rym razem będzie ono jedynie środkiem do podjęcia dalszej wspólnej drogi. - Po prostu korzystam z tego, co robisz najlepiej.

Alex... - wyszeptała, na krawędzi snu.

- Tak?

- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. - Nie otwierając oczu mocniej przytuliła się do niego.

ZAGADKI

Delikatnie gładził ją po włosach.

- Co?
- Kocham cię.

Poczuła, jak napięły się jego mięśnie, lecz nie odezwał się. Nie oczekiwała odpowiedzi. Wiedziała, że może nigdy nie usłyszeć od niego tych słów, lecz godziła się z tym. Odczuwała potrzebę powiedzenia mu tego.

- Nie mieliśmy racji. Miłość istnieje...
- Tak myślisz? - zapytał ochryplym głosem.
- Tak. Dobranoc, Alex.

Ciepłymi wargami złożył delikatny pocałunek na jej skroni.

- Dobranoc, Caitlin.

Kemal odłożył ostatnią zadrukowaną stronicę.

- Bardzo interesujące.
- Interesujące? - Caitlin uniosła brwi. - Kemal, to sensacja na skalę światową! Rewelacja!

- Nie - odparł poważnie, lecz w jego czarnych oczach kryła się wesołość. - To ja jestem rewelacyjny, a to jest jedynie interesujące. Ale ani ty, ani Alex nie możecie w tym stanie pretendować nawet do tego miana. Nie bawicie mnie, kiedy tak ciężko pracujecie. Alex przez cały dzień nie ruszył się z tego gabinetu.

- Myśli, że w ułożeniu klejnotów na podstawie statuetki jest jakaś prawidłowość. Mówi, że to musi być na podstawie, bo to jedyna część statuetki, którą można odłączyć nie naruszając...

- Widzisz? Wzory, legendy, cudowne leki... Nie starcza wam czasu na naprawdę ważne rzeczy.

- Co?

- Nie jestem tak naiwny, żeby zakładać, że się nie domyślasz. - Otworzył drzwi. - Zostawiam was z tymi zagadkami i idę zobaczyć, czy uda mi się wygrzebać na temat Ledforda coś, co mogłoby was zainteresować i oderwać od pracy. - Westchnął. - Naprawdę rewelacją byłoby, gdyby mi się nie powiodło.

Caitlin zachichotała, po czym odwróciła się i pospieszyła do gabinetu, do Alexa.

18

Irmak wrócił - oznajmił Kemal, gdy Alex odebrał telefon dwa dni później.

- Jesteś pewien?

- Na własne oczy widziałem, jak wczoraj wieczorem wszedł do Kafasu.

- Gdzie on się, do diabła, podziewał?

- Powiedziałem ci, że go przestraszyłeś. - Kemal zrobił pauzę. - Być może nie tylko z tego powodu, co myśleliśmy.

- O czym ty mówisz?

- Rozpytywałem o Irmaka. Myślałem, że wiem o nim wszystko, ale zdziwiło mnie, że tak się ciebie przestraszył, więc postanowiłem trochę o niego popytać. - Ponownie zamilkł. - Losy jego i moje tak długo się splatały, że zdążyłem go dobrze poznać i wydało mi się dziwne, że...

- Kemal.

- Już przechodzę do sedna sprawy. Adnan ma powiązanie z Cyganami.

- Co?

- Pierwsza żona jego ojca należała do jednego z tych plemion, które przybywają tutaj każdego roku.

- Sugerujesz, że Irmak może być Cyganem?

- Jego ojciec musiał złożyć przysięgę krwi, inaczej nie mógłby ożenić się z matką Adnana. Myślę, że w związku z tym można powiedzieć, że Adnan jest Cyganem. Ale nie wiem, czy jest tym „Cyganem”. To by wyjaśniało, dlaczego zniknął, kiedy dowiedział się, kogo szukasz. Wiedział, że Ledford nie byłby zadowolony, że dopytujesz się o niego tak uporczywie. Pewnie bał się Ledforda nie mniej niż ciebie.

- Powiedziałaś, że Irmak nie miał odpowiednich powiązań, żeby zdobyć lewe papiery.
- Z tego, co wiem, rzeczywiście ich nie ma. Badam tę sprawę. W mieście jest paru fałszerzy, którzy mogli wyspecjalizować się w paszportach.
- Spotkajmy się dziś w Kafasie.
- Wybacz, ale będziesz musiał sam to załatwić. Wczoraj po pokazie starałem się późno w nocy wejść do haremu, ale zostałem zatrzymany w drzwiach. Adnan wydał rozkazy, że nie wolno mnie do niego dopuszczać. - W głosie Kemala pojawił się kpiący ton. - Zraniło mi to serce. A byliśmy sobie tak bliscy...
- Mogę tam wejść?
- Myślę, że tak. Ochroniarze Adnana nie znają cię. Ale nie możesz szwendać się po haremie, wypatrując Irmaka. Chwileczkę... - Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza, po czym Kemal dokończył ożywionym tonem: - Już wiem, co możesz zrobić. Myślę, że uda mi się przekazać Melis prośbę, żeby ci pomogła. Będziesz musiał przyprorowadzić do haremu Caitlin.
- Wątpię, czy pozwoli mi się tam zostawić.
- Idźcie dziś wieczorem do Kafasu i zostańcie po występie. Przyjdźcie później do haremu i wynajmijcie pokój jak regularni klienci. Poproszę, żeby Melis przyszła do waszego pokoju i zaprowadziła was do Adnana, kiedy w pobliżu nie będzie nikogo.
- A jak mamy wydostać się z haremu, kiedy porozmawiam już z Irmakiem?
- W ten sam sposób, w jaki weszliście, przez Kafas, jak wszyscy zadowoleni klienci. Musisz się tylko upewnić, że Irmak nie podniesie alarmu.
- Jeśli dotrę do niego, mogę ci to obiecać.
- Tak właśnie myślałem. Mam do ciebie zaufanie. Jak będzie po wszystkim, spotkamy się u was w domu. Zaparzę kawę, a wy opowiecie mi, jak się bawiliście.
- Czy mogę zwrócić ci uwagę, że nie płacę ci za parzenie kawy?
- Jak możesz mówić coś takiego, kiedy to ja opracowałem cały plan? Teraz pozostaje ci tylko wykonanie.
- Tylko?
- Mózg jest cenniejszy od mięśni. Miło, kiedy ktoś dysponuje i jednym i drugim, tak jak ja, ale jestem pewien, że przy mnie podciągniesz się w wielu dzie...

- Cześć, Kemal.
- Trzymaj się, Alex.

Jak przepowiedział Kemal, Alex i Caitlin nie mieli kłopotu w minięciu dwóch ochroniarzy ubranych jak eunuchowie, pełniących wartę przy drzwiach oddzielających Kafas od haremu. Gdy tylko znaleźli się w środku, trafili na ubraną w szkarłatne szaty obsługę, która zajmowała się każdym klientem, pytając, jakie ma życzenia, i eskortowała do rzeźbionych drzwi, za którymi czekały wybrane przyjemności.

Alexowi i Caitlin oddano do dyspozycji obszerny pokój z lustrami na suficie i dwóch ścianach. Gruby biały dywan wyścielał turkusowe kafelki, a zarzucone stosem haftowanych poduszek łożko było okazałe jak dla kalifa. Caitlin próbowała się uśmiechnąć.

- Mówiłeś, że to miejsce to fantazja sułtana. - Prychnęła. - O Boże, kadzidło. Jak długo musimy tu siedzieć?

- Dopóki nie przyjdzie Melis. Kemal nie określił, kiedy to nastąpi. - Alex wciąż stał przy drzwiach. - Denerwujesz się?

- Trochę. - Zrobiła pocieszoną minę. - Pierwszy raz jestem w haremie.

- Ja też. - Na stoliku z drzewa różanego stała kryształowa karafka. Alex nalał rubinowoczerwonego wina do dwóch kieliszków i wręczył jeden Caitlin.

Ostrożnie upiła mały łyk.

- Za słodkie. Jak wszystko w tym pokoju. Za dużo tego.

- O czym chciałybyś porozmawiać?

- Co?

- Musimy coś robić. Nie mamy wielkiego wyboru, chyba że chcesz użyć tego pokoju zgodnie z przeznaczeniem.

Nagle stanęli jej przed oczami kopulujący mężczyźni i kobiety z Kafasu. Tego wieczoru pokaz nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Pragnęła jedynie, by się jak najszybciej skończył.

- Nie chcę.

- Ja też nie - powiedział Alex.

- Czy Irmak będzie mógł nam powiedzieć, gdzie jest Ledford?

- Jeśli jest „Cyganem”, a nie tylko pośrednikiem, może to wiedzieć. Będziemy musieli...

Ciche pukanie do drzwi przerwało Alexowi w pół zdania.

- Melis? - Caitlin odstawiła kieliszek na stolik.
 - Chyba tak. - Szybko podszedł do drzwi i otworzył.
 - Przyszłam po was.
 - Jesteś Melis?
 - Tak. - Małe, drobnokościste dziecko, które wśliznęło się do pokoju, wyglądało na mniej niż jedenaście lat, które miało, jeśli wierzyć temu, co powiedział Irmak. Złociste włosy opadały jej na ramiona ładnymi loczkami. Była ubrana w strój jak z epoki wiktoriańskiej: w krochmaloną białą sukienkę przepasaną brzoskwiniową satynową szarfą, białe pończochy i błyszczące czarne lakierki. - Musimy chwilkę poczekać. - Pod jej aksamitną skórą widać było pulsujące niebieskie żyłki. Wypowiadała słowa zdyszczanym głosem. - Kemal mówił, że możemy przejść dopiero wtedy, gdy będzie to dla was zupełnie bezpieczne. Strażnicy poszli do pokoju Simal, ale musimy poczekać, aż zaczną.

- Co zaczną? - Po chwili Caitlin zrozumiała i poczuła, że robi jej się niedobrze. Zastanowiła się, czy ta Simal jest takim dzieckiem jak Melis. Kiedy Caitlin była w wieku Melis, biegała po polach pełnych kwiatów, bawiła się z przyjaciółkami. - Musimy coś z tym zrobić, Alex. Nie mogę znieść widoku...

- Wiem. Znajdziemy jakiś sposób - odparł Alex. - Ale pierwszym krokiem jest pozbycie się Irmaka.

- Kemal powiedział, że pomożesz nam, jeśli my ci pomożemy - wyszeptwała Melis, nerwowo wygładzając nakrochmaloną spódnicę sukni drobnymi dłońmi. - Nie podoba mi się tutaj. Chcę sobie stąd pójść.

Caitlin poczuła, że coś ją dławi za gardło.

- Odejdiesz stąd. Rozumiem, jak się musisz czuć.

Melis z powagą przyjrzała się twarzy Caitlin, po czym powoli pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Jesteś bardzo miła, ale nie rozumiesz. — Odwróciła się i otworzyła drzwi. - Pójdę pierwsza. Idźcie parę kroków za mną.

Przemierzyli puste korytarze. Melis zatrzymała się przed rzeźbionymi drzwiami.

- Adnan - powiedziała. - Muszę już iść. Będą za mną tęsknić. - Przemknęła korytarzem jak duszek z innej epoki.

- Zastanawiam się, kto tak do niej będzie tęsknił. Chętnie zabiłabym Irmaka - wybuchnęła Caitlin.

- Uspokój się. - Sam jednak miał zaciętą twarz. Powoli otwie-

rał drzwi. - Wszystko w swoim czasie. Obiecuję ci, że ją stąd wydestaniemy. Sam chciałyby go zamordować, ale to nie jest...

Adnan Irmak już nie żył.

Caitlin zszokowana przyglądała się mężczyźnie, który leżał twarzą na masywnym biurku.

- Czy to Irmak?

- Tak. - Alex szybko podszedł do niego. - Zamknij drzwi.

Wypełniła polecenie, obserwując kałużę krwi wypływającą z szyi Irmaka i rozlewającą się na blacie biurka.

- Morderstwo?

- Trudno jest samemu poderżnąć sobie gardło.

- Chodźmy stąd.

- Za chwilę.

Z chorobliwym zafascynowaniem wpatrywała się w kałużę krwi, po czym przełknęła, by zwalczyć nudności.

- Kto to mógł zrobić? Ledford?

- To możliwe. Mógł dojść do wniosku, że depczemy mu po piętach i chciał uciszyć Adnana. - Alex przesunął ciało Irmaka, by otworzyć środkową szufladę biurka. Głowa zmarłego opadła bezwładnie. - Ale to mógł być każdy. Na przykład dziwka albo klient, których szantażował. - Zasunął szufladę. - Według Kemała był najbardziej znanym człowiekiem w Stambule.

- Czego szukasz?

- Zapisków. Informacji. - Alex otworzył szufladę po prawej stronie biurka. - Zwycięstwo.

Caitlin podeszła do niego, starając się nie patrzeć na Irmaka.

- Znalazłeś coś?

- Szufladę pełną paszportów. - Alex otworzył paszport leżący na wierzchu. - Pierwszorzędna robota.

- W takim razie Irmak był „Cyganem”?

- Na to wygląda. - Alex otworzył dolną szufladę i wyciągnął dwa opasłe czarne tomiska.

- Zobaczmy, jakie sukinsyn prowadził zapiski. - Otworzył pierwszą księgę, zerknął i zamknął ją. - Księga rachunkowa haremu. - Otworzył drugą i szybko przerzucił kartki. Niespodziewanie uśmiech rozjaśnił jego twarz. - B. L. Kto ma takie inicjały?

- Brian Ledford.

- Właśnie. - Wyciągnął chusteczkę i starannie wytarł wszystkie przedmioty, których dotykał, po czym schował księgę pod

białą szatę. - Wynosimy się stąd - chwycił Caitlin za rękę - bo może Ledford zostawił tu swojego zbira, który mógłby nas rozpoznać.

Kemal odłożył gitarę i wstał, kiedy wrócili.

- Przyszliście w samą porę. Kawa jest już gotowa. Usiądźcie, a ja przyniosę tacę. - Spojrzał na Alexa i Caitlin i pokręcił głową. - Powinieneś być pozbyć się tej szaty przed wyjściem z Kafasu. Zupełnie do ciebie nie pasuje. Żeby nosić takie ubranie, trzeba posiadać pewien talent, którego najwyraźniej ci...

- Przynieś kawę i oszczędź mi krytyki. - Alex wydobył księgę spod fałd szaty i położył ją na stoliku. Dopiero po tym zdjął szatę i rzucił ją na stojące przy drzwiach krzesło. - Księga Irmaka była zbyt okazałych rozmiarów, by chować ją pod marynarkę.

Kemal wszedł do kuchni i sięgnął po tacę.

- Musiałeś użyć silnej perswazji, żeby skłonić go do rozstania się z tą księgą. Czy wycisnąłeś jakieś info...

- On nie żyje - odezwała się Caitlin. - Został zamordowany.

Kemal stanął jak wryty.

- Naprawdę? Alex? - Wniósł tacę do saloniku.

- Nie ja - odparł Alex. - Nie żył już, kiedy tam weszliśmy.

- Fatalnie. W taki razie nie mogłeś go przesłuchać. - Kemal postawił tacę na stoliku. - Jak?

- Nóż. Miał poderżnięte gardło.

- Brudna robota. To musiało przerazić Caitlin. - Kemal uśmiechnął się do niej łagodnie. - Usiądź. Złe wyglądasz. - Pchnął ją na fotel i wręczył jej filiżankę. - Wypij to. Od razu poczujesz się lepiej. - Zwrócił się do Alexa. - Myślisz, że w tej księdze znajdziesz to, co chcesz?

Gorący płyn rozgrzał Caitlin i złagodził ściskanie żołądka. Mówili o zabiciu Irmaka z taką obojętnością. Irmak był złym człowiekiem i z pewnością zasłużył na swój los, lecz nie mogła przestać myśleć o tej kałuży krwi.

- Nie wiem - odpowiedział Alex. - Nie miałem czasu do niej zajrzeć.

Kemal usiadł na podłodze przy fotelu Caitlin, skrzyżował nogi i sięgnął po filiżankę z kawą.

- W takim razie przejrzyj ją teraz. Będę milczał jak grób. -

Skrzywił się widząc, że Caitlin wzdrygnęła się. - Wybacz, Caitlin.

Alex przekartkował księgę.

- Boże, ten typ zaopatrywał chyba pół Afryki i Europy.

- Mówiłem ci, że Irmak był bogaty. - Kemal wypił łyk kawy.

- Są tam adresy?

- Nie. Tylko listy towarów i terminy dostaw.

- W takim razie z powrotem znalazłeś się w punkcie wyjścia?

- Może nie będzie aż tak źle. - Alex przesunął palcem po liście towarów pod inicjałami B. L. - Tu są jakieś dziwne zapiski. Muszę się nad nimi zastanowić.

- Nie pogniewacie się, jeśli was opuszczę? - Kemal dopił kawę, odstawił filiżankę na tacę i wstał. - Mam coś do załatwienia.

- Co?

- Przyszło mi do głowy, że kiedy strażnicy znajdą Irmaka, w haremie wybuchnie wrzawa. - Ruszył do drzwi. - Jeśli zadziałam odpowiednio szybko, będę mógł skorzystać z tego zamieszania.

- Żeby co zrobić?

- Uratować dzieci - powiedział cicho Kemal. - Melis i inne. Jeśli będę miał szczęście, wyprowadzę je, zanim ktoś przejmie władzę.

- A może tak się zdarzyć? - zapytała Caitlin.

Kemal przytaknął.

- Najbardziej prawdopodobnie tak się stanie. Irmak powiedział mi, że przejął władzę od poprzedniego właściciela haremu.

Alex wstał.

- Idę z tobą.

Kemal pokręcił głową.

- Już cię tam dzisiaj widziano. Jeśli pójdziesz ze mną, będę bardziej narażony na niebezpieczeństwo.

- Co zrobisz z dziećmi?

- Wytrzymają dzień lub dwa z moimi karaluchami, a ja w tym czasie znajdę miejsce...

- Przyrowadź je tutaj - zaproponowała Caitlin. - Zatelefonujemy do Jonathana i on znajdzie pomoc.

Kemal zatrzymał się w drzwiach.

- Jest ich sześcioro. Sprawią wam kłopot.

- Przeprowadź je tutaj.
 - Jak tylko cię ujrzałem, wiedziałem, że masz silny instynkt macierzyński.

- Kłamca. Zauważyłeś jedynie moje piersi.

- To to samo. Mówiłem ci, że to ma podtekst psychologiczny.

Sięgnął po szatę, którą Alex rzucił na krzesło, i włożył ją. Przybrał dumną pozę, skrzyżował ręce na piersiach i stanął na lekko rozstawionych nogach.

- Tak powinieneś się prezentować w tej szacie. Jak dumny król pustyni, jak urodziwy kalif, który...

- Idź po dzieci.

Kemal uśmiechnął się szeroko i wybiegł z domu, a biała szata powiewała za nim buńczucznie.

To był Alex. - Jonathan odłożył słuchawkę i odwrócił się do Chelsea. - Powiedział, że Caitlin od wczorajszej nocy ma sześcioro dzieci.

- Przypuszczam, że nie odbyło się to w rutynowy sposób. - Chelsea wyprostowała się w fotelu. - O co chodzi?

- Nie pytaj mnie. Alex niczego nie wyjaśnił. Dwóch chłopców i cztery dziewczynki w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Powiedział, że dzieci były wykorzystywane seksualnie.

- Przez rodziców?

- Będziesz musiała zapytać Caitlin.

- Ja?

- To logiczne, że ty powinnaś zająć się tą sprawą. Jesteś przewodniczącą organizacji, która niesie pomoc maltretowanym dzieciom.

- Masz rację. - Uśmiechnęła się szeroko; wstała i wygładziła fałdy sukienki. - Jestem świetna w rozwiązywaniu problemów innych. Tak czy owak, zaczynam być zmęczona czekaniem na tę konferencję. Chodźmy.

Pokręcił głową.

- Będziesz musiała pójść sama. Alex poprosił mnie, żebym spotkał się z nim w ambasadzie i sprawdził, czy uda mi się wyciągnąć plan zabezpieczenia konferencji.

- Jaki jest ich adres?

- Alex powiedział, że na dole w *foyer* będzie czekał na ciebie człowiek, który zaprowadzi cię do domu, w którym się zatrzymali. Nazywa się Kemal Nemid.

Nie zrobię ani kroku dalej. Kręcimy się w kółko. - Chelsea obrzuciła Kemala lodowatym spojrzeniem, opadając na szeroką poręcz balustrady okalającej rozsypujący się budynek. - Już dwa razy mijaliśmy ten sklep po drugiej stronie ulicy. Zmusza mnie pan do łożenia po tych uliczkach od dwóch godzin.

- Spacerowanie to dobra gimnastyka.

- Nie wtedy, kiedy idzie się na dziesięciocentymetrowych obcasach.

- Nie powinna pani nosić takich butów. Caitlin jest o wiele bardziej praktyczna.

- Caitlin jest o głowę wyższa ode mnie.

Kemal uśmiechnął się.

- Ach, tak, ona ma prezencję. Jest bardzo piękna. Pani też jest atrakcyjna, ale osobiście wolę duże kobiety.

- To dlaczego robi pan wszystko, żebym zaczęła czołgać się ze zmęczenia?

Uśmiech Kemala zgasł.

- Nie próbuję pani zmęczyć. Chcę tylko zgubić kogoś, kto może nas śledzić. Dbam o bezpieczeństwo Caitlin i Alexa. Nie mam samochodu, a taksówki i wypożyczone samochody mogą być podstawione. Najlepszy jest spacer.

Chelsea przez chwilę przyglądała się jego przejętej twarzy, po czym niechętnie wstała.

- Idziemy.

Kemal natychmiast ruszył ulicą.

- Powinna mi pani dziękować za możliwość zdobycia kondycji. Caitlin zrobiła wielki postęp, odkąd pokazałem jej, jak spacerować...

Jesteśmy. - Kemal otworzył drzwi. - Andreas przysłał tę uroczą damę. Pochwalam.

- Chelsea, myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz. - Caitlin uścisnęła ją serdecznie. - Nie wiedziałam nawet, że jesteś w Stambule, dopóki Jonathan nie powiedział tego Alexowi, kiedy rozmawiali przez telefon.

Chelsea odwzajemniła uścisk i pokuśtykała na fotel.

- Gdybym wiedziała, że tu mieszka twój przyjaciel Kemal, nigdy bym tu nie przyjechała.

- Ona też nie lubi spacerować. - Kemal zamknął drzwi. - Ale narzeka głośniejsz niż ty. Gdzie dzieci?

- Mocno śpią w pokoju Alexa. - Caitlin zmarszczyła czoło.
- Z wyjątkiem Melis. Nic nie zjadła i nie zasnęła ani na chwilę, odkąd ją tu przyprowadziłeś. Siedzi tylko w ogródku. - Wzruszyła ramionami. - Ale inni wydają się zadowoleni.

- Jest przerażona. Zmiany zawsze przerażają dzieci. Pójdę z nią porozmawiać. - Kemal wyszedł do ogródka.

Chelsea i Caitlin stanęły w drzwiach patrząc, jak przyklęka przy złotowłosej dziewczynce siedzącej na kamiennej ławce i zaczyna z nią rozmawiać.

- Gdzie ona przedtem mieszkała?

- W burdelu.

- Boże! - Chelsea pokręciła głową. - W jakim my świecie żyjemy.

- W nie najciekawszym.

- A inne dzieci?

- To samo. Kemal je stamtąd wydostał.

Na twarzy Kemala pojawił się łagodny uśmiech, gdy delikatnie dotknął palcem policzka Melis. Złotowłosa dziewczynka w białej wiktoriańskiej sukni i silny, ciemnowłosy młody człowiek w niebieskiej bluzie i džinsach tworzyli dziwnie urocze zderzenie przeszłości z terażniejszością.

Melis uśmiechała się teraz, był to zaledwie cień uśmiechu, ale jednak się uśmiechała.

- Może on nie jest taki zły, jak myślałam - powiedziała z ociąganiem Chelsea. - Przynajmniej ta dziewczynka wydaje się nie podzielać mojego wrażenia.

Melis wstała i włożyła rączkę w dłoń Kemala.

- Jest głodna! - krzyknął Kemal. - Jak może spać, kiedy nie daliście jej jeść?

- Proponowałam... - Caitlin urwała widząc, jak Kemal ostrzegawczo pokręcił głową. - Zrobię kanapki.

Melis promiennie uśmiechnęła się do Kemala, zaczęli wolno iść w stronę domu.

- Ma swoje sposoby - stwierdziła Caitlin.

Chelsea kiwnęła głową w zamyśleniu.

- Najwyraźniej odpowiada na jego... - Podeszła do telefonu na stoliku. - Zadzwońię do Nowego Jorku i porozmawiam z kierownikiem mojej organizacji schronisk. Może poda mi nazwisko kogoś, z kim będę mogła skontaktować się w Stambule. Te dzieci nie powinny teraz być narażone na dodatkowy

stres w postaci bariery językowej. One potrzebują domu i opieki rodaków we własnym kraju i powinny natychmiast rozpocząć terapię pod okiem psychologa. - Podniosła słuchawkę. - W takich sytuacjach najważniejsze jest poczucie bezpieczeństwa. Decydujące są pierwsze tygodnie po wyrwaniu dziecka z patologicznego otoczenia. - Chelsea zaczęła wybierać numer. - Na co czekasz? Zrób dziecku kanapkę.

Caitlin weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Uśmiechała się.

Twoja przyjaciółka wie, jak się załatwia sprawy. - Kemal obserwował Chelsea żwawo prowadzącą sześcioro dzieci ulicą. - Załatwiła, że po dzieci przyjedzie samochód z ministerstwa zdrowia i opieki społecznej, ale będzie czekać dwie przecznice dalej, żeby nie wiadomo było, gdzie mieszkacie, i zastrzegła, że sama odprowadzi dzieci do samochodu. - Ale czy będą równie dobrze traktowane po tym, jak amerykańska gwiazda filmowa wyjedzie ze Stambułu?

- Chelsea dopilnuje, żeby o nie dbano - powiedziała Caitlin. - Jej córka była wykorzystywana seksualnie. Wierz mi, nikt nie zajmie się troskliwiej tymi dziećmi niż Chelsea. "

- Jej córka? Ta dziewczyna z Vasaro? - Kemal przeniósł wzrok na jej twarz. - Ach, to dlatego się nie śmieje. Kto to był?

- Jej ojciec.

- Poczucie zdrady jest najgorsze, kiedy zdradza nas ktoś, komu ufamy. - Rysy jego twarzy stężały. - Gdzie on mieszka?

- Nie żyje. - Caitlin uśmiechnęła się wyrozumiale. - Nie możesz chronić całego świata, Kemal.

- Często jest już za późno na to, by kogoś chronić, ale jest wiele sposobów na to, by pomóc... i zemścić się.

- Już za późno, żebyś mógł pomścić Marisę, a wszelką pomoc i oparcie znajduje w Chelsea.

Kemal przeniósł wzrok na Melis, która szła za Chelsea z ociąganiem, błagalnie oglądając się przez ramię na Kemala.

- Problemy niektórych ludzi są bardzo powikłane. Czasami nie jest się w stanie kogoś zrozumieć ani mu pomóc, o ile nie przeszło się tego samego.

- Co powiedziałaś Melis w ogrodzie?

- Że prawdopodobnie nie raz jeszcze w życiu będzie zraniona, ale nigdy już nie będzie na tyle bezradna, by nie móc z tym walczyć.

- Niezbyt pocieszające.
- Miałem jej obiecać, że nikt nigdy jej nie zrani? - Kemal pokręcił głową. - Nie uwierzyłaby mi. Melis już wie, że życie jest pełne bólu i przemocy. Dobrze, że ludzie tacy jak ona i ja mają szansę odmienić swój los. - Uniósł dłoń w pożegnalnym geście, gdy niewielka grupka zniknęła za rogiem. - Już samo to jest wielkim darem.
- Kemal, myślę, że całkiem obiecujący z ciebie filozof. Natychmiast porzucił poważny ton.
- Filozofowanie nie daje chleba. O wiele więcej pieniędzy mają gwiazdy sceny i estrady. Może zagrałbym na gitarze dla twojej przyjaciółki? Odkrywszy mój talent zabierze mnie do Hollywood i przedstawi tej niezwykłej Marisie.
- To mało prawdopodobne. Myślę, że nie wybaczyła ci jeszcze tego spaceru z hotelu.
- Och. - Twarz Kemala rozjaśniła się uśmiechem. - Ona jest taka drobna. W ogrodzie zostawiłem rower. Mógłbym ją odwieźć na ramie. Myślisz, że to by jej bardziej odpowiadało?
- Caitlin uśmiechnęła się na myśl o długich limuzynach, do których przyzwyczajona była Chelsea.
- Czemu nie miałbyś jej o to zapytać?

Alex wrócił ze spotkania z Jonathanem dopiero o dziewiątej wieczorem.

Słyszając zamykające się drzwi wejściowe, Caitlin wyszła z sypialni.

- Tak długo cię nie było. Znalazłeś coś?
- Wydobicie tego planu od ludzi z ambasady zajęło nam mnóstwo czasu.
- Potrafię zrozumieć, dlaczego nie chcą ujawniać go wszystkim, którzy o to proszą. Jaki jest ten plan?

Alex wzruszył ramionami.

- Eskorta z lotniska do pałacu o dziesiątej rano. Lunch przygotowany i podany pod ścisłym nadzorem brytyjskich służb bezpieczeństwa. Konferencja ma potrwać od piętnastej do dwiętnastej. Potem uczestnicy zostaną odwiezieni na lotnisko o dwudziestej. Jak widzisz, nic oryginalnego.

- Jadłeś coś? Zostało jeszcze trochę duszonej wołowiny, którą przygotowałam dla dzieci.
- Nie jestem głodny. Jeszcze tutaj są?

Caitlin pokręciła głową.

- Chelsea zadziałała z szybkością huraganu i umieściła je w schronisku. - Skrzywiła wargi w uśmiechu, przypomniawszy sobie nietęgą minę Chelsea. - A potem Kemal odwiózł ją na rowerze do hotelu.

- Musiało to być ciekawe doświadczenie dla obojga. - Alex uniósł słuchawkę. - Muszę zadzwonić do Goldbauma. Chcę, żeby dowiedział się czegoś na temat paru towarów z listy zakupów Ledforda. Gdzie położyłaś tę księgę?

- Przyniosę ci. - Caitlin podeszła do szafy w ścianie, sięgnęła na półkę po księgę i podała Alexowi. - Myślisz, że jeszcze będzie w biurze?

Skinał głową, wybierając numer.

Caitlin usiadła na sofie i czekała.

- Gdzie ty się do diabła, podziewasz? - natarł na Alexa poirytowany Goldbaum. - Najpierw mnie poganiaasz, a potem, kiedy mam coś dla ciebie, znikasz i nie mó...

- Byłem zajęty. Co masz?

- Ledforda.

- Co?

- To znaczy, nie jego osobiście, ale udało nam się potwierdzić jego powiązania z Krakowem. Mój człowiek, Nesmith, śledził Krakowa do apartamentu podnajętego w Paryżu przez Daniela Bledswortha. Kiedy dotarł do mnie raport Nesmitha, kazałem mu sprawdzić Bledswortha. - Zrobił pauzę. - Opis Bledswortha zgadza się z opisem Ledforda.

- Chryste, on wciąż tam jest!

- Wyprowadził się dwa dni po spotkaniu z Krakowem, ale udało nam się ustalić, dokąd stamtąd telefonował przez ostatnie trzy tygodnie. To cię będzie kosztować.

- Nieważne. Dzwonił do Stambułu?

- Kilka razy. Zawsze pod ten sam numer. Nie udało mi się go ustalić. Będziesz musiał sam to sprawdzić. W urzędzie telekomunikacyjnym w Stambule zupełnie nie są wrażliwi na łapówki. Nie mogłem nawet dostać twojego numeru telefonu.

- Daj mi ten numer. - Alex chwycił długopis i kartkę. - Co jeszcze? Gdzie jeszcze dzwonił?

- Telefon w holu pensjonatu w Paryżu. Wciąż sprawdzamy lokatorów. Inny numer w Hawrze. - Goldbaum zamilkł na chwilę. - Należy do biura Linii Oceanicznych „White Star”.

Ich statki pływają pod banderą Liberii, a Daniel Bledsworth znajduje się na liście głównych akcjonariuszy. Statek wypłynął z Hawru w tym samym dniu, kiedy Ledford wyprowadził się z apartamentu w Paryżu.

- Zdaje się, że człowiek Kemala na lotnisku może już odpocząć - wymamrotał Alex. - Jak się nazywa statek?

- „Argosy”.

- To statek pasażerski?

- Jak dotąd, wyłącznie frachtowiec.

- Masz opis, parametry, numer rejestracyjny, tonaż, i tak dalej?

- Będę miał.

- Byle szybko. Skoro Ledford wyjechał z Paryża tydzień temu, może już tu być.

- To zależy od trasy - stwierdził Goldbaum. - Może po drodze zawinąć do jakiegoś portu i zmienić nazwę statku.

- Możliwe. - Alex otworzył księgę i przesunął palcem wzdłuż kolumny zapisów. - Mam tu parę nazw i chciałbym, żeby twój komputer podał mi informacje. Chcę wiedzieć, co to jest i do czego się tego używa. Mam tu nazwę *blackdamp* ze znakiem zapytania. Tuż pod spodem widnieje *Sodium V*.

- „V” czy „C”?

- „V”.

- Przeliteruj *blackdamp*.

Alex przeliterował nazwę i zamknął księgę.

- Zadzwoń do mnie jak najszybciej.

- Czy tym razem podasz mi swój numer telefonu, czy będę musiał skorzystać z telepatii? - zapytał sarkastycznie Goldbaum.

Alex podał mu numer i odłożył słuchawkę.

- Jesteś niezwykle podniecony. - Caitlin przyglądała mu się uważnie.

- Nastąpił przełom - rzekł Alex. - Nie sądziłem, że to będzie możliwe, ale to prawda. Ledford prawdopodobnie płynie tu statkiem.

- Jakim statkiem?

- „Argosy”. Nazwa, która z pewnością potwierdza niezwykle zainteresowanie Ledforda antykami.

- Co robimy w takim razie?

- Powiedz Kemalowi, żeby sprawdził statki w porcie. Spróbuj znaleźć nazwisko i adres człowieka, do którego należy

numer telefonu, pod który dzwonił Ledford, tak żebyśmy mogli tam na niego poczekać, kiedy wejdzie w drzwi. Dopadniemy go, Caitlin.

- Naprawdę?

Alex przyjrzał się jej uważnie.

- Powinnaś być tak samo podniecona jak ja. Co ci jest?

- Nie wiem. - Próbowwała się uśmiechnąć. - Wydaje mi się, że Ledford urósł w mojej wyobraźni do rozmiarów złego supermena.

- Jest przebiegły i złośliwy, ale to tylko człowiek. Możemy go pokonać.

Wzdrygnęła się.

- Tak sądzisz? Co sprawia, że człowiek taki jak Ledford staje się tym, kim jest?

Czuł, że pragnie, by pomógł jej zrozumieć motywy postępowania Ledforda.

- Nie wiem. Podobno miał normalne dzieciństwo. Jest synem urzędnika z małego miasteczka w stanie Iowa. Pamiętam, że dzwonił do matki na urodziny.

- Coś musiało sprawić, że stał się takim potworem. Co ty mu zrobiłaś, że tak mu zależy, żeby nas zniszczyć?

- Chciał zająć stanowisko McMillana, oczywiście z możliwością dalszego awansu. Kiedy opuściłem agencję, stracił pracę, ponieważ dopuścił do tego, że odkryłem, co się zdarzyło w Afganistanie.

Spojrzała na niego pytająco.

- Dano mi do rozwiązania problem lokalizacyjny. Było to zupełnie wyrwane z kontekstu. Po prostu otrzymałem dane liczbowe, różne warianty i współrzędne geograficzne terenu. Chcieli wiedzieć, gdzie i kiedy może przedostać się pewna jednostka wojskowa. To była łatwa zagadka. Nie miałem problemu z rozwiązaniem. - Uśmiechnął się gorzko. - McMillan sprzedał tę informację KGB. Ta „jednostka wojskowa” to był przywódca rebeliantów wyprowadzający z wioski ludność cywilną poza strefę wojenną przez granicę z Pakistanem. Spotkała ich rzeź.

- To nie twoja wina. Przecież nie wiedziałaś.

- Mimo to nie mogłem spać spokojnie, kiedy Pavel powiedział mi, co się stało. To ja rozwiązałem tę zagadkę. - Wstał i pociągnął ją za rękę. - Mamy za sobą męczący dzień. Może położymy się już spać?

- Jeszcze nie. Nie będę mogła zasnąć, myśląc o Ledfordzie. Jeszcze raz obejrzę hologram. Idziesz ze mną?

Musiała być równie zmęczona jak on po tych burzliwych dwudziestu czterech godzinach, jednak wciąż miała chęć działania. Taką pamiętał ją z Vasaro - mężnie znoszącą przeciwności losu i pełną życia. Zalała go fala czułości.

Objął ją w pasie.

- Idę.

Tej nocy wszystko się wyjaśniło.

- Jesteś tego pewien?

Alex spojrział na skomplikowaną kombinację cyfr na wydruku i uśmiechnął się.

- Idę o zakład.

- Podstawa da się otworzyć?

- Jak Sezam.

Caitlin zaśmiała się cicho.

- To jaskinia Ali Baby.

- Jest w tym pewna zbieżność. Jak powiedział Andros Paradygnesowi, lud Szardana miał skarby większe niż starzec mógł sobie wyobrazić.

Caitlin wpatrywała się w szmaragdowe oczy na obrazie holograficznym.

- Ale nie będziemy wiedzieli jakie, dopóki nie zdobędziemy prawdziwej statuetki. Musimy odzyskać Tańczącego na Wietrze.

- Już niedługo. Jesteśmy coraz bliżej celu.

Co mam robić, żeby przytrzymać cię w łóżku? Przecież tam jest okropnie zimno. - Alex zawiązał pasek kosmatego szlafrocka i podszedł ścieżką do ławki, na której siedziała Caitlin. - Nie wiesz, że jest prawie trzecia rano?

- Nie jest mi zimno. Nie mogę zasnąć.

- Przez Ledforda? Czy z powodu Tańczącego na Wietrze?

- Nie, myślałam o tych dzieciach. - Biały sztruksowy szlafrok Caitlin wydawał się srebrzysty w świetle księżyca, a jej szczupła sylwetka sprawiała wrażenie kruchej jak łądyga wysokiej lilii. - Miałam tyle szczęścia, Alex. Całe życie trochę użalałam się nad sobą, bo nie wszystko układało się tak, jak sobie wyobrażałam, ale teraz widzę, co miałam.

- Vasaro.

- Tak. - Po chwili dodała cicho: -I Tańczącego na Wietrze. Vasaro to było coś rzeczywistego, a Tańczący na Wietrze był marzeniem. Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, zawsze pozostaną mi te wspomnienia. A jakie wspomnienia będą miały te dzieci?

- Będą musiały stworzyć sobie nowe, lepsze wspomnienia.

- To nie to samo. - W zamyśleniu wpatrzyła się w ziemię. - Myślisz, że Chelsea uda się przekonać ludzi z opieki społecznej, żeby pozwolili tym dzieciom przyjechać na jakiś czas do Vasaro? W pracy na polach kwiatowych jest coś uzdrawiającego... - Pospiesznie dodała: - Och, oczywiście nie od razu. Może w przyszłym roku, kiedy usuniemy gruz i znowu zaczniemy hodowlę.

Zesztywniał.

- A zaczniemy?

- Oczywiście. - Ześliznęła się z ławki i przyklękła, biorąc garść ziemi. - Popatrz na ten piasek. Aż się nie chce wierzyć, że rosną tu jakieś kwiaty. Przypomnij mi, żebym zapytała Kemala, gdzie można kupić dobrą ziemię.

- Dobrze. - Delikatnym gestem odgarnął loki z jej twarzy. - Oczywiście nie będzie tak dobra jak ziemia w Vasaro.

- Nic nie jest tak dobre. - Mocno zacisnęła powieki. - Chcę już jechać do domu, Alex. Chcę, żeby to się skończyło i żebym mogła pojechać do domu.

- Jesteś gotowa stawić czoło temu wszystkiemu?

- To jest mój dom, to Vasaro. Chcę, żeby ożyło.

- Dokażemy tego.

- Miałaś rację mówiąc, że myślę o Vasaro jak o czymś powierzonym mi w depozyt. Myślę, że tak bardzo pochłaniał mnie pamiętnik Catherine, że zaczęłam myśleć, iż przeszłość musiała być bogatsza, lepsza. - Otworzyła oczy, które rozbłyły wilgocią w świetle księżyca. - Ale może Catherine i Juliette to samo myślały o Sanchii, a Sanchia o Androsie. To jest jak łańcuch, który ciągnie się przez wieki, a my dołączamy doń nasze ogniwa.

- I będą to mocne, jasne ogniwa. - Odchrząknął, chcąc pozbyć się uczucia ściskania w gardle. - Ale na razie, muszę zaprowadzić cię do domu, zanim zamarzniesz. - Pomógł jej wstać i delikatnie pocałował w koniuszek nosa. - Może jutro zatelefonowałabyś do Jacquesa?

- Jeszcze nie. Niech najpierw to się skończy. Chcę trzymać

Vasaro z dala od wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Ledfordem.

- Dobrze, w takim razie zaczekamy. Tak czy owak, to już niedługo.

Żaden statek o tej nazwie ani odpowiadający temu opisowi nie wpłynął do portu w Stambule w zeszłym tygodniu - oznajmił Kemal. - Jesteś pewien, że masz dobre informacje?

Alex zmarszczył czoło.

- Tak. Ledford musi już tu być. Konferencja odbędzie się za trzy dni, a Krakow przyleciał do Stambułu wczoraj wieczorem. Sprawdziłeś ten numer telefonu, pod który Ledford dzwonił do Stambułu?

Kemal pokręcił głową.

- Goldbaum miał rację. W urzędzie telekomunikacyjnym za nic nie chcą podać informacji na temat zastrzeżonych numerów. Pracuję nad tym.

- Psiakrew!

- Czy Goldbaum dzwonił już ponownie z informacją o tym numerze, pod który telefonował Ledford tuż przed wyjazdem z Paryża?

- Nie. Telefon znajduje się w holu małego pensjonatu przy placu Pigalle. Według Goldbauma, przychodzą tam głównie prostytutki i ich klienci.

- Nie wiesz, z kim starał się skontaktować?

Alex pokręcił głową.

- Nie mam nic pewnego. Dwa dni temu jedna z prostytutek, Jeanne-Marie Neunier, została znaleziona martwa, z licznymi ranami kłutymi, w swoim pokoju, ale nie możemy znaleźć żadnego powiązania pomiędzy nią a Ledfordem.

Hans pełzł na kolanach wzdłuż wąskiego występu skalnego, pchając przed sobą plecak z plastycznym materiałem wybuchowym i zapalnikami zegarowymi.

Z trudem łapał oddech.

Ciemność wydawała się go przytłaczać. Zatrzymał się na chwilę, by odpocząć, próbując zwalczyć dławiący strach. Zawsze bał się ciemności. Z tej słabości zwierzył się jedynie Brianowi. Pamiętał, jak oczy tego skurwiela napełniły się wtedy krokodylimi łzami, jak pogładził Hansa po włosach i zapew-

nił, że nigdy już nie będzie samotny. Że razem będą zwalczać strach, jak ojciec i syn.

Tymczasem Hans znowu był sam w ciemności.

Już tylko niecały metr.

Dotarł do końca półki i starannie przykleił plastik pod belką. Nastawił zapalnik i zaczął się powoli wycofywać.

Nawet gdyby Brian natknął się na dwa inne ładunki, nigdy nie znajdzie tego, a każdy z nich miał moc wystarczającą, by Brian i jego skarby przenieśli się na tamten świat.

Boże, tak chciałby móc zapalić latarkę. Czemu miałyby tego nie zrobić? Kryjówka sprawiała wrażenie opuszczonej, kiedy wchodził...

Nie, to nie było bezpieczne. Nie mógł ryzykować niepowodzenia teraz, kiedy niemal już dopadł sukinsyna. Musiał tylko wydostać się z ciemności, wejść na płaskowyż i zostawić podobną paczkę-niespodziankę dla Krakowa. Potem ukryje się wśród drzew i spokojnie będzie obserwował show.

Pięć minut później zeskoczył z prawie dwumetrowej półki i wylądował w półprzysiadzie.

Gwałtownie zacerpnął tchu, czując potworny ból w prześzytym kulem boku. Stał przez chwilę, walcząc z bólem, z żółcią podchodzącą do gardła. Ból przeszedł w tępe ćmienie. Szybko pomknął przez ciemność w kierunku pasemka księżycowego światła w oddali.

Wypadł z czeluści. Chłodne nocne powietrze mile zaszczypało go w policzki. Nabrał powietrza w płuca, rozpiętało go uczucie triumfu. Z radością wyszeptał:

- Polecisz szybko, sukinsynu.

Dziesięć minut później wspinał się już stromym zboczem w kierunku płaskowyżu, walcząc o utrzymanie równowagi, gdy jego tenisówki ślizgały się na łupkowym podłożu.

- Hans?

Zesztywniał; powoli uniósł wzrok.

Tuż nad nim, na skraju płaskowyżu, stał Brian. Jego potężne ciało odcinało się jedynie konturami, twarz była dobrze widoczna w świetle księżyca. Usta miał ściągnięte, oczy przepięknie żalem.

- Co tu robisz, chłopcze?

Hansa ogarnęła dzika furia. Instynktownie rzucił się do przodu, sięgając po nóż.

Ból!

Jego głowa odskoczyła. Jakby plastik umieszczony w kryjówce eksplodował w jego mózgu.

Osunął się na kolana, otoczyła go ciemność.

- Mówiłem ci, żebyś nie zrobił mu krzywdy - Brian zwrócił się ostrym tonem do stojącego za Hansem mężczyzny. - Biedak przecierpiał już wystarczająco wiele. - Zaczął schodzić stromym zboczem ku Hansowi. - Ech, Hans, co myśmy ci zrobili?

Ciemność.

Kiedy Hans otworzył oczy, zobaczył nad sobą Briana delikatnie ocierającego jego skroń mokrą ściereczką. Uświadomił sobie, że nie jest już na dworze, lecz leży na składanym łóżku w kryjówce. Omiótł wzrokiem skrzynie i płótna pod ścianą i spojrzął na Tańczącego na Wietrze stojącego na stole po drugiej stronie pomieszczenia.

Miał ochotę walnąć drania tą statuetką.

Przeniósł wzrok na Briana.

- Skurwiel - wyszeptał.

Brian wdrygnął się.

- Wiem, że zasłużyłem sobie na te słowa. - Jego oczy zwilgotniały. - Nie chciałem tego zrobić. To Krakow zmusił mnie, żebym cię tak urządził. Za dużo wiedziałeś. Bał się, że zbyt niebezpiecznie jest mieć cię w pobliżu po tej sprawie ze Smythem.

- Zabiję cię.

- Od razu, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że masz zamiar podłożyć ładunek, żeby usunąć Krakowa. W twoim pakunku nie było wystarczającej ilości plastiku dla Krakowa i dla mnie. Jak chciałeś mnie wyeliminować? Nóż w plecy, Hans? Pamiętam, że dobrze radziłeś sobie z nożem.

Brian nie wie, że zdażyłem podłożyć ładunki w tunelu, dotarło do Hansa. Myślał, że złapał mnie, zanim zdażyłem dotrzeć do kryjówki.

Przepełniła go dzika radość. Umrze, ale Brian umrze razem z nim.

- Może parę kul w bebechy, tak jak zrobiłeś ze mną.

- Mówiłem ci, że nie mogłem tego uniknąć. - Brian delikatnie odsunął złoty lok z czoła Hansa. - Wyglądasz jak wystrzyżona owca. Co się stało z twoimi pięknymi włosami?

Hans szarpnął głowę w bok i popatrzył na niego w milczeniu.

Brian cofnął rękę.

- Nienawidzisz mnie. Jak mogę cię za to winić? Ale mówię ci, to przez Krakowa. Boże, nienawidzę go za to, że zmusił mnie do wyrządzenia ci krzywdy.

- Akurat.

- To prawda. Jak mam cię o tym przekonać? Jesteś dla mnie jak syn. - Brian ze smutkiem pokręcił głową. - Powstrzymałem się, chociaż mogłem cię zabić na tym zboczu. Czy to niczego nie dowodzi?

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo mi na tobie zależy.

Hans prychnął gniewnie.

- Szukałem cię po całym Paryżu.

- Żeby dokończyć robotę?

- Żeby naprawić krzywdę. I teraz będę mógł to zrobić. Uciekniemy razem. Pamiętasz nasze wspólne plany? Wszystko będzie tak jak dawniej.

Brian najwyraźniej uważa, że ponownie uda mu się mnie nabrać, pomyślał ze zdumieniem Hans. Po tym, co zrobił!

Lecz Brian widocznie czegoś chciał. Jeśli Hans dobrze to rozegra, może uda mu się uratować własną głowę.

Przymknął powieki.

- A co z Krakowem?

- Wiesz, że nigdy nie wierzyłem, że ten bufon dokona tego, co zamierza. Zabierzemy łupy i odpłyniemy do Ameryki Południowej. - Brian zamilkł na chwilę. - Oczywiście Kraków będzie się temu sprzeciwiał. Może mi być potrzebna twoja pomoc. Powinno ci to sprawić dużą przyjemność. Jakby nie było, to ten sukinsyn jest wszystkiemu winien. Możesz skorzystać ze swojego plastiku, ale myślę, że muszę trochę podretuszować twój plan. Pozwól, że będę tym kierował.

Teraz Hans miał już całkowitą jasność. Brian również chciał wyeliminować Krakowa, ale wolał, żeby tę brudną robotę wykonał za niego Hans.

- Pozwól mi udowodnić, jak bardzo żałuję, że wyrządziłem ci krzywdę - powiedział przymilnym tonem Brian. - Proszę cię tylko, abyś dał mi szansę.

Szansę wykorzystania go i ponownego wpakowania mu paru kul. Hans czuł, jak wzbiera w nim potworna wściekłość i nienawiść, lecz stłumił te uczucia. Tym razem to on wykorzy-

sta Briana. Pozwoli mu zastawić pułapkę na Krakowa, a potem będzie patrzył, jak Ledford i jego cenne rzeźby i malowidła rozlecą się na miliony krwawych kawałków.

Twarz Ledforda wyrażała jedynie łagodność i czułość, gdy dotykał ramienia Hansa.

- Pozwolisz mi wynagrodzić to sobie?

Tym razem Hans zmusił się do tego, by nie usuwać się spod dotyku Briana.

- Nie wiem, czy będę w stanie.

- Ale się postarasz?

Hans uniósł powieki, spojrzął prosto w oczy Briana i obdarzył go słodkim uśmiechem.

- Postaram się, Brian.

19

Goldbaum zatelefonował do Alexa o dziesiątej następnego ranka.

- *Blackdamp* to nie produkt chemiczny, to szkodliwy gaz występujący w kopalniach. Pewnie dlatego za tym wyrazem był znak zapytania.

- A Sodium V?

- Odpowiedź na znak zapytania. *Blackdamp* to powietrze, w którym ogień nie będzie się palić z powodu nadmiaru dwutlenku węgla. *Sodium V* - to prawdopodobnie oznaczenie lampy sodowej. Górnicy używają czasem hermetycznych lamp sodowych, żeby uniknąć jaskrawego światła i zapobiec wybuchowi podziemnych gazów.

- Górnicy. - Alex wyprostował się w fotelu. - Mój Boże!

- Coś ci świta?

Alex odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę Caitlin.

- Jestem kretynem. Byłem tak zaintrygowany tym domem Ledforda, że zupełnie nie przyszło mi to do głowy.

- Co?

- Nie mogłem zrozumieć, dlaczego coś nie daje mi spokoju, kiedy Goldbaum powiedział mi o podróży Ledforda do Turcji. Powiedział, że Ledford odwiedził kilka miejscowości nad cieśniną Dardanele, pojechał do Stambułu i nabył tam dom na ulicy Kindżałów. Zająłem się domem. Powinienem był się domyślić... Truve. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Troja.

Po opuszczeniu nadmorskiego miasteczka Canakkale jechali wzdłuż wybrzeża przez piękne, żyzne okolice, mijając małe hoteliki, plaże i pola namiotowe. Po około dwudziestu

pięciu kilometrach przy szosie znajdował się drogowskaz z napisem: Truve 5 km. Skręcili w boczną drogę.

- Myślisz, że Ledford ukrył łupy w samej Troi?

Alex pokręcił głową.

- W tunelu.

Oczy Caitlin zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Tunelu Androsa?

- Pamiętam, że Ledford ciągle mówił o książce Lily Andreas i legendach dotyczących Tańczącego na Wietrze. Książka nie omawia szczegółowo samej legendy, ale jest w niej wspomniane, że Andros wydostał się z Troi tunelem, który prowadził na wzgórze znajdujące się w pewnej odległości od miasta.

- I myślisz, że Ledford znalazł ten tunel?

Alex skinął głową.

- Wszystko pasuje. Raz, że miał obsesję na punkcie Tańczącego na Wietrze, a dwa - zamówił specjalne lampy, które mogą być używane pod ziemią. Sądzę, że przyjechał tutaj, odkrył tunel i pomyślał, że byłaby to doskonała kryjówka na skradzione dzieła sztuki. Myślę, że Ledford przekonał Krakowa, że końcowa rozgrywka powinna mieć miejsce w Turcji. Potem, zamiast w Stambule, Ledford założył główną kwaterę tutaj, na wybrzeżu. To tylko półtorej godziny drogi ze Stambułu, a Troja leży blisko portu w Canakkale. To był kolejny plus, bo prawdopodobnie łatwiej im było przewieźć dzieła sztuki z Europy drogą morską niż powietrzną.

- W takim razie „Argosy” kotwiczy gdzieś na tym wybrzeżu, a nie w Stambule.

- Założę się, że tak jest. Zdaje się, że dojechaliśmy do Troi.

Caitlin wyprostowała się. Ogarnęło ją podniecenie. Program studiów na Sorbonie obejmował historię Troi. Było tu dziewięć warstw osadniczych, lecz niewiele wiedziano na temat istniejących tu ongiś miast. Pierwsza, najniższa warstwa, zwana Troją I, zawierała resztki osady istniejącej w latach 3000-2500 p. n. e. Troja VIIA, zburzona około 1200 roku p. n. e., to prawdopodobnie Troja Homera, lecz były to tylko domniemania. Troja była obecnie równie tajemnicza i owiana legendą, jak wtedy, gdy przybył tu Aleksander Wielki.

Była rozczarowana.

Na wzgórzu Hisarlik, wśród zwałów ziemi i kamieni zachowały się jedynie fragmenty fortyfikacji wychodzące na płaską

równinę prowadzącą ku turkusowym wodom Morza Egejskiego. Przed wejściem stały zaparkowane dwa autokary turystyczne, a gromadka dzieci w wieku szkolnym gramoliła się po schodach ku brzuchowi olbrzymiej drewnianej kopii legendarnego konia trojańskiego. Z tej odległości dachowate zwieńczenie grzbietu konia wyglądało jak domek dla lalek, zaś sam ogromny koń wydawał się żałosny. Wśród tych ruin niewiele pozostało śladów po wielkim grodzie Homera.

Caitlin odwróciła się do Alexa.

- Byłeś tu już kiedyś?

Pokręcił głową.

- Słyszałem, że można przeżyć rozczarowanie. Czasami lepiej jest poprzestać na wyobrażeniach i uniknąć rzeczywistości. - Wskazał rysujące się w oddali wzgórze. - Chcesz rzucić monetę, żeby dowiedzieć się, w którym stogu siana znajduje się igła?

- Albo gdzie znajduje się stóg siana - dodała Caitlin. - Myślę, że zacznijmy szukać z nadzieją, że dopisze nam szczęście. Podobno gdzieś obok wejścia znajdowała się trójkątna szara skała.

- I mogła rozsypać się przez tyle wieków. Czy jest wzmianka o tej skale w książce Lily Andreas?

Caitlin skinęła głową.

- W takim razie to jest punkt orientacyjny, którego szukamy. Jeśli Ledfordowi udało się znaleźć tunel, musiał mieć jakąś wskazówkę.

- „Jeśli” to kluczowe słowo.

Alex ruszył i skierował dżipa na południe ku wzgórzom.

Nie dopisało im szczęście.

Przez pozostałą część dnia przedzierali się dżipem przez gęste zarośla i wytrzęśli się na wyboistych drogach, lecz nie zauważyli ani trójkątnej skały, ani niczego, co mogłoby stanowić wskazówkę, gdzie znajduje się wejście do tunelu. W końcu, kiedy było już za ciemno, żeby coś widzieć, zaniechali poszukiwań i wrócili do Stambułu.

Wszedłszy do domu, zastali wylegującego się na sofie Kemala. Wokół sofy poniewierały się wydruki komputerowe, z których treścią się zapoznawał.

- Jak myślisz, Alex, czy ta konfiguracja sprawi, że będzie można otworzyć statuetkę?

- To możliwe.

- Hmm, interesujące. Nie rewelacyjne, ale z pewnością interesujące. - Jego uśmiech zbladł, gdy spojrzął na Caitlin. - Musisz być bardzo zmęczona. Znaleźliście coś?

- Sosny, błoto, skały i muchy - wyliczyła Caitlin.

- Niedobrze.

- Spodziewałem się, że mamy niewielkie szanse - rzekł Alex. - Najbliższym portem jest Canakkale. Wrócimy tam jutro i pokręcimy się trochę, żeby zobaczyć czy nie znajdziemy jakiegoś śladu „Argosy” i zadać parę pytań w hotelach. Ledford lubi komfort. Nie sądzę, żeby zamieszkał gdzieś pod ziemią. - Zadzwoił telefon. - To pewnie Goldbaum. Mam nadzieję, że coś ma. - Goldbaum?

- Co za Goldbaum?

Alexowi serce podskoczyło do gardła.

- Ledford.

Kemal wymamrotał coś pod nosem. Caitlin podeszła bliżej.

- Dawno cię nie słyszałem, Alex. No, może nie było to tak dawno, ale zdążyłem się już za tobą stęsknić. Tak jest zawsze, kiedy rozstają się dobrzy przyjaciele, nie uważasz? Słyszałem, że wciąż kręci się koło ciebie ta dziwka z Vasaro. To wielki błąd, Alex - upomniał go z wyrzutem. - Myślałem, że zrozumiałeś, jak bardzo denerwuje mnie jej obecność.

- Skąd wiesz, że tutaj jest?

- Byliście dzisiaj widziani razem. Truve to takie miłe miejsce, prawda? Czuje się tam powiew historii... - Ledford zawiesił głos, po czym powiedział: - Nie spodziewałem się, że zainteresujesz się moją kryjówką, dopóki nie będę czekał tam na ciebie, ale zawsze udawało ci się mnie zaskoczyć. Zresztą to nieważne, i tak nie udało ci się nic znaleźć, a teraz nie ma już czasu, żebyś zdążył mi przeszkodzić. Czas ucieka, Alex.

Alex zignorował tę uwagę.

- Gdzie jesteś?

- O mały włos nie wjechaliście dziś na mnie, trzęsąc się w tym dżipie. Chyba ucieszy cię wiadomość, że postanowiłem nagrodzić twój spryt kolejną informacją. - Urwał. - Akcja nie odbędzie się w pałacu.

- Jaka akcja?

- Nie zgrywaj durnia, Alex. To mnie irytuje. Jestem pe-

wien, że domyśliłeś się już, że delegacja brytyjska musi zostać usunięta ze sceny.

- Ale z jakiej niby sceny ma zostać usunięta?

- Chcesz za dużo wiedzieć. Sam dojdź do tego. - Zachichotał. - Jeśli tak się stanie, nie minie cię nagroda.

- Jaka nagroda?

- Zabiję tę dziwkę z Vasaro szybko, zamiast nie spiesząc się. A istnieje ważny powód, żeby ją zabić. - Zniżył głos do intymnego szeptu: - Widzisz, zaczyna się odliczanie. Będziesz musiał podjąć niezwykle istotną decyzję, a myślę, że będziesz jaśniej myślał, jeśli ona nie będzie ci zawadzać. - Urwał. - To wszystko jest bardzo podniecające, nie sądzisz?

- Dla kogoś twojego pokroju. Zasłużyłeś na to, by marnie zginąć.

- Okłamujesz siebie i starasz się okłamać mnie. Cieszysz się na nasze porozumienie tak samo jak ja. A wiesz dlaczego?

- Jestem pewien, że mi to wyjaśnisz.

- Bo jesteśmy do siebie podobni. Powiedziałem ci kiedyś, że jesteś średniowiecznym rycerzem i człowiekiem renesansu w jednej osobie. Pomyśl, kto zdominował renesans, Alex. Książęta ciemności, Borgia i Medyceusz - mówił niemal pieśzczośliwym tonem. - Od pierwszej chwili, kiedy cię poznałem, wiedziałem, że jesteś księciem ciemności. To dlatego wydałeś mi się tak interesujący. Tylko ta twoja godna ubolewania rycerskość nie pozwala ci rozblęsnąć w pełni. Porzuć to, Alex.

- Spadaj.

Ledford westchnął.

- Jeszcze nie jesteś gotów? No dobrze, już długo czekam na tę chwilę, Alex. Mogę jeszcze trochę poczekać.

Ledford przerwał połączenie.

Alex z trzaskiem rzucił słuchawkę.

Kemal spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- To się nie stanie w pałacu. Musimy zawiadomić Jonathana.

- Jak możesz wierzyć Ledfordowi? - zdziwiła się Caitlin.

- Chciał, żebym poznał plan Krakowa. Niepokoiło go, że kręciliśmy się w pobliżu Troi, ale nie dba o to, czy będziemy wiedzieli o próbie zamachu, czy nie.

- Czemu? - zapytał Kemal.

Alex zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Chce wywieść Krakowa w pole?
- Możliwe. - Kemal skinął głową. - Ale jak myślisz, przed czy po zamachu?
- Nie wiem. Nie ma to znaczenia dla Ledforda. - Odwrócił się do Caitlin. - Przenosimy się do Hiltona. Pakuj się.
- Za chwilę. - Caitlin wciąż wpatrywała się w telefon. - Alex... skąd on miał nasz numer telefonu?
- Dlatego właśnie się przenosimy. Telefon jest wciąż zarejestrowany na nazwisko właściciela domu. Goldbaum nie mógł odszukać naszego numeru telefonu, a Ledford go zna. - Alex zwrócił się do Kemala. - Chcę, żeby do czasu zakończenia konferencji Caitlin towarzyszyło dwóch ochroniarzy. Możesz to załatwić?
- Nie ma sprawy. Mam wielu znajomych, którzy są zarówno zręczni w swoim fachu, jak i szpetni. - Po chwili dodał poważnym tonem: - Nie zawiodę cię drugi raz, Alex. Obiecuję, że Caitlin nie spadnie włos z głowy.

Następnego ranka Alex zostawił śpiącą Caitlin w apartamencie w Hiltonie i poszedł do Jonathana zamieszkałego na drugim piętrze.

- Niech to szlag trafi, Jonathan, w ambasadzie cię okłamałi - zaczął bez wstępów. - Skoro do zamachu ma dojść poza pałacem, to ich wszystkie przygotowania i środki bezpieczeństwa są oszustwem.

- Albo Ledford okłamał cię tak jak przedtem. - Jonathan usiadł w fotelu i rozprostował nogi. - Sam mówiłeś, że on jest nieźrównoważony.

- Tym razem nie kłamał. Dobrze go znam.

- Dobrze, załóżmy, że powiedział ci prawdę. W takim razie w ambasadzie albo o tym nie wiedzą, albo nie dają się nakłonić do powiedzenia, gdzie odbędzie się konferencja.

- I kiedy.

- Jak to? - zdziwił się Jonathan. - Przecież to jest ustalone. Pojutrze o trzeciej po południu.

- Tak tylko donoszą wszystkie gazety na świecie - powiedział Alex. - Lecz jeśli zmienione zostało miejsce spotkania, dlaczego czas miałby pozostać ten sam? Dlaczego Krakow nie miałby zasugerować odbycia tajnego posiedzenia w zupełnie innym miejscu i o innej porze, by zapewnić uczestnikom bez-

pieczeństwo? - Pokręcił głową. - Niczego nie możemy być pewni.

Jonathan wstał.

- W takim razie chodźmy do ambasady i zobaczmy, czy uda nam się czegoś dowiedzieć.

Alex ruszył do drzwi.

- To wydaje się rozsądne jak na pierwszy ruch w tej partii.

- Zabierzesz Caitlin do ambasady?

- Nie.

- Nie będzie z tego zadowolona.

- Trudno. - Widząc, że Jonathan przypatruje mu się uważnie, dodał gwałtownie: - Do diabła, McMillan powiedział jej, że to ona jest celem. I miał rację. Jest dużo bezpieczniejsza w hotelu. Mam ją ciągać po całym Stambule i... - Urwał, jego oczy zaokrągliły się pod wpływem myśli, która nagle przyszła mu do głowy. - Chryste!

Jonathan uniósł brwi, zaskoczony.

Alex pokręcił głową.

- To może być bez znaczenia. To nie ma sensu. Będę musiał to przemyśleć - mówił drewnianym głosem. - Chodźmy.

Kim są ci ponuracy stojący na czatach na korytarzu? - zapytała Chelsea, gdy Caitlin otworzyła drzwi.

- To ochroniarze wybrani przez Kemala. Ten z bliźną ma na imię Ali, a ten drugi, trupio blady - Hamad. A może odwrotnie. - Caitlin skrzywiła się. - Myślę, że w ciemnej uliczce wolałabym już spotkać Ledforda niż któregoś z nich.

- Po tym, co stało się w Vasaro, jakoś w to wątpię. - Chelsea weszła do apartamentu i zamknęła drzwi. - Jonathan zadzwonił do mnie i powiedział, że tu jesteś. Mam ci powtórzyć, że on i Alex pojechali do ambasady i że Alex zadzwoni do ciebie później.

Caitlin zmarszczyła czoło.

- Dlaczego Alex nie wziął mnie z sobą?

- Alex przewidział, że będziesz wściekła. - Chelsea zachichotała. - Ale powiedział, żeby ci przekazać, że udaje się do ambasady w celu zdobycia informacji, a nie po to, by ją zająć, a ty masz nie wyściubiać nosa z hotelu. - Chelsea podeszła do stojącego na biurku telefonu. - Dopiero co wróciłam z domu opieki społecznej i nie jadłam jeszcze śniadania. Zamówić coś dla ciebie?

- Kawę. - Caitlin opadła na wyplatany fotel koło biurka. - Jak się czują dzieci?

- Nieźle. - Chelsea zmarszczyła czoło. - Właściwie to tylko po Melis znać te straszne przejścia. Dzisiaj była bardzo nerwowa. Myślę, że Kemal powinien ponownie ją odwiedzić.

- Ponownie?

- Przełożona pielęgniarek powiedziała mi, że odwiedził ją wczoraj późnym wieczorem.

Caitlin ogarnęła falą wdzięczności na myśl o szczerym z troskaniu Kemala losem dzieci i przejętym wyrazie jego twarzy, kiedy Chelsea wyprowadzała Melis z domu.

- To mnie nie zaskoczyło. Widziałam, jak się o nią niepokoił, kiedy opuszczała nasz dom.

Chelsea nacisnęła klawisze telefonu, by zamówić śniadanie.

- Przełożona powiedziała, że ta wizyta miała zbawienny wpływ na Melis. Była potem pogodna i po wyjściu Kemala bez kłopotu zasnęła.

- To dobrze.

- Gdzie jest Kemal?

Caitlin pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Wszedł stąd, gdy tylko przedstawił tych goryli z korytarza. Powiedział, że będzie tu wpaadał.

Mówiłem ci, że niczego nie wiedzą - powiedział Jonathan wychodząc z gabinetu sekretarza ambasady do *foyer*, gdzie czekał Alex. - Simons o mało nie dostał zawału, kiedy wspomniałem o możliwości tajnego posiedzenia.

- Ktoś musi to wiedzieć. - Alex zmarszczył czoło. - Znasz jakiegoś współpracownika Cartwright?

Jonathan zastanowił się.

- Nie, ale znam Phillipa Peabody, szefa Scotland Yardu. Może będzie mógł z kimś mnie skontaktować. - Jonathan skierował się w stronę małego saloniku obok westybuli. - Zatelefonuję stąd. Pewnie i tak oddzwonią do was później do hotelu, ale przynajmniej będą mogli zacząć działać.

- W takim razie bierzmy się do dzieła. - Alex wszedł za Jonathanem do niewielkiej salki. - Na litość boską, zróbmy wreszcie właściwy krok. - Widząc zdumienie we wzroku Jo-

nathana, usprawiedliwił się: - Przepraszam, chyba jestem na skraju wyczerpania nerwowego.

Nerwowość opanowała go, kiedy pomyślał o tym dziwnym powiązaniu. Odkąd wyszli z hotelu starannie unikał wnikliwego rozważenia tej możliwości, próbował ją zignorować. Dlaczego?

Powoli usiadł w skórzanym fotelu, nieobecny wzrokiem patrząc, jak Jonathan podnosi słuchawkę i wybiera numer. Starał się nie słyszeć głosu Jonathana, rozmawiającego ze Scotland Yardem, chciał zapomnieć na chwilę o swoim lęku o Caitlin, o nienawiści do Ledforda i dziwnej niechęci do próby złożenia tej części układanki. Uczucia zawsze przeszkadzały w rozwiązywaniu łamigłówek, a nie mógł teraz pozwolić sobie na to, by nim władały. Zamknął oczy i zaczął chłodno badać kolejne strzępki informacji.

Musicie się stąd wyprowadzić!

Chelsea i Caitlin spojrzały z zaskoczeniem na Kemala, który wpadł do apartamentu jak burza. Jego gęste, ciemne kędziory były rozwichrzone, wargi zaciśnięte w ponurą kreskę. - Nie jesteś tu już bezpieczna, Caitlin.

Caitlin poczuła, jak ciarki wędrują jej wzdłuż kręgosłupa.

- Co się stało? Ledford?

- Tak. Ali rozpoznał jednego z ludzi Ledforda w przebraniu kelnera. - Kemal pomógł Caitlin wstać. - Gdzie jest Alex?

- Poszedł do ambasady.

- Niedobrze. Będziesz musiała zostawić mu wiadomość. Powiadom go, że idziemy do mnie na ulicę Turbanów.

- Ja to zrobię. - Chelsea przeszła przez salonik do biurka i wyjęła hotelową papeterię z szuflady biurka. Szybko napisała na kartce parę linijek. - Jaki tam jest numer?

- On wie, gdzie to jest. Wstąpiliśmy tam kiedyś po moją gitarę. Nie chcę zostawiać tu dokładniejszej informacji. - Kemal złapał Caitlin za nadgarstek i pociągnął do drzwi. - Niech pani wraca do swojego apartamentu, pani Benedict. Tutaj nie jest bezpiecznie także i dla pani.

- A jak macie zamiar dojechać do pańskiego domu? - zapytała z sarkazmem Chelsea. - Nie ma pan samochodu. Czy chce pan zawieźć ją tam na ramie roweru, czy zamówi pan taksówkę, która może być podstawiona?

Kemal zmarszczył brwi.

- Wypożyczę samochód.

- Dobry pomysł. - Chelsea podniosła słuchawkę. - Zadzwo-
nię do recepcji i poproszę, żeby samochód czekał na nas
przed wejściem.

- Na nas? - Caitlin pokręciła głową. - To ciebie nie dotyczy,
Chelsea.

- Ona ma rację - poparł ją Kemal. - Nie powinna pani
ryzykować.

Chelsea zacisnęła wargi.

- Ledford i jego bandyci bardzo żywo mnie dotyczą. 0 ma-
ły włos nie zabili mi córki. Marzę o tym, żeby dopaść drania.

- To mi się nie podoba - powiedział bezbarwnym głosem
Kemal.

- A mnie się nie podobało, że przez ostatnie dwadzieścia
cztery godziny miałam ramę twojego roweru odciśniętą na
tyłku - odgryzła się Chelsea. - Czasami musimy godzić się
z sytuacjami, które nam się nie podobają.

Alex otworzył oczy i gwałtownie wyprostował się w fotelu.

- Chryste!

- Co się stało? - zaniepokoił się Jonathan.

- Odłóż słuchawkę. - Alex zerwał się i przeszedł przez
salkę. - Muszę zadzwonić do McMillana.

Jonathan przerwał połączenie i wręczył słuchawkę Alexowi.

- A co z Peabodym?

Alex szybko wybrał numer McMillana w Quantico.

- Może nie będzie nam potrzebny.

Telefon odebrał Charles Barney i natychmiast połączył
Alexa z McMillanem.

- Czego znowu chcesz, Karazov? Zaczynam czuć...

Alex przerwał mu w pół zdania.

- Muszę zadać ci parę pytań. Poufnych pytań. Czy Barney
wciąż jest z tobą w biurze?

- Alex, co się...

- Jest?

- Tak.

- Wyślij go na spacer.

- Nie podoba mi się...

- Zrób to!

- Nie możesz rozkazywać... - Urwał i Alex usłyszał jego stłumiony głos, skierowany do kogoś w pomieszczeniu. Potem głos znów wyraźnie rozbrzmiał w słuchawce: - Daję ci dwie minuty, Karazov.

- Gdzie odbędzie się konferencja organizowana przez Krakowa?

Cisza.

- Skąd mam wiedzieć? Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych nie zostali zaproszeni.

- Ale ty wiesz, prawda? Przedstawiciele dwunastu krajów i ich służby bezpieczeństwa lądują w Stambule. Co za potworne zamieszanie. O ileż lepiej byłoby, gdyby zajęła się tym strona neutralna. Powiedz, czy twoje biuro zaoferowało koordynowanie wszystkich spraw związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa?

Kolejna cisza.

- Tak.

- Dlaczego?

- Barney pomy... pomyślałem, że to będzie dyplomatyczny gest, zapewniający nam przychyłość.

- Kiedy i gdzie?

- Nie twoja sprawa.

- Nie. Będzie twoja, kiedy Ledford wyśle na tamten świat połowę uczestników konferencji.

- To się nie zdarzy. Środki bezpieczeństwa są niezawodne.

Alex postanowił zmienić temat.

- Kto oprócz ciebie wiedział, gdzie zatrzymałem się w Paryżu?

- Człowiek, któremu poleciłem cię śledzić.

- A kto jeszcze wiedział, gdzie zamieszkałem w Stambule?

- Lekarz, którego do ciebie posłałem.

- I nikt więcej?

- Nikt.

- Mylisz się. Wiedział o tym Ledford. Wydało mi się to dziwne, skoro tylko w twoim biurze wiedziano, gdzie zatrzymałem się w Paryżu i Stambule. Powiedzmy, że w Paryżu mógł to być błąd, ale w Stambule to nie wchodziło w grę. Jednak Ledford i tutaj dowiedział się, jaki mam numer telefonu, mimo że był on zarejestrowany na inne nazwisko.

- Ledford został zwolniony z firmy wiele lat temu.

- Powiedział mi, że ma swoje źródła informacji.
- Myślisz, że to ja? - McMillan zaśmiał się krótko. - Mimo że cieszyłbym się, mogąc cię powiesić na suchej gałęzi, obawiamy, że nie możemy tego zrobić.
- Nie myślę, że to ty. - Alex milczał chwilę. - Myślę, że to Barney.
- Jesteś szalony - bezbarwnym głosem odparł McMillan.
- Czy to Barney zajmował się przygotowaniem do konferencji Krakowa?
- McMillan zawahał się.
- Sam się tym zajmowałem.
- Na litość boską, powiedz mi prawdę. Odkąd cię znam, nie splamiłeś się ciężką pracą. To Barney odwała całą robotę.
- W porządku, Barney się tym zajmował. Ale nie wolno ci myśleć, że...
- Gdzie?
- McMillan zawahał się, a potem cicho powiedział:
- W Troi. Krakow doszedł do wniosku, że Cartwright spodobą się, jeśli konferencja odbędzie się w miejscu o wielowiekowej tradycji. Chciał jej udowodnić, że ceni zabytki, mimo że chce zbudować nowy ład.
- Kiedy? - przerwał Alex.
- Dzisiaj o trzeciej. Delegaci państw spotkają się w Canakkale. Krakow zapewnił specjalny pancerny autobus, który przewiezie ich wszystkich do miasta. Będzie podstawiony o czternastej czterdzieści pięć.
- Sprawdziliście ten autobus?
- Zrobiły to bardzo dokładnie brytyjskie służby. Jest mocny jak czołg. Sprawdzą go ponownie, zanim pozwolą tam wejść uczestnikom. Żaden problem.
- A ruiny?
- Wczoraj o północy drogi dojazdowe zostały zamknięte. Na całym terenie aż roi się od żołnierzy i służb ochrony. Nie przecisnie się tam nikt, kto nie ma specjalnej przepustki.
- A jeśli już tam są?
- To niemożliwe. Zanim zablokowano drogę, dokładnie przeszukano teren w promieniu piętnastu kilometrów od ruin. Mówię ci, rozpracowaliśmy to wręcz drobiazgowo.
- A ja ci mówię, że przyjdą jak na gotowe. Barney jest człowiekiem Ledforda.

- Barney? - roześmiał się z niedowierzaniem McMillan. - Myślę, że jesteś... Co to było?

Alex też to usłyszał. Cichy odgłos odkładanej słuchawki innego telefonu.

Gwałtownie rzucił w słuchawkę:

- Uciekaj, McMillan. A potem powiadom brytyjskie służby. Zadzwoń i powiedz...

Dziwny odgłos na drugim końcu linii.

Stuk słuchawki McMillana, która wypadła z jego ręki na blat biurka.

- McMillan!

Słuchawka została odłożona i połączenie przerwane.

Zawsze rozpoznaby ten dziwny odgłos, zbyt często słyszał go w *Specnazie*: odgłos strzału z pistoletu z tłumikiem.

McMillan nie zadzwoni już do brytyjskich służb bezpieczeństwa ani nigdzie indziej.

Alex odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Jonathana.

- McMillan został wyeliminowany. Spotkanie odbędzie się w Troi. Barney wie, że znamy plany Ledforda, więc zaalarmuje służby bezpieczeństwa, żeby nas powstrzymano, jeśli zbliżymy się do tego miejsca. - Była już dziewiąta czterdzieści pięć. Do rozpoczęcia konferencji pozostało niewiele ponad pięć godzin, a on nie wiedział, jak mają minąć pierwszy posterunek. - Jonathan, chciałbym, żebyś poprosił podsekretarza, żeby zrobił dla mnie coś jeszcze. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej kartkę papieru z numerem telefonu, pod który Ledford dzwonił do Stambułu. - Chcę wiedzieć, czy to numer telefonu.

Jonathan spojrział na pobladłą twarz Alexa, odwrócił się i wyszedł z salki.

Alex starał się nie myśleć. Może się mylić. To tylko jedna z możliwości. Boże, miał nadzieję, że się myli.

Jonathan wrócił.

- Ten numer telefonu należy do Kemala Nemida, ulica Turbanów 423.

To dlatego Alex z takim oporem zabierał się do rozwiązania tej układanki.

- Boże...

- Nie spodziewałeś się tego?

- Spodziewałem się. Miałem tylko nadzieję, że się myślę.

Prosiłem McMillana, żeby przydzielił mi agenta w Stambule. Kazał zrobić to Barneyowi. - Uśmiechnął się z goryczą. - Dla Barneya nie stanowiło problemu podstawienie Kemala, a to człowiek Ledforda w Stambule. - Kemal, który w tej chwili ponoć strzegł Caitlin przed Ledfordem. Drżącą ręką wybrał numer hotelu Hilton. - Proszę z pokojem pięćset czterdzieści sześć. - Czekał do dziesięciu sygnałów. Nikt nie podniósł słuchawki.

Alexa ogarnęło mrozące krew w żyłach uczucie *deja vu*. Sześć miesięcy temu też tak stał, słuchając dzwonek telefonu tej nocy, kiedy ludzie Ledforda zamordowali Pavla.

Gwałtownie odwiesił słuchawkę.

- Musimy natychmiast wracać do hotelu.

Możesz zaparkować tutaj - stwierdził Kemal. - Trudno jest wjechać samochodem w tę ulicę.

Chelsea popatrzyła na wąską, krętą, brukowaną kocimi łbami uliczkę i przytaknęła.

- Teraz rozumiem, czemu wolisz jeździć rowerem.

Kemal opuścił miejsce dla pasażera i wysiadł z Forda, otworzył tylne drzwi dla Caitlin, po czym podszedł do drzwi kierowcy.

- Nie zmienisz zdania i nie wrócisz do hotelu?

Chelsea pokręciła głową i chwyciła klamkę.

- Nie licz na to.

Kemal przyjrzał się jej uważnie.

- Szkoda. - Otworzył drzwi i położył dłoń na jej ramieniu.

- Ale dziękuję ci za...

Głowa Chelsea opadła gwałtownie, złocistorude włosy rozsypały się na szarym pokryciu kierownicy.

Caitlin rzuciła się w jej stronę.

- Chelsea, co się stało? - Spojrzała na Kemala z przerażeniem. - Co...

- Myślę, że to nic poważnego - powiedział spokojnie. Chwycił Caitlin za ramię i łagodnie popchnął w kierunku Chelsea. - Zobacz, nie jest wcale błada.

- Jest nieprzytomna. - Oszołomiona Caitlin nie czuła ukłucia igły, kiedy dłoń Kemala mocniej zacisnęła się na jej ramieniu. - Jak możesz mówić...

- Och, wybaczone, Caitlin - powiedział cicho Kemal.

Chwycił ją w ramiona, gdy ugięły się pod nią kolana i zaczęła osuwać się na ziemię.

Alex, mój chłopcze, czas już na ostatnią odsłonę - powiedział godzinę później Ledford, ledwie Alex zdążył podnieść słuchawkę w swoim apartamencie.

- Gdzie one są? - zapytał zduszonym szeptem.
- Wydajesz się lekko spięty. Obie panie żyją i zostaną tutaj, żebyś zastosował się do moich instrukcji.
- Nie ma ich u Kemala. Już tam byliśmy.
- Oczywiście, że nie. Dziwię się, że w ogóle poważnie potraktowałeś tę wiadomość. Są w drodze tutaj.

- Do Troi?
- Tak - odparł Ledford. - Kemal będzie na ciebie czekał przy skřęćie na Troję i przywiezie cię tutaj. Przyjeżdżaj natychmiast. - Ledford odłożył słuchawkę.

Alex gwałtownie odwrócił się w stronę Jonathana.

- Mówi, że żyją. Muszę jechać do Troi.
- Jadę z tobą.
- To może być podróż w jedną stronę. Nie mam zbyt wiele do zaoferowania.
- Jadę z tobą - powtórzył Jonathan. - Jak możemy tam dotrzeć?

- Wypożyczymy dżipa i spotkamy się z Kemalem przy skřęćie na Troję.

Ledford podszedł do schodów, gdzie czekał już na niego Hans.

- Czas już na ciebie, chłopcze - powiedział łagodnie. - Wybrałeś dobre miejsce?

- Wystarczająco. - Hans wzruszył ramionami. - Na tym wzgórzu obok. Jest tam gdzie się schować.

- W zasięgu?
- Znam się na swojej robocie.
- Oczywiście. - Ledford uśmiechnął się dobrotliwie. - Jak już uwolnisz nas od Krakowa, wróć do tunelu. Tam przeczekamy, dopóki żołnierze nie odjadą, i teren będzie czysty. Rozumiesz?

- Nie jestem głupi. - Hans poprawił plecak. - Zdejmę Krakowa, a wybuch wyeliminuje tę starszą panią i delegację. -

Spojrzał na drzwi pomieszczenia, z którego wyszedł Ledford.
- Kiedy zamierzasz wynieść te obrazy i resztę?

- Nie martw się. Kemal przewiezie je przez posterunki w ciężarówce wojskowej. Zrób, co do ciebie należy, i zaufaj mi, że dobrze zadbam o resztę.

Ocknąwszy się, Caitlin zobaczyła szmaragdowe oczy Pega-za patrzące na nią nieruchomym wzrokiem.

Sen...

Ciężkie powieki ponownie zaczęły się zamykać.

- Obudź się! - Ktoś gwałtownie potrząsał ją za ramię.

Caitlin z trudem otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą Chelsea.

- Chelsea?

- A któż by inny? - parsknęła Chelsea. - Wyskakuj z łóżka.

Nie mamy czasu.

Chelsea zdążyła już odzyskać wigor. Caitlin potrząsnęła głową; powróciła świadomość, a wraz z nią uzmysłowanie sobie całej sytuacji.

- Kemal...

- To gnida - oznajmiła Chelsea. - Nędzna gnida.

- To musi być jakaś pomyłka. - Nie, Kemal by mi tego nie zrobił.

- Nie ma żadnej pomyłki. Uśpił nas.

Caitlin rozejrzała się po niewielkim, przypominającym komórkę pomieszczeniu, oświetlonym jedynie pojedynczym światłem lampy ustawionej na ziemi obok stołu. Leżała na gołej ziemi, a ściany były wyłożone surowymi deskami. W pomieszczeniu nie było okien. Pod drzwiami stało składane łóżko, zaś po przeciwnej stronie tej komórki, obok innych drzwi, znajdował się stół. A na tym stole... Tańczący na Wietrze.

To nie był sen. Statuetka Tańczącego na Wietrze emanowała w tym małym pomieszczeniu tym samym blaskiem, co w Galerii Zwierciadlanej w Wersalu.

Caitlin usiadła, krzyżując ręce na piersiach, by choć trochę ochronić się przed panującym chłodem.

- Jaki tu ziąb. Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

- Sama chciałabym wiedzieć. - Chelsea wzruszyła ramionami. - Przed chwilą oprzytomniałam. Sprawdziłam drzwi, ale są zamknięte.

Caitlin powoli zaczynała myśleć.

- Ledford. To musi być Ledford. To on ma Tańczącego na Wietrze.

- Tak właśnie myślałam. Ta gadzina, Kemal, pracuje dla niego.

- Nie mogę uwierzyć, że Kemal mógł zrobić coś takiego - oznajmiła Caitlin. - Chelsea, ja go znam. On nie... - Urwała, słysząc zgrzytanie klucza w zamku.

Do pomieszczenia wszedł krępy mężczyzna.

- Witam miłe panie. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Brian Ledford.

Wyglądał tak zwyczajnie jak na fotografii, którą Alex dał Caitlin - zażywny, krzepki, uśmiechnięty. Trudno było uwierzyć, że mógł popełnić te potworne zbrodnie.

- Mam nadzieję, że nie jesteście zbyt odurzone. Kemal zapewnił mnie, że ten środek nie powoduje nieprzyjemnych sensacji. - Spojrzał na zegarek. - Obudziłyście się dokładnie wtedy, kiedy jego zdaniem miałyście się obudzić. Zawsze mogę polegać na Kemal. Na tym świecie, gdzie roi się od partaczy, Kemal korzystnie wyróżnia się fachowością.

Caitlin odniosła wrażenie, że w pomieszczeniu gwałtownie spadła temperatura; poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg. Smak zdrady.

- Gdzie jesteśmy?

- Jeszcze się nie domyśliłyście? W tunelu, którego wczoraj z Alexem tak pilnie szukaliście. Kemal zgrabnie ułożył was w bagażniku samochodu, który uprzejmie zapewniła pani Benedict, i przywiózł was tutaj bez najmniejszych problemów.

- Pewnie głupio zabrzmiało pytanie, po co tu jesteśmy?

- Bardzo głupio. - Ledford uśmiechnął się. - Jak inaczej miałem nagiąć Alexa nie robiąc mu krzywdy? - Zwrócił się do Chelsea. - Chociaż ty jesteś niespodziewanym dodatkiem. Powinienem był wiedzieć, że Kemal postara się o dywidendę.

- A gdzie on jest? - zapytała Chelsea. - Mam ochotę rozwalić mu łeb.

Ledford wybuchnął gromkim śmiechem.

- Czułem, że z tobą może być zabawniej. Posłałem Kemala na trasę, żeby pomógł Alexowi przedostać się przez punkty kontrolne. Brytyjskie służby bezpieczeństwa są bardzo niegościnnie dla osób bez przepustek. - Odwrócił się do Caitlin. -

Oczywiście Alex ma nadzieję, że wypuszczę cię za niego, ale myślę, że do tego czasu ciebie już nie będzie.

Caitlin starała się nie okazywać emocji.

- Masz zamiar nas zabić?

Przez oblicze Ledforda przemknął cień niechętnego podziwu. Przyjrzał się jej uważnie.

- Myślałem, że będziesz bardziej przerażona. Powinienem był wiedzieć, że Alex nie da się złapać tylko na seks.

Bała się tak, że czuła ściskanie żołądka, ale nie mogła dać mu tego po sobie poznać.

- Ale nie zabijesz Alexa?

Uśmiech Ledforda zgasł.

- Nie, o ile zachowa się rozsądnie. Nie chcę, żeby to był już koniec pojedynku. To ty narażasz go na niebezpieczeństwo.

- Nie zrobiłbyś lepiej próbując dobić targu? Jestem warta sporych pieniędzy - odezwała się Chelsea.

- Niedługo będę miał tyle pieniędzy, ile zechcę - oznajmił Ledford. - Ale jestem uczciwy. Nie chcę was zabijać, nie dając wam szansy. - Przeniósł wzrok na Caitlin. - Jestem pewien, że Alex powiedział ci, jak bardzo lubię różne gry.

- Powiedział mi, że jesteś mordercą.

Ledford wzdrygnął się.

- A ty oczywiście podsyciałaś jego złość przeciwko mnie.

- Nie musiałam podsycać. Czemu zabiłaś moją matkę?

- Boleję nad tym. - Uśmiechnął się. - Ale nie powinnaś była mieszać się do pojedynku, skoro nie chciałaś ryzykować. - Machnął ręką. - Zresztą to wszystko należy już do przeszłości. Teraz mamy nową grę. - Niedbale wyciągnął pistolet z kieszeni marynarki i wycelował w nie. - Przygotowałem dla was mały tor przeszkód. - Wskazał drzwi obok stołu. - Chodźcie.

Żadna z nich nie poruszyła się.

- Nie bądźcie uparte. Jestem pewien, że obie wolicie podjąć ryzyko niż mieć ponurą pewność. - Wyjął z kieszeni klucz i otworzył przed nimi drzwi. Caitlin owionęło zimne, cuchnące stęchlizną powietrze. Ciemność. Nie, nie była to kompletna ciemność. Z trudem dostrzegła mały punkcik w oddali.

- Światło dzienne - wyjaśnił Ledford, idąc za jej wzrokiem. - Z radością odkryłem, że starożytni Trojanie byli bardzo przewidujący. Od głównego tunelu odchodzą liczne odgałęzienia. To jest niewątpliwie najbardziej interesujące. Pocz-

łem ogromną ulgę, zorientowawszy się, że istnieje zapasowe wyjście z tunelu. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek może być zmuszony salwować się ucieczką.

- Proponujesz nam ucieczkę? - zapytała z powątpiewaniem Chelsea.

- Nie wierzysz mi? I masz rację. Nigdy nie uda wam się dotrzeć do wylotu tunelu. Przygotowałem po drodze parę niespodzianek.

- A co będzie, jeżeli zdecydujemy się tu zostać?

- Zastrzelę was. - Ledford uśmiechnął się promiennie. - Wybierzcie tunel i dajcie szansę przeżycia nie tylko sobie, ale i delegacji brytyjskiej. Możecie zostać bohaterkami słynnymi na cały świat. Czyż to nie podniecające?

- Szalenie - mruknęła Chelsea.

- Widzicie, wylot tunelu jest tuż pod płaskowyżem przy wzgórzu Hisarlik, gdzie ma się odbyć konferencja zwołana przez Krakowa. - Pokiwał głową, widząc, jak oczy Caitlin robią się okrągłe. - To Alex nie zdążył ci o tym powiedzieć? Spotkanie odbędzie się za niecałą godzinę. Uczestnicy konferencji przyjadą tu wkrótce specjalnym autobusem, a Krakow powita ich serdecznie i będzie im towarzyszył w zwiedzaniu ruin. - Urwał. - I tej groteskowej podróbki konia trojańskiego. - Skrzywił się. - To wręcz odrażające, zważywszy, że prawdziwym koniem trojańskim jest Tańczący na Wietrze. Zgadnijcie, co ich czeka, kiedy wejdą po schodach do brzucha tego potwora? - Przyjrzał się im rozplómiętym wzrokiem.

- Grecy z darami? - zapytała Chelsea.

Ledford wybuchnął śmiechem.

- Brawo. W rzeczywistości będzie to Niemiec z darami. Ubiegłej nocy, zanim pojawiło się tu wojsko, kazałem umieścić ładunek wybuchowy we łbie tego konia. Wybuchnie, jak tylko znajdą się we wnętrzu. - Szeroko rozłożył ręce. - Bum!

- Razem z Krakowem? - zapytała Chelsea.

- Nie, on ma lęk wysokości i nie wejdzie do konia. Dla Krakowa przygotowałem specjalną niespodziankę. - Ledford pokręcił głową. - Cały czas byłem świadom, że mój przyjaciel Krakow ma zamiar wyeliminować mnie i cały mój zespół, gdy tylko zostanie załatwiona ta brudna sprawa. Zrozumiałe więc, że w takiej sytuacji muszę uderzyć pierwszy. Zapłaciłem już moim ludziom i wczoraj dałem im wolną rękę. Teraz zostałem

tu już tylko ja, Hans, Kemal i bardzo przemyślny plan zrobienia czystki.

- I chcesz, żebyśmy udaremniły twoje zamiary?

- Nie ma tortury wymyślniejszej niż ta, kiedy przegrywa się, gdy zwycięstwo wydaje się bliskie. Widzicie, nie przypuszczam, żeby udało wam się dojść do końca tunelu, nie mówiąc już o dotarciu do ruin. Gdyby jakimś cudem to się wam udało, będziecie musiały się zmierzyć z tureckim wojskiem, funkcjonariuszami brytyjskich służb bezpieczeństwa i brygadą antyterrorystyczną Krakowa. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej latarkę z nierdzewnej stali. Zapalił ją i zgasił parę razy, po czym wręczył ją Caitlin. - Zauważyłyście, że baterie są bardzo słabe? Jaka szkoda. Lada chwila mogą wysiaść. Z drugiej strony, mogą wytrzymać, dopóki nie dojdziecie do końca tunelu. Nie można tego przewidzieć, prawda?

Caitlin zacisnęła dłoń na metalowej oprawce.

- Chelsea nie ma z tym nic wspólnego. Skoro jesteś pewny, że uda ci się uciec, możesz ją wypuścić.

- I pozbawić cię towarzystwa, które pomoże ci lepiej znieść ostatnie chwile? Alex nigdy by mi tego nie darował. - Uśmiechnął się dobrotliwie. - A teraz zmykajcie. Czeka was wielka przygoda. - Pstryknął palcami. - Och, zapomniałbym. Zdejmijcie buty i rajstopy. - Jego uśmiech zgasł, gdy obie wpatrzyły się w niego w oszołomieniu. - Szybciej. Stąpienie boso w ciemnościach sprawia, że człowiek czuje się tym bardziej bezbronny, a ja chcę, żebyś czuła się bardzo bezbronna, *miss Vasaro*.

Caitlin i Chelsea zdjęły buty, rajstopy i rzuciły je na ziemię.

- Bardzo dobrze - pochwalił Ledford. - A teraz żegnajcie. - Wepchnął je w lepką ciemność tunelu i zamknął za nimi drzwi.

Chwilę później usłyszały, jak przekręca klucz w zamku.

20

Cała okolica aż roi się od wojska. - Jonathan obrócił się przez ramię, by przyjrzeć się ciężarówce wypełnionej tureckimi żołnierzami, która z rykiem przejechała obok nich. - Jak Ledford może mieć nadzieję, że mu się uda?

- On uwielbia takie sytuacje. - Alex wzruszył ramionami, skręcając na Truve. - Traktuje to jak wyzwanie. Im większe wyzwanie, tym lepiej. Wtedy może udowodnić swoją przebiegłość.

- Tobie? - zapytał Jonathan.

- Tak. - Alex przeczesywał wzrokiem zarośla wzdłuż drogi, wypatrując Kemala. - I sobie. Która godzina?

- Dwadzieścia pięć po drugiej. Autobus wiozący uczestników konferencji powinien jechać tuż za nami, jeśli ma przyjechać do Troi na czternastą czterdzieści pięć. Jak przedostaniemy się przez posterunki?

- To już sprawa Kemala. - Alex zacisnął usta. - Jestem pewien, że tak bystry chłopak jak Nemid poradzi sobie z tym problemem.

Urwał, dostrzegłszy na drodze Kemala, który uniesieniem ręki dał znać, by się zatrzymali. Ubrany w czerwony sweter robiony na drutach i znoszone brązowe sztruksowe spodnie, wyglądał prawie tak młodo jak w dniu, w którym Alex zobaczył go po raz pierwszy.

Alex wcisnął pedał hamulca i dżip zatrzymał się z piskiem opon.

- Uzyskałeś dobry czas. - Kemal podszedł do drzwi od strony miejsca dla pasażera, które zajmował Jonathan. - To ty jesteś Andreas?

Jonathan przytaknął.

- Tak myślałem. Rozpoznałem cię ze zdjęć w gazetach. Jesteś prawie tak sławny jak Bruce Springsteen.

- Dziękuję - odparł sucho Jonathan. - Zapewne mam przed sobą Kemala, o którym tak wiele słyszałem.

Kemal otworzył drzwiczki i zwrócił się do Jonathana:

- Usiądź z tyłu, a ja usiądę tutaj. Droga jest zamknięta i można przejechać tylko za przepustką.

Jonathan wysiadł z samochodu.

- A ty masz papiery?

- Oczywiście, Krakow dostarczył Ledfordowi przepustki dla wszystkich jego ludzi.

Jonathan zajął miejsce z tyłu i zatrzasnął drzwiczki.

- A kim niby mamy być?

- Członkami brygady antyterrorystycznej Krakowa. To pozwala nam poruszać się po całym terenie - odparł Kemal. - Pozwólcie, że wszystko załatwię.

Alex włączył zapłon.

- Czemu nie. Dałeś się poznać jako fachowiec.

Kemal spojrzał na twarz Alexa.

- Jesteś na mnie wściekły.

- Jestem wściekły na siebie. Boże, ja ci wierzyłem.

- Nie masz się co obwiniać. Jestem naprawdę dobry w tym, co robię.

- A co ty robisz, Kemal?

- To, co muszę. Powiedziałem ci, że mam zamiar stać się bardzo bogaty.

- Zarabiając splamione krwią pieniądze u Ledforda?

- Ledford to tylko środek do celu. - Kemal skrzywił się. - Nie lubię rozlewu krwi. To nie moja specjalność.

- A jaka jest twoja specjalność? - zapytał Jonathan.

- Myślę, że Alex już do tego doszedł.

- Firma usługowa - odparł Alex. - Cygan.

Kemal przytaknął.

- A Irmak?

- On także był Cyganem. Prawdę mówiąc, był moim wujkiem. Kiedy uciekłem od mojej rodziny, bardzo się ucieszyłem, że mogę zamieszkać u Adnana w Stambule. - Głos Kemala był przepełniony goryczą. - Czyż w końcu nie był on bratem mojej matki?

- Zabiłeś go.

- Wykorzystał mnie. Prawie udało mu się mnie zniszczyć, tak jak zniszczył wielu innych. Nikt nie zasługiwał na śmierć bardziej niż on.

- Nie będę zbyt gorliwie protestował, ale czemu w takim razie nie zabiłeś go wcześniej?

- Nie był to odpowiedni czas. Adnan miał w mieście wielu potężnych przyjaciół, którzy z rozkoszą poderznęliby mi gardło, tak jak ja jemu - rzekł Kemal. - Myślisz, że działam pod wpływem impulsu? Tylko raz zrobiłem coś bez zastanowienia i przez to wylądowałem w domu rozkoszy mojego drogiego wuja. Od tego czasu nie działałem pochopnie i starannie planowałem każdy krok. Wiedziałem, że w niedługim czasie wyprowadzę się ze Stambułu i najbezpieczniej będzie usunąć Adnana. Jego śmierć spełniła trzy zadania. Odwróciła twoją uwagę od poszukiwania mnie, dzięki niej uwolniłem dzieci... - Uśmiechnął się szeroko i dokończył: - I sprawiła mi ogromną przyjemność.

- I to ty włożyłeś księgi i paszporty do jego biurka?

Kemal skinął głową.

- Sugerowanie, że Adnan to „Cygan”, było szyte trochę grubymi nićmi, ale miałem nadzieję, że zajmiesz się listą dostaw i nie będziesz tego podawał w wątpliwość.

- I tak było. Boże, jaki byłem głupi.

- Nie - odparł łagodnie Kemal. - Po prostu mi ufałeś.

- Co potwierdza, że byłem głupi. Zaryzykowałeś nawet pokazanie mi księgi i listy dostaw.

- To był błąd. Nie sądziłem, że będziesz miał czas, żeby to wszystko zebrać w całość. Musiałem działać z wielką ostrożnością. Ledford wiedział, gdzie mieszkacie, od tego wieczoru, kiedy Ferrazo próbował zabić Caitlin, ale nie wiedział, że wielokrotnie kontaktowałem się z tobą wcześniej. Powiedziałem mu, że nie byłem w stanie cię odnaleźć po waszym powrocie z Francji. Ale po tym, jak skontaktowałeś się z McMillanem, wiedziałem, że Barney mu powie, więc powiedziałem mu pierwszy.

- Skoro Ledford wiedział, gdzie jesteśmy, czemu nie próbował zlecić kolejnego zamachu na Caitlin?

- Wyprowadziła go z równowagi śmierć Ferraza. Barney powiedział mu, że nie zrobili tego ludzie McMillana, a ty też nie wchodziłeś w rachubę. - Skrzywił się. - Zasugerowałem mu, że mogłeś zawrzeć z Krakowem umowę, żeby cię ochra-

niał w zamian za pomoc w usunięciu Ledforda ze sceny. Postanowił poczekać. Na to zresztą liczyłem. - Widząc, że Alex przygląda mu się z niedowierzaniem, pokręcił głową. - Nie rozumiesz. Ja osłaniałem Caitlin. Lubię cię. Nie chciałem, żeby coś złego przytrafiło się tobie albo Caitlin.

- W związku z czym podałeś Caitlin i Chelsea na tacy - wtrącił sucho Jonathan.

Kemal spojrział przez ramię na ponurą twarz Jonathana. - Pani Benedict nalegała, żeby jechać z nami. Próbowałem jej to wyperswadować. - Zwrócił się do Alexa. - Naprawdę chciałem trzymać Caitlin z dala od tego wszystkiego. Przykro mi, że uznałem za konieczne wciągnięcie w to was obojga.

Alex zacisnął dłonie na kierownicy.

- On ją zabije.

- Nie dopuszczę do tego.

- Ty sukinsynu, nie będziesz w stanie go powstrzymać. - Czuł, jak wzbiera w nim bezsilna wściekłość. - A wszystko po to, żeby stać się najbogatszym człowiekiem na tej przeklętej półkuli.

Twarcz Kemala ściągnęła się bólem.

- Nie rozumiesz. Kiedy uciekłem z haremu, musiałem zadbać o siebie w jedyny sposób, jaki znałem. Jak myślisz, jakie perspektywy ma w Stambule uliczne dziecko? Nie było nikogo, kto zapewniłby mi poczucie bezpieczeństwa czy wykształcenie. - Kemal uśmiechnął się smutno. - Zawsze wydawało ci się, że żartuję, ale zobaczysz, że naprawdę mi się uda, Alex. Będę miał swój ogromny dom i wspaniałe życie. Jeśli będę bardzo bogaty, nikt już nie będzie mógł mnie wykorzystać. - Wprostował się. - Zwolnij. Zbliżamy się do posterunku straży.

Zapalamy latarkę? - zapytała Caitlin.

- Może, na chwilę - odpowiedziała Chelsea. - Wątpię, czy te niespodzianki, które ten skurwiel dla nas przygotował, będą już od razu, przy pierwszych dziesięciu krokach. Najpierw chce, żebyśmy spotulniały i wpadły w popłoch.

- Jestem tego bliska. - Caitlin zapaliła latarkę i wyciągnęła ramię. Słabe baterie dawały blade, żółte światło, które rozpraszało ciemność tylko na parę metrów. Zbudowane z okraglaków i ziemi ściany tunelu przytrzymywane były w pewnych odstępach.

pach skrzyżowanymi belkami. Zgasiła latarkę. - Czy mówiłam ci kiedyś, że nienawidzę zamkniętych pomieszczeń?

- To łatwe - powiedziała Chelsea. - Poruszaj się małymi krokami. - Zaczęła powoli stapać do przodu. - Czy w tunelach są węże?

- Czasami. Ale tutaj jest za chłodno. Węże nie lubią zimna. - Po chwili dodała: - Mam nadzieję.

Skaliste podłoże mroziło gołe stopy, ale było twarde i pewne. Nie chciałyby dotknąć niczego tłustego i oslżłego w tych ciemnościach.

- Co to było?

- Co?

- Posłuchaj.

Odgłos powtórzył się. W ciemnościach rozległ się wyraźny syk.

- To wiatr?

Albo nocne stworzenia. Wszystko wydaje się możliwe w tej pustce, pomyślała z rozpaczą Caitlin.

- Nie wiem, ale to mi się nie podoba.

- Zapalimy latarkę?

- Cokolwiek by to było, jest za daleko. - Caitlin ruszyła do przodu. - Musimy poczekać, aż będziemy bliżej.

Syk rozległ się znowu.

Oby to był wiatr, powtarzała. Miała nadzieję, że to wiatr.

Alex chciał zaparkować dżipa obok niebieskiego czterodrzwiowego Forda z tablicą wypożyczalni.

- Nie tutaj. - Kemal wskazał rosnący nie opodal lasek sosnowy. - Wjedź za te drzewa.

Alex spełnił polecenie.

- Twój przyjaciel Ledford najwyraźniej nie obawia się, że zostanie zauważony.

- Uważa, że nikt i nic go nie powstrzyma i lubi ryzyko. Ja jestem ostrożniejszy.

Przed nimi wznosiła się trójkątna skała, wysoka na ponad dwa metry, lecz znajdujące się nie opodal podnoszone drzwi zostały umiejętnie zamaskowane za pomocą materiału, ziemi i gałęzi. Kemal uniósł klapę za żelazny uchwyt.

- Uważajcie, schody są strome i nie mają poręczy.

Szerokie drewniane schody, o których mówił Kemal, pro-

wadziły piętnaście metrów w dół. Gdy tylko znaleźli się w tunelu, Kemal zamknął klapę i przeszedł obok nich, prowadząc ich na dno szybu. Po obu stronach dziesięciometrowego podestu na dnie szybu znajdowały się drzwi. Cała przestrzeń była doskonale oświetlona umocowanymi na ścianach dwunastoma lampami sodowymi.

- Bardzo pomysłowe - zauważył sucho Alex. - Niezły bunkier.

- Ledford musiał bezpiecznie przenieść tutaj obrazy i rzeźby - wyjaśnił Kemal. - Początkowo była tu tylko drabinka sznurowa. Prawdziwa drabina rozpadła się przed wiekami i musimy...

- O, przyprowadziłeś gości.

Ledford!

Dzika wściekłość ogarnęła Alexa na widok Briana Ledforda zmierzającego przez pomost w ich stronę. Dotarł do końca schodów w tym samym czasie co oni i podał Kemalowi pistolet maszynowy Uzi.

- Miej ich na oku. Chcę móc cieszyć się ze spotkania.

Kemal skinął głową i oparł Uzi na ramieniu.

- Nareszcie! - Ledford z lubością wpił wzrok w twarz Alexa. - Świetnie wyglądasz. Niepokój wspaniale wyostrza krawędzie i sprawia, że brylant świeci pełniejszym blaskiem.

- Gdzie Caitlin?

- Żyje. Obie panie były całe i zdrowe, kiedy je ostatnio widziałem. - Ledford spojrzał na Jonathana. - Doprawdy nie powinien pan tu przychodzić, Andreas. Słyszałem, że ma pan przed sobą wielką karierę. - Zwrócił się do Alexa: - Przyznaję, że jestem niemile zaskoczony, że zdecydowałaś się sprowadzić pomoc, Alex. Sądziłem, że zdajesz sobie sprawę, że ten pojedynek to sprawa tylko pomiędzy nami dwoma.

Alex popatrzył na Kemala.

- Wydaje mi się, że ty masz jednak kompana.

- Masz na myśli Nemida? - Ledford pokręcił głową. - Kemal jest człowiekiem niezależnym. Jest w tym podobny do ciebie. Przyjmuje zlecenia, ale nie należy do mnie. To zdolny chłopak.

- Zdążyłem się przekonać.

- Mam wobec niego wielkie plany. Ale to bardzo nieuprzejme z mojej strony tak was tu trzymać na stojąco. - Odwrócił się i poprowadził ich przez pomost w stronę, z której przyszedł. - Obawiam się, że są tu tylko dwa pomieszczenia jako

tako nadające się do zamieszkania. Już samo podparcie stropu i zrobienie tego podestu nastęrczyło nam wiele trudności. - Otworzył drzwi po lewej stronie. - Wejdźcie, proszę, i rozgośćcie się.

Psiakrew! - krzyknęła Chelsea. - Stań! Nie rób ani kroku więcej. - Wpiła paznokcie w ramię Caitlin i zaczęła miotać przekleństwa.

- Co się stało?

- Moja noga! Gwoździe albo tłuczone szkło, czy coś takiego. Chyba szkło. Mamy pierwszą niespodziankę Ledforda. Na litość boską, nie ruszaj się. - Chelsea puściła ramię Caitlin i cofnęła się o krok, wydając stłumiony okrzyk bólu. - Boże!

- Zapalę latarkę.

- Jeszcze nie. Nie możemy marnować baterii. Usiądę, a ty spróbuj wyciągnąć co większe kawałki.

- Co większe? - Caitlin przyklękła obok Chelsea i przejechała dłonią po lewej nodze Chelsea aż po stopę. - Ile szkła... *merde!*

Ze stopy Chelsea sterczało kilkanaście sporych, ostrych odłamków szkła. Caitlin czuła na palcach ciepłą krew płynącą z licznych ran.

- Potrzebuję światła.

- Nie - rzuciła ostro Chelsea. - Zdaj się na dotyk. - Wyjmij te największe i ruszamy.

- Będiesz w stanie iść? - Caitlin wyjęła centymetrowy kawałek szkła z podbicia stopy Chelsea.

- Jeśli nie będę mogła iść, prędzej zacznę się czołgać niż pozwolę, żeby sukinsyn nas powstrzymał. - Gwałtownie zaczerpnęła tchu, gdy Caitlin wyciągnęła drugi odłamek szkła. - Pospiesz się.

- Spieszę się. Tu jest pełno odłamków... czemu się śmiesz?

- Przypomniałam sobie Pauleya, dla którego stopy są fetyszem. Nigdy już nie stanę się dlań obiektem pożądania. Co za przygnębiająca... - Urwała, gdy Caitlin szarpnęła kolejny odłamek. - Nigdy nie przypuszczałam, że uznam tańczenie boso wśród winorośli za coś miłego, ale teraz wydaje mi się cudowne w porównaniu z...

- Zamknij się, Chelsea. - Caitlin starała się opanować

drzenie w głosie. - Nie musisz przede mną odgrywać bohaterki. Wiem, że to boli.

Chelsea umilkła.

- Nienawidzę tej ciemności. Czuję się jak w trumnie. Wiesz, nigdy tak naprawdę nie myślałam, że mogę umrzeć. To było coś, co spotykało innych.

- Mamy szansę. - Caitlin przesunęła dłonią wzdłuż stopy Chelsea. Wątpiła czy udało jej się wyjąć wszystkie odłamki, ale nie wyczuwała żadnych sterczących kawałków. - Dawaj drugą stopę.

- Ty też się boisz?

- Boże, oczywiście, że się boję. - Caitlin wyciągnęła cienką szklaną drzazgę. - Ta stopa mniej ucierpiała. - Uniosła się do przysiadu. - Wyjęłam wszystko, co mogłam.

- Teraz pomóż mi wstać.

- I jak?

- Możliwie. - Chelsea głęboko zaczerpnęła tchu. - A teraz zapal latarkę, żebyśmy mogły zobaczyć, czy uda nam się obejść tę pułapkę Ledforda.

Caitlin uniosła latarkę i już miała zamiar ją zapalić, gdy znowu usłyszała ten odgłos.

Syk.

Głośniejszy.

Osaczający ze wszystkich stron w ciemności.

Przeniknął ją dreszcz i całą siłą woli powstrzymała się od odwrócenia się i pobiegnięcia z powrotem.

Nacisnęła guzik latarki. Sterczące odłamki szkła ciągnęły się jedynie około dwóch metrów przed nimi. Światło zamigotało, osłabło. Caitlin prędko zgasiła latarkę.

- Na lewo... Jeśli przejdziemy na palcach tuż pod ścianą...

Chelsea, kuśtykając, mijała już Caitlin. Przycisnąwszy się do ściany, powoli, bokiem przesuwała się do przodu.

Caitlin ostrożnie stąpała za nią, kurczowo ściskając latarkę.

Syk.

Coraz bliżej.

To nie był wiatr.

Czy w tych skrzyniach są obrazy? - zapytał Jonathan, spoglądając na liczne skrzynie z drewna sosnowego zgromadzone w niewielkim pomieszczeniu.

Ledford uśmiechnął się.

- Wybaczcie, że jest tu tak gorąco, ale musiałem trzymać je w ciepłym i suchym powietrzu, żeby nie uległy zniszczeniu.

- Gdzie jest Tańczący na Wietrze? - Jonathan gorączkowo rozglądał się po magazynie. - W jednej z tych skrzyń?

- Nie, Tańczący na Wietrze jest w drugim pomieszczeniu, gdzie spędzam większość czasu. Lubię mieć go tam, gdzie mogę go w każdej chwili zobaczyć i dotknąć. Mam wielkie plany związane z Tańczącym na Wietrze.

- Jakie plany?

- Powiedz im, co mam zamiar zrobić ze statuetką, Kemal.

Spojrzenia Alexa i Kemala skrzyżowały się i Kemal niemal niedostrzegalnie pokręcił głową w geście zaprzeczenia.

- Brian ma skromniejszy cel niż Krakow - oznajmił Kemal. - Nie chce być królem Europy, tylko cesarzem Ameryki Południowej.

- Mój plan jest o wiele łatwiejszy do przeprowadzenia. Waluta zjednoczonej Europy nigdy nie będzie oparta na wartości dzieł sztuki, ale Ameryka Południowa to coś zupełnie innego. - Ledford wygodnie rozsiadł się w fotelu. - Ten pomysł nasunął mi się po fiasku planów Salazara, do czego wydatnie się przyczyniłeś, Alex. Jak tylko umocnię swoją pozycję w którymś z kraików Ameryki Łacińskiej, zacznę rozszerzać swoje wpływy. Kto wie, jak daleko sięgną? Mam o wiele większą szansę na sukces niż Krakow.

- Mój Boże... - wyszeptał Jonathan.

- Nie spodobało ci się to? - zapytał Ledford. - Mój przyjaciel Kemal twierdzi, że to świetny pomysł i widzi w tym planie ważne miejsce dla siebie. Uczynię go bogatym człowiekiem. - Spojrzawszy na Alexa, zwrócił się doń tonem łagodnej perswazji. - Przyłączysz się do nas, Alex? Udowodniłem, że jestem równym ci partnerem, może nawet jestem lepszy od ciebie. Tutaj nie masz czego szukać. Potrzebujesz bodźca, a ja ci go dam. Potrzebujesz mnie.

- Gdzie jest Caitlin?

Oczy Ledforda zaiskrzyły się złością.

- Chcesz mnie upokorzyć?

- Gdzie ona jest?

- Wysłałem ją i tę Benedict do jednej z odnóg tunelu, która

wychodzi na ruiny. Niestety, wydaje mi się, że nie uda im się tam dotrzeć.

Alex zeszywniał.

- Dlaczego?

- Chyba nie spodziewałeś się, że uścielę im drogę różami. I tak uważam, że okazałem im wielką wspaniałością. Dałem im latarkę i ostrzegłem, że jeśli nawet dojdą do wylotu tunelu, może je tam spotkać nieprzyjemne powitanie.

Kemal zmarszczył czoło.

- Mówiłeś, że przetrzymasz je jako zakładniczki do czasu przybycia Karazova.

- Nie zawsze muszę ci wszystko mówić, Kemal. - Ledford uśmiechnął się. - Na przykład nie powiedziałem ci nic o plastikach.

Kemal znieruchomiał.

- Plastikach?

Ledford skinął głową.

- Mój przyjaciel Hans parę dni temu umieścił je w tunelach jako małą niespodziankę dla mnie. Sprawdziłem zapalniki czasowe; ładunki powinny wybuchnąć - spojrział na zegarek - za dwadzieścia pięć minut, dokładnie o piętnastej siedem. To będzie cztery minuty po tym, jak ładunek umieszczony we łbie konia zdmuchnie uczestników konferencji. Ogrom zniszczenia spowoduje chaos i wszyscy rzucają się w kierunku ruin. Nawet jeśli na posterunkach zostaną jacyś strażnicy, łatwo będzie ich zdjąć.

- Myślisz, że ci uwierzymy, że chcesz zniszczyć te wszystkie bezcenne obrazy? - zapytał Jonathan, patrząc na skrzynie stojące pod przeciwległą ścianą.

- Jeden obraz. Rembrandta. Inne obrazy i rzeźby są już na pokładzie „Argosy”. Zostawiłem tu Tańczącego na Wietrze i Rembrandta, i te puste skrzynie, żeby przekonać Hansa, że opłaci mu się podłożyć plastik. Oczywiście opuszczając to schronienie zabiorę z sobą i Tańczącego na Wietrze, i Rembrandta.

- Chcesz, żeby tunel wyleciał w powietrze? - zapytał Jonathan.

- To wręcz konieczne. Dlatego zadałem sobie tyle trudu. Barney zaaranżował wszystko tak, że po tym, jak Hans wykona swoją robotę, zostanie ujęty przez brytyjskie służby specjal-

ne. Wbrew obiegowej opinii Brytyjczycy potrafią wpadać w szal, kiedy naruszy się ich sentymenty, a wiadomo, że powszechnie lubią Cartwright. Jestem pewien, że pod przymusem Hans przyzna się do podłożenia ładunków i do wysadzenia w powietrze mnie i całej kolekcji dzieł sztuki. Ponieważ to zeznanie zostanie wydobyte z niego siłą, wszyscy mu uwierzą. - Pokręcił głową z udanym smutkiem. - Co za tragiczna strata.

- I nikt nie będzie poszukiwać ani ciebie, ani dzieł sztuki - skonstatował Alex.

- Właśnie. - Ledford obdarzył Alexa uśmiechem. - Widzisz, Alex, czasami trudniej jest wymyślić zagadkę niż ją rozwiązać. Nawet nie wiesz, jak wiele wysiłku kosztowało mnie wychowanie i manipulowanie Hansem tak, by doprowadzić go do takiego poziomu odczuwania. Najpierw musiałem się upewnić, że jest w nim odpowiednia mieszanka głupoty, uporu i złośliwości, a potem wiele miesięcy zabrały mi takie ćwiczenia psychiczne, by osiągnął stan, w którym mogłem go wykorzystać. Jego rany musiały być odpowiednio bolesne, ale nie zagrażające życiu, i musiałem podsunąć mu odpowiednią prostytutkę, która zapewniła mu mieszkanie i dostarczyła informacji, kiedy zamie... - Urwał i potrząsnął głową. - Ale będzie czas opowiedzieć ci o tym później. Musimy zacząć się zbierać, jeśli mamy dotrzeć do posterunku na czas. - Spojrzał na Kemala. - Wyprowadź stąd pana Andreasa. Chcę porozmawiać z Alexem w cztery oczy.

Kemal skinął głową i wskazał drzwi pistoletem.

- Tędy, panie Andreas.

- Alex? - odezwał się Jonathan.

- Wyjdź - powiedział Alex.

Kiedy za Jonathanem i Kemalem zamknęły się drzwi, Alex poprosił:

- Pokaż mi, gdzie jest tunel.

- Przecież nie chcesz za nią iść - rzekł Ledford. - Nigdy ci się to nie uda.

- Pokaż mi tunel.

- Zostań ze mną - poprosił Ledford. - Chodź ze mną. - Zacerwienił się. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - To... to nie jest tylko fizyczne. Rozumiem... rozumiem, co... jak ty... po prostu chcę być z tobą.

- Odwal się.

Krew odpłynęła z twarzy Ledforda.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło. Naprawdę sądziłem, że jeśli wykażę ci, że jesteśmy dobraną parą, zrozumiesz, o ile lepiej żyłoby się nam razem. - Przez jego twarz przemknął cień gniewu. - Jestem bardzo rozczarowany.

- Pokaż mi tunel.

- Chcesz iść do tej krowy? - Ledford pogardliwie wydał wargi. - Więc ją sobie miej. - Odwrócił się do drzwi. - Kemal! - ryknął z wściekłością.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął Kemal.

- Zabierzemy panów do tunelu, żeby dołączyli do pań. - Spojrzał na Kemala spod zmrużonych powiek. - Chyba że masz coś przeciwko temu.

Kemal wzruszył ramionami.

- Czemu miałbym mieć?

- Sprawiałeś wrażenie bardzo przejętego losem pań. Prowadź.

Chwilę później weszli do niewielkiego pomieszczenia.

- Panie mają piętnastominutową przewagę nad wami, ale wątpię, czy zaszły daleko - oznajmił Ledford, wręczając Alexowi lampę. - Chciałbym, żebyście mogli widzieć na zegarkach, ile minut macie jeszcze przed sobą. Masz ostatnią szansę. To taka łamigłówka, Alex, z którą sobie nie poradzisz.

- Nie wiem, dopóki nie spróbuję.

- Zginiesz. To ona tyle dla ciebie znaczy? Wierz mi, to śmierć.

Alex zdawał sobie sprawę, że być może nie będzie w stanie pomóc Caitlin i Chelsea. Gdyby został z Ledfordem, miałyby szansę uspić jego czujność i zabić go. Jak bardzo chciały to zrobić! Jego serce przepełniała nienawiść silniejsza niż kiedykolwiek dotąd.

Lecz gdyby został z Ledfordem, nie miałyby szansy uratowania Caitlin.

Nie miał wątpliwości, co wybrać. Powiedział cicho:

- Mylisz się, Ledford. Ona jest samym życiem.

Odwrócił się i wraz z Jonathanem wszedł do tunelu.

- Interesujący wybór - wyszeptał Kemal.

- Pożałujesz tego! - dobiegł Alexa ostry krzyk Ledforda.

Alex obejrzał się przez ramię. Ledford i Kemal odcinali się

już jedynie ciemnymi sylwetkami na tle przyćmionego światła w pokoju, lecz zdało mu się, że dostrzegł nieznaczny uśmiech na ocienionej twarzy Kemala. W serce wstąpiła nadzieja. Jak teraz mogą potoczyć się wypadki? Nigdy nie można było przewidzieć postępowania Kemala i Alex zdał sobie sprawę, że był on najbardziej zagadkowym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Rozmyślnie powtórzył głośno słowa, które powiedział mu Kemal w dniu, w którym nazwał się jego przyjacielem:

- Każdego dnia dokonujemy wyboru.

- Dzisiaj dokonałeś fatalnego wyboru - krzyknął za nim Ledford.

Ciężkie drzwi zamknęły się i obu mężczyzn otoczyła ciemność.

Syk stawał się coraz wyraźniejszy, słyszały teraz jakby grzmot.

- Boże, co to może być? - Chelsea przystanęła, ściskając Caitlin za ramię. - Czuję się jak Dawid idący do walki z Goliatem.

- Goliat nie wydawał takich dźwięków. Prawdopodobnie uderzał się w klatkę piersiową jak Tarzan. - Caitlin zwilżyła wargi językiem. - Czy ta ścieżka schodzi w dół?

- Chyba nie, wydaje mi się, że jest równa.

- W takim razie lepiej zapalmy latarkę.

- Dlaczego?

- To syczenie dochodzi... z dołu. - Caitlin wycelowała latarkę w podłogę przed sobą.

- A to sukinsyn - wydyszała Chelsea, cofając się.

Stały na skraju rozpadliny głębokiej na ponad trzydzieści metrów. Kamienne ściany były gładkie jak przecięte toporkiem. Caitlin zauważyła w dole coś błyszczącego, pulsującego, ruchliwego.

- To woda - oznajmiła Chelsea. - Źródło?

Caitlin pokręciła głową.

- Myślę, że ten syk wydaje woda napierająca na tę szczelinę.

- Morze jest parę kilometrów stąd.

- Ale te tereny są położone tuż nad poziomem morza. - Zgasiła latarkę. - A poza tym to strefa sejsmiczna. Pamiętam, jak czytałam, że jedno z miast tu zbudowanych zburzyło trzę-

sienie ziemi. Może właśnie to trzęsienie ziemi spowodowało pęknięcie skał takie, że morze wrzyna się tu głęboko w ląd.

Wody mieniły się, wydawały się kipieć.

- Będziesz musiała znowu zapalić latarkę - powiedziała Chelsea. - Musimy zobaczyć, czy jest tu jakieś przejście.

- Nie ma, chyba że możesz przeskoczyć dziesięć metrów.

- Patrzyłyśmy w dół, na wodę. Mamy do wyboru albo znaleźć drogę, albo sięść tu i zgnieć. Zapalaj.

Caitlin skierowała strumień światła na rozpadlinę.

- Mówiłam ci, że tu nie ma... - Urwała, dostrzegłszy linę.

Po ich prawej stronie do jednej z belek podtrzymujących ściany tunelu przytwierdzona była mocna lina. Naprężona, rozciągała się nad otchłanią i była kilkakrotnie owinięta wokół masywnej skały po drugiej stronie rozpadliny.

W dwóch trzecich długości liny widniała czerwona satynowa wstążka z ogromnych rozmiarów błyszczącą kokardą, kołyszącą się wesoło w świetle latarki.

- Prezent od Ledforda - mruknęła Chelsea. - W opakowaniu.

- Lina wydaje się mocna.

- To pułapka.

- Możliwe. A jeśli nie? Może Ledford przygotował to myśląc, że będziemy zbyt przerażone, żeby próbować się uratować? - Caitlin podeszła bliżej i pociągnęła linę. - Trzyma mocno. Co innego możemy zrobić?

Obie wiedziały, że nie mają wyboru.

- Pójdę pierwsza - powiedziała Chelsea. - Jestem lżejsza.

- A ja silniejsza. Jestem rolniczką, zapomniałaś? To jest dziesięć metrów. Będziemy miały większą szansę, jeśli to ja pójdę. - Caitlin wręczyła Chelsea latarkę, jeszcze raz pociągnęła linę, po czym usiadła na krawędzi rozpadliny, zwieszając nogi i chwytając linę obiema dłońmi. - Gdy tylko będę po drugiej stronie, odwiąż tę linę i zawiąż ją w pasie, żebym mogła cię przeciągnąć.

- Jak worek kartofli. To niszczy mój *image*. - Chelsea uklękła obok Caitlin i krytycznie przyjrzała się linie. - Wygląda na to, że jest w porządku.

- Trzymaj linę po tej stronie, na wypadek gdyby nie wytrzymała mojego ciężaru. - Caitlin zamknęła oczy, mocniej chwyciła linę, głęboko zaczerpnęła tchu i odbiła się w nicłość.

Ramiona omal nie wyrwały się ze stawów.

Dłonie paliły.

Woda ryczała w dole jak głodny smok czekający na ucztę.

Lecz lina trzymała się mocno.

- Muszę posuwać się szybko - szepnęła. - Nie wytrzymam...

- Urwała i dłoń za dłonią zaczęła przesuwać się po linie. Czerwona kokarda podskakiwała nad ziejącą przepaścią. Musi skupić się na patrzeniu na tę wstążkę, zamiast myśleć o bólu dłoni i ramion...

Była w jednej trzeciej drogi.

Woda w sykiem wdzierала się w szczelinę.

Już prawie połowa drogi.

Szkarłatna kokarda była jak drogowskaz, jej połyskliwy materiał pozostawał we frywolnym kontraście ze zgrzebnością konopnego sznura.

Już ponad połowa drogi. Jeszcze niecały metr i będzie przy kokardzie.

Niecały metr.

Poczuła pod dłońmi szarpnięcie liny.

Przeniknął ją paniczny strach. Lina! Wydawała się taka mocna. Spojrzała na znajdujący się przed nią odcinek sznura. Nie było widać jakiegokolwiek przetarcia.

- Caitlin, co się dzieje? - zawołała Chelsea.

- Lina... urywa się. - Zawisła nieruchomo, bojąc się poruszyć.

Lina zaczęła się rwać dopiero wtedy, gdy miała za sobą prawie dwie trzecie drogi. Kiedy już prawie dotarła do czerwonej kokardy.

Kokarda.

Merde, to ta przeklęta kokarda. Ledford częściowo naciął sznur, a miejsce nacięcia zasłonił szeroką wstążką.

- Kokarda. Przeciął... - Caitlin poczuła, jak lina pomału ustępuje pod jej ciężarem. Nie mogła się wycofać. Nie miała na to czasu. Mogła tylko zaryzykować.

Szybko. Musiała działać szybko. Zaczęła poruszać się do przodu z największą możliwą prędkością, dłoń za dłonią, ku szkarłatnej kokardzie. Lina puściła w chwili, gdy rzuciła się w przód obok kokardy i mocno chwyciła postrzępiony koniec obydwoma rękami.

Chelsea krzyknęła.

Caitlin poleciała w stronę ściany rozpadliny. Poczuła straszny ból kości policzkowej z lewej strony, gdy uderzyła o ścianę.

W tunelu rozległ się krzyk kobiety!

Alexa ogarnęło potworne przerażenie. Rzucił się do biegu.

- To Chelsea - wymamrotał Jonathan, pędząc za nim. Alex poczuł wyrzuty sumienia, bo sprawiło mu ogromną ulgę, że to nie Caitlin. Niemal nie słyszał trzasku pod podeszwami butów. Skorupy? Nie, szkło.

Wybiegłszy zza zakrętu tunelu, spostrzegł Chelsea klęczącą i wpatrującą się w ciemność.

Przeszył go dreszcz. Na co ona się tak gapi?

I wtedy zobaczył Caitlin zwisającą na linie nad przepaścią. Zabulgotało mu w gardle. Poruszył się.

- Nie. - Jonathan chwycił go za ramię. - Nic nie mów. Nie rozpraszaj jej. Może jej się uda, jeśli...

- Jeśli co? - Alex poczuł, jak kurczą mu się mięśnie żołądka. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny. Nie mógł zrobić, nic, tylko stać i patrzeć na Caitlin rozpaczliwie uczeploną liny.

Dłonie Caitlin zaczęły powoli zsuwać się wzdłuż liny. Centymetr. Dwa centymetry.

- Caitlin, nie poddawaj się! - krzyknęła Chelsea.

Caitlin wisiała nad przepaścią, starając się zwalczyć zawroty głowy i ból. Jeśli się podda, Ledford zwycięży. Zabił jej matkę, a teraz zabije ją. Odchyliwszy głowę, spojrzała w górę, gdzie lina zakręcała na podłożu tunelu. Bezpieczeństwo. Było za daleko. Co najmniej trzy metry od niej. Lecz jeśli ona zginie, Ledford zwycięży. Nie powinien zwyciężyć po tym, co przeszli, by go pokonać. Wparłszy się bosymi stopami w ścianę rozpadliny, zaczęła na poły iść, na poły podciągać się ku krawędzi rozpadliny.

Jej dłonie krwawiły, znacząc sznur śladami czerwonymi jak wstążka na linie.

Jeszcze dwa metry.

Nie czuła ramion. Ból zniknął, ale ręce były odrętwiałe ze zmęczenia.

Półtora metra.

Oczy łzawiły i szczypały, zalewane potem. Nie patrzyła już na krawędź rozpadliny. Wspinająca się automatycznie, na oślep.

Mglisto docierały do niej błagania, słowa otuchy, przekleństwa Chelsea.

Dotarłszy do krawędzi szczeliny, podciągnęła się po raz ostatni.

Opadła na ziemię, dysząc, drżąc na całym ciele. Wtuliła twarz w dłoń.

- Udało się... - Szczękała zębami. - Dajcie mi chwilę...

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho Chelsea. - Myślałam, że...

- Ja też. - Caitlin czuła, jak łyzy głębokiej wdzięczności toczą się w dół po policzkach. Będzie żyła. Zwycięży. Nie pozwoli mu wygrać. Być może czekają tu jeszcze inne pułapki, lecz nic z tego, co obmyślił dla nich Ledford, nie będzie już tak potworne jak to, przez co przeszła przed chwilą. - Co teraz? - zapytała drżącym głosem. - Nie mamy liny. Jak będę mogła cię przeciągnąć?

- Nie musisz, Caitlin.

- Alex? - Zszokowana, uniosła głowę, by spojrzeć na drugą stronę przepaści. Obok Chelsea z twarzą pobladłą i zaciętą stał Alex. Za nim dostrzegła Jonathana.

- Słuchaj, nie mamy czasu - powiedział dobitnie. - Nie martw się o nas. Musisz wydostać się z tunelu i iść do ruin, żeby ich ostrzec.

- A co z wami?

- Nie myśl o tym teraz. Znajdziemy sposób, żeby się wydostać.

- Nie powinniście byli tu przychodzić. Nie chcę zostawiać...

- Idźże wreszcie - rozkazała Chelsea. - Im szybciej się stąd wydostaniesz, tym szybciej sprowadzisz pomoc.

Chelsea miała rację. Gdyby tak udało jej się stąd wydostać i dotrzeć do żołnierzy w ruinach... Caitlin uniosła się na kolana, wzdrygając się na widok pokrwawionych rąk, czując potworną obolałość w całym ciele.

- Tak... sprowadzę pomoc. Zaraz wrócę. - Podniosła się i zaczęła biec tunelem w stronę smugi światła dziennego. - Sprowadzę pomoc...

Jonathan przyklęknął obok Chelsea. Delikatnie dotknął dłoń jej policzka.

- Słyszeliśmy twój krzyk.

- Caitlin... Byłam śmiertelnie przerażona. - Chelsea pokręciła głową i natarła na niego: - Musiałeś tu przyjść, prawda?

Co mi przyjdzie z tego, że i ty zginiesz? Powinieneś być zostać tam, gdzie byłeś bezpieczny. Czemu nigdy nie robisz...

- Cii... - Położył palec na jej ustach. - Przestań. Zawsze mówisz mi, co powinienem zrobić, kim powinienem być. Nie wiesz, że nic mnie nie będzie cieszyło bez ciebie? Nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję?

- Potrzebujesz? - Spojrzała na niego zaskoczona. To wszyscy inni wciąż potrzebowali Jonathana. To on był opoką. - Wydaje mi się...

- Może uda nam się zrobić użytek z tych dwóch pali. - Alex przyglądał się skrzyżowanym belkom podtrzymującym strop tunelu. Podszedł do podpory, z której wciąż zwisała lina, i przyklęknął, by zbadać ziemię, w której były osadzone. - Stoją w luźnej, piaszczystej ziemi. Jest szansa, że uda nam się związać je razem i utworzyć most nad przepaścią.

- Ryzykując, że strop zwali się nam na głowę? - zapytał Jonathan.

- Za dwanaście minut i tak się to stanie. Co mamy do stracenia?

- Nic - stwierdził ponuro Jonathan.

- O czym wy mówicie? - wtrąciła Chelsea. - Zaczekamy, aż Caitlin sprowadzi pomoc.

Jonathan pokręci głową.

- Ledford powiedział, że w tunelu jest podłożony materiał wybuchowy.

- Nic dziwnego, że sukinsyn nie bał się, że wydostaniemy się stąd żywe. Miał wszystkie atuty w ręku.

Jonathan wstał i podszedł, by przyjrzeć się belce.

Alex spróbował ją poruszyć.

- Chyba trochę się poddaje. Jeżeli użyjemy liny, żeby pociągnąć...

- No wiesz, Alex. Myślałem, że nauczyłeś się polegać na szarych komórkach, a nie na brutalnej sile. - Zza zakrętu tunelu wyłonił się Kemal. - Ile razy mam ci to powtarzać?

Alex wyszedł z kręgu światła, wpatrując się w pistolet maszynowy Uzi trzymany przez Kemala.

- Przyszedłeś nas wykończyć?

- Gdzie się podziała twoja intuicja? - zapytał żartobliwie Kemal. - Czyż nie jest oczywiste, że mam duszę bohatera, nawet jeśli los uparł się obsadzać mnie w roli czarnego cha-

rakteru? Parę minut zabrało mi przygotowanie waszej ucieczki i wymknięcie się Ledfordowi, ale oto przybyłem wam na pomoc. - Jego wesołość zniknęła, gdy zbliżył się do krawędzi szczeliny. - Gdzie Caitlin?

- Nie za późno się tym zainteresowałeś? - warknął Alex. - Co by było, gdybym ci powiedział, że spadła w przepaść?

- Wtedy nigdy bym sobie tego nie wybaczył - odparł z prostotą Kemal. - Tak się stało?

- Udało jej się przedostać na drugą stronę. Teraz powinna już być u wylotu. Bez pomocy z twojej strony, ty gnido.

Kemal odetchnął z ulgą.

- W takim razie jak najszybciej musicie do niej dołączyć. Nie macie zbyt dużo czasu. - Odwrócił się na pięcie i ruszył drogą, którą przyszedł. - Chodźcie.

- Zaczekaj - odezwał się Alex.

- Nie ma czasu. - Kemal nie zatrzymał się. - Pospieszcie się.

- Mamy ci zaufać?

- A masz jakiś wybór? - Kemal zaczął przemawiać tonem usprawiedliwienia. - Możesz mi wierzyć, nie chciałem narażać Caitlin na niebezpieczeństwo. Powiedział mi, że przetrzyma je jako zakładniczki do twojego przyjazdu.

Po chwili wahania Alex udał się za Kemalem.

- Nie chce mi się w to wierzyć. Masz zamiar go posłuchać? - zapytała Chelsea wstając. - To gnida.

- Jest naszą szansą - odparł Alex.

- Oczywiście. - Kemal zatrzymał się przed ogromnym głazem. Gdy go odtoczył, oczom wszystkich ukazał się wyrębany w ścianie otwór o ponadmetrowej średnicy. - Skinął głową w stronę Chelsea. - Panie mają pierwszeństwo.

Chelsea podejrzliwie spoglądała w czerniejący przed nią korytarz.

- Dokąd to prowadzi?

- Do głównego tunelu - odparł Kemal. - Ponieważ nasz przyjaciel Ledford jest dziwnym człowiekiem, uznałem, że rozsądnie będzie przygotować sobie na wszelki wypadek możliwość odwrotu. W czasie gdy Ledford siał panikę w całej Europie, ja badałem okolice i tunele i ryłem dziury. - Spojrzał na zegarek. - Dziesięć minut. Nie powinniście mieć problemu. Główny tunel biegnie cały czas prosto.

- Nie ma w nim uroczych niespodzianek? - zapytała Chelsea. Kemal pokręcił głową.

- Kiedy przejdziecie przez ten otwór, skierujcie się w lewo i idźcie prosto przed siebie. Od wylotu dzieli was około siedemset metrów. Cztery minuty i wyjdziecie z tunelu. Zaparkowałem waszego dżipa w zaroślach około stu metrów od wylotu. Jedźcie nim do ruin, żeby ostrzec delegatów.

Chelsea przyklękła i zaczęła przeczołgiwać się przez otwór, za nią Jonathan.

- Dlaczego?.. - zwrócił się Alex do Kemal.

- Idź już - odparł Kemal.

Alex przeczołgał się przez otwór. Za nim wszedł Kemal, po czym podniósł się i przeszedł z nimi kawałek.

- Cztery minuty. Obiecuję. - Wręczył Alexowi pistolet. - Może ci być potrzebny. Brygada Krakowa może być niechętna waszemu pojawieniu się na scenie. Powodzenia, przyjacielu. - Odwrócił się i zaczął się oddalać.

- Dokąd idziesz, do cholery? - zawołał Alex.

- Stać się bogatym człowiekiem - odkrzyknął Kemal. - Zapominasz, że Tańczący na Wietrze wciąż jest tutaj.

- Idioto, to wszystko zaraz wyleci w powietrze.

- Niektóre nagrody są warte ryzyka.

Alex zawahał się, a Kemal odwrócił się i posłał mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Kolejny dylemat. Chcesz iść ze mną i zabić Ledforda, ale wiesz, że Caitlin i delegaci wciąż są narażeni na niebezpieczeństwo. Myślę, że wiesz, jaki powinien być twój wybór. - Wzruszył ramionami. - Czy będzie ci lżej, jeśli ci powiem, że Ledford nie wyjdzie z tego żywy? Od początku naszej znajomości wiedziałem, że zginie. W gruncie rzeczy dlatego w ogóle zaczęła się nasza znajomość.

Alex popatrzył na Kemalę spod zmrużonych powiek.

- To nie chodziło ci tylko o pieniądze?

- Adnan tylko zarządzał haremem, właścicielem był Ledford.

- Niemożliwe!

- Nabył pakiet kontrolny, gdy tylko przyjechał do Stambułu. To był taki kaprys z jego strony. Nawet przyprowadził trójkę dzieci do Adnana. - Wzruszył ramionami. - Naprawdę nie uważam, żeby Ledford zasługiwał na to, by stać się władcą Ameryki Południowej.

- Ale ty zasługujesz?

Kemal obejrzał się przez ramię, na jego twarzy czaił się figlarny uśmiech.

- A jak sądzisz?

Po chwili zniknął z pola widzenia.

- Możemy mu zaufać? - zapytała Chelsea.

- Tak - odparł powoli. - Tak, możemy. - Skręcił w lewo i zaczął szybko iść tunelem.

- Nie czekaj na nas - powiedział Jonathan, biorąc Chelsea na rękę. - Będziemy szli wolniej.

- Dam radę iść sama - zaprotestowała Chelsea.

- Jestem pewien, że mogłabyś spacerować i po wodzie, gdybyś chciała - rzekł Jonathan. - Ale w ten sposób będzie szybciej, więc siedź cicho.

Po upływie czterech minut Alex wyłonił się z tunelu i czekał, by dołączyli do niego Jonathan i Chelsea. Wodząc wzrokiem po płaskowyżu, nagle zeszywniał. Caitlin!

Przez płaskowyż biegła Caitlin. Bosa, w podartym ubraniu, wyglądała jak dzikuska. Z przerażeniem pomyślał, że wartownicy w ruinach mogą ją zastrzelić. Załedwie przyszło mu to do głowy, zauważył, że dżip z żołnierzami w brytyjskich mundurach oddziela się od innych i pędzi przez równinę ku Caitlin.

Alex spojrział w wylot tunelu, lecz nie dostrzegł Jonathana z Chelsea.

Nie mógł dłużej czekać. Puścił się pędem w kierunku ukrytego w zaroślach dżipa.

21

Hej, Kemal, spodziewałem się ciebie. - Ledford stał z prawą ręką opartą delikatnie na filigranowym skrzydle Tańczącego na Wietrze, lewą ścisnął rewolwer Magnum kaliber 0, 42 cala. - Naprawdę sądziłeś, że cię nie przejrzałem? Wydało mi się niezwykle dziwne, że tak sprawny człowiek jak ty nie potrafisz zlokalizować Alexa w ciągu paru tygodni po tym, jak zniszczyliśmy Vasaro, a później coś za bardzo przejąłeś się losem moich zakładniczek. - Uniósł brwi. - Ale przyznaję, że mnie rozczarowałeś. Myślałem, że przyprowadzisz z sobą Alexa... inaczej nie pozwoliłbym ci pójść za nimi.

- Straciłeś go - stwierdził Kemal. - Straciłeś wszystko, Ledford.

- Nonsens. Nic się nie zmieniło. Wszystko idzie zgodnie z planem. Rembrandt jest już w samochodzie i będę miał sześć minut na dotarcie do posterunku, zanim Hans wysadzi to drewniane paskudztwo. - Uniósł rewolwer. - I mam broń, za pomocą której rozwalę ci łeb.

- Rewolwer bez nabojów. - Kemal powoli szedł w jego stronę. - Tak sprawny człowiek jak ja nie przeoczyłby tak istotnego szczegółu.

Ledford wycelował broń w czoło Kemala.

- Blefujesz.

- Przekonaj się.

Ledford pociągnął za spust.

Nadchodził czas.

Hans chuchnął w zgrabiąle ręce i wycelował karabin powtarzalny Springfield w ścieżkę prowadzącą do drewnianego

konia trojańskiego. Następnie wygodniej oparł się o skałę i czekał.

Z tego wzgórza oceniał dystans na niecały kilometr, a jego karabin pozwalał na oddanie jednego strzału. Nie potrzeba więcej, kiedy jest się najlepszym, pomyślał. Uśmiechnął się obserwując rozpościerającą się przed nim okolicę. Ten ogromny szkarłatny namiot, który rozstawiono tu dla uczestników konferencji, wyglądał jak krwawy cyrk. To porównanie rozbawiło go. Tak, a chłopcy z brygady antyterrorystycznej Krakowa i ci wszyscy brytyjscy żołnierze przechadzający się majestatycznie po terenie wyglądali jak klauni.

Krakow pomógł starszej pani wysiąść z autobusu; uśmiechnęła się z wdzięcznością. Widział, jak ten skurwiel porusza ustami, mówiąc coś do idącej obok Cartwright. Pozostali uczestnicy konferencji szli za nimi w kierunku drewnianego konia.

Brian powiedział mu, żeby zaczekał, aż wszyscy delegaci znajdą się wewnątrz tego kretyńskiego konia, ale miał już rozkazów powyżej uszu. Zrobi tak, jak mu się spodoba.

Uśmiechnął się z rozkoszą, myśląc o zdziwieniu Briana w ostatnim momencie, zanim wysze go do piekła.

Tak, już czas.

Kiedy Jonathan wyniósł Chelsea z tunelu, Alex pędził już dżipem ku Caitlin.

- Widzę, że Alex zdecydował się nie czekać. - Jonathan posadził Chelsea na płaskiej skale przy wejściu do tunelu. - Nie szkodzi.

Chelsea wpatrywała się w sylwetkę biegnącej Caitlin.

- Boże, ona wygląda jak wariatka. Czy ja też tak źle wyglądam?

- Gorzej. - Zdjął sweter, rozdarł go i szybko owinał jej lewą stopę. - Psiakrew, nie sądziłem, że to aż tak wygląda.

- Przeżyję.

- Oczywiście. - Owinał jej prawą stopę i pomógł wstać. - Dasz radę iść? Chciałbym jak najszybciej się stąd wynieść. Nie wiem, ile plastiku jest w tych tunelach, ale wolę nie ryzykować.

- W porządku. - Chelsea zaczęła schodzić ze wzgórza. - Wynośmy się stąd.

Wsiadaj! -zawołał Alex zatrzymując się gwałtownie tuż obok Caitlin. - Szybciej!

Caitlin wskoczyła do dżipa.

- Ile mamy czasu?

- Pięć minut. - Alex wcisnął pedał gazu i dżip z piskiem opon skoczył do przodu.

- Zdażymy?

- A skąd ja mogę wiedzieć? - Dżip rwał przez równinę ku ruinom na wzgórzu.

Jakiś dżip na równinie chybotając się jak pijany nosorożec pędził ku ruinom.

Hans uważniej przyjrzał się nadjeżdżającemu pojazdowi. Nieoczekiwana przeszkoda w planach Briana?

Uniósł do oczu lornetkę. Mężczyzna i kobieta. Czy powinien zdjąć kierownicę?

Postanowił tego nie robić.

Był zbyt daleko, by użyć broni innej niż Springfield, a ten jeden nabój był przeznaczony wyłącznie dla Krakowa. Poza tym żołnierze już ich dostrzegli i być może wykonają robotę za niego. Spojrzał na zegarek. Koń powinien wylecieć w powietrze za pięć minut.

Jednakże ta nieoczekiwana przeszkoda może naruszyć kruchą równowagę jego planu. Musi rozważyć możliwość przyspieszenia akcji.

Sięgnawszy do kieszeni, wyjął z niej dwa niewielkie czarne pudełka - nadajniki radiowe, których sygnał wysłany do detonatorów w plastiku umieszczonym zarówno w koniu trojańskim, jak i tunelu miał spowodować eksplozję. Poprzedniej nocy był w tunelu i w tym koniu i starannie ukrył drugi sterowany radiowo detonator pod plastikiem. Niebieski guzik powodował wysadzenie konia, czerwony - tunelu.

Miał teraz Briana w garści. To on, Hans, miał teraz władzę. On kontrolował sytuację.

Nie musi czekać, aż minie pięć minut.

Będą do nas strzelać - wybuchnęła Caitlin dostrzegłszy, że jeden z brytyjskich żołnierzy w zbliżającym się do nich dżipie unosi ręczny karabin maszynowy. - Nie wiedzą, że chcemy ich uratować?

- Oni wiedzą, że dżip może być wypełniony dynamitem i wypełniać samobójczą misję. Schowaj się.

- Żeby zastrzelił ciebie zamiast mnie? - Caitlin nie ruszyła się z miejsca.

- Co mi pomoże, jeśli zostaniesz zabita? - Alex gwałtownie skręcił i zaczął prowadzić samochód zygzakami.

- Nie możemy się zatrzymać i im wytłumaczyć?

Spojrzawszy na zegarek, Alex pokręcił głową.

- Cztery minuty. - Popędził w stronę olbrzymiego drewnianego konia.

Hans zmarszczył brwi, odrywając się od skały.

Dżip najwyraźniej zdoła się przedrzeć. Za chwilę Krakow zauważy dżipa i podniesie alarm.

Hans spojrział przez celownik teleskopowy.

Krakow stał obok Cartwright na ścieżce prowadzącej do konia trojańskiego. Uśmiechał się, silny wiatr rozwiewał jego białozłote włosy.

Powoli, spokojnie Hans pociągnął za spust karabinu.

Na czole Krakowa wykwitła jasnoczerwona plama. Jego uprzejmy uśmiech został utrwalony na zawsze, gdy ustała praca mózgu.

Jeden z głowy.

A teraz coś dla urozmaicenia i dla udowodnienia Briano-
wi, kto tu wszystkim rządzi.

Nacisnął niebieski guzik.

Drewniany koń trojański zmienił się w chmurę ognia.

Spadający kawał drewna rozbił przednią szybę dżipa.

Alex z całej siły wparł stopę w pedał hamulca i pchnął Caitlin na podłogę. Gwałtowny podmuch powietrza uniósł dżipa metr nad ziemię.

- Coś tu nie gra. Mieliśmy jeszcze cztery minuty - zdziwiła się Caitlin. Przywarła do Alexa wtulając twarz w jego ramię.

- Coś się musiało stać.

- Wygląda na to, że przyjaciel Ledforda, Hans, próbuje zmienić plany. - Alex ostrożnie uniósł głowę i wyrżał sponad deski rozdzielczej. Wokół panowało straszliwe zamieszanie, słychać było dzikie krzyki i piski. Uczestnicy konferencji w panice rzucili się z powrotem w stronę autokaru. Żołnierze kręcili się bezradnie, w oszołomieniu wpatrując się w słupek

ognia w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał drewniany koń. Wierzchołki sosen rosnących nie opodal chwyciły ogień i płonęły niczym olbrzymie pochodnie przy stosie żałobnym.

Skulony Krakow nieruchomo leżał na ziemi. Alex z niepokojem popatrzył w kierunku Cartwright i zauważył, jak się podnosi, w oszołomieniu strzepując kurz i liście z wytwornego niebieskiego kostiumu.

- Cartwright nic się nie stało.

- Co z Krakowem?

- Nie wiem. Nie rusza się. Wszyscy pędzą do autobusu.

Caitlin usiadła.

- Ale czy są bezpieczni? Nie chce mi się wierzyć, że...

- Wysiadać - usłyszeli wypowiedziany z brytyjskim akcentem rozkaz. - Łapy mają być cały czas na wierzchu, bo inaczej wysadzimy wam tyłki.

Alex kątem oka dostrzegł, że dżip z żołnierzami brytyjskimi, który ich ścigał, stoi teraz kilka metrów od nich. Obok wozu stali trzech żołnierze i wysoki oficer z orlim nosem w mundurze brytyjskiego pułkownika, który mierzył ich ponurym wzrokiem.

- Szybko. Z przyjemnością rozwałę ci łeb, szumowino.

- Może i Cartwright jest bezpieczna - powiedział sucho Alex, spoglądając na lufy trzech karabinków M-16 wymierzonych w ich głowy. - Ale co do nas, to nie byłbym tego pewien.

Kurek rewolweru Ledforda uderzył w pustą komorę.

Kemal uśmiechnął się, wyciągnął cztery naboje z kieszeni sztruksowych spodni i pokazał je Ledfordowi.

Przez twarz Ledforda przemknął cień podziwu. Opuścił broń.

- Ach, mogłeś zająć tak wysoko, Kemal... Nie spotkałem jeszcze tak...

Powietrzem targnął potworny huk i na stół nagle posypała się ziemia.

Twarz Ledforda stężała.

- Hans! Do cholery, za wcześniej! - Chwycił Tańczącego na Wietrze i włożył pod pachę. - A to skurwiel!

- Daj mi statuetkę - zażądał Kemal.

- A bierz ją sobie! - Oczy Ledforda pałały. - Wynoszę się stąd. Co się dzieje? Sam sprawdziłem zapalniki zegarowe. Skurwiel musiał wrócić i umieścić dodatkowy detonator. Mo-

że nas wysadzić w powietrze, kiedy tylko przyjdzie mu ochota. - Niespodziewanie cisnął rewolwerem w Kemala. Kolba uderzyła Kemala w skroń, a kiedy instynktownie uchylił się i zatoczył, Ledford przebiegł obok niego i wypadł z pomieszczenia.

Kemal oprzytomniał, chwycił rewolwer i popędził za Ledfordem.

Ledford przebiegał właśnie przez podest, kierując się ku schodom.

Kemal gnał za nim. Widział, jak Tańczący na Wietrze rozbił w świetle lampy.

Dopadł Ledforda, gdy ten zaczął wbiegać na schody. Chwycił go za ramię.

Ledford odwrócił się, warknął coś i uderzył Kemala w pierś statuetką.

Kemal zatoczył się na ścianę tunelu.

Ledford wbiegł po schodach.

Kemal włożył dwa naboje do Magnum i ruszył za Ledfordem. Dopadł go w połowie schodów i spróbował mu wyszarpanąć Tańczącego na Wietrze.

Potworny ból przeszył Kemala, gdy Ledford uderzył go kolanem w genitalia. Mimo to udało mu się wyrwać statuetkę z rąk Ledforda.

- On jest mój! Ty skurwysynu, dawaj mi go! - Ledford zamachnął się i z całej siły uderzył Kemala w twarz.

Słony smak krwi w ustach. Kemal przewrócił się, padając na schody.

Lecz wciąż miał Tańczącego na Wietrze. Uniósł rewolwer, wycelował i pociągnął za spust, mimo że zaczynał staczać się ze schodów.

Na prawym policzku Ledforda pojawiła się czerwona plama. Kemal usłyszał dziki wrzask.

Uderzył o ziemię. Przez chwilę ból był wprost nie do zniesienia. Czyżby złamał...

Dotarło do niego, że leży na wilgotnych kamieniach, a ciało Ledforda rozciągnięte jest na schodach parę stopni wyżej. Schody wydawały się wznosić w nieskończoność. Na tę myśl uśmiechnął się krzywo. Właśnie ku nieskończoności będzie zmierzał, jeśli nie zdoła się ruszyć.

Chwyciwszy Tańczącego na Wietrze zacisnął zęby i powoli

podczołgał się do schodów. Ramię przeszywał mu nieznośny, szarpiący ból. Zaczął się wczołgiwać na schody. Za wolno. O wiele za wolno. Musi wstać i przyspieszyć.

Hans w każdej chwili może się zdecydować na wysadzenie tunelu...

Ci durni żołnierze latają wokół ruin jak kurczęta, wśród których kręci się lis, pomyślał wesoło Hans.

A on był tym lisem.

Oparł się o skałę, obserwując ich przez chwilę, po czym spojrział na drugi nadajnik. Brian zdążył się już przekonać, że to nie on stoi przy kole sterowym. Teraz pewnie gramoli się rozpaczliwie, by wydostać się z tunelu z tą statuetką.

Hans zawahał się, rozkoszując się chwilą, upajając się władzą.

- Żegnaj, Brian - powiedział cicho.

Nacisnął czerwony guzik.

Odpalenie pierwszego ładunku nie zabrzmiało jak eksplozja, nad wzgórzem przeszedł zaledwie słaby pomruk. Dziesięć sekund później wybuchły dwa pozostałe ładunki i szczyt wzgórza uniósł się w powietrze jak wybuchający wulkan.

Chelsea i Jonathan stanęli jak wryci na równinie i z przerażeniem patrzyli, jak drzewa, skały i masa ziemi wznoszą się wysoko w powietrze.

- Boże - wyszeptała z przerażeniem Chelsea. - Kto to mógł przeżyć?

Nikt nie miał tu szans na przeżycie - powiedział pułkownik Severn, patrząc w czarną czeluść, gdzie przed wybuchem było wejście do tunelu. Przeniósł wzrok na Jonathana i Alexa. - Oczywiście będziemy kontynuować poszukiwania, ale to niemożliwe, żeby ktokolwiek przeżył taki wybuch. Przed godziną ujęliśmy Hansa Bruckera, który powiedział nam, że umieścił w tunelu trzy ładunki wybuchowe o sile zdolnej zdmuchnąć pół Londynu. - Wzruszył ramionami. - Jeśli nawet wybuch nie rozerwał ich na strzępy, zostali przygnieceni skałami. Znalezienie szczątków może potrwać lata.

- W lasku czekał na nich ukryty samochód. Może odjechali, zanim... - odezwał się Jonathan.

Severn pokręcił głową.

- Znaleźliśmy samochód w połowie wzgórza, gdzie musiała go wyrzucić siła eksplozji. W bagażniku był zaginiony obraz Rembrandta, ale stacyjka nie była włączona. Nemid i Ledford zostali w tunelu.

- Sprawdził pan u strażników na posterunkach? - zapytał Alex.

- To już ponad pięć godzin od wybuchu, a po pierwszym wybuchu żaden samochód nie przejechał w żadną stronę. Musicie panowie przyjąć, że nie żyją. - Po chwili Severn dodał energicznym tonem: - Będą nam potrzebne państwa zeznania.

- Panie miały dzisiaj koszmary dzień - stwierdził Jonathan. - Czy mógłby pan im pozwolić pojechać do hotelu i odpocząć, a Alex i ja będziemy od razu do dyspozycji. Panie złożyłyby zeznania później.

Severn zawahał się, ponownie zerknął w czarną czeluść, po czym skinął głową.

- Dobrze. Przesłuchamy je jutro. Poproszę, żeby panie Benedict i Vasaro zostały odwiezione do Stambułu. Proszę im powiedzieć, że nie wolno im opuszczać miasta. Najpierw poprosimy o złożenie zeznań pana, panie Andreas.

- Uporajmy się z tym od razu. - Jonathan przeniósł wzrok z Severna na Alexa. - Powiedz Chelsea, że zobaczymy się w hotelu.

Alex nie odpowiedział i Jonathan zauważył, że w zamyśleniu przygląda się rosnącym o jakieś sto metrów dalej sosnom.

- Alex?

Alex oderwał wzrok od drzew.

- Tak, tak, oczywiście. - Ruszył w kierunku dżipa, w którym siedziały Chelsea i Caitlin.

Odźwierny w Hiltonie zastygł w pełnym grozy zdumieniu gapiąc się na nie wybałuszonymi oczami.

Trudno mu się dziwić, pomyślała Caitlin. Były tak brudne i poplamione krwią, że wyglądały, jakby wracały z wojny.

Bo też i tak było.

- Powinnaś wezwać lekarza, żeby opatrzył twoje stopy - powiedziała matowym głosem Caitlin, gdy jechały windą. - Na pewno nie udało mi się wyciągnąć wszystkich odłamków.

- Zadzwońię do recepcji i poproszę, żeby kogoś przysłali. -

Winda zatrzymała się na piętrze, na którym znajdował się apartament Chelsea, więc wyszła na korytarz. - Zadzwoń do ciebie później.

Wyszła z windy i pokużyła korytarzem.

Otwierając drzwi swojego apartamentu, Caitlin usłyszała dzwonek telefonu.

W słuchawce rozległ się głos Chelsea.

- Melis zniknęła. Dzwoniono do mnie z domu opieki społecznej. Myśla, że uciekła.

- Boże. Dali znać policji?

- Godzinę temu. Chryste, co za dzień.

A nawet jeśli odnajdą Melis, będą musieli jej powiedzieć, że jedyna ostoja, jaką miała w życiu, została rozerwana na strzępy.

- Dadzą ci znać, kiedy ją znajdą?

- Tak, trzymaj kciuki. - Chelsea odłożyła słuchawkę.

Caitlin wolnym krokiem przeszła do łazienki, by wziąć prysznic. Rozbierając się, spojrzała mimowolnie w lustro nad umywalką i wzdygnęła się na widok swojej twarzy. Wyglądała gorzej, niż przypuszczała. Opuchnięty lewy policzek barwił ogromny siniak, a purpurowe podbiegnięcia pod oczami też nie dodawały jej urody.

Weszła pod prysznic, czekając, aż strumień gorącej wody usunie część zmęczenia z jej mięśni. Powinna odczuwać zadowolenie. Ledford nie żył. Sprawiedliwości stało się zadość. Jednak to poczucie satysfakcji było zabarwione goryczą, ponieważ razem z nim zginął Kemal.

Kemal. Dziwny, śmieszny, nieodgadniony Kemal, który ją wzruszał, uzdrowił ją... i zdradził. Jednak Alex powiedział jej, że to Kemal ich wszystkich uratował. Czując gorące łyzy na policzkach, nie wiedziała, czy w ten sposób odreagowuje potworne przeżycia tego dnia, czy opłakuje tego niedobrego, nie zasługującego na litość łobuza Kemala.

Alex wrócił do hotelu dopiero po północy. Był tak wyczerpany i wynędzniały jak wcześniej Caitlin.

- Masz coś nowego? - Kiedy wszedł do sypialni, usiadła na łóżku i wyłączyła telewizor za pomocą pilota. - Coś, czego jeszcze nie wiem? Brytyjska delegacja musiała rozmawiać z prasą. To, co stało się w Troi, jest na okrągło omawiane w wiadomościach.

- Bo też i niezwykła to sprawa. - Alex pokręcił głową. - Przechesują wybrzeże, ale nie udało się znaleźć miejsca zakotwiczenia „Argosy”, a Severn wciąż jest przekonany, że nikt w tunelu nie mógł przeżyć wybuchu. Ludzie Severna trochę tam grzebali, szukając szczątków, ale musieli przestać, kiedy ziemia zaczęła się pod nimi zapadać. Jeśli chodzi o nich, sprawa jest zakończona.

- A co stało się z Tańczącym na Wietrze?

- Severn twierdzi, że musiał zostać zniszczony w wybuchu.

Serce Caitlin ścisnęło się żalością. Poczowała się, jakby utraciła starego przyjaciela, część swego życia.

- I cała ta mądrość i piękno przepadły.

Alex odwrócił się i skierował do łazienki.

- Przyjdę do ciebie za chwilę. Muszę wziąć prysznic.

Skinęła głową.

- Od razu poczujesz się lepiej.

- Nie mogę się chyba czuć gorzej.

- Obawiam się, że możesz. Melis zniknęła.

Alex zatrzymał się w pół kroku.

- Co?

- Uciekła dziś po południu. Policja już jej szuka, ale jak dotąd nie trafiła na żaden ślad.

- Aha.

Caitlin zmarszczyła brwi.

- Nie wydajesz się tym bardzo przejęty.

Alex skinął głową.

- Jestem, ale może... - Wszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy z łazienki zaczął dobiegać szum wody. Podniosła słuchawkę.

Kończyła rozmowę, gdy dziesięć minut później Alex wrócił do sypialni. Spojrzał na nią pytająco.

- Coś w związku z Melis?

- To była Chelsea. Jeszcze jej nie znaleźli.

Alex podszedł do łóżka.

- Stambuł to duże miasto.

- Na litość boską, przecież wiem... - Urwała, gdy zdała sobie sprawę, jak ostrym tonem wypowiedziała te słowa. -

Przepraszam. Martwię się...

- O Melis?

- O wszystko. Ale tak, oczywiście, i o Melis. Nic nie pora-

dzę na resztę tego piekła, ale Melis... Chciałabym... - Spojrzała na niego, po czym zamrużyła oczami, by powstrzymać napływające do oczu łzy. - Chciałabym, żeby była bezpieczna. Jest jeszcze dzieckiem. Nie chcę, żeby spotkała ją jeszcze jakaś krzywda. Wszystkim nam zadano tyle cierpień. Chcę, żeby to się już skończyło.

- Wiem. - Delikatnie pogładził ją po włosach. - Caitlin... - Zawahał się. - Myślę, że nie znajdą Melis.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. - Usiadł obok na łóżku i przytulił ją. - Tylko rozważam różne warianty.

- Warianty? - Odchyliła się, by nań spojrzeć. - O czym ty mówisz?

Nie odpowiedział wprost.

- A jeśli Kemal żyje?

Otworzyła szeroko oczy, zszokowana.

- Severn powiedział, że nie ma takiej możliwości.

- Severn nie zdaje sobie sprawy, jak pomysłowy jest Kemal.

- Myślisz, że udało mu się wydostać?

- Nie wiem.

- Nikt nie przejeżdżał przez posterunki - zauważyła. - A obraz Rembrandta znaleziony w bagażniku? Kemal nie zostawiłby niczego tak wartościowego.

- Przyznaję, że chociaż nie potrafię sobie wyobrazić Kemała zostawiającego dzieło warte wiele milionów dolarów, to wiem też, że jest wystarczająco bystry, by nie trzymać się gałęzi, jeśli za chwilę ma się na niego zwalić drzewo.

Caitlin wpatrywała się uważnie w jego twarz.

- Ale to nie wszystko, prawda?

- Znalazłem ślady opon rowerowych wśród sosen. Zauważyłem je już, kiedy Jonathan i ja przechadzaliśmy się tam, czekając na rozmowę z Severnem, a potem, jak już pojechaliśmy, wróciłem tam, by przyjrzeć się im dokładniej.

Obudziła się w niej nadzieja.

- Rower!

- To tylko możliwość. - Uniósł rękę, by powstrzymać jej słowotok. - Ziemia była tak zryta po wybuchu, że trudno mi powiedzieć, czy ślady były świeże, czy nie. - Zmarszczył czoło. - Ale to mi dało do myślenia. Wiemy, że Kemal nigdy nie miał zamiaru jechać z Ledfordem do Ameryki Południowej i od

początku myślał o zagarnięciu dzieł sztuki dla siebie. Wiedział, że jeśli spróbuje unicestwić plan Ledforda, może być zmuszony salwować się ucieczką. Powiedział nam, że szukał bezpiecznej drogi wyjścia i że zna te tunele jak własną kieszeń. Wydaje się więc niemożliwe, że nic nie wiedział o ładunkach, które podłożył Hans Brucker. Kemal, jakim go znamy, z pewnością uważałby za punkt honoru dowiedzenie się o planach Ledforda i Bruckera.

- Więc myślisz, że wiedział o plastiku?

- Bardzo możliwe. Ale Kemal nie lubi zabijać. Tak mi powiedział. Może miał zamiar udaremnić próbę zamachu i musiał wprowadzić na scenę inny element.

- Nas - domyśliła się Caitlin. - Chciał skorzystać z części planu Ledforda, a potem zniknąć z obrazami.

- Wiemy, że w lasce stały tylko dwa samochody, a Kemal przestawił dżipa blisko wylotu tunelu. Ale przypuśćmy, że Kemal naprawdę ukrył w poszyciu rower. Pamiętasz, jak był ubrany? Brązowe sztruksowe spodnie, ciężkie buty, czerwony sweter robiony na drutach. Mógł być wzięty za chłopca z okolicznej osady. Sam wziąłem go za małego chłopaka, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Mógł ukrywać się wśród wzgórz dopóki żołnierze nie opuścili ruin, a potem przejść przez równinę do jednej z osad dochodzących do Morza Egejskiego.

- A na brzegu czekała łódź motorowa - powiedziała Caitlin - która zabrała go... - Zastanowiła się... - Dokąd?

- Tam, gdzie kotwiczy „Argosy” - odparł Alex. - Z pewnością nie zapomniał o wręczeniu hojnych łapówek oficerom, żeby przyjęli go zamiast Ledforda.

- Więc płynie sobie teraz bez żadnych zobowiązań, za to z ładunkiem zawierającym bezcenne dzieła sztuki.

- Może ma jedno zobowiązanie.

- Myślisz o Melis? - Caitlin starała się sobie przypomnieć, co Chelsea mówiła jej o Melis tamtego dnia rano. Wydawało się jej, że mnóstwo czasu upłynęło, odkąd Chelsea weszła rano do jej pokoju, żeby powiedzieć, iż Alex poszedł sam do ambasady.

- Przełożona pielęgniarek powiedziała Chelsea, że Melis była kiedyś wieczorem bardzo niespokojna, lecz po wizycie Kemala uspokoiła się i rozpogodziła. Ale powiedziała też, że tego ranka Melis znowu miała kłopoty z nerwami.

- Kłopoty z nerwami... czy niepokój oczekiwania?

- Myślisz, że poprzedniego wieczoru Kemal powiedział, że zabierze ją ze sobą?

- Mógł zlecić komuś zaufanemu zawiezenie jej tam, gdzie kotwiczył „Argosy”. - Alex wśliznął się do łóżka i opadł na poduszkę. - A zresztą, skąd mogę wiedzieć? Zgaś światło.

- Mówiłeś o tym pułkownikowi Severnowi?

- A co miałem mu powiedzieć? To tylko przypuszczenia.

Milczała dobrą chwilę.

- Jeśli uciekł, mógł zabrać ze sobą Tańczącego na Wietrze.

- O ile zaryzykował, że może zostać z nim złapany. Jak można ukryć statuetkę na rowerze? Rozsądniej było zostawić ją, tak jak obraz. - Poruszył się niespokojnie. - Ale nie mam zbyt wielu kawałków do tej układanki. Tylko te ślady opon. To wszystko tylko domysły.

- Chciałbyś, żeby to była prawda?

Nie odpowiadał tak długo, że myślała, iż nie doczeka się odpowiedzi, a kiedy w końcu odezwał się, z trudem dosłyszała jego słowa.

- Tak, bardzo bym chciał, żeby to była prawda.

Z pewnością niełatwo było Alexowi się do tego przyznać. Żadne z nich nie było zbyt ufne i czuł się zdradzony przez Kemala tak jak ona. Nie ulegało wątpliwości, że Kemal był zabójcą obdarzonym niebezpieczną inteligencją i potrafił manipulować ludźmi, by osiągnąć swój cel, lecz miał również wiele innych wcieleń. Przypomniała sobie nagle jego śniadą twarz rozjaśnioną czułością, gdy rozmawiał z Melis w ogrodzie.

Otoczyła Alexa ramionami i wtuliła policzek w zagłębienie jego ramienia.

- Ja też - wyszeptała.

Kiedy Caitlin obudziła się następnego dnia około południa, Alexa nie było już w pokoju.

Pomyślała, że jest w łazience, lecz po chwili zobaczyła kartkę zostawioną na stoliku przy łóżku.

Caitlin,

Jadę do Nicei Jak już spałaś, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wykorzystać całe to zainteresowanie nami w mediach jako sposób na wylansowanie perfum. Jeśli chcemy maksymalnie wy-

korzystać sytuację, musimy działać szybko. Odmów zgody na wywiady dotyczące tego, co zdarzyło się w Troi, i powiedz Chelsea i Jonathanowi, żeby zrobili to samo. Jeśli dziennikarze będą się domagać oświadczenia lub wywiadu, zaprosz ich na piętnastego grudnia do hotelu Negresco w Nicei na promocję, "Vasaro".

Kiedy Severn Cię wypuści, przyjeżdżaj do Nicei Będę Cię potrzebował

Alex

Caitlin ponownie przeczytała list. Była oszołomiona. Wieczorem Alex był zmęczony, przygnębiony i bezradny, a jednak w nocy zaszła w nim przemiana. Znowu działał, myślał, kierował biegiem wydarzeń.

Daj im to, czego sobie życzą.

Lecz dziennikarze będą musieli poczekać dwa tygodnie, aż do piętnastego grudnia, żeby otrzymać to, czego sobie życzą.

A w zamian za to „Vasaro” będą miały reklamę, jak dotąd żadne perfumy na świecie.

22

Zauważywszy czekającą przy windzie Caitlin, Chelsea pomachała do niej ręką ponad tłumem dziennikarzy stłoczonych w foyer hotelu Negresco. Dopiero wtedy uśmiechnęła się promiennie i odwróciła do tłumu. Wszystkie aparaty fotograficzne były wymierzone w jej stronę; od razu zasypano ją gradem pytań.

- Czy to prawda, że była pani porwana przez „Czarną Medynę”?

- Co pani robiła przez ostatni tydzień w Paryżu?

- Czy zgodziłaby się pani wystąpić w filmie na temat...

- Nie odpowiem na żadne pytanie. - Chelsea uniosła rękę, by powstrzymać krzyżowy ogień pytań. - Znacie warunki umowy. Zjawiacie się z kamerami na wieczorne promocyjnym, a tuż po prezentacji zapraszam na konferencję prasową, podczas której będziecie mogli mnie pytać o co tylko chcecie. - Zaczęła przeciskać się przez tłum. - A teraz pozwólcie, że pójde na górę zmienić buty. Zobaczymy się wieczorem.

Wicedyrektor hotelu, tak przystojny, że śmiało mógł rywalizować z Tomem Cruise, szybko znalazł się między Chelsea a dziennikarzami, torując jej drogę do windy.

- Niezły show.

Słyszac znajomy głos Chelsea odwróciła się, by w tłumie reporterów zobaczyć znajomą twarz.

- Co cię tu sprowadza, Tyndale? Myślałam, że przy twojej wrażliwości na dobro ogółu interesują cię wyłącznie nabrzmiałe problemy społeczne i nie uznasz za stosowne pojawić się na tak filisterskiej imprezie. Nie boisz się, że może to mieć na ciebie zgubny wpływ?

- A dlaczego niby miałyby mnie tu nie być? - Nalana twarz Tyndale'a pozostała bez wyrazu. - Pokusa była nie do odparcia. Nikt nie może powiedzieć, że nie jesteś dobra w tym, co robisz.

Odwrócił się i zniknął w tłumie.

Chelsea odczuła lekką irytację, zmieszaną z uczuciem niechętnego szacunku dla dziennikarza. Dyrektor hotelu zaprosił Chelsea i Caitlin do windy i zamknął szklane drzwi, pełniąc przed nimi straż, dopóki Caitlin nie nacisnęła guzika.

Chelsea szybko uścisnęła Caitlin.

- Jak się miewasz?

- W porządku. Lecę z nóg, ale w porządku.

- Chryste, kryształowe żyrandole w windzie? - Chelsea zarżała głowę, by spojrzeć na sufit, po czym przeniosła wzrok na obite czerwonym pluszem ściany. - A jacy świetni są ci latynoscscy chłopcy hotelowi biegający w osiemnastowiecznych spodniach do kolan, uwydatniających ich fantastyczne tyłeczki. Czysta dekadencja. - Westchnęła z zadowoleniem. - Lubię to.

Caitlin roześmiała się, ubawiona.

- Osiemnastowieczna liberia nie ma na celu pobudzenie twojego libido. Hotel został oddany do użytku w tysiąc dziewięćset dwunastym roku i ma oddawać atmosferę tamtych lat.

- W takim razie miałam rację - odparła Chelsea. - Skoro tak im zależało na stworzeniu klimatu autentyczności, po co ubrali chłopców hotelowych w osiemnastowieczne stroje, jeśli hotel został wybudowany w dwudziestym wieku? - Pokręciła głową. - Męskie osiemnastowieczne stroje były o wiele bardziej seksowne i nie w mówisz mi, że ci, co projektowali liberie tym przystojniakom, nie byli tego świadomi.

Caitlin zachichotała.

- Masz prawo myśleć po swojemu.

- Zawsze to robię. - Spojrzała na Caitlin. - Wszystko przygotowane?

- Nie, ale wszystko odbywa się według planu. - Caitlin skrzywiła się. - Za parę minut muszę wracać na dół, spotkać się z ludźmi odpowiadającymi za nagłośnienie hali.

Kiedy Chelsea i Caitlin wyszły z windy na przestronny korytarz, dwaj chłopcy hotelowi czekali już z bagażami przy podwójnych drzwiach apartamentu. Chelsea z rozbawieniem obserwowała, jak wzrok Caitlin zbłądził ku tym częściom ich ciała, które tak zafrapowały Chelsea.

- Widzisz? - wyszeptała Chelsea.

Zmieszana Caitlin oderwała wzrok od pośladek chłopców i napotkała figlarny uśmiezek Chelsea. Skinęła głową.

- Godne uwagi.

Chelsea otworzyła drzwi i chłopcy wnieśli do apartamentu cztery walizki i dwa kufry.

Obrzuciwszy wzrokiem pokój, Chelsea z uznaniem stwierdziła, że osiemnastowieczna elegancja została połączona z dwudziestowiecznym komfortem. Spojrzała na biurko w stylu Ludwika XVI stojące pod przeciwległą ścianą, dwa obrazy wyglądające na oryginały, okna skrzynkowe, z których rozciągał się widok na Morze Śródziemne.

- Proszę wnieść bagaże pani Benedict do tego pokoju. - Caitlin wskazała drzwi po lewej stronie salonu. - Proszę nie pokazywać pani, gdzie co jest. Poradzi sobie sama.

- Muszę sobie poradzić. - Chelsea skrzywiła się. - W gruncie rzeczy mieszkam w hotelach.

Chwilę później Chelsea wręczyła chłopcom napiwki i odesłała ich.

- Na lotnisku czekała na mnie Barbara Walters i próbowała nakłonić do udzielenia jej wyłącznego wywiadu jeszcze przed wieczorem promocyjnym. - Zrzuciła buty na wysokim obcasie i zaczęła niespokojnie przemierzać salon. - Ślinka im cieknie.

- Ciężko na to pracowaliśmy. W porównaniu z tym, przyjęcie w Wersalu to fraszka.

- Jak się miewa Alex?

- Widuję go tylko późnym wieczorem i zasypiamy, zanim zdążymy powiedzieć do siebie dwa zdania. - Urwała. - Marisa jest tutaj.

Chelsea znieruchomiała.

- Co ty mówisz?

- Koniecznie chciała przyjechać i Jonathan zaprosił ją na pokład prywatnego samolotu.

- Do diabła, przecież zaledwie dwa dni temu pozwolono jej wstać z łóżka. Gdzie ona jest?

Caitlin ruchem głowy wskazała drzwi po drugiej stronie salonu.

- Przyleciała późną nocą. Myślę, że wciąż jeszcze śpi. Sądziłam, że będziesz chciała, żeby zamieszkała w twoim apartamencie, gdzie będziesz mogła mieć ją na oku.

- Oczywiście, że będę chciała. Ale ci skretyniali lekarze nie powinni pozwolić jej na podróż.

- Sprawia wrażenie zdrowej - stwierdziła Caitlin. - Nie przypuszczam, żeby Jonathan pozwolił jej tu przyjechać, gdyby...

- Nie powinien był tego robić. - Chelsea zacisnęła dłonie w pięści. - I po co skaczę po całej Europie, żeby uniknąć spotkania z nim, jeśli on robi takie gesty? Jaką mamy pewność, że nikt nie odkryje, że Marisa przyleciała razem z nim?

- Myślę, że w tej walce jesteś skazana na przegraną - powiedziała łagodnie Caitlin.

- To się okaże. - Chelsea głęboko zaczerpnęła tchu i powoli rozprostowała dłonie. - Wejdz do sypialni. Przywiozłam ci coś z Paryża.

- Co takiego? - Caitlin weszła za Chelsea do sypialni, z zaciekawieniem obserwując, jak przyjaciółka otwiera kufer, który chłopcy hotelowi postawili obok szafy. - Co to jest?

- Nie jest to właściwie prezent ode mnie, tylko od Jeana Perdota. Zadzwoił do mnie do hotelu i dostąpiłam zaszczytu znalezienia się w jego towarzystwie. - Chelsea ostrożnie wyciągnęła z kufra jedwabny pokrowiec na ubrania. - „Dorodna róża o najgłębszym odcieniu szkarłatu, prosta i zdrowa” - zacytowała słowa Jeana Perdota, wyciągając z kieszeni kufra owinięty w bibułkę przedmiot. - „I mająca kolce.”

- Czuję się zaszczycona.

- Bo też powinnaś być. - Chelsea wyjęła z pokrowca suknię w tak głębokim odcieniu szkarłatu, że niemal w kolorze burgunda. Była uszyta z wielką prostotą; miękkimi fałdami spływała aż do podłogi, na wzór greckiego peplos, odsłaniając jedno ramię. Niepowtarzalna uroda tej sukni leżała w doborze tkaniny i udrapowaniu materiału, w subtelnym zmarszczeniach stanika, płynnym układaniu się jedwabnych fałd.

- Jest... cudowna - szepnęła Caitlin bez tchu.

- I będziesz w niej wyglądać szafowo. - Chelsea rozpakowała bibułkę i wyjęła niewielki przedmiot. - A to masz nosić wysoko na prawym ramieniu, jak niewolniczą bransoletkę.

Mieniająca się małymi brylancikami złota bransoletka wyglądała jak ciernista łodyga, która miała dwukrotnie opleść jej ramię.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Podziękujesz Jeanowi, kiedy następnym razem go odwie-

dzisz. Ja spełniłam tylko rolę dziewczyny na posyłki. - Wręczyła bransoletkę Caitlin. - Zobaczymy, czy wciąż będziesz mu taka wdzięczna, kiedy dostaniesz rachunek.

- A co ty zamierzasz włożyć?

- Nie będziemy dla siebie konkurencją. Włożę tę bursztynową suknię przetykaną złotą nitką, którą zamówiłam u Chanel. - Opuściła wieko kufra. - Obiecuję, że będę wszystkim, czym powinna być dobra rzeczniczka.

- Byłabyś świetna niezależnie od tego, w co byś się ubrała. Od pierwszej chwili wiedziałam, że jesteś Vasaro.

Chelsea poczuła ściskanie w gardle. Wiedziała, że to najpiękniejszy komplement, jakim Caitlin mogła ją obdarować. Od czasu ich pierwszego spotkania utraciła tak wiele, a jednak pod wieloma względami także zyskała. Była teraz silniejsza, pewniejsza siebie.

- Byłaś już w Vasaro?

- Jeszcze nie. Nie miałam na to czasu. - Twarz Caitlin rozjaśniła się uśmiechem. - Pojadę tam jutro.

- Myślisz, że dasz radę zmierzyć się z tym wszystkim?

Caitlin skinęła głową.

- Już czas zacząć. Jak powiedział Alex, życie musi toczyć się dalej. - Ostrożnie włożyła suknię do pokrowca i przewiesiwszy ją przez ramię, skierowała się ku drzwiom. - Muszę wracać do pracy. Fryzjerka hotelowa zjawi się tu o szesnastej, żeby zająć się twoim uczesaniem, a prezentacja odbędzie się o dwudziestej. Na osiemnastą zamówiłam dla ciebie i Marisy lekką kolację.

- Mówisz, jakbyś panowała nad wszystkim.

- Jeszcze nie. Ale się staram. - Caitlin uniosła rękę w pożegnalnym geście i wyszła z sypialni.

Chelsea zdjęła żakiet i rzuciła go na łóżko.

- Mamo?

- Jestem tutaj. - Chelsea szybko przeszła do salonu i zobaczyła Marisę idącą ku niej w niebieskich spodniach od pizamy i zarzuconym na ramiona dobranym kolorystycznie szlafroku. - Nie powinnaś była wychodzić z łóżka. Szłam do ciebie. - Przyjrzała się Marisie szacującym wzrokiem. - Wyglądasz dużo, dużo lepiej. Prawie dobrze.

Mówiła prawdę. Marisa miała zdrowe rumieńce i gdyby nie opatrunek gipsowy na prawym ramieniu i obojczyku, wyglądałaby na zupełnie zdrową.

- Czuję się bardzo dobrze. - Marisa pochyliła się, by pocałować matkę w policzek. - W przyszłym tygodniu wracam do szkoły.
- To za wcześnie. A co będzie, jeśli...
- Wszystko będzie w porządku - zapewniła ją łagodnym, lecz stanowczym tonem Marisa. - Spoko, spoko.

Chelsea nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Zawsze bawiło ją, gdy Marisa używała slangu, którym posługiwali się jej rówieśnicy. Wydawał się brzmieć obco w ustach córki. Po chwili jej uśmiech zbladł: - Nie powinnaś była przyjeżdżać. Jonathan nie powinien...

- Jonathan zrobił dokładnie to, czego pragnęliśmy oboje. - Spojrzenia Chelsea i Marisy skrzyżowały się. - Jestem tutaj właśnie z powodu Jonathana.

Chelsea zastrzygła uszami, spróbowała jednak obrócić wszystko w żart.

- A nie po to, żeby zobaczyć mnie w akcji?

Marisa pokręciła głową.

- Będę oglądać pokaz w telewizji w swoim pokoju. - Umilkła na chwilę. - To nie może tak dłużej trwać, mamo. Krzywdzisz nas oboje.

- Ja was krzywdzę?

Marisa skinęła głową.

- Nie pozwalasz mi mieć przyjaciela i ojca, a Jonathanowi nie pozwalasz mieć żony i córki. - Spojrzała na Chelsea poważnym wzrokiem. - Zrozumiałam coś, kiedy umarł Peter. Jedną z ostatnich rzeczy, które mi powiedział, było, że muszę żyć. Życie jest zbyt cennym darem, żeby je marnować, bo nigdy nie wiemy, kiedy się skończy. Musimy korzystać z pełni życia. Ty nam na to nie pozwalasz.

Chelsea stała jak porażona.

- Chcę tylko, żebyście byli szczęśliwi.

- W takim razie przestań programować nasze życie.

Chelsea potrząsnęła głową, rozżalona.

- Ty tego nie rozumiesz.

- Boże, ależ jesteś uparta. - Marisa zamyśliła się. - W takim razie spójrzmy na to z innej strony. Załóżmy, że Jonathan zostanie prezydentem? Prezydenci często stają się obiektem zamachu. Pomyśl tylko o Kennedym, Lincolnie i Reaganie.

- Nie! Nie dopuszczę, by to się zdarzyło.

- Nie będzie cię przy nim. Będzie sam.

- Prezydent nigdy nie jest sam.
- Ale nie będzie miał przy sobie kogoś, komu naprawdę na nim zależy. Mamo, on ciebie potrzebuje.

Potrzebuję cię. Jonathan powiedział jej to w tunelu.

- Da sobie radę.
- Skąd wiesz? - Marisa spojrzała na odmienioną twarz matki i zdecydowała się wytoczyć najcięższe działa. - Postanowiliśmy nie pozwolić, żebyś dłużej nas krzywdziła. Jeśli nie wyjdiesz za Jonathana, wprowadzę się do niego. - Uniosła rękę widząc, że Chelsea ma zamiar coś powiedzieć. - Oficjalnie. Jak myślisz, jaką będzie miał szansę zostania prezydentem, jeśli zamieszka u niego szesnastolatka?

- Blefujesz. Jonathan nigdy nie postawiłby cię w takiej sytuacji.

- Masz rację, Jonathan blefuje. - Marisa uśmiechnęła się.
- Ale ja nie. Wiesz, że nigdy nie blefuję. Już ja coś wymyślę, żeby do tego doszło.

- Nie wiesz, co mówisz. Prasa nie zostawiłaby na tobie suchej nitki.

- Zawsze ci mówiłam, że boisz się o to, co oni mogą o mnie napisać, bardziej niż ja. - Po chwili dodała łagodnie: - Mój uraz minął już dawno temu. To ty wciąż nie możesz sobie darować.

- Zniszczysz Jonathana.

- Nie. Jonathan jest zbyt silny, żeby dać się zniszczyć komuś z nas.

- Urząd prezydenta wymaga...

- Lubię Jonathana. Kocham ciebie. Jak myślisz, kogo bym wybrała, gdybym miała któreś poświęcić, żeby uszczęśliwić drugie? - Marisa spojrzała Chelsea prosto w oczy. - Spójrz na mnie. Czy mówię szczerze?

Chelsea przyjrzała się jej uważnie, po czym zaśmiała się drżącym głosem.

- Tak, mówisz szczerze.

- Cieszę się, że udało mi się jasno wyrazić. - Marisa pocałowała matkę w policzek. - Przemyśl to. Daję ci czas do przyszłego tygodnia, zanim wyjadę do Port Andreas.

- Dziękuję - odparła ironicznie Chelsea.

- Będzie ci łatwiej, kiedy się na to zgodzisz. - Marisa odwróciła się i skierowała do swego pokoju. - W innych sprawach nie jesteś taka nierozsądna.

Gdy za Marisą zamknęły się drzwi, Chelsea w oszołomieniu pokręciła głową.

Boże, została postawiona pod ścianą.

Powoli podeszła do wyściełanego, obitego brokatem fotela i opadła nań ciężko. Musi się nad wszystkim zastanowić i zdecydować, co dalej. Było to wręcz śmieszne. Marisa była niedoświadczoną dziewczyną, ona - dojrzałą kobietą. Na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby zawrócić Marisę z tego kursu, jeśli wszystko jasno sobie przemyśli.

Lecz Marisa twierdzi, że Chelsea nie potrafi w tym przypadku rozsądnie myśleć. Cóż złego w tym, że chce chronić ludzi, których kocha?

A jeśli to właśnie uniemożliwiało im życie pełnią życia, jak ujęła to Marisa?

Nie wiedziała, co robić.

Oparła głowę o wezgi fotela. Może rzeczywiście jest nierozsądna, lecz jedno stało się oczywiste.

Musi szybko dojść do odpowiednich wniosków.

O dziewiętnastej trzydzieści Chelsea energicznie zapukała do drzwi apartamentu Caitlin.

- Chelsea, jeszcze nie jesteś ubrana? - spytała Caitlin otwierając drzwi.

- Nie bój się. To mi zajmie parę minut. - Chelsea weszła do salonu i szacującym wzrokiem zmierzyła Caitlin od stóp do głów. - Mówiłam ci, że będziesz świetnie wyglądać w tej sukni.

- Dziękuję. - Caitlin skromnie spuściła oczy. - To prawdziwy cud, że nie włożyłam jej na drugą stronę. Przed dwudziestoma minutami wpadłam tu, żeby wziąć prysznic, a już muszę lecieć na dół i dopatrzeć, żeby dokładnie sprawdzono wszystkie zaproszenia, żeby...

- Nie zajmę ci dużo czasu. - Chelsea zamknęła drzwi. - Muszę ci coś powiedzieć.

Cztery minuty przed ósmą Caitlin wpadła do wielkiej sali balowej i przeszła długim, otoczonym kordonem ochroniarzy przejściem w stronę udekorowanego kwiatami podium.

- W porządku? - zapytał Alex, gdy zajęła obok niego miejsce na podium.

- Dopiero łapię oddech - wyszeptała w odpowiedzi. - Ledwie się z tym wszystkim uporałam.

Alex zmarszczył czoło.

- Coś nie tak? Myślałem, że wszystko idzie jak po maśle. Gdzie Chelsea?

- Zaraz przyjdzie. - Caitlin spojrzała na zgromadzony na sali tłum i uniosła rękę w geście pozdrowienia, zauważywszy Jonathana siedzącego w tylnej części ogromnej, wysoko sklepionej okrągłej sali.

Pierwsze rzędy były zarezerwowane dla dziennikarzy, foto-reporterów i ekip telewizyjnych, a na podium ustawiono co najmniej trzydzieści mikrofonów czekających na przemowę promocyjną Chelsea.

- Rzekłbym, że jesteście dobrze obstawieni.

- Pokaz będzie transmitowany na żywo do siedemdziesięciu dwóch krajów. - Kwartet smyczkowy z tyłu sali zaczął grać, Alex zerknął na zegarek. - Gdzie ona jest? Musimy zaczynać.

- Nie bój się. Chelsea ma zawsze dobre wejście.

Musiał wyczuć tłumione podniecenie w jej głosie, gdyż przyjrzał się jej z uwagą.

- Caitlin, co ty, do diabła...

Chwyliła go za ramię.

- Idzie.

Muzyka rozbrzmiała głośniejsz i przez tłum przeszedł szmer, gdy Chelsea Benedict pojawiła się w szpalerze.

Była ubrana w sięgającą ud tunikę ze srebrnych cekinów, którą wyczarował dla niej Jean Perdot. Nie miała żadnej biżuterii. Jej długie, wspaniałe nogi stapały lekkim, tanecznym krokiem, a kędzierzawe włosy lśniły w świetle żyrandoli. Szła nie rozglądając się na boki, z oczami błyszczącymi jak szafiry w ożywionej twarzy.

Było w niej coś elektryzującego.

Caitlin słyszała ożywienie na sali, lecz nie odrywała wzroku od Chelsea.

- Nadszedł czas pokazu - wyszeptała, wstając. Nagle zdała sobie sprawę, że powtarza słowa, które tyle razy słyszała od Chelsea. Nauczyła się od niej tak wielu rzeczy. Sześć miesięcy temu byłaby zbyt przerażona, by stanąć przed tak znamienitą publicznością. Teraz czuła się zupełnie swobodnie.

Weszła na mównicę.

- Panie i panowie, jestem Caitlin Vasaro. Chciałabym państwu serdecznie podziękować, że stawiliście się tutaj tak licznie. Jesteśmy tutaj, by zaprezentować państwu perfumy, które staną się sensacją stulecia na rynku kosmetycznym. - Chelsea doszła już do podium i wstąpiła na schody. - Nasze perfumy zaprezentuje państwu osoba równie niezwykła jak one same. Niezwykła do tego stopnia, że zdecydowaliśmy się uczynić ją naszą rzeczniczką po wsze czasy. - Kątem oka zauważyła, że Chelsea, zszokowana, zatrzymała się na schodach, lecz nie przerywała wypowiedzi: - Wierzmy, że nasze perfumy przetrwają wieki, lecz nigdy nie będą miały innej rzeczniczki. Tak jak nie da się zastąpić „Vasaro”, tak niezastąpiona jest Chelsea Benedict.

Wycofała się i zajęła miejsce obok Alexa.

- Co się dzieje, do diabła?

- Zaraz zobaczysz.

Gdy Chelsea znalazła się na podium, aplauz wzrósł.

Chelsea stanęła wyprostowana i czekała, aż ucichną brawa. Odchrząknęła, lecz przemówiła wciąż lekko zachrypniętym głosem.

- Nie zdajecie sobie jeszcze państwo sprawy, jak wielki zaszczyt uczyniła mi przed chwilą Caitlin Vasaro, lecz wkrótce będziecie mieli okazję się przekonać. - Zacisnęła ręce na mównicy i patrząc na twarze zebranych, mówiła dalej. - Wszystko po kolei. - Uniosła stojący na mównicy kryształowy flakonik zaprojektowany przez LeClerca. - Oto „Vasaro”. Krótko mówiąc, są to najwspanialsze perfumy na świecie. Nigdy już nie będę używała innych. - Zrobiła smutną minę. - Jeżeli uda mi się je zdobyć. Powinnam była umieścić w umowie klauzulę gwarantującą mi ciągłą dostawę. Wiecie państwo, co zdarzyło się w Vasaro i w związku z tym przez jakiś czas perfumy będą trudno dostępne. - Milczała chwilę. - A teraz chciałabym ogłosić rezygnację z funkcji rzeczniczki „Vasaro”.

Caitlin usłyszała, jak Alex gwałtownie wciągnął powietrze.

- Powiedziałam już Caitlin Vasaro, że zwrócę otrzymane wynagrodzenie i nigdy już nie będę promować żadnego produktu. - Przez salę przeszedł głuchy pomruk. Chelsea uśmiechnęła się. - Jesteście państwo zaskoczeni? To jeszcze nie koniec. Mam zaszczyt ogłosić państwu, że mężczyzna, którego pragnę poślubić, Jonathan Andreas, zamierza ubiegać się o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Na sali podniosła się wrzawa i Chelsea odczekała chwilę, nim uniosła rękę, by uciszyć publiczność.

- Wiem, że to nie powinno się tak odbywać. - Uśmiechnęła się szeroko. - Lecz do diabła z tym. Nie ja ustalałam te reguły. - Usłysawszy śmiech na sali, spoważniała. - Teraz proszę o ciszę. Pragnę powiedzieć coś ważnego.

Zapanowała cisza.

- Jonathan Andreas jest najlepszym, najszlachetniejszym, człowiekiem, jakiego spotkałam. Bycie prezydentem to bardzo niewdzięczne zadanie i nie rozumiem, czemu tak do tego dąży. - Milczała chwilę. - Nie, to nieprawda. Myślę, że wiem dlaczego. Chce pomagać, chce naprawiać, chce służyć dobru innych. Jest takim właśnie człowiekiem. Po tym bałaganie, który wytworzyliśmy, nie wiem, czy zasługujemy na to, ale on chce to dla nas zrobić. - Urwała. - Jeżeli nie sprzeciwiacie się temu dlatego, że nie jestem odpowiednią żoną dla prezydenta. Niektórzy rozsądni politycy ostrzegli Jonathana, że jeśli mnie poślubi, pozbawi się szans na zostanie prezydentem. Powiedzieli mu, że nie może liczyć na to, że wyborcy zaakceptują kobietę o mojej przeszłości, że należy uwzględnić najniższy wspólny mianownik populacji. - Uśmiechnęła się gorzko. - Ja też mu to mówiłam, lecz nie chce nas słuchać. Nie chce słuchać, bo mnie kocha. - Nachyliła się, a jej głos rozbrzmiał donośniej. - I darzy państwa zaufaniem. Ceni waszą inteligencję i zdolność trzeźwego osądu. Twierdzi, że świat się zmienił i uczciwość ma większą wartość niż pozorna cnota. Wkrótce przekonamy się, czy się nie myli.

Ponownie zacisnęła dłonie na krawędzi mównicy.

- Jestem znaną aktorką i od dawna nie musiałam poddawać się próbom, aby dostać rolę, lecz robię to dzisiaj. Musicie być państwo świadomi, że będę taka, jak widzicie. Nie będę drugą Nancy Reagan ani Jackie Kennedy, jestem też zupełnie inna niż Barbara Bush. Potrafię pełnić honory pani domu, ale nie zawsze będę idealną *first lady*. Mam duży temperament i popełniam błędy. Będę szczerą i zawsze nazwę gburą gburą, nawet jeśli protokół zaleci, bym używała określenia „nie oszlifowany diament”.

Uśmiechnęła się.

- Ale ma to i swoje dobre strony. Zawsze będziecie wiedzieli, czego można po mnie oczekiwać. Jestem lojalna. Ro-

bię, co do mnie należy. - Urwała, odrzucając w tył głowę. - Mam jeszcze jedną cechę, mocno ostatnio krytykowaną przez ludzi, na których najbardziej mi zależy. Twierdzą oni, że jestem nadopiekuńcza. Cóż, może i jestem, ale ma to swoje dobre strony. Może stać się to nawet korzystne dla wszystkich. Ponieważ oznacza to, że skoro już uznam was za moich podopiecznych, będę chroniła także i was.

Policzki Chelsea zaróżowiły się, oczy pały, gdy wyzywająco rozejrzała się po twarzach zgromadzonych.

- Tyle miałam do powiedzenia. Reszta zależy od was. Nie bądźcie nierozsądni i nie zmarnujcie tej szansy tak jak ja omal jej nie zmarnowałam. Możecie nigdy już nie mieć kogoś takiego jak Jonathan Andreas.

Odwróciła się, zesła z mównicy i zaczęła zstępować ze schodów.

Publiczność wstała i owacyjnymi brawami żegnała Chelsea, tak że szła ku Jonathanowi wśród ogłuszającej wrzawy.

- O Boże - wyszeptał Alex.

- No właśnie. - Czując pod powiekami szczypiące łzy, Caitlin wstała i biła brawo razem z innymi. - Myślisz, że zmarnują szansę?

Ujął ją za ramię.

- Nie mam pojęcia. - Zaczął sprowadzać ją z podium. - Ale nikt nie może powiedzieć, że to nie był pierwszorzędny strzał w kampanii.

- Wiem, że odbyło się to trochę kosztem perfum, lecz nie mogłam jej odmówić.

- Nieważne. - Alex uśmiechnął się szeroko. - Jeśli uda im się zamieszkać w Białym Domu, wystąpienie Chelsea będzie pokazywane co najmniej przez następne osiem lat. Takiej reklamy nie można kupić za żadne pieniądze.

Chelsea zatrzymała się przed Jonathanem i uniosła podbródek.

- Pewnie powinnam ci była wcześniej powiedzieć, że mam zamiar to zrobić. Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania co do zamiaru ożenienia się ze mną. Teraz jest już za późno.

- W tej sytuacji nie mam wyjścia.

- Myślisz, że Jennings będzie zły?

- Wściekły.

- Przejmujesz się tym?
- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym się tym przejmować? Mam ciebie.
- To prawda, masz. Widzisz, jaki z ciebie szczęściarz? - Chwyła jego dłoń i pociągnęła go ku wyjściu. - Chodź, mamy teraz konferencję prasową z Alexem i Caitlin, a ja chcę najpierw zajrzeć do Marisy. - Zauważywszy za barierką Tyndale'a, zatrzymała się w pół kroku, dumnie unosząc podbródek. - Będziesz głosował na mojego męża?
- Nie podjąłem jeszcze decyzji. - Kąciki warg Tyndale'a uniosły się w czymś, co można by nazwać cieniem uśmiechu. - Ale będę głosować na ciebie, jeśli zdecydujesz się kandydować.
- Zamrugała powiekami, po czym uśmiechnęła się szeroko.
- Nie zauważyłeś? Zasugerowałam, że mogę być dobrą kandydatką. To operacja zespołowa. - Minawszy go, wsunęła rękę pod ramię Jonathana i wyszeptwała: - Wiesz, chyba go lubię. Jak myślisz, czy nadawałby się na sekretarza prasowego?

Roześmiał się.

- Już zaczynasz obsadzać stanowiska?

Lecz szybko zapomniała o Tyndale'u i zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Chyba zadzwonię do mojego agenta i dowiem się, czy nie znalazłoby się dla nas miejsce w dwóch programach jutro wieczorem. Mam nadzieję, że jeśli uda nam się wzbudzić takie zainteresowanie i popularność, że nasze akcje wzrosną w sondażach opinii publicznej, partia może wysunąć twoją kandydaturę. - Słyszac, że się śmieje, zmierzyła go surowym spojrzeniem.
- Mówię poważnie. Musimy tego dokonać. Nie mam zamiaru za dwadzieścia lat słuchać, jak obwiniasz mnie o to, że przeze mnie straciłeś szansę na fotel prezydencki. Nie możemy pozwolić, by ktoś zabrał ci posadę, o którą się starasz. Będziemy walczyć.
- Jestem tego pewien. - Jonathan pocałował ją w policzek.
- Nie mogę się tego doczekać.

Nie ma większej miłości niż ta, która trwa nawet w cieniu miecza...

Te słowa przypomniały się Caitlin, gdy stanęła na wzgórzu, patrząc na rozpościerające się u stóp pole róż.

Miecz spadł, niszcząc Vasaro, lecz dzięki temu zniszczeniu

znalazła inną miłość i zawarła inne przyjaźnie, które przetrwają całe życie.

Tak jak przetrwało Vasaro.

Wciąż spodziewała się, że poczuje zapach spalenizny, lecz czuła tylko czysty oddech ziemi. Teren został oczyszczony, ziemia zaorana i Caitlin mogła znów patrzeć, jak Jacques i inni pracownicy sadzą szczepy, które udało im się uratować z krzewów. W innym rzędzie inni robotnicy sadzili półmetrowe krzewy zakupione w szkółkach.

Potem przeniosła wzrok na kłęczącego na ziemi Alexa w skupieniu sadzącego krzew. Przypomniało jej to pierwsze tygodnie pobytu Alexa w Vasaro. Miał na sobie niebieską bawełnianą bluzę i spłowiałe džinsy, jego odgarnięte z czoła włosy podtrzymywała niebiesko-biała chusta.

Unióś wzrok i uśmiechnął się widząc, że schodzi ku niemu ze wzgórza. Przyspieszyła kroku, aż w końcu niemal biegła.

- Nie zostawiłeś wiadomości - powiedziała z wyrzutem, gdy podeszła do niego. - Obudziłam się, a ciebie nie było. To zaczyna ci wchodzić w nawyk.

- - Myślałem, że się domyślisz, gdzie jestem. - Skończył uklepywać ziemię wokół krzewu. - Jeśli chodzi o promocję, zrobiliśmy już wszystko, co było można, i teraz czas zabrać się do pracy w Vasaro.

Przyklękła naprzeciwko niego.

- Dziś po południu Jonathan, Chelsea i Marisa odlatują do Nowego Jorku.

- Wiem. Przed wyjazdem z hotelu dzwoniłem do nich, żeby się pożegnać. - Alex przysiadł na ziemi i spojrzał na nią. - Możemy ich długo nie widzieć.

- Zanim wyjechałam z hotelu, Jonathan miał telefon z Interpolu. *Mona Lisa* została odzyskana.

Zesztywniał.

- Co?!

- Ktoś skontaktował się z towarzystwem ubezpieczeniowym i dwa dni temu ustalono wysokość nagrody dla znalazcy. Wymiana gotówki za obraz odbyła się wczoraj na jednej z wysp archipelagu Azory.

- A jakie było to znaleźne?

- Dwa miliony dolarów.

Alex gwizdnął przeciągle.

- Spodziewam się, że była to anonimowa transakcja.
 - Tak, zresztą myślę, że gotowi byli wejść w układy z samym diabłem, byle tylko odzyskać obraz. - Caitlin opuściła wzrok, przygryzając dolną wargę. - Ja... ja myślę, że to mógł być Kemal.

Nie odpowiedział wprost.

- W przypadku tak znanych dzieł sztuki negocjowanie z towarzystwami ubezpieczeniowymi jest dużo bezpieczniejsze i sprytniejsze niż próba paserstwa.

- Ale nie sądzisz, że to mógł być Kemal?

- Nie wiem. - Uniósł jej podbródek. - Pogódź się z tym. Możemy nigdy się tego nie dowiedzieć. Mógł to być na przykład kapitan „Argosy”.

Skinęła głową.

- Ale gdyby odnalazł się Tańczący na Wietrze, gdyby ktoś skontaktował się z Jonathanem w tej sprawie... wtedy zyskalibyśmy pewność?

Przytaknął.

- Nie wyobrażam sobie, żeby kto inny poza Kemalem mógł mieć Tańczącego na Wietrze. - Urwał. - Ale on wie, co kryje w sobie statuetka, i może z powodzeniem wykorzystać te leki w celu zbudowania imperium, jeśli takie są jego zamiary.

- Jeśli żyje.

- Tak. - Odjął rękę od jej twarzy. - Jeśli żyje.

- Poprosiłam Jonathana, żeby nas powiadomił, jeśli któreś towarzystwo ubezpieczeniowe zgłosi się do niego z informacją o Tańczącym na Wietrze.

- Słusznie. - Sięgnął do kieszeni. - Mam coś dla ciebie. Zamówiłem to, kiedy wróciłem do Nicei, ale mieliśmy takie urwanie głowy, że nie miałem czasu ci tego dać. - Uniósł wisiorek za delikatny łańcuszek i zakołysał nim przed jej oczami. - Wiem, że to nie jest Tańczący na Wietrze, ale tylko tyle mogłem zrobić.

Wspaniały złoty Pegaz ze szmaragdowymi oczami.

Oczami wyobraźni ujrzała ów wieczór sprzed lat.

- Jacques ci powiedział?

Skinął głową.

- Nie udało mi się odnaleźć tego prawdziwego, który ofiarował ci ojciec, więc zamówiłem ten. Wiem, że to nie to samo...

- Nie jest taki sam. - Złoto załśniło w słońcu, gdy obróciła wisior w palcach. - Jest dużo piękniejszy.

Ich spojrzenia spotkały się.

- I nigdy nie pozwolę, żeby ktoś ci go zabrał. Nigdy nie pozwolę, żeby zabrano ci cokolwiek.

- W takim razie to naprawdę nie jest to samo. - Patrzyła na Pegaza przez łyż. - Nie musiałeś tego robić. Nie potrafię nic poradzić na to, że wciąż mam nadzieję, że Tańczący na Wietrze nie zginął, ale już go nie potrzebuję. Potrzebowałam marzenia... Teraz moim marzeniem jest Vasaro, nowe Vasaro. - Przykucnęła. - Co to za ciężarówka na podjeździe?

- Drzewka. - Alex uśmiechnął się szeroko. - Dwudziestoletnie drzewka pomarańczowe. Chcę, żebyśmy szybko wystartowali. Chciałbym jeszcze być tu gdzieś w pobliżu, kiedy staną się dla nas użyteczne. Po południu przyjedzie druga ciężarówka i przywiezie resztę krzewów róż, a jutro przyjdzie architekt, by omówić z nami projekt nowego domu. Możesz wybrać styl, jaki ci się żywnie podoba pod warunkiem, że będę miał coś do powiedzenia w sprawie wystroju mojego gabinetu. Potrzebuję dużo przestrzeni.

- Naprawdę myślisz o przyszłości. Przypuszczam, że pokryjesz rachunki? Mnie nie stać na to wszystko.

Zapatrzył się w przestrzeń i milczał dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się, z trudem dobierając słowa.

- Ja stawiam. - Znów chwila ciszy. - Myślę, że może moglibyśmy dojść do porozumienia.

- Porozumienia?

- Moglibyśmy zawrzeć układ. Ja odbuduję dla ciebie Vasaro, a ty pozwolisz mi zostać tu przez jakiś czas.

Wstrzymała oddech.

- Jak długo?

- Nie wiem. - Przesunął się kawałek wzdłuż rzędu krzewów i zaczął odwracać ziemię łopatką. - Co byś powiedziała na czterdzieści albo pięćdziesiąt lat? Potem wznowimy negocjacje.

Gwałtownie wypuściła powietrze.

- Myślałam, że nie chcesz korzeni.

- Mówiłem ci kiedyś, że wszystko się zmienia. To co, umowa stoi?

- Daj im to, czego sobie życzą, a oni w zamian... - Urwała, gdyż podniósł głowę i dostrzegła wyraz jego twarzy.

ZAGADKI

- Jeśli jest na świecie coś, czego sobie życzysz, powiedz, a dam ci to - rzekł stłumionym głosem. - Jeśli pozwolisz mi z sobą zostać.

- Naprawdę? - Jej twarz rozjaśniła się w promiennym uśmiechu. - W takim razie byłabym idiotką, gdybym odmówiła, nie uważasz?

- Tak.

Roześmiała się, ujmując jego dłonie. Splotła palce z jego palcami, a między nimi utkwił złoty Pegaz.

- Powiedziałaś, że pięćdziesiąt lat?

- Co najmniej.

- I małżeństwo?

- O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Nie mam. - Nagle spoważniała. - Czy kochasz mnie, Alexie Karazov?

- Oczywiście - odparł, zaskoczony. - Czyżbyś miała wątpliwości?

Nad polem róż rozdzwonił się jej srebrzysty śmiech.

Nie ma większej miłości niż ta, która trwa nawet w cieniu miecza...

Epilog

Tańczący na Wietrze nie powrócił do Jonathana Andreasa.

W ciągu kolejnych pięciu lat wszystkie inne dzieła sztuki skradzione przez „Czarną Medynę” zostały wykupione przez kraje, których własność stanowiły, w zamian za niewyobrażalnie wysokie znaleźne.

Charles Barney nigdy nie został aresztowany za zabójstwo Roda McMillana.

Na żadnym z mórz nie spotkano „Argosy” i jego załogi.

Vasaro

Jack Kilon zaparkował szare wypożyczone Renault na podjeździe w Vasaro, wyskoczył z wozu i skierował się ku limuzynie, która zatrzymała się przed nim, tuż przy schodach prowadzących do okazałego budynku z cegły.

Kierowca pomógł wysiąść z wozu Marisie Benedict. Uśmiechnęła się do Jacka.

- Zobaczysz, spodoba ci się tutaj. Kiedyś było to moje najulubieńsze miejsce na świecie.

Już teraz mu się tu podobało. Wychował się na farmie w Północnej Karolinie i brakowało mu bliskiego kontaktu z naturą. Praca w charakterze członka ochrony rodziny prezydenckiej miała liczne zalety, ale nigdy nie zdołał w pełni przekonać się do wielkomiejskiego życia. Więc kiedy oddelegowano go do ochrony Marisy Benedict po tym, jak jej ojczym wygrał wybory prezydenckie, uznał to za zrządzenie losu. Jej

praca w charakterze oceanologa w San Diego zazwyczaj trzymała go z dala od politycznego piekła Waszyngtonu, a poza tym szczerze lubił Marisę. Była zawsze pogodna, miła, wręcz przyjacielska i trochę przypominała mu siostrę.

- To bardzo piękne miejsce, *miss Benedict*.

Lekko zmarszczyła czoło, przesuwając wzrokiem od szpaleru drzew limonowych do drogi prowadzącej do wioski.

- Bardzo się tu zmieniło od czasu, kiedy byłam tu po raz ostatni.

Jack został poinformowany o tragicznych wypadkach, jakie się tu rozegrały kilka lat temu, kiedy przydzielono mu ochronę Marisy.

- Tym razem nie ma się pani czego obawiać, *miss Benedict*. Nic złego się nie wydarzy. Kiedy pan prezydent i pani matka przyjadą tu jutro, będzie tu tak dużo służb bezpieczeństwa, że wystarczy, by powstrzymać armię.

- Wiem, Jack. - Ponownie uśmiechnęła się tym spokojnym, słodkim uśmiechem, którym tak często go obdarzała.

- Oho, pani pewnie ma na imię Marisa. - Młody ciemnowłosy mężczyzna wyszedł z domu i zaczął zstępować ze schodów. - Czekałem na panią. Caitlin i Alex pojechali do Grasse, żeby zapewnić dodatkową ochronę, i prosili, żebym zajął się panią, gdyby przyjechała pani, zanim wrócą. Nazywam się Luis Delgado.

Jack odruchowo cofnął się o krok i stanął tak, by móc błyskawicznie zadziałać, gdyby okazało się to konieczne. Otrzymał informacje o wszystkich, którzy mieli znaleźć się w Wasaro, lecz Luisa Delgado nie było na liście.

- Kim pan jest, *mister Delgado*?

- *Secret Service*? - Luis Delgado z uznaniem pokiwał głową. - Okazał pan należytą czujność. Słusznie chce pan wiedzieć. Caitlin i Alex rozmyślnie nie podali mojego nazwiska, kiedy sporządzali listę gości dla pańskich szefów. Mam być niespodzianką dla prezydenta.

- Nie lubimy niespodzianek.

- Zapewniam pana, że ta bardzo się prezydentowi spodoba. W Białym Domu musi być czasami strasznie nudno.

- Czemu uznano, że potrzebna jest dodatkowa ochrona? Doskonale potrafimy radzić sobie sami.

- Jestem tego pewien, ale bardzo martwię się o swój багаż

i Alex postanowił zaspokoić moje życzenie, zlecając szczególnie nadzór. - Odwrócił się w stronę kierowcy: - Wnieś walizki pani Benedict do domu. Gospodyni powie ci, do którego pokoju. - Przeniósł wzrok na Marisę. - Sam go dla pani wybrałem. Widzę panią w żółtym pokoju, opromienioną blaskiem słońca.

- To bardzo miło z pańskiej strony.

Skinał głową.

- Potrafię być miły. - Jego oliwkową twarz rozjaśnił nagle promienny uśmiech. - I zawsze będę miły dla pani.

Jack zauważył wyraz zainteresowania na twarzy Marisy i poczuł niepokój. Cholera, ten byczek mógł być żigolakiem albo oszustem, a Chelsea Andreas zażąda jego głowy, jeśli pozwoli, by ktoś skrzywdził jej córkę. Postąpił parę kroków.

- Zanim pozwolę pani wejść, sprawdzę dom.

- Oczywiście. - Luis Delgado ujął Marisę za ramię. - A ja w tym czasie pokażę panie Benedict pole róż. Właśnie nastał czas kwitnienia i widok zapiera dech.

Zanim Jack zdążył zaprotestować, szli już przez soczystozielony trawnik przed domem ku polom. Wymamrotał pod nosem przekleństwo i pospieszył do samochodu, by połączyć się telefonicznie z Niceą, z Samem Geslerem, swoim przełożonym, odpowiedzialnym za działanie służb bezpieczeństwa w czasie wizyty prezydenta.

- Mamy niespodziankę - doniósł Geslerowi ponurym tonem, nie odrywając wzroku od Marisy i Delgada. - W Vasaro powitał nas jakiś Luis Delgado. Wiemy coś na jego temat?

Usłyszał, jak Gesler przerzuca dokumenty.

- Nic. Jak wygląda?

- Przystojny, ciemne włosy, około trzydziestki, garnitur za dwa tysiące dolarów.

- Może być w porządku.

- Chcesz powiedzieć o tym Chelsea Andreas?

Gesler westchnął.

- Nie, musimy błyskawicznie się upewnić. Mam nadzieję, że uda mi się go sprawdzić. Psiakrew, nienawidzę tych nagłych wizyt. Prezydent dostaje jeden telefon i rzuca wszystko, by przyjechać do Francji. Co, do cholery, może uzasadniać...

Jack sam się nad tym zastanawiał.

- Może to jakaś sprawa rodzinna. Z jakiego innego powodu miałby przysyłać tutaj córkę?

- Skąd mam niby wiedzieć? Miej oko na tego faceta. Dam ci znać.

Jack odwiesił słuchawkę i popędził za Marisą i Luisem Delgado.

Luis Delgado zatoczył ręką w szerokim geście, wskazując karmazynową wspaniałość rozpościerającego się w dole dywanu róż.

- Czyż to nie wspaniałe? Oto siła odrodzenia. Caitlin i Alex świetnie się spisali.

- Tak. - Przeniosła wzrok na drogę prowadzącą do wioski.

- Myśli pani o tym człowieku, który umarł, żeby panią uratować.

Zesztywniała, po czym odwróciła się, by nań spojrzeć.

- To pan wie o Peterze?

Uśmiechnął się łagodnie.

- To nie była pani wina. Mężczyzna sam wybiera, co jest wystarczająco ważne, by oddać za to życie.

Skąd to wiedział? Nawet jej matka nigdy nie domyślała się, że przez te lata stale prześladowało ją poczucie winy.

- Kiedy Caitlin opowiedziała mi o tym, pomyślałem, że na świecie niewiele jest kobiet tak niezwykłych, że zdolne są wzbudzić w mężczyźnie taką reakcję.

Marisa przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Alex i Caitlin nie powierzyliby tego byle komu. Musi pan być ich dobrym przyjacielem.

- Luis. Tak, jestem bardzo dobrym przyjacielem, chociaż dawno się nie widzieliśmy. Mieszkam na wyspie w pobliżu Chile i rzadko bywam w Europie.

- Na wyspie?

Skinał głową.

- Na pewno zainteresowałaby panią moja wyspa. Wiem, że jest pani oceanologiem. Założyłem ośrodek badawczy na północnym wybrzeżu. Prowadzimy badania nad delfinami. Ostatnio mój zespół dokonał rewelacyjnych odkryć. Zapewne słyszała pani o Instytucie Delgado?

- To pan jest tym Delgado? Czytałam prace pańskich współpracowników. - Jej twarz ożywiła się entuzjazmem. - I to pan sponsorował ostatnią kampanię na rzecz ratowania delfinów?

Kiwnął głową.

- Moja siostrzenica również bardzo interesuje się życiem delfinów. Bardzo chciałaby panią poznać.

- Przywiózł ją pan tutaj?

- Nie tym razem. Melisande była zajęta badaniami naukowymi, a ja mam do załatwienia sprawę osobistą. - Zatrzymał się na wzgórzu i objął wzrokiem pole róż. - Czas już, żebym się ożenił. Przywiózłem dar, żeby kupić sobie żonę.

- Kupić? - Marisa uśmiechnęła się. - Tutaj? Przecież nawet w Ameryce Południowej aranżowane małżeństwa i konieczność wniesienia posagu wyszły już z mody.

Pokręcił głową.

- Tradycja wcale nie zanikła. Dar składany przez przyszłego męża to ważna rzecz. Jest dowodem dobrej woli i obietnicy dobrego traktowania żony. Im większy dar, tym większa obietnica. - Spojrzał jej prosto w oczy. - A ja zaproponuję jej ojcu taką cenę, jakiej jeszcze żaden mężczyzna nie zapłacił za żadną kobietę.

- To dlatego jest pan taki przeczulony na punkcie swojego bagażu? - Zmarszczyła brwi. - Na litość boską, chyba nie przywiózł pan z sobą gotówki?

- Nie.

Wydała westchnienie ulgi.

- To dobrze. Bardzo niebezpiecznie jest...

- To bardzo niezwykły dar.

- Klejnoty?

- Owszem, są i klejnoty. - Uśmiechnął się szeroko. - Szmaragdy, diamenty, perły... poza tym złoto i ponad sześćdziesiąt stron bardzo interesujących dokumentów. Pracowałem nad nimi przez ostatnie lata. - Jego uśmiech zbladł. - Nie pytasz mnie, dlaczego muszę złożyć aż tak wielki dar?

- To nie moja... - Do diabła z uprzejmością. Chciała to wiedzieć. - Dlaczego?

- Muszę go złożyć, skoro chcę zdobyć zaufanie jej rodziców. W przeszłości nie zawsze byłem prawym człowiekiem. - Kolejne słowa wypowiedział z taką żarliwością, jakby próbował ją przekonać. - Ale zawsze starałem się odpłacać dobrem za dobro.

Nie wiedzieć czemu Marisa poczuła nagle dziwne zmieszanie. Zmusiła się do zadania pytania obojętnym tonem:

- A wybrałaś już narzeczoną?
- Dawno temu. Ale musiałem poczekać, zanim mogłem prosić o jej rękę. Nie sprzyjały temu okoliczności. - Delikatnie odgarnął jej z twarzy pasemko włosów i włożył za ucho. - Czy wierzysz w przeznaczenie, Mariso?
- Nie wiem.
- A ja wierzę. - Zrobił zawiadającą minę. - Chociaż ktoś taki jak ja potrafi je trochę nagiąć do swoich potrzeb.
- Uśmiechnęła się.
- Skoro można nagiąć, to nie jest przeznaczenie.
- Masz piękny uśmiech. - Wpatrzył się w jej twarz i ponownie poczuła to dziwne zmieszanie. - Ale powinnaś się więcej śmiać.
- Co ty mówisz?
- Nie bój się. Nauczę cię tego. Nauczę cię wielu wspaniałych rzeczy.
- Nie mogła oderwać wzroku od jego błyszczących czarnych oczu.
- Naprawdę? - wyszeptwała.
- O, tak. Przekonasz się, że mówię prawdę. Tak będzie. Możesz mi wierzyć. - Łagodny, mądry, nieco figlarny uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Mam dar jasnowidzenia.